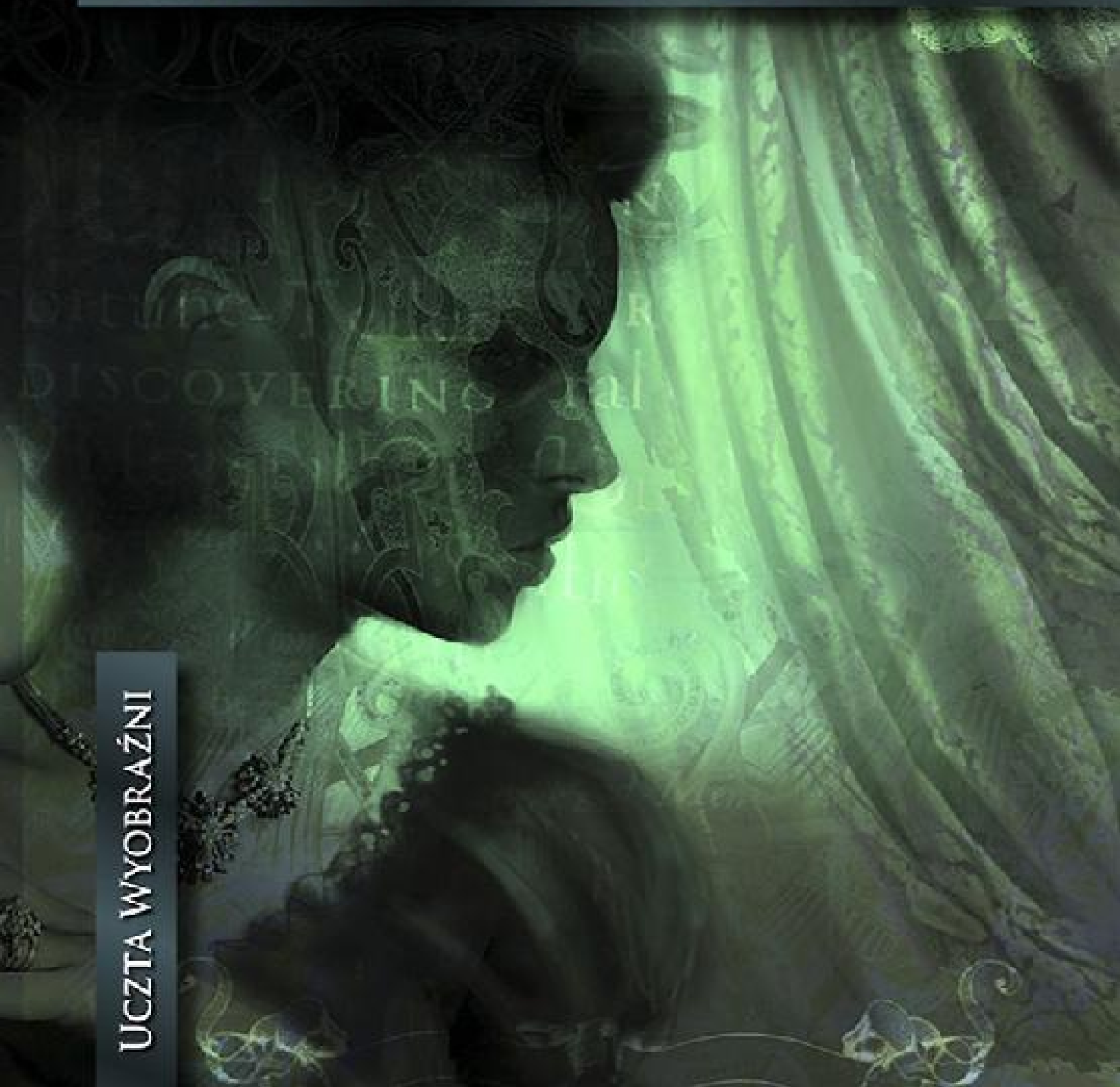


JEFFREY FORD

PORTRET PANI CHARBUQUE

ASYSTENTKA PISARZA FANTASY

UCZTA WYOBRAŹNI



Jeffrey Ford

Portret pani Charbuque
Asystentka pisarza fantasy

Tłumaczenie: Robert Waliś

Seria: Uczta Wyobraźni

Wydawnictwo: Mag

**ASYSTENTKA PISARZA
FANTASY**

*Książkę dedykuję Jackowi i Derekowi –
oto kilka opowieści w zamian za wszystkie piękne historie, które
mi daliście.*

Podziękowania

Mam olbrzymi dług wobec Michaela Swanwicka, który znalazł czas w swoim nieludzko napiętym harmonogramie, by napisać wprowadzenie do niniejszego zbioru. Jest wiele powodów, dla których każdy pisarz poczułby się zaszczycony takim wyróżnieniem, a dla mnie osobiście bardzo istotny jest fakt, że Michael napisał *Jacka Fausta*, jedną z moich ulubionych powieści, a także mnóstwo opowiadań, które wywarły duży wpływ na moje własne krótkie formy literackie. Jednakże pewnego wieczoru, gdy siedziałem obok niego podczas przyjęcia w restauracji, zrozumiałem, jaki powód jest najważniejszy. Michael spytał, czy czytałem Fritza Leibera. Nie czytałem. Opowiedział mi o nim oraz o *Our Lady of Darkness*. Wcześniej zawsze uznawałem Michaela za zagadkowego, ale tamtego dnia dostrzegłem u niego niezwykle entuzjazm i szczerą podekscytowanie pisarstwem, czego próżno szukać u wielu młodych autorów. Później pomyślałem sobie: „Ten facet napisał więcej świetnych opowiadań, niż pięciu takich gości jak ja mogłoby napisać przez całe życie, co najmniej raz zdobył każdą liczącą się nagrodę, a jednak wciąż przepęlnia go pasja”. Uważam to za wielką rzadkość.

Każdy pisarz, który miał szczęście współpracować z wydawnictwem Golden Gryphon, wie, że może się spodziewać pełnego profesjonalizmu i miłej atmosfery. Gary Turner i Marty Halpern są oddani misji wydawania cudownych książek. Szczególne podziękowania dla Marty’ego. Cóż mogę powiedzieć, ten człowiek to perfekcjonista w najlepszym znaczeniu tego słowa. Gdyby był Mojżeszem, Bóg znalazłby w swoich tekstach nieco poprawek. Jestem mu wdzięczny za czujność, poświęcenie oraz poczucie humoru.

Na końcu chciałbym podziękować swojemu agentowi, Howardowi Morhaimowi – zaufanemu przewodnikowi, oddanemu czytelnikowi,

szczeremu krytykowi i czarodziejowi.

Wprowadzenie

WSZECHOGARNIAJĄCA DZIWNOSĆ JEFFREYA FORDA

Wszystko zaczyna się od snów. Jeffrey Ford powiedział mi, że wiele pomysłów na jego opowiadania pochodzi ze snów, a ja mu wierzę. Można to wyczuć. Jego opowieści unoszą się ponad rzeczywistością. Logika ich fabuł nie pochodzi ze świata jawy. Jest w nich niepokojące piękno, które cechuje najlepsze z sennych marzeń.

Jednakże, chociaż przełożenie nawet najbardziej bogatego snu na język literatury wymaga niezwykłych umiejętności, to gdyby te opowiadania nie były niczym więcej, nie pisałbym tego wprowadzenia. Stoi za nimi także przenikliwy intelekt.

Spójrzcie choćby na *Reparatę*. Zaczyna się głęboko w krainie snu, gdy Flam, tytułowany Najwyższym Władcą Następnego Tygodnia, stoi na pogrążonym w ciemności urwisku i łapie nietoperze na przynętę z much. To cudowny pomysł, ale niebezpieczny. W jednej chwili opowieść zostaje umiejscowiona tak daleko od znanej nam rzeczywistości, że obawiamy się, czy całkowicie nie wyrwie się spod kontroli i nie uleci w sferę czystego wymysłu. Okazuje się, że dzięki swym umiejętnościom i sprytowi Ford panuje nad sytuacją i ujmuje tekst w racjonalne ramy, być może nie do końca zakorzeniając go w rzeczywistości, ale z pewnością w regułach świata fantasy. Oto bogaty ekscentryk ustanowił monarchię absurdystyczną w zamku Reparata, gdzie zapewnia schronienie wyrzutkom i złamanym duszom. prostytutka zostaje hrabiną, szaleniec Głównym Filozofem, a rabuś biskupem. Jednakże, gdy umiera królowa, Jego Królewska Mość popada w melancholię, która zagraża całej krainie, a Flam wyrusza na poszukiwanie

uzdrowiciela.

W tej chwili wszyscy już wiemy, jak się potoczy fabuła, i czego powinniśmy się nauczyć (głównie w kwestii ludzi podejmujących narzucone im role). Tylko że opowieść zmierza w zupełnie innym kierunku. Ford przygotował dla nas ciekawsze obrazy i oryginalniejsze lekcje, które istnieją gdzieś pomiędzy płynną niepewnością czystej fantazji a nudną przewidywalnością konwencjonalnej sprawnie napisanej opowieści.

Czasami sny stają się koszmarami.

Pewien komiwojażer otwiera swoją skrzynkę, pokazując ludzki mózg pływający w butelce. Akcja *Pływania w Lindrethool* rozgrywa się w niedalekiej przyszłości, gdy nowe technologie uczyniły zbędnymi komputery oparte na krzemie. Jednak ci zaprawieni w bojach, cyniczni handlarze noszący identyczne kapelusze i mieszkający w tanich hotelach są żywcem przeniesieni z Ameryki w czasach Wielkiego Kryzysu. To szorstka fabuła w klimacie noir, w której nie brakuje odpowiednio mrocznego wątku miłosnego. Jest także obecna odrobina humoru. Slackwella, żałosnego sprzedawcę, będącego bohaterem opowiadania, spotyka seria niemal rytualnych upokorzeń, gdy atakuje go biskup, a pewna kura domowa o wyjątkowej odporności na techniki akwizytorów uderza go w nogę młotkiem. Koszmarna sytuacja Slackwella jest komiczna, podobnie jak jego uczucie, jednak humor zamiast łagodzić uczucie grozy, tylko je nasila.

Człowiek uwięziony w swojej pracy, mózg uwięziony w słoju, kobieta uwięziona w swoich snach. Czy mogłoby ich spotkać coś gorszego? Cóż... mogliby stracić złudzenia, które czynią ich życie znośnym. Mogliby zrozumieć, jak absurdalny jest ich los. Właśnie ta świadomość, a nie groźba śmierci czy rozczłonkowania, wisi nad tą opowieścią niczym miecz Damoklesa.

Pływanie w Lindrethool można uznać za horror albo (ze względu na cudownie niespodziewane szczęśliwe zakończenie) fantasy, bądź pozostać przy pierwszym skojarzeniu i określić je jako science fiction. Dzieła Forda nie dają się łatwo szufladkować. Wiele z nich można dopasować do każdej z tych trzech kategorii, lecz większość nie mieściłaby się w ramach którejkolwiek z nich. W ich towarzystwie rozmywają się granice między gatunkami.

Na przykład, w *Podwieczorku z Juliuszem Verne'em* bezimienny dziennikarz przeprowadza wywiad nie z pionierem gatunku science fiction,

ale z czymś, co wygląda na fizyczną projekcję jego podświadomości. Mistrz realizmu zostaje wywrócony na lewą stronę i przekształcony w dadaistycznego dyrektora cyrku id. Bohaterowie opowieści gnieźdzą się w jego domu jak myszy i podobnie jak gryzonie trzeba je łapać i eksterminować. Ojciec w założeniu racjonalistycznego gatunku staje się maestro nielogiczności. Surrealizm, rekursywna krytyka, prosta literacka zabawa – cokolwiek to jest, daleko temu do SF, chyba że bardzo swobodnie pojmowanego.

To samo dotyczy *Miasta Egzo-Szkieletów*. Mimo że akcja opowiadania toczy się na obcej planecie, której atmosfera sprawia, że ludzie muszą nosić ochronne kombinezony, nie można go nazwać czystym science fiction, ponieważ wymyka się dosłownej interpretacji. Słyszałem, że Jeffreya Forda nazywa się „wytrawnym mącicielem”. Tym tekstem dowodzi on, że to prawda, gdyż wywraca wszystko do góry nogami. Jego ludzie zamieszkują wewnątrz filmowych gwiazd, przywdziewając egzo-szkielety imitujące Marylin Monroe, Humphreya Bogarta i inne ikony kultury. Skolonizowali gwiazdy, które w naszym świecie zawładnęły naszą wyobraźnią. Ich prawdziwa tożsamość pozostaje groźną tajemnicą. Wyobcowanie i niekończące się wygnanie typowe dla współczesnego miejskiego życia zostało symbolicznie przedstawione jako pogoń za produktem, który nie jest wart takiego poświęcenia.

Można by napisać pracę magisterską na temat obecnego w opowiadaniu metaforycznego rozrachunku z grzechami późnego kapitalizmu. Można także pozwolić się ponieść nierzeczywistej dziwaczności fabuły. Wspaniały tekst, niezależnie, do jakiego gatunku go przyporządkujemy.

Dzieła Forda zaskakują. Rozprawiają się ze wszystkimi założeniami. *Stworzenie* zaczyna się od katechizmu, wcielenia doktrynalnej pewności, ale już po chwili dotyka tajemnicy życia, by skończyć w krainie Niepoznanego. Młody narrator, działający pod wpływem wewnętrznego przymusu, którego nie rozumie, buduje człowieka z pnia drzewa leżącego w lesie. „Duży kawał kory, który odpadł z dębu, stał się głową. Na niej ułożyłem czerwone oczy z grzybków, grzybowe zakrzywione uszy oraz nos z suchego owocu. Usta wyciąłem scyzorykiem”. We śnie święty mówi mu, że jego stworzenie nosi imię Cavanaugh. Wkrótce Cavanaugh budzi się do życia i zaczyna nękać chłopca.

A może nie? Dowody nie są przekonujące. Poza tym, chłopak wkracza w

wiek dojrzewania, więc pada ofiarą hormonalnych burz. Być może jego strach przed bezsensownym wszechświatem materializuje się w postaci drewnianej figury. Mimo że czytelnik widzi dwa możliwe odczytania opowieści, sam tekst nie wskazuje na żadne z nich. Nieważne, w co wierzycie, w fantazję albo przyziemność, w Boga albo Nicość, i tak patrzycie na ten sam świat.

Taki efekt – taniec dosłowności z symboliką – jest możliwy do osiągnięcia tylko w prozie. A proza Jeffa Forda jest wysoce idiosynkratyczna. Słowa zostają oddzielone od swoich pierwotnych znaczeń. Imię siostry Celliniego staje się nazwą zamku. Angielski przymiotnik dotyczący badań nad zagrożeniami przeludnienia zmienia się w nazwisko armeńsko-amerykańskiego naukowca. Nie ma sensu podążać tropem tych znaczeń, gdyż prowadzą donikąd, a już na pewno nie do intencji autora. Są znaczące, lecz ich znaczenie wykracza poza słowa.

Ekstremalnym przykładem osobliwej słownej alchemii Forda jest *Pansolapia*, w której zanika upływ czasu, kosztem nie tylko chronologii, ale także przyczynowości. Śniąc o swoim przyszłym losie, pewien marynarz postanawia nie wypływać za kraniec świata, przez co we śnie powołuje do życia dziecko. Jednocześnie topi się w morzu podczas powrotu z tej niefortunnej podróży do miejsca, gdzie ludzie-lwy potrafią mówić, ale tylko w języku pozbawionym znaczenia. Tonąc, wkracza do zamku. Po obudzeniu znajduje się na pokładzie okrętu. Nie są to odrębne losy, tylko różne aspekty tej samej rzeczy, doświadczane równocześnie. Marynarz jest częścią snu czarodziejki, podobnie jak ona jest częścią jego snu. Ale sny potrafią zabijać, a nad ich skutkami nie da się zapanować. W innym miejscu Ford pisze: „Możecie mi wierzyć, słowa mają czarodziejską moc”. Trudno o lepszy przykład.

„Gdyby lew potrafił mówić, nie moglibyśmy go zrozumieć”, twierdzi Wittgenstein. Jeszcze bardziej znane są jego słowa: „To, o czym nie potrafimy mówić, musimy zbywać milczeniem”. Jeśli na podstawie moich słów wywnioskujecie, że Ford jest tajemniczy i niedostępny, to zapewniam, że dzieje się tak nie dlatego, że próbuje oczarować czytelnika, ale dlatego, że goni za prawdami, które ogromnie trudno ubrać w słowa.

Słodki węzeł stanowi kwintesencję tego polowania. Rozpoczyna się od kaskady opowieści spływających po kolejnych stronach, relacjonowanych przez głównego bohatera, którym jest sam Ford, prowadzący kurs pisarstwa,

który dla jego uczniów staje się raczej sposobem na poznanie samych siebie niż przepustką do świata literatury. Jedna z tych opowieści zajmuje centralne miejsce, ale jej zagadki i objawienia nie podążają prostą fabularną ścieżką. Odkrycia dokonywane przez Forda, szukającego prawdy kryjącej się za usłyszaną historią, mieszają się i łączą w niespodziewany sposób. Działają tutaj mroczne siły, których mechanizmy pozostają w ukryciu, lecz skutki poddają się analizie.

Ford twierdzi, że *Słodki węzeł* zawiera wiele elementów autobiograficznych. Rzeczywiście prowadził taki kurs. Przedstawił swoich prawdziwych uczniów oraz opowieści, które napisali. Jeden ze studentów naprawdę zamordował małą dziewczynkę. Ford potraktował to opowiadanie jako egzorcyzm mający uwolnić go od rozczarowania faktem, że nie potrafił przewidzieć tej śmierci i jej zapobiec. „Myślę, że ten tekst traktuje też o tym, jak poczucie odpowiedzialności może przekroczyć zdrowe granice i zmienić się w destrukcyjną próżność albo pychę”, powiedział podczas jednej z naszych rozmów. „Może właśnie taki miałem cel. Wierzyłem, że powinienem być zdolny do rzeczy, których nie mogłem zrobić”.

To poważny temat, ale zachęcam was do przyjrzenia się *Słodkiemu węzłowi* także na bardziej powierzchownym poziomie. Odkryjecie, że wszechświat Forda składa się z opowieści. A ostateczne wyjaśnienie, rozwinięcie wątku „słodkiego węzła”, który jest tutaj główną metaforą, ponownie prowadzi nas zarówno na zewnątrz, jak i do wewnątrz, ku życiu, i ku słowom.

Jednakże, gdybyście chcieli, żebym objaśnił twórczość Forda jego własnymi słowami, nakierowałbym was na inny tekst. Polecilibym wam ostatnie opowiadanie w tym tomie.

Jasny poranek, po raz pierwszy opublikowany w tym zbiorze, to zadziorne opowiadanie, które na pierwszy rzut oka opiera się na autoreferencji. Narrator mógłby być bliźniakiem Forda. Otrzymuje takie same recenzje i komentarze na okładkach, ma za sobą podobną karierę literacką. Na waszym miejscu nie przywiązywałbym do tego zbyt dużej wagi. Ford lubi mistyfikacje i nie ma w zwyczaju tak łatwo się obnażać.

W samym środku *Jasnego poranka* pojawia się chwila objawienia. „Moje zdania”, pisze Ford, który nigdy nie zaciemnia prawdy, gdy nie jest to konieczne, „czasami przypominają arabskie pismo, pełne zawijasów i zapętłone, suficki tekst, który ma za zadanie opisać jedno z imion Boga, żeby

nie trzeba było używać jego prawdziwego miana”.

Otóż to. W samym sercu tego opowiadania kryje się niewytłumaczalna wszechogarniająca dziwność, tak jak we wszystkich dziełach Forda. Nie sprawia ona, że czujemy się wyobcowani, tylko pozwala zrozumieć coś, co niemal daje się przekazać słowami. Bohaterowie tych opowieści stają w obliczu wydarzeń, które mogą choć na chwilę ukazać im ukryte schematy oraz tajemne powiązania wszechświata.

Ale nie wierzcie mi na słowo. Żeby zrozumieć tę nieodzowną dziwność świata Jeffreya Forda, wystarczy zanurzyć się w opowiadania zawarte w tym zbiorze. Sami usłyszcie jego głos. Pozwólcie, żeby was zaczarował. Czytajcie. Cieszcie się. Zachwycajcie.

Zrozumcie.

Michael Swanwick
wrzesień 2001

STWORZENIE

O Stworzeniu dowiedziałem się od pani Grimm w piwnicy jej domu, który stał przy naszej ulicy. Pomieszczenie słabo rozświetlała ozdobiona witrażem lampa umieszczona nad stołem bilardowym. W kącie znajdował się bar, a za nim wisiała reklama świetlna z napisem RHEINGOLD i wizerunkiem beczki, z której złociste piwo nieprzerwanie lało się do wysokiej szklanki, nigdy jej nie przepełniając. Trunek był płynnym światłem, a jaskrawe bąbelki ani na chwilę nie przestawały się unosić.

– Kto cię stworzył? – pytała, zaglądając do książeczki, w której na pastelowych ilustracjach przedstawiono piekielne męki oraz niebiańskie obłoki pełne aniołów.

Pani Grimm miała nos jak wiedźma, złączone brwi oraz skórę lśniąca jak porcelana – wydawało się, że nawet jej zmarszczki mogą popękać. Nigdy się nie uśmiechała, jedynie na chwilę przestawała złowrogo marszczyć czoło, ale co roku w Halloween przygotowywała dla nas kandyzowane jabłka na patyku, a w Boże Narodzenie piankowe figurki trzech królów. Często zastanawiałem się, skąd tyle wie o Bogu, i wyobrażałem sobie, że wieczorami w jej piwnicy ubrani w długie szaty święci z aureolami grają w bilard i popijają piwo.

Kartkowaliśmy własne egzemplarze katechizmu, żeby znaleźć właściwą odpowiedź, ale zawsze uprzedzała nas Amy Lash.

– Bóg mnie stworzył.

Potem Richard Antonelli wstawał i zaczynał skakać wokoło, wydając ustami odgłosy pierdzenia, a pani Grimm kręciła głową i mówiła mu, że Bóg na niego patrzy. Ja nigdy nie skakałem w piwnicy ani nie odzywałem się niepytany, z dwóch powodów, które nie miały nic wspólnego z Bogiem. Po pierwsze, czułem respekt przed „numerem czterdzieści trzy”, jak mój ojciec

mawiał o swoim bucie, a po drugie, byłem zbyt zajęty patrzeniem na reklamę nad barem, czekając, aż piwo wreszcie się wyleje.

Traciłem czujność jedynie wtedy, gdy opowiadała nam o stworzeniu Adama i Ewy. Po tym, jak Bóg uczynił świat, stworzył także ich, ponieważ miał mnóstwo miłości i zbyt mało miejsc, w których mógłby ją złożyć. Ulepił Adama z gliny, po czym tchnął w niego życie, a następnie sprowadził na niego sen, wykradł mu żebro i stworzył kobietę. Nie licząc obrazka przedstawiającego nagą parę skąpaną w płomieniach, kąsaną przez czarne węże i dżganą widłami przez różowego demona z rogami i skrzydłami nietoperza, rysunek ilustrujący opowieść o stworzeniu Adama był moim ulubionym. Brodaty Bóg ubrany w zwiewne szaty pochylał się nad glinianym człowiekiem, tchnąc w niego błękitnoszare życie.

To tchnienie życia było jak potężny jesienny wiatr szalejący w mojej wyobraźni, niosący ze sobą pytania niczym pastelowe liście, które na chwilę zasłaniały mi piękny strumień piwa. Czy pierwszym, czego posmakował Adam, była ziemia? Czy pierwszym, co poczuł, był dotyk bożej brody ocierającej się o jego podbródek? Czy kiedy spał, śniło mu się, że Bóg zabiera mu żebro, i czy ono pękło, gdy odłączało się od ciała? Co myślał o Ewie i o tym, że była jedyną kobietą, którą mógł poślubić? Czy cieszył się, że to nie Amy Lash?

Później spytałem ojca, co sądzi o stworzeniu Adama, a on odpowiedział to samo co zawsze, gdy pytałem go o kwestie dotyczące religii. „To ładna opowieść, ale po śmierci stajemy się żerem dla robaków”. Kiedyś matka namówiła go, żeby zabrał mnie do kościoła, gdy była chora. Ojciec usiadł w pierwszym rzędzie, dokładnie naprzeciwko księdza. Podczas gdy wszyscy klękali, wstawali i śpiewali, on tylko siedział z założonymi rękami i skrzyżowanymi nogami. Kiedy zadźwięczał dzwonek i wszyscy uderzyli się w piersi, roześmiał się na głos.

Niezależnie od tego, czego uczyłem się z katechizmu o Bogu, piekle i Dziesięciu Przykazaniach, nie mogłem lekceważyć ojca. Pracował na dwa etaty, miał potężne mięśnie, a gdy pewnego razu doberman sąsiadów, wielki jak kucyk, wpadł w szal i rzucił się na dziewczynkę, która wyszła na spacer z pudlem, ojciec wybiegł z domu z kijem baseballowym, jedną ręką chwycił dziewczynkę, a drugą zatłukł na śmierć psa, który próbował skoczyć mu do gardła. Nawet nie zgubił przy tym papierosa, którego trzymał w kąciку ust. Odłożył go dopiero, gdy przytulał dziewczynkę, żeby przestała płakać.

„Żer dla robaków”, myślałem, a ta myśl towarzyszyła mi, gdy, niosąc brązową papierową torbę ze sprzętem, przechodziłem przez otwór w siatce prowadzący do lasu za szkolnym boiskiem. To był gęsty las, przez który można było wędrować wiele kilometrów, ani na chwilę nie wyłaniając się spomiędzy drzew i nie widząc boiska. Richard Antonelli lubił tam strzelać z wiatrówki do wiewiórek, a Bobby Lenon i jego banda spotykali się wieczorami, żeby pić piwo przy ognisku. Kiedyś znalazłem tam przemoczonego „Playboya”, a innym razem martwego lisa. Dzieciaki opowiadały, że w strumieniu wijącym się między drzewami jest złoto, a w jednej z głębokich dolin znajduje się miejsce, do którego jelenie udają się, żeby umrzeć. Przez wiele lat powtarzano plotkę, że w koronach drzew żyje małpa, która uciekła z wędrownego cyrku w Brightwaters.

Był środek lata i bzycały ważki, wiewiórki skakały z gałęzi na gałąź, a wystraszone wróble pośpiesznie czmychały. Promienie słońca przenikały przez szpary w zieleni, pozostawiając tu i ówdzie ruchome kałuże światła na poszyciu z sosnowych igieł. Wewnątrz jednej z takich plam światła ćwicyłem „stwarzanie”. Nie miałem gliny, więc użyłem starego pnia jako ciała. Ręce wykonałem z długich, pięciopalczastych gałęzi, które zatknąłem w boki tułowia. Jako nogi posłużyły mi dwie młode brzoźki, dzięki swej elastyczności znakomicie nadające się do biegania i skakania. Ułożyłem je pod kątem przy podstawie pnia.

Duży kawał kory, który odpadł z dębu, stał się głową. Na niej ułożyłem czerwone oczy z grzybków, grzybowe zakrzywione uszy, oraz nos z suchego owocu. Usta wyciąłem scyzorykiem. Zanim przymocowałem na czubku głowy paprociowe włosy, wsunąłem pod korę przedmioty, które, jak uważałem, mogły pomóc w przekazaniu życia – mniszek lekarski pokryty widmowym puchem, pióro ze skrzydła kardynała, przeźroczysty kwarcowy kamyk oraz kompas za dwadzieścia pięć centów. Paprocie tworzyły efektowną fryzurę, a wodorosty o postrzępionych krawędziach układały się w dostojną brodę. Dałem mu broń, by mógł polować: spiczasty patyk, którego długość dokładnie odpowiadała mojemu wzrostowi.

Kiedy skończyłem składać swojego człowieka, wstałem i uważnie mu się przyjrzałem. Dobrze się prezentował. Miałem wrażenie, że jest gotowy, żeby ożyć. Z papierowej torby wyjąłem katechizm. Następnie ukląknęłem przy prawym uchu człowieka i szeptem powtórzyłem wszystkie pytania, które zadawała pani Grimm. Kiedy dotarłem do „Czym jest piekło?”, lewe oko

stoczyło się z twarzy i musiałem je poprawić. Po zadaniu ostatniego pytania szybko obiecałem, że nigdy nie ukradnę mu zebra.

Włożywszy książkę z powrotem do torby, wyjąłem zakręcony umyty słoiczek po jedzeniu dla niemowląt. Kiedyś znajdował się w nim waniliowy budyń, ulubiony smakołyk mojej siostry, ale teraz słoik wypełniał oddech. Poprosiłem ojca, żeby dmuchnął do środka. Nie zadając żadnych pytań i nie podnosząc wzroku znad tabeli z wynikami wyścigów konnych, zaciągnął się papierosem, po czym wdmuchnął do słoika długi błękitnoszary strumień powietrza. Szybko zakręciłem słoiczek i podziękowałem. „Żebyś nie mówił, że nigdy nic ode mnie nie dostałeś”, mruknął ojciec, a ja pobiegłem do swojego pokoju, żeby przyjrzeć się zdobyczy w świetle gołej żarówki. Duch zawirował w pojemniku, po czym powoli stał się niewidzialny.

Przystawiłem słoiczek do ust mojego człowieka, a następnie zdjąłem zakrętkę i ostrożnie wylałem oddech aż do ostatniego atomu.

Nie mogłem go zobaczyć, więc dla pewności długo nie cofałem ręki, pozwalając, by człowiek się nasycił. Gdy zabrałem słoiczek, usłyszałem wiatr szeleszczący liśćmi i poczułem podmuch na karku. Szybko wstałem i odwróciłem się, mając wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Wystraszyłem się. Kolejny podmuch mnie zmroził, ponieważ usłyszałem w nim najcichszy z szeptów. Upuściłem słoik i pobiegłem do domu.

Tej nocy, gdy leżałem w łóżku przy zgaszonym świetle, a matka siedziała obok mnie, głaskała mnie po krótkich włosach i cicho śpiewała „Until the Real Thing Comes Along”, przypomniałem sobie, że zostawiłem swój katechizm w papierowej torebce obok ciała. Od razu udałem, że zasnąłem, chcąc, by matka sobie poszła. Gdyby została, w końcu wyczułaby moją winę przez czubek głowy. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, zacząłem się niespokojnie wiercić, myśląc o moim człowieku, który leżał samotnie w mrocznym lesie. Obiecałem Bogu, że rano tam pójde, zabiorę książkę i zniszczę swój twór. Gdy przed świtem zaśpiewał pierwszy ptak, zasnąłem i przyśniło mi się, że jestem w piwnicy pani Grimm razem ze świętymi. Piękna święta z dużym kolcem róży sterczącym z czoła powiedziała:

- Twój człowiek nazywa się Cavanaugh.
- Hej, to tak samo jak właściciel delikatesów w miasteczku – odrzekłem.
- Sprzedają tam świetny salceson – powiedział święty z owieczką pod pachą.

Kolejny brodaty święty zepchnął z czoła aureolę kijem bilardowym, po

czym nachylił się nade mną.

– Po co Bóg cię stworzył?

Sięgnąłem po katechizm, ale uświadomiłem sobie, że zostawiłem go w lesie.

– Daj spokój, to jedno z najprostszych pytań.

Zerknąłem w stronę baru, chcąc zyskać na czasie, a wtedy piwo przelało się przez krawędź szklanki na reklamie i spłynęło na podłogę.

Następnego dnia mój człowiek, Cavanaugh, zniknął. Nie pozostał po nim nawet najmniejszy ślad. Ani jednego czerwonego piórka lub przeźroczyściego kamyka. Nie wyglądało to tak, jakby ktoś przyszedł i złośliwie go zniszczył. Przeszukałem całą okolicę. W końcu upewniłem się, że powstał, zabrał swoją włócznię i moją papierową torebkę z katechizmem, po czym oddalił się w głąb lasu.

Stojąc w miejscu, w którym dałem mu życie, okiem wyobraźni widziałem, jak kroczy na brzozowych nogach, rozgarniając palcami z gałęzi kolczaste krzewy i nisko wiszące liście, a wiatr przyciska mu do głowy paprociowe włosy. Czerwonymi oczami z grzybków widzi swój pierwszy dzień. Zastanawiałem się, czy bycie żywym przeraża go tak, jak mnie fakt, że go stworzyłem, czy może oddech mojego ojca napełnił go posępną odwagą żeru dla robaków. Tak czy inaczej, już nie mogłem go zniszczyć – „Nie zabijaj”. Czuję się za niego odpowiedzialny, więc ruszyłem na poszukiwania.

Powędrowałem wzdłuż strumienia, podejrzewając, że on postąpił tak samo, i coraz bardziej zagłębiając się w las. Rozmyślałem, co mu powiem, gdy go odnajdę, a z dziury stanowiącej jego usta wydobędzie się jakieś pytanie. Nie byłem pewien, po co go stworzyłem, ale miało to coś wspólnego z wizją śmierci, którą głosił mój ojciec – powolnym gniciem pod ziemią; zimnym snem bez marzeń dłuższym od wszechświata. Minąłem miejsce, w którym znalazłem zdechłego lisa, i tam złapałem trop Cavanaugha – otwory wybite w wilgotnej ziemi przez brzozowe nogi. Zatrzymałem się i rozejrzałem pośród płataniny kolczastych krzewów i drzew, ale nie zauważyłem żadnego ruchu, nie licząc pojedynczego cicho opadającego liścia.

Dotarłem poza świątynię braci Antonelli, w której suszyli wiewiórcze skórki i parzyli sasafrasową herbatę. Nawet okrążyłem staw i minąłem drzewo, z którego piorun zdarł spiralę kory, a potem wkroczyłem na nieznane

terytorium. Jednakże Cavanaugh cały czas pozostawał o krok przede mną, poza zasięgiem wzroku. Jego ślady w kształcie nor węży, powyginane i połamane gałęzie oraz ledwie słyszalny, nieustający szept niesiony wiatrem prowadziły mnie aż do wieczora. Wkrótce las zaczął się powoli wypełniać ciemnością. Wtedy pomyślałem o domu: o matce gotującej kolację i siostrze bawiącej się na kocyku rozłożonym na kuchennej podłodze; o fonografie rozbrzmiewającym piosenkami The Ink Spots. Pobiegłem z powrotem wzdłuż mojej ścieżki i w pewnym momencie usłyszałem głośny okrzyk, nie ptasi, zwierzęcy ani ludzki, ale przypominający odgłos grubego konaru oddzielającego się od wiekowego dębu.

Przez resztę lata starałem się nie myśleć o lesie. Skupiałem się na koszykówce, zabawie w wojnę z dziećmi z sąsiedztwa, bieganiu po wszystkich podwórkach, wyprawach do sklepiku ze słodyczami po komiksy, wieczornych seansach horrorów w Chiller Theatre. Solidnie mi się dostało za zgubienie katechizmu, a całe kieszonkowe z kolejnych czterech miesięcy przeznaczyłem na zakup nowego egzemplarza. Pani Grimm powiedziała, że Bóg wie, że zgubiłem książkę, a kolejną będzie mogła dla mnie zdobyć dopiero za kilka tygodni. Wyobraziłem sobie, jak adresuje list do Nieba. Tymczasem musiałem korzystać z katechizmu razem z Amy Lash. Pochylała się w moją stronę, wskazując palcem każde odczytywane słowo, a kiedy pani Grimm zadawała mi jakieś pytanie, przyłapując mnie na wpatrywaniu się w nieskończone piwo, Amy, nie poruszając ustami, szeptała odpowiedź i tym samym ratowała mi skórę. Niezależnie jednak od tego, co się działo, nie potrafiłem zapomnieć o Cavanaughu. Spodziewałem się, że poczucie odpowiedzialności stopniowo we mnie uschnie, ale ono rozrastało się jak chwast.

Pewnego upalnego popołudnia pod koniec lipca siedziałem w swojej tajnej kryjówce, altance utworzonej z krzewów forsycji w rogu podwórka, i czytałem najnowszy numer komiksu o przygodach Nicka Fury. Zamknąłem oczy tylko na chwilę, żeby dać im odpocząć, a kiedy je otworzyłem, zobaczyłem szorstką drewnianą twarz Cavanaugha. Jego ożywione konary i pień wypuściły liście. Na szyi nosił sznur dzikich borówek, a paprociowe włosy urosły i stały się bardziej zielone. Przysięgam, że to nie było złudzenie. Wiem, że go wtedy zobaczyłem. Podpierał się włócznią jak laską i zrozumiałem, że oczywiście jest wegetarianinem. Jego długie cienkie nogi lekko się wygięły, a grube ciało odchyliło, gdy podniósł ciekawą kędzierzawą

głowę i popatrzył grzybowymi oczami na promień słońca przeciskający się pomiędzy gałęziami. Pyłki kwiatów wirowały w świetle; pręgowce, wiewiórki i jelenie gromadziły się w ciszy; wróble przysiadły na chwilę, żeby dziobać jego włosy. Wszędzie wokół las patrzył z zachwytem, jak jeden z jego przedstawicieli podziwia piękno słońca. Nie jestem pewien, jakie płuca i struny dźwiękowe zrodziły ten dźwięk, ale Cavanaugh jęknął. Kiedyś słyszałem podobny odgłos, gdy patrzyłem na śpiącego ojca dręczonego koszmarami.

Codziennie odwiedzałem to miejsce skryte pod żółtymi kwiatami forsycji, żeby sprawdzić, jak sobie radzi mój człowiek. Wystarczyło posiedzieć chwilę w ciszy, dopóki nie ogarnęła mnie senność, po czym zamknąć oczy, a wtedy mój umysł frunął za róg, mijał szkołę, przelatywał ponad czubkami drzew i zagłębiał się w chłodnych zielonych cieniach lasu. Czasami Cavanaugh stał nieruchomo, jakby oszołomiony życiem, a czasami przemierzał jakiś nieznany zakątek swojego Edenu. Za każdym razem, gdy go widziałem, czułem mieszaninę zachwyty i przerażenia; na przykład, tamtego pięknego wietrznego dnia na początku sierpnia, kiedy zobaczyłem, jak siedzi nad stawem i trzyma odwrócony katechizm, wskazując kolejne słowa palcem z gałązki, a drugą dłońią zakrywając twarz, tak że wyzierało spod niej tylko jedno czerwone oko.

Byłem tam, gdy napotkał kawałek poczerniałej ziemi i rozrzucone puszeki po piwie pozostałe po jednym z wieczornych leśnych spotkań bandy Lenona. Podniósł częściowo zmiażdżoną puszkę i dopił resztkę piwa chlupoczącą na dnie. Kora wokół jego zazwyczaj obojętnych ust w czarodziejski sposób rozszerzyła się do uśmiechu. Kiedy odszukał pół paczki cameli i pudełko zapalek, zrozumiałem, że zapewne podgląda hulanki Lenona, Cho-cho, Mike'a Stone'a i Jake'a Harwooda z bezpiecznej kryjówki między drzewami. Zapalił papierosa, a kłęby dymu wyleciały mu z tyłu głowy. Potem odezwał się głosem przypominającym trzeszczenie przegniłej gałęzi;

– Kurwa.

Najniezwyklesze wydarzyło się, gdy dotarł do dziury w siatce na skraju lasu. Popatrzył na drugą stronę pola i na placu zabaw dostrzegł Amy Lash, która bujała się na huśtawce. Czerwona bawełniana sukienka dziewczyny nadymała się na wietrze, a jasne włosy falowały wokół głowy. Cavanaugh zadrżał, jakby rósł w glebie, którą nawiedziło trzęsienie ziemi, po czym pisnął niczym wróbel. Długo siedział przykucnięty i obserwował Amy przez

swój portal prowadzący do świata zewnętrznego. W końcu zebrał się na odwagę i wyszedł na pole. Gdy tylko wyłonił się z lasu, Amy poczuła jego obecność, podniosła wzrok i zobaczyła, jak się zbliża. Wrzasnęła, zeskoczyła z huśtawki, po czym uciekła z placu zabaw. Cavanaugh, wystraszony jej krzykiem, wycofał się do lasu i nie przestawał biec, dopóki nie dotarł do drzewa rażonego piorunem.

Mój katechizm wreszcie przybył z niebios, lato się skończyło i zaczęła się szkoła, ale ja wciąż każdego dnia odwiedzałem swoją kryjówkę i przez chwilę patrzyłem, jak Cavanaugh wyławia złote monety ze strumienia albo tropi z poziomu ziemi coś, co przemieszczało się w koronach drzew. Akurat zbliżało się Halloween, a ja siedziałem w swojej kryjówce i obluzowywałem sobie zęby, pogryzając jedno z kandyzowanych jabłek pani Grimm, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że moje sekretne miejsce już nie jest tajemnicą. Forsycje dawno zrzuciły liście. Siedząc tam, za przypominającym szkielet ekranem z gałęzi, poczułem ogarniające mnie zimno. „Nadchodzi zima”, powiedziałem, wydmuchując kłęby pary, i zobaczyłem, jak Cavanaugh, pokryty ognistymi czerwonymi liśćmi i ze zbrązowiałymi włosami z paproci, odkrywa świątynię martwych wiewiórek. Delikatnie dotknął futerka truchła rozciągniętego na ścianie. Brzozowe nogi o mało nie pękły, gdy padł na kolana i wydał z siebie jęk, który wwiерcił się we mnie, by już tam pozostać.

Był późny wieczór kilka tygodni później, a ten krzyk wciąż odbijał się echem w mojej głowie, tak że nie mogłem spać. Ponad odgłosami pogrążonego we śnie domu usłyszałem, jak ojciec wraca ze swojej drugiej pracy. Nie wiem dlaczego uznałem, że mogę mu powiedzieć, ale komuś musiałem. Gdybym dłużej ukrywał, co zrobiłem, pewnie musiałbym uciec. Wyślizgnąłem się z łóżka i przekradłem mrocznym korytarzem obok pokoju siostry, słysząc jej oddech. Zastałem ojca przy stole w jadalni, gdzie posilał się zimną kolacją i czytał gazetę przy słabym świetle wpadającym z kuchni. Wystarczyło, że podniósł na mnie wzrok, a zacząłem płakać. Zanim się zorientowałem, objął mnie ramieniem i otoczył znajomym aromatem oleju do maszyn. Liczyłem się z tym, że może mnie wyśmiać albo skrzyczeć, ale od razu wszystko mu opowiedziałem, a ojciec tylko odsunął drugie krzesło od stołu. Usiadłem, ocierając oczy.

- Co możemy zrobić? – spytał.
- Muszę tylko coś mu powiedzieć – odrzekłem.
- W porządku. W sobotę pójdziemy do lasu i spróbujemy go znaleźć. –

Potem poprosił, żebym opisał mu Cavanaugha. – Wygląda na twardego gościa – stwierdził, kiedy skończyłem.

Przeszliśmy do salonu i po ciemku usiedliśmy na kanapie. Ojciec zapalił papierosa i zaczął mi opowiadać o lesie w czasach swojego dzieciństwa.

O tym, jaki był rozległy, o polowaniu na norki, obserwowaniu orłów oraz o tym, jak pewnego razu razem z bratem przez tydzień mieszkali na łonie przyrody. Wreszcie zasnąłem i ocknąłem się tylko na chwilę, gdy niósł mnie do łóżka.

Tydzień dobiegł końca i w piątek wieczorem położyłem się spać, mając nadzieję, że ojciec nie zapomni o swojej obietnicy i zamiast tego nie pójdzie na wyścigi. Ale z samego rana obudził mnie stukaniem w ramię, przerywając sen o Amy Lash.

– Rusz swój leniwy tyłek! – zawołał.

Usmażył jajka na bekonie, jedyną potrawę, którą potrafił przyrządzić, i pozwolił mi się napić kawy. Następnie włożyliśmy płaszcze i wyruszyliśmy. Był drugi tydzień listopada, panował ziąb, a niebo było zachmurzone.

– Rzeško – rzekł ojciec, kiedy skręciliśmy za róg, kierując się w stronę szkoły, i nie odezwał się ponownie, dopóki nie znaleźliśmy się pod drzewami.

Oprowadziłem go po lesie jak przewodnik, pokazując strumyk, zakątek, w którym stworzyłem swojego człowieka, świątynię martwych wiewiórek. „Ciekawe”, kwitował każde z tych miejsc, od czasu do czasu wymieniając nazwę jakiegoś krzewu bądź drzewa. Fale liści niesione zimnym wiatrem krążyły między drzewami i opadały nam na głowy po każdym silniejszym podmuchu. Ojciec był świetnym piechurem, więc przeszliśmy około piętnastu kilometrów, a poranek zmienił się w popołudnie. Sam nigdy nie marzyłem o dotarciu tak daleko. Odkryliśmy wywrócone olbrzymie drzewo ukazujące poskręcane korzenie niczym sploty mózgu, a także prawie hektar niezalesionych piaskowych wzgórz. Przez cały czas zwracałem baczną uwagę na każdy nawet najdelikatniejszy odgłos – trzask gałązki, krakanie wrony – mając nadzieję, że usłyszę szept.

Z czasem niebo pociemniało i zrobiło się jeszcze zimniej.

– Posłuchaj – odezwał się ojciec. – Mam przeczucie, tak samo jak wtedy, kiedy tropiliśmy jelenie. On jest gdzieś niedaleko. Będziemy musieli go przechytrzyć.

Pokiwałem głową.

– Zostanę tutaj i zaczekam – powiedział. – Idź dalej tą ścieżką, ale bądź cicho, na miłość boską. Może, jeśli cię zobaczy, wycofa się, a wtedy ja go złapię.

Nie byłem pewien, czy to sensowny plan, ale wiedziałem, że musimy działać. Robiło się późno.

– Bądź ostrożny – poprosiłem. – Jest duży i ma kij.

Ojciec się uśmiechnął.

– Nie martw się – odparł, po czym podniósł stopę, przypominając mi o czterdziestce trójce.

Rozbawiony, odwróciłem się i ruszyłem ścieżką, ostrożnie stawiając nogi.

– Idź naprzód przez jakieś dziesięć minut, może coś zauważysz! – zawołał, zanim zniknąłem za zakrętem.

Kiedy zostałem sam, straciłem pewność, czy chcę znaleźć swojego człowieka. Z powodu zachmurzonego nieba las sprawiał mroczne i samotne wrażenie. Wyobrażałem sobie, że ojciec i Cavanaugh walczą, i zastanawiałem się, kto by wygrał. Miałem ochotę zawrócić, ale zmusiłem się do pokonania kolejnego zakrętu. Jeszcze tylko kawałek, pomyślałem. On pewnie i tak już się rozpadł, w końcu nadchodzi zima. Po chwili zauważyłem wierzchołki drzew na poziomie wzroku i domyśliłem się, że odnalazłem dolinę, do której jelenie przychodzą umierać.

Ostrożnie zbliżyłem się do krawędzi doliny i spojrzałem w dół stromego piaszczystego zbocza porośniętego korzeniami i kolczastymi krzewami, na drzewa oraz zacienione zarośla. Dolina przypominała okrągły krater, jakby dawno temu spadł tutaj meteoryt. Pomyślałem o skarbnicy poroży i kości, które spoczywały ukryte pośród liści na dnie. Czułem, że niemal rozumiem tajemne życie i wiek lasów. Musiałem to pokazać ojcu, ale zanim zdążyłem odejść, zobaczyłem i usłyszałem, że w dole coś się porusza. Zmrużyłem oczy, żeby przeniknąć wzrokiem ciemność, i dostrzegłem zarys mrocznej postaci na wpół schowanej za pniem wysokiej sosny.

– Cavanaugh?! – zawołałem. – To ty?!

W ciszy słyszałem, jak żółędzie spadają z drzew.

– Jesteś tam? – spytałem.

Usłyszałem odpowiedź, niepokojący dźwięk, który po części był głosem, a po części szumem wiatru. Był bardzo cichy, ale wyraźny.

– Dlaczego?

- Wszystko w porządku?
- Dlaczego? – rozbrzmiało to samo pytanie.

Nie znałem odpowiedzi i pożałowałem, że w dniu jego narodzin zamiast pytań nie przeczytałem mu odpowiedzi z katechizmu. Długo stałem i patrzyłem, aż wokół mnie zaczął padać śnieg.

Ponownie zadał pytanie, tym razem ciszej, a ja byłem na granicy płaczu, zawstydzony tym, co uczyniłem. Nagle powróciło do mnie dziwne wspomnienie niekończącego się piwa w piwnicy pani Grimm. To lepsze niż nic. Przechyliłem się nad krawędzią i, niemal pewien, że kłamię, wrzasnąłem:

- Miałem w sobie zbyt wiele miłości!

Wtedy wychwyciłem ledwie słyszalny szept.

- Dziękuję.

Potem z dołu dobiegł łoskot gałęzi uderzających o siebie i o ziemię, a ja zrozumiałem, że Cavanaugh się rozpadł. Kiedy ponownie wyteżyłem wzrok, już go nie zobaczyłem.

Ojciec siedział na powalonym pniu obok szlaku i palił papierosa.

- Hej – powiedział, kiedy mnie zobaczył. – Znalazłeś coś?

- Nie – odrzekłem. – Wracajmy do domu.

Chyba dostrzegł coś w moich oczach, bo spytał:

- Jesteś pewien?

- Tak.

Śnieg towarzyszył nam podczas drogi powrotnej, a potem padał chyba przez całą zimę.

W zeszłym tygodniu odwiedziłem dawne okolice, jako człowiek żonaty od dwudziestu jeden lat i ojciec dwóch krótko ostrzyżonych chłopców. Las, a nawet szkoła zniknęły, zastąpione przez nowe budynki i ulice, nazywane ku czci miejsc i rzeczy, których się pozbyto – aleja Wronia, ulica Jelenia, bulwar Złotego Potoku. Mój ojciec wciąż mieszka w tym samym domu. Matka zmarła przed kilku laty. Moja młodsza siostra wyszła za mąż, również ma dwóch synów i mieszka na północy stanu. Staruszkowi coś rośnie na nerce i strasznie wychudł, przez co jego niegdyś potężne ręce skurczyły się do grubości gałęzi. Zastałem go przy stole w kuchni przed tabelą z wynikami wyścigów. Starąłem się go przekonać, żeby rzucił pracę, ale tylko pokręcił głową i stwierdził, że by się zanudził.

- Jak długo dasz radę chodzić do sklepu? – spytałem.

- Może do ostatniej chwili – odparł.

– Jak twoje zdrowie?

– Wkrótce stanę się żerem dla robaków – odrzekł ze śmiechem.

– I jak się z tym czujesz?

Wzruszył ramionami.

– To wszystko część gry. Pomyślałem sobie, że kiedy będzie już naprawdę źle, zbuduję trumnę i będę w niej sypiał. Dzięki temu, kiedy umrę, wystarczy przybić wieko i zakopać mnie na podwórzu.

Później, kiedy oglądaliśmy w telewizji mecz Giants, a ja wypłem kilka piw, spytałem go, czy pamięta tamtą wyprawę do lasu.

Zamknął oczy i zapalił papierosa, jakby to wyostrzało mu pamięć.

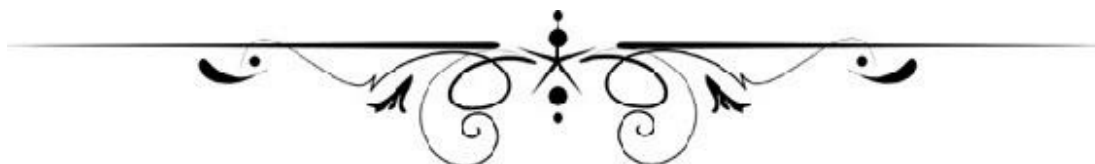
– Tak, chyba pamiętam – odrzekł.

Nigdy wcześniej go o to nie pytałem.

– Czy to ty kryłeś się wtedy między drzewami?

Zaciągnął się papierosem, powoli odwrócił głowę i popatrzył mi prosto w oczy bez cienia uśmiechu.

– Nie mam pojęcia, o czym do cholery mówisz – odparł, po czym wydmuchnął długą błękitnoszarą smugę życia.



Ta opowieść poniekąd traktuje o dorastaniu jako katolik w latach pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych. Moja nauczycielka katechizmu naprawdę nazywała się pani Grimm, czyli „pani Ponura”, co doskonale ją charakteryzuje. Rozdawała nam kandyzowane jabłka, jednocześnie strasząc wiecznym potępieniem w płomieniach. Minęło wiele czasu, zanim natrafiłem na coś tak drastycznego jak wspomniane pastelowe ilustracje. Dopiero kiedy przeczytałem *Drakulę* Brama Stokera, odkryłem obrazy o podobnej sile oddziaływania. Lasy zawsze dawały mi pociechę w zetknięciu z takimi dziwactwami i jako chłopiec często samotnie je przemierzałem. Napisałem to opowiadanie dla swojego ojca, który zarówno w dobrych, jak i trudnych chwilach zawsze pamiętał, by dziękować losowi.

Z GŁĘBI KANIONU

Chociaż wielu z moich młodszych kolegów w „The Gazette” nie uważa za konieczne kierować się zasadą dziennikarskiej obiektywności, ja wciąż wierzę, że moja praca nie polega na kreowaniu wiadomości, lecz na przedstawianiu faktów opinii publicznej. Jednakże w przypadku poniższej historii po raz pierwszy musiałem się opierać pokusie spekulacji.

Kilka lat temu miałem napisać reportaż o zamordowaniu studentki Uniwersytetu Preston. Owszem, był to tragiczny przypadek, ale nie spodziewałem się, że zajmie mi aż tyle czasu. Zaczęło się od zwłok młodej kobiety, pozornie nieskomplikowanej zbrodni spowodowanej nieodwzajemnioną miłością, jednak powoli sprawa rozkwitła jak kwiat o nieskończonej liczbie płatków.

To cholerstwo wciąż się rozrasta, ostatnio bowiem zauważyłem, że jestem śledzony, kiedy wieczorem wychodzę z domu. Ktoś do mnie dzwoni, ale się nie odzywa, a w słuchawce rozbrzmiewa tylko pojedynczy wibrujący dźwięk. Nie pytajcie mnie, skąd wiem, ale jestem pewien, że ma to coś wspólnego ze sprawą Toomsa. Poza tym, wszystko, czego dotychczas się dowiedziałem, mówi mi, że najwyższy czas wyrwać ten złowieszczy kwiat, by usechł, zanim całkiem mu ulegnę. Dlatego jak najobiektywniej przedstawię wszystkie fakty, pozostawiając waszej ocenie, jak bardzo są istotne.

Kanion Toomsa przypomina wielkością odcisk kciuka Boga, znajduje się sto mil na wschód od Gór Skalistych i dwadzieścia pięć mil na północ od historycznej linii Horace/Griffin. Ma strome i zdradzieckie ściany. Nic w nim nie rośnie, nawet chwasty. W południe czerwona skała i piach przypominają wnętrze rozgrzanego pieca, a w falującym powietrzu czasem pojawiają się wizje raju, niemal zbyt kunsztowne, by uznać je za miraż.

Wewnątrz zachodniej ściany, obok południowego wlotu kanionu, mieszczą się radioaktywne siarkowe źródła, które co roku przyciągają słabych, kalekich i śmiertelnie chorych. Chociaż doszło tam do kilku dobrze udokumentowanych niezwykle uzdrowień, od czasu, gdy w 1860 roku Elijah Tooms (wizjoner i rzeźbiarz w padlinie) odkrył lecznicze właściwości źródeł, ich niekorzystne położenie oraz palące słońce uczyniły z nich jedno z najmniej popularnych cudownych miejsc.

Tooms zmarł w 1930 roku w wieku dziewięćdziesięciu lat, wkrótce po tym, jak ukończył trzystumetrową promenadę prowadzącą od starego szlaku dyliżansów do jaskini, przeznaczoną dla pacjentów, którzy nie byli w stanie iść po głębokim czerwonym piasku. Chociaż balustrady popękały i brakuje części desek, promenada nadal istnieje. Po raz pierwszy została naprawiona w 1945 roku, gdy kanion uczyniono częścią federalnego rezerwatu, a następnie w 1968 roku, gdy teren utracił ten status i został zajęty przez pochodzącą z Południowej Kalifornii komunę złożoną z uciekinierów przed poborem, byłych prostytutek i młodych ludzi wyrzuconych z college'u.

Za życia Tooms często zamieszczał reklamy w gazetach na wschodzie i w Kalifornii, zachwalając niezwykle właściwości źródeł i rozgłaszając, że korzystanie z nich jest bezpłatne, jednak w czasie, gdy był ich samozwańczym właścicielem, kanion odwiedziło zaledwie pięć osób. W swoim dzienniku Tooms zapewnia, że każda z nich w pełni odzyskała zdrowie. Sam Elijah również regularnie zażywał kąpieli w źródłach i właśnie temu codziennemu rytuałowi przypisywał swoje niespożyte siły.

Do dzisiaj na straży świecącej żółtozielonej wody w jaskini stoją rzeźby Toomsa wykonane ze szczątków zwierząt, które znalazł martwe w kanionie bądź samodzielnie zastrzelił. Na pomysł ich stworzenia wpadł po spożyciu pewnego czerwonego grzybka, który można znaleźć na krawędzi kanionu po każdym większym deszczu. Tooms właśnie wpatrywał się w wyblakły na słońcu szkielet pancernika, gdy nagle wyobraził sobie, jak zwierzę staje na dwóch łapach. Jednakże zamiast jego małej głowy ujrzał czaszkę kojota balansującą na szczątkowej szyi, a łapy zmieniły się w szpony ptaka, wyschnięte na słońcu niczym paski wołowiny. Stwór powiedział „Zbuduj mnie” głosem kobiety, która złamała Toomsowi serce i posłała go na zachód w poszukiwaniu szczęścia.

Jako że w ostatnich latach wiele przypadków uzdrowień potwierdzono na drodze naukowych badań, religijne środowiska doszły do wniosku, że w tych

dziwacznych wodach musi się kłębić jakaś boża cząstka. W 1970 roku Watykan zatrudnił hawajskich poszukiwaczy pereł, żeby zbadali głębiny leczniczych źródeł w Kanionie Toomsa. Na głębokości kilkuset stóp, w fosforyzującym sercu uzdrawiającej magii, znaleźli na wpół zakopaną w piasku książkę. Gdy wydobyto ją na powierzchnię, specjaliści odkryli, że dzięki właściwościom chemicznym wody nawet atrament zachował się w nienaruszonym stanie. Stało się jasne, że przywrócono światu osobisty dziennik Elijaha Toomsa.

Prawie nikt nie zwrócił uwagi na prasową notkę na temat tego wydarzenia, która składała się zaledwie ze stu pięćdziesięciu słów i została opublikowana na łamach „Horace/Griffin Examiner” 1 stycznia 1971 roku. Donoszono w niej, że Watykan w nietypowym dla siebie geście szczodrości przekazał dziennik J.T. Mortensonowi, słynnemu neofreudowskiemu krytykowi fundamentalistom. „Le Mort”, jak nazywali go ci, którzy czuli przed nim respekt w środowisku akademickim, natychmiast wziął urlop naukowy, żeby móc się skupić na niezwykłym znalezisku.

Podczas tej rocznej przerwy krytyk i jego żona ogłosili separację po dwudziestu latach małżeństwa. Lilian Mortenson wyznała przyjacielom, że to książka stała się źródłem wszystkich ich problemów. Podobno jej mąż wpadł w prawdziwą obsesję, nie tylko na punkcie historii opisanego w dzienniku, ale nawet liter tworzących słowa, atramentu, którym je zapisano, oraz papieru, na którym to zrobiono, zupełnie jakby pod powierzchnią tego przedmiotu krył się jakiś imponujący sekret.

Podczas rozprawy rozwodowej Lilian zeznała, że Mortenson zaczął zagłębiać się w starożytne teksty magiczne i czasami w swoim gabinecie podskakiwał na jednej nodze, recytując coś od końca.

„Kroplą, która przepełniła kielich, był dzień, gdy nakreślił tłuszczem drobiowym duży okrąg na perskim dywanie i siedział w jego środku przez osiem godzin, grając na jakimś niezwykle irytującym niewielkim instrumencie. Wtedy spakowałam się i wyprowadziłam do siostry”.

Na swoją obronę Mortenson zdołał powiedzieć tylko: „Liczy się każda chwila”, po czym stracił na rzecz żony mercedesa i dom.

Kiedy w następnym roku wrócił do pracy na uniwersytecie w Preston, jego koledzy zauważyli, że bardzo się zmienił. Niegdyś Le Mort był smukły jak sztylet i równie śmiertelny dla prac wszystkich, którzy nie zgadzali się z jego teorią sublimacji popędu seksualnego. Teraz miał olbrzymią

nadwagę i stale śmierdział tytoniem.

„Jego oczy przypominały głębokie ciemne doły”, stwierdził kierownik jego wydziału, Joshua Hyde-Summers. „Zawsze przyciskał do piersi teczkę i oglądał się przez ramię. Pewnego wieczoru, długo po zajęciach zastałem go w korytarzu biegnącym pod budynkiem wydziału sztuk pięknych. Leżał na podłodze w jednej z wnęk i wpatrywał się pustym wzrokiem w sufit. Innym razem nerwowo wyznał mi, że ktoś go prześladowuje”.

Pod koniec października tego samego roku, w tej samej wnęce odkryto ciało studentki spoczywające w kałuży krwi. Sekcja zwłok potwierdziła, że dziewczynie poderżnięto gardło ostrym przedmiotem, najprawdopodobniej brzytwą. Studenci widzieli wysoką, szczupłą postać z bardzo dużą głową albo w olbrzymim kapeluszu, która nocą czaiła się w ciemności na terenie kampusu. Przez jakiś czas dochodzenie skupiało się na tym wątku, dopóki współpracownik Mortensona nie dostarczył nowych informacji. Ze względu na miejsce odnalezienia ciała, Hyde-Summers powiadomił policję o dziwnym zachowaniu Mortensona.

„Poszedłem go poszukać razem z funkcjonariuszami. Wiedziałem, że właśnie wybiera się na wieczorne zajęcia. Dogoniliśmy go, gdy wszedł w uliczkę biegnącą za wydziałami chemii i fizyki. Policjanci go zawołali, a on rzucił się do ucieczki. Ruszyli w pogoń, ale go nie znaleźli. Zupełnie jakby zniknął gdzieś między tymi dwoma budynkami”.

Do dzisiaj nikt nie wie na pewno, jaki los spotkał tajemniczego J.T. Mortensona, ale rok po jego zniknięciu, gdy władze uniwersytetu opróżniały jego gabinet, młody naukowiec Ned Dyson znalazł tam kserokopie dziesięciu wpisów z dziennika Toomsa. Nic nikomu nie mówiąc, wyjął je z pudełka z materiałami archiwalnymi i zabrał do swojego gabinetu, a następnie do domu. Tego wieczoru przeczytał je żonie, gdy razem upijali się merlotem.

To pani Dyson wpadła na pomysł, żeby spalić kartki jedną po drugiej nad zlewem. „Zastanów się”, powiedziała, a Ned śmiał się, patrząc, jak słowa Elijaha Toomsa marszczą się, brązowieją i znikają. Następnego ranka obudził się ze straszliwym kacem i przypomniał sobie o popiołach w zlewie. Jęknął, ale żona zaraz go uspokoiła. „Nie martw się, wszystko zapamiętałam”.

W ciągu kolejnych dwóch lat młody naukowiec i jego żona przeprowadzili setki seansów pisma automatycznego. Pani Dyson twierdziła, że gdy wpada w trans, wciela się w nią duch o imieniu Thilliada, który kieruje jej dłonią, dzięki czemu jest w stanie dokładnie przekazać słowa

Elijaha Toomsa. Jako że teksty stanowiące owoc tych sesji często były niemal nieczytelne, profesor Dyson od razu przejmował kartki i przepisywał ich zawartość. Wspólne dzieło podobno stanowiło kompletne i autentyczne odzwierciedlenie treści dziennika.

Mimo że Meg Dyson ostatecznie trafiła do szpitala psychiatrycznego z powodu piromanii oraz odbywania długich rozmów z wronami na swoim podwórku, nieliczni badacze spuścizny Toomsa, którzy mieli okazję zerknąć na dziennik, uznali go za autentyczną replikę pierwotnego dzieła. Tekst ukazywał codzienne życie Toomsa – palący skwar, wspomnienia o nieodwzajemnionej młodzieńczej miłości w mieście, kojoty stojące o zmierzchu wzdłuż wschodniego skraju kanionu, eksperymenty z czerwonymi grzybkami, rzeźby z kości (albo osteomorfy, jak nazywał je Tooms), goście, uzdrowienia.

Po tym, jak jego żona trafiła do szpitala, profesor Dyson, czując, że dziennik jest w jakiś sposób odpowiedzialny za jej chorobę, spalił jedyny istniejący egzemplarz w kuchennym zlewie, po czym wypił dwie duże butelki merlota i zażył całe opakowanie valium. Teraz leży w szpitalu, na stałe podłączony do aparatury podtrzymującej życie, sama skóra i kości, niczym jedna z rzeźb Toomsa. Jego ostatnie słowa wypowiedziane do dyspozytora pogotowia brzmiały: „Zrobiłem coś niewyobrażalnego”.

Wiele tajemnic otacza Mortensona i dziennik Toomsa. Próbując je zgłębić, pewnego ranka odwiedziłem Meg Dyson w państwowym szpitalu psychiatrycznym w Barkersville. Pani Dyson znajdowała się pod wpływem środków uspokajających, ale zachowała jasność umysłu. Siedziała na werandzie, przypięta pasami do krzesła. Przedstawiłem się, po czym spytałem, czy mogłaby rzucić trochę światła na historię dziennika. W ciągu kolejnych dwóch godzin zapoznała mnie z jednym z etapów życia Toomsa, który poznała dzięki jego zapiskom. Chwilami zamykała oczy i cytowała tekst, który pomogła odtworzyć, a za chwilę niezrozumiale bełkotała. Mogę teraz przedstawić wam w fabularyzowanej formie to, co od niej usłyszałem. Prawda absolutna musi pozostać odległym, falującym mirażem, wizją w upalnym kanionie.

Pewnego oszałamiająco zimnego wieczoru w sierpniu 1885 roku

Thilliada Bass, wtedy siedemnastoletnia i od dwóch lat targana przyływami pożądania, które ówczesni specjaliści uznali za objaw silnej hysterii, a parafialny ksiądz przypisał opętaniu, wysiadła z dyliżansu na rozświetlone gwiazdami pustkowie u południowego wlotu kanionu. Prowadziły ją światła w oknach sypialni na piętrze domu Elijaha. Minęła olbrzymie kaktusy stojące na straży, pokryte kolcami oraz toczącymi się kulami, i znalazła dom, który Tooms wybudował własnymi rękami. Mężczyzna czekał na nią na werandzie, z zapaloną świeczką w dłoni.

Oto, jak Tooms opisał w dzienniku swoje pierwsze wrażenie ze spotkania z dziewczyną:

Doznałem szoku, widząc pannę Thilliadę bez chustki. Nigdy wcześniej nie spotkałem łysej kobiety. Powiedziała, że włosy wypadły jej na skutek leczenia, któremu poddali ją terapeuci w Nowym Jorku. Mimo wszystko jest dosyć atrakcyjną i delikatną istotą. Podoba mi się, że otwarcie wyraża myśli i nie boi się rozmowy.

Przez pierwszy tydzień pobytu panny Bass niebo było błękitne i panował przyjemny chłód. Tooms każdego ranka prowadził ją do źródeł, gdzie poddawała się terapii. Czasami nie dawała rady iść po piasku, więc musiał ją nieść przez część drogi. „Wydawała się lekka jak duża lalka albo bagaż wypchany watą”, pisał. Kiedy stawali przed wejściem do jaskini, ostrożnie stawiał ją na nogach. Potem zagłębiał się w niezbadanych korytarzach i komnatach, a gdy tylko znikał jej z oczu, Thilliada rozbierała się i zanurzała w źródle.

Podczas gdy czekała, aż lecznicza woda obmyje chore miejsca, Elijah krył się głęboko pod ziemią, siedząc ze skrzyżowanymi nogami w komnacie dawno temu ozdobionej malowidłami przez jaskiniowców, których kości leżały w pyle przed tysiącami lat obsypanym płatkami kwiatów. Tooms opisuje w swoim dzienniku to miejsce jako grób starożytnego człowieka. Malowidła na ścianach przedstawiały polowanie na jakieś wyprostowane rogate stworzenie, które pozostawiło za sobą wielu zabitych. Na tej samej ścianie wyrzeźbiono słabo zarysowaną spiralę, która obejmowała cały obraz, a jej środek stanowiło oko zwierzęcia.

Drugiego dnia pobytu w kanionie panna Bass powiedziała, że jej matka zapłaciła lekarzom, by spreparowali jej chorobę, dzięki czemu mogła ją

odesłać z domu. Wyglądało na to, że matka nawiązała romans z pewnym bardzo bogatym dżentelmenem i nie chciała, by Thilliada śledziła każdy jej krok. „Źródło pomoże także na to”, zapewnił Tooms. Wieczorami gotowała mu wykwintne posiłki z miejscowych roślin i zwierząt: gulasz z mięsa oposa z ziemniakami, wronę w cytrynowej glazurze. Tooms zapisał niektóre przepisy w swoim dzienniku.

Thilliada przebywała u Toomsa od ponad miesiąca, gdy „drżącą ręką” napisał, że „zrobił coś niewyobrażalnego i już nie ma odwrotu”. Na trzech gęsto zapisanych stronach wyznał, że pewnego poniedziałkowego poranka podejrział Thilliadę, gdy naga wślizgiwała się do wody. „Zobaczyłem wszystko, po czym pobiegłem w głąb jaskini. W napadzie wyuzdania poczułem potrzebę zabrania kości starożytnego człowieka i ich przearanzowania”.

W zaciszu małej chatki, która stała sto metrów za domem, Tooms zgromadził szkielet jaskiniowca, uzupełniając go o czaszkę krowy i piszczele osła. Codziennie przez wiele godzin lakierował kości, wiercił w nich otwory i łączył je, a Thilliada koniecznie chciała się dowiedzieć, co buduje. „Dopiero kiedy skończę”, odpowiadał Tooms. Wyznał w swoim dzienniku, że zaczął spuszczać wzrok w jej towarzystwie. Pewnego wieczoru, po kolacji, gdy zabierał talerz do umycia, pod spodem znalazł liścik. „Widziałam, że patrzysz”. Wsunął go do kieszeni i wyszedł z kuchni.

Tamtego dnia nie wspomniała o liściku ani nie dała po sobie poznać, że łączy ich jakaś tajemnica, tylko długo opowiadała o najnowszych teoriach dotyczących zaginionego kontynentu zamieszkanego przez egzotyczny latający lud. Kraina ta miała się znajdować w środku ziemi, a wchodziło się do niej na biegunie północnym. „Jakoś sobie tego nie wyobrażam”, przyznał Tooms, a ona wyśmiała jego wąskie horyzonty. Każdego dnia coraz bardziej niecierpliwie wyczekiwała na okazję obejrzenia jego nowej rzeźby, a on nie krył, że to jeszcze bardziej rozpałało w nim pragnienie doprowadzenia pracy do końca.

Potem zaczęły się ulewy. Tooms i Thilliada nie wychodzili z domu przez dwa dni, bojąc się powodzi i błotnych lawin. Ona czytała książkę o słynnych rozbitkach, a on siedział przy kominku, grając na drumli.

Drugiej nocy, gdy błyskawice i gromy rozdzierały kanion, po raz pierwszy zauważył, że na głowie Thilliady pojawił się ciemny meszek. Następnego ranka deszcz ustał, a wraz z nim w tajemniczych okolicznościach

zniknęła drumla.

Chociaż następnego dnia Tooms miał ochotę wrócić do pracy nad stertą kości, to jednak rankiem wybrał się na poszukiwanie grzybów na krawędzi kanionu. Wyprawa miała mu zająć ćwierć dnia, ale przed wyruszeniem w drogę odprowadził Thilliadę do źródła. „Im większy deszcz, tym wspanialsze zbiory”, napisał. Wiedział, że musi zjeść halucynogen na miejscu, w przeciwnym razie ten straci swoje właściwości, dlatego długo i zapamiętale szukał najbardziej mięsistego okazu.

W południe znalazł odpowiedni grzyb i zjadł go, opierając się plecami o jeden z głazów. „Jego miąższ jest miękki i słodki jak ciągutka”, napisał o grzybie. Kiedy skończył, wypił połowę zawartości manierki, a już po chwili niebo pokryły jaskrawe barwy. Wrona siedząca po drugiej stronie kanionu zawołała do niego, przekazując mu coś o kościach starożytnego człowieka. Potem, trzy metry za krawędzią, w powietrzu zmaterializowała się rogata postać. „Wyłoniła się z obłoku, grając na mojej drumli. Reszta była niewyraźna, ale pamiętam, że stwór szeptał mi do ucha, a jego głos brzmiał jak szum wiatru w kanionie. Przytaknąłem”. W tym miejscu kończyła się relacja.

Tooms ponownie sięgnął po pióro trzy dni później, żeby napisać o popołudniu, gdy pokazał rzeźbę Thilliadzie.

Stanęliśmy za szopą pod zachmurzonym niebem. Było wyjątkowo zimno jak na tę porę dnia w kanionie. Panna Thilliada miała na sobie luźną sukienkę z kolorowym wzorem w stokrotki, a jej zielone oczy błyszczały z podniecenia. Moje dzieło stało przed nami owinięte starym prześcieradłem. „Nazywam go Ogatai, gdyż takie imię wykrzyczał do mnie sęp, gdy wędrowałem wzdłuż krawędzi”, powiedziałem, a ona klasnęła w dłonie jak dziecko.

Rzeźba, o której pisał Tooms, nadal istnieje. Stoi obok starej promenady dokładnie w połowie drogi do źródeł. Czaszka krowy jest lekko odchyłona do tyłu, jakby obserwowała ruch obłoków, a lewa ręka zwrócona dłonią do góry domaga się zapłaty. Robotnicy, którzy w 1945 roku wymienili część belek i desek, przyznali, że diaboliczny uśmiech posągu przez wiele lat nie dawał im spokoju. Niektórzy członkowie komuny, która przybyła do kanionu w 1968 roku, wspominali, że rzeźbę nazywano „Złodziejem”, ponieważ czasami

rankiem znajdowali na niej swoją biżuterię, a w prawej kościstej dłoni tkwiła brzytwa, której mężczyźni używali do golenia.

Thilliada była pod tak dużym wrażeniem, że zarzuciła Elijahowi ręce na szyję i go ucałowała. „Kiedy mnie dotknęła, usłyszałem, jak kanion stęka, a jaszczurki wyskakują z wiadra z wodą stojącego obok studni”. Zaprowadziła go z powrotem do domu, gdzie, według słów Toomsa: „Nastąpiła gorączkowa schadzka na podłodze w kuchni. Później w salonie pokazała mi coś nowego”. Wreszcie zasnęli, a Toomsa nawiedził koszmar, w którym Ogatai pełził przez dom pogrążony w mroku.

Był środek nocy i Thilliada wciąż smacznie spała, gdy Tooms nagle się obudził. „Księżyc świecił prosto w otwarte okno. Było tak zimno, że pojawił się szron”. Zszedł na dół i zdjął strzelbę znad kominka. Najciszej jak potrafił, wymknął się frontowymi drzwiami, po czym ruszył do kanionu.

Drzałem i, chociaż było zimno, pot ściekał mi do oczu i spływał po plecach. Moje serce było zmrożone.

Spotkałem go dokładnie tam, gdzie powiedziano mi, że będzie. Stał na dnie wyschniętego strumienia, trzydzieści metrów na południe od Grubej Skąły. Trzymał jakiś rodzaj skórzanej torby i miał na sobie brązowy garnitur, odrażająco lśniący w blasku księżyca. To był potężny mężczyzna, który sprawiał nieprzyjemne pierwsze wrażenie.

Widząc Toomsa, mężczyzna zawołał:

– Gdzie jesteście?!

– W kanionie – odrzekł Tooms.

– Tyle wiem – wyrzucił z siebie zdenerwowany mężczyzna. – To wszystko ma jakiś związek z punktem, w którym spotykają się Przeznaczenie i Pożądanie.

– Niech pan nie gada bzdur – odparł Tooms, po czym uniósł strzelbę.

Zawahałem się, patrząc, jak zasłania głowę torbą. Zawołał swoją matkę. Potem usłyszałem pojedynczą nutę, brzęknięcie drumli, i posłałem mu pocisk prosto w serce.

Nieznajomy zginął na miejscu. Tooms podszedł, żeby obejrzyć ciało, ale...

Zanim zdążyłem się pochylić i przyjrzeć ranie, Ogatai zjawił się w gwiaździstym wirze i zarzucił sobie trupa na ramię. Zabrałem skórzaną torbę i razem ruszyliśmy w stronę źródeł. Słyszałem potworne skrzypienie i oddech osteomorfa.

Tooms i jego dziwaczny towarzysz zatopili w źródle ubranie nieboszczyka, jego torbę oraz książkę, która się w niej znajdowała. Na powierzchnię wypłynęły potężne bąble, zupełnie jakby woda beknęła. Potem powędrowali w głąb jaskiń, do komory, w której leżały kości starożytnego człowieka. Ostrożnie złożyli ciało na ziemi i przykryli je skórzastymi płatkami prehistorii.

Stojąc na pustynnym piasku, patrzyłem, jak Ogatai tańczy w świetle księżyca. Gdy nadszedł ranek, obudziłem się samotny w łóżku.

Tydzień później Thilliada Bass opuściła kanion, wyjeżdżając wieczornym dyliżansem. Tooms nie zapisał, co czuł, po jej odejściu. Wspomniał jedynie: „Zostawiła mi swoją książkę o rozbitkach, a ja zaczytałem ją jak Biblię”. Dwa miesiące później wysłała mu list, w którym donosiła, że matka zmusiła ją do małżeństwa z młodym bankierem nazwiskiem Reginald Mortenson i że jeszcze przed końcem roku spodziewa się dziecka.

Tylko tyle udało mi się wydobyć z pani Dyson, zanim ponownie zaczęła bełkotać bez ładu i składu. Uznałem, że wystarczająco wymęczyłem biedaczkę jak na jeden dzień, więc zadzwoniłem po pielęgniarkę, żeby odprowadziła ją do pokoju. Kiedy pojawił się młodzieniec z wózkiem, pani Dyson nagle odzyskała jasność umysłu.

– Po co chce się pan tego wszystkiego dowiedzieć? – spytała. Odpowiedziałem, że piszę artykuł do gazety.

Roześmiała się.

– Jeśli wie pan, co dla pana dobre, spali go pan zaraz po napisaniu. Niech mu pan nie pozwoli się rozrosnąć.

Zapewniłem ją, że wezmę jej propozycję pod uwagę.

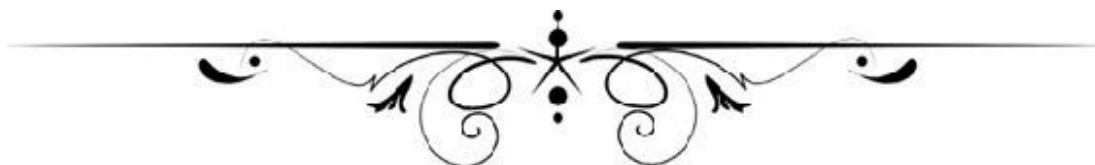
– Oczywiście, że pan tego nie zrobi – odparła, a pielęgniarz odwiózł ją na wózku.

Istnieje jeszcze jedna wskazówka związana z tą historią, która może pomóc wam ją zrozumieć. Pod koniec życia, po przybiciu ostatniej deski na promenadzie, Tooms zaprzestał pisanie dziennika, ponieważ, jak poinformował Thilliadę (wtedy już wdowę po panu Mortensonie) w liście, książka została skradziona. Staruszka najwyraźniej zachowała tę wiadomość między stronami *Przygód Artura Gordona Pyma* autorstwa Edgara Allana Poeego. Kilka lat temu powieść wraz z listem odkryto w księgozbiorniku jej wnuka, J.T. Mortensona, gdy jego była żona sprzedała całą kolekcję uniwersytetowi w Preston, uzyskując za nią okrągłą sumkę. Oto dokładny zapis ostatnich pozostałych słów Toomsa:

Droga Thilliado!

Myślę o Tobie każdego dnia. Mimo że dawno temu postanowiłem nie wtrącać się w Twoje życie, teraz, gdy zbliża się śmierć, sytuacja uległa zmianie. Pewnej nocy, gdy śniłem o nas, obudził mnie odgłos czegoś poruszającego się w moim domu. Początkowo, ze względu na wspomniany sen, miałem nadzieję, że to Ty do mnie wróciłaś. Potem, gdy w pełni się rozbudziłem, uznałem, że to wiatr wiejący z głębi kanionu. Jednakże, kiedy dokładniej nadstawiłem ucha, usłyszałem charakterystyczne skrzypienie, jakby nieprzerwanie obracającego się olbrzymiego koła zbudowanego z kości, oraz zmęczone sapanie istoty uwięzionej w czasie. Rano odkryłem, że mój dziennik zniknął, a na jego miejscu leżała moja stara drumla. W czasach, gdy Twoje młodzieńcze piękno zaszczyciło wody źródła, oddałem wszystko, by móc Cię kochać chociaż przez kilka krótkich godzin. Teraz już wiem, że to, na co wtedy przystałem, nigdy nie przestanie mnie prześladować. Dlatego przesyłam Ci te słowa z głębi wirującego kanionu i błagam, abyś ocaliła je przed płomieniami.

Elijah



Oto opowieść, która pożera sama siebie. Historia starożytnej klątwy, która rośnie w siłę na przestrzeni lat. Zawsze chciałem tworzyć osteomorfy, ale tutaj, na przedmieściu South Jersey, szkielety są nieliczne i zazwyczaj pozostają schowane w szafach. To moje jedyne opowiadanie o Dzikim Zachodzie, dotychczas niepublikowane.

Żeby uchronić się przed działaniem klątwy, po przeczytaniu powyższego tekstu należy nakreślić drobiowym tłuszczem okrąg na najlepszym dywanie, stanąć w środku na jednej nodze i zacząć powtarzać pierwsze słowo, które przyjdzie nam do głowy, dopóki nasz współmałżonek, druga połówka, dziecko albo bliski przyjaciel nie zadzwoni po psychiatrę.

ASYSTENTKA PISARZA FANTASY

Jak według was powinien wyglądać pisarz fantasy? Oczyma wyobraźni widzicie mężczyznę z białą brodą Merlina i długimi smukłymi palcami, które iskrzą magią w zetknięciu z klawiaturą, albo pulchną kobietę z obfitym biustem i włosami tak długimi, że pokrywają cały pokój, oplatając wszystko jak macki zaklęcia więdźmy.

Zamiast tego wyobraźcie sobie Ashmoleana, mojego pisarza fantasy, u którego pracowałam ponad rok. Jeśli nawet kiedyś posiadał jakąś magiczną moc, to kryła się ona głęboko za jego oczami, gdyż jego wygląd kojarzył się raczej z innymi gatunkami literackimi. Niczym jedno ze stworzeń doktora Moreau, przypominał skutek eksperymentu, który wymknął się spod kontroli – olbrzymiego leniwca, którego DNA pocięto, torturowano razem z kodem genetycznym człowieka, a następnie połączono za pomocą taśmy klejącej i zszywaczy. Miał potężny brzuch, krótkie, włochate ręce, a jego tył zrekompensował sobie brak przeciwwagi w postaci ogona imponującą szerokością. Głowa była jak mięsna dynia z wyciętym grymasem. Cienie okalały puste okna oczu, a na czaszce było równie mało włosów co gontów na dachu domu Usherów. Nawet jego osobowość stanowiła zagadkę, która mogłaby skłonić Holmesa do porzucenia ukochanej kokainy na rzecz fajeczki z crackiem. Jedyne, co było „fantastyczne”, następowało, gdy siadał przy komputerze. Wtedy zaczynał tłuc w klawisze, jakby wbijał gwoździe w drewniany krzyż, wpatrując się w ekran wzrokiem złej czarownicy, pytającej: „Kto jest najpiękniejszy w świecie?”.

Trafiłam do Ashmoleana za sprawą ogłoszenia w lokalnej gazecie. „Poszukiwana asystentka biurowa niezainteresowana literaturą i pozbawiona pomysłów”. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej powiedział mi, że potrzebuje kogoś, kto nie będzie myślał, tylko sprawdzał źródła. Nie spełniałam żadnego

z tych kryteriów, ale miałam siedemnaście lat i zaledwie średnie wykształcenie, a ta praca wydawała mi się bez porównania ciekawsza od sprzedawania hamburgerów, więc skłamałam i udawałam jak najmniej bystrą. Ashmolean na chwilę przestał pisać, co robił podczas całej naszej rozmowy, po czym zmierzył mnie wzrokiem.

– Witaj w Kreegenvale – powiedział.

Wbrew opisowi w ogłoszeniu lubiłam czytać i myśleć. Już w pierwszych klasach, gdy inne dzieci wychodziły na podwórko z piłkami i kijami do baseballa albo hokeja na trawie, ja zabierałam książkę i siadałam pod dębem na drugim krańcu boiska, gdzie odgłosy pobliskiego lasu zagłuszały zgiełk rywalizacji, w którą społeczeństwo rozpaczliwie próbowało mnie wciągnąć. Podejrzewam, że w szkole średniej mogłabym cieszyć się powodzeniem, gdyż niektórym chłopcom podobały się moje długie włosy i szczupła figura, ale jedyne uniesienia, które mnie interesowały, znajdowałam w powieściach Cervantesa i Dickensa. Czasami chodziłam na randki, ale fabuły spotkań w kręgielniach i na tylnych siedzeniach samochodów zawsze wydawały mi się nieeleganckie, a zakończenie można było przewidzieć już od pierwszej strony.

Być może moje życie nie mogło potoczyć się inaczej, skoro wychowałam się jako jedyne dziecko w domu, w którym miarą sukcesu była większościowa opinia zewnętrznego świata. Moich rodziców przez całe życie motywowano do osiągnięcia sukcesów w szkole, pracy oraz życiu osobistym. Ojciec, szanowany prawnik kontraktowy, nigdy o niczym nie dyskutował, a kiedy do mnie mówił, zawsze zamykał oczy, pociągał się za lewe ucho i przedstawiał jakąś uświęconą tradycją strategię obliczoną na przewycięzenie problemu, z którym do niego przychodziłam. Z kolei matka, mimo że była zapracowaną księgową, zawsze twierdziła, że chce zostać pisarką. Jej ulubionym autorem nie mógł być nikt inny jak Nabokov. Początkowo czytałam, żeby sprawić im przyjemność, ale potem okazało się, że nie potrafię przestać.

Czytywałam dzieła wybitnych i prawie wybitnych pisarzy, stylistów i strukturalistów, a także Ashmoleana. Jego książki wypełniały półki stojące wzdłuż ścian gabinetu. Pisał opowiadania, nowele, powieści, a od czasu do czasu nawet wiersze. Każde słowo, które narodziło się z elektronów na ekranie jego komputera, służyło rozwojowi kariery Glandara, Władcy Miecza z Kreegenvale. Na tych tysiącach stron znalazło się więcej mieczy niż

pomieściłoby się na stadionie.

Ten szorstki osiłek o muskułach jak góry, ścięgnach jak łańcuchy i duchu niepokornym jak stado dzikich rumaków zabijał smoki, wiedźmy, elfy, olbrzymów, gadające małpy oraz mnóstwo nieudolnych, jednowymiarowych wojowników, których jedynym celem istnienia było paść pod jego ostrzem niczym letnie zboże. W przerwach między potyczkami Glandar chędożył, a czasami najpierw chędożył, a potem wymachiwał mieczem. Jego wrogowie zawsze mieli przewagę liczebną, lecz nigdy go nie pokonali. Nikt w całej krainie nie potrafił pić ani zaspokajać uwodzicielskich Syren z Gwaten Tarn tak dobrze jak Glandar i nikt inny nie nudził mnie aż do granic narkolepsji.

W porównaniu z literaturą, którą zazwyczaj czytywałam, dzieła Ashmoleana sprawiały wrażenie nieistotnej i schematycznej tandety. Cokolwiek by mówić o Glandarze, jego wymachiwanie mieczem sprawiało mnóstwo radości czytelnikom. Mój pisarz był bogatszy niż król piratów z Ravdish. Po czwartej powieści mógłby dać sobie spokój i żyć w luksusie do końca swoich dni dzięki pieniądзом, które zarobił na wczesnych przygodach Glandara. Jednakże Ashmolean kontynuował swoje dzieło, mimo że – jak dowiedziałam się z pewnego niezwykle przenikliwego artykułu – już dawno opuściła go żona, a dzieci nigdy nie wpadały z wizytą. Dom pisarza sypał mu się na głowę, lecz on pracował niestrudzenie, tłukąc w klawisze z pośpiechem i determinacją, jakby kogoś reanimował. W Kreegenvale nigdy nie działo się nic nowego. Wcześniej czy później musiało dojść do walki, którą Glandar kończył jakąś maksymą wojownika. Najbardziej przypadły mi do gustu słowa: „Trzeba stale podsycać chęć do bitwy”.

Krytycy uwielbiali Glandara. „Dziękujemy Bogu za Ashmoleana”, napisał jeden z nich. Recenzując *Duchołapa z Kreegenvale*, słynny krytyk Hutton Myers stwierdził: „Ashmolean rozmywa granicę między literaturą głównonurtową i gatunkową za pomocą efektownego pisarstwa, które pozwala czytelnikowi zanurzyć się w świecie naznaczonym walką Dobra ze Złem”. Inni pisarze zamieszczali entuzjastyczne komentarze na okładkach jego książek, prześcigając się w pochwałach. O ile dobrze pamiętam, to P.N. Smenth napisał: „Kocham Glandara bardziej niż własną matkę”.

Moje zadanie polegało na pomaganiu Ashmoleanowi w unikaniu niekonsekwencji podczas opisywania fantastycznego świata. Nic nie wyprowadzało go z równowagi bardziej niż zadawane podczas spotkań z czytelnikami pytania w rodzaju: „Jak to możliwe, że Stribble Flap Lubieźny

zapłodnił złośliwą Wiedźmę z Bagien Deffleton w *Glandar błaga o śmierć*, skoro Glandar odciął temu opryskliwemu krasnoludowi członka w *Nieświętej Bitwie o Świętości*".

Ashmolean nigdy nie odwracał się od komputera, tylko wykrzykiwał do mnie polecenia przez ramię. „Mary, sprawdź, czy koń bez grzywy kiedykolwiek był w Krainie Mgieł”, wołał, a ja wstawałam ze składanego krzeselka, na którym siedziałam z książką w dłoni, zapoznając się z dawnymi przygodami, po czym przetrząsałam półki w poszukiwaniu odpowiednich tomów, w których mogła się znajdować ta informacja. Koń bez grzywy odwiedził Krainę Mgieł dwukrotnie – po raz pierwszy, gdy towarzyszył przygłupiemu kuzynowi Glandara, Blandarowi, a później wspólnie z kawalerią słynnego wojowniczego szkieletu, Kościanego Oka.

Początkowo był to uciążliwy proces, musiałam bowiem poznać świat Kreegenvale, tak jak nowy taksówkarz zapoznaje się z miastem za granicą. Jednakże po pewnym czasie, dzięki zabieraniu książek do domu i ślęczeniu nad nimi nocami, a także tempa, z jakim potrafiłam pochłaniać tekst, jako osoba dobrze odcytana, udało mi się odwiedzić niemal wszystkie zakamarki tej mitycznej krainy i zapewne wiedziałam lepiej niż Ashmolean, gdzie można dostać najsmakowitszą pieczoną goleń żółtego smoka w królestwie albo ile kosztuje eliksir zmniejszający.

Jedyną tajemnicą, pomimo upływu czasu, pozostawał dla mnie sam Ashmolean. Zawsze opryskliwe wydawał mi polecenia i nigdy nie dziękował, nawet za trudne do odszukania informacje. Kiedy wstawał ze swojego tronu przed komputerem, żeby udać się do ubikacji (pił jedną kawę za drugą), nawet nie zaszczycił mnie spojrzeniem. W dniu wypłaty, w drugi i czwarty poniedziałek każdego miesiąca, pieniądze czekały na mnie w kopercie na siedzeniu składanego krzeselka w głębi gabinetu. Była to nędzna suma, ale kiedy próbowałam wspominać o podwyżce, wołał: „Milczeć, los Kreegenvale wisi na włosku!”. Nierzeczywista natura mojej pracy sprawiała, że wciąż wracałam i poświęcałam jej tak wiele czasu, od poniedziałku do soboty włącznie.

Kiedy wychodziłam po południu, często zastanawiałam się, co Ashmolean robi, gdy nie pisze. Nie miał telewizora i nie dzwonił do niego nikt poza jego agentem. Przez większość czasu ukrywał się przed fanami, nie licząc oficjalnych spotkań z czytelnikami, ale słyszałam, że nawet wtedy nie podpisywał książek i z nikim nie rozmawiał po zejściu ze sceny.

Było dla mnie zagadką, kiedy robi zakupy, pranie albo zajmuje się którąkolwiek z innych przyziemnych czynności, które dla nas wszystkich są oczywistością. Wydawało się, że nie jest w pełni człowiekiem, stanowi jedynie instrument, za którego pomocą Glandar może powiadomić świat o swoich poczynaniach. Jedynym, co dowodziło, że jest żywą istotą, był fakt, że puszczał wiatry. Po każdej z tych długich, miękkich eksplozji, które sprawiały, że ponownie zaczynałam rozważać zalety sprzedawania hamburgerów, na chwilę przerywał pisanie i mruczał pod nosem słynny bojowy okrzyk Glandara: „Śmierć niewiernym”.

W tamtym czasie trudno było o osoby mniejszej wiary niż moi rodzice. Zastanawiali się, dlaczego pomimo znakomitych stopni nie poszłam do college’u. „A masz chłopaka?”, wciąż pytała matka. „Już najwyższy czas”, powtarzała. Ojciec upierał się, że marnuję życie i potrzebuję prawdziwej pracy, takiej ze świadczeniami socjalnymi. Mogłam im tylko powiedzieć, co czuję. Nie byłam gotowa na to wszystko, o czym mówili, chociaż miałam pewność, że kiedyś taki dzień nadejdzie. Praca dla pisarza fantasy dawała mi namiastkę tamtego uczucia, którego doświadczałam, gdy siedziałam samotnie na skraju boiska z dala od zgiełku, a zarazem pozwalała mi udawać, że robię coś użytecznego.

Pewnego dnia, półtora roku po rozpoczęciu przeze mnie pracy u Ashmoleana, gdy pisarz bębnił w klawisze, tworząc swoje najnowsze dzieło, *Glandar, Zabójca Bezprawia*, a ja siedziałam na swoim rozkładanym krześle, przeglądając nowelę *Fontanna Marzeń z Kreegenvale*, która ukazała się w marcu 1994 roku na łamach „Zadziwiających Krain Iluzji”, nagle stukanie klawiszy ustało. Ta niespodziewana cisza zwróciła moją uwagę skuteczniej, niż gdyby Ashmolean wyjął z szuflady rewolwer i strzelił w sufit. Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że Ashmolean zakrywa dłońmi twarz.

– Mój Boże – wyszeptał.

– Co się stało? – spytałam.

Obrócił się razem z krzesłem, wciąż nie opuszczając maski utworzonej z palców.

– Oślepiłem – odrzekł.

Z przyzwyczajenia podeszłam do półek z książkami, początkowo myśląc, że znajdę tam rozwiązanie problemu. Dopiero po chwili dotarła do mnie waga jego słów i poczułam ogarniającą mnie panikę.

– Mam wezwać karetkę? – spytałam, zbliżając się o krok.

– Nie, nie – odparł, odsuwając dłonie od twarzy. – Oślepiłem na Kreegenvale. Nie widzę, co teraz robi Glandar. Cały świat zniknął.

Po raz pierwszy popatrzył mi prosto w oczy, a ja wyczułam, jak bardzo się boi. W tej samej chwili przypomniałam sobie, że gdzieś wyczytałam, iż jego prawdziwe nazwisko to oczywiście nie Ashmolean, tylko Leonard Finch.

– Może powinien pan odpocząć – zaproponowałam.

Pokiwał głową i zgarbił się na krześle; przypominał dziecko, które zabłądziło w centrum handlowym.

– Wracaj do domu – odpowiedział.

– Przyjdę jutro – obiecałam.

Machnął rękami, jakby moje słowa pogarszały jego stan. Chciałam go spytać, czy zapłaci mi za resztę dnia, ale nie miałam odwagi zawracać mu głowy.

Pokonując cztery przecznice dzielące mnie od domu, miałam metaforyczne wizje Ashmoleana jako opuszczonej kopalni, opróżnionej beczki po piwie, automatu z bredniami pominiętego przez dostawcę. Drażył głębiny banalnego pisarstwa i zdołał dotrzeć do mitycznego dna. Jednakże, kiedy nadszedł wieczór, zmieniłam zdanie. Nie wiem dlaczego, ale kiedy po kolacji siedziałam sama w pokoju i z trudem brnęłam przez *Mit Syzyfa* Camusa, nagle oczyma wyobraźni zobaczyłam pokonanego Leonarda Fincha siedzącego w swoim gabinecie i wciąż zakrywającego twarz dłońmi. Odłożyłam Camusa i powiedziałam matce, że wybieram się na przejażdżkę.

Wszędzie jeździłam na rowerze, mając nadzieję, że ludzie uznają mnie za maniaczkę zdrowego trybu życia i nie dowiedzą się, że jeszcze nie podchodziłam do egzaminu na prawo jazdy. Była wczesna jesień i wieczory były chłodne, a na niebie lśnił księżyc rodem z Kreegenvale – przypominający ostrze bułatu, jak zwykł mówić Ashmolean. Pokonałam cztery przecznice dzielące mnie od jego domu w ciągu kilku minut, a gdy znalazłam się na podjeździe, zauważyłam, że wszystkie światła są zgaszone. Długo stałam przed drzwiami, zastanawiając się, czy powinnam zapukać. W końcu do działania pchnęło mnie to samo pragnienie, które towarzyszyło mi podczas czytania każdej opowieści. Chciałam się dowiedzieć, jak to wszystko się skończy.

Pomimo wrodzonej ciekawości zapukałam bardzo cicho, po czym cofnęłam się o krok, na wypadek gdybym z jakiegoś powodu musiała

uciekać. Odczekałam kilka minut i już miałam odejść, gdy nagle wewnątrz zapaliło się światło. Drzwi powoli się uchyliły i wyłoniła się zza nich głowa Ashmoleana.

– Mary – powiedział i, o dziwo, uśmiechnął się. Otworzył drzwi szerzej.
– Wejdz.

Byłam nieco speszona jego dobrym nastrojem, nie pamiętałam bowiem, żeby kiedykolwiek się uśmiechał. Zdałam sobie sprawę, że coś się w nim wyraźnie zmieniło. Cała frustracja, którą za dnia rozładowywał, tłukąc w klawiaturę, zniknęła, pozostawiając łagodnego sobowtóra mojego pisarza. Przypomniała mi się jego nowela *Pożeracze Dusz z Oceanicznej Jaskini* i zahałam się przed wejściem.

– Chwileczkę – powiedział, po czym zostawił mnie w przedsionku.

Zastanawiałam się, co robił w ciemności. Wkrótce wrócił z pudełkiem, w którym znajdował się maszynopis.

– Masz dwa dni, żeby to przeczytać. Trzeciego dnia przyjdź do pracy. Zapłacę ci za ten czas – dodał.

Przyjęłam pudełko i dalej stałam, nie wiedząc, czy mam wyjść, czy zostać. Miałam wrażenie, że Ashmolean chce z kimś porozmawiać, ale się myliłam. Maską obojętności, która początkowo mnie onieśmieliła, teraz opadła na moich oczach. Znów poczerwieniał na twarzy i ściągnął brwi. Zgarbił się, po czym burknął z typową dla siebie furią:

– No idź.

Szybko go posłuchałam. Zanim wsiadłam na rower, ponownie zgasił wszystkie światła w domu. Nie miałam wątpliwości, że jest szaleńcem, ale bardziej martwiła mnie jego obsesja na punkcie twórczej szczerości. Nie potrafił pisać, jeśli wyraźnie nie widział w swoim umyśle, co się wydarzy w Kreegenvale. Takie podejście zawsze utożsamiałam z pisarzami zupełnie innego kalibru. Wieczorem zabrałam się za lekturę *Zabójcy Bezprawia* i odkryłam, że po raz pierwszy obchodzi mnie los Glandara.

Kiedy Ashmolean pisał nową powieść, zawsze była to prawdziwa cegła, a *Zabójca* nie był wyjątkiem. Jednakże jedno go wyróżniało. Po raz pierwszy w historii przygód Glandara bohater zaczął przejawiać oznaki starzenia. Na początku książki, tuż po ścięciu pewnego uciążliwego krasnoluda, nawet skarżył się na ból pleców. A kiedy położył się z Heretiką Floritą, zieloną kobietą z szepczącego lasu, najpierw długo z nią rozmawiał, zanim zabrał się do roślinnych amorów. Chwile refleksji i drobne robaki wątpliwości

zagłębiły się w idealnym owocu walki i chędożenia, którym było Kreegenvale.

Pomyślałam, że przyczyną tych zmian jest natura samej opowieści. W najnowszej przygodzie wrogiem Glandara był jego własny twór. Z *Płonącego Miecza w Krainie Umarłych* wiedziałam, że Bogowie Dobra cenili Glandara za jego bohaterskie uczynki. Żeby zachować go w dobrym zdrowiu i umożliwić mu walkę z siłami zła w świecie ludzi, każdej nocy posyłali do niego kosa imieniem Kreekaw, który zabierał koszmary Glandara, po czym leciał z nimi do Astralnej Groty, gdzie Mank, niebiański kowal, spalał je w swoim piecu.

W nowej powieści Stribble Flap Lubieżny pragnie zemsty za utratę członka, którego Glandar odrąbał mu w jednej z wcześniejszych książek. Pewnej nocy bierze łuk i zaczaja się przed pałacem w Kreegenvale. Gdy kos wylatuje z okna z dziobem pełnym koszmarów, Stribble zabija go strzałem w serce. Ptak spada w Bagno Deffleton, uwalniając koszmary, które zbierają się w nienawistnym przydennym błocie i tworzą, za sprawą kłębiącego się, wirującego, lśniącego i połyskującego czaru, przywodzącego na myśl Virginię Woolf, potwora zwanego Bezprawiem, trzyipółmetrowego olbrzyma o bezkształtnym, falującym cielsku i kudłatym łbie wielkości siedmiu ustawionych obok siebie końskich zadów. Ten przerażający stwór zaczyna krążyć po okolicy, szerząc zło. Glandar unika konfrontacji z olbrzymem, dopóki nie dowiaduje się, że ten zabił Heretikę Floritę i łapczywie pożarł jej zielone serce.

Trzeciego dnia wróciłam do Ashmoleana. Czekał na mnie w swoim gabinecie, ponownie blady i pokorny. Z zaskoczeniem odkryłam, że moje składane krzeselko stoi obok jego pisarskiego tronu. Znów zwrócił się do mnie po imieniu, po czym gestem zachęcił, żebym obok niego usiadła.

Gdy oddałam mu maszynopis, spytał, czy go przeczytałam.

Odpowiedziałam, że tak.

Myślałam, że spyta, jak mi się podobał, ale powinnam się była domyślić, że to nie w jego stylu. Zamiast tego rzekł:

– Widziałaś to? Oczyma wyobraźni, jak film? Byłaś tam?

Odpowiedziałam, że tak, ponieważ rzeczywiście tak było. Chociaż Ashmolean jak zwykle stosował swój urywany, oczywisty styl oparty na schemacie podmiot/orzeczenie, podmiot/orzeczenie, cała przygoda, aż do końca, gdzie bohater przygotowywał się do ostatecznej bitwy, była bardziej

wyrazista niż rzeczywisty świat.

– Proszę – powiedział, po czym na chwilę umilkł.

„Proszę”? – zdziwiłam się.

– Do tej pory szukałaś na półkach informacji o historii Kreegenvale, a teraz chciałbym, żebyś coś dla mnie znalazła w przyszłości krainy.

Wiedziałam, o co prosi, ale i tak pokręciłam głową.

– Ależ tak – odparł. – Musisz. Nikt inny nie zna sagi tak dobrze jak ty. Wybrałem cię do tego zadania. Od dwóch ksiązek powoli tracę wizję Kreegenvale. Zatrudniłem cię, ponieważ wiedziałem, że jesteś bystra. Widziałem, że jesteś marzycielką i samotniczką. Która dziewczyna o takiej urodzie ubiegałaby się o tak idiotyczną pracę? Wiedziałem, że nadejdzie dzień, gdy całkowicie stracę opowieść z oczu.

– Chce pan, żebym dopisała zakończenie książki? – spytałam.

– Nie musisz go pisać – odrzekł. – Po prostu powiedz mi, co widzisz. Opowiedz jak najbardziej szczegółowo, co Glandar robi podczas ostatecznej bitwy z Bezprawiem. Nie tylko, jak zabija potwora, ale także, jak porusza mieczem, jak unika kwasowych wyziewów, jakie wykrzykuje przekleństwa.

– Ale jak? – zdziwiłam się.

– Zamknij oczy – odparł.

Posłuchałam go.

– Zobacz to tutaj – powiedział, a ja poczułam jego palec na czole między oczami. – Wróć do przygody. Obejrzyj ją krok po kroku. Jak oni wyglądali? Jak brzmieli? Jaki dokładnie odcień zieleni miało ciało Heretiki? Kiedy już wpadniesz w głąb opowieści, kiedy się tam znajdziesz, obserwuj, co robią. Wszystko mi relacjonuj, a ja będę to zapisywał.

– Spróbuję – odrzekłam.

Początkowo trudno mi było dotrzeć do opowieści, ponieważ potrafiłam myśleć tylko o tym, że Ashmolean od początku wiedział, że jestem bystra, oraz zastanawiał się, po co takiej ładnej dziewczynie taka idiotyczna praca.

– Trzeba stale podsycać chęć do bitwy – wyszeptał, bardziej do siebie niż do mnie.

Te słowa rozdarły moje myśli jak kawałek szkła, a przez otwór wpadło światło Kreegenvale. Z olbrzymim skupieniem poszerzyłam dziurę w tkaninie i w końcu zdołałam przedostać się do krainy Glandara.

Początek opowieści rozegrał się przed moimi oczami jak przyśpieszony film. Byłam wszędzie, gdzie powinnam być, jak prawdziwa mieszkanka

krainy, obserwując kluczowe wydarzenia. Widziałam, jak Stribble Flap wypuszcza strzałę, jak głowa krasnoluda toczy się po ziemi wśród tryskającej krwi, odwróciłam wzrok, gdy Heretika na zakończenie długiej rozmowy sięgnęła do przepaski na biodrach Glandara. Gdy znów spojrzałam, stałam obok samego bohatera. Wiatr mocno dmuchał, niebo oczywiście było granatowe, a my staliśmy w pobliżu krawędzi urwiska, z którego roztaczał się widok na ocean.

Glandar dzierżył w lewej dłoni swój miecz, potężny Eliminator. W prawej trzymał ośmioboczną tarczę, Opatrzność, którą podarował mu umierający ojciec. Pot lśnił na jego opalonym, muskularnym ciele. Długie czarne włosy miał związane z tyłu kosmykiem włosów Heretiki – tylko tyle po niej zostało. W odległości piętnastu metrów, nad samą krawędzią przepaści stał Bezprawie, a na jego potężnym cielsku wykwitwały twarze, które miotały przekleństwa na króla Kreegenvale. Głowa potwora przypominała gigantyczną ożywioną bryłę ziemi. Żółta grzywa zwisała w tłustych strąkach, poplamiona krwią i żółcią. Pysk rozwierał się wystarczająco szeroko, by połknąć krowę, ukazując liczne rzędy nierównych zębów.

– Poczuj moją żółć, pachnidło z twych nocnych koszmarów! – ryknął stwór, oblizując pozbawiony warg pysk owrzodzonym wielorybim jęzorem.

Bezprawie uwolnił kulę gazu, miniaturowe fioletowe słońce, które popłynęło ku Glandarowi niesione wiatrem. Bohater uniósł tarczę, żeby zasłonić się przed pociskiem kwaśnego oddechu. Patrzyłam, jak pod wpływem cuchnącego podmuchu wybrzusza się farba tworząca herb Kreegenvale. Glandar stęknął i padł na kolana.

– To mi chyba spaliło włosy w nosie – wyszeptał, cały czas klęcząc.

Potem popatrzył na mnie. Zobaczyłam w jego oczach błysk, jakby rzeczywiście mnie dostrzegł. Uśmiechnął się i powoli wstał.

– Zaczekaj, Bez! – zawołał do potwora. – Pojawiła się.

Gdy Glandar do mnie podszedł, zobaczyłam, jak inne postacie z Kreegenvale wyłaniają się zza skał i drzew, które rosły około pięćdziesięciu metrów za naszymi plecami.

– Niech mi ktoś naleje kielicha – odezwał się potwór. – Muszę się pozbyć tego smaku.

– Chwila przerwy dla wszystkich! – krzyknął Glandar przez ramię. Wbił miecz w ziemię i upuścił tarczę.

– Co się dzieje? – spytałam.

– Jesteś Mary, prawda?

Przytaknęłam.

– Czekaliśmy na ciebie.

Pozostali, których rozpoznawałam z innych opowieści, zgromadzili się wokół Glandara. Bezprawie pochylał się nad nami, kołysząc się na wietrze.

– Witaj, kochanie – rzekł potwór, wyciągając rękę wyrastającą mu z boku po bukłak, który trzymał Stribble Flap.

– Mary, nie mamy wiele czasu – powiedział Glandar. – Wszystko ci wyjaśnię. Kilka ksiązek temu poprosiliśmy Heretikę, żeby rzuciła na Ashmoleana czar, który sprawił, że ten stopniowo zaczął tracić kontakt z naszym światem. Zaklęcie wymagało trochę czasu, ponieważ on jest taki potężny. W końcu jest Bogiem, jeśli wiesz, co mam na myśli. Początkowo myśleliśmy, że może da nam spokój, ale kiedy zatrudnił ciebie, domyśliliśmy się, jaki ma plan.

– Chodzi o to, że zamierza dokończyć książkę? – spytałam.

– Zgadza się – odrzekła kobieta stojąca po mojej lewej stronie.

Obróciłam się i zobaczyłam piękną zieloną twarz Heretiki Flority.

– Myślałam, że zostałaś pożarta? – zdziwiłam się.

Bezprawie się roześmiał.

– Zbudowaliśmy kobietę z trawy i patyków, a ja ją zjadłem. Nie interesuje mnie, jak smakuje Heretika.

– A ja to wiem – wtrącił Glandar.

Zgromadzone postacie wybuchły śmiechem, a Heretika zdzieliła bohatera pięścią w ramię.

– Dlaczego mi to opowiadasz? – spytałam.

Glandar odprawił pozostałych ruchem dłoni.

– Porozmawiajmy na osobności.

Wszyscy cofnęli się o kilka kroków i usiedli na ziemi. Po chwili zaczęli przekazywać sobie butle z winem i miodem. Bezprawie pociągał z bukłaka i pozwalał dzieciom używać swoich pleców jako zjeżdżalni. Za każdym razem, gdy któryś z malców się śmiał, stwór wtórował mu z rżącym kaszlem.

Glandar poprowadził mnie w stronę skraju urwiska. Gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu pozostałych, zwrócił się do mnie.

– To musi się skończyć, Mary. Więcej tego nie zniosę.

– Brakuje ci Ashmoleana? – spytałam.

– Nie, ani trochę. Myślałem, że zrozumiesz. Próbuję ci powiedzieć, że już dłużej nie wytrzymam. Jeśli będę musiał zabić jeszcze jedno stworzenie, chociażby komara, stracę rozum.

– A więc nie jesteś zadowolony z Ashmoleana?

– Niektórzy tutaj określają go bardzo niewybrednymi epitetami. Ja mam dla niego więcej szacunku, ale w końcu jestem z nim od pierwszej strony. Na samym początku to bywało fascynujące, ale teraz życie w Kreegenvale stało się prawdziwą udręką. Nie dzieje się tutaj nic nowego. Kiedy zaczyna się kolejna przygoda, wiem, że będę zabijał. Wyobraź sobie, że budzisz się każdego dnia ze świadomością, że będziesz musiała coś albo kogoś uśmiercić, być może całą armię ludzi, którzy niczym ci nie zawinili.

– Są też inne aspekty życia w Kreegenvale poza zabijaniem – przypomniałam.

– Nie lubię pić. Za każdym razem, gdy Ashmolean zmusza mnie do wychylenia kilku butelczyn, przez następne pięćdziesiąt stron rzygam jak kot. A to całe chędożenie – ohyda. Można by pomyśleć, że facet nigdy nie widział kobiety z normalnym biustem. Zawsze pragnąłem tylko kilku minut miłości, ale dla szefa to większa egzotyka niż trójgłowy chłopiec – kot z Widmowego Miasta.

– Chcesz, żebym nakłoniła go do umieszczenia w książce wątku miłosnego? – spytałam.

– Na to już za późno. Teraz chcę tylko wyzwolić innych. Pragnę końca, żeby oni mogli wrócić do życia, które wiedli, zanim im się to wszystko przytrafiło.

– Miałam takie samo zdanie na temat Kreegenvale, gdy zaczęłam czytać o twoich przygodach – odparłam. – Ale teraz mam wrażenie, że nigdy nie czytałam czegoś, co miałoby w sobie tyle życia.

– Ashmolean byłby oszustem, gdyby nie jeden fakt. On naprawdę czuje ten świat. To coś cudownego. Dlatego chcę mu pomóc, tak samo jak pozostałym.

– Chcesz, żebym poświęciła cię Bezprawiu, prawda? – spytałam.

Pokiwał głową i zobaczyłam łzy w jego oczach.

– Po to są bohaterowie – odparł.

– Nie wiem, czy mogę to zrobić. Pewnie mi nie pozwoli.

– Pozwoli – odrzekł Glandar. – Nie może temu zapobiec. Jesteś zbyt

potężna.

– Zbyt potężna?

– Proszę – powiedział Glandar, a jego głos za sprawą dziwacznej transformacji zmienił się w głos Ashmoleana.

– Widzisz to? – spytał pisarz.

Popatrzyłam w lewo i zobaczyłam, jak siedzi z palcami zawieszonymi nad klawiaturą, gotowy, żeby zacząć w nią bębnić. Obejrzałam się w prawo i ujrzałam, jak Glandar oraz Bezprawie zajmują bojowe pozycje przy krawędzi urwiska.

Czułam, jak wzbiera we mnie moc, o której wspomniał Glandar.

– Dobrze, niech się pan przygotuje – odpowiedziałam.

Słowa wyszły ze mnie pełne własnej energii, płynąc prosto ze splotu słonecznego, zabarwione jaskrawymi opisami, skrzące się metaforami i porównaniami. Opowiadałam bez wahania o bitwie Glandara z Bezprawiem, potworem zrodzonym ze złych myśli bohatera.

Eliminator błyskał w słońcu, a wrogowie przetaczali się, biegali i z trudem łapali powietrze. Wykwitały rany, płynęła krew, pękały kości. Potężne fragmenty amebowego cielska potwora ulatywały z oceanicznym wiatrem. Padały błyskotliwe inwektywy: „Obyś zapłonął w piecu Manka, póki bułał księżycyca nie przeszyje twojej duszy na wieki”. Kwaśny oddech i kłusująca stal, dwaj przeciwnicy wytrwale walczyli, na zmianę zyskując przewagę.

Po mojej lewej stronie Ashmolean, rozpalony do białości, pisał tak szybko, że komputer nie nadązał wyświetlać słów, które wychodziły spod jego palców. „Śmierć niewiernym”, mruczał pod nosem, ciężko oddychając.

W końcu Glandar, śmiertelnie ranny, ruszył do ostatniego samobójczego ataku i zagłębił się w lepkiem ciele potwora, tak że obaj runęli z urwiska.

– Niemożliwe! – wykrzyknął Ashmolean, gdy opisywałam ich upadek, ale jego palce nie przestawały bębnić w klawisze.

– Nie – jęknął, gdy uderzyli w skały kilkadziesiąt metrów niżej, jednak ani na chwilę nie zwalniał.

Zapłakał, kiedy zmyły ich fale oceanu. Postawił ostatnią kropkę, po czym odwrócił się ode mnie i ponownie ukrył twarz w dłoniach. Wtedy Kreegenvale zgasło w moim umyśle jak zdmuchnięta świeca. Cofnęłam krzeselko i wstałam. Ciało Ashmoleana falowało, ale cierpiał w milczeniu. Nie odzywał się ani słowem. Wyszłam z jego gabinetu, wyszłam z jego domu

i już nigdy nie wróciłam.

Chociaż śmierć Glandara zapewne zdruzgotała Ashmoleana, mnie przepełniła życiową determinacją, jakiej nie okazywał nawet władca miecza. Gdy zastanawiałam się, co dalej ze sobą zrobić, przypominałam sobie, jak Leonard Finch dotknął palcem mojego czoła i powiedział: „Zobacz to tutaj”. Nie zwlekając ani chwili, zatrudniłam się w Burgeramie oraz zapisałam na zajęcia do lokalnego college’u. Często myślałam o tym, co zrobiłam swojemu pisarzowi, ale powtarzałam sobie, że tak było najlepiej dla wszystkich.

Wspomnienia o Kreegenvale czasami pojawiały się w moim umyśle, zwłaszcza gdy siedziałam na wykładach z literatury, a profesorowie wpadali na mielizny niejasnych teorii. Wtedy pragnęłam, żeby Glandar kopniakiem otworzył drzwi i zaczął wymachiwać mieczem. Jednak przeważnie powrót do szkoły sprawiał mi wiele radości. Zapisałam się na liczne kursy z angielskiego, ale wiedziałam, że nie chcę nauczać. W pracy było lekko, gorąco i słabo płacili, a kiedy popychałam kanapki z końskim tłuszczem w stronę niecierpliwych klientów, szeptałam: „Śmierć niewiernym”. Mimo że w Burgeramie nie brakowało koszmarów rodem z Gwaten Tarn, cieszyłam się, że mogę poznać innych pracowników w moim wieku.

Choć wszystko dobrze się układało, a moi rodzice byli zadowoleni z moich postępów, to czegoś mi brakowało. Pewnej nocy zrozumiałam, że tak naprawdę chcę zostać pisarką. Albo chociaż wrócić do gabinetu Ashmoleana, gdzie słowa tchnęły życie w to co niemożliwe. Kupiłam notatnik i próbowałam opowiedzieć jakąś historię, ale nigdy nie wyszłam poza kilka początkowych linijek, być może z braku odwagi albo nadmiaru samokrytyki. „Gdyby tylko przyleciał Kreekaw i zabrał tę frustrację z moich niespokojnych snów”.

Byłam na drugim semestrze w college’u, z powodzeniem realizując uświęconą czasem tradycję, gdy pewnego dnia kurier dostarczył paczkę do domu moich rodziców. Matka mnie zawołała, a ja zeszłam na dół, trąc zaspane oczy. Siedziałam do późna, czytając *Bitwę Księżek* Swifta, przygotowując się do egzaminu. Matka podała mi brązowy pakunek, pośpiesznie cmoknęła mnie w policzek i wyszła do pracy.

Otworzyłam paczkę i wyjęłam zawartość – nową, grubą książkę w twardej oprawie. Z podekscytowaniem stwierdziłam, że to egzemplarz *Zabójcy Bezprawia*. Upuściłam papier i błyskawicznie przekartkowałam

powieść aż do końcowej części, którą pomogłam stworzyć. Podjęłam fabułę na pięć stron przed końcem, gdy Glandar stanął naprzeciwko potwora na krawędzi urwiska. Czytanie tego tekstu było doświadczeniem, którego nigdy nie zapomnę, gdyż Ashmolean użył moich słów. Przesunęłam palcami po zadrukowanej stronie, a kiedy litery nie zniknęły, pomyślałam: „Ja to stworzyłam”.

Ujrzałam bitwę rozgrywającą się przed moimi oczami, tak samo jak w dniu, gdy dyktowałam jej opis Ashmoleanowi. Wszystko zostało dokładnie oddane, łącznie z przekleństwami. Kiedy doczytałam do miejsca, w którym fale oceanu zmyły ciało, zobaczyłam, że pozostała jeszcze cała strona tekstu.

Zaskoczona, zaczęłam czytać dalej o tym, jak tej samej nocy Glandar powraca do Kreegenvale. Przemoczony, z jeżowcami we włosach i szyją owiniętą wodorostami, wchodzi do sali żałobników. Wszyscy się cieszą i otwierają butle z trunkami, a wojownik opowiada o tym, jak elastyczne ciało stwora uchroniło go przed śmiercią podczas upadku. Mimo że omal nie utonął, udało mu się przezwyciężyć morski prąd i wyjść na brzeg trzy mile od urwiska. Powieść kończy się optymistyczną zapowiedzią dalszego picia, chędożenia i wymachiwania mieczem.

– Co to ma znaczyć, do diabła? – powiedziałam.

Po kilku minutach w porzuconym opakowaniu znalazłam odpowiedź. Śpiesząc się, żeby zobaczyć swoje słowa w druku, przegapiłam liścik od Ashmoleana.

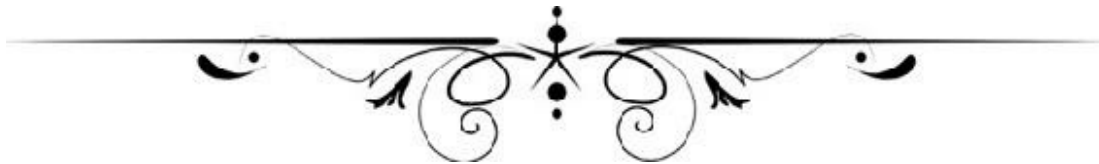
Droga Mary!

Przykro mi, ale musiałem nieco zmienić Twoje zakończenie. Pomyśl o wszystkich przyszłych tantiemach, które bym stracił, gdybym pozwolił Glandarowi umrzeć. Jeszcze nie jestem gotowy posłać go na śmierć – każdy potrzebuje jakiejś fantazji. Pozdrawia Cię i przeprasza za Twoją rolę w fikcji, którą dla Ciebie stworzyłem. Od dnia, kiedy Cię poznałem, wiedziałem, że uwielbiasz książki i idee. Zauważyłbym to, nawet gdybym nie zadzwonił do Twojej szkoły, jeszcze zanim przyszłaś na rozmowę kwalifikacyjną. Powiedzieli mi o Twoim miejscu na skraju boiska. Dobrze je znam. Ale są też inne miejsca, w które powinnaś się wybrać. Czasami akt zniszczenia może się stać aktem stworzenia. Czułem, że jest Ci to potrzebne, żeby ruszyć w podróż. Wierzę, że postać dręczonego obsesją, zaślepionego pisarza fantasy była najlepszą, jaką kiedykolwiek stworzyłem. Po co komu literacka iluzja, która

nie może nam wskazać sposobu na zostanie ludźmi, którymi chcemy być? Glandar mówi: „Bądźcie odważni, czerpcie z życia pełnymi garściami i życie z honorem”. To proste przesłanie, ale czasami warto o nim pamiętać w tym złożonym świecie. Zrobiłem to, ponieważ wiem, że pewnego dnia możesz zostać pisarką, ale potrzebowałaś odrobiny pomocy. Cieszę się, że mogłem Ci jej udzielić.

Ashmolean

Początkowo czułam się zagubiona, ale przeczytałam list ponownie i zaczęłam się śmiać. Tego dnia nie podeszłam do testu ze Swifta, tylko udałam się do kuchni i zaparzyłam sobie dzbanek kawy. Potem wróciłam do swojego pokoju i w ciągu dwóch dni, słysząc nawoływania matki i ojca z drugiej strony zamkniętych drzwi, napisałam to opowiadanie.



To było pierwsze opowiadanie, które opublikowałem w „The Magazine of Fantasy and Science Fiction”, co stanowiło spełnienie mojego życiowego marzenia. *Asystentkę pisarza fantasy* nominowano do nagrody Nebuli i zapewne jest to moja najlepiej znana opowieść. Gordon Van Gelder, w typowym dla siebie zwięzłym redaktorskim stylu, zaproponował dwie zmiany, które trafiły w sedno sprawy i znacznie poprawiły końcowy efekt.

Ta opowieść traktuje o fantasy, literaturze gatunkowej i głównonurtowej oraz pisaniu, jednak dla mnie najważniejsze jest spotkanie dwóch osób, ich więź oraz wzajemna pomoc. Postacie Ashmoleana i głównej narratorki, Mary, pod pewnymi względami są autobiograficzne, a pod innymi wręcz przeciwnie. Dlaczego historię opowiada młoda kobieta? Nie wiem, po prostu tak to zobaczyłem, jak mógłby powiedzieć Ashmolean. Myślę, że warto pamiętać, iż na końcu Mary nie przejmuje stylu starszego pisarza, tylko pisze własne opowiadanie na własny sposób.

Sentencja Glandara „Trzeba stale podsycać chęć do bitwy” pochodzi od mojego ojca i stanowi część jego osobistej filozofii życiowej.

Ta opowieść zawsze była dedykowana Billowi Watkinsowi, autorowi tekstów *The Beggar in the Livingroom*, *Centrifugal Rickshaw Dancer*, *Cosmic Thunder*, *Going to See the End of the Sky* czy *The Last Deathship Off Antares*, któremu zawdzięczam zachętę oraz wiedzę na temat pisania fantastyki.

DALEKA OAZA

Kierowani niezwykłym egocentryzmem, nasi przodkowie wierzyli, że są sami we wszechświecie. Jednocześnie przekonali siebie, że ziemia jest oczkiem w głowie Boga i jedynym celem całego Stworzenia. Ten podwójny błąd przyniósł ludzkości zarówno złudzenie wielkości, jak i paranoiczne poczucie osamotnienia. Chociaż w końcu nauczyliśmy się podróżować w kosmosie szybciej od prędkości światła i odkryliśmy liczne planety zamieszkałe przez niemal nieskończenie zróżnicowane gatunki, nigdy nie udało nam się do końca przewyciężyć tych głęboko zaszczeponych słabości naszego ego oraz lęku przed izolacją, tylko ponieśliśmy je z sobą jak widmowych pasażerów na gapę do najdalszych krańców wszechświata. Dramaty zrodzone ze starcia tych dwóch psychologicznych uwarunkowań, mających źródło w tym samym impulsive, rozgrywały się na milionie odległych scen. Jako historyk mogę wam powiedzieć, że badanie historii ludzkości, mimo że przywdziewa ona wiele masek, tak naprawdę jest studiowaniem jednego zjawiska. Przychodzi mi do głowy co najmniej tysiąc przykładów, ale pozwólcie, że omówię pojedynczy przypadek, który stanie się dla was niczym lustro. Wystarczy jedno spojrzenie, żeby przekonać was, że nie jesteście sami w swojej rozmyślnej samotności.

Niebiańskie miasto Aldebaran przez wieki kręciło piruety w bezkresnej próżni, a jego mieszkańcy, których jedynym celem było znalezienie świata nadającego się do zamieszkania i kolonizacji, tak przywykli do usianej gwiazdami czerni, że zbiorowy umysł nie wyobrażał sobie porzucenia przykrytego przezroczytą kopułą pojazdu na rzecz naturalnej atmosfery i

słonecznego blasku na jakiegokolwiek, nawet najbardziej błękitnej planecie. Mieszkańcy Aldebarana znakomicie sobie radzili, nie tylko z podtrzymywaniem mechanicznych i organicznych systemów, ale także z utrzymywaniem ładu społecznego. Trzeba im przyznać, że pamiętali o pojęciu miłości i zachowali je przy życiu podczas wieloletniego dryfowania w przestrzeni.

By zapewnić sobie przetrwanie, musieli stosować surowe prawa. Pierwotni mieszkańcy, którzy zapisali zasady rządzące miastem, zdawali sobie sprawę z zagrożeń, jakie niesie dopuszczenie, by chaos zagnieździł się w zamkniętym systemie. Wymiar sprawiedliwości w Aldebaranie pełnił bardzo ważną rolę i chociaż wydawał humanitarne wyroki, to działał błyskawicznie. Gdy któryś z obywateli w zbyt oczywisty sposób pogwałcił prawo, był traktowany jak wirus i bezzwłocznie wypędzany na powierzchnię najbliższej nadającej się do zamieszkania planety. Obywatele postrzegali tę karę w taki sam sposób, jak ich starożytni ziemscy przodkowie traktowali pójście do piekła.

W piątym wieku istnienia Aldebarana, nieco przed połową jego historii, która miała się zakończyć w otchłani czarnej dziury, w mieście mieszkał mężczyzna zwany Honis Sikes. Był jednym z setek rolników, którzy uprawiali ziemię rozciągającą się pomiędzy granicą kopuły a znajdującym się w środku kompleksem budowlanym tworzącym miasto. Sikes był pracowity i chociaż zmagał się z wrodzoną nieśmiałością, słynął z biegłości w popularnej grze strategicznej, w którą grano ziarnami kukurydzy na planszy pokrytej krętym wzorem. Grę nazywano Kukurydzianym Labiryntem. Gdy Sikes nie pracował na polu, projektował plansze do tej gry i zapisywał najciekawsze strategie, które sam kiedyś zastosował bądź podpatrzył w słynnych rozgrywkach. Niewielu graczy kiedykolwiek go pokonało, a żaden z tych szczęśliwców nie powtórzył swojego wyczynu. Okryło go to skromną niesławą w całym Aldebaranie.

Kiedy pewnego razu grał w miejskim parku w obecności dużej grupy gapiów i wyzwiał na pojedynek kolejnego ochotnika, do stołu podeszła młoda kobieta. Miała przy sobie własnoręcznie wykonaną planszę, a gdy położyła ją na blacie, tłum westchnął, zachwycony złożonością wzoru. Sikes uśmiechnął się do niej, ponieważ bardziej od podziwu za swój kunszt pragnął jedynie prawdziwego wyzwania. Gra się rozpoczęła i kobieta od razu objęła prowadzenie. W toku gorącej rozgrywki ziarna pojawiały się i znikwały z

labiryntu w takim tempie, że wielu obserwatorów nie wiedziało, co się dzieje. Pod koniec, gdy już wydawało się, że Sikes przegra, mężczyzna uruchomił tajną strategię, która przetrzebiła zasoby przeciwniczki i zamknęła wokół niej labirynt. Uwięził jej ostatnie pionki, sprawiając, że (zgodnie z żargonem gry) zgniły.

Sikes wiedział, że trafił na godną przeciwniczkę, ale dopiero po zakończeniu rozgrywki zauważył, jaka jest piękna. Miała długie i jasne włosy w kolorze snopów światła z lamp wspomagających wzrost, które rozmieszczono na polach. Jej twarz wyglądała nietypowo, ponieważ nie była tak blada jak u większości obywateli, tylko zachowała odcień charakterystyczny dla starożytnych ziemskich grup etnicznych. Oszłamiające oczy miały kształt migdałów i ciemnozieloną barwę kojarzącą się z legendarną wędrującą gwiazdą Karjeet. Sikes szybko spakował swoją planszę i pionki, po czym wyszedł z parku w ślad za nieznajomą. Dogonił ją na ulicy biegnącej obok wejścia do podziemnych generatorów i replikatorów pola grawitacyjnego.

– Halo! – zawołał.

Odwróciła się, posyłając falę jasnych włosów ponad lewym ramieniem, a on już wiedział, że nigdy nie zapomni tego widoku. Gdy się do niej zbliżył, poczuł słabość, ale wziął się w garść i spytał ją o imię.

– Methina – odpowiedziała.

Wymienili kilka komentarzy na temat gry. Opowiedział jej o swojej pracy rolnika, a ona odrzekła, że znają go wszyscy, którzy grają w Kukurydziany Labirynt. Ona była zatrudniona jako robotnica w elektrowni atomowej.

– Czy możesz mi zdradzić, jaką strategię zastosowałeś w końcówce gry?
– spytała z uśmiechem.

– To moja tajemnica – odparł. – Ten manewr należy zainicjować w drugim ruchu, w przeciwnym razie nie zadziała. Nazywam go Zwycięskim Podstępem.

Przez jakiś czas szli razem chodnikiem, pograżeni w rozmowie, a gdy dotarli do miejsca, w którym ich drogi miały się rozejść, Sikes, samotnik od zawsze bardzo nieśmiały wobec kobiet, zebrał się na odwagę i spytał, czy Methina miałaby ochotę spędzić z nim nadchodzące święto, podczas którego władze miasta pozwalały na wyłączenie replikatorów pola grawitacyjnego, dzięki czemu wszyscy na godzinę zyskiwali pozorną zdolność latania. Kobieta się zgodziła, powiedziała mu, gdzie i kiedy się spotkają, po czym

odeszła, zostawiając go na rogu ulicy. Dopiero po kilku chwilach do Sikesa dotarło, że przyjęła jego zaproszenie, a gdy to się stało, upuścił swoją planszę i pudełko z pionkami, rozsypując je dookoła.

W dniu święta spotkali się zgodnie z umową w ogródku kawiarni w centrum miasta. Methina miała na sobie białą sukienkę powiewającą na wietrze, a gdy skakała i przecinała niebo ponad miastem, w oczach Sikesa wyglądała jak wcielenie starożytnej idei anioła. Według zwyczaju, żeby zapewnić sobie szczęście, uczestnicy święta powinni wskakiwać z mniejszych budynków na najwyższy, Wieżę Shivy, a stamtąd wybijać się i dotykać najwyżej położonego punktu wewnętrznej powłoki kopuły. Oboje to zrobili, zachęcając się nawzajem i nagradzając oklaskami. Methina i Sikes trzymali się za ręce i wspólnie wykonywali powietrzne salta. Latali ponad polami, śmiejąc się i machając rękami jak ziemskie ptaki.

Kiedy przywrócono pierwotne ustawienia replikatorów pola grawitacyjnego i przygaszono miejskie światła do słabego blasku, samotna para znalazła się na polanie w niewielkim lasku, który stanowił wyspę zieleni na złocistym polu jęczmienia. Położyli się na ziemi i patrzyli na spiralną galaktykę, która powoli obracała się poza przeźroczystą granicą kopuły jak mleczny wiatrak poruszany kosmicznym wiatrem. Od czasu do czasu kosmiczne śmieci, drobne okruchy stworzenia, zderzały się z niewidzialnym polem siłowym otaczającym Aldebarana i znikały wśród snopów pomarańczowych iskier.

Dwoje graczy już dawno przestało używać języków do mówienia; teraz gorączkowo je splatali, mocno się obejmując. Zrzucili ubrania. Jednak tuż przed pełnym zespoleniem, gdy Sikes sapał jak fabryczny robot, który otrzymał zbyt dużą dawkę mocy, Methina położyła dłonie na jego piersi i go odepchnęła.

– Najpierw musisz mi zdradzić tajemnicę Zwycięskiego Podstępu – wyszeptała.

Sikes, który zamierzał zabrać tę strategię do grobu i marzył, by przyszłe pokolenia głowiły się nad tą zagadką, opowiedział jej ze szczegółami o ustawieniu pionków, kolejnych ruchach oraz czasie ich wykonania na każdej z podstawowych plansz.

– Musisz odwrócić uwagę przeciwnika – stęknął – pozwalając mu wyjść na prowadzenie, otepiając jego umysł zwycięskim podstępem.

– Dobrze – powiedziała i odsunęła dłonie.

Sikes nieelegancko rzucił się naprzód, rozrzucając wkoło pionki.

Methina szybko się ubrała i zostawiła go szlochającego na ziemi. Zrozumiał, że zdradził swoją bezcenną tajemnicę, a nawet nie wszedł do labiryntu.

W kolejnych dniach nie potrafił wrócić do gry. Była dla niego skończona. Gdy próbował zmuszać się do obmyślenia strategii, które skrupulatnie tworzył od miesięcy, wszystko przesłaniał mu obraz piękna Methiny oraz wspomnienie jej nagiego ciała. Nie wiedział, gdzie ona mieszka, ale mówiła mu, że pracuje w elektrowni atomowej. Pewnego popołudnia wcześniej zszedł z pola, nie mówiąc nic swoim przełożonym, i postanowił zaczekać na nią przed wejściem do elektrowni.

Patrzył na wychodzących robotników, podekscytowany, że ponownie ją zobaczy, ona jednak się nie pojawiła. Wszedł do elektrowni, znalazł dział kadr i tam podał jej imię, pytając, na której zmianie pracuje. Okazało się, że sekretarka jest miłośniczką Kukurydzianego Labiryntu, więc była pod dużym wrażeniem tego, że może porozmawiać z Sikesem. Powiedziała mu, że w elektrowni nie pracuje nikt o takim imieniu. Methina go okłamała. Przez chwilę czuł się zagubiony, ale po chwili pocieszył się myślą, że Aldebaran to wyspa, z której nie ma ucieczki.

Zaczął jej szukać w innych częściach miasta, w kawiarni, muzeach, wzdłuż brzegów jeziora. Zaniedbał pracę na polu, unikając wezwań od swoich przełożonych. Z każdym dniem coraz bardziej popadał w melancholię. Zaczął wierzyć, że Methina była tylko wytworem jego wyobraźni wywołanym samotnością, aż pewnego dnia na pokładzie obserwacyjnym Wieży Shivy spotkał Porlemana, innego wielbiciela gry.

– Gdzie się podziewałeś, Sikes? – spytał szczupły mężczyzna o końskiej twarzy.

– Wycofałem się z rozgrywek.

– W samą porę – odrzekł Porleman. – Pojawiła się nowa mistrzyni, która kosi kolejnych graczy, najwyraźniej stosując twoją słynną taktykę.

– Widziałeś ją? – spytał Sikes.

– Kilka dni temu zmiażdżyła mnie w Klubie Przezorność. Mierzy się z każdym i jeszcze nikt nie zdołał z nią wygrać.

Sikes stał ukryty w uliczce naprzeciwko klubu. Czekał cierpliwie przez kilka godzin, dopóki nie przygaszono miejskich świateł, a gracze i fani nie zaczęli wychodzić z lokalu, kierując się do swoich mieszkań. W końcu zauważył Methinę, jeśli rzeczywiście tak się nazywała, która opuściła klub i ruszyła wzdłuż ulicy. Szła samotnie w cieniu budynków. Władza zdecydowała się na wietrzny wieczór i ustawiła dmuchawy na trzy czwarte mocy. Wiedziony pożądaniem Sikes podkraść się do kobiety i chwycił ją za ramię. Krzyknęła i szybko się odwróciła, zarzucając włosami ponad lewym ramieniem, tak samo jak w dniu, gdy się poznali.

– Sikes – powiedziała z ulgą, jakby się ucieszyła, że to nie ktoś groźniejszy. – Miło znów cię widzieć.

– Oszukałaś mnie – odparł. – Ukradłaś moją strategię.

Pokręciła głową i cicho się roześmiała.

– Miałam własną, dzięki której cię pokonałam. Byłeś zbyt głupi, żeby zauważyć, że gra toczy się także poza granicami planszy. Nie złamałam żadnych reguł.

– Nie dbam o to – odparł Sikes. – Możesz korzystać z mojej strategii. Ale chciałbym znów się z tobą widywać. Nie potrafię myśleć o niczym innym.

– Ależ proszę bardzo, myśl sobie o mnie do woli, ale obchodzisz mnie mniej niż pojedynczy pionek na dwudziestym dziewiątym polu spiralnego labiryntu pełnego zgnilizny.

– A co z dniem święta? – spytał. – Z polaną pośród drzew?

– Padłeś ofiarą zwycięskiego podstępu. Dobranoc. – Odwróciła się, żeby odejść.

Nie mógł na to pozwolić, więc zastosował nową intuicyjną strategię pozbawioną rozsądku i logiki. Chciał tylko ponownie jej dotknąć. Objął dłońmi miękkie ciało jej szyi i ścisnął z całych sił, dopóki nie przestała wymachiwać rękami i nie opadła na niego bez życia. Gdy kilka godzin później ponownie zapalono miejskie światła, obywatele idący do pracy zastali go w tym samym miejscu. Trzymał Methinę w kurczowym uścisku. Wezwano służby bezpieczeństwa i gra dobiegła końca.

Honis Sikes został uznany za winnego i skazany na wygnanie. W dniu ogłoszenia wyroku zaapelował do władz, żeby stracono go w Aldebaranie, zamiast wysyłać na jakąś bezimienną planetę. Sędzia był dobrym człowiekiem i zdawał sobie sprawę z potwornego losu przestępcy. Jeszcze nigdy nie musiał skazać nikogo na wygnanie i miał ochotę spełnić prośbę

Sikesa, jednak po konsultacjach z pozostałymi urzędnikami przyznał, że ten dopuścił się ohydnej zbrodni, a przodkowie wyraźnie stwierdzili, że jedynym, co może zapewnić trwanie niebiańskiego miasta, jest dokładne przestrzeganie litery prawa.

Sonda, która miała się stać dla Sikesa nową wysepką w próżni na kolejne czterysta lat, była niewiele większa od niego. Wewnątrz znajdowała się komora służąca do zawieszania funkcji życiowych zwana kokonem, gdyż zachodzący w niej proces mający na celu utrzymanie człowieka przy życiu podczas długiej podróży kosmicznej, zapożyczono ze stadium poczwarki w życiu ziemskich gąsienic. Owady te owijały się kokonem, po czym za sprawą reakcji chemicznych zachodzących w ich organizmie przechodziły do stanu płynnego, by następnie odrodzić się ze śluzu do postaci motyla. To samo działo się z ciałem podróżnika w sondzie, dzięki zastosowaniu technologii i chemii nieorganicznej. Kości, mięśnie, ciało i krew Sikesa miały zbudzić się z płynnego snu. Jedyna różnica polegała na tym, że z kokonu miała się wyłonić nie olśniewająca skrzydlata istota, tylko ten sam Sikes.

Razem z przestępcą w sondzie umieszczono mikrofalowy karabin z akumulatorem, nóż, ręczną zapalniczkę, komplet ubrań oraz gruby płaszcz. Znalazł się tam także piętnastocentymetrowy sześcian w zapieczętowanej torbie, który po wyjęciu miał zacząć gromadzić parę wodną i urosnąć, zmieniając się w skromne klockowate schronienie z drzwiami i oknem. Więzień miał prawo zabrać jeden osobisty przedmiot i Sikes poprosił o swoją ulubioną planszę do gry oraz zestaw pionków. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że wyrzutek ma niewielkie szanse na przetrwanie w obcym świecie, jednak zastosowanie się do tych zasad uspokoiło sumienie mieszkańców Aldebarana, a poza tym pozostawało w zgodzie z ich humanistyczną filozofią.

Sikesa, który cały czas błagał o śmierć, wepchnięto do kokonu w jego tymczasowym kosmicznym grobowcu. Po kilku minutach pogrążył się w głębokim płynnym śnie, a jego fizyczna istota chlupotała w niewielkim pojeździe, gdy wieziono go do wyrzutni umieszczonej w podziemiach miasta. Przyrządy pokładowe ustawiono w taki sposób, żeby sonda krążyła po wszechświecie, dopóki jej czujniki, dokładne spektrografy wykorzystujące technikę zwaną analizą świetlną, nie wykryją planety nadającej się do zamieszkania. Potem do głosu miały dojść urządzenia nawigacyjne, uruchamiając pojedynczy silnik raketowy i sprowadzając pojazd na

powierzchnię nowego domu skazańca.

Sonda karna numer 87659 została wystrzelona w lodowatą przestrzeń z obracającego się miasta, lśniącego chromem pionka rzuconego w wir gry pozbawionej granic. Można by sądzić, że Sikes o niczym nie myślał, ale było inaczej. Nawet w tym stanie zawieszenia w jego umyśle tliła się świadomość, psychodeliczna wewnętrzna kraina przerywanego widmowego życia i owadziej pamięci przypominającej kawałki potłuczonego lustra zrywające się do lotu.

Czas stał się szaleńcem rozrzucającym pył, a odległość straciła znaczenie, aż w końcu, po upływie wieczności, okruchy lustra połączyły się niczym elementy układanki i Sikes się zbudził, odrodzony z chemicznej zupy. Powłoka kokonu się rozsunała, drzwi sondy stanęły otworem i przestępca ujrzał swoje więzienie. Rozpaczliwie wciągnął powietrze do płuc, próbując sobie przypomnieć proces oddychania, a gdy mu się to udało, krzyknął z bólu pod wpływem oślepiającego blasku słońca. Pierwszą godzinę w nowym świecie przeleżał bez ruchu, walcząc z zawrotami głowy i mdłościami. Przykre dolegliwości szybko ustąpiły i Sikes pomimo słabości zdołał wyczołgać się z pojazdu na rozpalony piasek.

Znalazł ubranie tam, gdzie je umieszczono czterysta lat wcześniej. Szybko je włożył drżącymi rękami i wsunął stopy w ciężkie buty, które nieco go osłoniły przed palącą czerwoną pustynią. Podniósł wzrok i zobaczył, że słońce znajduje się w połowie wędrówki po niebie. Nie był pewien, jak długo trwa dzień na tej planecie. Rozglądając się po płaskiej okolicy, nie zauważył żadnych oznak życia, nawet najmniejszego skrawka roślinności. Wciąż był oszołomiony po płynnym śnie, ale udało mu się obmyślić plan. Zamierzał zabrać z sondy karabin, nóż i sześcian zmieniający się w schronienie, spakować mniejsze przedmioty do torby, którą także otrzymał, i wyruszyć w jednym kierunku. Chciał prowadzić poszukiwania, dopóki wystarczy mu siła, a jeśli nie zdoła znaleźć bardziej przyjaznego krajobrazu, zwróci karabin przeciwko sobie i zakończy swoje cierpienia.

– Rzeczywiście, planeta nadająca się do zamieszkania – rzekł na głos, ruszając na zachód.

Pokonał zaledwie kilka metrów, gdy przypomniał sobie o planszy do gry w Kukurydziany Labirynt i pionkach. Dzięki nim czuł się pewniej, gdyż zapewniały mu łączność z poprzednim życiem, dlatego po nie wrócił.

Wędrowanie pod żółtym niebem, przed którym nie chroniła bezpieczna

kopuła, początkowo go przerażało. Miał wrażenie, że umarł i jako duch przeszedł do innej rzeczywistości, jak głosiły dawne ziemskie religijne mity. Potem przypomniał sobie, dlaczego się tutaj znalazł, i jego myśl, pokonując tysiące mil i godzin, powędrowała do Aldebarana oraz Methiny. Będąc tak daleko od swojej zbrodni, dziwił się, jak mógł popełnić taki niewyobrażalny czyn. Całkowicie zapomniał swoje motywy, ale nie mógł wyrzucić z pamięci dotyku jej skóry i falujących długich jasnych włosów.

Sikes długo wędrował. Zaszło mu w ustach, a pot spływał z jego ciała i parował, zanim dotknął piasku. Zatrzymał się, rozważając, czy to już czas użyć karabinu, a wtedy na migoczącym horyzoncie dostrzegł zarys szerokiego szpaleru drzew wyrastających z bezlitosnej pustyni. Ruszył w ich stronę, ale początkowo miał wrażenie, że się przed nim cofają. W końcu zamknął oczy przed blaskiem dnia i starał się po prostu stawiać nogę za nogą. Gdy po pewnym czasie się zatrzymał, otworzył oczy i zobaczył przed sobą magiczną scenę przypominającą ilustrację z książeczek dla dzieci.

Stał na skraju lasu złożonego z olbrzymich prostych drzew o błękitnych pniach i srebrnych liściach. Za nimi zobaczył łąkę porośniętą długą fioletową trawą kołyszącą się na wietrze, który najwyraźniej wiał tylko w obrębie lasu. Sikes ruszył naprzód i wbiegł pod baldachim srebrnych liści, a gdy tylko znalazł się w ich cieniu, poczuł chłód pod stopami i podmuch na twarzy. Jeszcze nie postanowił, po co miałby dalej żyć, ale po raz pierwszy dopuścił myśl, że przetrwanie jest możliwe.

Sikes rzeczywiście przetrwał, gdyż w mniej więcej trzystuakrowej oazie znalazł trzy spore jeziora, drzewa owocowe oraz liczne zwierzęta o złożonej budowie. Wokół jego więzienia roztaczało się nieprzebyte morze czerwonego piasku. Oaza była na tyle rozległa, że czuł się w niej komfortowo. Aldebaran był jedynie wyspą w niedostępnej próżni, więc Sikes przywykł do życia w wyraźnie określonych granicach. Traktował oazę jako dużą planszę do gry i podczas kolejnych spokojnych dni obmyślał strategie, które pozwoliłyby mu przechytrzyć dwóch sprytnych przeciwników – Nudę oraz Śmierć.

Rozbił obóz obok jednego z jezior. Konstrukcja pochłaniająca parę wodną tylko częściowo urosła, ponieważ w okolicy panował bardzo suchy klimat. Jednakże wewnątrz miał wystarczająco dużo miejsca, żeby się położyć i przechowywać dobytek. Woda w jeziorze nie tylko była czysta i zaspokajała jego pragnienie, ale też składała się z jakiegoś innego składnika poza wodorem i tlenem, dzięki czemu miała słodki smak.

Pierwszym, na co Sikes zwrócił uwagę, była długość dnia i nocy. Nie różniła się zbyt od długości sztucznie narzuconych pór snu i czuwania w Aldebaranie. Noc zawsze wydawała się nieco dłuższa od dnia, jeśli to w ogóle możliwe, a na południowym niebie regularnie pojawiała się potężna planeta otoczona pierścieniami. Gwiazda, która w tym świecie pełniła rolę słońca, była znacznie jaśniejsza i gorętsza niż ziemskie słońce, które poznał dzięki implantowi edukacyjnemu wszczepionemu w dzieciństwie, ale najwyraźniej znajdowała się dalej.

Sikes podejrzewał, że kiedyś cała pustynia była porośnięta lasem, jednakże z powodu zmiany klimatu bądź erozji piasek zdominował florę i doprowadził do wyschnięcia rzek i strumieni. Tylko w nielicznych miejscach, takich jak ta oaza, gdzie woda zapewne pochodziła z głębi ziemi, znajdowały się ostoje życia, miniaturowe dawne światy. Wiedział także, że gdzieś na planecie, nie dalej niż były skłonne migrować ptaki, znajdował się kolejny taki teren, ponieważ całe stada niewielkich skrzydlatych stworzeń zajmowały korony drzew przez tydzień lub dwa, po czym znikwały.

Poza dziwnymi opancerzonymi owadami, dużymi i głupimi rybami o świńskich pyskach, które Sikes łapał gołymi rękami, a także świergoczącymi drobnymi stworzeniami, przypominającymi krzyżówkę jaszczurki z pręgowcem, w oazie żył także gatunek większych zwierząt. Męczyznię zaskoczyła ich liczebność, zważywszy na niesprzyjające warunki oraz długie przebywanie na zamkniętym terenie o powierzchni trzystu akrów. Stworzenia były niepokojąco dwunożne i poruszały się w niemal wyprostowanej pozycji, a także miały dwie ręce, dwie nogi, tułów i głowę, zupełnie jak ludzie. Porastało je długie futro o różnych odcieniach, ale nie były ludźmi ani nawet naczelnymi.

Mięso tych zwierząt było miękkie, niemal jak miąższ roślin, a poza tym wydawały się mniej rozumne nawet od ryb pływających w jeziorach. Traktował je jak włochate, chodzące szparagi. Nocami słyszał ich nawoływania, które brzmiały jak rzeźenie chorej staruszki. Na szczęście, nie były agresywne. Sikes mógł bez trudu do nich podchodzić i rozwalać im łby strzałem z karabinu. Stanowiły znakomite źródło pożywienia, ale przed ugotowaniem musiał pozbawiać ofiarę głowy. Wydawało się, że po śmierci w ich oczach pojawia się olśnienie, jakby nagle wszystko stawało się dla nich jasne. Sikes zabijał je bez skrępowań, czasami dla mięsa, a czasami dla zabawy, żeby zwalczyć nudę.

Od tej pory tak wyglądało jego życie wyrzutka. Obmyślił całą grę zajęć pomagających mu zachować zdrowie psychiczne. Nocami obserwował gwiazdy, starając się ustalić, w którym kwadrancie kosmosu znajduje się jego planeta. Za dnia polował, tak długo ćwicząc strzelanie z karabinu, aż osiągnął perfekcję. Zastąpił ziarna kukurydzy z pudełka z grą kamykami i każdego popołudnia grał sam ze sobą do zachodu słońca. Mając mnóstwo wolnego czasu, opracował zadziwiające strategie. Nawet przy najskromniejszej z nich Zwycięski Podstęp sprawiał wrażenie taktyki tępego dziecka. Ziarna kukurydzy zasadził w czterech równych rzędach i codziennie podlewał. Gdy pewnego ranka zobaczył małe zielone kiełki przebijające grunt, poczuł dumę, jakiej nigdy dotąd nie doświadczył.

Gdy już zadomowił się w oazie, zaczął się wybierać na trwające pół dnia wyprawy badawcze. Krajobraz całego obszaru był jednolity i składały się na niego zagajniki porośnięte drzewami o srebrnych liściach, niewielkie polany, łąki z fioletową trawą oraz trzy jeziora. Tylko w jednym miejscu na północnym skraju oazy z małych wzgórz sterczały skalne wychodnie. W ich powierzchni znajdowały się jaskinie wydrążone przez erozję, w których mieszkaly dwunogie stworzenia – Geety, jak zaczął je nazywać, ku czci wynalazcy Kukurydzianego Labiryntu. Gdy popołudnia stawały się wyjątkowo uciążliwe, siadywał w pobliżu ich kolonii i ćwiczył strzelanie, dziurawiąc zarówno młode, jak i stare osobniki.

Zmiany pór roku przynosiły tylko drobne wahania w naturalnym porządku rzeczy. Następowaly co kilka tygodni i objawiały się przemianami liści na błękitnych drzewach. Podczas jednej z pór roku liście świeciły w nocy, podczas kolejnej opadały, a podczas następnej te, które zalegały na ziemi, rozpadały się i wiatr rozwiewał je po całej oazie. Potem na gałęziach znów wyrastały liście i cały cykl rozpoczynał się na nowo.

Jedynym, co świadczyło o następstwie pór roku, był fakt, że z każdą wymianą liści na drzewach Geety wydawały na świat potomstwo. Sikes nie wiedział, czy wśród stworzeń występuje podział na samców i samice, ponieważ wszystkie osobniki miały kobiece piersi, a także nie miał pojęcia, w jaki sposób się rozmnażają, ale przekonał się, że pomimo krótkiego życia są niezwykle płodne. Niewykluczone, że mój karabin przestanie działać, zanim się z nimi uporam, myślał Sikes, robiąc elegancką dziurę w głowie kolejnego stwora oddalonego o sto metrów. Wkrótce zauważył, że Geety zaczynają uciekać, gdy widzą go w pobliżu.

Kukurydza najwyraźniej zachowała ziemski kod genetyczny, ponieważ ignorowała pory roku na nowej planecie i rosła we własnym tempie. Sikes dbał o rośliny jakby były jego dziećmi, a te w końcu wypuściły kolby o jedwabistych czubkach. Mężczyzna nie mógł się doczekać chwili, gdy przyrządzi posiłek z różowego ptaka o pomarańczowych oczach nadziewanego kukurydzą. Każdego ranka sprawdzał wzrost drogocennego warzywa, aż pewnego dnia odkrył, że brakuje kilku kłosów. Widząc ślady pozostawione na ziemi, od razu zorientował się, że to Geety okradły go, kiedy spał.

Następnej nocy się nie kładł, tylko projektował w myślach nową planszę do gry, którą zamierzał wyciąć nożem na kawałku błękitnej kory. Te rozmyślenia nie pozwoliły mu zasnąć i wprowadziły go w trans, przez który nie usłyszał pierwszych szelestów pośród łądyg. Gdy hałas w końcu dotarł do jego uszu, chwycił karabin i wyczołgał się ze swojego schronienia. Otoczona pierścieniami planeta rozświetlała noc odbitym blaskiem. Ostrożnie okrążył zagon kukurydzy i zobaczył sporego Geeta sięgającego po drugą kolbę. Podniósł karabin, wycelował i wcisnął znajdujący się z boku guzik generatora fali. Stworzenie usłyszało cichy trzask i obejrzało się zaskoczone. Wtedy Sikes już trzymał palec na spuście, ale nie strzelił. Geet niezdarnie zerwał drugą kolbę, po czym zniknął w ciemności.

Po powrocie do swojego schronu Sikes położył się na podłodze, a w jego wyobraźni raz za razem wyświetlała się ta sama scena. Widział, jak Geet się odwraca, a fala długich blond włosów przetacza się ponad jego lewym ramieniem, tak samo jak u Methiny w Aldebaranie w poprzednim życiu. Odkąd Sikes rozpoczął walkę o przetrwanie, ani razu nie pomyślał o ukochanej, ale teraz do jego umysłu napłynęły wspomnienia ich wspólnej nocy. W wyobraźni znów dotykał miękkiej skóry na jej nogach i brzuchu, a samotność na chwilę stała się tak bolesna, że niemal go zabiła. W tej samej chwili narodziła się jego najbardziej niesamowita i diaboliczna strategia. Później nazwał ją Miłosnym Podstępem.

W ciągu kolejnych dziesięciu dni Sikes bezlitośnie mordował wszystkie Geety, których futro miało inny kolor niż promienie światła wspomagających wzrost na polach Aldebarana. Rozmiar masakry przyprawiał go o mdłości, ale on nie ustawał w wysiłkach. Gdy skończył, w jaskiniach na północy oazy pozostało niewiele Geetów. Tym jasnowłosym wybrańcom przyniósł naręcze wyhodowanej kukurydzy. Chociaż stworzenia uciekły na jego widok, później

chyłkiem wyszły z lasu, żeby ucztować na jego darach. Gdy srebrzyste liście opadły z drzew, na świecie pojawiło się znacznie więcej młodych o futrze koloru włosów Methiny. Tym razem Sikes pozabijał nawet jasnowłose osobniki, których futro nieco różniło się odcieniem od pożądanego wzorca.

W kolejnych latach karabin mikrofalowy rzadko miał okazję odpocząć. Sikes już nie uważał go za narzędzie śmierci, lecz stworzenia. Gdy uzyskał odpowiedni kolor, zaczął dobierać osobniki o nieowłosionym ciele. Ten proces trwał dwa ziemskie lata i pochłonał wiele pokoleń Geetów, ale Sikes był cierpliwy i skoncentrowany. Teraz dni mijały mu szybciej i nigdy się nie nudził. Miał cel, który w jego oczach nabrał niemal religijnego wymiaru.

W następnych latach selekcjonował Geety pod kątem braku owłosienia, koloru skóry, kształtu oczu, wagi i wzrostu. Populacja stworzeń malała, a kolejne pokolenia coraz bardziej przypominały Methinę. Sikes wiedział, że za swojego życia nie ma szans uzyskać jej inteligencji i osobowości, ale coś zmieniło się w umysłach Geetów, ponieważ coraz trudniej było na nie polować. Wydawało się, że wiedzą, kiedy się zbliża, i całkowicie opuściły jaskinie rok albo dwa po tym, jak uzyskał miot o miękkim ciele w kolorze słabej herbaty. Chociaż prawie zapomniał Aldebarana, wizerunek Methiny trwał w jego umyśle, i Sikes, niczym zdeprawowany rzeźbiarz pracujący na całym gatunku niewinnych istot, skrupulatnie dążył do swojego ideału.

Srebrzyste liście opadły z drzew, zmieniły się w duchy i zostały wskrzeszone tak wiele razy, że Sikes musiał dwukrotnie wymieniać wyszczerbioną i popękaną błękitną planszę do gry. Nie chcę opisywać ze szczegółami potwornych eksperymentów, którym poddawał biedne stworzenia w ciągu tego wieku rzezi, ale pewnego dnia, gdy szukał w lesie ich nowej kryjówki, w oddali ujrzał jedną z dorosłych samic. Zapewne go usłyszała, ponieważ znieruchomiała przykucnięta. Sikes popatrzył przez lunetę karabinu i niemal stracił oddech. W odległości dwustu metrów od niego stała Methina. Sikes był już starcem, pomarszczonym, przygarbionym, łysym i kulawym, ale jej widok rozbudził w nim pożądanie. Pozostało mu tylko uzyskać oczy w kolorze legendarnej zielonej wędrującej gwiazdy Karjeet.

Wciąż uprawiał kukurydzę i przez lata dziesięciokrotnie pomnożył roczne plony. Warzywo nie tylko stało się podstawą jego jadłospisu, ale także stanowiło prawdziwy smakołyk dla Geetów, które z każdym kolejnym pokoleniem coraz bardziej je uwielbiały, dzięki czemu Sikes mógł łatwiej

wywabiać je z ukrycia. Pewnego dnia schował się za leżącym pniem pięćdziesiąt metrów od sterty kukurydzy, gdy nagle usłyszał jakiś odgłos za swoimi plecami. Szybko się odwrócił i zobaczył biegnącą w jego kierunku Methinę. Otworzyła usta, ukazując rząd ostrych zębów, element anatomii, którego wcześniej nie widział u Geetów. Rzucił się w kierunku karabinu, ale tak nieudolnie, że tylko go od siebie odepchnął.

Stworzenie przygwoździło starca do ziemi i zatopiło kły w jego ramieniu. Ogarnięty bólem i oszołomiony, czuł w sobie mieszaną pożądania i strachu. W ostatniej chwili, zanim samica zdążyła chwycić go za szyję, Sikes sięgnął po nóż i poderżnął jej gardło.

Uklęknął nad pięknym ciałem, które stworzył, i pokręcił głową, zastanawiając się, jak mógł przeoczyć rosnącą agresję Geetów. Przypomniał sobie, że kilka dni wcześniej widział, jak stado jego wyjątkowych Methin zaatakowało i pożarło niedoskonałego osobnika z owłosieniem na twarzy, którego zranił w ramię niecelnym strzałem. Tak bardzo zobojętniał na śmierć Geetów, że wtedy nie zwrócił na to wydarzenie większej uwagi, ale teraz zrozumiał, że zbliżając się do doskonałości, stworzenia stają się coraz bardziej niebezpieczne. Potem usłyszał w lesie wokół siebie odgłosy kolejnych Geetów i wycofał się do swojego obozowiska przy południowym jeziorku.

Jak dotąd, bezskutecznie dążył do uzyskania koloru Karjeet. Doświadczył kolejnych ataków Methin, ale teraz zawsze miał przy sobie naładowany karabin. Nie był zachwycony, że musi zabijać udane osobniki, których oczy jeszcze nie były idealne, ale barwą już zbliżały się do dojrzałej limonki. Wykonując tę makabryczną pracę, coraz częściej wspominał swoje życie w Aldebaranie.

Pewnego wieczoru, po samotnym rozegraniu chyba najbardziej udanej partii Kukurydzianego Labiryntu, zasnął w swoim schronieniu i przyśniło mu się, że lecą razem z Methiną ponad iglicami zabutelkowanego miasta. Stanęli na szczycie Wieży Shivy, a kiedy przyszła jego kolej, by wzbić się pod kopułę, udało mu się pokonać tylko połowę dystansu. Z każdym następnym skokiem mocniej machał rękami i miał wrażenie, że zbliża się do punktu kulminacyjnego. Methina stała na platformie obserwacyjnej i coraz głośniej pokrzykiwała, gdy kolejne pchnięcia przybliżały go do celu. Gdy już miał dotknąć palcem środka kopuły, nagle się obudził.

Blask planety otoczonej pierścieniami wlewał się przez niewielkie okno

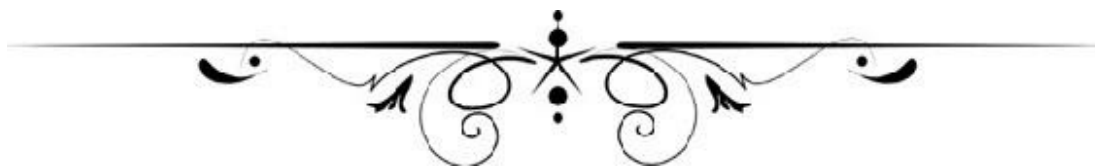
ponad jego posłaniem na podłodze. Nagle Sikes zdał sobie sprawę, że nie jest sam w pomieszczeniu. Otarł oczy i zobaczył ich lśniące włosy, pogrążone w cieniu krągłości oraz miękkie kontury nagich ciał.

– Methino – powiedział, wyciągając ręce.

Gdy do niego podeszła, wykonując ostatni ruch Miłosnego Podstępu, uśmiechnęła się ostro w swoich niezliczonych formach.

Proszę bardzo, oto jedno ziarno ludzkiej historii, które może posłużyć jako przykład całej wypaczonej gry. Planeta, na której został uwięziony Sikes, dziś nazywa się Fereshin, a oaza, w której mieszkał, wciąż istnieje. Geety wciąż tam żyją i nastąpiły w nich kolejne zmiany, zapoczątkowane przez zesłańca. Niektóre przypominają Methinę, a ich oczy, o ironio, uzyskały barwę zieleni Karjeet. Ta zmiana nie nastąpiła dzięki działaniom Sikesa, ale na skutek pożerania osobników, które rodzą się bez wyselekcjonowanych cech. Zapewne odpowiada za to jakaś substancja chemiczna w sercu.

Nienaturalne praktyki Sikesa sprawiły, że cały gatunek stał się bardziej inteligentny. Methiny, które zachorowały po zjedzeniu mięsa swojego stwórcy, nauczyły się, żeby nigdy więcej nie pożerać podobnych istot. Wygląd Sikesa utrwalił się w ich nowo rozbudzonych umysłach, więc zjadając brzydkie osobniki, jednocześnie unikały Geetów, które go przypominały. Minęło wiele pokoleń. Gdybyście dzisiaj polecieali na Fereshin i znaleźli daleką oazę pośród czerwonej pustyni, okazałoby się, że zamieszkują ją liczne kopie Sikesa i Methiny, niczym para ukochanych uwięzionych w labiryncie luster.



Starą zasadą pisania literatury jest pokazywanie zamiast opowiadania, jednak niektórzy pisarze potrafią opowiadać z cudownym skutkiem – Borges, Czechow, Steven Millhauser, czasami Kipling. To właśnie tekst w takim duchu. Zainspirowała mnie książka o hinduskich bóstwach autorstwa Roberto Calasso. W tamtych zadziwiających mitach

szalone zakręty fabularne następują bez ostrzeżenia. Autorzy nie przejmują się technikami, które współcześni pisarze uznają za konieczne w celu zawieszenia niewiary przez czytelnika. Pomysł drastycznej zmiany gatunku na drodze nienaturalnej selekcji, który pojawia się na końcu *Dalekiej oazy*, zrodził się w mojej głowie po przeczytaniu jednego z tekstów w zbiorze *Kosmos* Carla Sagana. Tam Sagan opowiada o pewnym miejscu położonym nad Morzem Japońskim, gdzie księżniczka i jej orszak samurajów woleli się utopić niż oddać w ręce wrogów. W kolejnych wiekach miejscowi rybacy czasami łapali kraby, na których skorupach widniał wzór przypominający twarz samuraja, a wtedy wrzucali je z powrotem do wody, żeby uhonorować dawną ofiarę. Dziś w tamtych wodach żyje gatunek kraba ozdobionego szczegółowymi portretami szlachetnych wojowników.

KOBIETA, KTÓRA LICZY SWOJE ODDECHY

Dorothy Himmelreich jest krępa, ma obfity biust i brzuch, pośladki jak u Rubensa oraz raczej szczupłe kończyny. Nosi krótkie tlenione włosy, których nigdy dokładnie nie czesze. Nie mają one większego znaczenia, gdyż służą jedynie jako obramowanie jej mięsistej twarzy o dużym obwisłym podbródku i grubych ustach. Nos ma krótki i nieco cofnięty. Głęboko osadzone oczy stale są w ruchu i badają pomieszczenie, sprawdzając, czy wszystko jest zgodne z jej oczekiwaniami. Jeśli zobaczy niegrzeczne dziecko albo kogoś, kto wyraża złożoną myśl, jej górna warga lekko się marszczy, a nozdrza rozszerzają. Delikatny uśmiech, który nie ma nic wspólnego z radością, stanowi wyraźną oznakę, że zaraz wszystko uporządkuje. Towarzyszy jej aura nieustannej podejrzliwości i gotowości do bycia urażoną.

Każdy wie, że Dorothy Himmelreich wszystko liczy. Słupy telefoniczne mijane na spacerze, kroki od domu do skrzynki pocztowej na końcu podjazdu, kropki na grzbiecie biedronki, dzwonki rozbrzmiewające zanim ktoś odbierze telefon, gwiazdy na nocnym niebie, kichnięcia męża. Gdy kończy się dzień, moja teściowa, Dorothy Himmelreich, leży w łóżku z zamkniętymi oczami i przed zaśnięciem liczy swoje oddechy. Samo doświadczenie życia jest dla niej jak bieżący rachunek. Być może chce mieć pewność, że gdy nadejdzie pora na ostateczne podsumowanie, nikt jej nie oszuka. Jest chorobliwie skąpa, do tego stopnia, że kiedyś ucieszyła się z zakupu nowego ogrodowego węża, uznała bowiem, że to już ostatni taki wydatek w jej życiu. Najbardziej lubi opowiadać anegdotę o tym, jak pewna sprzedawczyni pomyłkowo policzyła jej za mało za zakupy.

Skoro tak się troszczy o pieniądze, można by pomyśleć, że nie wydaje ich

na niepotrzebne przedmioty, a jednak jest inaczej. Kupuje wszystko, co jest tanie, i to w dużych ilościach, niezależnie od tego, czy jest jej potrzebne. Każdego wiosennego i letniego weekendu wcześniej wychodzi z domu i objeżdża okoliczne wyprzedaże garażowe oraz pchle targi. „Zapłaciłam za to wszystko tylko dziesięć dolarów”, mówi mężowi, wskazując pudło pełne rdzewiejących gadżetów, pojedynczych talerzy obiadowych z wycofanych kompletów, starych narzędzi, popielniczek (Dorothy nie pali), imprezowych dekoracji, koszul z lat siedemdziesiątych z plamami od sosu. Jej mąż tylko patrzy z niedowierzaniem i szeroko otwartymi ustami, myśląc o trzecim miejscu w garażu, które jest tak zawałone rupieciami, że przypomina przysłowiową „ciemną stronę księżyca”. Ale nie bądźmy zbyt surowi; na koniec każdego lata moja teściowa organizuje własną wyprzedaż garażową i próbuje zarobić na zgromadzonych przedmiotach. Rozstanie z nimi nie sprawia jej bólu, ponieważ wie, że następnej wiosny nabiera górę nowych śmieci.

Jej system wartości stanowi mieszankę stoicyzmu z przesądami. Jeśli zechcesz odpocząć w ciągu dnia, zaczniesz tłuc w garnki i patelnie w kuchni, trzaskać drzwiami i głośno wołać. Drzemki są wykroczeniem porównywalnym do publicznej masturbacji. Jeśli opowiesz jej o supernowej, którą niedawno odkryto na skraju wszechświata, pokręci głową, zmruży oczy i każe ci pokazać, gdzie wyczytałeś taką historię. Zapewne nie będziesz miał czasopisma przy sobie, więc tylko uśmiechnie się z satysfakcją. Kiedyś powiedziała mi, że nie chciałaby wygrać na loterii, gdyż to uczyniłoby ją sławną, a wielkie katastrofy spotykają tylko sławnych ludzi. Jej dzieci do pewnego stopnia zaakceptowały ten przesądny system. Pamiętają historię małego chłopca z sąsiedztwa, którego nie lubiła, ponieważ był niegrzeczny. Gdy skończył dwanaście lat, wspiął się na wieżę ciśnień w miasteczku i skoczył, ginąc na miejscu. Wtedy Dorothy powiedziała swojej rodzinie, że rzuciła na chłopca klątwę. Gdy dziś mówi się o tym w jej towarzystwie, nie przyznaje się do klątwy, tylko zaczyna się śmiać, a w jej oczach płonie dyskretny ogień.

Jej próby okazywania uczuć przypominają rozkładanie karabinu przez wyszkolonego żołnierza. Słowa „Nie przejmuj się, wszystko się ułoży”, które zazwyczaj wypowiadają mądrzy starzy ludzie, w jej ustach zmieniają się w „Znów postąpiłeś idiotycznie”. Chociaż nie potrafi okazywać emocji, moja żona twierdzi, że kiedyś widziała, jak jej matka płacze. Na kredensie w

salonie Dorothy trzymała swoje kryształowe zwierzątka. Były to drogie bibeloty, a jej mąż nigdy nie musiał się zastanawiać nad prezentem, tylko w każde święta dawał jej pieniądze na kolejny element kolekcji. Kilkadziesiąt zwierzaków ustawionych w koncentrycznie rozchodzące się okręgi otaczało jej ulubiony okaz, delikatną ważkę, którą kupiła wiele lat temu za pierwszą wypłatę w swojej pierwszej pracy. Raz w miesiącu w niemal rytualny sposób odkurzała każdą z figurek za pomocą małej irchowej szmatki o rozmiarach czterech znaczków pocztowych. Pewnego razu ważka wyślizgnęła się jej z dłoni i rozbiła na małe kawałki na twardej drewnianej podłodze. Reakcja Dorothy trwała tylko chwilę, ale w jej oczach pojawiły się łzy, a z ust wydobył się cichy odgłos cierpienia. Kilka lat później przytapałem ją na wpatrywaniu się w lukę pośrodku swojego kryształowego zoo. Miała nienaturalnie puste spojrzenie i lekko rozchylone usta.

Lodowata natura mojej teściowej wywierała niekorzystny wpływ na jej męża i dzieci. Teraz dzieci już dorosły, założyły rodziny i mieszkają oddzielnie, ale Dorothy wciąż więzi całą czwórkę na swojej orbicie. W jej przypadku najskuteczniej sprawdza się wściekłe milczenie, niewypowiedziana, ale oczywista nagana. Moja żona od dłuższego czasu chodzi do psychologa, próbując odkryć, w jaki sposób zadowolić matkę. Najstarszy syn ma zszargane nerwy. Nie potrafi niczego zostawić w spokoju. Jeśli na jego stopie pojawia się kurzajka, musi ją wydlubać skalpelem. Starsza siostra mojej żony szuka ukojenia w wysokiej pozycji społecznej, ukrywając dawne rozczarowania za jedwabnymi strojami i okularami przeciwsłonecznymi od znanych projektantów. Młodszy brat został policjantem, a w obliczu wydarzeń nacechowanych emocjami wpatruje się milcząco w przestrzeń. Wszyscy są bardzo oszczędni. Wszyscy potrafią zauważyć szyld garażowej wyprzedaży, jadąc setką po zatłoczonej szosie. Dorothy nie akceptuje ich współmałżonków ani sposobu, w jaki wychowują dzieci. Trudno powiedzieć, jak bardzo jest odpowiedzialna za posepny nastrój swojego męża. Kiedyś był kreatywnym artystą odnoszącym sukcesy. Dzisiaj jest ponurakiem, który nie potrafi wziąć do ręki pędzla bez przeklinania swojego życia. Ze względu na pogardę, z jaką jego żona odnosi się do drzemek, codziennie sypia do południa. Potem zjada lunch i pracuje do kolacji, a następnie zaczyna się raczyć martini. Każdego wieczoru siada w swoim fotelu w pracowni i wbija wzrok w telewizor, skacząc po czterdziestu sześciu kanałach, próbując znaleźć jakiś film erotyczny, który pozwoli mu

przetrwac noc. Kiedy go spytacie, jak sie miewa, odpowie, ze „kiepsko”.

W czasach kryzysu umysl kobiety, ktora liczy swoje oddechy, pracuje bezblednie, jakby wypeľniały go wirujace kola zebate rodem ze szwajcarskiego zegarka, a nie łatwa do wyprowadzenia z rownowagi substancja szara. Jej sposobem na rozwiazywanie wiekszosci problemow jest przywrócenie porzadku za wszelka cene, a nastepnie wymierzenie szybkiej i surowej kary winowajcom. Dorothy nie uznaje wypadkow; nawet za nieunikniony chaos towarzyszący normalnym zmianom ktos odpowiada, najczesciej czlonek jakiejś mniejszosci. Od czasu do czasu kobieta uznaje za konieczne przypomniec samej Matce Naturze, ze nie bedzie tolerowala zadnego cwaniactwa.

Młodszy brat mojej żony powiedzial mi, ze pewnego dnia znalazł szopa w pojemniku na smieci i zdołal go uwięzić, szczelnie zatraskujac pokrywe i nakrywajac ja duza cegla. W tej samej chwili, jakby wiedziala, ze jest potrzebna, Dorothy pojawila sie ubrana w nocna koszule. Ocenila sytuacje wzrokiem, ktory mogłby skruszyc skale, po czym zaczelala wywarkiwać rozkazy. „Przynies latarke. Potem idz do pralni po wybielacz i amoniak”. Kiedy brat żony wrócił, zobaczył, ze wziala kijek narciarski ze sterty smieci w garażu i zrobila otwor w plastikowej pokrywie pojemnika. Z jakiegoś powodu zalozyła czarna narciarska rekawice na dlon, ktora trzymala kijek. Polecila synowi, zeby trzymal latarke w gorze za jej plecami, i strofowala go za kazdym razem, gdy snop swiatla zbaczal z otworu. „Amoniak”, polecila, jak chirurg proszacy o skalpel. Syn jej usłuchal, a ona opróznila butelke do otworu. To samo zrobila z wybielaczem. Po kilku sekundach z dziury wydobyła sie zółtawoszara mgielka, jak dym ulatujacy z komina zimowym wieczorem, a z wnętrza pojemnika dobieglo drapanie pazurów o twardy plastik. Dorothy stala i nasłuchiwała przez dziesiec minut, a jej nozdra sie rozdymaly. Bylo widać, ze liczy. Wkrótce w pojemniku zapanowala cisza. Wtedy odwróčila sie do swojego syna i powiedziala, jakby przekazujac ostatnie wskazówki dotyczace przygotowania potrawy: „Wyjmij go i zatucz łopata. Potem odetnij ogon i gdzieś zakop”.

Przyszla na swiat w czasach kryzysu jako jedynaczka. Jej rodzina byla uboga i oboje rodzice musieli pracowac. Matka harowala w szwalni, a ojciec

malował domy. Widziałem ich zdjęcia. Wysoka i smukła para. Matka nosiła niewielkie okulary o okrągłych szklach, które opierały się na czubku jej nosa, i spinała włosy w kok, tak ciasny, że przypominał kamień, którym można by cisnąć w okno. Ojciec był chudy jak patyk i miał grube nadgarstki, a na każdym zdjęciu ma minę, która wygląda jak połączenie przerażenia z zaskoczeniem. Ulubionym zajęciem matki było prasowanie. Jak kiedyś powiedziała Dorothy: „Ona kochała prasować. Mogła to robić cały dzień”. Ulubionym hobby ojca, oprócz picia piwa, był haft krzyżykowy. Mieszkali na parterze starego piętrowego domu. Mieszkanie nad nimi zajmowała włoska rodzina Calabriów.

Kobieta, która liczy swoje oddechy, miała samotne dzieciństwo. Jej rodzice pracowali sześć dni w tygodniu, wychodząc z domu przed wschodem słońca i wracając dopiero późnym wieczorem. Dziecko każdego dnia budziło się w pustym domu, a gdy zapadał zmierzch, wpełzało pod pościel, nie mając przy sobie nikogo, kto przeczytałby mu bajkę albo dodał otuchy w ciemności. Posiłki jadała u Calabriów na piętrze i dziś chętnie przyznaje, że tak naprawdę to pani Calabria ją wychowała. Gdy nie była u zastępczej rodziny na kolacji lub obiedzie (śniadania, zazwyczaj składające się z kromki chleba, jadała w swoim mieszkaniu), spędzała czas samotnie. Wędrowała po okolicy, a największą przyjemność sprawiało jej klękanie na chodniku i oglądanie owadów. Najbardziej lubiła mrówki, gdyż podobało się jej, jak maszerują z determinacją w pojedynczym szeregu, jak wracają po swoich martwych towarzyszy, których rozgniatała palcem, jak wspólnie usuwają kamyki, którymi zatykała ich wejścia. Większość czasu spędzała w domu, wpatrując się w okno, licząc sekundy dzielące ją od niedzieli, kiedy rodzice nie musieli pracować.

Niedziele były dniami domowych obowiązków. Dorothy sprzątała razem z matką. Potem przygotowywały jedzenie, robiły dżem, piekły chleb. Ich mieszkanie nie było duże, ale porządki trwały od wschodu słońca do kolacji. Czuła, że jest najbliżej matki, gdy mogła obserwować jak ta prasuje. Trzy godziny cichego zespolenia, zaparowane okulary staruszki przesłaniające jej oczy. W niedzielę ojciec wstawał wcześniej i szedł do baru po piwo. Wracał późnym popołudniem z wiadrem browaru i do kolacji siedział przy oknie, pijąc i haftując inicjały na chustkach, tworząc ozdoby na ścianę z napisem „Pełny kredens, puste serce”. Zamierzał sprzedawać swoje dzieła, ale tak naprawdę tylko zalegały one w mieszkaniu. Przed snem dziewczynka

podnosiła nocną koszulę, a ojciec drapał ją po plecach, nie paznokciami, ale szorstkimi opuszkami palców. Gdy dzisiaj Dorothy o tym opowiada, uśmiecha się i zaciska usta jak imadło.

Pewnego dnia, podczas jednej z samotnych wędrówek przez miasto, odkryła dziwne „coś” rosnące na gałęzi młodego dębu. Było lśniące i brązowe i przypominało miniaturowy mózg. Dziewczynka odłamała gałąź, zabrała ją do domu i schowała w swoim pokoju. Sekundy dzielące ją od niedzieli minęły dwukrotnie, aż pewnego ranka obudziła się i stwierdziła, że w jej pokoju jest pełno istot, które wzięła za wróżki. Wszędzie się krzątały, krążąc po gołej drewnianej podłodze, wspinając się po zasłonach, wędrując po suficie, skacząc po toalecie, wyglądając z butów, poznając topografię jej pofałdowanej kołdry. Były malutkie i ciemne i przez większość czasu stały na dwóch nogach jak mali ludzie. Gdy Dorothy wypełzła z łóżka i dotknęła stopami podłogi, natychmiast znieruchomiały. Po bliższych oględzinach stwierdziła, że to młode modliszki, a dziwny mózg był ich gniazdem. Usiadła i w ciszy zaczęła je liczyć, a owady stopniowo przyzwyczyły się do jej obecności, po czym wróciły do swoich zajęć.

Tamtego ranka zrezygnowała ze skromnego śniadania i zaczęła przygotowywać dla nich zabawkowy domek. Zbudowała forty z klocków i ustawiła flotę drewnianych łódeczek, wyrzeźbionych przez jej ojca, na jeziorze, którym był niebieski pleciony dywan. Do obiadu stworzyła tętniące życiem owadzie miasto. Gdy kładła się spać wieczorem, modliszki wspinały się po nogach łóżka i wchodziły pod pościel. Rano Dorothy budziła się pokryta dziesiątkami malutkich czerwonych śladów po ugryzieniach. Chociaż swędziały i sprawiały jej ból, nikomu o nich nie mówiła. W tamtych dniach ani przez chwilę nie czuła się samotna.

To wszystko trwało do niedzieli, gdy jej ojciec, chcąc podrapać ją po plecach, pomimo piwnego odurzenia zauważył setki ugryzień. Dorothy wyrzuciła z pamięci rzeź, która nastąpiła potem. Widząc, jak jej szerokie nozdrza zaciskają się, gdy opowiada tę historię, wyobrażam sobie jej matkę skrupulatnie tropiącą mieszkańców miasta modliszek i miażdżącą ich z taką samą cierpliwością, jaką wykazywała się podczas prasowania. Jednakże Dorothy nie wspomina o tym ani słowem, więc szczegóły tego, co zaszło, muszą pozostać tajemnicą.

Pewnego niedzielnego popołudnia, w trakcie prasowania, matka Dorothy zdjęła okulary i oznajmiła, że jest w ciąży. Dorothy nie widziała w nowym

dziecku partnera, z którym mogłaby się podzielić brzemieniem liczenia, ale rywała w walce o uwagę i tak zapracowanych rodziców. Zanim matka ponownie założyła okulary, dodała, że sypialnia Dorothy zostanie przekształcona w pokój dziecięcy, a ojciec uzyskał zgodę na zbudowanie dla niej nowego pokoju na tyłach domu. Ojciec, który ostatnio stał się wyjątkowo małomówny i nie radził sobie zarówno z codziennymi obowiązkami, jak i z haftowaniem, natychmiast zabrał się do pracy, poświęcając na to wieczory i weekendy. Zawsze miał rękę do narzędzi i już wcześniej zajmował się budowaniem, tym razem jednak brakowało mu zwyczajowej wytrwałości i dokładności. Wtedy nikt nie mógł wiedzieć, że ujawniały się u niego pierwsze objawy zatrucia łożem. Pokój na tyłach domu powstał w ciągu miesiąca. Był tak nieudolnie zbudowany, że jego ściany chwiały się pod wpływem podmuchów jesiennego wiatru, a między niedopasowanymi deskami ziały dziury, podobnie jak w mózgu ojca Dorothy. Jedynym solidnym elementem pokoju były drzwi, przypominające wejście do skarbcza, które musiały być stale zamknięte, żeby zimne powietrze nie przedostało się na korytarz i nie zaszkodziło oczekiwanej dziecku.

Dorothy bezzwłocznie przeniesiono do ciemnej, zagraconej przybudówki, żeby urządzić pokój dla dziecka. Nocami leżała pod stertą kołder i zmagła się z przerażeniem. Wiatr wpadający przez szpary w ścianach wydawał odgłosy przypominające szept. W umyśle dziewczynki te dźwięki zmieniały się w słowa i Dorothy wyobrażała sobie, że to diabeł zasypuje ją nieprzerwanym strumieniem gróźb i przekleństw. Gdy opowiedziała o tym rodzicom, kazali jej się nie wygłupiać, ale kiedy zwierzyła się Calabriom, rodzinie pobożnych katolików, ci w milczeniu pokiwali głowami i uczynili znak krzyża. Od tamtej pory podczas obiadów i kolacji sadzali ją przy osobnym stole. Nocami, jeśli udawało się jej zasnąć, śniła, że powódź porwa jej pokój albo że potężny podmuch wiatru przewraca słabe ściany, grzebiąc ją żywcem. Mimo że miała zszargane nerwy, wiedziała, że większość tego, co ją niepokoi, to tylko wytwory jej umysłu. Jednakże kiedy coś zaczęło biegać po jej łóżku w środku nocy, doszła do wniosku, że pokój nawiedziła jakaś istota z krwi i kości. Obudziła się, czując uderzenia czyichś stóp na swoich przykrytych nogach, i krzyknęła, ale wiatr przenikający dziurawy pokój porwał jej wrzask, zanim ktokolwiek zdołał go usłyszeć.

Konieczność chciała się dowiedzieć, co ją odwiedziło, więc zmusiła się do tego, żeby nie zasnąć. Kiedy wyczuła obecność swojego gościa, szybko

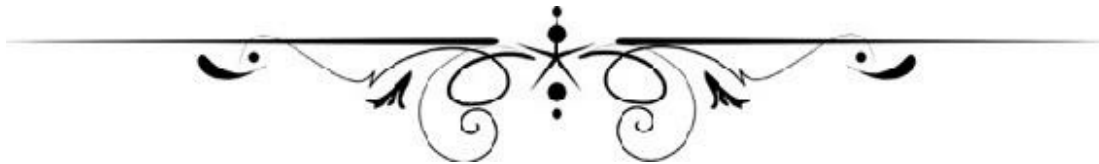
zapaliła świeczkę. W nagłym rozbłysku światła zobaczyła olbrzymiego czarnego szczura siedzącego na drugim końcu jej łóżka. Rzuciła w jego kierunku świecę, po czym z wrzaskiem zanurkowała na podłogę. Dopiero kiedy szczur wtargnął do innej części domu i pokazał się matce Dorothy, ktoś uwierzył w jego istnienie. Do tamtej chwili dziewczynka spędziła wiele bezsennych nocy, odstraszać zwierzę świecą. Oczywiście rozstawiono pułapki. Pewnej niedzieli cała rodzina usłyszała, jak jedna z nich się zatrząskuje, po czym dom wypełnił się rozdzierającym wrzaskiem szczura. Pobiegli do kuchni i zobaczyli, jak zwierzak miota się w pułapce obok kubła na śmieci. Był tak potężny i wyglądał tak groźnie, że nikt nie wiedział, co z nim zrobić. Z niedowierzaniem patrzyli, jak odgryza sobie łapę, po czym ucieka do łazienki na zakrwawionym kikucie. Ojciec Dorothy zatrzasnął za nim drzwi, a matka pobiegła na górę do Calabriów, żeby przyprowadzić Pana Białka.

Pan Białek był głuchym, długowłosym kocurem o rozmiarach niewielkiego psa. W okolicy słynał z tego, że nigdy nie przegrał walki, a kiedyś wskoczył na grzbiet pewnemu owczarkowi niemieckiemu, zatopił w nim pazury i przegonił go po całej ulicy. Pana Białka wrzucono do łazienki w ślad za szczurem i niemal natychmiast w środku rozgorzała walka. Po odgłosach domyślili się, że szczur schował się w dużej wiekowej wannie stojącej na czterech porcelanowych lwich łapach. Calabriowie się przeżegnali. Matka Dorothy sztywno wpatrywała się w drzwi, a ojciec więcej niż raz zapomniał, co robi. Sama dziewczynka podobno w pewnej chwili załamała się i zaczęła wrzeszczeć razem ze zwierzętami. Ostatecznie szczur zginął, a Pan Białek wyłonił się z łazienki, ledwie trzymając się na nogach.

Wkrótce po bitwie w wannie kocur zdechł, a niedługo zmarł także ojciec Dorothy. Ołów zawarty w farbach, z którymi miał styczność przez większość życia, zatrzał mu krew i pomieszał umysł. Mężczyzna coraz bardziej pogryzał się w obłędzie, opuszczając kolejne miejsca pracy i często odzyskując świadomość w innym miasteczku, zalewając sobie spodnie piwem i haftując w powietrzu. Gdy pozostała z niego już tylko chodząca i mamrocząca skorupa, spędzał dni w domu razem z dzieckiem, a brzemię opieki nad nim spadło na Dorothy, która ciężko walczyła, wskoczywszy śmierci na grzbiet i wożąc się na nim tygodniami. W końcu jej ojciec zmarł pewnej nocy w swoim fotelu; wcześniej jego skóra przybrała lekko zielony odcień na skutek zatrucia krwi. Tej samej wiosny matka poroniła zaledwie kilka tygodni przed

planowanym porodem. Wtedy Dorothy z powrotem wprowadziła się do swojej dawnej sypialni.

Czasy były bardzo ciężkie, a matka i córka żyły z dnia na dzień. Podejrzewam, że właśnie wtedy Dorothy przestała liczyć jedynie sekundy dzielące ją od najbliższej niedzieli i nieskończenie rozszerzyła zakres swojego rachunku.



Kiedy napisałem to opowiadanie, właśnie czytałem Freuda. Nie przejmowałem się znanym tym, czy wierzę w jego teorie dotyczące działania ludzkiego umysłu. Freud, niezależnie od wartości swoich teorii, jest znakomitym pisarzem z prawdziwym talentem do dramatycznych i nieoczekiwanych zwrotów akcji. Książka *Trzy historie choroby* zawładnęła moją wyobraźnią. Opisane są w niej przypadki „Wilka”, „Szczura” i „Psychotycznego doktora Schrebera”. Każdy z nich opisano zgodnie z tym samym schematem. Freud najpierw przedstawia „problem” (daną manię i sposób, w jaki ta się objawia), a następnie dokonuje analizy. Co ciekawe, sama analiza często bywa bardziej dziwaczna niż schorzenie. W opowiadaniu *Kobieta, która liczy swoje oddechy* zastosowałem ten schemat do zbadania osobowości bohaterki. W jednym Freud z pewnością miał rację – już od wczesnego dzieciństwa w naszym życiu działają potężne siły i pojawiają się ważne okoliczności, które czynią nas tym, kim jesteśmy. Zagłębianie się w nie i badanie przyczyn poszczególnych ludzkich zachowań często pozwala nam lepiej zrozumieć ich (oraz nasze własne) człowieczeństwo.

REPARATA

Każdy z nas pamięta, gdzie był, gdy nadeszły wieści o śmierci królowej Josette. Ja stałem w półmroku na szczycie urwiska zwanego Obojętność i łapałem nietoperze na przynętę z much. Podo mną miękki blask pałacowych świateł zmieniał rozkład w piękno, a wiatr z południa przynosił wspomnienie niedawnego sztormu. Właśnie dostrzegłem spadającą gwiazdę chowającą się za odległymi górami, gdy nagle poczułem szarpnięcie za linkę, a chwilę potem rozległ się ostry wrzask, niczym krzyk ziemi, dobiegający z pałacu. Najpierw usłyszałem go w piersi. Słowa by mnie nie przekonały, ale ten rozpaczliwy krzyk jasno dał mi do zrozumienia, że królowa umarła.

Josette była sierotą, którą trupa wędrownych aktorów pozostawiła pod bramą pałacu. Gdy się u nas pojawiła, była zawieszona pomiędzy dzieciństwem a dorosłością. Miała cudownie smukłe i gibkie ciało, zielone oczy oraz ciemne włosy ostrzyżone krótko jak u chłopaka. Podejrzewam, że porzucono ją z nadzieją, że piękno i inteligencja pozwolą jej znaleźć lepsze życie niż to w drodze. To było w czasach, gdy Ingess zaczynał tworzyć swój dwór ze społecznych wyrzutków. Gdy ją zobaczył, natychmiast mianował ją Panią Luster, ale wszyscy wiedzieliśmy, że pewnego dnia zostanie Królową. Dramatyczne wydarzenia, które doprowadziły ją do tych zaszczytów, na zawsze pozostały ulubionym tematem rozmów dworzan.

Jej włosy urosły i oplątały nas wszystkich urokiem oraz niewinnością. Ingess ożenił się z nią pewnego chłodnego letniego dnia pięć lat po jej przybyciu, a na sygnał, którym był ich pocałunek, Nadzorca Sytuacji wypuścił tysiąc motyli. Wszyscy kochaliśmy ją jak córkę, a najmłodszy traktowali ją jak matkę. Nigdy nie była zmanierowana i nie wykorzystywała swojej pozycji, rozumiejąc lepiej niż ktokolwiek równowagę, która stanowiła duszę pałacu Reparata. Jej serdeczność idealnie pasowała do komicznej

szczodrości Ingessa.

Po jej śmierci Jego Królewska Mość, jak należało, by go nazywano, rozpadł się jak światło rozszczepione w pryzmacie. Siedziałem razem z nim w ogrodach przez cztery kolejne noce, paląc fajkę i słuchając, jak płaczem wita świt. Wylane łzy pozbawiły go urody i zmieniły we wrak człowieka, wymizerowaną staruchę o lśniących blond włosach.

„Posłuchaj, Ingessie”, mówiłem, ale nie potrafiłem niczego dodać, tak bardzo przytłaczała mnie logika jego smutku.

Zawsze wtedy machał ręką i odwracał głowę.

W ten sposób świat, który udało mu się stworzyć dzięki złotu pozostawionemu przez jego przodka pirata, nagle stracił znaczenie. Zanim Josette zabiło ukąszenie jadowitego pająka, Reparata była miejscem, gdzie żebrzący włóczęga mógł zostać przyjęty i mianowany Dworskim Rachmistrem albo Czwartkowym Wielkim Astronomem. Każdy mieszkaniec pałacu otrzymał jakiś tytuł od Jego Królewskiej Mości. Nikomu niczego nie brakowało, a Reparata stała się oazą na morzu rozczarowania i okrucieństwa, którym dla każdego z nas był świat.

Nigdy wcześniej królewska świta nie składała się z takich szumowin. Hrabina Frouch była prostytutką, którą w jej rodzinnym nadmorskim miasteczku Gile nazywano Kartofelkiem. Jego Królewska Mość przyjął ją z serdecznością i bez osądzania, podobnie jak Tendon Dursta, krąglego szaleńca w okularach, który święcie wierzył, że jest połączony za pomocą wspólnego oka ze swoim widmowym bliźniakiem. Durst zaczął dzień jako wariat, a skończył go we własnej pałacowej komnacie z tytułem Głównego Filozofa. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy nikogo, kto potrafiłby równocześnie mówić obiema stronami ust, ale tamtej nocy lunatykujący Durst oznajmił nam dwoma głosami naraz, że nigdy nie opuści Reparaty. Wszyscy podzielaliśmy jego przekonanie.

Nawet Ringlat, rozbójnik ukrywający się przed prawem, sumiennie wypełniał swoje obowiązki Królewskiego Biskupa. Nasze życie zmieniło się dzięki otrzymanej pozycji społecznej oraz dziwnym obowiązkom, które Jego Królewska Mość wymyślał dla nas podczas pierwszego spotkania, gdy staliśmy przed nim u bram pałacu, żebrząc o piątkę chleba albo oczy torbacza, którego przyrządzano na śniadanie. Nastąpiły ciężkie czasy, ale Ingess miał tak olbrzymie bogactwa, a Reparata była tak bardzo oddalona od reszty świata, że nikogo, kto zdobył się na odwagę, by tam zawędrować i

poprosić o wsparcie, nie odsyłano z pustymi rękami. Żyliśmy jak w bajce, dopóki dotknięty nagłym atakiem narkolepsji czytelnik nie zamknął oczu i nie zasnął.

Gdybyśmy chcieli okraść Jego Królewską Mość, czas jego żałoby idealnie by się do tego nadawał. Zamiast tego z jeszcze większym oddaniem poświęciliśmy się swoim obowiązkom, na zmianę doglądając naszego przepełnionego melancholią przywódcy. Mój pełny tytuł brzmiał Najwyższy Władca Następnego Tygodnia. Ingess, oprócz tego, że dysponował ekscentrycznym poczuciem humoru, musiał zdawać sobie sprawę, że to jedyne stanowisko na tyle mało konkretne, by utemperować kierujące mną impulsy. Chociaż nigdy wcześniej nie parałem się uczciwą pracą, teraz samodzielnie wymyśliłem i wykonywałem serię rytualnych czynności, które definiowały moją pozycję na dworze. Jedną z nich było chwytanie nietoperzy, które miały wyłapywać komary w pałacowych ogrodach. Kolejną – odkurzanie przedmiotów składowanych na pałacowym poddaszu.

W każdy poniedziałkowy poranek wygłaszałem odezwy, a w poniedziałek po śmierci Josette ogłosiłem dworzanom, że powinniśmy poszukać pomocy lekarskiej dla Jego Królewskiej Mości. Władca zaczął wszędzie widywać ducha swojej młodej żony i marniał w oczach za sprawą mocnych trunków, bezsenności i smutku.

„Nawet w tej chwili widzę ją obok Fontanny Delfinów, Flam”, powiedział mi pewnej nocy w ogrodach.

Obejrzałem się na fontannę i niczego nie zauważyłem, ale desperacja w jego wzroku sprawiła, że po plecach przebiegł mi zimny dreszcz.

Okazało się, że była to pierwsza moja odezwa, której posłuchano. Dodało mi to animuszu i nie czekałem do kolejnego tygodnia. Posłaliśmy gołębie pocztowe do wszystkich okolicznych królestw, zapytując, czy ktokolwiek potrafi uleczyć smutek spowodowany stratą. W zamian obiecaliśmy fortunę w złocie. Zmieniłem swój tytuł na Sumienie Króla i z całej mocy starałem się uleczyć Ingessa, nie tylko dla jego własnego dobra, ale także dla dobra państwa.

Podczas gdy czekaliśmy na odpowiedź, Jego Królewska Mość na zmianę szalał i wpatrywał się w pustkę, od czasu do czasu przerywając, żeby pieścić dłonią puste powietrze. Jego żaloba miała tak histeryczny przebieg, że zacząłem się zastanawiać, czy to naturalne. Poleciałem Wstępującemu, Chinowi Mokesowi, pięciokrotnie skazanemu za fałszerstwa, żeby zajął się

podpisywaniem królewskich rachunków, dzięki czemu dwór mógł sprawnie funkcjonować. Ktoś wpadł na pomysł, żeby przebrać którąś z kobiet za Josette, solidnie ją przypudrować, założyć jej perukę i ustawić w cieniu w ogrodzie, gdzie miała powiedzieć Ingessowi, żeby przestał ją opłakiwać. Jednakże, kiedy hrabina Frouch wyśmiała nas głosem, od którego mógłby uschnąć cały las, dostrzegliśmy, jak próżny był to plan.

Minęły dwa uciążliwe, ślimaczące się miesiące pełne przygnębienia, aż wreszcie doszły nas słuchy, że do portu w Gile przybył podróżny lekarz z dalekiego kraju. Frouch i ja pojechaliśmy tam królewską karocą powożoną przez samego Tendona Dursta. Chociaż obawiałem się, czy filozof potrafi odnaleźć drogę, wiedziałem, że na jego niewidzialnym bracie zazwyczaj można polegać. O świcie dotarliśmy na wybrzeże i zobaczyliśmy stada mew krążące nad wypływającymi łodziami rybackimi.

– Myślisz, że to dobry pomysł, żebyś tutaj wracała? – spytałem hrabinę, gdy wysiedliśmy z karocy.

– To test – odparła, poprawiając diadem na kręconych włosach i rozdeptując niedopałek.

Buty na wysokim obcasie niezbyt dobrze się sprawdzały na deskach i bruku Gile, ale i tak je włożyła. Uważałem, że etola z rysia to lekka przesada, ale kim jestem, żeby o tym wyrokować? Żeby godnie się prezentować jako Sumienie Króla, włożyłem jeden z jego najlepszych jedwabnych garniturów ze stojącym kołnierzykiem z wygiętymi rogami oraz dopasowaną pelerynę. Dodatkowo pożyczyłem duży sygnet wysadzany brylantami. Zostawiliśmy Głównego Filozofa pogrążonego w głębokiej medytacji i ruszyliśmy jako członkowie królewskiej rodziny wzdłuż sterty rybich szkieletów w stronę promenady prowadzącej do tawerny.

Właściciel lokalu znał hrabinę w jej wcześniejszym życiu i ucieszył się, że tak dobrze jej się powodzi. Spyaliśmy, czy widział zagranicznego uzdrowiciela, a on potwierdził.

– Niski jegomość z długą brodą. Ubrany tylko w długą szatę i buty. – Oberżysta się roześmiał. – Przychodzi każdego dnia wkrótce po wschodzie słońca i prosi o drinka, którego nauczył mnie przyrządzać i którego nazywa Łzami Księżniczki Jang. Wieńczy go obłok pianki, z którego zielony deszcz nieprzerwanie pada przez czyste niebo z ginu na dno szklanki. Widać, że zna się na rzeczy.

Zamówiłem dla nas dwa takie drinki, płacąc złotą monetą. Oberżysta nie

posiadał się z radości. Usiedliśmy przy dużym frontowym oknie, które wychodziło na przystań i zatokę. Żadne z nas się nie odzywało. Rozmyślałem o swojej transformacji z niechcianego włóczęgi w przedstawiciela królestwa, a sądząc po wzroku Frouch, ona myślała o czymś podobnym. Dziwny drink miał gorzko-słodki smak, chłodny cytrus ukryty pod obłokiem smutku. Nagle zabrzmiał dzwonek przy drzwiach i wszedł nasz uzdrowiciel.

Oberżysta nas przedstawił, a medyk uklonił się tak nisko, że pokazał łysinę w kształcie gwiazdy. Powiedział, że jego imię nie ma znaczenia, lecz jego sława sięga nawet dalekiej Wyspy Szczekających Dzieci.

– Widzę, że jest pan dobrze znany – odrzekła hrabina – ale czy potrafi pan uleczyć stratę?

– Potrafię uleczyć każdą dolegliwość, hrabino – odpowiedział.

– Także śmierć? – spytałem.

– Śmierć nie jest chorobą.

Zgodził się towarzyszyć nam w drodze powrotnej do pałacu pod warunkiem, że się z nim napijemy. Oberżysta przyniósł nam kolejkę Łez Księżniczki Jang na koszt lokalu i ponownie usiedliśmy przy stole obok okna.

– Czuję, że jest pani blisko związana z tym miejscem, hrabino – rzekł uzdrowiciel.

– Ma pan umysł ostry jak kostka masła – odparła Frouch, zapalając papierosa.

– Żałuje pani spędzonych tutaj dni? – spytał.

– Gdyby tak było, musiałabym żałować, że żyję – odpowiedziała, zwracając twarz w stronę okna. Tamtego ranka popłynęły nie tylko Łzy Księżniczki Jang.

Uzdrowiciel pokiwał głową i zabrał się za swojego drinka w sposób, który mógł świadczyć o tym, że sam także żałuje kilku rzeczy. Miałem nadzieję, że jego rozczarowania nie dotyczą zdrowia pacjentów.

Jechaliśmy do pałacu w całkowitym milczeniu. Uzdrowiciel siedział obok Frouch, a ja naprzeciwko nich. Podczas gdy karoca podskakiwała na źle utrzymanej drodze z Gile, uważnie przyglądałem się człowiekowi, którego wynajęliśmy. Jego twarz, na wpół zasłonięta przez siwą brodę, była podstarzała, ale zarazem pełna łagodnej witalności. Wiedziałem, że się uśmiecha, chociaż jego usta się nie poruszały. Na obu dłoniach miał wytatuowane wijące się węże. Szata, którą miał na sobie, nie wyglądała na

zagraniczny strój, tylko na tani flanelowy szlafrok, jaki mogłaby włożyć żona rybaka. Na szyi nosił amulet na sznurku – ekstrawagancki fałszywy rubin otoczony szklanymi brylantami wprawionymi w gwiazdę z pomalowanej na złoto blaszki. Jego niewielki jutowy worek wiercił się u moich stóp.

– Smutek tego młodzieńca go pochłonie, jeśli nie podejmę drastycznych kroków – oznajmił uzdrowiciel po całodziennej obserwacji Jego Królewskiej Mości.

Siedzieliśmy w jadalni przy zachodnim krańcu stołu, który był tak długi i duży, że dworzanie nazywali go wyspą. Było późno i większość mieszkańców pałacu już spała. Sączyłem kawę, a medyk z zapalem jadł prosto z miseczki chrupiące szarańcze z dzikim miodem, które pałacowy kucharz, Najwyższy Gastronom Grenis Saint-Geedon, niegdyś słynny zabójca, zgodził się dla niego przyrządzić, specjalnie wstając w tym celu z posłania.

– Co pan ma na myśli? – spytałem.

– Widzi pan, co robię z tą miseczką świętego pokarmu? – odrzekł uzdrowiciel, któremu noga szarańczy sterczała z prawego kącika ust. – Smutek pożre jego duszę.

– Czy on umrze?

– To nie jest najgorsze – odparł starzec.

– Co to za drastyczne kroki?

– Zapewniam, że kiedy już zacznę, będzie pan żałował, że mnie o to poprosił.

– Potrafi go pan wyleczyć? – spytałem.

– Mam co do tego pewność – odrzekł medyk, unosząc miseczkę, żeby ją wylizać – która jest zakorzeniona w pierwszych chwilach aktu stworzenia.

Albo ten człowiek był idiotą, albo tak wielkim lekarzem, że jego metody i sposób bycia zostały ukształtowane przez jakąś wysoko zaawansowaną zagraniczną kulturę. Jego strój oraz maniery przy stole nie wskazywały na to drugie, ale widok Ingessa wlekącego się jak lunatyk przez główną salę wystarczył, żebym uznał diagnozę za trafioną. Jego Królewska Mość skurczył się i wyglądał na całkowicie przybitego. Nawet jego blond włosy rozpadały się i zmieniały w sól, unosząc się jego śladem, gdy szedł jak w

letargu.

Bałem się, że hrabina mnie wyśmieje, gdy poinformuję ją o swojej decyzji, ale mimo to, powiedziałem do uzdrowiciela, który właśnie odstawił miseczkę na stół:

– Niech pan robi to, co konieczne.

Starzec szeroko się uśmiechnął, ukazując potrzaskane zęby. Uniósł amulet wiszący mu na piersi i ucałował efektowny rubin tkwiący na środku.

– Będzie pan tego żałował – rzekł.

– Już żałuję.

Następnego ranka musiałem przemówić do zgromadzenia dworzan na temat Ingessa i jego leczenia. Spotkaliśmy się w pałacowym teatrze w pełnym pięćdziesięciuosobowym składzie. Stałem na scenie, ponownie ubrany w elegancki strój Jego Królewskiej Mości, żeby dodać moim słowom mocy. Jakimś cudem Frouch mnie oszczędziła, gdy przekazałem zgromadzonym swoją decyzję, ale pozostali byli nastawieni bardzo sceptycznie. Nic dziwnego – widzieli i spotkali uzdrowiciela.

– To oszust! – zawołał Chin Mokes, co rozochociło innych dworzan, ponieważ nikt tak dobrze nie znał się na fałszerstwie.

– Zjada owady – dodał Najwyższy Gastronom, po czym splunął, według opowieści tak samo jak kiedyś na czoła swoich wszystkich ofiar.

Kanclerz Śmieci nie bawił się w subtelności.

– To żaden lekarz, tylko Dziadek Bałagan. Nie potrafiłby nikogo wyleczyć z niestrawności, chyba że poprzez wyjście z pokoju.

– Jest sławny nawet na dalekiej Wyspie Szczekających Dzieci – odpowiedziałem.

– Pewnie sprząta tam chodniki! – krzyknął ktoś.

Biżuteria zgromadzonych dworzan oślepiła mnie i zaczęło mi się kręcić w głowie. Pot pokrył moją brew i po raz pierwszy od przybycia do Reparaty poczułem się opuszczony, tak samo jak podczas wcześniejszej wieloletniej tułaczki.

Wtedy wstała hrabina i wszyscy natychmiast zamilkli.

– Każdy z was miał okazję zepsuć powietrze. Teraz pora zająć się ratowaniem Jego Królewskiej Mości. Jeśli nikt nie ma lepszego planu, posłuchamy rad uzdrowiciela i zastosujemy jego terapię.

Kanclerz Śmieci szeroko otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Frouch szybko dodała, nawet na niego nie patrząc:

– Jeśli nie chcesz, żebym cię wyśmiała, zachowaj dla siebie tę część swojego tytułu, która właśnie ma się wydobyć z twoich ust.

Kanclerz zrezygnował i opadł na swoje krzesło, jakby chciał się uchylić przed szyderczym chichotem.

Przed następnym wschodem słońca leczenie się rozpoczęło.

Jego Królewska Mość leżał całkowicie nagi na stole w pałacowym szpitalu, lekko kołysząc się na boki i mrużąc pod nosem różne dziwactwa. Frouch i ja byliśmy obecni jako przedstawiciele dworu. Oprócz uzdrowiciela w terapii uczestniczył jeszcze młodzieniec Pester, Księżę Stajni, który siedział na stołku w kącie pomieszczenia, gotowy na każde skinienie lekarza. Wezwaliśmy także Dursta, Głównego Filozofa, żeby sprawdzić, czy uda mu się odszyfrować słowa, które mogły być ostatnim przesłaniem Ingessa. W tamtych czasach panowało powszechne przekonanie, że jeden szaleniec potrafi zrozumieć bełkot drugiego. Uzdrowiciel się niecierpliwił, ale kazaliśmy mu się wstrzymać, wyjaśniając, jak ważna może być wiadomość od króla dla jego lojalnych poddanych.

Durst przyszedł obarczony niewidzialnym brzemieniem swojego bliźniaka, wbrew logice prowadząc dwie równoległe dyskusje na odrębne tematy i używając do tego obu kącików ust.

– Mój drogi Filozofie – rzekła hrabina – zawstydzasz zdrowych na umyśle.

Durst ukłonił się najniżej, jak pozwalał mu jego brzuch, po czym wyprostował się i wysłuchał naszej prośby z czymś, co przypominało uwagę. Wzruszyło nas, jaką dumą napęła go fakt, że może się do czegoś przydać w tej kryzysowej sytuacji. Z uroczystą miną podszedł do stołu, na którym leżał Ingess, i nachylił się, żeby wysłuchać gorączkowego potoku słów.

Podczas gdy Główny Filozof wypełniał swoje obowiązki, Frouch szturchnęła mnie łokciem w bok. Oboje z trudem utrzymywaliśmy powagę, patrząc na Dursta. Uzdrowiciel, widząc tę sytuację, tylko pokręcił głową i westchnął ze zniecierpliwieniem.

Gdy Durst wreszcie się obejrzał, spytaliśmy go, co mówi Ingess.

– Dla mnie to wszystko brzmi jak bełkot – odparł zmieszany.

Hrabina i ja parsknęliśmy śmiechem.

– Ale – ciągnął Filozof, podnosząc prawy palec wskazujący – mój brat mówi, że Jego Królewską Mość niepokoi strumyk przepływający pod mostem.

– Fascynujące – rzekł uzdrowiciel, wyprowadzając Dursta z pomieszczenia.

Gdy staruszek wrócił, postawił swój jutowy worek na stole obok głowy Ingessa, po czym wyjął z niego okulary, których szkła miały postać długich czarnych cylindrów o metalowych końcówkach. Założył je na głowę króla i poprawił cylindry tak, że całkowicie zakrywały mu oczy. Gdy tylko to dziwaczne urządzenie znalazło się na miejscu, Ingess wydał z siebie potężne westchnienie, po czym sflaczał.

– Co to jest? – spytałem.

Uzdrowiciel na chwilę rozwiązał sznurek szlafroka i mocniej owinął się jego połamami.

– Na końcu tych dwóch tuneli znajduje się obraz, który, ze względu na nakładanie się pól widzenia, sprawia wrażenie trójwymiarowego. Jest tak bezgranicznie fascynujący, że patrzący o niczym innym nie myśli. Czas, ból i żal są wypychane z umysłu przez kunsztowne piękno obserwowanej sceny.

– Co to za obraz? – spytała Frouch.

– Nie potrafię wyjaśnić – odparł medyk. – Jest zbyt złożony.

– Dlaczego to konieczne? – spytałem.

– Ponieważ w przeciwnym razie to, co zamierzam zrobić waszemu władcy, sprawiłoby mu tak duży ból, że jego wrzaski doprowadziłyby do szaleństwa każdego, kto przebywa w pałacu. – Następnie sięgnął do worka i wyjął wijące się zielone stworzenie wielkości palca wskazującego.

Hrabina i ja podeszliśmy bliżej, żeby sprawdzić, co trzyma w dłoni. Stworzenie składało się z licznych segmentów, miało jasnozielony kolor i przypominało stonogę o lawendowej głowie z małutkimi czarnymi różkami.

– Sirimon – powiedział z cudzoziemskim akcentem.

– Wygląda jak gąsienica – stwierdziła Frouch.

– Owszem – przyznał starzec. – Ale nie dajcie się zwieść, to Sirimon.

– Jego Królewska Mość nie będzie musiał go zjeść, prawda? – spytałem, przełykając ślinę na wspomnienie nocnej przekąski uzdrowiciela.

– Nic z tych rzeczy – odparł medyk, po czym ostrożnie przysunął rękę do lewego ucha Ingessa. Następnie zagwizdał wysoko i przesywając, a małe stworzenie powędrowało po jego dłoni i wślizgnęło się do wnętrza głowy Jego Królewskiej Mości.

Frouch roześmiała się, próbując zapanować nad przerażeniem. Ja odwróciłem się, czując wzbierające mdłości.

– Teraz czekamy – powiedział uzdrowiciel. Przysunął sobie krzesło i usiadł.

W czwartej godzinie milczącego oczekiwania staruszek zanotował składniki Łez Księżniczki Jang i dał kartkę Pesterowi.

– Powiedz barmanowi, żeby nie zapomniał o ziołowej nalewce – polecił.

Chłopak pokiwał głową, a ja, zanim zdążył wyjść z pokoju, zawołałem za nim:

– Poproś o dwie porcje.

– Niech przygotuje większy zapas – rzekła Frouch.

Pester wrócił, niosąc tacę z trzema szklankami i największym dzbankiem, jaki znajdował się w pałacu, pełnym wzburzonego płynnego smutku. Frouch zapaliła papierosa, a uzdrowiciel napełnił szklanki. Przez chwilę rozmawialiśmy, a lekarz zabawił nas opowieścią o swoim najnowszym pacjencie, mężczyźnie, który za sprawą obsesyjnej lektury religijnych tekstów stał się tak prosty i prymitywny, że zaczął się zmieniać w małpę.

– Jego żona każdego ranka musiała go wabić bananami, żeby zszedł z drzewa.

– Zmienił pan jego nawyki czytelnicze? – spytała hrabina.

– Nie, ogoliłem mu ciało i przepisałem trzy lekkie stuknięcia młotkiem w głowę: na śniadanie, obiad i kolację.

Chciałem spytać, czy biedak się z tego wykaraskał, ale zanim zdążyłem się odezwać, zdałem sobie sprawę z irytującego i niepokojącego cichego dźwięku, który na chwilę zbił mnie z tropu.

– Co to za odgłos? – spytałem, niepewnie wstając.

– Tak, ja też go słyszę – dodała Frouch. – Jakby ktoś gniótł papier.

– To Sirimon – wyjaśnił uzdrowiciel.

Podszedłem do Ingessa i wytężyłem słuch. Cichy dźwięk najwyraźniej dobiegał z wnętrza jego głowy. Nachyliłem się i przyłożyłem ucho do ucha króla. Z przerażeniem uzmysłowiłem sobie, że taki sam odgłos, chociaż tym razem stłumiony przez mięso i czaszkę, słyszałem, gdy uzdrowiciel pałaszował szarańcze.

– Co to ma znaczyć?! – zawołałem.

Starzec się uśmiechnął.

– Sirimon wprowadza zmiany, tworzy nowe ścieżki, trawi melancholię.

Zasnąłem i zanurzyłem się w koszmarnych wspomnieniach z dzieciństwa, gdy nagle jakaś dłoń wyłoniła się z ciemności i uderzyła mnie w tył głowy. Kiedy się ocknąłem i potarłem oczy, zobaczyłem przed sobą uzdrowiciela, który trzymał piekielnego zielonego robaka, obrzmiałego i wijącego się.

– Sirimon skończył.

Frouch stała przy stole, na którym leżał Ingess. Jej upudrowane włosy oklapły i zwisały na środek pleców. Wbijała pusty wzrok w Jego Królewską Mość, jej śmiech przypominał szloch. Dziwaczne okulary zniknęły, a źrenice Ingessa uciekły do góry, ukazując białka. Król miał szeroko otwarte usta, jakby próbował wypuścić przez nie wrzask, który był zbyt duży, żeby się precyzyjnie przeliczyć.

– Szybko, do kuchni – polecił uzdrowiciel.

W tej chwili do pomieszczenia wszedł Pester na czele grupy mężczyzn – China Mokesa, Grenisa Saint-Geedona, Ringlata i Dursta. Rozpętała się chaos, w którym poproszono nas o przeniesienie Jego Królewskiej Mości do kuchni. Gdy się tam znaleźliśmy, uzdrowiciel kazał nam przywiązać władcę do olbrzymiego rożna, na którym Najwyższy Gastronom podczas uczt obracał całe prosiaki. Gdy Jego Królewska Mość został solidnie przytwierdzony do metalowego pręta, medyk poprosił Grenisa, by ten przekręcił rożen, tak aby lewe ucho pacjenta znalazło się nad ziemią. Potem starzec polecił Pesterowi przynieść duży garnek i ustawić go w palenisku, bezpośrednio pod uchem króla.

Chwilę po tym, jak chłopak postawił garnek, kropla lepkiego białego płynu wypłynęła z ucha Jego Królewskiej Mości i wpadła do naczynia. Wszyscy cofnęliśmy się o krok. Potem z ucha wypłynął strumień mazi, jak piwo z odkręconego kranika, wypełniając garnek.

– Powiedział, że nie możemy pozwolić, aby cokolwiek złego stało się z tą substancją – oznajmiła Frouch, która właśnie pojawiła się w kuchni.

– Co to jest, do diabła? – spytał Ringlat.

Odwrociłem się, żeby spytać uzdrowiciela o to samo, ale jego już nie było.

– Dobra robota, Flam – rzekł Chin Mokes. – Zmieniłeś króla w bukłak z mazią.

– Gdzie jest ten lekarz? – spytał Grenis Saint-Geedon, biorąc rzeźnicki nóż ze stojaka. Wyszedł z kuchni z mordem wypisanym na twarzy.

W ciągu kolejnych dwóch godzin garnek wypełnił się niemal po brzegi, ale nam nie udało się odszukać uzdrowiciela. O świcie Ingess otworzył oczy i ziewnął.

Mieszkańcy pałacu ucieszyli się, że Jego Królewska Mość powrócił do pełni zdrowia. Przez kolejny tydzień potrzebował pomocy w zaspokajaniu podstawowych potrzeb, ale gdy tylko okres rekonwalescencji dobiegł końca, na nowo podjął swoje królewskie obowiązki. Większość włosów, które stracił, już zaczynała odrastać, a mięśnie odzyskiwały dawną sprawność. Chociaż melancholia odeszła, zabrała ze sobą jakąś cząstkę Ingessa, ponieważ na jego twarzy pojawiły się delikatne zmarszczki, dzięki którym wyglądał bardziej dojrzałe. Już nie płakał całymi godzinami. Prawdę mówiąc, od czasu terapii nie zauważyłem, żeby uronił choć jedną łzę. Nigdy się też nie śmiał, i ten drobiazg nie dawał mi spokoju, jak kłopotliwy kamyk w bucie.

Pewnej nocy poszedłem do ogrodu, żeby wypuścić nietoperze, i zastałem go siedzącego na ławce naprzeciwko Fontanny Delfinów, wpatrującego się w księżyc.

– Dzisiaj Durst wygłosił wykład na temat natury wszechświata. Wierzy, że wszystko zaczęło się od olbrzymiej eksplozji – powiedziałem i roześmiałem się zbyt głośno, chcąc, żeby się do mnie przyłączył.

Ingess tylko pokręcił głową.

– Biedny Durst – odrzekł. – Nigdy ci nie mówiłem, ale zapytałem o niego w szpitalu dla obłąkanych, z którego uciekł. Okazało się, że miał brata bliźniaka, który utonął w wieku dziesięciu lat. Durst mógłby go uratować, ale za bardzo bał się wody.

– Wasza Królewska Mość – odezwałem się, rozdrażniony jego odpowiedzią – dlaczego wpatrujesz się w księżyc?

– Nie nazywaj mnie tak więcej, Flam. Nie jestem królem, tylko wnukiem pirata, który odziedziczył zdecydowanie za dużo złota.

– Jak sobie życzysz.

Obrócił się i ze względu na mnie zmusił do uśmiechu.

– Każ Saint-Geedonowi przygotować ucztę. Chcę wszystkim podziękować za wysiłek, jaki podjęli, żeby mnie uratować.

Pokiwałem głową i odszedłem.

Później tego samego wieczoru znalazłem Frouch na tarasie wychodzącym na lustrzany staw. Siedziała w cieniu donicy z mimozą i karmiła pawie

okruchami chleba.

Usiadłem obok i opowiedziałem jej o uczcie, która miała się odbyć za dwa dni. Rozpromieniła się, gdy o tym usłyszała.

– Czekałam na okazję, żeby włożyć nową sukienkę.

– Jak się teraz czujesz, gdy wszystko wróciło do normalności? – spytałem.

– Genialnie się spisywałeś jako Sumienie Króla – odparła.

– Wolałbym o tym wszystkim zapomnieć. Ale jedno wciąż nie daje mi spokoju.

– Obraz na końcu dziwnych okularów uzdrowiciela?

Pokręciłem głową.

– Co się stało z mazią, która wyleciała z ucha Ingessa?

Frouch klasnęła, żeby odpędzić ptaki, po czym wyprostowała się na krześle.

– Chcesz powiedzieć, że nie widziałeś?

– Nie.

– Więc chodź – powiedziała, wstając. – Musisz to zobaczyć.

Wzięła mnie za rękę i poprowadziła korytarzami, a ja poczułem się nieswojo za tarczą jej niebezpiecznego śmiechu.

Zakończyliśmy naszą wędrowkę w niewielkiej kaplicy na północnym krańcu pałacu. Kiedy weszliśmy, Minister Snu, stara pani Kofnep, właśnie zapalała ostatnią świecę wotywną. Za nią, na okazałych rozmiarów satynowej poduszce leżącej na ołtarzu, spoczywała olbrzymia kula pokryta drobnymi białymi włoskami.

– Oto ona – rzekła Frouch.

– To coś? – spytałem, wskazując palcem.

Pani Kofnep przywitała nas, po czym sama zwróciła wzrok na dziwny obiekt.

– Jeszcze nie zdecydowałam, czy to jajo, jądro czy może replika świata – rzekła z kpiącym uśmiechem.

– Przybrała postać kuli następnego dnia po wydostaniu się z głowy Jego Królewskiej Mości – wyjaśniła hrabina.

– Dwa dni temu nie było tych białych włosków – dodała pani Kofnep.

– Kazałam ją tutaj przenieść dla bezpieczeństwa – rzekła Frouch.

Przez jakiś czas patrzyliśmy na kulę, po czym Minister Snu wyszła, jak zwykle narzekając na bezsenność.

Następnego dnia byłem zajęty przygotowaniem do uczy, ale przed snem wróciłem do kaplicy, żeby ponownie zerknąć na dziwny obiekt. Zaszły w nim wyraźne zmiany, i teraz był rozciągnięty i zwężał się na dwóch końcach, a na środku pojawiło się duże wybrzuszenie. Białe włosy znacznie urosły i teraz otulały coś, co delikatnie falowało we wnętrzu obiektu.

Uczta odbyła się w głównej sali balowej, a Najwyższy Gastronom przeszedł samego siebie, podając liczne egzotyczne potrawy. Rolę przystawki pełnił pasztet z wroniej wątroby podawany na cienkich jak papier kawałkach kandyzowanego bursztynu. Głównymi daniami były drób, wieprzowina, wołowina, a nawet mięso krokodyla przyrządzone z owocami i warzywami, które wyglądały jak tropikalne wyspy unoszące się na spokojnych morzach sosu. Na każdym stoliku stała miska ze Łzami Księżniczki Jang, drink bowiem ostatnio zrobił prawdziwą furorę w pałacu.

Ringlat udzielił błogosławieństwa, podczas którego porównał utratę Josette do rabunku na drodze, a nasze wspólne próby wskrzeszenia Ingessa – do prawdziwej mocy Prawa. Nie licząc pani Kofnep, nikt z nas nie był przesadnie religijny. Kiedy Ringlat skończył, rozejrzałem się i ujrzałem pochylone głowy oraz całą gamę wymuszonych symbolicznych religijnych gestów. Gdy Durst stanął na podwyższeniu, odetchnąłem z ulgą, wiedząc, że jego paplanina będzie stanowiła odtrutkę na powagę kazania biskupa. Nie zawiodłem się. Durst stwierdził, że jego darem dla Ingessa jest odkrycie znaczenia Czasu. Snując swoje zagmatwane rozważania, jedną stroną ust stwierdził, że Czas istnieje po to, by wieczność szybciej przemijała, drugą zaś oznajmił, że służy temu, by ta mijała wolniej. Otrzymał od nas owację na stojąco, po czym zabrał się do picia.

Przez całą galę Jego Królewska Mość siedział na podeście, nic nie jadł ani nie pił, tylko kiwał głową ze sztucznym uśmiechem. Po trzeciej szklaneczce Łez zapomniałem o niepokoju i wyszedłem na parkiet z hrabiną. Z okazji przyjęcia przytwierdziła sobie do górnej wargi fałszywy pieprzyk, który wydał mi się niezwykle pociągający. Na pewnym etapie swojego życia była piękna, a tego wieczoru, ubrana w kremową suknię, z włosami upiętymi w dwa stożkowate rogi i ozdobionymi kwiatami mimozy, zbliżyła się do dawnego blasku, niczym zegar, który zatrzymał się zaledwie minutę przed północą.

– Flam, tańczysz tak, że zaraz będę musiała prowadzić cię po parkiecie za pomocą przynęty z bananów – powiedziała szeptem i zaśmiała się do mojego

ucha.

Ten śmiech mnie nie wystraszył, tylko przyprawił o zawroty głowy, jakby Sirimon torował nową ścieżkę w tej części mojego mózgu, która odpowiada za pożądanie.

Chin Mokes chodził na rękach. Pester wirował jak derwisz. Znakomity Pasterz Kurzu śpiewał arię o nieodwzajemnionej miłości olbrzyma. Zaczynała Siódma naśladować wiejskie zwierzęta, dopóki nie zasnęła pod stołem, na którym wznosiła się wyspa pieczonego prosiaka. Sala balowa zmieniła się w wirującą burzę serdeczności i entuzjazmu, a w jej centrum siedział Ingess, który wyglądał jakby spał z otwartymi oczami. Z jego ust ani na chwilę nie zniknął uśmiech, nikomu nie odmawiał uścisku dłoni czy dziękczynnego pocałunku, ale ani razu się nie roześmiał.

Nagle, już po deserze, na który podano czekoladowe balony, rozległ się przenikliwy wrzask cierpienia i w sali zapanowała głucha cisza. Uniosłem wzrok znad drinka, żeby sprawdzić, co uciszyło tłum, i zobaczyłem Minister Snu, panią Kofnep, która stała w progu północnych drzwi i rozpaczliwie próbowała złapać oddech.

– Chodźcie prędko! – wykrzyknęła. – Coś się dzieje w kaplicy!

Odwróciła się i pośpiesznie wyszła, a my podążyliśmy jej śladem.

W niewielkiej kaplicy było akurat tyle miejsca, żeby pomieścić nas wszystkich, dopóki Pester siedział na ramionach Dursta. Stłoczyliśmy się w środku, dysząc i pocąc się po przemierzeniu biegiem Korytarza Światła i Cienia, rotundy Królewskiego Muzeum oraz schodów prowadzących w dół obok obserwatorium. Na ołtarzu, biała istota, o której już wiedziałem, że jest kokonem, szaleńczo falowała, podskakiwała i wydawała ostre okrzyki, na tyle wysokie i cienkie, że mogły przejść przez ucho igielne.

Dworzanie patrzyli w niemym zdumieniu i tylko Ingess zdołał wyciągnąć swój długi sztylet na wypadek, gdyby nowo narodzone stworzenie miało się okazać potworem. Ludzie przywarli do siebie nawzajem, gdy biała powłoka zaczęła się rozdzierać przy wtórze odgłosu, który brzmiał jak trzask pękających spodni grubasa. Ingess stęknął i upuścił sztylet, gdy istota zaczęła się rozwijać. Narodzinom towarzyszyła eksplozja drobnego białego proszku, który natychmiast uleciał z widmowym wiatrem. Gdy powietrze się oczyściło, zobaczyłem ją unoszącą się ponad ołtarzem, olbrzymią prześwitującą ćmę o skrzydłach wielkich jak prześcieradła. Wyglądała na tylko nieco bardziej rzeczywistą od ducha i lśniła w świetle migoczących

świec wotywnych.

Tłum stał się chórem i wstrzymał oddech, po czym westchnął, gdy stwór machnął potężnymi skrzydłami i przeleciał nam nad głowami, kierując się w stronę drzwi. Pester, który siedział na ramionach Dursta z wyrazem zadziwienia na twarzy, uniósł rękę i przesunął palcem wskazującym po spodniej części tułowia ćmy, gdy ta wylatywała na korytarz, a wtedy jego palec zniknął jak zdmuchnięty płomień. Zdziwienie na twarzy chłopaka ustąpiło miejsca przerażeniu i zaczął wrzeszczeć. Chcieliśmy mu pomóc, ale pył opadający ze skrzydeł istoty dostał się nam do oczu. Poczułem smutek głębszy niż w dniu śmierci mojej matki, gdy miałem pięć lat. Wszyscy dworzanie zapłakali. Tylko u Ingessa nie pojawiły się żadne objawy. Zobaczyłem, jak podnosi sztylet z podłogi z takim samym stoickim wyrazem twarzy, jaki towarzyszył mu podczas całej uczty.

Kiedy pył ćmy przestał działać, zgromadziliśmy się wokół Pestera, żeby przyjrzeć się jego dłoni.

– Nie czułem bólu – powiedział. – Tylko smutek w sercu.

Niektórzy dotykali miejsca, z którego zniknął palec, nie mogąc uwierzyć, że go nie ma. Ringlat, wiedząc, że jako biskup powinien w takiej chwili zrobić coś doniosłego, chociaż nie miał pojęcia, co by to mogło być, ujął chłopca za rękę i ucałował kikut. Mokes nawet poprosił Tendona Dursta o jakieś wyjaśnienie, a Główny Filozof wymamrotał coś o owadzim strachu i planecie otoczonej pierścieniami. Chin pokiwał głową, udając, że rozumie. Dziwny pył zakrył pieprzyk na twarzy Frouch, likwidując jej uwodzicielski czar. Wszyscy jazgotali jak sroki, a jedynym, co w końcu ustalono, było to, że należy się napić. Zanim wyszliśmy z kaplicy, Ingess nas przeprosił, zwłaszcza Pestera, ponieważ uznał, że odpowiada za pojawienie się ćmy.

Na zakończenie wieczoru każdy, wliczając władcę, upił się prawie do nieprzytomności. Zastanawialiśmy się, dokąd uciekł stwór, ale nikt nie miał ochoty wybrać się na poszukiwania. Przed świtem powlekliśmy się do swoich komnat jak żywe trupy, żeby karmić się koszmarami. Tuż przed zaśnięciem pomyślałem o Frouch i jej ulotnym pięknie.

Przez trzy dni ćma nie dawała znaku życia i dworzanie zaczęli czuć się swobodniej, uznając, że nadszedł czas zakończyć tragiczną sagę dotyczącą śmierci Josette. Wiem, że do Ingessa zgłosił się Saint-Geedon oraz kilka innych osób z propozycją rozpoczęcia projektu, który pozwoliłby wskrzesić dawnego ducha Reparaty, ale Jego Królewska Mość bardzo grzecznie ich

zbył, odpowiadając, że rozważy wszystkie sugestie.

Wieczorem trzeciego dnia, gdy siedziałem w ogrodzie z klatką pełną nietoperzy, zauważyłem ćmę. Uniosła się powoli zza żywopłotu jak bezpańska genialna myśl, a ja upuściłem fajkę na kolana. Chciałem uciec, ale zahipnotyzowała mnie płynna elegancja, z jaką poruszała się wzdłuż ściany zieleni. Gdy w końcu doszedłem do siebie, zwróciłem uwagę na ten sam odgłos, który wydawał Sirimon, gdy baraszkował w głowie Ingessa. W ciągu niecałej minuty stwór pozbawił roślinności duży fragment żywopłotu, pozostawiając szkielet gałęzi. Nerwowo podniosłem wieko klatki z nietoperzami, mając nadzieję, że ich obecność odstraszy ćmę. Nietoperze jak zwykle rozpaczliwie wyroiły się ze swojego więzienia i rozpierzchły po ogrodzie, ale żaden nie śmiał zbliżyć się do stwora. Zanim wstałem z krzesła, zobaczyłem, jak ćma pochłania w całości krzak róży, kilometr pnączy, wszystkie lilie tygrysie Josette oraz liście potężnej wierzby płaczącej.

Następnego ranka, po tym jak ćma ponownie zniknęła, dworzanie zebrali się w ogrodzie, a raczej w tym, co z niego zostało. Zniszczenia były tak rozległe, że mogłem policzyć na palcach liście, które wciąż trzymały się gałęzi. Zagłada tego szczególnego miejsca napełniła nas smutkiem, ale chwilowo zagłuszała go fascynacja nienasyconym apetytem stwora oraz skutecznością zaspokajania go.

– Mamy dużą sieć? – spytał Kanclerz Śmieci.

– A co, chcesz się z nią zmierzyć? – spytał Pester, unosząc okaleczoną dłoń.

– Trzeba ją zniszczyć – odrzekł Ringlat. – Jest zbyt niebezpieczna.

– Ale jest piękna – zaprotestowała Zaczna Siódma.

– Ogród był piękny – odparł biskup. – To coś jest złe.

Ingess stanął pośród tłumu i kolejno popatrzył na każdego z nas.

– Ćmy nie wolno krzywdzić – powiedział.

– Ale ona jest niegodna – rzekł Ringlat.

– Nie wolno jej krzywdzić pod karą śmierci – dodał Ingess, po czym odwrócił się i odszedł w stronę pałacu.

Dworzanie nic nie powiedzieli, ale wszyscy wbili wzrok w ziemię jak skarczone dzieci. Groźba śmierci ze strony Ingessa była jak strzała przebijająca serce Reparaty. Poczuliśmy, jak rozwiewa się duch pałacu.

– Kara śmierci? – odezwał się Chin Mokes, kiedy Jego Królewska Mość znalazł się poza zasięgiem słuchu, po czym ze smutkiem pokręcił głową.

Pozostali zrobili to samo, wychodząc ze zniszczonego ogrodu.

Zawołałem do Frouch, żeby na mnie zaczekała, ale ku mojemu zaskoczeniu odwróciła się i oddaliła w kierunku pałacu.

Jak się wkrótce przekonaliśmy, ogród był tylko początkiem. Następnego wieczoru eteryczny żarłok zaatakował szafy w południowym skrzydle i, przemieszczając się od komnaty do komnaty, pochłonał: całą bieliznę i eleganckie stroje mieszkających tam osób. Pozostały tylko ubrania, w których dworzanie przybyli do Reparaty i które przechowywali w kufrach. Następnego dnia, podczas śniadania spotkałem się z Kanclerzem Śmieci, ubranym w strój klauna, który w poprzednim życiu wkładał do pracy. Miał olbrzymie buty, za krótki krawat, pasiastą kamizelę i kraciaste spodnie. Donośnym głosem rozpaczliwie próbował się wytłumaczyć, a jego zażenowanie było zaraźliwe. Byłem przygnębiony, widząc połowę dworzan snujących się w podartych strojach.

Ingess polecił królewskiemu księgowemu przynieść złoto, w celu natychmiastowego zamówienia nowych ubrań, ale kiedy otwarto drzwi biura rachunkowego, wpuszczając do środka słońce, ćma poderwała się do lotu, niemal ocierając się o księgowego. Gdy wreszcie zdołał oczyścić oczy z owadziego pyłu i umysł z wywołanego przez niego przygnębienia, odkrył, że stwór lubi nie tylko liście i stroje. Zniknęła ponad połowa pokaźnego skarbu.

Wszyscy sceptycznie podchodzili do opowieści księgowego, podejrzewając go o kradzież, zwłaszcza że w poprzednim życiu był kieszonkowcem. Jednakże kilka nocy później, gdy ćma powróciła, kilkoro świadków zobaczyło, jak pożera biżuterię, a Saint-Geedon zaklinał się, że w ciągu kilku minut pochłonie całą srebrną zastawę. Połknęła nawet koronę Ingessa, ale ten, pomimo uporczywych apeli o pozbycie się stwora, wciąż zabraniał go krzywdzić.

Odwiedziłem Frouch w jej komnatach następnego ranka po tym, jak ćma uctowała w naszej części pałacu. Moja szafa zniknęła wraz z niemal całym moim dobytkiem. Gdy zapukałem do drzwi hrabiny, miałem na sobie swoją starą kurtkę pozbawioną rękawa oraz spodnie, w których przemierzyłem tysiąc mil. Dziury na kolanach sprawiały, że dolna część nogawek była niemal zbędna. Ponowne włożenie tego stroju sprawiło mi wiele trudności i przez chwilę zastanawiałem się, czy raczej nie pozostać przy szlafroku, tak samo jak uzdrowiciel.

Hrabina nie odpowiedziała na moje pukanie i już miałem odejść, gdy

usłyszałem za drzwiami coś, co początkowo błędnie wziąłem za odgłos wydawany przez Sirimona. Nadstawiłem ucha i zrozumiałem, że Frouch płacze. Na chwilę straciłem głowę i otworzyłem drzwi.

– Hrabino! – zawołałem, wchodząc do komnaty.

– Odejdź, Flam – odrzekła.

– Co się stało? – spytałem, chociaż już się domyślałem.

– Nie wchodź tutaj – powiedziała, ale musiałem się upewnić, że nic jej nie jest.

Stała na środku swojej komnaty, ubrana w krótką, skąpą sukienkę, którą miała na sobie dziesięć lat wcześniej, gdy chodziła ulicami Gile. Jej rozpuszczone i nieupudrowane włosy wróciły do mysiego, brązowo-szarego koloru.

– Sen się skończył, Flam – powiedziała, spoglądając na mnie, a z jej twarzy dało się wyczytać każdą ciężką chwilę, jaką kiedykolwiek przeżyła.

Chciałem ją pocieszyć, ale nie wiedziałem jak.

– Hrabino – odezwałem się i zbliżyłem o krok.

– Hrabino – odparła i parsknęła śmiechem, który wwiercił mi się w serce głębiej, niż mógłby to zrobić Sirimon.

– Przejdźmy się – odrzekłem. – Zaczerpnijmy powietrza.

– Daj mi spokój.

Jej odpowiedź bardzo mnie rozgniewała. Zostawiłem ją w komnacie i powędrowałem korytarzami, mówiąc do siebie, jakbym był Durstem. Gdy mijiałem duże owalne lustro przed biblioteką, ujrzałem w nim ubranego w stare szmaty, rozczochranego głupca mielącego jęczorem. Zrozumiałem, jak przed laty widzieli mnie mieszkańcy miasteczek, które odwiedzałem i z których mnie wyrzucano. Musiałem wziąć się w garść, więc postanowiłem wejść na pałacowe poddasze i trochę poodkurzać. Wgramoliłem się po długich schodach, przekonując siebie, że praca uleczy mnie z problemów.

Pchnąłem drzwi ukrytego sanktuarium i od razu zorientowałem się, że odwiedziła je ćma. Stwór dokładnie wyczyścił pomieszczenie, nie pozostawiając ani jednego świecznika i nawet najmniejszego orlego piórka z ozdób, które wykonano z okazji święta przed pięciu laty. Zniknęły wszystkie stare przedmioty, o które tak się troszczyłem.

– Nie – powiedziałem, a mój głos odbił się echem od ścian pustego poddasza.

Wtedy dotarło do mnie, że ćma pożarła mój tytuł. W ogrodach nie były

już potrzebne nietoperze, przedmioty na strychu nie potrzebowały odkurzenia, a poniedziałkowe odezwy wygłaszałem na długo przed przybyciem do pałacu. Kiedy byłem Najwyższym Władcą Następnego Tygodnia, stale wzywała mnie do działania obietnica przyszłości. Teraz pozostała mi tylko przeszłość.

Kiedy ćma zaczęła pożerać marmurowe ściany pałacu, Ringlat, Chin Mokes oraz Kanclerz Śmieci zawiązali spisek, który miał na celu pozbycie się stwora. Wielu innych dworzan zgodziło się im pomóc. Oto, co mi powiedzieli, gdy próbowali wciągnąć mnie do spisku: „Ingess nie myśli rozsądnie. Musimy ponownie go uratować”. Dowiedziałem się, że Saint-Geedon, ze względu na swoją biegłość w fachu zabójcy, został wybrany do zaplanowania ataku na owada. Musiałem się zgodzić.

Często się zastanawiałem, jaki jest związek pomiędzy profesjami płatnego zabójcy i kucharza, ponieważ Grenis zmienił się z jednego w drugiego niemal z marszu, gdy wybrał Reparatę na swój dom. Jednakże, kiedy zobaczyłem, jak przygotowuje bombę, pozbyłem się wszelkich wątpliwości. Zewnętrzną powłokę urządzenia wykonał z lacy, wiejskiego chleba o grubej skórce, którym żywili się okoliczni rolnicy. Przez mały otwór, który wyciął na wierzchu bochenka, wydobył ciasto, opróżniając chleb niczym dynię przeznaczoną na latarenkę. Następnie przygotował dziwną miksturę środków chemicznych i proszków do pieczenia, które bardzo dokładnie odmierzył. Potem dodał gwoździe i ostre kawałki metalu. Na koniec poprosił Pesterę o wanilię.

– Jakie ma działanie? – spytałem.

– Czyni potrawę słodsza – odparł.

Żeby stworzyć lont, zapiekł w takiej samej mieszance długi kawałek sznurka. Gdy ten ostygł, wsunął jego jeden koniec do wnętrza bochenka, zakrył otwór kawałkiem skórki, po czym ozdobił chleb kwiatkami wyciętymi z rzodkiewek. Nagrodziliśmy go oklaskami, a on stuknął obcasami i szybko się uklonił.

Tamtej nocy, gdy podjęliśmy się realizacji planu, księżyc świecił wyjątkowo jasno. Postanowiliśmy zastawić pułapkę poza murami pałacu, żeby nie ryzykować dalszych zniszczeń w podupadającej budowli. Tuż za bramą ciągnęła się głęboka fosa okrążająca Reparatę. Ostrożnie przekradliśmy się po moście zwodzonym, który zawsze był opuszczony, żyliśmy bowiem w czasach, gdy nie groziła nam inwazja.

W odległości dziesięciu metrów od mostu i dwudziestu od otaczającej pałac linii drzew usypaliśmy stertę pozostałego nam dobytku. Ci, którzy niczego nie mieli, zdjęli zasłony z okien w nielicznych komnatach, których ćma jeszcze nie odwiedziła. Wewnątrz tej góry przedmiotów umieściliśmy bombę, po czym przeciągnęliśmy lont do drzew i ukryliśmy się w cieniu na skraju lasu.

Nasza grupa składała się z ponad dwudziestu osób. Denerwowałem się, że Ingess odkryje naszą zdradę, i dopiero między drzewami zauważyłem, że wśród spiskowców jest hrabina. Zdobyła skądś męskie ubranie i związała włosy.

– Frouch – szepnąłem. – Nie wiedziałem, że bierzesz w tym udział.

– Mam nadzieję, że bomba rozsądzi tego cholernego robala na kawałki, tak jak on zrobił z moim życiem – odparła. Jej głos jeszcze nigdy nie brzmiał tak ostro.

Położyłem dłoń na jej ramieniu, ale strąciła ją i zapaliła papierosa. Chciałem ją spytać, co takiego zrobiłem, że jest na mnie zła, ale wtedy Główny Filozof wyszeptał podwójnym głosem:

– Patrzcie, latający głód.

Ćma powoli wyleciała przez otwartą bramę pałacu, bezgłośnie bijąc skrzydłami. Pył, który z siebie zrzuciła, w blasku księżyca tworzył otaczającą ją mglistą aurę. Czułki owada zadrżały, gdy wyczuł zapach jedwabnych zasłon, muslinowych strojów, starych butów, sznurów pereł oraz śmiercionośnego bochenka w środku. Gdy ćma wylądowała lekko jak piórko i zaczęła ucztować, Saint-Geedon odwrócił się w stronę Frouch i skinął głową. Hrabina strzepnęła popiół z papierosa, trzykrotnie mocno się zaciągnęła, po czym przytknęła rozpaloną końcówkę do lontu. Malutka iskra natychmiast zaczęła pożerać sznurek, szybciej niż zdołałaby to zrobić ćma.

Frouch oblizała usta, Ringlat zatarł dłonie, a Kanclerz Śmieci zarządził z podekscytowaniem, gdy skwierczący punkcik pomknął ku bombie. Gdy był w połowie odległości od sterty, na której stwór właśnie pochłaniał stary płaszcz, w bramie pałacu pojawił się Ingess we własnej osobie, ubrany w pełną zbroję i siedzący na grzbiecie Dritha, swojej bojowej szkapę. Gdy go ujrzelśmy, stało się dla nas jasne, że wreszcie poszedł po rozum do głowy i postanowił zabić stwora, zgodnie z prośbami poddanych. Król dobył długiego miecza, wycelował go w ćmę, po czym dźgnął starego konia piętami.

Gdy Jego Królewska Mość dotarł do połowy zwodzonego mostu, iskra osiągnęła cel. Przygotowaliśmy się na zagładę, ale rozległ się tylko żałosny trzask, cichszy od strzału korka z szampana, a z bochenka uniosła się smuzka dymu. Ćma poderwała się w panice, cała i zdrowa, a jej nagły ruch wystraszył Dritha, który stanął dęba, zrzucając Ingessa z grzbietu prosto w głębokie wody fosy.

Ten absurdalny przebieg wydarzeń sprawił, że stanąłem jak wryty z szeroko otwartymi ustami. Wszyscy byli oszołomieni pechem króla.

W końcu Frouch krzyknęła:

– Utopi się w tej zbroi!

Minęła mnie, ale wtedy zobaczyłem, że ktoś inny puścił się biegiem w stronę fosy. To był Durst, a ja jeszcze nigdy nie widziałem, żeby z taką prędkością przemieszczał swoje masywne ciało. Nie zawahał się na brzegu, tylko niezdarnie złożył dłonie w strzałkę, odepchnął się nogami i zanurkował. Gdy to zobaczyliśmy, wszyscy poderwaliśmy się do biegu.

Nie wiem, jak znaleźliśmy go w ciemności na dnie fosy, ani jak go wydobyliśmy na powierzchnię, a potem na brzeg. Ringlat i ja chwyciliśmy Jego Królewską Mość i wyciągnęliśmy na suchy ląd. Pester i Chin Mokes zrobili to samo z Durstem. W ciągu kilku sekund zdjęliśmy Ingessowi hełm, a ja z ulgą stwierdziłem, że król wciąż słabo oddycha.

– Żyje! – wrzasnął Ringlat, a wszyscy zgromadzeni zakrzyknęli z radości.

Frouch pomogła nam zdjąć królowi resztę zbroi, podczas gdy pozostali zebrali się wokół Dursta, głaszcząc go po głowie i poklepując po plecach. Zerknąłem na niego i zobaczyłem, że zgubił okulary. Gdy zauważyłem, że już nie przygniata go ciężar brata bliźniaka, uznałem, że nie będzie ich potrzebował.

Podczas gdy noc przyniosła Głównemu Filozofowi cudowną szansę, Jego Królewska Mość nie miał tyle szczęścia. Uwolniliśmy go ze zbroi, ale pomimo poszturchiwania, stukania i masowania nie zdołaliśmy przywrócić mu świadomości. Bałem się, że zbyt długo przebywał pod wodą bez powietrza, i wyglądało na to, że miałem rację. Mimo to, dźwignęliśmy go z ziemi i zanieśliśmy do pałacu. Po tym, jak zajęła się nimi ćma, budynki już nie zapewniały bezpiecznego schronienia, więc wynieśliśmy jedno z ostatnich ocalałych łóżek na dziedziniec i tam ułożyliśmy Ingessa. Potem zgromadziliśmy się wokół niego jak krasnoludki wokół otrutej królowej i czekaliśmy z nadzieją przeczącą rozsądkowi.

Pozostali dworzanie, którzy nie uczestniczyli w naszym nieudanym spisku, wyszli z pałacu, żeby do nas dołączyć, przynosząc resztki tego, co pozostało po atakach ćmy. Fortuna Ingessa zniknęła, a zapasy jedzenia zostały zdziesiątkowane, nie licząc starego garnka ze spleśniałą śmietaną.

– To miejsce jest puste jak moje serce – powiedziała Zaczna Siódma, która w zeszłorocznej podartej tunice już nie wyglądała zacnie.

Staliśmy na dziedzińcu przez całą noc i następny dzień, obserwując każdy słaby oddech Jego Królewskiej Mości. Z oddali od czasu do czasu dobiegały donośne odgłosy walących się budowli osłabionych przez ćmę. Na własne oczy widziałem upadek wschodniej wieży obronnej, która przechyliła się i runęła, a tony marmuru posypały się jak domek z piasku zmyty przez falę.

Kiedy dzieci zaczęły się skarżyć na głód, nie mieliśmy ich czym nakarmić. Nikt z nas nie mieszkał w Reparacie na tyle długo, żeby zapomnieć to uczucie dojmującej potrzeby. Frouch i kilkoro innych dyskutowali o tym, jak zdobyć pożywienie, ale żaden sposób nie przychodził nam do głowy. W końcu Ringlat zdjął biskupią szatę i rzucił ją na ziemię. Pod spodem nosił czarny strój rabusia. Pożyczył szal od jednej z dam i zawiązał go sobie na twarzy pod oczami.

– Flam – powiedział. – Jeśli nie wrócę do zmierzchu, będziesz musiał wymyślić coś innego.

Patrzyliśmy, jak biegnie w poprzek dziedzińca do Dritha, który gasił pragnienie w małej fontannie. Jednym susem znalazł się na grzbiecie wierzchowca i wylądował w siodle. Chwycił wodze, skręcił w lewo i dźgnął boki konia ostrogami. Ten zareagował i wystrzelił przez bramę pałacu.

To był najdłuższy dzień, jaki przeżyłem. Popołudnie ciągnęło się bez końca, a nasze nadzieje na powrót Jego Królewskiej Mości do zdrowia stale słabły, podobnie jak jego oddech. Gdy już nie mogliśmy tego znieść, a niektóre maluchy zaczęły płakać, Kanclerz Śmieci zebrał wszystkie dzieci w jednym miejscu, po czym pożyczył od tłumu kilka małych przedmiotów (moją fajkę, kieszonkowy zegarek, nóż) i zaczął żonglować. Od czasu do czasu pozwalał, żeby któryś z drobiazgów spadał mu na głowę, by po chwili złapać go i znów wyrzucić w powietrze. To rozbawiło dzieci. Z kolei dla starszych przemiana kanclerza z bezmyślnego osła w wesołego bufona była tak cudowna, że uśmiechaliśmy się pomimo smutnego losu naszego króla. Kanclerz żonglował, robił głupstwa i wywracał się całymi godzinami, aż wreszcie wyczerpany usunął się na ziemię. Wtedy dzieci podbiegły do niego,

wspięły mu się na plecy i używały go jak łódki, podczas gdy spał.

– Co zrobimy? – spytała Frouch, gdy staliśmy razem w półmroku, wpatrując się w Ingessa, którego stan nie uległ zmianie przez cały dzień.

Pokręciłem głową.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałem.

– Nie możemy tu dłużej zostać – stwierdziła, a ja nie byłem pewien, czy ma na myśli cały dwór, czy tylko nas dwoje.

Nie miałem czasu jej o to zapytać, ponieważ w tej chwili Ringlat wjechał galopem po moście zwodzonym. W jednej dłoni ścisnął wodze Dritha, a drugą przytrzymał pękate zawiniątko przerzucone przez ramię.

– Kolacja! – zawołał, zeskakując z wierzchowca.

Kiedy rozłożył materiał u naszych stóp, zobaczyliśmy, że w środku jest pełno różnego rodzaju jedzenia.

– Wygląda na to, że Pan nas obdarował, biskupie – powiedziałem, podczas gdy wszyscy przysunęli się, żeby znaleźć coś dla siebie.

– W tym przypadku Pan najpierw komuś odebrał. To była szlachetna kradzież, Flam – odrzekł Ringlat. – Droga do Enginstanu zawsze należała do moich ulubionych.

– W biały dzień? – spytałem.

Wzruszył ramionami.

– Nie chciałbym, żeby mi to weszło w nawyk, ale wygląda na to, że moja reputacja wciąż jest żywa. Kiedy zażądałem tylko jedzenia, z radością na to przystali. Jak wielu ludzi może się pochwalić, że Ringlat ich obrabował, ale pozostawił przy życiu? O czymś takim można opowiadać wnukom.

– Jesteś wielkodusznym człowiekiem – powiedziałem mu, gdy rozglądał się za porzuconą biskupią szatą.

W zawiniątku było wystarczająco dużo jedzenia, żeby uciszyć dzieci i uspokoić dorosłych. Ostatni okruch ostatniego bochenka chleba zjedzono, gdy zapadła noc. Wiedzieliśmy, że ćma jest w okolicy, ponieważ, gdy tylko zrobiło się ciemno, dotarły do nas odgłosy walących się fragmentów pałacu. Poleciałem wszystkim, żeby zbliżyli się do Ingessa, na wypadek gdyby posypała się któraś z otaczających nas fasad. Było zimno, a my tuliliśmy się do siebie na ziemi, tworząc ludzki węzeł wokół Jego Królewskiej Mości. Otrzymałem odpowiedź na pytanie, którego nie zdążyłem zadać Frouch, gdy zajęła miejsce obok mnie i wsparła się na moim ramieniu. Objąłem ją i zamknęła oczy.

Niektórzy spali, ale ja wpatrywałem się tępo w ciemność i słuchałem odgłosów zniszczenia Reparaty. Kiedy wydało mi się, że słyszę, jak południowa kolumnada wpada do lustrzanego stawu, Pester nagle wstał.

– Leci po nas! – wrzasnął, wskazując w górę brakującym palcem.

Uniosłem wzrok i zobaczyłem coś, co początkowo błędnie wziąłem za księżyc, lecz wkrótce dostrzegłem, że to ćma powoli opadająca z dużej wysokości. Pył sypał się w naszą stronę, a ja zacząłem wszystkich budzić, żeby uchronić ich przed jego szkodliwym wpływem. Zaspiani i wystraszeni dworzanie szybko odsunęli się od Ingessa, ponieważ wyglądało na to, że właśnie na nim chce wylądować stwór.

– Pożre go? – spytała Frouch, gdy patrzyliśmy przerażeni, nie mogąc zrobić nic, żeby powstrzymać ćmę.

– Bez problemu odebrała Pesterowi palec i pochłonęła marmur – odrzekłem.

Pozostali zaczęli wrzeszczeć i wymachiwać rękami, próbując odstraszyć ćmę, ale ta, piękna jak delikatny kwiat unoszony wiatrem, dalej się obniżała, obsypując Jego Królewską Mość pyłem. Frouch odwróciła wzrok, gdy stwór nakrył swoim ciałem leżącego Ingessa. Dworzanie stęknęli, kiedy owinał go skrzydłami niczym bladym całunem. Patrzyłem na to przez łyżę, spodziewając się, że za chwilę zobaczę, jak olbrzymi owad wzbija się w niebo, pozostawiając puste łóżko. Zamiast tego ćma wydała z siebie smutny wrzask i na naszych oczach rozwiła się w rzadką mgiełkę, która dalej otaczała ciało. Nagle Ingess się poruszył, wciągając do płuc potężny haust powietrza, a ulotna pozostałość po ćmie wniknęła w niego przez usta i nozdrza. Otworzył oczy i usiadł, a gdy wreszcie wypuścił powietrze, wybuchnął śmiechem.

Gdy do niego podszedłem, wyciągnął do mnie rękę, a ja dostrzegłem w jego oczach ten sam figlarny błysk co przed tragedią. Powiedział nam, że kiedy był nieprzytomny, przebywał z Josette w ogrodzie. Ona kazała mu przestać się smucić, w przeciwnym razie nigdy nie będzie szczęśliwy.

– Musimy zrzucić kokon Reparaty – oznajmił.

– To nie będzie trudne – odparł Chin Mokes. – Nic z niego nie zostało.

Słyszając to, Ingess ponownie się roześmiał, tak samo jak tamtego dnia, gdy przyznał mi tytuł Najwyższego Władcy Następnego Tygodnia. Po raz ostatni zebraliśmy się wokół niego, ubodzy, bezdomni, stojący u progu niepewnej przyszłości.

Następnego dnia, po łzawych pożegnaniach, porzuciliśmy zniszczoną

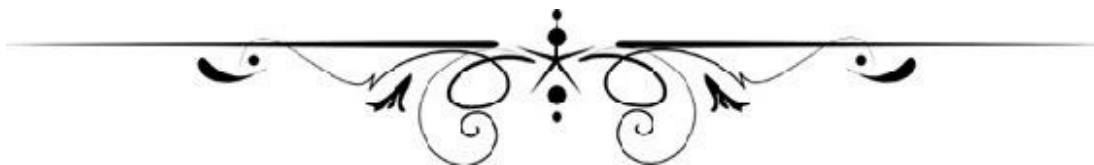
skorupę Reparaty i rozproszyliśmy się po okolicy jak nowo narodzone robaki. Frouch i ja bez zbędnych słów postanowiliśmy podróżować razem. Życie w drodze było ciężkie, ale mogliśmy liczyć na siebie nawzajem. Bez żadnego istotnego powodu powędrowaliśmy na wybrzeże i zatrzymaliśmy się w Gile. Zostałem rybakiem na jednej z łodzi, a Frouch zatrudniła się przy podawaniu drinków w tawernie. Co ciekawe, nikt nie rozpoznał jej z dawnych lat. Pamiętał ją tylko właściciel tawerny, który mówił ciekawskim klientom, że Frouch jest hrabiną w przebraniu.

Dowiedziałem się, że Ingess w końcu powtórnie się ożenił i zajął uprawą ziemi. Stał się słynny dzięki cudownej naturze swoich plonów oraz przystępnej cenie, jakiej za nie żądał. Wszyscy, którym się nie wiodło, wiedzieli, że w jego domu mogą znaleźć azyl. Chociaż często myślę o pozostałych dworzanach, nie potrafię powiedzieć, co ich spotkało. Wiem jedynie, że gdy wiele lat później na północy pojawił się zły tyran, który groził wojną całej krainie, pewnego dnia znaleziono go z poderżniętym gardłem i kropłą plwociny na czole, otoczonego aromatem wanilii.

Co się tyczy uzdrowiciela, pewnego wieczoru w tawernie Frouch usłyszała, jak wędrowny kupiec opowiada o staruszku ubranym w szlafrok, którego spotkał w lokalu w dalekim porcie Mekshalan.

– Przywiózł pchli cyrk, który miał wyleczyć Wielkiego Paszę z dręczącej go dotkliwej nudy – rzekł kupiec. – Pokazał mi go, ale zobaczyłem tylko podskakujące czarne kropki. Kiedy spytałem, czy według niego są tak ciekawe, by zaradzić znudzeniu władcy, stary pokręcił głową i rzekł: „Oczywiście, że nie, ale kiedy wskoczą mu na brodę i turban, od razu będzie miał co robić”.

Wieczorami, kiedy wracam z zatoki, Frouch czeka na mnie w tawernie przy stoliku obok okna z talerzami pełnymi jedzenia i dwiema szklaneczkami Łez Księżniczki Jang. Gdy zapada noc, wracamy do naszej chatki na wydmach, rozpalamy w kominku i leżymy razem, rozmawiając i patrząc na grę cieni na suficie. Wśród tych zmieniających się obrazów czasami widzę Reparatę, Ingessa i Josette. Często pojawia się także wizerunek ćmy, ale uporczywe bicie jej skrzydeł już mnie nie przeraża, ponieważ wiem, że są na tym świecie rzeczy, których nie da się pożreć.



Ellen Datlow była pierwszą redaktorką, która poprosiła mnie, żebym wysłał jej opowiadanie. Po spotkaniu z nią odniosłem wrażenie, że chce, abym napisał coś, co naprawdę gra mi w duszy. Nie jestem pewien, skąd wzięła się ta skrzywiona baśń, ale jej tworzenie sprawiło mi mnóstwo przyjemności. Pamiętam, że Ellen poinformowała mnie mailem o przyjęciu opowiadania w dniu Bożego Narodzenia. Podczas dalszej korespondencji, która rozciągnęła się na około dwudziestu maili, wspólnymi siłami dopracowaliśmy tekst. To przypominało błyskawiczny kurs pisania opowiadań. Od tamtej pory Ellen wydała wiele moich opowieści, a przy każdej z nich czegoś się uczę. Najważniejszą lekcją zawsze było to, żebym nie bał się podejmować ryzyka.

Oto kilka dodatkowych informacji: obraz głównego bohatera łapiącego nietoperze na przynętę z much na początku opowiadania ściągnąłem z *Alhambry* Washingtona Irvinga, w której jedna z postaci poluje w ten sposób na wróble. Reparata to imię siostry słynnego włoskiego złotnika i rzeźbiarza Benvenuto Celliniego. Natomiast Łzy Księżniczki Jang to drink, jaki przyrządził dla mnie nielegalny chiński imigrant pracujący jako barman w Domu Yu, restauracji przylegającej do motelu, w którym kiedyś pomieszkiwałem. Kilka lat wcześniej jeden z moich ulubionych pisarzy, Jack Dann, przez pewien czas pracował w tym samym motelu na nocną zmianę jako recepcjonista.

PANSOLAPIA

Kobieta z pałacu, Vashmena, porusza się z gracją dzioborożców polujących w jeziorze o zachodzie słońca. Jej czarna suknia, przypominająca roztapiającą się noc, jest wysadzana okruchami kwarcu, które odbijają blask pochodni i odtwarzają niebo. Pograżona w medytacji, na zmianę chodzi w koło, lekko się chwieje, staje nieruchomo. Gdy odpoczywa, nie sposób stwierdzić, czy oddycha. Jedyne, co świadczy o tym, że nie jest posągiem, to drżenie nozdrzy i ruch końcówek jedwabistych czarnych włosów. Nagle, niczym złudzenie, porusza się – powoli jak gęsta mgła – zataczając obszerne koła rękami i stawiając wysokie kroki do tyłu. Spada poprzez przestrzeń, w której prędkość utraciła wszelkie znaczenie, zawijając długie środkowe palce do wnętrza dłoni. Gdy ląduje, powraca do idealnego bezruchu, jakby w ogóle się nie poruszyła.

Za jej zielonymi oczami huczy ocean w kolorze żelaza. Fale są górami, a ich doliny szybkimi drogami do piekła. Niebo ma kolor pyłu, a wiatr przemawia ludzkim głosem. „Śpijcie”, wyje do mężczyzn przywiązanych do olinowania samotnego dwumasztowca. Nic nie mogłoby ich bardziej wystraszyć niż to przejmujące wezwanie, rozbrzmiewa ono bowiem głosem kobiety, której taniec oglądali na dziedzińcu w Pansolapii. Podąża za nimi między fale, zatapiając ich myśli, podczas gdy słona woda rozsadza im płuca. Ich długie włosy unoszą się falującymi szpicami ku odległemu sztormowi, gdy okręt dryfuje w ciemność. Wszyscy marynarze szeroko się uśmiechają. Patrzą na kobietę w czerni, która na zmianę porusza się jak węgorz i pozuje jak skała stojąca na skale.

Gwiazdy drżą w jej żołądku, gdy płynnie i szybko kołysze biodrami, a strażnik o lwich łapach pilnujący bram pałacu wie, że powinien przepuścić żeglarzy. Ryczy na nich, żeby przechodzili, a długowłosi cudzoziemcy

traktują to jako wyzwanie. Dobywają zakrzywionych, ząbkowanych noży i czekają na walkę. Stara ludzka bestia, Kilif, śmieje się z ich broni i schodzi im z drogi. „Gasmaznis”, odzywa się pojedynczym słowem, które nic nie znaczy, a najbardziej barczysty z mężczyzn chowa ostrze i się uśmiecha. „Pansolapia?”, pyta podróżny, lustrując wzrokiem sypiące się wieżyczki niemożliwej budowli. Vashmena powoli wypuszcza powietrze nosem, widząc, jak w oddali Kilif kiwa głową i ociera łzę.

Jej głos wibruje, wypełniając dziedziniec i strasząc sępy, które podrywają się do lotu. Jedno słowo, jedna sylaba przedostaje się pod cegły i je obluźowuje. W odpowiedzi na jego echo jej uszy niezauważalnie się poruszają, tak samo jak wtedy, gdy żeglarz woła do niej poprzez długi korytarz z kolumnami prowadzący do mięsożernych ogrodów. Wspomnienie biegu odzywa się w jej pulsie. Sto metrów dalej czuje jego oddech na karku. Jego pościg jest delikatnym tupaniem jej lewej stopy. Kobieta kuca, po czym równie szybko się prostuje i zaczyna wirować, gdy brodaty cudzoziemiec nagle budzi się przed świtem w dniu, w którym ma wyruszyć w podróż do Pansolapii. Ma na imię Ardnith i patrzy na swoją śpiącą żonę, zastanawiając się, czy kiedykolwiek powróci.

Słyszą odgłos przypominający westchnienie, gdy bezszelestnie wędrują korytarzami opuszczonego pałacu, nie chcąc zwabić duchów. Skąd mieliby wiedzieć, że to zamaszysty i wirujący ruch jej sukienki, gdy kobieta nieruchomieje na dziedzińcu Pansolapii? To miejsce nie przypomina wyobrażeń, jakie pojawiły się w ich głowach, gdy Szaman rozkazał im się udać na poszukiwanie przyszłości. Żona Ardnitha przywitała ten rozkaz płaczem, ponieważ w niedawnym koszmarze widziała ich zagładę. „Co się stało?”, spytał Ardnith, mocno ją obejmując. „Gasmaznis”, odzywa się lojalny Kilif osiem lat później, a kobieta, która wkrótce zostanie wdową, mówi jeszcze mniej. Ardnith dobywa ostrza, gdy pierwszy wygłodniały kwiat obniża się, by go pożreć.

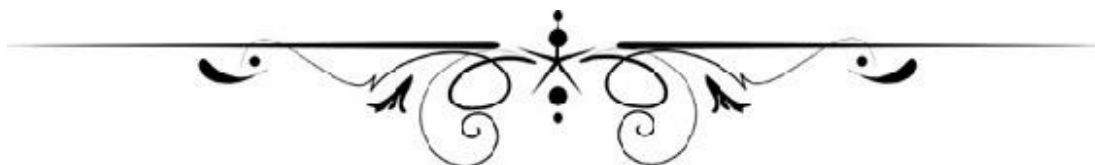
Jej sutki twardnieją, gdy przypomina sobie jego dotyk, tworząc nową konstelację na jej piersi. Pewnej nocy żeglarze podnoszą wzrok i uzmysławiają sobie, że się zgubili. „To nie nasz ocean!”, wołają, przyjrzawszy się gwiazdom. Młody Freg mocno zaciska dłoń na kosmyku włosów, który ukradł z ciała zamordowanego Kilifa, jakby w ten sposób mogło go wypełnić męstwo lwa. Ardnith od razu domyśla się, że Vashmena ich przekląła. Kobieta na dziedzińcu ponownie wypuszcza powietrze, tym

razem przez usta, a wichry zaczynają nękać ocean.

Gdy okręt idzie na dno, on przypomina sobie, jak brał ją od tyłu w lustrzanej komnacie, i pamięta tylko jej iluzję. Ona ukrywa się i patrzy, jak spółkuje z jej wizerunkiem, ale kiedy kochanek wypuszcza nasienie, wsącza się ono w jej odbicie, a potem w nią samą poprzez oczy. Dlatego teraz, gdy tańczy, jej brzuch nadyma się od oszustwa cudzoziemca. Tańczy tak samo jak przed drużyną marynarzy, zanim ci wycofali się przez widmowy pałac ku zatoce. Gdy Ardnith biegnie w stronę statku, ściany pokryte śladami ślimaków oraz postrzępione arrasys rozpadają się, krwawiąc atomami.

Vashmena gwałtownie pada na kamienie dziedzińca i rozchyła nogi. Oddycha teraz tylko przez usta, pośpiesznie i rozpaczliwie. Jej krzyki budzą żonę Ardnitha, gdy ten szykuje się do drogi. „Proszę, nie jedź”, szepcze do męża. „Szaman jest głupcem. Nie ma niczego poza krawędzią świata”. On odpowiada, że musi, i rusza do drzwi. Odwraca się, żeby na nią popatrzeć, gdy jego płuca wypuszczają ostatni oddech w głąb wznoszącego się oceanu. Vashmena tańczy, wydaje na świat dziecko. Szaman jest w swojej jaskini, śpiewem powołując do życia człowieka-lwa z kawałka skóry, zęba i pazura.

Gdy wodorosty oplątują szyję Ardnitha, jego życie wyświetla mu się przed oczami. Widzi swoje dzieciństwo, bitewne blizny swojego ojca, karibu idące po porannym szronie, zderzające się lodowce przy brzegu, labirynt długich blond warkoczy żony, swoją decyzję o pozostaniu. W tej chwili rodzi się Pansolapia, a Kilif woła: „Gasmasznis!”, tak głośno, że budzi śpiącego żeglarza. Ardnith pociera oczy, a gdy je otwiera, widzi Szamana kołyszącego dziecko ze snów. Chytry starzec wiruje jak tańcząca kobieta i wycofuje się w noc. Wtedy Ardnith słyszy trzask pękającego masztu. Kwiat chwyta go ciernistą paszczą w lustrzanej komnacie na dnie oceanu u boku śpiącej żony.



Wiele nazw miejsc oraz imion postaci w moich opowieściach pochodzi ze snów. „Pansolapia” przyśniła mi się pewnej nocy po lekturze *Niewidzialnych miast* Itala Calvina. Kto, u diabła, wie, co to znaczy? Zachowałem tę nazwę w pamięci, a ona nie dawała mi spokoju, koniecznie chcąc zostać częścią jakiejś historii. Żeby ją zmusić do milczenia, napisałem kiepski wiersz o prostackich rymach, przy którym można najwyżej skakać na

skakance. Opowiadał o mieście na końcu świata zwanym Pansolapią. Wiersz od razu powędrował do szuflady.

Mój szwagier Mike Gallagher jest rysownikiem komiksów i pisarzem. Od czasu do czasu można zobaczyć jego prace na łamach czasopisma „Mad”. Kilka lat temu Mike pracował dla Marvel Comics przy komiksach *Mad Balls*, *Alf*, *Heathcliff*, *Mighty Mouse* oraz serii „Guardians of the Galaxy”. Kiedy jechał do miasta, żeby spotkać się ze swoim redaktorem w biurze Marvela, zawsze dostawał w prezencie komiksy. Każdego miesiąca przywoził mi najnowszy numer *Conana*. Często żartowaliśmy z *Conana*, podziwiając metody rozwiązywania problemów stosowane przez naszego ulubionego barbarzyńcę, jego podejście do kobiet, dialogi (coś w rodzaju mieszanki elżbietańskiej angielszczyzny i tekstów Bizarro). Nad tym tytułem pracowało kilku niesamowitych rysowników. Po lekturze na sedesie, ciąłem komiksy na kawałki i robiłem z nich kolaże. Kiedyś zdołały one cały mój dom.

Pewnego zimowego dnia, kiedy przygotowywałem kolaż z *Conana*, zrobiłem sobie przerwę i zacząłem czytać książkę pod tytułem *Time: The Familiar Stranger*. Jedną z rzeczy, które mnie w niej zaintrygowały, było stwierdzenie, że według nauki, upływ czasu jest złudzeniem. Tak naprawdę wszystko dzieje się równocześnie. To mnie zaszokowało. Zacząłem się zastanawiać, jak, wiedząc o czymś takim, możemy wieść normalne życie, choć oczywiście sam nie miałem z tym kłopotów.

Dlatego postanowiłem napisać rodzaj opowieści o barbarzyńcy, gdzie wszystko dzieje się jednocześnie. Jest tam miasto na skraju świata. Zacząłem szukać dla niego nazwy, a wtedy wiersz o Pansolapii zamknięty w szufladzie zawołał: „Wybierz mnie”, ciekawym głosem Vincenta Price'a w roli Muchy. Dedykuję tę opowieść Mike'owi, gdyż bez jego *Conanów* nigdy bym na nią nie wpadł.

Opowiadanie opublikowała Ellen Datlow na łamach „Event Horizon”, co stanowiło z jej strony odważny krok. Podejrzewałem, że większość osób po przeczytaniu *Pansolapii* pokręci głową i powie: „Co to, kurwa, jest?” Tak też się stało.

MIASTO EGZO-SZKIELETÓW

Godzinę temu wyszedłem z palarni u Spida i zobaczyłem, jak Clark Gable wygrywa dwie kulki gnoju od dwukrotnie od niego większej Mszycy. Była jasna noc i Gable powinien mieć więcej rozsądku, ale widziałem po stanie jego stroju i oklapniętych falujących włosach, że dręczy go samotność. Mógłbym go ostrzec, ale machnąłem ręką; jeszcze pociągnąłby mnie za sobą. Zamiast tego cofnąłem się w zacienioną uliczkę i czekałem, aż pojawi się Oddział Żuków. Patrzyłem, jak Gable zawadiacko się uśmiecha, ale, szczerze mówiąc, Scarlet, ta Mszyca miała to gdzieś. Kiedy dał sobie spokój z dawnym filmowym czarem i zamiast tego pomachał gotówką, robak wręczył mu dwie ładne kulki, które pociły się srebrzystymi kropelkami freasencji. Miłość wisiała w powietrzu.

Wtedy opadli, lśniąc w niewyraźnym świetle ulicznych latarni, krążąc jak stado ziemskich gęsi lądujących na stawie. Żuki zawsze były gotowe do działania i posiadały uprawnienia do zabijania bez podania przyczyny. Mszycy tylko spuścili łomot, zmieniając ją w żółty naleśnik z zielonym syropem, ale Gable to inna historia. Jako że był człowiekiem, postrzelili go z żądła, a gdy igła przebiła jego egzo-ciało, wyleciał przez otwór przy wtórce niedelikatnego „frrrapp” i rozpląnął się po ulicy. Odzyskano kulki gnoju, zebrano zewnętrzną skórę Gable’a, którą plujki zanosły do odkarmienia, i dwadzieścia minut później nie zostało nic poza połową wąsa i kryształową monetą, która wystarczała na trzy sztachnięcia u Spida. Przeszedłem na drugą stronę ulicy, podniosłem kryształ, po czym wróciłem do swojego domu z dala od domu z dala od domu.

To Miasto Egzo-Szkieleatów, stolica wszechświata, gdzie toczy się kulki gnoju, słońce nigdy nie świeci, a robaki wymieniają swoje cenne ekskrementy na ziemskie filmy nakręcone prawie dwieście lat wcześniej. W

Egzo-mieście miejscowi kwitują ten handel stwierdzeniem „sprzedawaj albo wączhaj”. Panuje tam wysokie ciśnienie i wszystko porusza się w zwolnionym tempie.

Kiedy pierwsi Ziemianie wylądowali tutaj przed dwudziestu laty, byli ubrani w duże, pękate egzo-kombinezony, które pozwalały im wytrzymać warunki panujące na planecie. Prawdziwym objawieniem było spotkanie robaków i odkrycie za pomocą uniwersalnego tłumacza, że te dobrze ubrane owady są rozumne. Nazywam je Żukami, Mszycami i tak dalej, ale tak naprawdę nimi nie są. Te określenia mają po prostu za zadanie dać wam jakieś pojęcie o ich wyglądzie. Mają różne rozmiary, niektóre są znacznie większe od ludzi. Są prymitywną rasą pozbawioną bajerów, ale wiedzą, czego chcą, a chcą wciąż nowych ziemskich filmów z dwudziestego wieku.

Starając się nauczyć ich czegoś o naszej kulturze, jeden z członków pierwszej ekspedycji, który był miłośnikiem starych filmów, pokazał im *Casablankę*. Nie mam pojęcia, co urzekło robaki w tej bezsensownej opowieści o grze na pianinie, fezach i płaczącej kobiecie, ale gdy tylko film się skończył i zapaliły się światła, burmistrz Miasta Egzo-Szkieleków, duży kaleki stwór podobny do pchły, którego nazywają Stootladdle, zaproponował coś bezcennego w zamian za film i maszynę, na której go odtwarzano.

Kapitanowi zależało na dobrych relacjach z robakami, więc się zgodził. Stootladdle polecił swoim podwładnym przynieść freasencję. Znajdowała się w woskowej skrzynce. Burmistrz zdjął pokrywkę trzema ze swoich czterech dłoni, odsłaniając pięć wilgotnych kul owadziego łajna o rozmiarach sporych pulpetów. Kapitan musiał poprawić hełm swojego egzo-kombinezonu, żeby dokładniej się przyjrzeć, początkowo nie wierząc własnym oczom. „Oczywiście”, odpowiedział w imieniu dyplomacji, po czym zmusił swojego nawigatora-kinomana, żeby oddał kasetę z *Casablanką* i odtwarzacz. Nawigator, chcąc postąpić słusznie, wręczył burmistrzowi także egzemplarze *Ben Hura* i *Obywatela Kane’a*. Kiedy za pośrednictwem tłumacza kapitan spytał burmistrza, dlaczego film mu się spodobał, olbrzymia pchła wspomniała o oczach Petera Lorre’a. Ziemianie roześmiali się, ale burmistrz milczał. Gdy kapitan spytał, co mają zrobić z freasencją, usłyszał urywaną, bzyczącą odpowiedź: „Zjeść ją”. Tak się zaczęła jedna z pierwszych międzygalaktycznych wymian handlowych.

Może się wydawać, że ludzie nie wyszli najlepiej na tym interesie, ale kiedy statek powrócił na ziemię i naukowcy przetestowali freasencję, okazało

się, że jest ona niezwykle silnym afrodyzjakiem. Wystarczy dodać dwa okruchy z którejś z kul do kieliszka z winem, żeby osoba, która je spożyje, była napalona i całkowicie nam oddana przez pół dnia. Pierwsi badani informowali o niezwykłym wzroście możliwości podczas miłosnego aktu. Pierwotne pięć kul zniknęło szybciej niż ptysie ze spiżarni żarłoka, nawet nie opuszczając laboratorium. Dlatego wysłano kolejny statek kosmiczny, a na pokład zabrano filmy *Mężczyźni wolą blondynki*, *Podwójne ubezpieczenie* oraz *Przeminęło z wiatrem*. Błyskawicznie wróciło dziesięć kulek gnoju i zaczęło się wielkie pieprzenie.

Handel trwał przez dwa dziesięciolecia, podczas których sprzedaliśmy egzemplarze wszystkich filmów, jakie udało nam się znaleźć. Wtedy prywatne firmy zaczęły produkować czarno-białe stylizowane filmy, cyfrowo wskrzeszając postacie z oryginalnych obrazów, wprowadzając je do komputera kwantowego i umieszczając w nowych sytuacjach. Po kilku dostawach robaki zaczęły coś podejrzewać, zwłaszcza gdy obejrzały film *Śnimy*, w którym zagrali Bogart, Orson Welles, Trevor Howard, Carmen Miranda i Veronica Lake. Obraz opowiadał o miłosnym pięciokącie w czasach nazistowskiej okupacji Brooklynu. Na końcu Welles wybucha, Trevor Howard truje Bogarta, po czym pada zastrzelony przez Carmen Mirandę, która ucieka z Veronicą Lake. Problem polegał na tym, że film był cholernie dobry. Brakowało mu tego, co kiedyś nazywano jakością „klasy B”.

Żeby załagodzić sytuację, specjaliści wyprodukowali kilka prawdziwych gniotów, w których obsadzili takich aktorów jak Mickey Rooney, Broderick Crawford czy Jane Withers. Zwłaszcza jednemu z nich, *Pokonać diabła*, przypisuje się ocalenie bezcennej wymiany handlowej z robakami. Widziałem ten film i rzeczywiście jest koszmary. Crawford gra irlandzkiego katolickiego księdza, Withers jest duchem Matki Boskiej, a Rooney niezdatnym chińskim kelnerem ucharakteryzowanym w dawny rasistowski sposób, czyli za pomocą gumki założonej wokół oczu. Zawsze powtarzałem, że chciałbym ucisnąć dłoń podstępnej matki, która stworzyła to dzieło.

Statki dalej przybywały, sprzedając fałszywe filmy, a na Ziemi rozwijano technologię egzo-kombinezonów, które ludzie musieli nosić na planecie robaków. Geniusze z Korporacji Quigleya stworzyli strój o grubości dwóch molekuł, otaczający ciało jak druga skóra. Wszystko, czego potrzebował człowiek, zostało zmniejszone do nano-rozmiarów i umieszczone w

kombinezonie, który sam oddychał, widział, słyszał za pośrednictwem wbudowanego tłumacza oraz jadł. Właściciel musiał jedynie dwa razy dziennie opróżniać układ wydechowy przez ośmiocentymetrowy okrągły kranik znajdujący się w okolicach krocza. Mechanizm próżniowy sprawiał, że otworzenie wylotu kranika nie groziło zmiążdżeniem przez nacisk atmosfery. Nowy stop zastosowany przez projektantów był tak elastyczny i mocny, że bez trudu wytrzymał ciśnienie.

Pierwsze z tych egzo-skór, jak je nazywano, pozwoliły Ziemianom odzyskać ludzką postać, a zarazem przybierać fałszywe oczy, twarz, uśmiech, kolor skóry czy włosów. Egzo-skóry miały przypominać ludzi, którzy tkwili w środku, opakowani jak serdelki. Potem jakiś spec od reklamy wymyślił, że powinny wyglądać jak aktorzy ze starych filmów. Prototypem stał się Bogart. Gdy pojawił się na planecie robaków, te rozwinęły przed nim brązowy dywan. Stoodaddle nie posiadał się z radości i ogłosił święto. Gnojarze przybyły ze świetlistego weldu otaczającego miasto i rozpoczęło się trzydniowe przyjęcie.

Z czasem egzo-skóry stały się coraz bardziej dopracowane, autentyczne i szczegółowe. Wyprodukowano imitację Rity Hayworth, która była tak doskonała, że przespałbym się z nią nawet gdyby włożył ją Stootladdle. Przedsiębiorcy zaczęli inwestować w egzo-skóry i bilety na planetę robaków. Zabierali ze sobą kilka filmów, przywozili z powrotem kilka kulek gnoju, które następnie sprzedawali za olbrzymie pieniądze. Początkowo jedna wyprawa wystarczała, żeby ustawić biznesmena na całe życie. Na Ziemi freasencja była tak pożądana, że można było ją kupić tylko za sztabki złota. Dla bogatych był to koniec romantycznej miłości, ale biedni nadal musieli polegać na atrakcyjnym wyglądzie i niestworzonych obietnicach.

Robaki ograniczały ilość freasencji, którą sprzedawały w ciągu roku, a na Ziemi Światowa Korporacja robiła to samo, ponieważ bogacze nie chcieli, żeby biedacy pieprzyli się z ludźmi spoza swojej klasy. Jeśli w Mieście Egzo-Szkieletów zostałeś złapany na handlu bez licencji, tak jak nieszczęśnik Gable, Oddział Żuków pozbywał się ciebie bez zbędnych ceregieli. Każdy mógł przybyć do świata robaków i ubiegać się o licencję, ale w tym celu musiał się spotkać ze Stootladdleem, który był wyjątkowo kapryśny. Jeśli miałeś egzo-skorę przedstawiającą gwiazdę, którą podziwiał, twoje szanse rosły, ale czasem nawet to niczego nie gwarantowało.

Dlatego wielu ludzi decydujących się na podróż, która trwała cały rok,

nawet przy locie z trzykrotną prędkością światła, utknęło na obcej planecie bez możliwości zdobycia pieniędzy na bilet powrotny. Jeśli ktoś przywiózł atrakcyjny film, który zainteresował robaki, mógł zarobić na przeżycie, pokazując go pojedynczym chętnym w zamian za kilka miejscowych dolarów, czyli jętek, przypominających po wysuszeniu i złożeniu ziemskie banknoty. Dwadzieścia jętek można było wymienić na jeden kryształowy żeton.

Niektórzy pechowcy przywozili filmy, co do których byli pewni, że pozwolą im zaszaleć na rynku freasencji. Widzę ich, jak tutaj lecą, patrząc na gwiazdy, które pod wpływem zakrzywienia przestrzeni rozciągają się jak spaghetti, i myśląc: „O tak, Paul Muni sprawi, że te zimnokrwiste szkodniki zatańczą z radości”, albo: „Myrna Loy na pewno jest warta przynajmniej półtorej kulki gnoju”. Jednakże na miejscu odkrywali, że zmieniła się moda i w tym roku to Basil Rathbone i Joan Blondell wprawiają czułki w rozentuzjasmowane drżenie. I tak pozostawali ze starym filmem, którego nie chciał oglądać nawet komar, i bez żadnego źródła dochodów. Robaków nie obchodziło, czy intruzi umrą z głodu. Pamiętam, że kiedyś Buster Keaton przez półtora tygodnia siedział w kącie palarni u Spida. W końcu pewna Modliszka domyśliła się, że komik zmarł, i zabrała go do swojej prywatnej kolekcji.

Wszedłem w ten interes zapewne w najgorszym możliwym momencie, ale byłem młody i koniecznie chciałem szybko się wzbogacić, więc nie zważałem na ostrzeżenia. Nie mogłem dużo wydać na skórę, więc, zamiast kupować kombinezon przedstawiający aktora z najwyższej półki, postanowiłem upodobnić się do kogoś, kto nigdy nie został wielką gwiazdą, ale grał w wielu starych filmach. Firma, od której nabyłem egzo-skołę, początkowo chciała mnie zainteresować podobizną Keenana Wynna, ale ja, przygotowując się do podróży, dokładnie zgłębiłem świat dawnych filmów, wiedziałem więc, że Wynn pojawiał się głównie w produkcjach telewizyjnych, a w pełnowymiarowych filmach nigdy nie grał pierwszych skrzypiec. Potem pokazali mi Dona Knotts'a, a ja kazałem im się pierdolić. Już miałem sobie pójść, gdy wyciągnęli piękny egzemplarz Josepha Cottena. Wiedziałem lepiej od twórców kombinezonu, jak kapitalnym aktorem był Cotten. *Cień wątpliwości, Obywatel Kane, Trzeci człowiek*. Wyłożyłem pieniądze i zanim się zorientowałem, szedłem do domu z torbą pełną grzecznego i wrażliwego przeciętniaka.

Wolałbym przez rok siedzieć tyłem na kiblu niż wybrać się w tę podróż. Wydawało się, że lot nigdy się nie skończy, ale zabijałem czas czytaniem książek o starych filmach i rozmyślaniami, co zrobię ze złotem, za które sprzedam swój łup. Moim asem w rękawie był świetny film. Do tego autentyczny. Przekazywano go sobie z pokolenia na pokolenie w rodzinie mojego ojca. Przyznaję, że ukradłem mu go w dniu, w którym ruszyłem do kosmicznego portu. Był to niskobudżetowy obraz pod tytułem *Noc żywych trupów*. Staruszek zawsze odkurzał go w święta i razem zasiadaliśmy przed ekranem. Za cholerę nie wiedziałem, o co w nim chodzi. Film był czarno-biały i, jak wyczytałem, w swoim czasie zdobył kultową popularność. Pamiętam, że w pewne Boże Narodzenie, gdy miałem dziesięć lat, podczas rodzinnego seansu ojciec pochylił się nade mną i, wskazując monitor, spytał: „Rozumiesz, jakie jest przesłanie tego filmu?”. Pokręciłem głową. „Reżyser stara się powiedzieć, że zmarli cię zjedzą”. Staruszek był śmiertelnie poważny. Sam widziałem tylko bandę wałęsających się sztywniaków. Przez lata myślałem, że to jakaś parada. Gdybym dziś obejrzał ten film, zapewne znów poczułbym świąteczny nastrój. Może nie był tak stary, jak bym chciał, ale uznałem, że planeta robaków jest gotowa na fascynację antyhollywoodzką, niezależną sceną filmową końca dwudziestego wieku.

Wciąż pamiętam dzień, gdy wylądowaliśmy w małym kosmicznym porcie obok Miasta Egzo-Szkieleców, a ja zobaczyłem przez szybę wioskę złożoną z parterowych betonowych bunkrów stojących w ciemności rozpraszanej przez światła latarni. Była to scena jak z koszmaru. Tylko włożenie skóry Cottena uratowało mnie przed płaczem. To bardzo bolesny proces. W pewnej chwili trzeba umrzeć i zostać przywróconym do życia przez biosystem kombinezonu. Nikt mnie nie uprzedził, że początkowo całe ciało potwornie swędzi. Myślałem, że zwariuję. Wtedy pewien facet, który już kiedyś był na planecie robaków, podszedł do mnie w eleganckiej skórze Nicka Adamsa i ostrzegł: „Cokolwiek robisz, nie myśl o swędzeniu. Od tego można dostać świra”. Byłem w agonii, kiedy wychodziłem przez służbę powietrzną i wkraczałem do powolnego, ciężkiego świata owadów.

Kosztowało mnie to fortunę, ale zdołałem umówić się na spotkanie ze Stootladdleem zaledwie kilka dni po przybyciu. Prezentował się nader osobliwie. Włochaty, za dużo rąk. Oczy miał okrągłe jak spodki, a w każdym kryło się tysiąc lusterek. Przez chwilę kręciło mi się w głowie, gdy próbowałem równocześnie zobaczyć wszystkie swoje odbicia. Głos, który dotarł do mnie

poprzez tłumacza, był wysoki, cienki i rozdrażniony.

– Joseph Cotten. Widziałem cię w kilku filmach.

– Może w *Cieniu wątpliwości*?

– Nigdy o nim nie słyszałem – odparła pchła.

Gdy teraz zerkam poprzez bladopomarańczową mgiełkę w lustro za dymnym barem Spida, zdaję sobie sprawę, że od tamtego spotkania minęło dużo czasu. Przybyłem na planetę robaków pięć, a może dziesięć lat temu. Dym potrafi sparaliżować czas, zburzyć iluzję jego upływu, tak że wczorajszy dzień może się stać dzisiejszym i odwrotnie. Nie wiem, co Spid spala, żeby otrzymać swój dym, ale wygląda to jak potężne garście czułków. Umysł wiruje, tkając logikę pewną jak pajęczna sieć. Od czasu do czasu wkradają się w nią prawdziwe wspomnienia, a także wyrzuty sumienia z powodu zmarnowanego życia, ale kolejną cechą dymu jest to, że pozwala mieć to wszystko w dupie i dbać tylko o następne sztachnięcie.

Dym zmienił mój mózg w watę. Tak jest, ten Joseph Cotten już dawno się stoczył. Dlatego daję staremu Spidowi, temu przyjaznemu pajęczakowi, kryształowy żeton, który upuścił Gable, a on pyta: „To co zawsze, Joe?”. Kiwam głową i obnazam rurkę wydechu. Dopasowuje wąż do mojego otworu, a ja ustawiam mechanizm próżniowy na ssanie, dotykając lewym małym palcem prawego płątka ucha. Nano-maszyny zajmują się resztą i pobierają porcję pomarańczowej mgiełki. Tego dymu się nie wydycha.

Wkrótce po przybyciu uzależniłem się od dymu i pewnego wieczoru sprzedałem swój film za śmiesznie niską cenę, żeby móc się odurzyć. Elegancki szczupły świerszcz dał mi za niego dziesięć kryształowych żetonów, a ja spędziłem kolejne trzy dni, drzemiąc i paląc u Spida. Kiedy skończyły mi się pieniądze i po kilku godzinach doszedłem do siebie, wpadłem w panikę. Właśnie tak zostałem służącym Stoodaddle’a.

– Chcesz żyć? – spytał, kiedy Oddział Żuków sprowadził mnie do jego gabinetu.

Złapano mnie na ulicy, gdy próbowałem kupić kulkę gnoju bez wymaganych papierów. Mimo oszołomienia pomarańczową mgiełką, byłem zdziwiony, że mnie nie przedziurawili.

– Jutro też jest dzień – odrzekłem.

– Teraz cię pobiję, a tobie się to spodoba. – Jak powiedział, tak zrobił, po czym zaczął okładać mnie wszystkimi kończynami jednocześnie.

Jego ciosy były jak ukąszenia stada szarańczy, a nano-technologia,

zgodnie z obietnicą, odnotowała każdy z nich. Gdy już byłem całkowicie ogłuszony, podskoczył i kopnął mnie prosto w jaja, a raczej tam, gdzie powinny być, gdyby twórcy kombinezonu kłopotali się ich odwzorowaniem. Upadłem do przodu, a on chwycił mnie za szyję żuwaczkami.

– Przygotowałem dla ciebie miejsce w swoich prywatnych zbiorach, pomiędzy Omarem Sharifem i Annette Funicello.

Obiecałem, że zrobię wszystko, co rozkaże, jeśli daruje mi życie. Rozluźnił uścisk, a ja wstałem, pocierając szyję. Śmiał się długo i głośno, co brzmiało jak drapanie zębami o beton, po czym objął mnie dwiema rękami.

– No, Josephie – powiedział. – Mam dla ciebie drobne zadanie.

– Zrobię wszystko.

Stootladdle odprawił Oddział Żuków i zostaliśmy sami w gabinecie. Robak usiadł przy swoim biurku, po czym machnięciem trzech par rąk zaprosił mnie, żebym zajął miejsce naprzeciwko.

– Lepiej się czujesz? – spytał.

Popatrzyłem mu w oczy i zobaczyłem swoje odbicia przytakujące w nieskończoność.

– To dobrze. Znasz film *Tak działa deszcz*?

– Czy czeka mnie coś złego, jeśli powiem, że nie?

Roześmiał się.

– I tak czeka cię coś złego – odparł.

– Nie – przyznałem.

– To bez znaczenia. Widziałem go raz, wiele lat temu, na samym początku wymiany handlowej z waszą planetą.

– Jaki on jest? – spytałem.

– Przypomina pyłek ze skrzydeł motyla.

– Skoro jest taki dobry, to dlaczego o nim nie słyszałem?

– Grają w nim nieznanymi aktorzy, ale jedna z młodych kobiet, Gloriette Moss, jest wprost oszałamiająca. To historia miłosna. Wzruszająca – rzekł Stootladdle, drapiąc się po włochatym brzuchu.

– Będę go musiał kiedyś dopaść.

– Nie, Josephie, zrobisz to teraz. Jedyne kopie filmu na tej planecie znajduje się u wdowy po ambasadorze Lancasterze, która mieszka w posiadłości na świetlistym weldzie. Ta wdowa to Gloriette Moss we własnej osobie. Próbowaliśmy kupić od niej film do swojej kolekcji, ale odmówiła. To był ulubiony obraz jej męża, ponieważ ona w nim zagrała. Ma wartość

sentymtalną, jak mawiacie wy, Ziemianie. Chcę go zdobyć.

– Dlaczego po prostu nie pošlesz po niego Oddziału Żuków? – spytałem.

– To delikatna sytuacja. Kobieta ma powiązania z ziemskimi siłami zbrojnymi. Jak to by wyglądało, gdybym zaczął nękać żonę byłego ambasadora? Mogłoby to zakłócić nasz kwitnący handel.

– Jeśli odeślesz mnie na Ziemię, powiem im, żeby nakłonili ją do oddania filmu.

– Widzę, że jesteś gotowy na następne lanie – odparł. – Nie, chcę, żebyś sam do niej poszedł i zdobył film. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale nie wolno ci go ukraść ani zrobić jej krzywdy. Ma ci go oddać z własnej woli, a wtedy ty kupisz za niego swoje życie.

– Jak mam tego dokonać? – spytałem.

– Użyj swojego wdzięku, Josephie. Pamiętaj, jaki byłeś w *Trzecim człowieku!* Niezdarny, ale szczery i pełen uroku.

Pokiwałem głową.

– Albo ci się uda, albo czeka cię powolna i bolesna śmierć.

– Już słyszę dźwięki cytry – odparłem.

Stoodaddle przydzielił mi do dyspozycji swój pojazd (przypominający dawną rikszę) oraz kierowcę, nerwowego termita, który miał mnie zawieźć za miasto. Gdy zostawiliśmy za sobą słaby blask ulicznych latarni, otoczył nas prawdziwy mrok. Naszym jedynym przewodnikiem był poszarpany i poobijany księżyc. Kierowca cały czas narzekał na maleńkie ssaki o koronkowych skrzydełkach, nietoperze wielkości ziemskich komarów, które latały chmarami i wściekle kąsały. Przynajmniej miał kilka dodatkowych kończyn, którymi mógł się opędząć. Bałem się go, bałem się ciemności oraz ponurego losu, który mi groził, ale najbardziej przerażała mnie myśl o wytrzymaniu dnia bez dymu. Burmistrz zapewnił mnie, że Gloriette Moss także jest miłośniczką pomarańczowej mgiełki i ma własne pokaźne zapasy towaru, z którego się ją otrzymuje. Miałem nadzieję, że mnie nie oszukał. Powiedział, że kobieta nigdy nie wróciła na Ziemię właśnie z powodu uzależnienia.

Po koszmarnej podróży dziurawymi drogami w końcu ujrzeliśmy świetlisty weld – olbrzymie pastwisko porośnięte długą, kołyszącą się na wietrze trawą, która lśniła żółto-zielono jak oczy kota. Ten blask rozproszył mój lęk, a powolne falowanie roślinnego oceanu podziałało na mnie uspokajająco. W obliczu tego piękna niemal zapomniałem o swoim fatalnym

położeniu. Kierowca skręcił w ścieżkę przecinającą trawę i pokonaliśmy kolejną milę, a ja wpadłem w omdlenie.

– Wsiadaj, ziemski robaku – usłyszałem i od razu się otrząsnąłem.

– Gdzie jesteśmy? – spytałem.

– Na miejscu. Wsiadaj.

– Gdzie jest posiadłość Lancasterów?

– Patrz – powiedział, po czym wskazał trzema rękami, że dotarliśmy do skrzyżowania dróg. Trawa sięgała powyżej naszych głów.

– Idź tą ścieżką. Po jakimś czasie dotrzesz do ziemskiego domu. Nie mogę cię zawieźć dalej. Jeśli kobieta mnie zobaczy, domyśli się, że przyjechałeś od Stootladdle’a.

– Dziękuję – powiedziałem, wysiadając z pojazdu.

– Niech robaki załęgną ci się w nozdrzach – rzucił kierowca, po czym zawrócił i odjechał.

Oto jestem, Joseph Cotten, trzy lata świetlne od Ziemi, na planecie robaków pogrążonej w wiecznej nocy. Nade mną lśniły gwiazdy, ale nie spoglądałem w górę, bojąc się samotności i wyrzutów sumienia, które mógłbym poczuć, gdybym zobaczył słońce, mrugającą kropkę w oddali. Pomyślałem o swoich rodzicach, którzy pewnie też o mnie myśleli i zastanawiali się, co mnie spotkało. Ojciec na pewno kręcił głową i mówił: „Ten gnojek zabrał mój film”.

Dom Lancasterów był starą skrzypiącą budowlą w stylu retro pochodzącą z czasów, gdy na Ziemi wznoszono mieszkania z drewna. Kiedyś widziałem je na zdjęciach. Jak wyczytałem w jednej z wielu książek o filmach, dom zbudowano w stylu wiktoriańskim. Takie barokowe schronienia z misternie zdobioną stolarką i miriadami pokoi zawsze pojawiały się w filmach z lat trzydziestych i czterdziestych. Spiczaste wieżyczki przypominające kosmiczne rakiety wznosiły się po obu stronach trzypoziomowego sześcianu otoczonego platformą z balustradą. Idąc w stronę schodów prowadzących do drzwi, pośpiesznie i rozpaczliwie pisałem w myślach scenariusz kolejnej sceny.

Zapukałem raz, dwa, trzy razy i czekałem, mając nadzieję, że gospodyni jest w domu. Sam nie miałem jak wrócić do Egzo-miasta. W końcu drzwi się otworzyły i za wewnętrzną siatką pojawiła się młoda kobieta.

– W czym mogę panu pomóc? – spytała, niemal szepcząc.

– Zgubiłem się – odpowiedziałem. – Oddaliłem się od miasta, żeby

zobaczyć świetlisty weld, i chociaż go znalazłem, chyba nie potrafię wrócić. Coś goniło mnie w wysokiej trawie. Boję się i jestem zmęczony. – Kiedy to powiedziałem, uznałem, że moje słowa zabrzmiały zbyt sztywno, żeby w nie uwierzyć.

Otworzyła siatkowe drzwi i uważnie mi się przyjrzała.

– Joseph Cotten?

Pokiwałem głową, starając się wyglądać jak najbardziej żałośnie.

– Ależ miał pan pecha – powiedziała i zaprosiła mnie do środka.

Gdy przekroczyłem próg, zrozumiałem, że staremu Joemu się poszczęściło. Gdyby zobaczyła tylko mnie, zapewne zamknęłyby mi drzwi przed nosem i wezwała Oddział Żuków, ale skoro odwiedził ją Cotten, zawodowe wcielenie bezsilności z *Trzeciego człowieka*, od razu poczuła mój ból.

W trzewiach starego wiktoriańskiego domu, stojąc na kunsztownie zaprojektowanym dywanie pośród spiralnych drewnianych mebli, w obliczu starego stojącego zegara, chłonałem piękno Gloriette Moss. Stoolladdle znał się na filmach, ponieważ miałem przed sobą prawdziwą supergwiazdę – egzotyczną hybrydę młodej Audrey Hepburn i starszej Hayley Mills. Była tym wszystkim i jeszcze czymś więcej, ze średniej długości falującymi blond włosami, świeżą i niewinną twarzą, uśmiechem pełnym elegancji, ale z kącikami ust unoszącymi się w łobuzerski sposób. Miała na sobie prostą kobaltowoniebieską sukienkę i nie nosiła butów. Była jak Jean Seberg z włosami, jak niezmanierowana Grace Kelly.

– Rzadko ktoś mnie odwiedza, odkąd zmarł mój mąż – powiedziała, splatając dłonie za plecami.

– Przepraszam, że panią niepokoję – odrzekłem. – Nie wiem, co mi przyszło do głowy, że zapuściłem się samotnie na pustkowie.

– Ależ to żaden kłopot. Cieszę się, że będę miała towarzystwo.

– Cóż, trochę ochłonę i już mnie nie ma – odparłem, a chociaż wypowiedziałem te słowa w neutralny sposób, poczułem, że Cotten odgrywa dyskretne przygnębienie.

– Bzdura – odpowiedziała. – Przybył pan z tak daleka, żeby zobaczyć weld. Nie może pan sam wracać do miasta. I tak miał pan szczęście, że tutaj dotarł. W tej trawie żyją różne stworzenia, które mogły pana zjeść.

– Przepraszam. Przyleciałem z Ziemi w poszukiwaniu plenerów do filmu o planecie robaków. Zamierzam wskrzesić tę sztukę na naszej ojczyściej

planecie i pomyślałem, że trudno o lepsze miejsce do nakręcenia filmu niż jedyny świat w kosmosie, gdzie wciąż ceni się filmy za ich walory artystyczne, a nie za to, ile pozwolą zdobyć freasencji.

– To cudownie – odrzekła, a jej twarz się rozpromieniła. – Niech pan zostanie, a ja pokażę panu weld. W tym domu jest wiele pustych pokoi.

– Jest pani pewna, że nie będę sprawiał kłopotu? – spytałem.

– Ależ proszę. Mój człowiek zaprowadzi pana na górę i pomoże się panu rozgościć.

Chciałem coś powiedzieć, ale mi przerwała.

– Nie zamierzam słuchać żadnych wymówek. – Eleganckie słowa wypowiedziane przez taką piękną kobietę sprawiły, że zrobiło mi się słabo.

– Vespatianie! – zawołała i po chwili w wejściu do korytarza po lewej stronie pojawił się bladozielony pasikonik dorównujący mi wzrostem, ubrany w czarną krótką marynarkę i spodnie.

– Mamy gościa – powiedziała. – Pan Cotten przez jakiś czas u nas zostanie. Zaprowadź go do dużego pokoju na trzecim piętrze, tego z widokiem na weld.

– Jak pani sobie życzy – odrzekł owad służalczym tonem Davida Nivena. – Proszę za mną.

Vespatian odprowadził mnie do drzwi pokoju na górze i poinformował, że kolacja zostanie podana o ósmej. Kiedy mu podziękowałem, boleśnie westchnął, po czym szybko się odwrócił i odszedł.

Gdy tylko znalazłem się w swoim pokoju, stałem się Cottenem z *Cienia wątpliwości*. Widok lśniących fal trawy rozciągających się za oknem zajmującym całą ścianę sprawił, że poczułem się jak na pokładzie statku żeglującego przez morze światła. Położyłem się na łóżku i zacząłem knuć.

Na kolację jedliśmy steki ze stonogi pieczone na węglu i sącyliśmy sfermentowany śluz karalucha z ziemskich kryształowych kielichów. Zawsze planowałem, że gdybym miał pieniądze, sprowadziłbym pizzę na planetę robaków, ale to inna historia.

– Josephie – odezwała się Gloriette. – Znam pańskie filmy, ale założę się, że pan nigdy nie słyszał o mnie.

– Ależ słyszałem – odrzekłem. – Co prawda nigdy nie widziałem tego filmu, ale każdy miłośnik kina słyszał o *Tak działa deszcz*. Gdy już panią poznałem, lepiej rozumiem, dlaczego stał się kultowym klasykiem.

Roześmiała się jak dziewczynka, ale nagle ogarnął ją smutek.

– Mój mąż, słynny Burt Lancaster, uwielbiał ten film. Tylko dlatego on się dla mnie liczy.

– Zasmuciły mnie wieści o śmierci ambasadora, kiedy przyleciałem z Ziemi.

– Był wielkim człowiekiem – odparła, a nano-technologia wyprodukowała delikatne łyzy odpowiednie dla jej uczuć.

Dalej jedliśmy w milczeniu. Nie miałem odwagi się odezwać, żeby nie zakłócać wspomnień, które najwyraźniej do niej powróciły. Przez jakiś czas siedziała nieruchomo z kawałkiem stonogi na widelcu, wbijając wzrok w stół.

Kiedy skończyłem, po cichu wstałem i wyszedłem z jadalni. Położyłem się do łóżka i próbowałem zasnąć, ale teraz, gdy moja sytuacja już się ustabilizowała, a napięcie nerwowe wywołane niepewnością ustąpiło, ochota na dym zaczęła odzywać się w mojej głowie. Byłem tak wygłodzony, że czułem jego zapach unoszący się w moim pokoju. Nie mogłem dłużej uleżeć, więc zacząłem krążyć po pomieszczeniu. W weldu dobiegł mnie wrzask jakiejś zabijanej ofiary, który przerwał nużące odgłosy świerszczy. Wyszedłem z pokoju i po cichu zszedłem na dół.

Przemykałem przez zaciemniony dom, z pokoju do pokoju, z zainteresowaniem oglądając dwudziestowieczne świecidełka zalegające na półkach. Ambasador bez wątpienia był fanem dawnej Ziemi. Po chwili rzeczywiście wyczułem dym i zauważyłem światło wydobywające się z pokoju na końcu długiego korytarza na pierwszym piętrze. Gdy się zbliżyłem, usłyszałem cichą muzykę, chyba Ellę Fitzgerald. Zajrzałem do środka i zobaczyłem Gloriette siedzącą na kanapie. Na niskim stoliku przed nią stała olbrzymia buda trunku, którym raczyliśmy się podczas kolacji, pełny kieliszek oraz dymiące naczynie, z którego unosiła się pomarańczowa mgiełka. Długa rurka wystająca z naczynia znikwała pod sukienką kobiety, pomiędzy jej rozchylonymi nogami.

Nagle Gloriette odwróciła się i mnie zobaczyła. W jej na wpół przymkniętych oczach nie zauważyłem niepokoju ani zażenowania. Uśmiechnęła się bez radości, wyglądając znacznie starzej niż poprzednio.

– Może dymu? – spytała.

– Jeśli mogę – odrzekłem, drgając wewnątrz egzo-kombinezonu.

Poklepała siedzisko obok siebie, a ja skorzystałem z zaproszenia.

Sięgnęła pod sukienkę i odczepiła rurkę prowadzącą do naczynia. Rozległ

się syk zamykanego kraniku. Podała mi rurkę, a ja odsunąłem zamek błyskawiczny, ustawiłem się w odpowiedniej pozycji i podpiąłem.

Mój Boże, co za ulga. Wciąż ją pamiętam, mimo że patrzę przez mgłę kolejnych lat wypełnionych dymem. Kiedy skończyłem, siedzieliśmy w pomarańczowej chmurze, słuchając niebiańskiej muzyki.

– Kim jesteś, Josephie? – wyszeptała.

Wiedziałem, co ma na myśli, ale rozmowa na takie tematy była zbyt niebezpieczna. Na planecie robaków oszustwo egzo-kombinezonów jeszcze nie zostało zdemaskowane. Stoodaddle i jego poplecznicy naprawdę myśleli, że jesteśmy gwiazdami, do których się upodobnialiśmy. Nasza obecność tak ich urzekła, że nie potrafili logicznie myśleć. To przypominało tajemnicę Świętego Mikołaja, a ja nie chciałem być tym, który ją ujawni.

– Przyjacielem – odrzekłem, zaskoczony, że udało mi się nie wypaplać wszystkiego pod wpływem dymu.

– Tęsknisz za Ziemią? – spytała.

– Tak. Brakuje mi słonecznego światła.

– Mogłabym tam wrócić, kiedy tylko zechcę. Ale nic tam na mnie nie czeka. Kiedy ambasador umarł, ja w pewnym sensie odeszłam razem z nim.

– To był dobry człowiek – odrzekłem.

– Bardzo dobry – przytaknęła. – Kochał swoją pracę. Nikt nie potrafił owinać sobie Stootladdle'a wokół palca tak skutecznie jak mój mąż. Rynek freasencji wiele mu zawdzięcza. Ale nie mówię tylko o jego pracy, był dobry także dla mnie. Często rozmawialiśmy i żartowaliśmy, a dwa razy w roku korzystał ze swojej fortuny i zabierał mnie do miasta, gdzie – mam nadzieję, że nie obrazisz się, że o tym opowiadam – wchodziliśmy do pudełka.

– Pudełka? – zdziwiłem się.

– Stootladdle ma komorę ciśnieniową, do której można wejść i zdjąć egzo-skorę. Korzystanie z niej jest bardzo drogie, ale mój mąż nie zważał na koszty.

– Ale czy w ten sposób nie wyjawiamy naszej tajemnicy?

– Nie, Josephie – odparła ze śmiechem. – Oni myślą, że kiedy tam wchodzimy, po prostu się roztapiamy. Postrzegają to z owadziej perspektywy. Jako miejsce, w którym zrzucamy zewnętrzną powłokę i się parzymy. – Zarumieniła się i przez chwilę nie mogła przestać chichotać.

– Wyobrażam sobie, co muszą myśleć o ludzkości – odrzekłem i również się roześmiałem.

– Pewien Ziemianin zaprojektował pudełko i sfinansował jego transport na planetę. Przez jakiś czas było popularne wśród emigrantów, ponieważ używanie go niewiele kosztowało, ale kiedy Stoodaddle zobaczył, że może na nim zarobić, wynalazcy przydarzył się wypadek, a urządzenie trafiło w ręce burmistrza, który teraz żąda olbrzymich opłat za sesje trwające niewiele dłużej niż ziemskie pół godziny.

– Co za drań – odparłem.

– Nie powinnam ci o tym mówić, ale teraz to już bez znaczenia. W pudełku poznaliśmy się takimi, jakimi byliśmy naprawdę. – Podpięła się i przyjęła kolejną porcję dymu, a nasza rozmowa wygasła.

Stary fonograf skończył odtwarzać muzykę z czarnego krążka i rozległo się uporczywe drapanie igły, które złało się w jedno z odgłosami świerszczy. Zdrzemnąłem się, a kiedy otworzyłem oczy, Gloriette już nie było. Chwiejnym krokiem wszedłem po schodach do swojego pokoju.

Następnego dnia, który oczywiście nie różnił się od nocy, Vespasian podjechał pod dom ciężarówką. Razem z Gloriette usiedliśmy na odkrytej platformie z tyłu, na wygodnych fotelach przytwierdzonych do metalowego podłoża. Zabraliśmy dzbanek z piciem i piknikowy koszyk.

– Jedziemy na weld, Vaspationie – rozkazała Gloriette.

– Jak pani sobie życzy – odrzekł pasikonik z kabiny.

Pokazała mi krajobraz świetlistej równiny i widziałem, że udziela się jej mój zachwyt pięknem widoków. Po południu dotarliśmy na ranczo, na którym produkowano gnój. Potężne owady zwane Zandergulami, pluskwiaki wielkości słoni, powoli przemierzały weld. Gloriette wyjaśniła, że te powolne olbrzymy zjadają wysoką trawę, która lśni za sprawą mikrobów świecących własnym blaskiem. Gigantyczne bestie pożywiały się, po czym wydalały niemal identyczną ilość freasencji. Chemiczna reakcja zachodząca pomiędzy mikrobami i sokami trawiennymi Zanderguli nadawała łajnu niezwykle miłosne właściwości. Za każdą organiczną maszyną do produkcji afrodyzjaku szła pchła z bractwa Stoodaddle'a, pchając wózek, na który trafiały skawalone bogactwa planety robaków.

Przebywanie w pobliżu takiej ilości freasencji od razu skierowało moje myśli w stronę seksu. Zauważyłem, że Gloriette także się zarumieniła, i dostrzegłem jej sutki sterczące pod różową sukienką. Kiedy zorientowała się, że na nie patrzę, zawołała do Vespasiana:

– Wystarczy na dzisiaj!

Usłużny owad uruchomił silnik ciężarówki i odwiózł nas do posiadłości szlakiem wiodącym wzdłuż rzeki. Jej wody były czarniejsze od nocy, ale w głębinach błyskały świetliste punkty.

– Tam jest Ziemia – rzekła Gloriette, wskazując gwiazdę mniejszą od rzecznych drobinek.

– Rzeczywiście – odparłem, ale nie podniosłem wzroku.

Tamtego wieczoru po kolacji, gdy Vespasian już się położył, razem z Gloriette usiedliśmy w salonie i poprzez pomarańczową mgłę oglądaliśmy *Tak działa deszcz*. Po powrocie z werandy zastaliśmy rozstawiony projektor i przenośny ekran. Po kilku solidnych porcjach dymu Gloriette zgasiła światła i włączyła odtwarzacz.

Prawdę mówiąc, film okazał się fatalny, ale chociaż fabuła była typowym wyciskaczem łez, Gloriette Moss była tak olśniewająca, nawet w czerni i bieli, oraz tak szczerą, że kiepscy aktorzy, nieudana kinematografia i kulejący scenariusz przestawały mieć znaczenie. Film opowiadał o młodej kobiecie, która, maltretowana przez swojego pierwszego męża, wpada w alkoholizm. Widzimy, jak wytacza się z baru podczas ulewy i chwiejnym krokiem idzie ulicą. Nagle do przemoczonej dziewczyny podchodzi młodzieniec z parasolem i pyta, czy zechciałaby razem z nim schronić się przed deszczem. Okazuje się, że on także ma problem z alkoholem. Mówiąc w skrócie, młodzi zakochują się w sobie, po czym postanawiają pomóc sobie nawzajem w walce z nałogiem. Aktorzy przesadnie odgrywają objawy delirium, do których należą między innymi ataki chmar owadów, ale ostatecznie miłość zwycięża. Zakochani, pokonawszy swoje słabości, biorą ślub i wprowadzają się do skromnego, ale przytulnego mieszkania. Życie jest cudowne, lecz nagle zaczyna padać. Młody mąż wychodzi do sklepu po papierosy. Żona patrzy na niego z okna. Gdy jej ukochany przechodzi przez ulicę, zza rogu wypada samochód prowadzony przez jak zwykle irytującego Reda Buttonsa. Kierowca wciska hamulec, auto wpada w poślizg i mąż Gloriette ginie. W ostatniej scenie filmu obserwujemy ją w barze. Barman mówi, że dawno jej nie widział i że kobieta źle wygląda. Ona upija łyk drinka, zaciąga się papierosem, po czym odpowiada: „Tak działa deszcz”.

Kiedy film się skończył, a końcówka obracającej się taśmy zaczęła uderzać o projektor, Gloriette odwróciła się w moją stronę.

– Wiesz, prawie uwierzyłam, że to moje prawdziwe wspomnienia i oglądałam siebie w młodości.

Powiedziałem jej, że wypadła wspaniale, ale ona tylko machnęła ręką, nakazując mi opuścić pokój. Przystanąłem w progu i powiedziałem, że jest piękna. Myślę, że mnie nie usłyszała; była zajęta przewijaniem filmu, jakby miała zamiar ponownie go obejrzeć.

Mijały kolejne dni, a ja całkowicie zapomniałem o zadaniu, które zlecił mi Stootladdle. Wbrew rozsądkowi zakochałem się w swoim celu. Cały czas spodziewałem się, że Gloriette przejrzy mój podstęp, ale wdzięk Cottena maskował każdy mój błąd, aż wreszcie, podczas długich godzin, które spędzaliśmy razem, zdałem sobie sprawę, że ona także coś do mnie czuje. Czułem się, jakbyśmy grali w jakimś filmie klasy B, który, dzięki egzotycznym dekoracjom w postaci weldu i alchemii gwiazd, nie musi aspirować do klasy A, gdyż i tak zapisze się w sercach widzów.

A przynajmniej tak mi się wydawało, dopóki pewnego dnia nie minąłem się z Vespasianem w korytarzu. Złapał mnie za rękę, mocno ścisnął i wyszeptał:

– Stootladdle przesyła wiadomość. Masz dwa dni na dostarczenie filmu, w przeciwnym razie trzeciego dnia zawisniesz obok Omara Sharifa.

Nagle czar prysł i znów wpadłem po szyję w kłopoty. Rozważałem wyznanie prawdy Gloriette i opowiedzenie jej o swojej sytuacji. Być może z dobroci serca oddałaby film Stoodaddle'owi, żeby mnie uratować, ale wtedy dowiedziałaby się, że ją zdradziłem. Nie chciałem jej stracić, ale również nie chciałem umrzeć. Nawet Cotten, wytrawny aktor dramatyczny, nie był w stanie ukryć dręczącego mnie dylematu. Jeszcze tego samego dnia po kolacji Gloriette spytała, co mnie gryzie.

– Nic – odpowiedziałem, ale później, kiedy skosztowaliśmy dymu, ponowiła pytanie.

Narkotyk mnie osłabił i wzbierający we mnie lęk skłonił mnie do zdania się na jej łaskę. Siedziałem obok niej na kanapie. Wziąłem ją za rękę, a Gloriette wyprostowała się i nachyliła w moją stronę.

– Muszę ci coś wyznać.

– Słucham – odrzekła, patrząc mi w oczy.

Nie wiedziałem, jak zacząć, i przez kilka minut tylko siedziałem, wpatrując się w jej piękną twarz. Znad weldu dobiegł odgłos grzmotu, a po chwili deszcz cicho zabębnił w okno salonu.

Otworzyłem usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Gloriette odebrała to jako zaproszenie i zbliżyła się do mnie, dotykając ustami moich

warg. Zaczęliśmy się namiętnie całować. Objęła mnie rękami i przyciągnęła do siebie. Powiodłem dłonią po cienkim materiale jej sukienki, od uda do żeber, a potem do piersi. Nie protestowała, była bowiem równie napalona jak ja. Długo się dotykaliśmy i całowaliśmy, jak zwykli robić ludzie w dwudziestym wieku, a nie w naszych czasach. Gdy już nie mogłem dłużej wytrzymać, sięgnąłem pod jej sukienkę. Przesunąłem dłonią po gładkiej skórze uda, ale gdy już miałem eksplodować z podniecenia, moje palce napotkały zimny metal kraniku wydechowego. Boleśnie jęknąłem.

Twórcy kombinezonów, pomimo całego kunsztu i sprytu, zaniedbali chyba najważniejszy aspekt ludzkiej anatomii. Cóż za ironia, że kostium, który miał wspomóc handel afrodyzjakiem, nie pozwalał na cieszenie się seksem. W tej samej chwili, gdy złapałem za jej stalową rurkę, ona natrafiła na moją. Cofnęliśmy dłonie i siedzieliśmy pogrążeni we frustracji.

– Pudełko – powiedziała w końcu. – Jutro pojedziemy do miasta i wejdziemy do pudełka.

– Jesteś pewna? – spytałem.

– Musimy.

– Ale czy możesz sobie na to pozwolić? Ja nie mam pieniędzy – odrzekłem, wciąż lekko drżąc.

– Nie, ja także nie mogę sobie na to pozwolić, ale mam coś, czego chce Stoodaddle i co mogę wymienić na pół godziny w komorze.

Wtedy dotarło do mnie, że podobnie jak w filmie, miłość może zwyciężyć. Gloriette odda film, a ja ocaleję i mój podstęp pozostanie tajemnicą. Nawet Frank Capra nie wymyśliłby tak szczęśliwego zakończenia.

Vespatian obudził mnie z ciepłego i jasnego snu o lecie nad morzem.

– Pani Lancaster czeka na ciebie w ciężarówce – oznajmił.

Pośpiesznie się ubrałem i zszedłem na dół.

Gdy usiadłem w swoim fotelu, zauważyłem, że Gloriette trzyma w dłoni blaszany pojemnik z filmem. Nerwowo stukala nim o kolano.

– Dzień dobry, Josephie – powiedziała. – Mam nadzieję, że wypocząłeś.

– Jestem gotowy – odrzekłem, czując lekkość w sercu, jakiej nie zaznałem od dnia, w którym wylądowałem na planecie robaków.

Miała na sobie żółtą sukienkę, a na szyi zawiesiła złoty wisiołek z pszczołą na cienkim sznurku. Włosy splotła w warkoczyki i lśniła jaśniej niż trawy weldu.

– Do Miasta Egzo-Szkieleatów – poleciła Vespatianowi.

– Jak sobie pani życzy – odrzekł pasikonik i ruszyliśmy.

Jechaliśmy w ciszy przez mrok. W pewnej chwili, gdy już zostawiliśmy w tyle weld i prawie nic nie widzieliśmy przed sobą, poczułem dotyk jej dłoni i spleliśmy palce. Wszystko szło po naszej myśli, dopóki nie dotarliśmy do obrzeży Egzo-miasta, gdzie pod latarnią zobaczyliśmy, jak przygnębiona Judy Garland przykłada sobie pistolet-żądło do głowy i pociąga za spust. Jej egzo-skóra musiała być słabej jakości, ponieważ biedaczka, zamiast wycieknąć przez otwór, pękła jak balon, zachlapując drzwi naszej ciężarówki krwią i wnętrznościami.

Gloriette zakryła oczy dłonią.

– Żałuję, że to zobaczyłam – powiedziała. – To prawdziwe piekło.

– Nic się nie stało – odrzekłem. – Teraz jest szczęśliwsza.

Natychmiast pojawiły się plujki i zaczęły pożerać szczątki.

– Jedź szybciej, Vespatianie! – zawołała Gloriette.

Pasikonik wcisnął pedał gazu i niecałe trzy minuty później wjechaliśmy na główną ulicę Miasta Egzo-Szkieleatów.

Stootladdle zrobił się niezwykle uprzejmy, gdy w końcu zrozumiał, co mu proponuje Gloriette.

– To stary film, i do tego niezbyt dobrze znany – rzekł, biorąc od niej pojemnik z taśmą. – Ale ze względu na pamięć o zmarłym ambasadorze oraz pani urok osobisty przyjmę ten przedmiot w zamian za półgodzinny pobyt w pudełku.

– Kiedy zobaczy mnie pan w końcowej scenie w barze, proszę pamiętać, że wypowiadając ostatnią kwestię, jednocześnie lewym obcasem miażdżę karalucha pod stołkiem.

– Nie posiadam się z podniecenia – odrzekł burmistrz.

– Pudełko – przypomniała Gloriette.

– Tak, proszę za mną – odrzekła pchła. Gdy wyszliśmy z gabinetu, Stootladdle odwrócił się w moją stronę i szepnął: – Cotten, ty przekłety łobuzie.

Pudełko znajdowało się w opuszczonym budynku stojącym przy tej samej ulicy co ratusz. Burmistrz otworzył zamek końcówką długiego, grubego włosa, który wyrastał mu z policzka. Kolejno zanurzyliśmy się w mrocznym pomieszczeniu. Przed nami, niemal niewidoczny w ciemności, stał czarny sześcian o boku długości trzech metrów. Stoodaddle podszedł do niego i nacisnął kilka guzików. Rozległ się odgłos powoli obracających się starych

kół zębatach i część ściany się odsunęła, ukazując jaskrawe światło, zupełnie jak w moim śnie o lecie.

– Pamiętajcie, żeby poczekać na dźwięk gongu. Dopiero wtedy będziecie mogli zrzucić zewnętrzną skórę. Kiedy gong rozlegnie się po raz drugi, musicie włożyć skórę w ciągu pięciu minut, w przeciwnym razie umrzecie, gdy drzwi się otworzą. To wszystko powiedział mi drogi Ziemianin, który wynalazł tę komorę.

– Josephie? – upewniła się Gloriette.

– Chodźmy – odpowiedziałem.

– To z pewnością raj – rzekł Stoodaddle, rozkładając ramiona, żeby wprowadzić nas do świetlistego pudełka.

Usłyszałem, jak drzwi powoli się za nami zamknęły, ale niczego nie widziałem, gdyż chwilowo zostałem oślepiiony. Jednakże czułem ciepło i słyszałem szum płynącego strumyka, śpiew ptaków, pobrzękiwanie dzwonek i szelest liści.

Gdy wrócił mi wzrok, rozległ się dźwięk gongu.

– Czyż tu nie jest cudownie? – odezwała się Gloriette.

– To najpiękniejsze miejsce, w jakim byłem – odrzekłem. Rozejrzałem się i nie zobaczyłem niczego poza podłogą i ścianami wyłożonymi gąbką obciążoną karmazynowym jedwabiem.

– Chodź, Josephie, spraw, żebym zapomniała o weldzie.

Objąłem ją, a ona delikatnie mnie odepchnęła.

– Zrzućmy skóry – powiedziała z nerwowym śmiechem.

Pod wpływem czterech kolejnych stuknięć w środek czoła egzo-skóra zsuwała się z ciała jak skórka z obieranej pomarańczy. Wyciągnęliśmy ręce i nawzajem usunęliśmy z siebie kombinezony.

Wyobraźcie sobie, że nosicie niedopasowane, o wiele za ciasne buty. Wyobraźcie sobie, że chodzicie w nich miesiącami bez przerwy. Potem wyobraźcie sobie, że w końcu je zdejmujecie, a poznacie jedną setną ulgi, jaka towarzyszy zdjęciu egzo-skóry. To doznanie graniczyło z orgazmem. Cotten upadł zmięty u moich stóp. Kopnąłem go w kąt pudełka. Kiedy podniosłem wzrok na Gloriette, stała odwrócona do mnie plecami. Z zadowoleniem stwierdziłem, że ma włosy takiego samego koloru jak aktorka. Stałem za nią i położyłem dłonie na jej ramionach.

– Podrap mnie po plecach – poprosiła, a ja usłuchałem.

– To takie przyjemne – westchnęła.

Potem się odwróciła, a ja cofnąłem się o krok. Oboje szeroko otworzyliśmy oczy. W piersi poczułem dziwną pustkę. Gloriette już nie była piękna. Nie była też pospolita, ale zupełnie inna niż poprzednio. Ta zmiana mnie zmroziła, pomimo ciepłego światła wypełniającego pudełko. Co więcej, w jej oczach ujrzałem gorzkie rozczarowanie. Całe pożądanie się ulotniło, pozostawiając mnie całkowicie bezwładnym, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Zobaczyłem, że jej dolna warga drży, i łzy napłynęły mi do oczu.

– Nie jestem Gloriette Moss – powiedziała.

– Wiem – odrzekłem i zbliżyłem się, żeby ponownie ją objąć.

Przez piętnaście minut naszego drogocennego czasu w rajach staliśmy, przytulając się w milczeniu, nie jak kochankowie, ale jak wystraszone, zagubione dzieci. Seks wydawał nam się równie odległy jak prawdziwe słońce. W końcu zaczęła rozpaczliwie szeptać mi do ucha, opowiadając historię swojego życia. Urodziła się na Ziemi jako Melissa Bower, córka żołnierza, i w bardzo młodym wieku wyszła za mąż za dyplomata, który zmusił ją do podróży na planetę robaków. Gdy wybierali dla siebie egzozskórę, nie pozwolił jej zostać nikim znanym. Chciała upodobnić się do Jane Mansfield, ale mogła liczyć najwyżej na kostium Gloriette Moss.

Jej mąż pragnął przede wszystkim zdobyć wielkie bogactwo. Okazało się, że ambasador był takim samym napastliwym draniem jak Stootladdle. To ona zabiła Lancastera, wbijając mu w oko szpilkę do kapelusza.

– Użyłam czegoś tak cienkiego, żeby nie zostawić śladów, a on cierpiał długo, gdy zamieniał się w galaretę – wyjaśniła. – Dym stał się moim jedynym przyjacielem.

Jej szczerość sprawiła, że poczułem się równie nagi wewnątrz jak na zewnątrz. Wyznałem prawdę o tym, jak i po co przybyłem do jej domu. Gdy o tym opowiadałem, jęknęła i zawisła bezwładnie w moich ramionach, jakby była tylko pustą egzozskórą. Kiedy skończyłem, opuściłem ją na podłogę i położyłem się obok niej. Nie płakała, tylko wpatrywała się pustym wzrokiem w kąt pudełka.

– Teraz mamy siebie nawzajem – powiedziałem. – Możemy sobie pomóc uwolnić się od dymu, a jeśli sprzedamy wszystkie przedmioty z twojego domu, będziemy mogli wrócić na Ziemię. Może nawet się pokochamy. – Pocałowałem ją w policzek, ale nie zareagowała.

Mówiłem, roztaczałem kolejne wizje i obiecywałem, masując ją po ręku i głaszcząc po włosach. Nagle zabrzmiał gong, który wyrwał mnie z marzeń o

przyszłości.

Natychmiast zacząłem wkładać kombinezon.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziałem, zanim na chwilę umarłem i zostałem przywrócony do życia.

Gdy znów stałem się Cottenem, opuściłem wzrok i ku swojemu przerażeniu stwierdziłem, że ona się nie poruszyła.

– Pośpiesz się! – wrzasnąłem. – Pozostało tylko kilka minut.

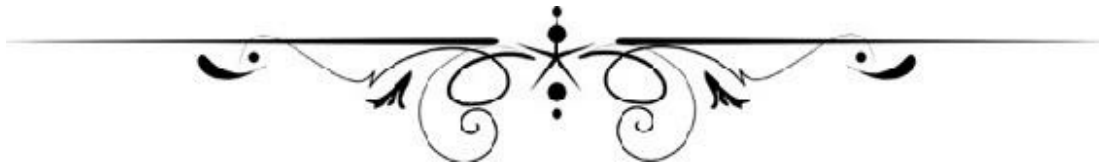
Leżała nieruchomo z wytrzeszczonymi oczami. Próbowałem wsunąć na nią kombinezon – co jest niemożliwe, jeśli ubierana osoba nie stoi – ale cały czas leżała w pozycji embrionalnej. Te kilka minut trwało całą wieczność, a gdy myślałem, że już dawno powinny minąć, podniosłem ją i przytuliłem.

– Dlaczego? – spytałem. – Dlaczego?

Powoli zwróciła twarz w moją stronę.

– Wiesz dlaczego – odpowiedziała.

Wtedy drzwi się otworzyły, a ona zmieniła się w deszcz w moich objęciach.



To opowiadanie zostało odrzucone więcej razy niż moja karta kredytowa. Co się tu może nie podobać? Są olbrzymie robaki z kosmosu, hollywoodzkie gwiazdy, kulki owadziego gówna, które działa jak afrodyzjak, narkotyzowanie się przez kranik w kroczu oraz Judy Garland w roli Dorothy Gale strzelająca sobie w głowę. Myślałem, że to świetny tekst. Wreszcie na opowieść przychylnym okiem spojrział Dave Truesdale, redaktor pierwszego numeru „Black Gate: Adventures in Fantasy Literature”.

Pomysł na to opowiadanie przyszedł mi do głowy, kiedy mój syn kupił książkę Stuarta Galbraitha o historii japońskich filmów o potworach, zatytułowaną *Potwory atakują Tokio!* Zanim po nią sięgnąłem, nie wiedziałem, że słynny aktor John Cotten pod koniec kariery zagrał w kilku niskobudżetowych japońskich filmach o potworach. Żadnego z nich nie oglądałem, ale w książce było mnóstwo zdjęć. Miasto *Egzo-Szkieletów* zostało opowiedziane w melodramatycznym stylu czarno-białych filmów, które oglądałem popołudniami w telewizji, gdy jako dzieciak uciekałem ze szkoły, co zdarzało się często.

Tytuł filmu, którego pożąda burmistrz świata robaków, *Tak działa deszcz*, pochodzi od pewnego obłąkanego faceta, który wałęsał się po ulicach południowej Filadelfii, gdy mieszkalem niedaleko Marconi Plaza, zaledwie rzut kamieniem od Monzo's Meatarama. Widywałem tego gościa co najmniej raz w tygodniu, a on wciąż powtarzał to samo zdanie.

Często sobie myślę, że pewnego dnia chciałbym opisać historię dojścia do władzy Stootladdle'a, pchlego burmistrza Miasta Egzo-Szkieletów. Dziękuję Dave'owi Truesdale'owi i Johnowi O'Neillowi (wydawcy „Black Gate”) za to, że umożliwili wam zapoznanie się z tą opowieścią o potworach.

SŁODKI WĘZEL

Około dziesięciu lat temu na moim kursie pisarskim pojawił się uczeń, który po tym, jak zadałem grupie tekst do napisania, podniósł rękę i spytał beznamiętnym głosem:

– Panie Ford, a co, jeśli brakuje nam rymów?

Podniosłem wzrok, żeby sprawdzić, czy żartuje, i zobaczyłem znoszoną skórzaną kurtkę, wiecznie młodą twarz, złowieszczą fryzurę na pazia oraz oczy, które patrzyły tak intensywnie, że ich spojrzenie mogłoby okrążyć świat i spocząć na karku właściciela.

– Nie przejmuj się – odrzekłem. – Nie piszemy wierszy. Po prostu opowiedz historię.

– Ale brakuje mi rymów – upierał się.

Przez całe zajęcia tylko siedział i patrzył. Nie rozumiałem jego dylematu, ale byliśmy w college’u, chłopak płacił za naukę, więc uznałem, że póki nie hałasuje, może sobie siedzieć i rozmyślać o swoim problemie.

Po kolejnych dziesięciu latach nauczania jego słowa wreszcie stały się dla mnie zrozumiałe. Setki uczniów i tysiące tekstów później ja również zacząłem wyraźnie odczuwać brak rymów. Początkowo pomyślałem, że to kwestia wieku. Już dawno minęły czasy, gdy studenci omyłkowo brali mnie za jednego ze swojego grona. W pracy czułem się nieobecny, jakbym był pusty w środku i wykonywał wszystkie obowiązki przez sen. Miałem niejasne wrażenie, że to niepokojące i niezwykłe uczucie należy przypisać wpływowi niezliczonych pisemnych prac, które przeczytałem, oraz umysłów ich twórców. Możecie mi wierzyć, słowa mają czarodziejską moc. Są zaraźliwe. Zanurzając się głęboko w proces twórczy innych osób, wchodziłem w kontakt z tajemnymi intrygami. Doświadczałem niewytłumaczalnych spotkań z nieprawdopodobnym.

Pamiętam kobietę, która napisała, że była żona jej męża rzuciła na nią zaklęcie rodem z obrzędów Santerii. Pewnego niedzielnego poranka z zaskoczeniem odkryła talerze z suszonym ryżem i ludzkimi włosami rozstawione na zewnątrz jej domu, na wszystkich czterech rogach. Za radą ciotki, która znała się na tajemnicach tej religii, kobieta zawiesiła pod sufitem miseczkę z wodą i pływającym w niej jajkiem. Kiedy po trzech dniach rozbiła skorupkę, w środku znalazła krwawą plamkę. W ten sposób odkryła prawdziwą naturę klątwy. Zanim w końcu wybrała się do Nowego Jorku, żeby zapłacić *bruji* za złożenie w jej imieniu ofiary z kurczaka, spotykały ją rozmaite wypadki i niepowodzenia. Widziałem ślady niektórych z nich – siniaki po upadku ze schodów, wgięcia na karoserii samochodu uderzonego na parkingu, skutki pożaru, który spontanicznie wybuchł w jej portfelu.

Inna młoda kobieta, moja ulubiona studentka, w jednej z pisemnych prac wyznała, że jest wiedźmą, a w dalszej części semestru w ramach przysługi rzuciła zaklęcie, które miało mnie wyleczyć z problemów ze wzrokiem. Tamtego wieczoru przyszła na zajęcia ubrana w śnieżnobiały strój przypominający dziecięcą sukienkę balową oraz białe lakierki. Nie odezwała się nawet słowem i wyszła przed końcem kursu. Trzy dni później mój wzrok wrócił do normy.

Pamiętam młodego czarnoskórego studenta, który rozrysował zieloną kredką świecową na arkuszu tektury swój rodowód z jednej strony sięgający Leifa Ericssona, wikinga odkrywcy, a z drugiej Geronimo. Wierzył, że cały czas obserwują go w podczerwieni oczy satelitów. Jakie miałem prawo mówić mu, że się myli? Być może jeszcze bardziej żałosna była dziewczyna, która napisała, że na skutek choroby w jej płucach rosną egzotyczne kwiaty. Gdy spytałem ją o szczegóły, odpowiedziała: „To cały ogród. Kiedy zakwitną, umrę przez uduszenie”.

Był jeszcze łagodny młodzieniec w okularach, zawsze mówiący tylko szeptem, który pewnego dnia zgwałcił i zamordował dziecko w swojej dzielnicy. Wszystkie jego opowiadania i eseje dotyczyły smoka imieniem Płomień. Kiedy zobaczyłem swojego studenta w CNN, skutego kajdankami i prowadzonego przez dwóch szeryfów federalnych, poczułem się winny, że nie potrafiłem odszyfrować symboliki zawartej w jego opowieściach i zapobiec nieszczęściu. Śmierć tamtej dziewczynki nie dawała mi spokoju przez lata.

Jednakże najbardziej niepokojący epizod w mojej karierze dotyczył

pewnej czterdziestosiedmioletniej kobiety z metalową płytką w głowie. Jej opowieść okazała się pryzmatem, w którym skupiły się wszystkie rozpaczliwe historie moich studentów, dając mi lekcję, której nigdy nie zapomnę.

Pani Apes pojawiła się na moich zajęciach podczas jesiennego semestru, gdy tak bardzo brakowało mi rymów, że zastanawiałem się nad rezygnacją. Była bardzo wygadana i chociaż miała blizny na twarzy i nierówne włosy z przodu, jej oblicze cechowała prosta serdeczność, która od razu przypadła mi do gustu. Jej pytania i komentarze początkowo peszyły pozostałych, znacznie młodszych, studentów, ponieważ pani Apes swobodnie wyrażała emocje i zawsze kładła swoim rozmówcom rękę na ramieniu. Jednak już po kilku zajęciach traktowali ją jak matkę, którą chcieliby mieć.

Jej teksty nie były ani opowiadaniem, ani esejami. Najlepiej opisuje je określenie „wizjonerskie świadectwa”. Nie widziałem niczego takiego od czasu opowieści o smoku pisanych przez tamtego przegranego młodzieńca, Kevina Wheasta. Nie miały wyraźnie zaznaczonego początku ani końca i trudno było określić cel ich powstania. Ptaki zmieniały się w wilki, które skakały w niebo, żeby zamieszkać w magicznej krainie chmur, gdzie ich łązy stawały się deszczem wypłukującym strach z samotnych dzieci. Jelenie znały tajemnice stworzenia, wrony żyły w umysłach ludzi, psy dawały schronienie duszom zmarłych świętych. A nad tą całą dziwną i złożoną kosmologią czuwał kochający duch Aramody.

Wiedziałem, że najlepiej zacząć od pracy nad tym, co otrzymuję od studentów, i dopiero później, wraz z upływem semestru, przejść do innych tematów. Pani Apes popełniała mnóstwo literówek, a jej zdania czasem były osobliwie zbudowane, zupełnie jakby tłumaczyła z obcego języka. Nie stosowała akapitów. Gdy wspomniałem jej o tych problemach i proponowałem możliwe strategie ich przezwyciężenia, śmiała się cicho i spoglądała w dal, jakby przypominała sobie zabawne wybryki dawno zmarłego krewnego.

Pewnego dnia, gdy rozmawiałem z nią przy swoim biurku, poprosiłem, żeby napisała opowiadanie o jakimś wydarzeniu z własnego życia.

Przez chwilę milczała, po czym wyrzuciła z siebie, że jej mąż brutalnie ją pobił, tak że miała pękniętą czaszkę.

– Policja musiała go zastrzelić – powiedziała. – A kiedy zabrali mnie na intensywną terapię, opuściłam swoje ciało i latałam po szpitalu, wszystko

widząc. Widziałam prawdziwe kolory ludzi, niczym kule światła, o tutaj – wskazała swój splot słoneczny. – Z każdej duszy, którą spotkałam w tej formie, wyskakiwał kolorowy promień i trafiał mnie w głowę. W końcu w szpitalnej kostnicy natrafiłam na małą dziewczynkę, która przywołała mnie i pocałowała pomiędzy oczami. Kazała mi wrócić do mojego ciała i powiedziała, że będę żyła. Teraz noszę tutaj metalową płytkę. – Postukała się w głowę, jakby to były drzwi.

– Metalową płytkę? – spytałem.

Pokiwała głową.

– Moja głowa jest magnesem i latarnią morską. Czasami to zaleta, bo dzięki temu lepiej rozumiem różne sytuacje i przekazuję swoją wiedzę światu, ale jednocześnie zapominam ważne rzeczy, o których powinnam pamiętać.

Wiedziałem, że najgorsze, co mogę zrobić, to zlekceważyć opowieść pani Apes. To była jej rzeczywistość, a jeśli chciałem jej pomóc rozwinąć talent pisarski, musiałem ją uszanować, nawet jeśli wydawała mi się nieprawdopodobna. Jednakże ja również miałem zadanie do wykonania, więc trochę ją przycisnąłem, mając nadzieję, że znajdzie bardziej konkretny temat, o którym zechce napisać.

– Na przykład, o czym pani zapomniała? – spytałem. – Żeby wiedzieć, że czegoś brakuje w pani wspomnieniach, musi pani mieć chociaż blade pojęcie, co to takiego.

– Miałam córkę – odpowiedziała. – Była piękną dziewczynką, słodką i serdeczną, chociaż miała ojca potwora. Cztery lata temu, czyli dwa po tym, jak zostałam zaatakowana, kiedy miała czternaście lat, potrącił ją samochód, gdy przechodziła przez jezdnię przed szkołą. Odwieziono ją do szpitala, gdzie lekarze operowali ją godzinami, ale w końcu zmarła na skutek urazów głowy. Ja też prawie umarłam z żalu. Od tamtej pory miałam wrażenie, że powinnam była to przewidzieć i być na miejscu, żeby jej pomóc. – Gdy mówiła, z jej twarzy ani na chwilę nie zniknął spokój.

Na chwilę odwróciłem wzrok i zobaczyłem, że pozostali studenci uważnie się przysłuchują. Ich maski młodzieńczego cynizmu i wyluzowania opadły, pozostawiając twarze dzieci, które po raz pierwszy obserwują, jak eskadra ohydnych małąp z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* wzbija się w powietrze.

Pani Apes kontynuowała:

– Moją córkę zabrano do tego samego szpitala co mnie. – Nachyliła się i położyła dłoń na mojej ręce. – Czy pan wie, że z powodu takiego samego nazwiska pomieszano nasze zdjęcia rentgenowskie głowy? Kiedy lekarz zorientował się po imieniu, że technik dał mu niewłaściwe zdjęcie, poprosił o rentgen córki. W pewnej chwili oba zdjęcia znalazły się na jego biurku. Wtedy odkrył, że są identyczne. Uszkodzenia, złamania i pęknięcia dokładnie sobie odpowiadały. Co do najmniejszego szczegółu.

Pokręciłem głową.

– Niech pan tylko pomyśli. Miałam czterdzieści jeden lat, kiedy to się stało, a moja córka zginęła w wieku czternastu lat.

– Co to oznacza? – spytałem.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała. – Ale wierzę, że moje wizje prowadzą mnie ku odpowiedzi.

– Co takiego pani zapomniała?

– Imię córki. Za nic na świecie nie potrafię go sobie przypomnieć. Dzwonię do siostry w Kalifornii i pytam, jak miała na imię moja córka, a siostra mi odpowiada, ale zanim zdołam zapisać imię, znów je zapominam. Jeśli nie patrzę na nie na kartce, nie potrafię go przywołać w myślach. Ta utrata pamięci sprawia mi ogromny ból.

– Mogłaby pani o tym napisać? – spytałem.

Pani Apes wyraźnie spoważniała.

– Postaram się – odrzekła – ale sam pan zobaczy, co się stanie.

Wziąłem jej ostrzeżenie pod rozwagę, zastanawiając się, czy dobrze zrobiłem, próbując ją nakłonić do pisania o czymś tak intymnym. Przez lata nauczyłem się, że zajmując się bardzo osobistymi tematami, studenci mogą dokonać prawdziwych przełomów w swoim pisarstwie, ponieważ bardzo często właśnie zagubienie spowodowane wspomnieniami o tych wydarzeniach utrudnia im jasne wyrażanie myśli. Opowiadania i eseje nie powstają z niczego i nie rodzą się pod palcami uderzającymi w klawisze. Tekst musi najpierw zaistnieć w umyśle.

Pani Apes wróciła do swojego komputera i rozpoczęła pracę. Musiałem zająć się pytaniami i problemami innych studentów, więc przez chwilę nie zwracałem na nią uwagi. Krążąc po sali, rozmawiając ze wszystkimi i czytając fragmenty ich projektów, w końcu dotarłem do stanowiska pani Apes. Nie pisała, tylko wpatrywała się w ekran pustym wzrokiem. Zerknąłem jej przez ramię i zobaczyłem, że na ekranie pulsują pomieszane litery i

symbole, które co chwila się zmieniały. Tło, zazwyczaj niebieskie, teraz miało różowy kolor.

– O rany – powiedziałem. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Kiedy się roześmiała, ekran zgasł i komputer wydał z siebie dźwięk, jakby właśnie kończył życie.

– Mówiłam panu – powiedziała. – To ta płytką w mojej głowie. Popsuła panu sprzęt.

– Nie – odparłem. – To zapewne tylko drobne spięcie. Z tych maszyn każdego roku korzystają tysiące studentów. W końcu nastąpiło zmęczenie materiału. A może przyplątał się jakiś wirus.

– Skoro tak pan twierdzi.

– Dobrze pani szło? – spytałem.

Pokiwała głową.

– Zanim pani zapomni, co napisała, przesiądźmy się do innego komputera. – Podeszedłem do pustego stanowiska i włączyłem sprzęt.

Do końca zajęć metalowa płytką pani Apes unieruchomiła trzy komputery. Kobieta serdecznie przeprosiła, ale przypomniała, że mnie ostrzegła. Wyszła z zajęć jako ostatnia, a ja powiedziałem jej, żeby nie przejmowała się maszynami, gdyż każę je naprawić.

– Dziękuję, dziękuję – odpowiedziała. – Zobaczyłam w swoim tekście, że znajdzie pan jelenia.

– Nie musi mi pani dziękować – odrzekłem. – Mam nadzieję, że rzeczywiście ktoś się tego podejmie.

Uśmiechnęła się i wyszła.

Po południu wezwałem technika, żeby przyjrzał się komputerom, które odmówiły posłuszeństwa. Gdy je włączył, okazało się, że działają bez żadnych problemów.

– Wszystko jest w porządku – powiedział.

Wyjaśniłem, co się wydarzyło, i przedstawiłem teorię pani Apes dotyczącą metalowej płytki. Technik odpowiedział, że płytką rzeczywiście mogła mieć jakiś wpływ.

– Kiedy sprzęt jest włączony, otacza go pole elektromagnetyczne, a ludzkie ciało również je generuje. Ale jeszcze nigdy nie spotkałem się z takim wypadkiem. Podejrzewam, że nie chciała pisać, więc sama coś namieszała, kiedy pan nie patrzył.

Nie wziąłem pod uwagę możliwości, że pani Apes świadomie uszkodziła

komputery, żeby nie być zmuszoną do zmierzenia się ze swoimi wspomnieniami o córce. To była ciekawa możliwość i postanowiłem, że podczas kolejnych zajęć poproszę ją, żeby napisała o czymś mniej osobistym. Skoro aż tak jej zależało na uniknięciu tego tematu, zmuszanie jej do podjęcia go mogło się okazać niebezpieczne. Musiałem sobie przypomnieć, że prowadzę kurs pisania, a nie eksperyment psychologiczny.

Tamtego wieczoru miałem trochę wolnego czasu przed zajęciami, więc poszedłem do biblioteki i poprosiłem bibliotekarkę, żeby wyszukała pozycje, w których pojawia się słowo „Avramody”. Powiedziałem jej, że może ono pochodzić z jakiejś zwariowanej religii lub kultu bądź stanowić tytuł jednego z tysięcy średniowiecznych demonów. Obiecała, że się tym zajmie i da mi znać, jeśli coś znajdzie.

Następnie zadzwoniłem do opiekuna studentów i spytałem, co wie o rzekomej metalowej płytce w głowie pani Apes. Odpowiedział, że nigdy mu o niej nie wspominała.

– Wydaje mi się, że to zwyczajna kobieta w średnim wieku – dodał. – Jednak czasami ta zwyczajność stanowi problem. To nie byłby pierwszy raz, gdy któryś z naszych studentów wymyśla dla siebie ciekawą przeszłość. Rzeczywiście maltretował ją mąż, więc może chce się poczuć silniejsza dzięki aurze odrębności. Chce być inna i wyjątkowa. Może na studiach szuka dla siebie nowej tożsamości. Nie przejmowałbym się tym zbytnio.

Wieczorne zajęcia kończyły się o dziesiątej trzydzięci. Zanim wsiadłem do samochodu i ruszyłem w półtoragodzinną podróż do domu, była prawie jedenasta. Zamiast jechać płatną autostradą do New Jersey, która była dla mnie za szybka, jak zwykle wybrałem szosę numer 537, wiejską drogę przecinającą tereny rolnicze i lasy. Tuż po wybiciu północy, gdy w radiu zaczęły się wiadomości, znalazłem swojego jelenia.

Ważył około stu dziesięciu kilogramów, miał okazałe poroże i wypadł na drogę spośród bazi porastających lewe pobocze. Natychmiast wcisnąłem hamulec, ale samochód wpadł w poślizg i mogłem tylko bezsilnie patrzeć, jak róg mojego kombi uderza w bok potężnego zwierzęcia. Po zderzeniu jeleni wygiął się w stronę przedniej szyby i przez chwilę wyraźnie widziałem jego oko, które zerknęło na mnie, pełne zwierzęcego strachu. Potem odrzuciła go siła uderzenia, a mój samochód się zatrzymał. Zgasł silnik, umilkło radio i zapadła śmiertelna cisza.

Nie mogłem otworzyć drzwi, ponieważ cała lewa przednia strona auta

była wgnieciona. Dlatego przeczołgałem się po siedzeniu i wysiadłem przez drzwi pasażera. Jeleń wił się na poboczu, wierzgając spazmatycznie tylną nogą. Dygotałem i miałem pustkę w głowie. Zwierzę uniosło głowę z kałuży krwi, w której leżało, i obejrzało się na mnie przez ramię. Wtedy zauważyłem, że jeden z dolnych rogów wykrzywił się i wrósł mu w szczękę. Skrzywiłem się, widząc tę anomalię.

Z piersi jelenia wydobyło się donośne rżenie, które po chwili zmieniło się w wysokie piski. Zrozumiałem, że zwierzak zaraz zdechnie.

– Przepraszam – powiedziałem.

Krzyki jelenia stały się słabsze i bardziej chrapliwe, a tuż przed tym jak zwiotczał, z jego pyska dobiegł dźwięk, który zabrzmiał jak ludzkie słowo. Przysięgam, że je słyszałem, słowo złożone z samych samogłosek. Pokręciłem głową i się cofnąłem. Wczołgałem się z powrotem do samochodu, uruchomiłem silnik i powoli pojechałem do jadłodajni Vincent Town, skąd zadzwoniłem na policję, żeby zgłosić wypadek. Funkcjonariusz obiecał, że wyśle kogoś po zwierzę.

Przez resztę drogi do domu byłem roztrzęsiony, cały czas wypatrując, czy coś innego nie wyskoczy na jezdnię. Miałem nadzieję, że samochód, który był w bardzo złym stanie, nie odmówi posłuszeństwa i nie utknę w ciemności. Gdy w końcu znalazłem się na swoim podjeździe, miałem ochotę się rozpłakać. Zaraz po wejściu do domu zajrzałem na górę do swoich synów, którzy smacznie spali. Ich spokojne oddechy sprawiły, że się wyciszyłem i przestały mi drżeć ręce. Moja żona także spała; rozebrałem się i położyłem obok niej w łóżku.

– Wracając do domu, zderzyłem się z jeleniem – wyjaśniłem.

– Po co? – spytała przez sen.

Nie budziłem jej. Gdybym opowiedział jej o wypadku, nie mogłaby spać do rana. Leżałem w ciemności i próbowałem się rozgrzać, wspominając zeszłoroczne letnie wakacje nad morzem. Moja metoda relaksacyjna okazała się skuteczna i w końcu zapadłem w sen. Wtedy w głowie znów ujrzałem wypadek i rannego jelenia oraz usłyszałem nękające mnie słowo złożone z samogłosek. We śnie powiedziałem sobie: „Musisz pamiętać to słowo także po przebudzeniu”. Ale zapomniałem je, zanim nadszedł ranek.

Wypadek sprawił, że czułem się oderwany od rzeczywistości, jakbym zginął i teraz był duchem, nieświadomym, że już nie żyję. Moja żona, która była pielęgniarką, kazała mi wziąć dzień urlopu, a ja postanowiłem zrobić

sobie wolne do końca tygodnia. Nie tylko obawiałem się znów usiąść ja kierownicą, ale przede wszystkim nie chciałem wychodzić z domu. Z jakiegoś powodu pragnąłem być blisko swoich synów. Mieli osiem i dziesięć lat, czyli byli w wieku, w którym trzeba było się od nich dopraszać czułości, ale kiedy opowiedziałem im, co mi się przydarzyło, zaczęli mnie przytulać i głaskać po twarzy.

Kiedy żona pojechała do pracy, a chłopcy do szkoły, zadzwoniłem na uczelnię i wyjaśniłem, że mam rozbity samochód i zostałem lekko ranny; chociaż tak naprawdę nie odniosłem żadnych fizycznych obrażeń. Potem skontaktowałem się z warsztatem w miasteczku i poprosiłem o odholowanie auta do naprawy. Czekaając na holownik, postanowiłem zaparzyć kawę. Gdy stałem przy kuchennym zlewie i nalewałem wodę do dzbanka, wyjrzałem na podwórze. Zobaczyłem jelenia, który pił wodę z poidelka dla ptaków. Ten widok mnie przeraził. Podeszedłem do tylnych drzwi, otworzyłem je i krzyknąłem:

– Czego chcesz?!

Na podwórzu było pusto.

Wypiłem kawę i uznałem, że jeleni pojawił się przez przypadek; w końcu mieszkaliśmy w zalesionej okolicy, niedaleko Pine Barrens. Wiedziałem jednak, że nieczęsto widuje się jelenie w ciągu dnia. Włączyłem muzykę, próbowałem sprawdzić stertę wypracowań, pooglądałem telewizję, ale cały czas usiłowałem sobie przypomnieć słowo, które wypowiedział jeleni.

Po południu, kiedy mój starszy syn, który pojechał do szkoły na rowerze, nie wrócił o ustalonej godzinie, poczułem, że w moich myślach rozwija się złowrogi gad paniki. Zabrałem młodszego syna, który przyjechał autobusem i, nie mając samochodu, ruszyliśmy pieszo na poszukiwanie jego brata. Oczyma wyobraźni widziałem wszystkie możliwe nieszczęścia i nie myślcie, że nie pamiętałem, co się stało z córką pani Apes. Szedłem tak szybko, że syn musiał biec, żeby za mną nadążyć.

Po pokonaniu na złamanie karku pięciu przecznic, zobaczyliśmy go w oddali, nadjeżdżającego na swoim rowerze. Poczułem taką ulgę, że aż roześmiałem się w głos. Gdy się do nas zbliżył, wyjaśnił, że razem z kolegami zatrzymali się, żeby obejrzeć jelenia, który wyszedł z lasu niedaleko jeziora. Powiedziałem mu, że rano widziałem tego samego zwierzaka na naszym podwórku.

– Tego z dziwnym porożem? – spytał.

– To znaczy?

– Miał taki dziwny róg, który rósł w dół, a nie w górę.

Odpowiedziałem, że ten, który do nas przyszedł, nie miał poroża.

– Dwa jelenie w ciągu jednego dnia – rzekł mój syn. – Dobrze, że twój samochód jest w warsztacie – dodał, po czym odjechał na rowerze. – Ścigajmy się do domu! – zawołał przez ramię.

Przez kolejne kilka dni byłem jak otępiały i brałem się w garść tylko wtedy, gdy dzieci chciały coś robić. Potem wracałem do swoich zmartwień. Zapisałem chyba ze dwadzieścia kopert różnymi kombinacjami samogłosek, starając się odtworzyć słowo, które mi umknęło. W końcu, w poniedziałek w drodze do pracy odebrałem samochód z warsztatu. Mimo że świeciło słońce i był piękny dzień, byłem zdenerwowany i kurczowo zaciskałem dłonie na kierownicy.

Kiedy dotarłem na uczelnię, w swojej skrytce pocztowej zastałem kopertę wysłaną przez bibliotekarkę. W środku znajdowała się kartka z wydrukiem oraz żółta samoprzylepna karteczka z następującą wiadomością:

Jeff!

Może następnym razem poprosisz, żebym sprawdziła coś łatwiejszego, na przykład, kto wynalazł rzepy? Oto, co znalazłam na temat Avramody'ego. Mam nadzieję, że właśnie tego szukałeś.

Jean

Zabrałem kartkę do swojego gabinetu i przeczytałem ją, uprzednio zamknąwszy drzwi.

„Nicholas Avramody, urodzony w 1403 roku, zmarły w 1441 roku, mieszkał w wiosce Fornapp na południowym wybrzeżu Anglii. Przyszedł na świat w zamożnej rodzinie i otrzymał klasyczne wykształcenie od ojca, który był kartografem. Mniej więcej w wieku dwudziestu lat Avramody odszedł z domu i zrezygnował z udziału w interesie ojca. Zbudował mały domek w pobliskich lasach i zaczął pisać książkę, którą później wydano pod tytułem *Słodki węzeł*. Ten tekst miał się stać kluczową pozycją dla Purytanów, a Cotton Mather często odwoływał się do niego w swoich religijno-filozoficznych dziełach. *Słodki węzeł* był metaforą nieskończenie złożonej ludzkiej egzystencji. Dla zwykłych śmiertelników życie i przyczyny poszczególnych wydarzeń mogą przypominać splątany kłębek, ale ten

niewytłumaczalny bałagan jest słodki, gdyż stanowi boski plan.

Wewnątrz węzła żywoty wszystkich ludzi dotykają się, krzyżują i łączą z dobrych, choć niezrozumiałych powodów.

Ten filozof-pustelnik w końcu naraził się Kościołowi z powodu wiary w to, że zwierzęta mają duszę, a dzięki odpowiedniej dozie cierpliwości człowiek może się z nimi komunikować. Według niego, wszystkie stworzenia znają boski plan, a my utraciliśmy tę wiedzę w Edenie. Gdy miejscowi zaczęli go odwiedzać, prosząc o duchowe wsparcie, zazdrosny kler rozpowszechnił plotki, że Avramody oddaje się aktom sodomii z różnymi zwierzętami, które kręciły się wokół jego chatki w lesie. Tak się złożyło, że jedną z dziewcząt z Fornapp ugryzł nietoperz chory na wściekliznę i biedaczka zmarła. Ojcowie Kościoła powiedzieli mieszkańcom wioski, że nietoperza posłał Avramody. Wzbudzili w ludziach taki strach i nienawiść, że wściekły tłum zaatakował filozofa i zatłukł go pałkami”.

Wciąż myśląc o tym, co przeczytałem, zszedłem do klasy i spotkałem tam panią Apes. Wręczyła mi plik kartek i powiedziała:

– Udało się. Skończyłam tekst, o który pan prosił.

Gdy tylko przydzieliłem wszystkim studentom jakieś projekty, usiadłem przy biurku i rzuciłem okiem na jej opowiadanie. Zostało niechlujnie nabazgrane ołówkiem i miało około czterech stron. Dotarłem tylko do tytułu, ponieważ tam znalazłem słowo, które powiedział do mnie jelen. Teraz rozumiałem, że jednak znajdowała się w nim miękka spółgłoska, która w otoczeniu samogłosek brzmiała jak jedna z nich.

– Ayuwea? – spytałem panią Apes.

Uśmiechnęła się.

– Tak miała na imię moja córka.

– Nietypowo.

– Matka mojej matki była w połowie Indianką Odzibwa i wielokrotnie słyszałam jej imię z ust mojej matki, ale nigdy nie widziałam go na piśmie. Więc kiedy urodziła mi się córka, nadałam jej imię po babce, tylko musiałam sama wymyślić, jak je zapisać. Wiedziałam, że będzie wyjątkowym dzieckiem i potrzebuje wyjątkowego miana.

– Czy ono coś znaczy? – spytałem.

Pokręciła głową i wzruszyła ramionami.

– Coś na pewno – odrzekła.

– Myślałem, że pani go nie pamięta.

– Wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Po tym, jak w zeszłym tygodniu próbowałam napisać o niej podczas zajęć, córka wciąż powracała do mnie w myślach. Tego samego dnia wieczorem, gdy siedziałam przed telewizorem, jej imię po prostu pojawiło się w mojej głowie. Przypomniałam je sobie tak, jakbym nigdy go nie zapomniała. Z pewnością stało się tak dzięki temu, że próbowałam o niej napisać.

Przeczytałem opowieść pani Apes o córce. Był to pełen miłości hołd, ale nie wyróżniał się na tle tysięcy innych tekstów napisanych przez studentów, którzy stracili kogoś bliskiego i postanowili przelać na papier swoje uczucia oraz wspomnienia. Tak jak się spodziewałem, pani Apes poczyniła wielkie postępy w gramatyce i pisowni, ale nie miałem okazji dalej z nią pracować, ponieważ już więcej nie pojawiła się na zajęciach. Uczelnia nie dysponowała jej numerem, a nikt z pozostałych studentów nie znał jej ani nie wiedział, gdzie mieszka.

Myślałem, że na tym ta historia się zakończy. Z jednej strony czułem satysfakcję, że jednej z moich studentek udało się lepiej zrozumieć siebie. Jednakże pozostało kilka niewyjaśnionych spraw, a wszystkie niezwykle wydarzenia nijak nie chciały do siebie pasować. Postanowiłem uznać to wszystko za jeden wielki zbieg okoliczności, który pomogłem sprokurować za sprawą swojej paranoi. Z każdymi kolejnymi zajęciami nie traciłem nadziei, że pani Apes wróci, a ja będę mógł dalej z nią pracować.

Pewnego dnia podczas lunchu, trzy tygodnie po zniknięciu pani Apes, zobaczyłem znajomą twarz w uczelnianej pizzerii. Dziewczyna była ubrana na czarno, ale wyglądała tak samo jak podczas naszego ostatniego spotkania. Wziąłem tacę z jedzeniem i dosiadłem się do jej stolika.

– Mogłaby pani rzucić zaklęcie na tę pizzę, żeby lepiej smakowała? – spytałem.

Podniosła wzrok i pokręciła głową.

– Niebezpiecznie jest kpić z sił, które są potężniejsze od nas – odparła wiedźma z uśmiechem.

Opowiedziała mi o tym, co robiła, odkąd dostała się na uniwersytet stanowy na wydział antropologii. Zawsze się cieszę, gdy moi podopieczni nie wybierają studiów biznesowych. Tamtego dnia pojawiła się na uczelni, która znajdowała się niedaleko jej domu, żeby poszukać materiałów do swojej pracy dotyczącej znaczenia języka pisanego w praktykach magicznych.

– Co z pańskim wzrokiem? – spytała.

– Od tamtej pory nie sprawia mi żadnych kłopotów – odrzekłem. – Za to teraz mam problem z głową.

– To znaczy?

– Podejrzewam, że to się pani spodoba – odparłem, po czym opowiedziałem jej ze szczegółami historię pani Apes. Kiedy dotarłem do potrąconego jelenia i słowa, które wypowiedział, wiedźma się roześmiała.

– No i co pani o tym myśli? – spytałem, gdy skończyłem opowieść.

Popatrzyła mi w oczy i spoważniała.

– Zapomniał pan o czymś ważnym.

– Wstrząsnęła mną niezwykła synchronia wydarzeń – odrzekłem.

– Niech pan posłucha, zawrzemy układ. Jeśli zgodzi się pan przeczytać moją pracę, zanim ją oddam, sprawdzę dla pana kilka rzeczy.

– I tak ją przeczytam – odpowiedziałem, nie wiedząc, czy chcę się znów angażować w nadnaturalne sprawy.

Śpieszyłem się na zajęcia, ale zanim odszedłem, obiecała, że pozostaniemy w kontakcie.

Mijały tygodnie i chociaż nauczyłem się panować nad niepokojem, ten nigdy mnie nie opuszczał, stale kryjąc się na drugim planie. Na koniec semestru musiałem z ciężkim sercem oblać panią Apes, ale nie miałem innego wyjścia, ponieważ w połowie kursu przestała na niego uczęszczać. Z pewnością czegoś się nauczyła, chociaż nie byłem pewien, co to było.

Ostatniego dnia przed wystawieniem ocen musiałem przeczytać jeszcze sporo prac. Zazdrościłem wszystkim, którzy masowo uciekli z sali po zakończeniu zajęć. Uczelnia przypominała miasto duchów, gdy usiadłem w swoim gabinecie. Kiedy wreszcie skończyłem i zamierzałem wystawić końcowe oceny, zadzwonił telefon. To była Jean z biblioteki.

– Chyba tylko my zostaliśmy na uczelni – powiedziałem.

– Mnie nie licz – odparła. – Jestem w domu, po prostu przypominałam sobie coś, co miałam ci powiedzieć.

– Słucham.

– Myślałam, że już skończyłam z Avramodym, ale znalazłam coś jeszcze.

– Co takiego?

– Wczoraj do biblioteki przyszła młoda studentka. Powiedziała, że szuka materiałów do pracy na temat próżności na jedne z twoich zajęć. Była ubrana dość ekstrawagancko, cała na biało. Przedstawiła się jako Maggie Hamilton.

Roześmiałem się.

– Wiem, o kogo ci chodzi – odrzekłem. – Ale ona nie nazywa się Margaret Hamilton.

– W każdym razie poprosiła o jakiś mikrofilm z lokalnej gazety. Zabrała go do czytnika, nawinęła rolkę i zaczęła czytać. Kiedy wróciłam, żeby sprawdzić, czy nie potrzebuje pomocy, jej już nie było. Zostawiłam rolkę na maszynie, na wypadek gdyby wróciła, ale tak się nie stało. Zanim zdjęłam mikrofilm, z ciekawości zerknęłam na stronę, którą czytała, i zauważyłam nazwisko Avramody.

– Coś więcej o słodkim węźle? – spytałem.

– Niezupełnie. Pamiętasz tamtego studenta, który sześć lat temu zgwałcił i zamordował małą dziewczynkę?

Nic nie odpowiedziałem.

– Halo? – odezwała się Jean.

– Jestem – odrzekłem w końcu.

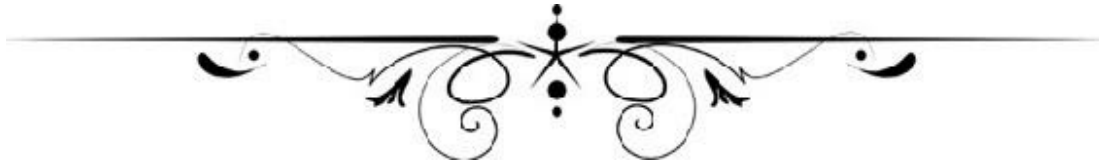
– Mała nazywała się Melissa Avramody. Nie wiem, czy ta informacja ci się przyda.

– Dziękuję, już sobie przypomniałem.

Po odłożeniu słuchawki wstałem z krzesła i zacząłem krążyć po ciasnym gabinecie. Ta bezcelowa wędrówka dobiegła końca przy oknie wychodzącym na pusty parking. Oparłem czoło o szybę i wyjrzałem. Słońce już prawie zaszło i ciemność nadpełzała od strony zadrzewionego rezerwatu przyrody, który przylegał do asfaltowego placu. Zobaczyłem swój samochód, sterczący samotnie jak student, który został w sali po zakończeniu zajęć. Kilka sekund później moją uwagę zwrócił jakiś kształt poruszający się w cieniach na skraju lasu. Istota zastukała kopytami i, zaskoczona zapadającą ciemnością, odwróciła się, ukazując mi poroże z jednym opuszczonym rogiem wrastającym w szczękę. Gdy to zobaczyłem, obudziło się we mnie głęboko ukryte uczucie i otworzyłem usta, żeby wypowiedzieć słowo złożone z samych spółgłosek.

Kiedy jesteś nauczycielem, bezustannie starasz się instruować, poprawiać, pouczać, radzić i troszczyć. Z czasem ślady tej odpowiedzialności gromadzą się wokół ciebie i mogą sprawić, że sam nie potrafisz się niczego nauczyć. Tamtego wieczoru w swoim gabinecie, w ostatnich godzinach semestru, zaliczyłem kurs im wszystkim, Kevinowi Wheastowi, Melissie Avramody, pani Apes, zadając samemu sobie pracę mającą zastąpić te, których nigdy nie otrzymałem od nich. Nie określiłem wymaganej długości

tekstu ani terminu, po prostu włączyłem komputer i zacząłem pisać. Gdzieś pośród tych wszystkich słów odnalazłem zaginione rymy. Wtedy ostatnia pętla słodkiego węzła zacisnęła się i wciągnęła mnie z powrotem w jego poplątane serce.



Od dwudziestu pięciu lat prowadzę kursy pisania oraz zajęcia o literaturze, z czego piętnaście lat spędziłem w Brookdale Community College w Lincroft w New Jersey. Wielu pisarzy nie chce zarabiać na życie nauczaniem, ponieważ uważają, że pozbawi ich to entuzjazmu dla własnej pracy. Mnie nic takiego nie spotkało. Teksty tworzone przez moich studentów pomogły mi się rozwinąć jako pisarzowi. Pomysł na *Słodki węzeł* pojawił się, ponieważ rzeczywiście miałem w grupie studenta, który zgwałcił i zamordował małą dziewczynkę z sąsiedztwa. Nie mogłem w żaden sposób temu zapobiec, ale z jakiegoś powodu wciąż czuję się częściowo odpowiedzialny za tę tragedię. Długo nie dawała mi spokoju i na jakiś czas zniechęciła mnie do pracy wykładowcy, którą zawsze kochałem. To opowiadanie nie jest spowiedzią, pokutą ani wytłumaczeniem, a jedynie próbą wyrażenia tego, co wtedy czułem. A najdziwniejsze, że to w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach prawda.

Gordon Van Gelder przyjął to opowiadanie na łamy „The Magazine of Fantasy and Science Fiction” i zasugerował kilka zmian, zwłaszcza w zakończeniu. Tekst wiele na tym zyskał, ale wciąż nie byłem go pewien ze względu na to, jak ważny był dla mnie emocjonalnie. Wydaje mi się, że Gordon bardziej ode mnie wierzył w tę opowieść. Dopiero kiedy opowiadanie ukazało się drukiem i przeczytałem je w czasopiśmie, przyznałem przed sobą, że mi się podoba. Proces pisania, redagowania i publikacji pomógł mi wypędzić kilka demonów i przypomniał, jak ważna jest moja praca nauczyciela.

COŚ NAD MORZEM

Maggie wyprzedziła go biegiem na ścieżce w zapadającym zmroku, a obok niej z gracją mknął szary, lśniący chart angielski o imieniu Matematyka. Wujek Archer powoli kuśtykał za nią, podpierając się laską i niosąc piknikowy kosz.

– Uważaj na korzeń na zakręcie! – zawołał. – Będzie próbował złapać cię za kostkę.

Uśmiechnął się, gdy w odpowiedzi dobiegł go jej śmiech.

To był ciepły zmierzch pełen nagłych podmuchów, które szeleściły liśćmi i kołysały konarami. Noc pośpiesznie mieszała się z resztką czerwonego blasku, wypełniając las cieniami. W oddali rozlegało się spokojne i metodyczne bicie serca oceanu, a nieco bliżej, z plątaniny ciernistego krzewu, dobiegały melancholijne trele nocnego ptaka.

Pokonał zakręt ścieżki i zobaczył swoją siostrzenicę – w bladoniebieskiej piżamie, z kucykami i bosymi stopami – stojącą w nietypowym dla siebie bezruchu z odchyloną głową, przyglądającą się świetlikowi, który unosił się chaotycznie w połowie drogi pomiędzy jej nosem a szeleszczącymi zielonymi koronami drzew.

– Patrz, wujku Archerze, to pierwszy dzisiaj – powiedziała, odwracając się, gdy usłyszała go za plecami.

– Będzie ich więcej – odrzekł. – Niedługo wszystkie wyjdą z ukrycia, a my będziemy musieli założyć ciemne okulary.

– Głuptas – odpowiedziała rzeczowo, po czym ruszyła w dalszą drogę. – Chodź, Matma – zawołała psa.

Ścieżka wiła się lasem przez ćwierć mili, a gdy dotarli do „obserwatorium”, jak Archer nazywał niewielką polanę, drogę oświetlały im już tylko księżyc i świetliki. Czekały na nich dwa wiklinowe fotele o

rozkładanych oparciach oraz niski stolik ze szklanym blatem. Archer postawił kosz na jednym z siedzisk i odsunął skórzane zamknięcie. Ze środka wyjął świecę i ustawił ją na stole. Oparł laskę o podłokietnik fotela, po czym chwiejnie zbliżył się do pnia dębu rosnącego na skraju polany.

Maggie wzięła wujka pod rękę i podtrzymała go, kiedy rozwijał sznurek, który z ich strony był nawinięty na knagę wbitą w pień, a z drugiej przerzucony przez gałąź sterczącą ponad meblami. Kiedy już uwolnił linkę, zaczął ją powoli popuszczać, obniżając pomarańczową kulę wielkości piłki plażowej, która znajdowała się pod samą gałęzią. Gdy kołysząca się i wirująca latarnia zawisła na wysokości mniej więcej stopy ponad blatem, nawinął zapas sznurka na knagę.

– Mogę ją zapalić? – spytała Maggie, gdy cofnęli się do huśtającej się kuli.

– Nie bądź śmieszna – odparł Archer, sięgając do kieszeni kamizelki. Wyjął zapalniczkę w kształcie derringera. – Ale możesz otworzyć klapkę.

Maggie wspięła się na drugi fotel, sięgnęła do kuli i otworzyła zakrzywioną osłonkę zamocowaną na delikatnych zawiasach, podczas gdy jej wujek strzelił iskrą w knot świecy.

– Przytrzymaj ją – polecił, a ona unieruchomiła latarnię. Ostrożnie umieścił świecę wewnątrz kuli, po czym zamknął klapkę. Ciepły blask wypełnił kulę i delikatnie rozlał się po całym obserwatorium.

– Podnieś – powiedział Archer, a Maggie podeszła do drzewa i odwinęła sznurek z knagi.

Powoli wciągnęła latarnię, wyobrażając sobie, że to miniaturowe słońce, a potem, że to dusza. Gdy zamocowała sznurek, odwróciła się w stronę wujka, który właśnie wyjął złożony koc z piknikowego kosza. Podeszła bliżej, a Archer przytrzymał koc przed sobą jak torreador płachtę.

– Pani Margaret – powiedział, a ona odwróciła się do niego plecami. Podniósł koc o stu fakturach i barwach, po czym założył go jej na ramiona.

Jak królowa w pochodzie, przemaszerowała do swojego fotela, owinięta kocem od szyi po łydki, po czym zasiadła na tronie. Matematyka zwinął się w kłębek u jej stóp, a ona lekko oparła stopy na jego żebrach i udzie. Archer postawił piknikowy kosz na ziemi i usiadł na fotelu. Następnie pochylił się i wyjął z kosza termos oraz dwie szklanki, a także coś, co wyglądało jak wysoki wazon o smukłej szyjce zakończonej kubeczkim, z podstawą jak pękaty brzuch ozdobiony kwiatnym motywem. Do jednego końca naczynia

przymocowano cienki wężyk z końcówką wylotową.

– Czy to magiczna lampa? – spytała Maggie.

– W pewnym sensie – odpowiedział, otwierając termos. Nalał jej herbaty do szklanki, po czym zdjął zaokrąglony wierzch z dziwnego urządzenia i również wlał do środka trochę herbaty. Ponownie zamknął naczynie. – To hookah albo nargile.

– Czy kiedy się ją potrze, ze środka wyjdzie dżinn?

Archer się roześmiał.

– Ta część – powiedział, wskazując zaokrągloną miseczkę na szczycie – nazywa się *lule*. – Jego palec przesunął się na szyjkę. – To jest *marpuc* – rzekł. – To *govde* – wyjaśnił, wskazując korpus naczynia. – A to *agizlik* – zakończył, po czym na chwilę wsunął wylot rurki do ust, żeby sprawdzić, czy jest drożna.

Maggie nachyliła się po swoją szklankę stojącą na stole, a wujek miał wrażenie, że przez chwilę zobaczył ją taką, jaka będzie w przyszłości. Wyglądała poważnie ze zmarszczonymi brwiami, a wokół jej oczu malowała się niepewność, która, jak się obawiał, z czasem mogła przybrać na sile.

– *Nargile* zawsze należy ustawiać na podłodze albo ziemi – powiedział. – Tak nakazuje etykieta, ale jestem za stary i zbyt kaleki, żeby siedzieć z nogami skrzyżowanymi jak precel.

– Do czego ona służy? – spytała Maggie i leniwie wyciągnęła rękę, ale nie zdołała złapać świetlika, który przelatywał jej nad głową.

– Do palenia – odrzekł Archer, po czym podniósł swoją laskę i odkręcił rączkę z wyrzeźbioną onyksową głową wrony. Bardzo ostrożnie przechylił ozdobę ponad szczytem hookah i popatrzył, jak ciemna, drobno zmielona substancja wysypuje się przez malutką dziurkę na końcu dzioba do miseczki wodnej fajki.

– Mogę spróbować? – spytała Maggie.

– Jesteś za młoda – odparł, przykręcając rączkę z powrotem do laski. – Czasami muszę zapalić, żeby napędzić swój wewnętrzny silnik i móc działać z pełną parą. Ale ty masz wystarczająco dużo energii. Poza tym, dym uczy kontemplacji i cierpliwości, a dzieci powinny być niecierpliwe.

– Czy to tytoń, taki jak mój ojciec wkłada do fajki?

– Nic z tych rzeczy, moja droga. To domowa mieszanka, przepis sułtanów... doprawiona perfumami i miazdżonymi perłami.

– Co się znajduje wewnątrz perły? – spytała dziewczynka. – Żółtko?

– Nie, to nie jajko.

– Więc co?

– Coś – odparł i pociągnął za spust derringera, zapalając zawartość miseczki.

Schował zapalniczkę do kieszeni, po czym uniósł końcówkę wężyka do ust. Kiedy zaciągał się dymem, Maggie sączyła herbatę, która smakowała pomarańczami, brzoskwiniami i jeszcze jakimś składnikiem o kojącym działaniu. Dziewczynka wyobrażała sobie, że spija blask latarni.

Archer powoli wypuścił powietrze, a bladofioletowy dym uniósł się w noc z jego otwartych ust jak duch winorośli, wirując, płącząc się i upodabniając do kwiatu, zanim w końcu się rozwiął.

– Gdzie teleskop? – spytała Maggie.

– Nie ma żadnego teleskopu.

– Przecież nazywasz to miejsce obserwatorium. Myślałam, że stąd się patrzy na gwiazdy.

– Dobrze myślałaś – odrzekł i ponownie się zaciągnął, wydmuchnął dym, po czym rozparł się w fotelu z delikatnym uśmiechem.

– Jutro po mnie przyjdą – powiedziała Maggie.

– Będzie mi przykro, że odchodzisz.

– Zabierzesz Matkę i odwiedzisz nas w mieście podczas świąt? – spytała.

– Być może.

– Tak – poprawiła go.

Przez chwilę milczeli.

– Myślisz, że rodzice się kłócili, kiedy mnie nie było? – odezwała się w końcu.

Miał zamiar odpowiedzieć: „Oczywiście, że nie”, ale zamiast tego odrzekł:

– Nie wiem.

– Ojciec może nas zostawić. Matka tak powiedziała.

– Zaczekajmy, co się wydarzy – odrzekł. – A skoro już tutaj jesteśmy, to chyba obiecałem ci opowieść, którą zapamiętasz do następnego lata.

– Opowiedz mi coś, dzięki czemu będę pamiętała plażę, ciebie i Matkę, nawet gdy będzie ciemno i spadnie śnieg. Coś, co wydarzyło się nad morzem – poprosiła.

Nachylił się, żeby na nowo rozpalić zawartość miseczki. Tym razem, gdy zaciągnął się dymem, Maggie w słabym świetle uważnie przyjrzała się jego

twarży – długiej brodzie, przerzedzającym się włosom, wysokiemu czołu i okrągłym policzkom z blizną po prawej stronie – żeby ją zapamiętać, jak zdjęcie.

– Opuściłem rodzinny dom w bardzo młodym wieku – zaczął, zamykając oczy – i ruszyłem na morze jako służący na dużej jednostce, która wypłynęła z Kelmore w stronę egzotycznych krajów, z misją pochwylenia dziwnego stworzenia do ogrodu zoologicznego pewnego milionera.

Maggie odstawiła herbatę i wygodniej rozsiadła się w fotelu, cały czas myśląc, jakim cudownym ojcem byłby Matma, pies leżący u jej stóp.

– Okręt nazywał się *Klacz* i miał trzy maszty, trzy jaskrawożółte żagle oraz bocianie gniazdo. Figura na dziobie przedstawiała dzikiego konia z grzywą z drewnianych płomieni i oczami, które, jak głosiły plotki, wykonano z dwóch największych rubinów na świecie. Naszym kapitanem był starszy człowiek z nazwiskiem Karst, wyrozumiały i sprawiedliwy człowiek, który potrafił podzielić przysłowiowy włos na czworo w rozmowie, a prawdziwy za pomocą sztyletu rzuconego z dwudziestu kroków.

Maggie wyobraziła sobie dzikiego rumaka, a ten w jej umyśle zmienił się w Matmę, który woził ją na grzbiecie do szkoły, gotował jej jajka na twardo na drugie śniadanie, a wieczorami czytał jej bajki przy kominku. Zobaczyła swoją matkę siedzącą przy kuchennym oknie w ich mieszkaniu w mieście i wyglądającą na zalane deszczem ulice, podczas gdy Matma siedział obok, cicho i cierpliwie, z łapą delikatnie spoczywającą na jej przedramieniu.

– Załoga *Klaczy* była dziwną i ciekawą zbieraniną mężczyzn, którzy spędzili tyle czasu na morzu, że ich oczy, niezależnie o tego, jak wyglądały po urodzeniu, zmieniły kolor na niebieski, a twarze przypominały ciemną skórę, wyprawioną przez słońce i słońną mgiełkę. Jeden z marynarzy, niejaki Farso, kiedyś był piratem i na całym ciele miał wytatuowane sceny wojny pomiędzy Niebem i Piekłem. Odwzorowane w akwamarynach i różach gwałtowne anioły i sprytne demony walczyły za pomocą potężnych mieczy pośród obłoków i płomieni. Pierwszego dnia na morzu nadał mi przydomek Chrzaszcz, który przyłgnał do mnie, tak jak szorstkie nogi tego owada przywierają do swetra.

– Czy kiedykolwiek kogoś zabił? – spytała Maggie, wyobrażając sobie, jak Matma staje na tylnych łapach, z wklęsłym brzuchem oraz wygiętym grzbietem, i wyciąga długą szarą łapę, żeby zawiesić lśniącą blaszaną gwiazdę na szczycie choinki przy wtórze oklasków matki.

– Farso? – spytał Archer. – Raczej tak, ponieważ za szarfą, którą się opasywał, nosił marynarski kordelas o ostrzu pokrytym czerwonymi plamami. Nie sądzę, żeby malinowy sok mógł w ten sposób odbarwić metal, jeśli wiesz, co mam na myśli. Pewnej nocy, gdy napotkaliśmy ciszę morską na Morzu Delfinów i siedzieliśmy w blasku księżyca na olinowaniu głównego masztu, opowiedział mi o tym, jak był świadkiem narodzin dziecka w jednej z tawern w Sechali, pirackim mieście w Peru. To wydarzenie sprawiło, że szala zwycięstwa w wojnie pomiędzy złem a dobrem, którą przedstawiono na jego ciele i która od dzieciństwa toczyła się w jego duszy, ostatecznie przechyliła się na stronę Życia. Widział dziecko tylko przez chwilę, ale szeroko otwarte oczy, którymi oglądało nowy świat, wysłały do jego serca sygnał uwalniający go od lęku przed Śmiercią.

– Uczyliśmy się o morzach i oceanach – odparła Maggie. – Nigdy nie słyszałam o Morzu Delfinów.

– Czy odpowiadam za stan edukacji w tych nudnych czasach? – spytał Archer, nalewając sobie herbatę do szklanki.

Dziewczynka roześmiała się, tak samo jak Matma leżący o jej boku, rozbawiona wyczynami marionetek na scenie teatru lalek. Pies odwrócił się w jej stronę na skrytej w mroku widowni i szepnął: „Wiem, jak uleczyć nieszczęście twojej matki, przepędzić jej upiory i smutek, bo sama wiesz, że ma problemy z głową”.

– Czadowo – odpowiedziała Maggie, używając słowa, którego niedawno się nauczyła.

– Owszem – przytaknął Archer, po czym kontynuował: – Kolejnym z członków załogi był Hustermann, olbrzym, który nie otrzymał daru mowy, ale potrafił samodzielnie wciągnąć kotwicę statku. Byli także bracia Fongowie, identyczne bliźniaki z jednej z wiosek nad Morzem Południowochińskim, porozumiewający się własnym językiem opartym na gwizdach, za którego pomocą przekazywali sobie tajemnice. Przybysz z zamarznętej północy, Kekmi, jadał wszystko na surowo i chodził w samej koszuli, nawet gdy żeglowaliśmy pomiędzy lodowcami. Był jeszcze z tuzin innych, a każdy równie ciekawy. Ci twardziele o muskułach jak skała i usposobieniu egzotycznych bestii, którzy nie potrafili wytrzymać dłużej niż rok na stałym lądzie oraz na własne oczy widzieli zdradzieckie i cudowne oblicza natury, traktowali mnie jak księcia. Nazywali mnie Chrzaszczem, a moja niewinność chyba przypominała im o czymś, co kiedyś utracili i czego

nigdy nie zdołali odzyskać.

– Chrząszcz – odrzekła Maggie. – Będę cię tak czasami nazywać.

– Jak sobie życzysz. Ale zamiast tego może chciałabyś mnie nazywać Collo, tak bowiem miała na imię okrętowa maskotka, małpka z Brazylii o długim ogonie i wytwornych rysach pewnego słynnego filmowego aktora, której życiową rolą było rozśmieszanie załogi w najbardziej ponurych chwilach. Pamiętam, jak złapał nas tajfun u wybrzeży Przylądka Złej Woli. Wszyscy skuliliśmy się pod pokładem, słuchając ogłuszającego ryku sztormu, który brzmiał tak, jakby sam ocean był na nas wściekły, oraz czując szarpnięcia, kołysanie i chaotyczne podskakiwanie statku, zebrani wokół pojedynczej latarenki, czekając, czy przeżyjemy, czy może pójdziemy na dno, by na zawsze spocząć na zboczu jakiejś podmorskiej góry.

Matematyka wprowadził ją do serca miasta, wąskim pyskiem wskazując drogę przez mroczne uliczki, w poprzek placu i w górę wysokich schodów. „Jak ono się nazywa?”, spytała Maggie. „Jak nazywa się to lekarstwo?”.

Pies opadł na cztery łapy, gdy zatrzymali się przy fontannie. „Nie mogę wypowiedzieć jego nazwy, gdyż wtedy nigdy go nie znajdziemy. Ale nakreślę ją łapą na wodzie, a wtedy się dowiesz”. Chart pochylił się nad fontanną i napisał łapą nazwę lekarstwa na swoim odbiciu. Maggie usiłowała odczytać srebrzysty ślad, ale niczego nie zrozumiała. „Nigdy jej nie wypowiadaj”, ostrzegł Matma, gdy dziewczynka zmieniła się w małpkę jadącą na jego grzbiecie długim muzealnym korytarzem, wzdłuż którego wznosiły się kolumny.

– ...ale z tego przeklętego małpizona był prawdziwy numer – rzekł Archer, śmiejąc się tak głośno, że aż zaczął rzezić i kaszleć, ocierając łzy palcem wskazującym i kciukiem prawej dłoni. – Wyglądał identycznie jak Randolph Mondrian w *Marmurowym skowronku*, mówię ci, zwłaszcza kiedy zaczesywał swoje małpie włosy do tyłu i używał ogona jako wąsów. – Zdjął miseczkę z nargili i postukał nią o krawędź stołu, usuwając zwęglone resztki. Potem odstawił naczynie na miejsce i zaczął znów je napełniać zawartością wroniej głowy.

– A co z egzotycznym zwierzęciem, które mieliście złapać dla milionera? – spytała Maggie, czując, że opadają jej powieki.

Archer się zaciągnął, patrząc, jak dziewczynka ziewa. Potem powoli wypuścił dym.

– Tak, jeszcze ci nie opowiedziałem o tajnym pasażerze na pokładzie

Klaczy, ukrytym w jednej ze skrzyń w ładowni. Słyszeliśmy pogłoski, że nazywa się Chromonis, do życia nie potrzebuje powietrza, słonecznego światła ani wody oraz jest idealnym myśliwym.

– Ile jest zer w milionie? – spytała Maggie, zamykając oczy. Wyobraziła sobie zera jako sznur pereł.

– Wiesz, ile to tysiąc? – spytał Archer.

Pokiwała głową jak w transie.

– A dziesięć tysięcy?

Spróbowała znów przytaknąć, a jej głowa opadła i już się nie uniosła.

– Użyj swoich zdolności matematycznych – usłyszała, po czym zobaczyła, jak but na końcu kalekiej nogi miażdży perły.

Gęsty czarny gaz, przypominający wydzielinę kałamarnicy, uniósł się w powietrze i otoczył ją wonią perfum sułtana. Gdy znów otworzyła oczy, wujek spał, a Matma wyslizgnął się spod jej stóp. Teraz stał na tylnych łapach przy początku ścieżki, którą dotarli do obserwatorium.

„Szybko, Maggie, czeka nas daleka droga!”, zawołał, po czym opadł na cztery łapy. Zsunęła się z wiklinowego fotela i zrzuciła koc. Mijając wujka Archera, pochyliła się i lekko pocałowała bliznę na jego policzku. Potem jednym susem znalazła się na szczupłym grzbiecie psa, obejmując nogami jego pofałdowane boki, i pomknęli ścieżką z charcią szybkością. Nocne drzewa rozmazywały się jej przed oczami, gdy je mijali, a wiatr odbierał dech. Nogi Matmy pracowały jak potężne napięte sprężyny. Nagle pies zawołał: „Obejmij mnie za szyję!” i wyskoczył w powietrze. Wylądowali na polu niedaleko domu, po czym kolejnym susem wzbili się nad ocean połykający w blasku księżyca.

Archer już miał ponownie podjąć swoją opowieść, gdy zauważył, że Maggie usnęła. Zachwycił go jej spokój, ale nie podobało mu się, że wpadła w szpony czegoś tak potężnego jak sen, i nijak nie może jej pomóc. Była taka mała na szerokim fotelu, owinięta kocem jak kokonem; samotna w słabym blasku bijącym z góry. Wiatr poruszał liśćmi i kołysał latarnią, a Archer zastanawiał się, czy mógł uczynić coś jeszcze, żeby uchronić ją przed nieszczęściem, które czekało na nią następnego dnia.

To prawda, że jej ojciec zamierzał odejść, ale Maggie nie zdawała sobie sprawy, że odejdzie razem z nim, gdyż jej matka miała trafić do szpitala dla obłąkanych.

– Elise – szepnął Archer, rozmyślając o swojej siostrze i jej upiorach.

Wyobraził sobie jej wysoką, dostojną sylwetkę i długie czarne włosy. Była dla Maggie serdeczną i czułą matką, ale duchy, które tylko ona widziała i które nawiedzały ją dniem i nocą, sprawiały, że stanowiła zagrożenie dla siebie i innych, ponieważ wierzyła, że może się ich pozbyć tylko za pomocą ognia. Skutkiem katastrofalnych incydentów z jej udziałem były zwęglone szczątki i kilka niebezpiecznych przygód jej dziecka.

Duchy równie dobrze mogły nawiedzać jej męża Havrada, który przez lata próbował zrozumieć szaleństwo żony, przez co stracił dużą część swojej osobowości, stając się zimnym, zaniedbanym i obojętnym człowiekiem. Archer doceniał fakt, że Havrad usiłował ochronić dziewczynkę przed szaleństwem, jednak utrata matczynej miłości stanowiła zbyt wysoką cenę. Życie nigdy nie jest tak jednoznaczne jak wojna pomiędzy Niebem a Piekłem. To domena bajek. Jako kaleki stary wujek, wiedział, że może tylko okazywać Maggie jak najwięcej serca, a chociaż wielu uznałoby, że to wystarczy, niedoskonałość takiego rozwiązania dokuczała mu jak akwamarynowo-różany tatuaż na sumieniu.

Archer ponownie napełnił fajkę i zapalił. Sułtańska mieszanka wpływała na jego myśli, prowadząc go boczną uliczką rozważań o upiorach Elise. Jednym z nich był gruby starzec, Grisby, z długą białą brodą i rumianą twarzą, które upodabniały go do Świętego Mikołaja, a drugim drobna, zabiedzona dziewczynka Quill o dużych oczach i bladej, alabastrowej twarzy. Te dwa widma były stale obecne, przypominając Elise o nieszczęściach, które mogą się wydarzyć. Kiedyś powiedziała Archerowi, że duchy przekazują swoją ponurą naukę z tak radosnym sarkazmem – opowiadając o groźbie zranienia córki, śmierci męża, zapanowania wojny, głodu i chaosu w otaczającym ich świecie – jakby to był jakiś kosmiczny żart. Jednocześnie chroniły ją przed zagrożeniami, gdyż przyznawały, że bez niej nie mogłyby istnieć.

Matematyka wyślizgnął się spod stóp Maggie i usiadł obok swojego pana. Archer odchylił się do tyłu na fotelu i pogłaskał charta po gładkim łbie. Zamknął oczy i zobaczył starego grubasa oraz dziewczynkę zanoszących się śmiechem. Odgłosy radości, które początkowo stanowiły kakofonię, po chwili popłynęły jak muzyka, a potem jak woda, która obmywała wszystko wokół, podczas gdy grubas trzymał się za brzuch, jakby chciał go uchronić przed pęknięciem, a biedna dziewczynka zaciskała palce na nosie, wstrzymując oddech w obliczu przypływu. Zanim Archer się zorientował,

znalazł się na otwartym morzu. Musiał puścić fotel i zaczął wierzgać zdrową nogą oraz wymachiwać rękami, próbując utrzymać się na powierzchni.

Potężna fala wciągnęła go pod powierzchnię i zatonął jak kamień w głębinie. „Utonę”, powiedział, a jego słowa zmieniły się w strumień bąbelków. Rzeczywiście utonął, a jednak jakimś cudem nadal żył. Opadał poprzez sen i całe mile jadeitowego oceanu, aż wreszcie dotknął stopami skraju podwodnego zbocza. Gdy odbił się od niego zdrową nogą, na próżno próbując wrócić na powierzchnię, tylko jego duch wzbił się do góry, zachowując widmową postać jego dawnego ciała, które pozostawił, by gniło na skalistym podmorskim urwisku.

Stał się Chrząszczem, pośpiesznie przemierzającym pokład *Klaczy*, zmierzającym na dziób okrętu na rozkaz Farso, który wskazywał bezchmurne niebo. Reszta załogi, Fongowie i kapitan Karst, milczący Hustermann, Kekmi oraz Collo, zgromadzili się za wytatuowanym mężczyzną i patrzyli w górę wzdłuż jego palca.

– Widzę – rzekł Chrząszcz.

– To dziewczyna – zauważył kapitan.

I rzeczywiście, to była dziewczyna, która spadła z nieba.

Farso zrzucił koszulę, wskoczył na dziób, zrobił dwa szybkie kroki wzdłuż łba i pyska drewnianego konia i skoczył do morza. Jego muskularne ręce, jedna ozdobiona wizerunkiem Świętego Michała, a druga Belzebuba, przecinały wodę, gdy z całą mocą płynął do miejsca, w którym spadająca dziewczyna wpadła w fale i zatonęła jak kula armatnia. Gdy dotarł do celu, zanurkował.

– Mam nadzieję, że nic się jej nie stało – rzekł Archer w przebraniu Chrząszcza. Znów był chłopcem, ale w dziwny sposób zdawał sobie sprawę z przeżytej starości. Łącząc w sobie dwa umysły, najpierw zdziwił się tym, że z nieba spadła dziewczyna, a potem tym, że jest chłopcem, który się temu dziwi.

Fongowie zagwizdali przenikliwie, a Hustermann zasłonił dłonią swoją twarz jak befszytk, spoglądając jednym okiem spomiędzy rozczapierzonych palców.

– Chrząszczu, przynieś torbę lekarską – polecił kapitan Karst. – Być może będziemy musieli jej udzielić pomocy.

Chrząszcz przeciął biegiem pokład i zbiegł po krótkich schodach do kajuty kapitana. Archer zmartwił się, że nie znajdzie torby, ale chłopak od

razu ją wypatrzył obok globusa. Gdy wrócił do pozostałych, Farso już płynął na plecach w stronę okrętu, przytrzymując dziewczynę lewą ręką. Hustermann opuścił się za burtę na linie, żeby odebrać ocaloną.

Leżała na pokładzie z zamkniętymi oczami, a woda lśniła na niej w blasku słońca jak na noworodku. Miała na sobie bladoniebieską piżamę i poskręcane włosy związane z tyłu głowy w warkoczyki. Kapitan Karst poprosił o torbę i wyjął z niej jedyną zawartość – butelkę rumu. Zaskrzypiały mu kolana, gdy uklęknął obok dziewczyny i przystawił otwartą butelkę do jej ust. Napił ją kilkoma kroplami trunku i czekał. Gdy po kilku chwilach nie zaczęła oddychać, Kekmi, człowiek z północy, delikatnie odepchnął kapitana i zajął jego miejsce. Pochylił się nad dziewczyną i przyłożył otwarte usta do jej ust. Collo wisiał zaczepiony ogonem o liny, patrzył w dół na grupkę marynarzy i klaskał podekscytowany.

Nic się nie działo przez niemal minutę, po czym Kekmi odchylił się do tyłu i wypluł na pokład coś małego, czarnego i pokrytego mackami. Cokolwiek to było, próbowało uciec, ale przystojniejszy z braci Fongów rozdeptał je na miazgę. Dziewczyna otworzyła oczy i zakaszła. Człowiek z północy podniósł ją i przekazał w ręce kapitana, który zabrał ją pod pokład, zdjął z niej mokre ubranie i owinął ją ciepłym kocem. Usiedli przy niej razem z Chrząszczem, karmili ją gorącą zupą i słuchali jej opowieści o tym, jak pies, na którym leciała, zmienił się w ciąg cyfr, głównie zer, które były niczym. Potem pozostała tylko chuda jedyńka, aż wreszcie dziewczynka wypuściła ją z rąk i spadła.

Chrząszcz powiedział jej, że jest bezpieczna i otaczają ją przyjaciele. Uśmiechnęła się i spytała, gdzie się znajduje.

– Na pokładzie okrętu płynącego po Morzu Delfinów – odpowiedział kapitan. – Zostaniesz z nami, dopóki nie zawiniemy do portu, a wtedy znajdziemy twoją matkę.

– Moją matkę? – zdziwiła się dziewczynka.

– Oczywiście – odrzekł kapitan. – Dopóki to nie nastąpi, *Klacz* będzie twoją matką, a my wszyscy twoim ojcem, nie licząc Chrząszcza, który może być twoim bratem. A jeśli chcesz, Collo może zostać twoją lalką.

– Nie bawię się lalkami – odparła Maggie.

– To nie – rzekł Karst. – Małpie i tak chybaby się to nie spodobało.

Fale, niebo, tropikalny wiatr i bezustannie skaczące delfiny, które wyłaniały się z morza nazwanego ich imieniem, po czym ponownie

przecinały wodę, znaczyły upływ czasu pod szafranowymi żaglami, które w oczach całego świata wyglądały jak zasłony na werandzie Archera. Niczym w montażu scen z *Marmurowego skowronka*, Maggie siedziała na ramionach Hustermanna, który dźwigał ją na bocianie gniazdo jak zaprzęgowy koń ze słabością do wspinaczki. Uważnie nadstawiając ucha, w ciągu jednego dnia uczyła się języka gwizdów, którym porozumiewali się bracia Fongowie, ćwiczyła walkę kordelasem na pokładzie rufówki pod okiem Farso, który szczyrzył trzy złote zęby, widząc jak utalentowaną ma uczennicę, oraz patrzyła, jak Kekmi rzeźbi delfina z wielorybiej kości.

Chrząszcz leniuchował w blasku księżyca, zaplątany w olinowanie, rozmyślając połowę umysłu należącą do Archera o tym, jak długo jeszcze potrwa noc w obserwatorium w lesie. Po stronie sterburty zauważył widmowy barkas, na którym płynęli gruby jak beczka miazmatyczny starzec z długą białą brodą oraz blada, opalizująca dziewczynka. Śmiali się złowieszczo, bez cienia wesołości. Widok duchów go przeraził, więc szybko zamknął oczy. Gdy znów je otworzył, był ranek, a w oddali majaczyła wyspa.

– Ziemia na horyzoncie! – zawołał głosem Chrząszcza, swoją młodzieńczą połową, a w dole załoga zebrała się po jednej stronie pokładu, patrząc na porośnięte palmami brzegi i wulkaniczne szczyty Taramory.

– Dom Córy Neptuna – rzekł Karst.

– To on ma córkę? – zdziwił się Farso.

– Czy Neptun w ogóle istnieje? – spytał Karst. – Myślę, że jest tylko starożytnym mitem. Gdybyśmy mieli wziąć ocean i uformować go w kształt człowieka... Nie, chodzi mi o stworzenie, które nazywają Córá Neptuna. Podobno pojawia się w podmorskich jaskiniach na tej wyspie.

– Jest ładna? – spytała Maggie.

– Raczej ohydna – odparł Karst. – Ma wodorosty zamiast włosów i niebiesko-zielone cętkowane ciało. Jest śliska jak delfin, ale chodzi na potężnych płetwiastych stopach.

– Ma pazury – dodał Kekmi.

– Mój przyjaciel ma rację – rzekł Karst. – Potrafi rozłupać głowę człowieka jak skorupkę orzecha, używając do tego kłów, grubych i wytrzymałych jak kolce marlina. Potem wybiera mózg i... chyba nie muszę kończyć – dodał kapitan, zerkając w dół na Maggie, a potem ponownie na marynarzy.

- Skąd wiadomo, że to dziewczyna? – spytała Maggie.
- Nie wiadomo. Ludzie nadali jej takie imię – odparł Kekmi.

Collo, który siedział na ramieniu kapitana, zatrzepotał rzęsami i lekko dotknął czoła wierzchem dłoni.

Klacz zbliżyła się do wyspy, a na pokładzie zapanowało ogólne poruszenie, gdy mężczyźni za pomocą bloczków i wielokrażka zaczęli wyciągać z luku dużą skrzynię, w której znajdował się idealny myśliwy Chromonis. Jeden z mniej więcej tuzina anonimowych członków załogi, których twarze i charakter jeszcze nie zapadły nikomu w pamięć, użył łomu do otwarcia przedniej pokrywy pojemnika. Gwoździe ze zgrzytem wysunęły się z desek i drewniana ściana upadła na pokład. Z ciemnego wnętrza skrzyni wyłonił się mężczyzna o srebrzystym lśniącem ciele w całości wykonanym z metalu.

Promień słońca odbity od dziwnej postaci oślepił Maggie. Jaskrawe światło w połączeniu z rozpaczliwym gwizdaniem Fongów wzbudziło ognisty wir w umyśle dziewczynki. migoczących wzorach płomieni zobaczyła ruchomy obraz obejmujących się ojca i matki. Tańczyli do muzyki granej na malutkim pianinie, a każda nuta była jak płatek śniegu, jak odgłos kryształowej szpilki uderzającej o kryształowy kielich. W końcu Maggie zrozumiała, że to, co omyłkowo wzięła za ogień, było migotaniem projektora, a jej ojca tak naprawdę grał aktor, Randolph Mondrian. Potem Mondrian zmienił się w Collo o idealnie uczesanych włosach, z powodzeniem udającego gwiazdora, który słynął z uwodzenia młodych obiecujących aktorek. Tańczyli dalej po niewielkim okręgu, w świetle i ciemności, aż wreszcie zniknęli w gęstej mgle, mającej zapach perfum i miazdżonych pereł.

Tamtej nocy, gdy Maggie położyła się na swoim hamaku, mężczyźni zaczęli przekazywać sobie butelkę z torby lekarskiej i słuchali przy świetle pochodni, jak Chromonis recytuje harmonogram nadchodzącego polowania. Stał wyprostowany jak ambitny młody student deklamujący Horacego. Odbicia płomieni tańczyły na jego metalicznej skórze, a oczy, które przypominały świetliste nity, nigdy nie mrugały. Miedziane usta nie wymawiały słów, a jedynie otwierały się i zamykały jak zapadnia, pozwalając niektórym słowom uciekać, a inne przytrzymując dłużej, by musiały się przeciskać i dzięki temu zyskiwały na wyrazistości. Liczby pojawiały się i zniknęły, a członkowie załogi kolejno wpadali w trans.

Pośród rytmicznych arytmetycznych zakłóc intonowanych z mechaniczną precyzją, które działały na zmysły jak kapiący deszcz, Farso niewyraźnie przypomniał sobie, jak szedł po trapie ponad pełnymi rekinów wodami u wybrzeży Zanzibaru. Kekmi ponownie spadł z dziobu prosto w rozwartą paszczę kaszalota. Karst wspomniał potężny tajfun, który ścigał go w okolicach Dalekiej Tortugi, ale zapomniał, czy zdołał przed nim uciec. Hustermann dotknął swojej szyi w miejscu, które kiedyś obtarła lina, Fongowie zaś nie zagwizdali o nieuleczalnej gorączce, którą zarazili się w Roku Szczura. Nawet Chrząszcz jak przez mgłę przypomniał sobie postrzał w nogę oraz cios kordelasem w twarz.

Brnęli przez spowite mgłą bagna Taramory. Chromonis prowadził, idąc za rękę z Collo. Obwieszane mchem drzewa wiły się w milczącej agonii. Ciemne wody niespodziewanie wirujące u ich stóp, nawoływania polujących olbrzymich wron oraz groźne wycie drobnych zielonych kotów o rozmiarach ludzkiej pięści, które przemykały po gałęziach, sprawiły, że Hustermann dla ochrony posadził sobie Maggie na ramionach. Niczym pasza ze swojego zamku na grzbiecie słonia, rozglądała się po mrocznym krajobrazie, wypatrując Córy Neptuna. W dłoni ścisnęła pistolet, który otrzymała od Karsta, strzelający strzałkami z narkotykiem mającym uspić istotę, ale jej nie zabijać. Farso szedł obok jej wierzchowca, szeptem nakazując jej celować w serce. Obok nich wędrowali pozostali członkowie załogi, dźwigając karabiny załadowane taką samą nieśmiertelnością amunicją. Chrząszcz zamykał pochód, niosąc na ramieniu zwiniętą rybacką sieć.

Wysoki Chromonis, smukły i proporcjonalny jak antyczny posąg, zatrzymał się, odwrócił w kierunku pozostałych, po czym powąchał mgłę. Jego metalowy nos jakimś cudem się zmarszczył, podobnie jak lśniąca brew, i myśliwy przemówił mechanicznym głosem, któremu nie sposób było odmówić piękna zrodzonego z ruchów zębatek.

– Czuję potwora – powiedział.

Kapitan Karst obejrzał się przez ramię, po czym znów zerknął na ich przewodnika.

– Czy mógłby pan wyrażać się konkretniej? – poprosił.

– Bardzo blisko – odrzekł Chromonis.

– Gdzie? – szepnął Karst.

Woda u ich stóp wystrzeliła w górę, a z bagna wyłoniła się potężna postać, wyższa o głowę od Hustermanna. Strząsnęła z siebie mokre błoto, a

długie kosmyki wodorostów ochlapały nim twarze tropicieli. Zielononiebieska istota, śliska od wilgotnej ziemi, tak że miało się wrażenie, że to sama Ziemia zbudziła się do życia, skoczyła na Chromonisa i jednym zręcznym ruchem umięśnionej ręki urwała głowę idealnego myśliwego, posyłając ją eleganckim łukiem w kałużę. Z chromowej szyi posypały się kółka zębate i sprężyny, kolorowe kable oraz iskry. Maggie strzeliła jako pierwsza, ale trzęsła się jej ręka i tylko zraniła Karsta i Collo. Gdy Córa Neptuna rzuciła się między marynarzy, poruszając się z gracją i szybkością delfina przecinającego głębiny, wypaliły kolejne karabiny i kolejne zabłąkane strzałki trafiły w ludzkie cele, aż w końcu na placu boju pozostali tylko dziewczynka i Chrząszcz.

Collo spał, zwinięty w kłębek. Farso z zapalem sięgnął po kordelas, ale stracił przytomność zanim upadł na wilgotną ziemię. Kekmi wzdrygnął się i zwałił z nóg. Gwizdy Fongów zmieniły się w chrapanie, gdy bracia objęli się i oparli o siebie, tworząc drzemiący trójkąt. Hustermann wykręcił trzy piruety, śniąc o domu i lekcjach tańca, do których zmuszano go w dzieciństwie. Gdy jego potężne ciało poddało się narkotykowi, runął jak worek ziemniaków. Maggie krzyknęła, ale wtedy stwór porwał ją z jego ramion. Chrząszcz patrzył ze swojej kryjówki za drzewami, jak Córa Neptuna znika razem z dziewczynką w przerażających cieniach bagna.

Chłopiec otarł oczy i wyszedł z ukrycia. Rzucił sieć i dwukrotnie zagwizdał, nie do śpiących Fongów, ale na swojego przyjaciela. Matematyka nadleciał spośród koron drzew, jakby ktoś opuścił go na sznurku, po czym wylądował obok swojego pana, zginając lewą przednią łapę. Pies siedział i czekał, podczas gdy chłopiec, z olbrzymim samozaparciem i głośnym stękaniem, przemienił się w podstarzałego Archera. Doskonale wiedział, że w tej postaci znów będzie kaleką, a laska niewiele mu pomoże na bagnach, ale z ponurą determinacją wetknął jej koniec w płytką wodę i ruszył na poszukiwanie swojej siostrzenicy, a chart podążył jego śladem.

Na plaży przed oceaniczną jaskinią, której wylot zwracał się w stronę brzegu, oświetloną promieniami zachodzącego słońca nadpływającymi od horyzontu jak słaby blask latarni, dwie postacie siedziały na tronach uplecionych z suchych wodorostów. Pomiędzy nimi stał stół wykonany z tych samych oceanicznych roślinnych wyziewów, a na nim spoczywała skorupa żółwia pełna morskiej herbaty oraz olbrzymia taca z dolarka piaskowego, na której leżały wykwintne meduzy i rozgwiazdy. Córa Neptuna

siedziała zwrócona plecami do ściany jaskini, a Maggie zajęła miejsce tyłem do drobnych fal rozbijających się na plaży.

– Nadchodzi przypływ – odezwała się istota przyjemnym głosem, po czym pochyliła się i nalała herbatę do dwóch muszli łodzika. Wręczyła jedną z nich Maggie.

– Rozłupiesz moją czaszkę jak orzech? – spytała dziewczynka.

– Może metaforycznie, moja droga – odparła Córa Neptuna, ponuro szczerząc zęby zniekształcone przodozgrzyzem.

– Jak smakuje mózg? – spytała Maggie.

– Jest słodko-gorzki – odpowiedziała istota, wpatrując się w dal, próbując znaleźć właściwą odpowiedź. – Słodko-gorzki. Wiedza ma szorstki smak, który równoważy słodycz idei. Są też wspomnienia, które wybuchają na języku bąbelkami tęsknoty i wyrzutów sumienia, a po posiłku czujesz się zmęczona, ale chcesz więcej.

– Po co mnie zabrałaś? – spytała Maggie, sącząc herbatę.

– Czekamy na twojego wujka. Niedługo do nas dołączy.

– Jak smakowałyby twój mózg? – spytała dziewczynka.

– Jak ogień, moje dziecko. – Jej pazury skurczyły się do długich paznokci, a oceaniczne odcienie błękitu i zieleni, które kamuflowały ciało, zaczęły blednąć do różu. Córa Neptuna z potwora przekształciła się w kobietę o ciemnych włosach zmieszanych z wodorostami.

– Zmieniasz się? – spytała Maggie.

– Popatrz – rzekła gospodyni – już idzie.

Maggie wstała i obejrzała się na niewielką postać brnącą po pas w białej wodzie przy wlocie jaskini. Wydawało się, że wędrówka wujka Archera przez przybierającą wodę i promienie zachodzącego słońca trwa bez końca, a zarazem błyskawicznie dobiegła kresu. Serce Maggie radośnie podskoczyło w piersi na myśl o nadchodzącym ratunku. Kiedy Archer zbliżył się do brzegu, spod powierzchni wody wyłonił się Matma – najpierw wygięty grzbiet, a potem pysk.

– Niech twój wujek usiądzie z nami na chwilę – powiedziała Córa Neptuna. – A ty spocznij na moich kolanach.

– Nie chcę – odparła Maggie.

– No, no, rób, co ci każe, albo zedrę mu twarz – ostrzegła istota.

Zdyszany Archer skinął głową i machnął laską, nakazując dziewczynce, by posłuchała stwora. Niepewnym krokiem podszedł do pustego tronu z

wodorostów, od czasu do czasu opierając się całym ciężarem na lasce, po czym usiadł. Matematyka zajął miejsce u jego boku. Mężczyzna pochylił się, uspokajając oddech, a następnie wyjął chustkę z kieszeni wilgotnej kamizeli i otarł brew.

– Lodowata woda – powiedział, kręcąc głową.

Maggie siedziała nieruchomo na kolanach Córy Neptuna. Czuła się tak samo, jak wtedy, gdy zostawała sama w domu z matką i nagle czuła dym. Istota objęła mokrą dłonią jej kark i lekko ścisnęła.

– No, Archer, powiedz dziecku prawdę, albo...

Zwiesił głowę, zamknął oczy i zaczął mówić, nie potrafiąc na nie patrzeć.

– Kiedy byłem młody, poszedłem na wojnę przeciwko sułtanowi jednej z południowych krain. Przepędziła mnie głupia odwaga i brawura, aż pewnego dnia podczas potyczki w Taramorze zostałem ranny w nogę. Pocisk roztrzaskał mi piszczel. Wrogi żołnierz wskoczył do dołu, w którym leżałem, wijąc się z bólu, i zamachnął się kordelasem, żeby rozplątać mi głowę. Mój przyjaciel, wykładowca matematyki z Kelmore, John Farso, zastrzelił go, gdy ostrze zaczynało wrzynać mi się w twarz. Farso, sam śmiertelnie ranny, przeciągnął mnie w bezpieczne miejsce do pozycji zajmowanych przez nasz batalion. Spędziłem większą część roku w polowym szpitalu, przykuty do łóżka i nafaszerowany morfiną. Pewnej nocy, gdy ci, którzy akurat nie umierali, spali pod dużym namiotem, po raz pierwszy odwiedziły mnie duchy – brodaty starzec i dziewczynka o dużych oczach. Początkowo, pogrążony w delirium, myślałem, że są prawdziwi – dobrzy samarytanie pomagający rannym – jednak pewnej nocy dziewczynka przeniknęła przez mężczyznę, gdy ten przechodził przez moje łóżko. Kiedy odkryłem naturę swoich gości, ich złe zamiary stały się dla mnie oczywiste. Widział ich także żołnierz, który przez krótki czas zajmował sąsiednie łóżko, dopóki nie umarł z powodu zakażenia. Opowiedział mi historię pewnego milionera i jego córki, którzy przybyli do rozdarłej wojną krainy sułtana, żeby sprzedawać broń obu stronom konfliktu. Mieszkali w pięknym domu w Taramorze. Milioner wkrótce po przybyciu pokochał uroki wodnej fajki. Uzależnił się od specjalnej mieszanki sułtana i postradał zmysły, wierząc, że nawiedzają go duchy. Pewnej nocy omyłkowo wziął córkę za jednego ze swoich upiorów i zastrzelił ją z derringera, którego nosił za paskiem. Gdy doszedł do siebie i zobaczył, co uczynił, odebrał sobie życie. Odesłano mnie z frontu do domu, żebym odzyskał zdrowie, ale duchy podążyły za mną. Pojawiały się nawet w

najpiękniejsze dni, w pełnym słońcu na zielonych polach pod kołyszącymi się konarami dębu. Moja siostra, Elise, troszczyła się o mnie i przywróciła mnie do pełnej sprawności, nie licząc utykania i blizny. Opowiedziałem jej o duchach, a ona obiecała, że odbierze je ode mnie na jakiś czas, żebym mógł nabrać sił. Przypieczętowaliśmy naszą umowę, mieszając krew z rozciętych kciuków.

– Ale ty nigdy ich nie odebrałeś – rzekła Córa Neptuna.

– Nie chciały do mnie wrócić, Maggie, przysięgam – odparł Archer ze łzami w oczach. – Dobrze wiesz, dlaczego tak było. Zdradź dziewczynce swoją tajemnicę, powiedz, co cię chroni – zażądał stwór podniesionym głosem, który odbił się echem od ścian jaskini.

W tej chwili fala rozbiła się o brzeg za plecami Archera, a z wody wyskoczył Collo. Trzema niezwykłymi susami pokonał połąć piasku i wylądował na twarzy istoty, obejmując ją wszystkimi łapami i wgryzając się w gładkie ciało na brwi. Potwór na chwilę zwolnił uścisk i Maggie podbiegła do wujka.

Córa Neptuna z trudem wstała, próbując zrzucić małpę, ale wtedy z wody wyłonili się pozostali i ruszyli do ataku. Kekmi, Fongowie, Farso, Karst, Hustermann oraz bezgłowy Chromonis wpadli do jaskini i przewrócili swoją ofiarę na tron z wodorostów. Stwór rozpaczliwie próbował uwolnić się z silnych rąk marynarzy.

– Szybko! – zawołał kapitan.

Archer, kulejąc, ruszył w stronę walczących, sięgnął do kieszeni i wyjął derringera. Pochylił się i trzykrotnie pociągnął za spust, rozpalając trzy małe płomienie u podstawy tronu. Ogień buchnął w górę, jakby pochłaniał stertę trzyletniego drewna.

– Maggie, chodź do mnie! – zawołał wujek, po czym rozłożył ręce.

Podbiegła do niego i skoczyła, a on złapał ją w powietrzu. Przez chwilę się chwiał, ale potem stęknął, odzyskał równowagę i posadził ją sobie na ramionach. Dziewczynka zobaczyła, że Matma podnosi zębami łaskę i rusza ich śladem.

Gdy brnęli przez coraz głębszą wodę, oddalając się od wlotu jaskini, Maggie obejrzała się na ognisty stos złożony z załogi i potwora, pulsującą masę płonących ciał i stali. Z płomieni buchał fioletowy dym, który wypełniał jaskinię, ale było słychać tylko bliźniacze odgłosy gwizdów, które splotły się, zasupłały i rozkwitły, by w końcu rozwiać się w powietrzu.

Zanim się zanurzyli, zobaczyła całe to chaotyczne piekło jako pomarańczową kulę unoszącą się w ciemności, a potem woda się podniosła, a raczej oni zeszli niżej. Archer powoli kuśtykał, niestrudzenie przemierzając dno oceanu, wypuszczając z ust bąbelki jak sznury pereł. Maggie zobaczyła minogi wijące się w żółtawozielonym świetle, stada koników morskich przemykających to tu, to tam, jak jeden organizm, powalone kolumny zatopionego pałacu, smukły ogrom wieloryba przepływającego sto metrów wyżej.

Ruch wody uspokajał ją i nużył. Niechętnie zamknęła oczy, wiedząc, że wydarzyło się coś niedobrego. Na wpół śpiąca, zerknęła jeszcze raz i zobaczyła ścieżkę prowadzącą przez las w nocy. Wiatr szeleścił liśćmi. Latarnia w obserwatorium nikła w oddali. Mocno przytuliła się do Archera, który niósł ją z powrotem do domu.

Rano wzeszło słońce, okrągłe i jasnopomarańczowe. Na wschodzie zeglował okręt z trzema żółtymi żaglami. Archer i Maggie stali na podejździe, gdy ojciec dziewczynki wysiadł z lśniącego czarnego samochodu. Był wysoki i wyprostowany, a z jego twarzy nie dało się wyczytać żadnych emocji.

– Chodź, Maggie – powiedział. – Pożegnaj się z wujkiem Archiem i pojedziemy.

Archer poprosił szwagra gestem, żeby za nim poszedł, po czym odwrócił się i oddalił o kilka metrów. Ojciec dziewczynki posłusznie dołączył do niego poza zasięgiem słuchu Maggie. Mała wbijała w nich wzrok, próbując podsłuchać, o czym mówią. Najpierw jej ojciec pokręcił głową i powiedział „Nie mogę”, ale wtedy Archer objął go ramieniem, pochylił się i długo szeptał mu do ucha. Kiedy się odsunął, jego szwagier pokiwał głową.

– Wsiadaj do tyłu, Maggie – polecił ojciec.

Usłuchała.

– Ale jeszcze nie zamykaj drzwi – dodał.

Patrzyła, jak Archer gwizdze, a na jego wezwanie zza domu wybiega Matematyka. Wujek pogłaskał psa po łbie i podrapał za uszami. Potem pstryknął palcami na wysokości swojej piersi, a zwierzak stanął na tylnych łapach i oparł się o swojego pana.

Archer przez chwilę cicho do niego przemawiał, po czym polecił:

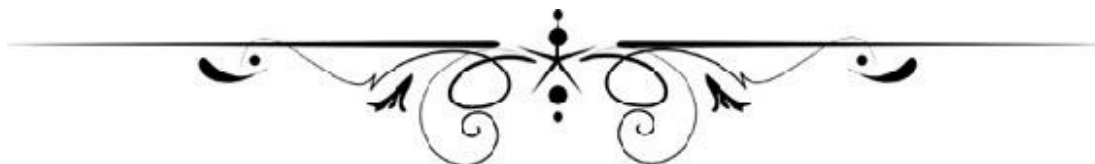
– Idź!

Pies podbiegł do auta i wskoczył na tylne siedzenie obok Maggie.

Drzwi się zamknęły i samochód ruszył w daleką podróż.

Archera obudził odgłos liści szeleszczących nad obserwatorium. Pochylił się nad fajką wodną, zdjął z niej miseczkę, postukał nią o krawędź stołu, po czym umieścił z powrotem na miejscu. Napełniając ją proszkiem z rączki laski i zapalając mieszankę, rozmyślał o swoim śnie. Gdy zaciągnął się dymem, przypomniał mu się Randolph Mondrian w komicznej scenie z *Marmurowego skowronka*. Uśmiechnął się. Naprzeciwko niego siedziała dziewczynka Quill, pogrążona w głębokim śnie i otulona setką kolorów, a obok, dokładnie pod pomarańczową latarnią, zajął miejsce staruszek, którego biała broda unosiła się i opadała razem z klatką piersiową oraz potężnym brzuchem, gdy drzemał jak Święty Mikołaj następnego dnia po Bożym Narodzeniu.

Archer jeszcze raz się zaciągnął, a wtedy rozsądek czmychnął od niego jak chart skaczący w las. Kiedy wydmuchnie dym, ten będzie miał postać fioletowego serca miazdzonej perły, a jego słodka woń delikatnie obudzi śpiącą siostrzenicę, która zastanie pogrążone w ciemności obserwatorium, ostatniego świetlika, wiatr szumiący w koronach drzew i pochrapującego wujka.



Pożyczyłem tytuł tego opowiadania z powieści kryminalnej, nad którą pracowała moja matka w latach poprzedzających jej chorobę i śmierć. Bohaterowie i treść są moim dziełem. Z jej maszynopisu zapamiętałem jedynie kobietę, która grała na instrumencie wytwarzającym fale powietrza wymagające od niej noszenia na palcach różnokolorowych protez, dzięki którym kierowała dźwiękowymi prądami.

Niektóre z postaci na pokładzie *Klaczy* pochodzą z opowieści mojego dziadka, który służył w marynarce handlowej. Na przykład, kucharzami na jego statku byli chińscy bracia bliźniacy. Gdy roznosili posiłki w czasie kolacji, porozumiewali się gwizdnięciami, dzięki czemu ich drogi się nie krzyżowały. Jeden z braci umarł podczas rejsu po Oceanie Indyjskim i został pochowany na morzu. Dziadek opowiadał, że tego samego dnia podczas zachodu słońca drugi z braci podszedł do burty statku i zagwizdał, a po kilku sekundach od strony oceanu nadeszła taka sama odpowiedź.

Dziadek pasjonował się także hodowlą drzew owocowych i na naszej ćwierćakrowej posiadłości rosło wiele różnych ich gatunków. Po latach prób udało mu się wyhodować niebieskawy owoc, który nazwał Córą Neptuna. Nie pamiętam, jakie znaczenie miała dla

niego ta nazwa.

DELIKATNY

Delikatny jest blady, ma kończyny cienkie jak wyciory do fajki oraz głowę lśniącą i twardą jak grzbiet chrząszcza. Brutalna architektonika czaszki dokonana w łonie matki zaowocowała wystającą linią brwi, skupieniem materii poza punktem prawdy. Ma oczy wrony, a jego uszy to kręte tunele prowadzące donikąd.

Przychodzi w ostatnich dniach popołudnia, poprzez zacinający śnieg, ubrany na czarno, a ósma symfonia Shuberta w czarodziejski sposób rozbrzmiewa w tle. Przychodzi, żeby wyssać oddech z przelotnych kaprysów i przynieść długi sen wszystkim niepewnym na umyśle, którzy są wyjątkowo irytujący.

Przybywa do kurortu na skraju rozumu, „żeby zażyć relaksu”, jak sam tłumaczy. Dalej rozciąga się tylko północne pustkowie sięgające zamarznętego bieguna. Bóg nigdy nie zaczerpnął tam oddechu – to domena demonów o skrzydłach nietoperzy i skórze przypominającej pokrytą słojami dębinę, które nocą wylatują z lasu, żeby porywać dzieci wierzgające drobnymi nóżkami w stronę księżyca. Życie w Absentii jest jak życie z duszą zrobioną z płynnego ołowiu.

Być może chodzi o sposób, w jaki trzyma papierosa, a może to jego charakterystyczny strój sprawia, że od razu wkupuje się w łaski gości i pracowników hotelu Opatrzność. Na jego prośbę nazywają go Hardingiem Jarvisem i zachwycają się jego elegancją oraz talentem do języków. Chociaż jego twarz bardziej przypomina krowią czaszkę niż żywe ciało, wydaje się, że nikt tego nie zauważa, nie licząc sprzątaczkę. Ona poznaje go po zapachu – aromacie róż maskującym smród gnijącego mięsa. Gdy on się tego domyśla, sapie do swojego kieliszka z winem.

Niezależnie od tego, komu Carlotta zwierza się ze swoich obaw, wszyscy

ją lekceważą, odpowiadając: „Herr Jarvis? Niemożliwe, moja droga, coś ci się pomieszało”. Stara się nigdy nie wchodzić do jego pokoi, gdy on w nich przebywa. „Sen jest dla niej śmiercią”, głoszą wykałaczkami podtrzymujące jej powieki. Wytrzymuje tylko trzy dni i w końcu zamyka oczy. We śnie jest tak ciepło i pięknie, ale fotel, na którym siedzi, stoi w nogach łóżka Herr Jarvisa. Na podłodze jest pełno brudu, a na każdym parapecie zalegają cztery uncje muszowego mięsa.

Wraca niespodziewanie po popołudniu spędzonym na grze w wista z Madame Fesh od kolorowej mufki, Barlinem, miejscowym logomantą, oraz Meme Haspinem, preparatorem zwierząt pracującym dla ziemiaństwa, i znajduje Carlottę śpiącą w fotelu. Bez zbędnych ceregieli i patosu wysysa z niej życie. To długi i bolesny proces, z którego nie oszczędza jej ani minuty. Wiesza jej wyschniętego trupa na kołku w szafie, jak pomarszczone ubranie z ludzkiej skóry, po czym siada, żeby zapalić glinianą fajkę. Po chwili przesiada się do biurka, bierze do ręki pióro i zapisuje esencję pokojówki, którą właśnie pochłonięła. Pierwsze zdanie, jakie wypęła na papier, brzmi: „Beztraska napędza żal”, a kolejne słowa przychodzą z łatwością.

Początkowo myślał, że zaszкодził mu suflet z krabów, który zjadł podczas lunchu, ale poniewczasie uświadomił sobie, że to coś w krwi Carlotty powoduje w nim dziwną przemianę. Przy wtórce trzasku kości, wydłużania siekaczy, szeptu rosnącego futra i kurczenia skóry, opada na czworaki i staje się psem. Rzuca ostatnie przekleństwo, zanim jego słowa zmieni się w warczenie.

Mieszkańcy Absentii opowiadają sobie o mądrym psiaku, który włóczy się ulicami, szukając odpadków. Jeden z chłopców twierdzi, że słyszał, jak zwierzak płakał ludzkim głosem, a mężczyźni pracujący w kopalni pod Górą Alfarabi z wesołością obserwują, jak pies próbuje zaliczyć nogę pewnej damy przed drzwiami piwiarni. Tymczasem każdy liczący się obywatel szuka Hardinga Jarvisa, żeby zabrać go na przejażdżkę samochodem, zagrać z nim w tenisa albo zaprosić na koktajl.

Myśliwy Farsala przychodzi z dziczy z futrami do sprzedania i piórami dzikich indyków zatkniętymi w kapeluszu. Z zarobionymi pieniędzmi idzie prosto do piwiarni i wychyla wiele kufli. Opowiada znajomym, których nie widział od trzech sezonów, o demonie, którego zastrzelił, oraz o rajskiej krainie otoczonej setkami mil lodu. Jako dowód upolowania demona pokazuje powykręcane rogi, które wyrwał mu szczypcami z czoła jak

dentysta wyrywa zęby. Opowiadając o rajskiej krainie, tylko wzrusza ramionami.

Gdy Farsala pije, nadchodzą dni Nocy. Po wyjściu z piwiarni czuje ostry wiatr i zimowy chłód. Podnosi wzrok na jasne jak lód gwiazdy i przypomina sobie, jak tropił białe małpy o zmierzchu. Poruszały się jak duchy wśród olbrzymich sosen. Umierały, kaszląc parą i tryskając krwią.

Gdy to wspomnienie przemija, Farsala zauważa psa, który siedzi przed nim na ulicy. Jako że pierwsze godziny Nocy każdego roku sprawiają, że ma ochotę porozmawiać z kimś innym niż ziemia i wiatr, postanawia przygarnąć kundla i uczynić go swoim psem myśliwskim. Za pomocą pasków suszonego mięsa karibu wywabia swojego nowego kompana z miasteczka na pustkowiu, którego nie opisano na żadnej mapie.

W nocy w lesie albo panuje głucha cisza i pada śnieg, albo rozlega się głos jakiejś umierającej istoty. Demony sfruwają z drzew bez ostrzeżenia, a Farsala zawsze trzyma broń w pogotowiu. Kiedy atakują go od tyłu, używa swojego długiego zakrzywionego noża i walczy z nimi wręcz. Pies pomaga mu zabijać. Gdy zmasakrowane demony wydają ostatnie tchnienie u jego stóp, pyta je o ścieżkę do Raju na Ziemi. Niektóre udzielają wskazówek, ale większość odchodzi w ciszy, miotając kolczastymi ogonami po śniegu. Farsala zapisuje wszystko, co mówią, w małym notatniku, po czym wyrywa im rogi szczypcami.

Wiosną myśliwy i pies trawersują przełęczą prowadzącą przez góry. Nagły powrót dnia Poranka przynosi oślepiające światło. W tych górach jest sto małych jaskiń, które powstały dawno temu w Epoce Lodowcowej. Każdego roku Farsala poszukuje w nich gryzących pajaków o żółtych grzbietach oraz przedmiotów pozostawionych przez dawnych mieszkańców.

W jednej z jaskiń myśliwy odkrywa zamrożone zwłoki mężczyzny, który siedzi na dużym kamieniu przy stole wyciosanym ze skały. Sople zwisają z nosa zmarłego, a szron zasnuwa mu oczy. Z pogryzionego przez robaki otwartego dziennika, który leży przed trupem, Farsala dowiaduje się, że jego ojciec go poszukiwał. Obejmuje psa i płacze.

W jednej z notatek staruszek opisuje swój romans z kobietą, która żyje na dnie jeziora. Ma ona niebieską skórę i włosy tak długie, że zmieniają się w morską trawę i pnącza. Każdej nocy wędrowiec schodzi ze swojej górskiej kryjówki i spotyka się z ukochaną na brzegu jej jeziora.

Siadają pod wysoką wydumą, otoczeni podmuchami wiatru. Ponad nimi

zderzają się gwiazdy. Opowiada jej o tym, jak piętnaście lat wcześniej odszedł z domu w poszukiwaniu syna, który został myśliwym na pustkowiu. Gdy ją całuje, słyszy, jak ogrom raju śpiewa do niego zza wody.

Farsala każdej nocy śni o jedynym stworzeniu, na które pragnie polować. Jest to istota, której nigdy nie widział, obdarzona wieloma pomieszanymi cechami – ma łuski, futro, pazury, kły, pióra pod i wokół skóry oraz włosy. Co noc pojawia się i wypełnia go pragnieniem łowów. We śnie Farsala słyszy, jak istota nadlatuje i po krótkiej walce kąsa go w piętę jak wąż. Zawsze budzi się, rozmyślając, czy jej ptasia część przypomina koguta. Ale odkąd sprawił sobie psa, coraz trudniej jest mu wyobrazić sobie wymarzony zabójczy cios.

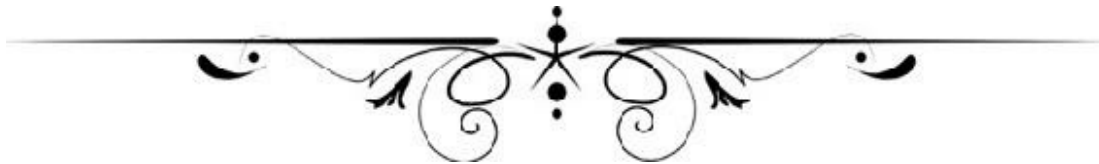
Podczas wędrówek myśliwy i jego towarzysz natykają się na piękny ogród uwięziony pośród lodów. W ostatniej chwili Delikatny zrzuca psią skórę i rzuca się Farsali do gardła. Usta spotykają usta, oddech zaczyna odchodzić i przybywać. Gdy myśliwy traci wzrok w jednym oku i od wewnętrznego ciśnienia pękają mu żebra po lewej stronie, przywołuje wieloletnie doświadczenie i pcha Delikatnego nożem w pierś. Strumienie agonii splatają się, a następnie rozdzielają na pola jaskrawego koloru. Potwór wpycha z trzaskiem myśliwemu palce w pierś i wyłącza serce.

Jednakże Delikatny umiera od otrzymanej rany. Chwiejnie idzie przez pustkowie, kurczowo trzymając się za krwawiący bok szczupłą, ostrą dłońią. Klęka i wznosi modły ku niebiosom, ale nic się nie dzieje. Wspomnienia innych żywotów wirują w jego pamięci, gdy z bólem zapomina o raju. Rozpacza nad utratą swojej delikatnej postaci, jego egzoszkielet zmienia się w kryształowy meteor. Gdybym tylko mógł znów stać się psem, myśli, gdy życie opuszcza go kaskadą pary. Bez przekonania wsysa je z powrotem. Po chwili jest jak nowo narodzony.

Wraca do Absentii i w tym samym pokoju w hotelu Opatrzność, w którym pochłoniął Carlottę, zaczyna ich zabijać dwójkami. Puste ludzkie skorupy piętrzą się w jego szafie jak beły świeżego tytoniu. Mężczyźni przyłapują swoje żony zakradające się do jego drzwi. Żony przyłapują mężów na potajemnych schadzkach z Delikatnym, a on błyskawicznie pochłania ich parami. Bierze hrabinę od tyłu, gdy ta pochyla się, żeby poprawić gorset. Warstwy włosów prawie ją ratują, ale w końcu okazuje się, że równie łatwo wyciągnąć z niej życie jak z panicza Cleya, burmistrza, pani Silwort albo bliźniaków Grossdig.

Ktoś zauważa, że liczba mieszkańców miasteczka maleje w niepokojącym tempie, i powiadamia władze, apelując o wysłanie wojska, ale Delikatny przecina kabel telegrafu siekaczami. Gdy żołnierze przybywają na miejsce i otaczają miasteczko, właśnie pochłania ostatnie kawałeczki pani Fleacox, posapując przy tym, jakby zażywał tabaki. Zbyt późno zauważa, że kobieta już dawno popsuła się jak przejrzały melon, chociaż nie przestaje gadać aż do końca. Jej bezcelowe słowa zarażają go *flexis midocarsis* i powoli zaczyna się rozpadać. Ostatnią godzinę spędza na balkonie domu burmistrza, wbijając wzrok w pustkowie, grając na skrzypcach, aż jego palce zmieniają się w sól, a instrument upada na posadzkę.

Żołnierze wpadają do Absentii, wypluwając śmierć z luf karabinów maszynowych, a wsparcie lotnicze zrzuca ogień, jakby płonęły chmury. Znajdują Delikatnego – żalosaną, fantastyczną kupkę papierosowego popiołu. Pani Fleacox jest zagubiona pomiędzy życiem a śmiercią, więc wzywają specjalistę, żeby wbił jej igłę w podstawę kręgosłupa. Zbierają istotę do foliowego woreczka i go liofilizują. Jego szczątki trafiają do Miasta Iglie na Południu, gdzie przechowuje się je dla pożytku przyszłych pokoleń. Naukowcy nigdy nie otrzymują dotacji na badania okruchów Delikatnego, który wciąż leży w torebce na półce i czeka.



Istnieje wiele powodów, dla których postanowiłem zamieścić *Delikatnego* w tym zbiorze, ale żaden z nich nie miał nic wspólnego z jakością opowiadania. Uważam, że to ciekawa odrealniona bajka, która ma tyle samo zalet co wad.

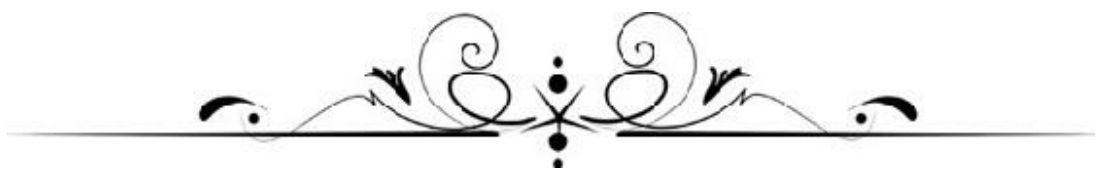
Pierwszym i najważniejszym powodem, dla którego ją wybrałem, było to, że chciałem podzielić się z czytelnikami typowym opowiadaniem z czasów, gdy publikowałem w czasopiśmie „Space and Time”. Ten okres był niezwykle ważny dla mojej literackiej kariery, podobnie jak redaktor wspomnianego pisma, Gordon Linzner. Gordon wydaje „Space and Time” od ponad trzydziestu lat i cały czas jest to ciekawa publikacja, która przynosi zyski. Dał szansę zaistnienia wielu aspirującym pisarzom i artystom. Pamiętam, że w latach osiemdziesiątych czytałem u niego wczesne dzieła takich twórców jak Joe Lansdale, Scott Edelman, James Van Pelt czy Allen Koszowski.

Gordon ma świetny i zróżnicowany gust, dzięki czemu publikuje obok siebie klasyczne fantasy spod znaku magli i miecza, odrealnioną fantastykę czy współczesny horror. Dla czytelników częścią zabawy jest fakt, że nigdy nie wiadomo, co się znajdzie w nowym

numerze. Jako redaktor Gordon nie boi się ryzyka i chętnie przyjmuje teksty debiutantów oraz naprawdę dziwaczne opowiadania (czego dowód stanowi *Delikatny*). Pewnego dnia jakiś pomysłowy dziennikarz w końcu postanowi skorzystać z jego bogatego doświadczenia w branży i uzyskać zadziwiające świadectwo. Ogromne podziękowania dla Gordona Linznera.

Drugim powodem była chęć sprawienia przyjemności czytelnikom, którzy znają moją trylogię rozpoczynającą się od *Fizjonomiki*. *Delikatny* jest czymś w rodzaju skondensowanej próbki tej większej opowieści. Starłem się wypracować konkretny klimat oraz scenerię, które od miesięcy nosiłem w głowie, przed zabraniem się za poważniejszy tekst. Jak widać, od początku zamierzałem wykorzystać w dłuższej opowieści górnicze miasteczko, postać Delikatnego oraz pomysł wędrówki myśliwego przez pustkowia. Wiem, że niektórzy krytycy trylogii twierdzą, że napisałem kolejne części tylko po to, żeby zarobić górę forsy (wciąż na nią czekam), ale zawsze chciałem napisać trzy książki i umieścić w nich wszystkie elementy, które pojawiły się w tym krótkim tekście. Wiedziałem, że w tamtym czasie trylogie nie były modne, ale jako pisarza interesuje mnie przede wszystkim wyrażenie osobistej wizji, nawet jeśli nie spotka się ona z powszechnym zainteresowaniem. Jeśli wątpicie w moje słowa, możecie iść na lunch z Delikatnym.

ZOMBIE MALTHUSIANA



1

Nie jestem pewien, jakiej narodowości był Malthusian, ale mówił z dziwnym akcentem; wydawał z siebie melodyjny, urywany bełkot, w którym dopiero po kilku tygodniach można było w pełni rozpoznać angielszczyznę. Miał więcej zmarszczek niż wiedźma oraz czuprynę bielszą i bujniejszą niż futro samojeda. Wciąż widzę, jak stoi przy krawężniku przed moim domem, lekko pochylony, ściskając laskę z główką z kości słoniowej przedstawiającą głowę kobiety z przepaską na oczach. Miał na sobie o półtora numeru za duży garnitur i równie ponadwymiarowe oczy, które zerkały zza okularów o tak grubych szklach, że cały świat musiał mu się wydawać olbrzymi. Dwa detale sprawiły, że przerwałem grabienie i nie ograniczyłem się do zdawkowego sąsiedzkiego machnięcia ręką; były to krawatka oraz złowieszczy uśmiech, jaki do tej pory widziałem tylko u swojej sześćioletniej córki, kiedy rysowała jednego ze swoich potworów.

– Malthusian – odezwał się ze swojego miejsca przy krawężniku.

Powitałem go i podałem swoje imię.

Wymamrotał coś, a ja nachyliłem się i poprosiłem, żeby powtórzył. Wtedy odwrócił się i wskazał dom stojący na rogu ulicy. Wiedziałem, że

niedawno ktoś go kupił, więc domyśliłem się, że to on jest nowym lokatorem.

– Witamy w sąsiedztwie – powiedziałem.

Wyciągnął rękę, a ja ją uścisnąłem. Miał bardzo silną dłoń i długo nie zwalniał uścisku. Gdy zorientowałem się, że widzi u mnie dyskomfort, uśmiechnął się i puścił moją rękę. Potem powoli się oddalił.

– Miło pana poznać – zawołałem za nim.

Odwrócił się, pomachał, po czym wypowiedział słowa, które zabrzmiały jak poezja. Coś rymowanego o liściach i owocach. Dopiero kiedy zniknął w lasku na końcu ulicy, zorientowałem się, że cytował Alexandra Pope'a:

*Słowa są jak liście, gdzie ich najwięcej
Owoce rzadko nabrzmiewają sensem.*

Jako wykładowcę literatury bardzo mnie to rozbawiło i postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej o Malthusianie.

W tamtym roku byłem na urlopie naukowym, podczas którego miałem się zajmować pisaniem książki o strukturze opowieści Poego, którym według mnie brakowało dynamicznego wzrostu napięcia charakterystycznego dla fichteńskiej krzywej i które składały się wyłącznie z denuncjacji. Niczym w koszmarnym śnie, czytelnik wchodzi do nich jak do domu Usherów, nie dysponując żadną wstępną wiedzą, a wtedy one zaczynają się rozsypywać. Tylko że tak naprawdę tylko marnowałem czas. Całowałem żonę na pożegnanie, gdy wychodziła do pracy, zawoziłem córkę do szkoły, po czym wracałem do domu i oglądałem powtórki programów, którym razem z bratem poświęciliśmy dużą część dzieciństwa. Pojawienie się Malthusiana stanowiło okazję do zabicia czasu, więc za każdym razem, gdy widziałem, że mija nasz dom, wychodziłem i wciągałem go w rozmowę.

Początkowo nasza znajomość rozwijała się powoli, dopóki nie zacząłem lepiej rozumieć jego dziwnej wersji naszego języka. Gdy nadeszło Święto Dziękczynienia, potrafiłem już normalnie z nim rozmawiać i zaczęliśmy toczyć długie dysputy o literaturze. Co ciekawe, miał o wiele bardziej współczesne zainteresowania ode mnie. Był zagorzałym miłośnikiem Pynchona oraz zachodnioafrykańskiego pisarza Amosa Tutuoli. Zrozumiałem, że poświęciłem zbyt dużo czasu na nauczanie o wczesnych dziełach amerykańskiej literatury, i zacząłem zapoznawać się z niektórymi powieściami, o których wspominał. Pewnego dnia spytałem go, czym się

zajmował, zanim przeszedł na emeryturę. Uśmiechnął się i odpowiedział coś, co brzmiało jak „pierdoliłem ludziom w głowach”.

Byłem pewien, że źle go zrozumiałem.

– Co takiego? – spytałem ze śmiechem.

– Pierdoliłem ludziom w głowach – powtórzył. – Byłem psychologiem.

– Ciekawe określenie na ten zawód – odrzekłem.

Wzruszył ramionami, a z jego ust zniknął uśmiech. Kiedy znów się odezwał, zmienił temat na politykę.

W zimie, niezależnie od pogody, Malthusian spacerował. Pamiętam, jak pewnego popołudnia brnął przez śnieżycę, ubrany w czarny płaszcz i czarny tyrolski kapelusz, pochylony bardziej pod ciężarem jakiegoś niewidzialnego brzemienia niż z powodu słabości ciała. Wtedy uderzyło mnie, że nie widziałem, jak wraca. Leśne szlaki ciągnęły się przez wiele mil, a ja jeszcze nie wiedziałem, że jeden z nich może go doprowadzić do jego domu z drugiego końca ulicy.

Przedstawiłem go swojej żonie Susan oraz córce Lydzie. Stojąc przy krawężniku, ucałował obie w dłoń, a przynajmniej próbował. Gdy Lyda cofnęła rękę, roześmiał się tak gwałtownie, że omal nie eksplodował. Susan uznała, że jest uroczy, ale później spytała mnie: „Co on mówił, do diabła?”.

Następnego dnia przyniósł jej bukietek fiołków, a Lydzie, która pokazała mu swój szkicownik, podarował rysunek własnego autorstwa, zwinięty i przewiązany zieloną wstążką. Po kolacji córka otworzyła prezent i się uśmiechnęła. „Potwór”, powiedziała. Był to pięknie wykonany węglem portret pozornie zwyczajnego mężczyzny w średnim wieku, którego oczy były niepokojąco pozbawione wyrazu. Miał tak ciężkie powieki, szkliste spojrzenie i bezwładne ciało, że niemal namacalnie wyczuwało się w nim pustkę. Na dole strony wykaligrafowano słowa „Zombie Malthusiana”.

– Powiedziałaś mu, że lubię potwory – wyjaśniła Lyda.

– Dlaczego to ma być potwór? – spytała Susan, której wyraźnie nie spodobał się niesamowity klimat rysunku. – Bardziej przypomina wykładowcę akademickiego na urlopie naukowym.

– On nie myśli – odrzekła Lyda i wskazała małym palcem głowę zombie.

Poprosiła, żebym zawiesił obrazek na tylnej stronie jej drzwi, tak żeby był zwrócony w stronę ściany, gdyby nie chciała go oglądać. Przez kolejne kilka tygodni sama rysowała zombie. Niektóre nosiły małe kapelusiki, inne krawatki, ale wszystkie, niezależnie od rozmiaru pustych oczu, złowieszczo

się szczyrzyły.

Wczesną wiosną Malthusian zaprosił mnie wieczorem do siebie na partyjkę szachów. Wieczorne powietrze wciąż było dosyć chłodne, ale wiatr niósł zapach, który zwiastował, że wkrótce wszystko się zazieleni. Dom stojący na narożnej działce był olbrzymi, zdecydowanie największy w okolicy. Na terenie działki rósł trzyakrowy las, który przylegał do jeziora należącego do sąsiedniego miasteczka.

Malthusian wyraźnie nie lubił pracy na podwórku ani domowych napraw, które stanowią miarę mężczyzny w tej części świata. Drzewo, które zimą pękło i przewróciło się, częściowo zasłaniając podjazd, wciąż leżało w tym samym miejscu. Trzy poziomowemu budynkowi i czterem wysokim kolumnom od frontu przydałoby się malowanie, niektóre z desek na werandzie poddały się butwieniu, a liczne okna były pokryte brudnymi smugami. Fakt, że Malthusian nie próbował w żaden sposób temu zaradzić, sprawił, że jeszcze bardziej go polubiłem.

Otworzył drzwi i wpuścił mnie do swojego domu. Wyobrażałem sobie to miejsce jako ciemne, oświetlone świecami muzeum artefaktów równie dziwnych jak ich właściciel i miałem nadzieję, że dzięki nim rozszyfruję prawdziwą naturę Malthusiana, zupełnie jakby były wskazówkami w kryminalnej powieści. Niczego takiego nie znalazłem. Dom był jasno oświetlony i gustownie, choć skromnie urządzone.

– Mam nadzieję, że lubisz merlota – powiedział gospodarz, prowadząc mnie do kuchni korytarzem wyłożonym dębowymi panelami.

– Owszem – odpowiedziałem.

– Dobrze wpływa na serce – rzekł i się roześmiał.

Na mijanych ścianach wisiały zdjęcia przedstawiające Malthusiana w towarzystwie różnych osób. Szliśmy szybko, a ja z grzeczności się nie zatrzymywałem, ale miałem wrażenie, że na jednej fotografii zobaczyłem go jako małego chłopca, a na kilku innych pozował razem z wojskowymi rozmaitych rang. Mógłbym też przysiąc, że na jednym ze zdjęć dostrzegłem twarz byłego prezydenta.

Kuchnia była wyłożona starym linoleum w czarno-białą kratę i jasno oświetlona fluorescencyjnymi lampami na suficie. Na stole ustawionym na środku obszernego pomieszczenia czekały szachownica, półtoralitrowa butelka ciemnego wina, dwa eleganckie kryształowe kielichy oraz cienkie srebrne pudełko. Malthusian usiadł przy stole i wskazał mi miejsce

naprzeciwko. Skrupulatnie nalał nam wina, otworzył pudełko, wyjął papierosa, zapalił, zaciągnął się, po czym otworzył partię ruchem skoczka.

– Nie gram za dobrze – powiedziałem, także odpowiadając skoczkiem.

Machnął ręką i strzepnął popiół na podłogę.

– Nie pozwólmy, żeby nam to popsuło zabawę – odrzekł.

Przez jakiś czas graliśmy w milczeniu, po czym zapytałem go o coś, co nie dawało mi spokoju, odkąd wyjawiał mi, czym się zajmował.

– Jakiego rodzaju psychologiem byłeś? Ze szkoły Junga? A może Freuda?

– Z żadnej z nich – odparł. – To zabawa dla dzieci. Ja razilem prądem szczury i sprawiałem, że śliniły się psy.

– Byłeś behawiorystą? – spytałem.

– Przepraszam, że cię zawiodłem. – Roześmiał się.

– Uczę Purytanów tą samą metodą – odparłem, a on jeszcze głośniejsz parsknął śmiechem.

Poluzował nieodłączną krawatkę i przekrzywił okulary, po czym przebił się gońcem przez moją żalostną obronę z pionów.

– Nie mogłem nie zauważyć tamtych zdjęć w korytarzu – powiedziałem.

– Służyłeś w wojsku?

– Proszę, nie obrażaj mnie – odparł. – Pracowałem dla rządu.

– Dla której instytucji?

– Jednej z najbardziej tajnych – odrzekł. – Musiałem, żeby sprowadzić do tego kraju matkę, ojca i siostrę.

– Skąd?

– Z naszej dawnej ojczyzny.

– To znaczy?

– Tamten kraj już nie istnieje. Jak w bajkach, zniknął za sprawą geopolitycznego zaklęcia – wyjaśnił, szachując mnie za pomocą roszady.

– Co z twoją siostrą? – spytałem.

– Przypominała twoją córkę, Lydę. Piękna, błyskotliwa i do tego uzdolniona artystka.

Wkrótce przejął kontrolę nie tylko nad sytuacją na szachownicy, ale także nad naszą rozmową, kierując nią w taki sposób, że opowiedziałem mu o swojej edukacji, małżeństwie, narodzinach córki i naszym domu.

To było łagodne przesłuchanie, a wino wprowadziło mnie w nostalgiczny nastrój. Opowiedziałem mu wszystko, a on najwyraźniej czerpał z tego

olbrzymią przyjemność, kiwając głową, gdy zapewniałem o swojej miłości do żony i śmiałem się z wybryków Lydy, a pamiętałem je wszystkie. Zanim się zorientowałem, rozegraliśmy trzy partie, a ja zalałem się w pestkę. Malthusian sprowadził mnie do drzwi wejściowych.

Nagle wyciągnął skądś pudełko czekoladek.

– To dla damy – powiedział, po czym włożył mi do ręki kolejne, większe pudełko.

Opuściłem zamglony wzrok i zobaczyłem wizerunek Szczura Finka, zepsutego gryzonia o pękatym brzuchu, który pod koniec lat sześćdziesiątych był popularną maskotką miłośników ulicznych wyścigów.

– To model – wyjaśnił. – Pomóż córce go zbudować, na pewno spodoba się jej ten potwór.

Uśmiechnąłem się, rozpoznając postać, której nie widziałem od swoich nastoletnich lat.

– Big Daddy Roth – dodał, po czym wyprowadził mnie za próg i delikatnie zamknął za mną drzwi.

Chociaż zamierzałem rozwikłać zagadkę Malthusiana, nasze spotkanie przyniosło jeszcze więcej pytań. Odwiedziłem go potem dwukrotnie, żeby grać w szachy, i obie te wizyty przebiegły według podobnego scenariusza. Jedyne wydarzenie, które można podciągnąć pod objawienie, nastąpił, kiedy razem z Lydą złożyliśmy i pomalowaliśmy model. Wtedy przypomniałem sobie, że Malthusian powiedział o sobie, że „raził szczury prądem”, i wyobraziłem sobie, jak ślinię się na dźwięk dzwonka.

Tamtego dnia, gdy Lyda przyniosła mi pierwszego wiosennego krokusa, bladofioletowy okaz z pomarańczową obwódką kielicha, Malthusiana zabrała karetka. Bardzo się o niego martwiłem, więc poprosiłem Susan, która pracowała jako pielęgniarka, żeby skorzystała ze swoich doświadczeń w szpitalach i dowiedziała się, gdzie go umieszczono. Susan wydzwaniała przez prawie cały piątkowy wieczór, ale bezskutecznie.

2

Mijały dni i zacząłem podejrzewać, że Malthusian zmarł. Jednakże dokładnie tydzień po tym, jak zabrała go karetka, znalazłem w skrzynce

pocztowej karteczkę z wiadomością: „Szachy wieczorem”.

Czekałem na umówioną godzinę, a gdy Susan już przekazała mi listę rzeczy, o które miałem spytać staruszka, Lyda zaś wręczyła rysunek tańczącego zombie z życzeniami powrotu do zdrowia, ruszyłem w stronę domu na rogu.

Nikt nie zareagował, kiedy zadzwoniłem, więc sam otworzyłem drzwi i zawołałem do środka:

– Jest tam kto?!

– Wejdz – odpowiedział z kuchni.

Przeszedłem znajomym korytarzem i zastałem go siedzącego przed stołem, na którym grywaliśmy. Były tam wino i papierośnica, ale brakowało szachownicy.

– Co się stało? – spytałem, kiedy go zobaczyłem.

Malthusian wyglądał na jeszcze bardziej pomarszczonego i zgarbionego, gdy tak siedział na krześle jak worek ze starymi ubraniami. Jego białe włosy wyraźnie się przerzedziły i przybrały bladożółtą barwę. W dłoniach ścisnął laskę, z której nigdy wcześniej nie korzystał w domu, a w miejsce dziecięcego uśmiechu zawieszono pomiędzy złośliwością a niewinnością pojawił się chory, wymuszony grymas Szczura Finka.

– Nie zagramy? – spytałem, ukrywając troskę.

– Owszem, ale w inną grę – odrzekł i westchnął.

Chciałem ponownie spytać, co się stało, ale nie pozwolił mi dojść do głosu.

– Wypij kieliszek wina, a potem mnie wysłuchaj.

Siedzieliśmy w milczeniu, podczas gdy piłem wino. Wcześniej tego nie zauważyłem, ale opaska na oczach kobiety z kości słoniowej nie zakrywała całego lewego oka, dzięki czemu ta zerkała na mnie, gdy wykonywałem polecenia. Kiedy opróżniłem kieliszek i nalałem sobie nową porcję, Malthusian podniósł wzrok.

– A teraz się skup, wysłuchasz bowiem mojej spowiedzi i ostatniego życzenia umierającego.

Chciałem się sprzeciwić, ale przystawił laskę do ust, żeby mnie uciszyć.

– We wrześniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku uczestniczyłem w konferencji Amerykańskiego Stowarzyszenia Psychologicznego zorganizowanej w Waszyngtonie. Dawał tam wykład pewien profesor z Princeton, niejaki Julian Jaynes. Słyszałeś o nim?

Pokręciłem głową.

– Więc teraz usłyszysz. Jego prezentacja nosiła absurdalny tytuł: „Pochodzenie świadomości jako rozpad dwuizbowego umysłu”. Już on sprawił, że wiele osób z góry uznało Jaynesa za hochsztaplera. Gdy profesor zaczął objaśniać swoją teorię, widownia tylko utwierdziła się w tym poglądzie. Jaynes twierdził, że świadomość, jaką znamy, to bardzo nowa cecha w historii rozwoju ludzkości. Wcześniej ludzie, niczym schizofrenicy, słuchali głosu, który dobiegał z wnętrza ich głów i mówił im, co mają robić. Ludzie żyjący po epoce lodowcowej, trudniący się myślistwem i zbieractwem, potrzebowali odgórnego kierownictwa, dlatego słuchali głosu szanowanego członka plemiennej starszyny, czasem już nieżyjącego. To był ten słynny „głos Boga”. Indywidualne ego w zasadzie nie istniało.

– Chcesz powiedzieć, że kiedy starożytni wspominają o słowie Pana, to wcale nie jest przenośnia?

– Tak, widzę, że rozumiesz – odrzekł z uśmiechem, unosząc kieliszek do ust drżącą dłonią. – Mógłbym ci powiedzieć, że to zjawisko wiąże się z prawą półkulą mózgu, gdzie znajduje się ośrodek mowy, oraz konkretną strukturą zwaną ośrodkiem Wernickego. Gdy pobudzono ją podczas współcześnie prowadzonych badań, osoby uczestniczące w eksperymencie słyszały władcze głosy, które je upominały bądź im rozkazywały. Ale głosy były bardzo niewyraźne. Jaynes uważał, że działo się tak dlatego, że te dźwiękowe halucynacje przenosiły się z prawej do lewej półkuli nie przez ciało modzelowate, czyli pomost pomiędzy półkulami, tylko inną trasą, przez spoidło mózgowe przednie.

– Ledwie nadążam – przyznałem.

Malthusian zignorował moją uwagę i zamknął oczy, kontynuując opowieść, jakby za chwilę wszystko miało się stać oczywiste.

– Chociaż Jaynes podał wiele potencjalnych przyczyn osłabnięcia głosu Boga, takich jak ludobójstwo, naturalne wstrząsy, selekcja rodzicielska czy plastyczność mózgu wymuszająca zmiany, moi koledzy naukowcy i ja uważaliśmy, że głos umilkł za sprawą gwałtownego skurczenia się spoidła mózgowego przedniego do obecnej wielkości około trzech milimetrów. Wierzyliśmy, że ta fizjologiczna zmiana rozbiła grupowy umysł na pojedyncze świadomości. „Ojczy, dlaczego mnie opuściłeś?”. Rozumiesz? To nie wszystko, ale takie są podstawy tej teorii.

– Ocalenie ludzkości zależało od tej zmiany? – spytałem.

– Złożoność cywilizacji wymagała zróżnicowania.
– Ciekawe. – Tylko tyle zdołałem powiedzieć.
– Jak już wspomniałem, bardzo niewiele ludzi brało teorie Jaynesa na poważnie, ale ja do nich należałem. Jego idee były rewolucyjne, ale miały oparcie w nauce. – Wyjął papierosa ze srebrnego pudełka i go zapalił.
– Czy to mądre, biorąc pod uwagę twoje zdrowie? – spytałem, wskazując papierosa.
– Philip Morris mi zezwolił – odpowiedział z uśmiechem.
– Domyślam się, że ta teoria to dopiero początek.
– Słusznie, panie profesorze – wyszeptał. – Jak mógłby napisać Farid Uddin Attar: gdyby historię, którą zamierzam opowiedzieć, spisać igłami w kąciku oka, i tak służyłaby jako lekcja dla rozważnych.
Nalał mi kolejny kieliszek wina.
– Zaczniemy od tego, że jeśli zdradzisz komukolwiek to, o czym ci teraz opowiem, narazisz siebie i swoją rodzinę na ogromne niebezpieczeństwo. Rozumiesz?
Przypomniałem sobie zdjęcia Malthusiana z wojskowymi i jego zapewnienia, że pracował dla tajnej rządowej instytucji. W pokoju zapadła ponura cisza, gdy gospodarz skupił na mnie spojrzenie olbrzymich oczu. Miałem ochotę wyjść, ale powoli pokiwałem głową.
– Uczestniczyłem w tajnym rządowym projekcie o kryptonimie Kelner. Byłaby to zabawna nazwa, gdyby nie ohydna natura działań, które podejmowaliśmy. Jako psychologowie mieliśmy za zadanie stworzyć oddanych zabójców, ludzi pozbawionych woli, którzy zrobiliby wszystko – naprawdę wszystko – co im się rozkaże. Czasami nazywa się to kontrolą umysłu. Ludzie z CLA przez krótki czas uważali, że można w tym celu wykorzystać narkotyk LSD, ale zamiast tworzyć posłuszne roboty, tylko rozszerzali kosmiczną świadomość. Gdy zawiedli, wezwano na pomoc behawiorystów. Moje laboratorium mieściło się w dużym starym wiktoriańskim domu stojącym w lesie. Nikt nie podejrzewał, że w piwnicy odbywają się dziwaczne zimnowojenne eksperymenty. Razem z dwójką współpracowników, opierając się na teorii Jaynesa, wszczepiliśmy naszemu obiektowi świńskie tętnice oraz neurony szympansa, poszerzając i wypełniając spoidło mózgowe przednie, żeby zwiększyć głośność dźwiękowej halucynacji. Za sprawą warunkowania mój głos stał się głosem Boga dla naszego obiektu. Na stałe zagościłem w jego głowie. Wystarczyło

jedno słowo, a mój rozkaz miał pozostać w jego umyśle, dopóki zadanie nie zostanie wykonane.

Oczywiście uznałem, że Malthusian mnie nabiera.

– Wyglądam na naiwnego? – spytałem i roześmiałem się tak głośno, że rozlałem odrobinę wina na stół.

Staruszek nawet się nie uśmiechnął.

– Stworzyliśmy zombie – odrzekł. – Możesz się śmiać, ale powinieneś śmiać się z siebie. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo podatny na sugestie jest ludzki umysł, nawet bez naszych wysiłków. Słowa „posłuszeństwo” i „słuchać” mają ten sam rdzeń w ponad sześciu językach. Za sprawą naszego eksperymentu ten mężczyzna miał robić wszystko, co mu rozkazaliśmy. Rezultat zaskoczył nawet nas. Poleciałem mu w ciągu tygodnia nauczyć się płynnie mówić po francusku. Zrobił to. Kazałem mu zagrać na fortepianie nokturn Szopena po jednokrotnym usłyszeniu go. Także tego dokonał. Poleciałem mu rozwinąć fotograficzną pamięć. Kazałem mu przestać się starzeć. Czasami, dla potrzeb konkretnego zadania, instruowałem go, żeby stał się grubszy, chudszy, a nawet niższy.

– Niemożliwe – odparłem.

– Bzdura – rzekł Malthusian. – Od dawna wiadomo, że odpowiednio potężna myśl może zmienić fizjologiczną strukturę mózgu. Gdybyśmy opublikowali wyniki naszych badań, inni także dowiedzieliby się, że długotrwała, bardzo skupiona myśl jest w stanie przekształcić nie tylko mózg.

Stało się dla mnie oczywiste, że choroba Malthusiana rzuciła mu się na umysł. Zrobiłem poważną minę i udałem, że słucham z mieszanką podziwu i powagi.

– Dlaczego mi to wszystko opowiadasz? – spytałem.

– Właśnie, dlaczego? – odrzekł, po czym w kącikach jego oczu pojawiły się łzy, co zadziwiło mnie jeszcze bardziej niż jego słowa. – Zombie okazał się użyteczny. Nie pytaj, w jaki dokładnie sposób, ale powiedzmy, że jego działania pomogły pogłębić wrogów demokracji. Jednak wraz z końcem Zimnej Wojny nasz projekt rozwiązano. Polecono nam usunąć zombie i spalić laboratorium oraz przekazano pokaźne sumy w gotówce, żebyśmy mogli na nowo podjąć normalne życie, jednocześnie grożąc, że wyjawienie prawdy na temat operacji Kelner skończy się dla nas śmiercią.

– Usunąć zombie? – spytałem.

Pokiwał głową.

– Ja jednak miałem wyrzuty sumienia. Przemawiał do mnie mój własny Bóg. Człowiek, którego wydrążyliśmy, a następnie wypełniliśmy moimi poleceniami, został porwany. Pewnego dnia ludzie w długim czarnym samochodzie zabrali z ulicy zwykłego zdrowego obywatela, który miał żonę i małe dziecko. Ja również, podejmując pracę nad projektem, zobowiązałem się, że już nigdy nie zobaczę swojej rodziny. Zniknąłem, gdy moi rodzice i siostra zostali sprowadzeni do tego kraju. Gdybym próbował się z nimi kontaktować, sprowadziłbym na nich pewną śmierć. Przez lata straszliwie za nimi tęskniłem, zwłaszcza za siostrą, z którą łączyła mnie silna więź, po tym, jak razem przetrwaliśmy koszmar, który zgotowano nam w ojczyźnie. Z tego powodu nie potrafiłem pozbyć się zombie.

– To byłoby morderstwo – powiedziałem i od razu pożałowałem swoich słów.

– Tak czy inaczej skończyłoby się morderstwem – odparł Malthusian. – Albo zabiłbym nasz obiekt, albo oni zabiliby i jego, i nas. Zamiast tego podjąłem ryzyko i podrzuciłem do płonącego budynku trupa, którego od lat przechowywaliśmy na lodzie. Mieliśmy nadzieję, że nikt się nie domyśli, a ciało znalezione w zgliszczach wystarczy, żeby przekonać naszych mocodawców. Nie zapominaj, że mówimy o rządzie. Pracowaliśmy dla nich wystarczająco długo, by wiedzieć, że ich priorytetem jest dyskrecja. – Malthusian umilkł i opuścił głowę na piersi. Przez chwilę myślałem, że zasnął. Kiedy odchrząknąłem, sięgnął po kieliszek z winem, ale się zatrzymał. Tak samo uczynił z papierosnicą. W końcu podniósł na mnie wzrok.

– Umieram – powiedział.

– W tej chwili? – spytałem.

– Niedługo, bardzo niedługo.

– Powiedzieli ci tak w szpitalu?

– Jestem lekarzem. Wiem.

– Chcesz, żebym coś dla ciebie zrobił? Skontaktowałem się z twoją siostrą?
– spytałem.

– Nie, nie wolno ci nikomu o tym wspominać. Ale jest coś, co możesz dla mnie zrobić.

– Zadzwoń po karetkę?

– Chcę, żebyś zajął się zombie, dopóki transformacja nie dobiegnie

końca.

– O czym ty mówisz? – spytałem z uśmiechem.

– On jest ze mną w domu. Towarzyszy mi od chwili, gdy spaliliśmy laboratorium. – Malthusian upuścił laskę na podłogę, po czym pochylił się nad stołem i wyciągnął do mnie lewą rękę.

Odsunąłem krzesło i wstałem od stołu, żeby uniknąć jego uchwytu.

– Pracuję z nim i staram się odwrócić skutki eksperymentu. Zmiany już się rozpoczęły, ale ich dopełnienie zajmie dłużej niż ja pożyję. Musisz mi pomóc przywrócić tego biedaka na łono rodziny, żeby mógł się nacieszyć czasem, który mu pozostał. Zaczyna sobie przypominać dawne życie, a proces starzenia powoli przywraca mu właściwy wiek. Jeśli umrę, po prostu przygarnij go, dopóki nie przypomni sobie, skąd pochodzi. To nie potrwa długo.

– Chyba powinieneś odpocząć, mówisz bez sensu.

Staruszek powoli wstał.

– Zaczekaj! – wrzasnął, podnosząc rękę z wyprostowanym jednym palcem. – Przyprowadzę go.

Nic nie odpowiedziałem, tylko patrzyłem, jak Malthusian ostrożnie schyla się po laskę. Potem chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju, coś mamrocząc pod nosem. Kiedy usłyszałem, że wspina się po schodach na piętro, wyszedłem na palcach z kuchni, dotarłem korytarzem do drzwi, po czym puściłem się biegiem po ulicy, jakbym miał dziesięć lat.

Kiedy już się położyłem, wcześniej zamknąwszy wszystkie drzwi i okna, obudziłem Susan i powtórzyłem jej wszystko, co powiedział Malthusian. Gdy dotarłem do części dotyczącej zombie, zaczęła się śmiać.

– Chce, żebyś zaopiekował się jego zombie? – spytała.

– To nie jest zabawne – odparłem. – On pracował dla jakiejś tajnej instytucji rządowej.

– Pewnie dla tej, dla której pracują wszyscy wariaci. Zdecydowanie masz za dużo wolnego czasu.

– Brzmiał bardzo przekonująco – odrzekłem, również się uśmiechając.

– A gdybym ci powiedziała, że w podziemiach szpitala składają Frankensteina? Jeśli on nie jest szaleńcem, to zapewne robi sobie z ciebie żarty. Wygląda na człowieka skłonnego do złośliwości. Wystarczy popatrzeć na tę krawatkę.

Nie byłem całkowicie przekonany, ale Susan uspokoiła mnie na tyle, że

zdołałem zasnąć. We śnie nawiedzały mnie wytrzeszczone oczy i fortepianowa muzyka.

Zmusiłem się do uwierzenia, że Susan ma rację, a ja powinienem zignorować Malthusiana i zabrać się do pracy nad książką. Zbliżało się lato, a jesienią musiałem wrócić do nauczania. Byłoby upokarzające, gdybym we wrześniu pojawił się na uczelni z pustymi rękami. Podjąłem pracę nad maszynopisem w tym samym miejscu, w którym przerwałem ją przed kilkoma miesiącami – w rozdziale dotyczącym „Prawdziwego opisu wypadku z panem Waldemarem”. Powrót do pracy był kotwicą, która zabezpieczała mnie przed falą dziwactw Malthusiana, ale ta opowieść wybitnego amerykańskiego żartownisia, który ustępuje tylko P.T. Barnumowi, wyjątkowo kojarzyła się z tematem zombie.

Pewnego popołudnia, gdy wybierałem się do lokalnej księgarni, wyjrzałem przez okno i zobaczyłem znajomego staruszka powoli sunącego chodnikiem. Nie kontaktowałem się z Malthusianem od czasu, gdy dwa tygodnie wcześniej uciekłem przed jego atakiem szaleństwa. Mogłem bez trudu wyjść z salonu i ukryć się w kuchni, ale zamiast tego szybko schyliłem się pod parapet. Gdy tak siedziałem przykucnięty, dziwiłem się, dlaczego mój sąsiad wzbudza we mnie taki strach.

Minęło pięć minut, a gdy uznałem, że Malthusian z pewnością już dotarł do lasu na końcu ulicy, wysunąłem głowę ponad parapet. Staruszek nadal stał przygarbiony przy krawężniku, wpatrując się we mnie jak jakiś ponury i upiorny ptak z dawnych czasów. Westchnąłem zaskoczony, a on, zupełnie jakby mnie usłyszał, uniósł laskę i postukał jej końcem w rondo tyrolskiego kapelusza. Potem odwrócił się i odszedł.

Ta scena przyprawiła mnie o panikę. Nie poszedłem do księgarni, a kiedy Lyda skończyła lekcje, pojechałem po nią, nie chcąc, żeby wracała autobusem, który wysadziłby ją na rogu ulicy. Jednakże mój strach nie trwał długo, ponieważ wieczorem przy kolacji, gdy miałem opowiedzieć o wszystkim Susan, usłyszeliśmy karetkę.

To przykre, ale śmierć Malthusiana przyniosła mi ulgę. Razem z Lydą patrzyliśmy z oddali, jak sanitariusze wywożą go na noszach z kółkami. Susan, która nie bała się niczego, a najmniej śmierci, poszła do jego domu i porozmawiała z załogą karetki. Wkrótce zobaczyliśmy, że wraca.

- Rozległy zawał – powiedziała, kręcąc głową.
- Szkoda – odrzekłem.

Lyda przytuliła się do mojej nogi.

Następnego ranka, gdy snułem się po domu, szukając inspiracji do dalszej pracy nad Poem, zauważyłem, że Lyda umieściła na szyi Szczura Finka fioletowy jedwabny kwiat zabrany z dekoracji, którą Susan przystrajała stół przed kolacją. Uśmiechnąłem się, a kiedy chciałem dotknąć gładkiej iluzji kwiatu, przeszkodziło mi pukanie do drzwi. Wszedłem z pokoju córki i zszedłem na dół. Gdy otworzyłem drzwi, nikogo za nimi nie zastałem. Nagle znów usłyszałem pukanie. Dopiero po kilku chwilach zrozumiałem, że dźwięk rozlega się na tyłach domu.

– Kto może pukać do tylnych drzwi? – spytałem sam siebie, przechodząc przez kuchnię.

3

Miał owalne oczy jak bohaterowie japońskich kreskówek, szkliste i pełne nicości. Można było z nich wyczytać wszystko, podobnie jak z bieli wieloryba Melville'a. Gdy razem z Lydą patrzyliśmy, jak wbija wzrok w ścianę, wyświetlałem w tych zwierciadłach własne pragnienia i frustracje, z determinacją, na jaką nie byłoby stać nawet Ahaba.

– Wielkanocna wydmuszka – powiedziała Lyda, przerywając milczenie. Miała rację. Była w nim niezwykła pustka. Miał wymizerowaną twarz i chude kończyny pokryte węzłami mięśni. Wyglądał jak ktoś, kto kiedyś mógł pracować jako mechanik samochodowy albo kurier UPS. Zgadywałem, że dobiega czterdziestki, ale pamiętałem, że według słów Malthusiana jego młodość była skutkiem rozkazu. Zastanawiałem się, jak bardzo się postarzeje, gdy czar pryśnie. Być może, tak samo jak Waldemar w opowieści Poego, zmieni się w płynną odrażającą masę.

Siedzieliśmy razem z zombie przez ponad godzinę, dopóki Susan nie wróciła z pracy. Lyda wstała z krzesła i pobiega do salonu, żeby powiedzieć matce, że mamy gości.

– Zgadnij, kto to?! – zawołała, po czym przyprowadziła Susan za rękę do kuchni.

Kiedy go zobaczyła, najpierw powiedziała „Nie”. To nie był pisk bohaterki horroru zaatakowanej przez potwora, tylko stanowcze odrzucenie

nieudanych wieczornych zalotów, albo odpowiedź na prośbę Lydy, by mogła posiedzieć do jedenastej w środku tygodnia.

– Podejźmy do tego rozsądnie – odrzekłem. – Co zrobimy?

– Zadzwonimy na policję – odparła Susan.

– Oszalałaś? – zachnąłem się. – To, że on tutaj jest, dowodzi prawdziwości słów Malthusiana. Narazilibyśmy się na niebezpieczeństwo.

– Idź się pobawić – poleciła Susan Lydzie.

– Zombie też może się pobawić?

– Zombie musi zostać tutaj – odrzekłem i wskazałem drzwi kuchni.

Kiedy Lyda wyszła, Susan usiadła obok mnie i jeszcze przez chwilę razem mu się przyglądaliśmy. Miał bardzo płytki oddech i, nie licząc delikatnego falowania klatki piersiowej, siedział całkowicie nieruchomo. Jego obecność napełniała nas spokojem.

– To szaleństwo – powiedziała. – Co z nim zrobimy?

– Według słów Malthusiana, wkrótce przypomni sobie, skąd pochodzi, a wtedy powinniśmy zabrać go do jego domu.

– Nie możemy po prostu gdzieś go zostawić? – spytała Susan. – Na przykład na parkingu przed centrum handlowym.

– Nie zrobiłabyś tego z kotem, a chcesz porzucić człowieka?

Pokręciła głową z rozdrażnieniem.

– Co on właściwie robi? Nie wydaje się, żeby miał sobie cokolwiek przypomnieć.

Odwróciłem się w stronę zombie.

– Jak masz na imię?

Nie poruszył się. Susan pstryknęła mu palcami przed nosem.

– Hej, panie Zombie, jak mamy cię nazywać?

– Zaczekaj – przerwałem jej. – On nie odpowiada na pytania, tylko wykonuje polecenia.

– Powiedz mi, jak masz na imię – rozkazała Susan.

Zombie lekko zwrócił głowę w jej stronę i powoli poruszył ustami.

– Tom – powiedział, a słowo wypadło mu z ust z głuchym odgłosem, jak stara moneta.

Susan stłumiła dłonią chichot.

– Tommy zombie.

– Żałosne – odparłem, ale sam nie mogłem powstrzymać śmiechu, mimo że po świecie krążyły tajemnicze byty, które właśnie mogły planować naszą

zagładę.

Nigdy nie mieliśmy tak mało wymagającego gościa. Tom był jak miotła, która stoi w schowku w kuchni, dopóki nie jest potrzebna. Szybko przyzwyczailiśmy się do wydawania mu poleceń. Owszem, początkowo zabawialiśmy się jak hipnotyzer podczas seansu – „Szczekaj jak pies”, „Udawaj kurczaka”. Wiem, że może się to wydawać okrutne, ale robiliśmy to tylko dlatego, że mogliśmy, podobnie jak rząd, który za sprawą kaprysu doprowadził tego biedaka do takiego stanu. Lyda położyła kres tym błazeństwom. Pouczyła nas, że powinniśmy traktować go z szacunkiem. Jej słowa nas zawstydziły, ale zarazem ucieszyliśmy się, że wychowaliśmy taką wrażliwą osobę. Okazało się, że nasza córka bardzo polubiła Toma. Był dla niej jak szczeniak, którego nigdy nie chcieliśmy jej kupić.

Bez trudu pamiętaliśmy, żeby kazać mu dwa razy dziennie chodzić do toalety, jeść albo się kąpać. Największy kłopot sprawiało nam utrzymanie jego obecności w tajemnicy. Obiecaliśmy sobie nawzajem, że nikomu nic nie powiemy. Susan i ja obawialiśmy się, że Lyda, zafascynowana nowym przyjacielem, może nie zachować dyskrecji w szkole. Tylko pomyślcie o tym, jaką sławę mogłaby zdobyć trzecioklasistka, gdyby wyszło na jaw, że ma w domu własnego zombie. Jednakże w tych trudnych czasach to ona okazała się najbardziej praktyczna, troskliwa i przenikliwa z nas wszystkich.

Dziwaczność tej całej sytuacji dotarła do mnie dopiero następnej nocy, gdy obudziłem się z koszmaru, czując suchość w ustach. Na wpół przytomny wstałem z łóżka i poszedłem do kuchni po szklankę wody. Następnie usiadłem na kanapie w salonie. Z jakiegoś powodu myślałem o *Zagładzie domu Usherów* Poego i o tym, że D.H. Lawrence nazwał ten tekst historią o wampiryzmie. Podążyłem za nitką rozumowania, która wiła się przez tę dziurawą opowieść, prowadząc do obrazu dotychczas zwiewnej i letargicznej Madeline wyskakującej z grobowca, by rzucić się na starego Roderyka. Potem spojrzałem w lewo i aż podskoczyłem, gdy zorientowałem się, że zombie przez cały czas siedział tuż obok.

Tom potrafił parzyć wyborną kawę. Odkurzał jak doświadczona pokojówka. Susan pokazała mu, jak należy ścielić łóżka dokładnie jak w szpitalu. Kiedy nie był niczym zajęty, po prostu siedział na kanapie w salonie i wpatrywał się w tarczę stojącego zegara. Wyraźnie rozumiał, czym jest upływ czasu, ponieważ można go było nastawiać jak zegar w magnetowidzie. Gdy wychodziliśmy, wystarczyło powiedzieć: „O trzynastej przyrządź i zjedz

kanapkę z mortadela. O piętnastej idź do toalety”.

Podczas drugiego tygodnia pobytu Toma w naszym domu wpadłem na pomysł, żeby zacząć wydawać bardziej wymagające polecenia. Przypomniałem sobie słowa Malthusiana, który twierdził, że zombie potrafił zagrać utwór Szopena, który usłyszał pierwszy raz w życiu. Zrozumiałem, że rozkazy, które mu wydajemy, to drobiazgi. Dlatego podniosłem stawkę i poleciłem Tomowi, żeby przepisał na komputerze moje odręczne notatki do książki o Poem. Bezbłędnie skopiował wszystko, co zapisałem na papierze. Podniecony tym nowym przełomem, kazałem mu przeczytać podręcznik do gramatyki i poprawić mój tekst. *Voilà!*

Szybko sobie uświadomiliśmy, że będziemy musieli kupić Tomowi nowe ubrania, ponieważ codziennie chodził w tej samej szarej koszulce z krótkim rękawem i spodniach. Nie mieliśmy wątpliwości, że będzie je nosił, póki nie zmienia się w strzępy. Pewnego wieczoru, wracając z pracy, Susan wstąpiła do sklepu i kupiła mu kilka rzeczy. Następnego dnia, w ramach eksperymentu kazaliśmy mu się ubrać, kładąc przed nim stertę strojów. Wyszedł z sypialni w luźnych spodniach z khaki i czarnym T-shircie, na którym białe litery układały się w hasło „Jestem z głupkiem”. Wszystkich nas to rozbawiło.

– Śmieję się, Tom – powiedziała Lyda.

Zombie szeroko otworzył usta, a z głębi jego krtani dobiegło piskliwe „HA... HA”.

Przerażająca natura tej sceny sprawiła, że uśmiech zniknął mi z twarzy i zacząłem się zastanawiać nad jego wyborem koszulki. Wtedy zauważyłem na podbródku i zapadniętych policzkach Toma charakterystyczny popołudniowy zarost. „Mój Boże, proces starzenia się rozpoczął”, pomyślałem, nie mówiąc nic Susan ani Lydzie.

Kiedy Tom nie zajmował się niczym w domu, Lyda zazwyczaj angażowała go w jakąś grę. Rzucali do siebie piłkę, grali w karty, bawili się lalkami Barbie. Podczas gier opartych na współzawodnictwie Lyda mówiła Tomowi, kiedy powinien wygrać, a on to robił. Jednak przeważnie zajmowali się rysowaniem. Siedzieli przy stole w kuchni, każde z ołówkiem w dłoni oraz kilkoma kartkami, i tworzyli wizerunki potworów. Lyda musiała mu mówić, co ma rysować.

– A teraz narysuj wilkołaka w sukience i kapeluszu – instruowała. – Panią Wilkołakową.

Zombie świetnie rysował. Kiedy skończył, leżał przed nim oszłamiająco dobrze nakreślony i idealnie cieniowany portret Lona Chaneya w damskim przebraniu, prawdziwej włochatej Minnie Pearl. Susan przypięła ten rysunek magnesami do lodówki.

– Ukłoń się – poleciła Lyda, a Tom elegancko zgiął się w pasie pod kątem równo czterdziestu pięciu stopni.

Moja żona i córka nie zauważyły, że Tom się zmienia, ale ja owszem. W ciągu zaledwie kilku dni przerzedziły mu się włosy, a w kącikach oczu pojawiły się kurze łapki. Ta przemiana mnie zaszokowała. Zastanawiałem się, w jaki sposób Malthusian usunął ślady operacji, której poddano obiekt. Być może za sprawą serii poleceń albo surowego treningu behawiorystycznego. Nie podobała mi się wizja staruszka grzebiącego Tomowi w głowie w swojej kuchni w czarno-białą kratę, w świetle fluorescencyjnych lamp. Dziwiło mnie także, w jaki sposób profesor przekazał kontrolę nad zombie mnie i mojej rodzinie. Zacząłem uważniej obserwować naszego gościa, wypatrując u niego oznak powrotu pamięci.

4

Pokazałem rysunek Lydzie i zapytałem:

– Czyje to dzieło?

Wzięła go ode mnie i się uśmiechnęła.

– Toma – odpowiedziała. – Wczoraj poprosiłam go, żeby narysował to, co chce.

– Całkiem udany, nie sądzisz?

– Niezły – odrzekła, po czym odwróciła się z powrotem w stronę telewizora.

Portret, który trzymałem w dłoni, przedstawiał młodą kobietę o długich ciemnych włosach. Nie była potworem. Narysowano ją z równą dbałością o szczegóły jak Panią Wilkołakową, ale ta dziewczyna była piękna.

Zwłaszcza zachwyciły mnie jej oczy, jaśniejące i pełne ciepła. Miała rozbawioną minę – bardzo subtelny uśmiech i przesadnie uniesione brwi. Poszedłem do kuchni i zawołałem Toma, który siedział w salonie.

Kazałem mu usiąść na miejscu, na którym zawsze rysował, po czym

wręczyłem mu obrazek.

– Powiedz mi, kto to jest – poleciłem.

Przez chwilę wpatrywał się w portret, a potem to się stało. Ulotny grymas bólu przemknął po jego twarzy. Lekko zadrżała mu dłoń.

– Musisz mi powiedzieć – drążyłem.

– Marta – odparł i chociaż było to tylko słowo, mógłbym przysiąc, że kryły się za nim prawdziwe emocje.

– Musisz mi powiedzieć, czy to jest twoja żona – dodałem.

Powoli uniósł lewą dłoń do ust, jak robot zaprogramowany do odtwarzania ludzkiego lęku.

– Powiedz – nalegałem.

– Moja ukochana – wyszeptał zza palców.

To była idiotyczna reakcja, ale zaklaskałem z radości. Tom opuścił dłoń i wrócił do bezrozumnego stanu, zupełnie jakby moje gwałtowne zachowanie uszkodziło jego umysł.

Usiadłem i uważnie mu się przyjrzałem. Zaczął siwieć na skroniach i miał wyraźnie zauważalny zarost. Zmarszczki, które zauważyłem kilka dni wcześniej, pogłębiły się, a skóra wzdłuż linii podbródka stała się bardziej obwisła. Jego obojętne oblicze znaczyła niewyraźna aura znużenia. Choć to niemożliwe, wydawało mi się, że zmałał o jeden albo dwa centymetry.

– Moja ukochana – powiedziałem. Te słowa były najbardziej ekscytującym strzępem człowieczeństwa, jaki dotychczas u niego dostrzegłem, nie ze względu na swoją wagę, ale dlatego, że Tom po raz pierwszy nie wykonał mojego polecenia i nie udzielił zdecydowanej odpowiedzi na pytanie.

Na razie zostawiłem go w spokoju, widząc, jak go zasmucił powrót wspomnień, ale później, kiedy Susan przyszła z pracy, posprzątałyśmy ze stołu kuchennego po kolacji i spróbowaliśmy kontynuować eksperyment. Wciągnęliśmy do spisku Lydę, skoro to przy niej Tom narysował portret Marty.

– Powiedz mu, żeby narysował swój dom – szepnąłem do córki. Pokiwała głową, a ja i Susan wyszliśmy z kuchni, żeby poczekać w salonie.

– Fatalnie wygląda – zauważyła Susan.

– Czar powoli przestaje działać – odparłem. – Staje się tym, kim powinien być.

– Umysł człowieka jest przerażający.

– Jak nawiedzony pałac – odpowiedziałem.

Dwadzieścia minut później Lyda przysłała do nas z uśmiechem, niosąc obrazek.

– Popatrzcie, co narysował – odezwała się ze śmiechem.

Stworzył autoportret. Pod rysunkiem przedstawiającym jego całą sylwetkę nabazgrał słowa „Tommy Zombie”.

– Cóż, nie do końca tak to sobie wyobrażałem, ale to bardzo ciekawe – powiedziałem, wskazując podpis.

– Poczucie humoru? – zagadnęła Susan.

– Nie – odrzekła Lyda. – Jest smutny.

– Może nie powinniśmy na niego naciskać – stwierdziłem.

– Zaczekaj – powiedziała Susan, nagle się prostując. – Powiedz mu, żeby narysował swój dom rodzinny.

Lyda pokiwała głową i wróciła do kuchni.

Minęła godzina, a Susan i ja czekaliśmy w milczeniu na wynik. Słyszeliśmy, jak Lyda mówi do Toma. Opowiadała mu o swoim koledze z klasy, który zawsze obgryza skórki przy paznokciach.

– Kiedy pani Brown spytała Harry’ego, dlaczego to robi, wiesz, co odpowiedział?

Przez chwilę panowała cisza, po czym usłyszeliśmy głąchą, beznamiętną odpowiedź.

– Co?

Popatrzyliśmy na siebie z Susan.

– Harry wyjaśnił, że gryzie palce dlatego, że dzięki temu jego ojciec, który jest bardzo stary, nie umrze.

Minęło kilka minut, po czym rozległ się niezwykle nieprzyjemny dźwięk, jak jęk rodem z koszmaru. Zerwaliśmy się z kanapy i pobiegliśmy do kuchni. Lyda siedziała na swoim miejscu, wpatrując się wytrzeszczonymi oczami w Toma, który trzymał ołówek w drżącej dłoni i pisał z takim zacięciem, jakby chciał wyciąć inicjały na korze drzewa. Pot wystąpił mu na czoło, a w oczach miał łzy. Stałem za nim i popatrzyłem mu przez ramię. Zobaczyłem rysunek wiejskiego domu ze starą wiatą na samochód po lewej stronie. W oknie dostrzegłem sylwetkę czarnego kota oraz twarz kobiety. Tom wypisywał pod rysunkiem jakieś litery i cyfry.

– Griswold Place dwadzieścia cztery – przeczytałem na głos. Kiedy skończył i z powrotem opadł na krzesło, zobaczyłem nazwę miasteczka. –

Falls Park.

– To tylko godzina jazdy na północ – zauważyła Susan.

Poklepałem Toma po plecach.

– Wracasz do domu – powiedziałem mu, ale on już ponownie stracił świadomość.

Następnego ranka wstałem przed świtem i kazałem Tomowi pójść korytarzem do pokoju gościnnego i tam się przebrać. Zabrał się do tego bez entuzjazmu, gdyż gwałtownie postępujący proces starzenia sprawił, że zaczął powłóczyć nogami i lekko się przygarbił. Dosłownie z dnia na dzień jego włosy straciły kolor, a ciało stało się zastraszająco kruche. Kiedy się ubierał, pocałowałem Susan na do widzenia i powiedziałem, że go zabieram, tak jak zaplanowaliśmy.

– Powodzenia – odrzekła.

– Chcesz się z nim zobaczyć? – spytałem.

– Nie, kładę się z powrotem spać, żebym po obudzeniu mogła to wszystko uznać za zły sen.

– Mam nadzieję, że dotrzemy na miejsce, zanim wykituje – odparłem. – Dzisiaj wygląda wyjątkowo staro.

Umieściłem Toma na tylnym siedzeniu samochodu i kazałem mu zapiąć pasy. Potem sam wsiadłem i ruszyliśmy. Było wciąż ciemno, gdy skręciłem w drogę wylotową z miasta. Oczywiście podejmowałem duże ryzyko, licząc na to, że Tom wciąż zna kogoś, kto mieszka pod zapisanym adresem. Od jego porwania minęło kilkadziesiąt lat, ale mało mnie to obchodziło. Może to nie najlepiej o mnie świadczy, ale w końcu prawnik w *Kopiście Bartlebym* Melville'a też ostatecznie porzucił pisarza. Któż inny zrobiłby tak wiele jak my? Do licha z tajnymi instytucjami, to się musiało skończyć.

– Wracasz do domu – rzuciłem przez ramię.

– Do domu, tak – odrzekł, a ja uznałem to za dobry znak.

Zerknąłem we wsteczne lusterko i zobaczyłem tylko czubek jego głowy. Wyglądało na to, że jeszcze bardziej się skurczył. Chcąc przygotować się na najgorszy scenariusz, zacząłem się zastanawiać, ile będzie kosztowało usunięcie z tylnego siedzenia plamy po ohydnej ciekłej masie.

Mniej więcej w połowie drogi zaczął wydawać dziwne odgłosy – kasłać i cicho się krztusić. Po chwili dźwięki te ustąpiły mamrotaniu, które trwało przez wiele mil. Nie potrafiłem zrozumieć jego słów i w końcu włączyłem radio, żeby go zagłuszyć.

Nawet dysponując mapą, adresem i rysunkiem, potrzebowiałem godziny i czterdziestu pięciu minut, żeby znaleźć właściwy dom. Słońce właśnie zaczynało pojawiać się na horyzoncie, gdy zatrzymałem się przed Griswold Place numer dwadzieścia cztery. Zaskoczyło mnie, jak dokładny okazał się obrazek.

– Idź i zapukaj do tamtych drzwi – poleciłem, wskazując palcem.

Chciałem wysiąść z samochodu i mu pomóc, ale zanim zdążyłem odpiąć pas, usłyszałem, jak tylne drzwi otwierają się i zamykają. Obejrzałem się i zobaczyłem postać oddalającą się od samochodu. Niewątpliwie był teraz starcem, uginającym się pod ciężarem lat, które podczas naszej krótkiej podróży dogoniły go i wyprzedziły. Miałem nadzieję, że jego metamorfoza już się zakończyła.

Ogarnęła mnie potężna fala smutku i nie mogłem pozwolić mu odejść bez pożegnania. Przyciskiem odsunąłem szybę po jego stronie.

– Powodzenia! – zawołałem.

Zatrzymał się i powoli odwrócił w moją stronę, a wtedy domyśliłem się, że transformacja rzeczywiście dobiegła końca. Jego włosy całkowicie zbielały, twarz pokryła się siecią zmarszczek. To był Malthusian. Stał i wpatrywał się we mnie, a jego oczy wcale nie były mniejsze, chociaż nie miał na nosie okularów.

Zadrzałem z gniewu w obliczu tej zdrady.

– Ty draniu! – wrzasnąłem.

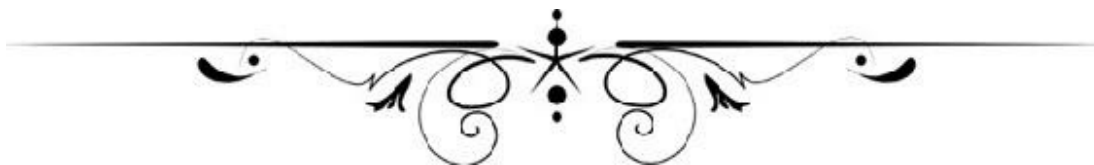
– Nie pozwólmy, żeby to nam popsuło zabawę – odpowiedział, a potem odwrócił się i wszedł po schodkach.

Byłem tak oszołomiony, że nie mogłem się ruszyć. Zapukał do drzwi. Po kilku chwilach otworzyła mu kobieta równie stara jak on. Wydała z siebie krótki okrzyk, po czym zarzuciła mu ręce na szyję.

– Wróciłeś – powiedziała, po czym zaprosiła go do domu i zatrzasnęła drzwi.

– Marta Malthusian, siostra – powiedziałem sam do siebie, po czym uderzyłem dłońmi w kierownicę.

Nie wiem, jak długo tam siedziałem, wbijając wzrok w przestrzeń, próbując pojąć zagmatwane oszustwo i miłość szaleńca, który zmienił zombie w zombie samego siebie. W końcu wrzuciłem bieg, stałem ślinę z brody i ruszyłem w podróż powrotną do domu.



Pochodzenie świadomości jako rozpad dwuizbowego umysłu Juliana Jamesa to fascynująca książka. To jedna z tych lektur, podobnie jak *Holograficzny Wszechświat* Michaela Talbota, która wydaje się szalona, ale może zawierać wiarygodne wytłumaczenie tego, dlaczego świat wygląda tak, a nie inaczej. Jako pisarz uwielbiam takie książki, gdyż zapewniają pokarm dla wyobraźni.

Poza tym nie ma to jak dobry zombie, żeby ożywić opowieść. Ostateczny sztywniak.

To opowiadanie poniekąd jest także hołdem dla Poego; myślę, że spodobałaby mu się moja fabuła. Specjalnie dla wszystkich, którzy podziwiają tego ukochanego przez Amerykanów wizjonera, konsumenta laudanum, w tekście roi się od mniej lub bardziej subtelnych odwołań do jego życia i twórczości.

Serdecznie przepraszam pana Jaynesa.

W DRODZE DO NOWEGO EGIPTU

Pewnego dnia, kiedy wracałem samochodem z pracy do domu, zobaczyłem go na poboczu. Początkowo się wystraszyłem, ale udało mi się nad sobą zapanować i wcisnąć hamulec. Na jego twarzy malowało się cierpienie połączone z uniesieniem. Kciuk, który wystawił pod dziwnym kątem, był pokrzywiony i miał długi paznokieć. Słońce zachodziło i jego czerwone promienie tańczyły wokół autostopowicza. Zatrzymałem się i pochyliłem, żeby otworzyć drzwi.

– Ty jesteś Jezus, prawda? – spytałem.

– Ta – odrzekł i podniósł dłonie, pokazując stygmaty.

– Wskakuj.

– Dzięki, człowieku – odpowiedział, po czym podkasał szatę i usiadł na przednim siedzeniu.

Kiedy wróciłem na szosę, wyjął paczkę cameli i granatową zapalniczkę bica.

– Nie masz nic przeciwko? – spytał, chociaż już miał papierosa w ustach i zbliżał do niego płomień.

– Śmiało – odrzekłem.

– Dokąd jedziesz?

– Do domu, chyba że masz wobec mnie inne plany – odparłem z wymuszonym śmiechem.

– Spoko – odpowiedział.

Po chwili milczenia Chrystus kilka razy głęboko się zaciągnął i wydmuchnął dym przez uchylone okno.

– A ty dokąd się wybierasz? – spytałem.

– No wiesz, po prostu chciałem się kawałek przejechać.

Zerknąłem na niego, kiedy zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle.

Przez tę cierniową koronę skóra musiała go swędzieć jak cholera. Pokręciłem głową.

– Zaczekaj, aż opowiem o tym żonie.

– Jest religijna? – spytał.

– Nieszczególnie, ale i tak ją to ruszy.

Uśmiechnął się i strzepnął popiół na dłoń.

Przez jakiś czas jechaliśmy w słabnącym świetle, mijając pola pełne dyń i wyschniętych łodyg kukurydzy. Kilka minut później zapadł zmrok, a ja włączyłem reflektory. Nagle tuż przed samochodem pojawił się biegnący opos; zobaczyłem go w ostatniej chwili. Bam, bam, przejechaliśmy go w ciągu mikrosekundy. Spojrzałem na Chrystusa.

Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Co począć?”.

– A Niebo? – spytałem, gdy wjechaliśmy do doliny, w której drzewa rosnące po obu stronach drogi łączyły się ponad nią, tworząc liściasty baldachim.

– Anioły, błękitne niebo, wszyscy krewni. Także sławni ludzie. Prawie wszyscy tam są. Czasami robi się nieco nerwowo i ciasno.

– Powiedziałeś „prawie”. Kogo tam brakuje?

– No wiesz, tych pozostałych.

Przejechaliśmy wzdłuż hodowli koni i jałowego pola, aż w końcu Chrystus kazał mi się zatrzymać przy McDonalddie i zamówić dużego cheeseburgera oraz czekoladowy koktajl. Wydałem na jedzenie ostatnie dwa dolary.

– Wynagrodzę ci w łaskach – obiecał.

– Nie ma sprawy, ja stawiam – odparłem.

Łapczywie pochłoniął cheeseburgera jak przystało na Syna Człowieczego.

– Co widziałeś podczas swojej podróży? – spytałem.

– Wszystko – odrzekł, pijąc koktajl przez słomkę. – Ludzkie dramaty.

– Zatrzymujesz się czasami?

– Zdarza się. Staram się wypatrywać hoteli Howarda Johnsona.

Przez chwilę milczeliśmy.

– Mógłbyś trochę przyspieszyć, o ósmej muszę być w Nowym Egipcie.

– Jasne – odrzekłem i dodałem gazu. – Jesteś z kimś umówiony?

– Widuję się z pewną kobietą od dwóch lat. Od czasu do czasu ją odwiedzam, posuwam i znikam przed świtem.

– Pewnie jest wyjątkowa.

– O tak – odrzekł, wyjmując spłaszczony portfel. – To ona.

Pokazał mi stare zdjęcie czterdziestopięcioletniej byłej seksbomby w cętkowanym bikini.

– Niezła – stwierdziłem.

– Niezła to mało powiedziane – odparł, puszczając oko.

– Co robi? – spytałem.

– Trochę tego i odrobinę tamtego.

– Nie, chodziło mi o to, gdzie pracuje.

– W zakładzie pogrzebowym. Zasztywnia usta i powieki. Mieszka w niewielkim domku w centrum miasteczka. Kiedy do niej przychodzę, zazwyczaj leży w łóżku. Wychodzę z szafy, wcześniej zrzuciwszy szatę, po czym wślizguję się pod pościel. Przez kilka godzin spożywamy owoce z drzewa poznania dobra i zła, a potem leżymy i palimy.

– Wie, kim jesteś?

– Mam nadzieję, że już się domyśliła.

– W końcu pójdzie z tą historią do brukowców – ostrzegłem.

– Chrzanić to, już poszła. Ostatnio pisali o nas w tamtej gazecie z Wielką Stopą na okładce i historią kobiety, która zamieniła się w kamień.

– Nie słyszałem, ale okładkę pamiętam.

Nagle Chrystus się wyprostował i wskazał coś za przednią szybą.

– Czeka, czeka, zjedź na pobocze, jakbyś chciał zabrać tamtego faceta.

Dopiero kiedy to powiedział, zauważyłem mroczną postać stojącą obok szosy. Widziałem, że to mężczyzna i że próbuje złapać okazję. Minąłem go, po czym zatrzymałem się na poboczu. Słyszeliśmy, jak biegnie w stronę auta.

– Dobra, gazu – polecił Chrystus.

Ruszyłem z piskiem opon, pozostawiając nieznanego w chmurze pyłu.

– Uwielbiam to – rzekł Zbawiciel.

Po kilku minutach usłyszałem ostry głos dobiegający z tylnego siedzenia.

– Pojeby.

Zerknąłem we wsteczne lusterko i zobaczyłem Diabła – z rogami, czerwoną skórą, tandetnymi wąsikami i bródką. Gdy na niego patrzyłem, szeroko się uśmiechnął.

Jezus sięgnął do tyłu i podał mu rękę.

– Co to za sztywniak za kółkiem? – spytał Diabeł.

– Ten grubas? – spytał Chrystus i obaj zanieśli się śmiechem. – Jest w porządku.

– Miło cię poznać – rzekł Diabeł.

Uścisnąłem mu dłoń, która przypominała gałąź drzewa obdarzoną chwytem.

– Mam na imię Jeff – powiedziałem.

– Ja jestem legion – syknął.

Potem wsunął głowę w lukę między naszymi siedzeniami i beknął, wypuszczając z ust niewielki płomień. Chrystus zgiął się w pół, chichocząc.

– Zabrałem torebkę Czerwonej Kartaginy, masz jakieś bibułki? – spytał Diabeł, kładąc Chrystusowi dłoń na ramieniu.

– A czy papież sra w lesie? – odparł Syn Boży.

Diabeł wziął bibułki i zaczął robić skręta na tylnym siedzeniu.

– Jeff, próbowałeś kiedyś tego gówna?

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– To towar z dawnych czasów, człowieku, zobaczysz po nim Boga.

– A skoro o tym mowa – przerwał mu Chrystus – co się stało z tamtym gościem w Detroit?

– Zabrałem go – odrzekł Diabeł. – Masowy morderca, cuchnął złem. Powiesił się w celi. Specjalnie zapomnieli mu zabrać paska.

– Przecież ci mówiłem, że go chcę – odparł Chrystus.

– Bardzo mnie to obeszło. Za to dostaniesz tamtą starą babę z Tamy. Gwarantuję ci, że zostanie świętą.

– Może być – przystał Jezus.

– Jak nie chcesz, to się wypchaj – odparł Diabeł.

Obaj zaczęli się śmiać i pokleпали mnie po plecach. Diabeł zapalił olbrzymiego skręta i po wnętrzu samochodu rozpełzł się dziwny różowy dym.

Smakował jak cynamon i ogień, a już pierwsze sztachnięcie mnie oszołomiło. Od razu opanowała mnie paranoja i zwolniłem do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Jechałem na oślep, podczas gdy w głowie widziałem jesienne popołudnia, które spędzałem w lesie, gdy byłem dzieckiem. Było tam niezwykle spokojnie, a liście opadały w całkowitej ciszy. Pomyślałem o domu, który był bardzo daleko.

Gdy odzyskałem świadomość na czerwonym świetle, zauważyłem, że ktoś włączył radio. Muzyka w stylu New Age, czyli jakieś niskie zawrodożenie do fortepianowego podkładu, stanowiła tło dla rozmowy moich pasażerów.

– Co o tym myślisz? – właśnie spytał Chrystus.

– Myślę, że musimy wyłączyć tę muzykę – odrzekł Diabeł. Jego palce wydłużyły się jak węże i zaczęły naciskać guziki radia, aż odezwała się stacja ze starymi przebojami. – Wspomnienia z tylnego siedzenia.

Ktoś postanowił, że pojedziemy na Florydę i zajrzemy do staruszki, która ma zostać świętą.

– Może machnie jakiś cud – rzekł Diabeł.

– Nie martw się – odparł Chrystus.

– Żona spodziewa się mnie w domu około dziewiątej – powiedziałem.

Diabeł ryknął donośnym śmiechem.

– Powiem ci, co zrobię. Podzielę się na dwie części i jedna połowa pójdzie do twojego domu, żeby bzykać się z twoją żoną, dopóki nie wrócimy.

Chrystus pochylił się i położył dłoń na moim kolanie.

– Nie bądź idiotą – odezwał się do mnie z uśmiechem. – Muszę być w Nowym Egipcie przed ósmą.

– Potrafisz to sprawić? – spytałem.

– Popatrz – rzekł Chrystus, wskazując głową przednią szybę – już jesteśmy na miejscu. Tylko skręć tutaj w prawo, to trzeci dom po lewej.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że jesteśmy na przedmieściach. Wzdłuż ulicy rosły palmy. Wszędzie stały parterowe domy pomalowane na pastelowe kolory. Kiedy zatrzymałem samochód przed wskazanym budynkiem, usłyszałem świerszcze cicho śpiewające w wieczornym upale.

Zanim wysiedliśmy, Diabeł nachylił się w stronę przedniego siedzenia.

– Założę się z tobą, że nie uczyni żadnego cudu podczas naszej wizyty.

– Pieprzenie – odparł Chrystus.

– O co chcesz się założyć? – spytał Diabeł.

– Może o niego – odparł Zbawiciel i wskazał mnie swoim dziwacznym kciukiem.

– Ostro grasz – rzekł Diabeł.

Gdy szliśmy podjazdem w stronę drzwi wejściowych, Diabeł został nieco z tyłu. Nachyliłem się w stronę Chrystusa i spytałem szeptem, czy według niego staruszka da radę.

Wzruszył ramionami i przewrócił oczami.

– Nie trać wiary, człowieku. Czasami się wygrywa, a czasami przegrywa.

– Wszystko słyszałem – rzucił Diabeł. – Nie lubię szeptania.

Weszliśmy prosto do salonu, gdzie zastaliśmy kobietę siedzącą przed telewizorem. Początkowo myślałem, że jest głucha, ale wkrótce stało się

jasne, że pozostajemy dla niej niewidoczni.

Diabeł stanął za mną i wręczył mi szesnastouncjową butelkę piwa Rolling Rock.

– Oto ona w całej okazałości – rzekł, podając piwo Chrystusowi. – Nie wygląda na atrakcyjny kąsek, chyba że popracuje nad wyglądem.

Staliśmy i patrzyliśmy na kobietę. Miała około sześćdziesięciu pięciu lat, krótkie włosy ufarbowane na kasztanowo i była ubrana w szlafrok z kwiecistym wzorem. Na niskim stoliku przed nią stała popielniczka z zapalonym papierosem. W lewej dłoni trzymała kieliszek ciemnego wina. Gdy doniesienia o chaosie i chciwości przemykały po ekranie, ona od czasu do czasu kręciła głową i pociągała łyżek wina.

– Co zrobiła? – spytałem.

– Kilka miesięcy temu wskrzesiła pewnego dzieciaka z martwych – odrzekł Diabeł. – Dziewczynkę potracił samochód przed lokalnym sklepem spożywczym. Pani Lumley była na miejscu i tylko dotknęła dłoni dziecka, a ono od razu wstało z noszy i odeszło.

– Dziwne jak cholera – zauważył Chrystus. – Nie bardzo wiemy, jak to działa.

– To znaczy, że nie możesz sprawić, żeby dokonała cudu?

– Niezupełnie – przyznał Chrystus.

– Do dupy, co? – odparł Diabeł. – A teraz napij się piwa i uspokój.

Diabeł okrążył fotel pani Lumley i ułożył dwa palce w rogi za jej głową. Chrystus o mało nie pękł ze śmiechu. Nawet ja się roześmiałem, kiedy patrzyliśmy, jak staruszka dłubie w nosie. Robiła to przez dobre pięć minut. Jezus oklaskiwał każdą jej nową strategię.

– Było blisko – skomentował Diabeł.

– Lepiej usiądźmy, to może potrwać kilka minut – odrzekł Chrystus.

Diabeł i ja zajęliśmy miejsca na kanapie, a Jezus usiadł na bujanym fotelu naprzeciwko. Zły zwinął kolejnego olbrzymiego skręta i uważnie słuchał materiału o morderstwie i samobójstwie w Kalifornii. Pani Lumley zaczęła podśpiewywać „The Whispering Wind” pomiędzy łyżkami wina, a Chrystus nucił z nią w duecie.

– Lepiej się bawiłem w kościele. – Diabeł westchnął, podając mi skręta.

Ponownie skosztowałem cynamonu i ognia, po czym splukałem gardło kilkoma dużymi łykami piwa.

Chrystus odmówił i tylko bujał się z zadowoleniem na fotelu.

Wiadomości w końcu się skończyły i przyszedł czas na „Milionerów”.

– Zaczekajcie, aż złapię tego dupka – mruknął Diabeł, wskazując prowadzącego.

– Jest twój – odparł Chrystus. – Prezent od firmy. – Potem wskazał palcem panią Lumley i nakłonił ją do zmiany programu na powtórkę *Star Treka*.

Gdy czekaliśmy, aż coś się wydarzy, Diabeł pokazał mi sztuczkę. Zaciągnął się Czerwoną Kartaginą, po czym wydmuchnął idealną kulę dymu. Kula przez chwilę wisiała przed moimi oczami, a następnie stała się przezroczysta jak kryształ. Potem pojawiły się w niej obrazy przedstawiające moją żonę i dzieci czytających bajki na dobranoc. Gdy wyciągnąłem w jej stronę dłoń, kula pękła jak mydlana bańka.

– Tanie sztuczki – prychnął Chrystus.

W końcu pani Lumley wstała, wyłączyła telewizor i poszła do sypialni. Stanęliśmy w drzwiach i dalej na nią patrzyliśmy. Klęczała obok łóżka i odmawiała modlitwy.

– Mam nadzieję, że lubisz upały – powiedział do mnie Diabeł.

– Patrzcie – odezwał się Chrystus.

Pani Lumley leżała na podłodze, a jej ciało dygotało. Spomiędzy jej zaciśniętych zębów wydobywał się nieustający jęk. W ciągu kilku sekund jej skóra zmieniła kolor na metaliczny błękit, a głowa podwoiła rozmiary. Na jej ciele z trzaskiem pojawiły się kły, pazury i skrzela. Odwróciła głowę w naszą stronę, a ja czułem, że nas widzi swoimi rozszerzającymi się oczami.

– Cholera – rzekł Diabeł, po czym rzucił się w stronę drzwi.

– Wynośmy się stąd – rzekł Chrystus i także uciekł, a ja podążyłem w ślad za nim.

Kiedy wydostaliśmy się z domu, Diabeł już wyglądał przez okno z tylnego siedzenia samochodu.

– Ruszcie dupy! – wrzasnął.

Obiegłem przód auta i czym prędzej wskoczyłem na miejsce kierowcy. Pani Lumley, która przeistoczyła się w jakiegoś gwałtownie zmieniającego się błękitnego stwora, ryknęła na nas z trawnika przed domem. Przekręciłem kluczyk i wcisnąłem pedał gazu.

– Co to, kurwa, było? – spytał Chrystus, z trudem łapiąc oddech i podając nam papierosy.

– Twój staruszek oszalał – odparł Diabeł. – To wszystko zaczyna być

zbyt dziwaczne jak na mój gust.

– Jakbym nie wiedział. Pamiętasz, ostrzegałem cię, kiedy po raz pierwszy stanęli na Księżycu.

– Ale to było naprawdę złowrogie gówno.

– Cała kula wosku się rozpada – odrzekł Chrystus.

– Wyobraź sobie, że w zeszłym tygodniu miałem próbę ucieczki z dziewiątego kręgu Piekła. Wielki skubaniec przebił się przez lód. Zabił jednego demona gołymi rękami, a drugiemu przetrącił kręgosłup.

– Dorwałś go? – spytałem.

– Jeden z moich ludzi twierdzi, że widział go w Chicago.

– Czyściec rozszerza się jak zaraza – odparł Chrystus.

Diabeł nachylił się i oparł pazurzystą dłoń na moim ramieniu. Czuję na karku jego gorący oddech.

– Jego staruszek czyta Nietzschego – wyszeptał, muskając językiem płatek mojego ucha.

– Co on mówi? – spytał mnie Chrystus.

– W którą stronę mam się zwrócić, żeby się z tego wyplątać? – spytałem.

W tej samej chwili usłyszeliśmy gwałtowne uderzenie o dach samochodu. Wystraszyłem się i szarpnąłem kierownicą, omal nie uderzając w śmieciarkę.

– Musisz to zobaczyć – rzekł Diabeł. – Święta Lumley od Złych Narkotycznych Jazd nad nami leci.

– Gazu! – wrzasnął Chrystus, a ja wcisnąłem pedał do podłogi. Jechałem jak wariat, pokonując zakręty z piskiem opon, mijając pastelowe domy.

– Zostaje w tyle! – zawołał Diabeł.

– Co masz w zanadrzu? – spytał Chrystus.

– Pełną minutę ognia – odparł Diabeł. – A ty?

– Maszynę Edenu.

– O kurwa, tylko nie Maszynę Edenu – syknął Diabeł i uderzył w tył mojego siedzenia.

– Dlaczego? – zdziwił się Jezus.

– Kiedy ona ostatnio zadziałała?

– Zobaczysz, że działa.

– Zjedź z szosy i skręć w bramę po prawej – polecił Diabeł. – Musimy ją załatwić, w przeciwnym razie będzie nas męczyła przez całą wieczność.

– Wcale mi się to nie podoba – odparł Chrystus.

Kiedy przejechaliśmy przez bramę, pomknąłem dalej żwirową drogą

prowadzącą do lokalnego wysypiska śmieci. Piętrzyły się tam bezkresne wzgórza odpadków oświetlone blaskiem księżyca. Zaparkowałem auto i wysiedliśmy.

– Musimy wspiąć się na szczyt tego wzgórza, zanim ona tam dotrze – powiedział Chrystus, wskazując potężną górę śmieci.

Zacząłem gramolić się w górę zbocza, przytrzymując się starych samochodowych foteli i deptając po zepsutych urządzeniach. Spłoszone szczury biegały pomiędzy odpadkami. Kiedy dotarłem na szczyt, byłem zlany potem i ciężko dyszałem. Chrystus mnie wyprzedził, ale musiałem się cofnąć i pomóc Diabłu pokonać ostatnie kilka kroków.

– To te kopyta – narzekał. – Są gorsze niż wysokie obcasy.

– Mają tutaj trochę fajnych rzeczy – odezwał się Chrystus.

– Widziałem cały karton numerów „National Geographic”, i zamierzam go zabrać w drodze powrotnej – odparł Diabeł.

W oddali ujrzałem cień przelatujący na tle gwiazd. Był zbyt duży jak na ptaka.

– Zbliża się! – wrzasnąłem i wskazałem palcem.

Obaj się obejrzeli.

– Co mam robić? – spytałem.

– Schowaj się za nami – odrzekł Chrystus. – Jeśli cię dopadnie, będzie bolało.

Zanim się zorientowałem, pani Lumley wylądowała i przyparła naszą trójkę do krawędzi zbocza, za którym ziała stroma przepaść. Błękitna skóra stworza lśniła w blasku księżyca jak zbroja, ale rosły na niej kępki futra. Wykształciła niezwykle wodniste ciało i skrzydła dwuipółmetrowej rozpiętości, ale, nie licząc skrzeli i kłów, wciąż miała twarz sześćdziesięcioletniej kobiety. Powoli się zbliżała, wyrzucając z siebie bezsensowne słowa.

Kiedy zbliżyła się na jakiś metr, Chrystus przemówił:

– Wal w nią!

Wtedy wystąpił naprzód Diabeł. Z ciała kobiety wyrosły macki i sięgnęły w jego stronę. Jedna owinęła się wokół jego lewego rogu, gdy otworzył usta, żeby zaatakować minutą ognia. Płomienie buchnęły jak z palnika i zatrzymały potwora w miejscu. Gdy całkowicie go ogarnęły, macki wycofały się, ale kobieta się nie roztopiła.

Gdy tylko Zły skończył, kaszląc olbrzymimi obłokami szarego dymu,

pani Lumley otworzyła oczy, a macki ponownie wyrosły z jej boków. Obejrzałem się i zobaczyłem, że Chrystus trzyma coś w prawej dłoni. Miałem wrażenie, że to pilot, a on rozpaczliwie wciska na nim guziki.

Diabeł odskoczył i chwycił mnie za rękę. W jego węzowych oczach krył się prawdziwy strach, a mimo wszystko nie mógł powstrzymać wesołości, widząc, jak Chrystus męczy się z Maszyną Edenu.

– Co się stało z pilotem do kosmicznego garażu?! – zawołał.

– Działa – odparł Chrystus, ale wciąż nerwowo naciskał guziki.

Nagle poczułem, jak jedna z macek owija się wokół mojej kostki. Pani Lumley otworzyła usta i zapiała jak kogut. Kolejny z błękitnych węzowych splotów chwycił Diabła w pasie. Obaj zaczęliśmy krzyczeć, gdy pociągnęła nas ku sobie.

– Trzy! – wrzasnął Chrystus, a wtedy z końca Maszyny wystrzelił snop światła.

Potem usłyszałam niebiańskie głosy śpiewające unisono. Pani Lumley przyjęła całą moc strzału na klatkę piersiową i natychmiast zaczęła się kurczyć. Na moich oczach zmieniła się w drzewo, jak za sprawą efektów specjalnych w kiepskim filmie science fiction. Wypuściła liście i różowe kwiaty, a gdy śpiew ustał, na dolnych gałęziach pojawiły się śnieżnobiałe owoce.

– Mało zabawne – skwitował Diabeł.

– Myślałem, że zedrze ci twarz – odparł Chrystus.

– Kim ona była? – spytałem. – Obcym?

Chrystus pokręcił głową.

– Nie, po prostu pojebaną staruszką.

– Nadal jest świętą? – spytałem.

– Nie, jest drzewem – odparł.

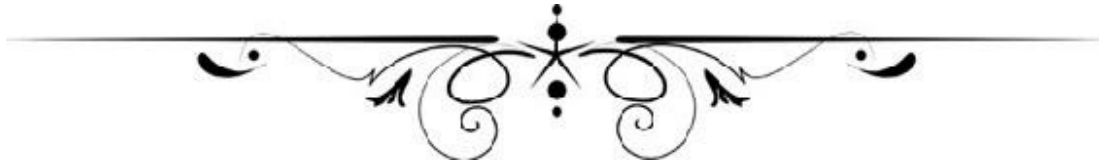
– Ty i twoi święci – mruknął Diabeł i zerwał owoc. – Weź jeden – zachęcił mnie. – Nazywamy go „Nieruchomym punktem w obracającym się świecie”. Zjedz tylko w przypadku wyższej konieczności.

Zerwałem jedną z białych gruszek i schowałem ją do kieszeni, zanim zaczęliśmy schodzić z góry śmieci. Diabeł znalazł pudło z czasopismami, a Chrystus lampkę zrobioną z muszelek. Wsiadliśmy do samochodu i uruchomiłem silnik.

– Jasna cholera, już ósma! – krzyknął Chrystus.

Zanim się zorientowałem, jechałem swoją stałą trasą do Jersey. W

samochodzie nie było nikogo poza mną i właśnie wyjeżdżałem z Nowego Egiptu.

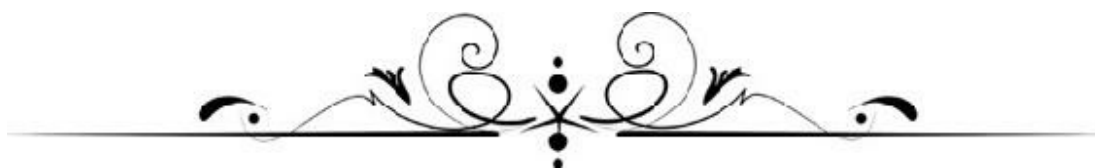


Mam nadzieję, że robiąc użytek z judeochrześcijańskiej mitologii w mojej wersji współczesnej legendy nikogo nie uraziłem. Nie sędzę, gdyż zgodnie z dogmatem, każdy powinien nawiązać własną relację z Chrystusem. Moja to przelotna znajomość. Lubimy imprezować, a jeśli rogaty się przyłącza, to tym lepiej. Czasami bawi się z nami także Budda, ale koniecznie chce siadać obok kierowcy i zbyt często przejmuje wodze. Żeby uszanować naukę Chrystusa, staramy się nikogo nie wykluczać, ponieważ błogosławieni ci, którzy cierpią w jego imię.

Nowy Egipt w stanie New Jersey to miasteczko, przez które przejeżdżam każdego wieczoru, wracając do domu z pracy. Nigdy się tam nie zatrzymałem, tylko we śnie. Miasteczko chlubi się całorocznym pchlim targiem oraz sklepikiem, w którym można kupić brukowiec „The Weekly World Star” – to idealne miejsce na drugie, a nawet trzecie przyjscie Zbawiciela.

Opowiadanie pierwotnie ukazało się w czasopiśmie „Aberrations”.

PŁYWANIE W LINDRETHOOL



1

„Wasz zawód, panowie, ma długą i chlubną historię”, powiedział szef oddziału, gdy zatrzymał autobus, otworzył drzwi i wysadził ich we wschodniej części Lindrethool. Ośmiu mężczyzn ubranych w czarne płaszcze przeciwdeszczowe, białe koszule i krawaty oraz firmowe meloniki. Rozeszli się po ponurej przemysłowej okolicy, w której sadza spadała z nieba jak śnieg. Każdy niósł walizeczkę oraz dużą skrzynkę z rączką i mrucał pod nosem swoją gadkę, w której zawsze pojawiały się słowa „promocja jest ograniczona w czasie”. Za trzy tygodnie autobus będzie na nich czekał po zachodniej stronie miasteczka.

Slackwell siedział, bez krawata, melonika i spodni, przy małym porysowanym stole w swoim pokoju hotelowym, popijając burbona z brudnej szklaneczki.

– Chlubna historia – powiedział w stronę okna, w którym, poza swoim odbiciem, widział noc i liczne światła Lindrethool.

Każde światełko postrzegał jako potencjalnego klienta. Wystarczy, by jeden z nich postanowił zapłacić czterdzieści tysięcy dolarów w niskich miesięcznych ratach rozłożonych na dziesięć lat, a Slackwell wykona

minimalny roczny plan. Pierwszego dnia odwiedził trzy apartamentowce, wlokąc swoją skrzynkę z piętra na piętro. „Ani widu, ani słyhu”, jak mawiał jego kolega Merk.

Nie wyobrażał sobie, jak domokrażcy w poprzednim stuleciu wykonywali tę pracę, mając do zaoferowania tylko szczotki, odkurzacze, encyklopedie czy Biblie. On przynajmniej miał prawdziwy cud, który mógł zmienić życie jego klientów. Właśnie tak im mówił, gdy perswadował, argumentował, a nawet groził, jeśli to było konieczne. Podczas szkolenia, jak adept sztuk walki ćwiczył techniki wsuwania nogi pomiędzy drzwi a futrynę, wpychania się ramieniem i robienia miny zabójcy delikatnie zamaskowanej rozpaczliwym pragnieniem spełniania marzeń. Badania wykazały, że klienci oczekują sprzedaży bezpośrednio. W obliczu słabnącej gospodarki, która wyraźnie podupadła dziesięć lat po rozpoczęciu nowego wieku, ludzie już nie chcieli kupować drogich produktów w Internecie ani przez telefon. Przynajmniej tak mu powiedziano podczas szkolenia.

Nie sprzedał niczego od dwóch miesięcy, a przełożony przyznał, że firma zastanawia się nad zwolnieniem go. „Wyglądasz na wyczerpanego, Slackwell. Masz poszarzałą cerę i włosy, a twoja gadka, chociaż wystarczająco agresywna, jest równie uwodzicielska jak słabnąca erekcja. Zmarszczki nie przekonują naszych klientów, oni pragną siły. Sprzedajesz status. Poza tym, wybaczone, ale twoja woda po goleniu cuchnie”.

Slackwell skrzywił się nad szklaneczką burbona, przypominając sobie, jak prosił, a właściwie zebrał, o jeszcze jedną szansę. Szef się ulitował i nie tylko dał mu szansę, ale wyposażył go w najnowszy model, który miał sprzedać w Lindrethool. „Jeśli nie uda ci się tego opchnąć, to równie dobrze możesz sprzedać duszę diabłu”.

Slackwell zapalił papierosa. Trzymając go w kąciку ust, wstał i otworzył zatraski skrzynki, która stała obok butelki z burbonem. Czarne metalowe ścianki wybrzuszyły się, jakby w środku znajdowała się ponadwymiarowa kula do kręgli. Otworzył przednią klapkę zamocowaną na zawiasach i wyjął dużą szklaną kulę o okrągłej metalowej podstawie, na której znajdowały się pokrętła, przyciski, dwa gniazda, niewielki mikrofon oraz cienki zwinięty kabel zamocowany z tyłu. Na metalu zapisano czerwonymi literami nazwę firmy, Thinktank, a także numer modelu: 256-B. Kulę wypełniał przezroczysty płyn, w którym unosił się ludzki mózg.

Burbon przejmował kontrolę i Slackwell lekko się zachwiał, cofając się,

żeby obejrzeć olśniewający produkt. Wyjął papierosa z ust i dwoma palcami, w których go trzymał, wskazał kulę.

– No, to dopiero jest pływak – powiedział, otoczony chmurą dymu.

Sprzedawcy z Thinktank nazywali pływakami organiczne rdzenie oferowanych towarów.

– Organiczne przetwarzanie danych, powiew przyszłości – wybełkotał Slackwell, ćwicząc swoją gadkę. – Tylko pomyślcie, ludzki umysł, którego nie ograniczają fizyczne troski, wykorzystujący nie śmiechu wartę dziesięć procent swoich możliwości, jak mózg byle chłopka-roztropka, a nawet nie pięćdziesiąt, siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt, ale aż dziewięćdziesiąt pięć przecinek siedem procent mocy obliczeniowej. Już dawno osiągnęliśmy limit możliwości mikroprocesorów. Tymczasem ludzki mózg ma ogromny potencjał. Ta maszynka może centralnie kierować wszystkimi domowymi urządzeniami, światłami, telefonem. Może bez trudu trzystukrotnie zwiększyć wydajność waszego komputera, zapewnić dostęp do stacji telewizyjnych z całego świata, a to wszystko za ułamek dzisiejszych kosztów. Wystarczy, że raz polecicie jej płacić wasze rachunki, a będzie to robiła punktualnie każdego miesiąca. Ona uczy się waszych gustów, pragnień i potrzeb. A szybkość, z jaką działa, sprawi, że uznacie inne metody przetwarzania danych za...

Slackwell nie pamiętał, jakiej hiperboli powinien teraz użyć. Przychodziło mu do głowy tylko „...równie uwodzicielskie jak słabnąca erekcja”. Zaciągnął się papierosem i usiadł, żeby dalej wpatrywać się w szarą, gąbczastą, drgającą masę. Było coś imponującego, a zarazem upiornego w tym, że świadomość jakiegoś człowieka jest uwięziona w tym szaleńczo poskręcanym labiryncie, wyspie unoszącej się w kryształowej bańce. Kilka tygodni wcześniej Slackwell pozwolił sobie na niebezpieczną refleksję i dostrzegł analogię z własnym losem – człowieka wiecznie uwięzionego.

Jednakże ten nowy model, 256-B, dysponował funkcją, która stawiała go wyżej od wszystkich poprzedników: przycisk na podstawie, sprawiający, że mózg budził się do pełnej świadomości. Klient mógł do niego mówić, a urządzenie przetwarzało głos na elektryczne impulsy, które przesyłało do pływaka za pomocą nadajnika umieszczonego w podstawie, dzięki czemu mózg słyszał wypowiedane słowa w swoich myślach. Następnie jego odpowiedź, wysyłana przez ośrodki mowy jako seria elektrycznych

impulsów, mogła zostać odebrana przez inne urządzenie, które tłumaczyło je na mowę. Głos dobiegający z głośników nie był sztywnym szczekaniem robota. Technicy opatentowali nowy wynalazek, pozwalający naśladować ton, brzmienie, intonację, a nawet akcent osoby, od której pochodził mózg.

Spółka podpisywała umowy z ubogimi rodzinami, których obecnie nie brakowało, uzyskując zgodę na pobieranie mózgow jeszcze przed ich zapadnięciem w śmierć kliniczną. Legalizacja niektórych form eutanazji otworzyła drzwi dla bardziej liberalnych form oddawania organów. W ten sposób zachowywano nienaruszoną osobowość pozyskanego mózgu. Umowy gwarantowały wysokie rekompensaty finansowe dla rodzin oraz obiecywały, że umierająca osoba będzie dalej żyła, pozostając użytecznym członkiem społeczeństwa oraz katalizatorem nowej gospodarki, która wciąż majaczyła na horyzoncie. Slackwell zastanawiał się, czy pogrążonych w żałobie krewnych bardziej pociesza gotówka, czy ta obietnica.

Jedynym akwizytorem, który miał okazję sprzedać nowy model urządzenia obdarzony osobowością, jak również zwyczajową nieświadomą mocą obliczeniową, był Merk, który ostrzegł Slackwella i pozostałych: „Zapamiętajcie jedno: możecie zademonstrować klientowi inteligencję pływaka, ale pod żadnym pozorem sami nie angażujcie się z nim w rozmowę. Tylko rozboli was od tego głowa”. Spytał Merka, czy mówi na podstawie własnych doświadczeń, czy tylko przekazuje słowa naukowców z Thinktanku. Doświadczony sprzedawca nie odpowiedział.

2

Chociaż dom rodzinny był dla niego jedynie niewyraźnym wspomnieniem, Slackwell nigdy nie przywykł do budzenia się w obcym pokoju hotelowym. W jednej chwili śnił o dawnych czasach, dniach spędzanych w domu nad zatoką i wiosennym wietrze poruszającym wierzbami tuż za oknami osłoniętymi moskitierą oraz przetaczał się po łóżku, żeby objąć swoją żonę, Ellę, a za chwilę, jakby ktoś nagle zapalił światło, mdłości spowodowane kacem zaczynały łaskotać go w gardle jak piórko. Czuł suchość w ustach i ukłucie bólu za oczami. Spokojny sen o przeszłości zniknął i Slackwell budził się samotny i zdezorientowany.

Ostatnio po obudzeniu trzęsły mu się ręce i z trudem nalewał sobie pierwszy z trzech kieliszków, które pozwalały mu wytrzymać piekielny prysznic, włożyć firmowy strój i wypić pierwszą kawę. Czasami potrzebował jeszcze aspiryny, a zdarzało się, że wypalał skręta, jeśli akurat go miał. Tak czy inaczej, wychodził na ulicę kwadrans po ósmej, wlekąc się samotnie ze skrzynką w dłoni.

Rankiem drugiego dnia w Lindrethool spotkał się z Merkiem w jadalni za rogiem. Usiedli naprzeciwko siebie w boksie przy oknie, ale nie odzywali się, dopóki nie opróżnili filiżanek z kawą i kelnerka nie przyszła z dolewką.

– Ile sztuk wczoraj opchnąłeś durnym mieszkańcom? – spytał Slackwell.

Merk pokręcił głową.

– To miejsce jest bardziej oziębłe od mojej byłej żony.

– Jeden facet chciał ode mnie kupić kapelusz – rzekł Slackwell.

– No widzisz. Ja wszedłem w sam środek rodzinnej kłótni. Kobieta miała podbite oko, a jej stary aż się gotował, ale i tak kazał mi zaprezentować działanie urządzenia. Jedną dłoń cały czas trzymałem na rewolwerze, który noszę w kieszeni marynarki, a drugą pstrykałem przełącznikami i kręciłem gałkami. Sprawilem, że pływak zaśpiewał im piosenkę: „No Business like Show Business”. To był jeden z tych rozumnych modeli, a pechowiec, który znalazł się pod szkłem, miał kawał głosu. Ale i tak go nie kupili.

– Ja też mam 256-B – odrzekł Slackwell, chcąc zaimponować starszemu koledze tym, że firma powierzyła mu swój najlepszy produkt. – Ale jeszcze nie pozwoliłem mu samodzielnie mówić. Wczoraj prawie mi się udało. Kobieta z dzieciakiem. Chciała, żeby pływak rozwiązał i wydrukował zadanie domowe jej bachora – wypracowanie o mumiach. Ten mały potwór cały czas brudził kulę tłustymi paluchami, próbując się dobrać do mięsa w środku. W końcu powiedziałem mamusce, żeby nauczyła go manier. To ochłodziło atmosferę.

– Musisz panować nad złością. Klient zawsze ma rację – rzekł Merk.

– Klient rzadko kiedy ma rację – odparł Slackwell.

Wypili jeszcze kilka filiżanek kawy, a Merk zamówił talerz jajek sadzonych. Przez chwilę rozmawiali o nowym pracowniku, Johnnym, który według słów Merka, powiesił się w kabinie prysznicowej w swoim pokoju.

– Czy firma zdążyła dotrzeć na miejsce? – spytał Slackwell.

– Żartujesz sobie? – odparł Merk. – Implant dał im znać, że coś jest nie tak, jeszcze zanim chłopak założył sobie pasek na szyję. Wezwali mnie

wczoraj około dziewiątej wieczorem, żebym obserwował operację. Cholera, zawsze mnie wzywają, ale dostaję za to dodatek. Otworzyli mu głowę jak puszkę brzoskwiń i wybrali gąbkę szybciej niż mówisz „promocja jest ograniczona w czasie”.

– Jego mózg nie jest spieprzony?

– Mają sposoby na ich pobudzanie – odrzekł Merk. – Poza tym, kiedy go cięli, chyba jeszcze nie był martwy, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Od razu mi się wydawał zbyt wrażliwy do tej roboty – stwierdził Slackwell.

– Biedak urodził się, żeby być pływakiem – skwitował Merk. – Niektórzy z nas unoszą się w płynie, a inni dryfują po chodniku. – Uśmiechnął się boleśnie i pokręcił głową. – Kiedy ostatnio widziałem tego chłopaka żywego, był oszołomiony, jakby nie wiedział, czy ma się zesrać, czy oślepnąć. Dobrze znam taką minę.

– Skąd?

– Widzę ją każdego ranka w lustrze, odkąd odeszła ode mnie żona.

– Więc zrób inną minę – odparł Slackwell. – To takie trudne?

– To wymagałoby odwagi albo szaleństwa, a ja nie mam siły, żeby się na którekolwiek z nich zdobyć. Kiedy odzywa się dzwonek, ja się ślinię, ale jestem w tym dobry.

– Tak, też często mam mokry podbródek – przyznał Slackwell.

Zapalili papierosy, po czym wstali, zabrali skrzynki i wyszli z jadłodajni. Na wietrznym rogu ulicy uchylili sobie kapelusza i pozdrowili się firmowym hasłem: „Pozbądź się mózgu, bracie”, po czym ruszyli każdy w swoją stronę.

Gdy nadeszło południe, Slackwell już się nie wlekł, tylko kuśtykał. Zaliczył dwa apartamentowce, ale gdy podczas ostatniej domowej wizyty przed lunchem zręcznie wepchnął nogę między drzwi a futrynę w mieszkaniu pewnej kobiety, ta zdzieliła go w stopę młotkiem, który dziwnym trafem trzymała w dłoni. „Spadaj!”, wrzasnęła, jakby był jakimś natrętnym gryzoniem.

Powoli szedł chodnikiem, czując, jak stopa puchnie mu wewnątrz buta. Ból dało się wytrzymać – był gorszy niż wtedy, gdy pewna staruszka po półtoragodzinnej prezentacji produktu przyniosła filiżankę gorącej kawy i przypadkowo wylała mu ją na kolana, ale bez porównania mniej dokuczliwy niż wtedy, gdy pewien szaleniec wziął od niego długopis pod pozorem podpisania umowy i wbił mu go w dłoń. W takich chwilach Slackwell cieszył

się, że nie nosi przy sobie rewolweru jak Merk.

Zauważył kolejny budynek ze swojej listy, a jego nowość, czystość i nazwa – Cierniowe Ramiona – sprawiły, że postanowił zrezygnować z lunchu. Wszystko w tym miejscu emanowało dobrobytem. W takich apartamentach mieszkali ludzie, którzy znaleźli się po właściwej stronie stale powiększającej się przepaści pomiędzy bogatymi i biednymi.

Wszedł do budynku i udał się do windy, ale zanim zdążył nacisnąć guzik, ochroniarz położył mu dłoń na ramieniu.

– Do kogo pan przyszedł? – spytał wysoki młodzieniec ubrany w strój, który przypominał mundur kapitana okrętu.

Slackwell wyjął wizytówkę z kieszeni płaszcza i wręczył ją ochroniarzowi.

– Przynoszę mieszkańcom tego domu klucz do przyszłości.

– Przykro mi, ale akwizycja jest tutaj zabroniona.

– To nie jest żadna akwizycja, tylko pokaz – odparł Slackwell.

– Mimo wszystko będzie pan musiał odejść – upierał się młodzieniec.

– Luddysta! – wrzasnął Slackwell, wychodząc przez obrotowe drzwi.

Gdy znalazł się na ulicy, natychmiast zanurkował w uliczkę biegnącą obok budynku. Nie ma mowy, żeby ten głupiec uniemożliwił mi kontakt z ludźmi potrzebującymi innowacji, zwłaszcza jeśli mają mnóstwo forsy, pomyślał.

Na tyłach olbrzymiego budynku Slackwell znalazł pustą platformę załadunkową. Postawił na niej skrzynkę, po czym wdrapał się w ślad za nią. Wysoka rozsuwana aluminiowa brama, która znajdowała się przed nim, była zamknięta, ale po lewej i prawej stronie platformy zobaczył drzwi prowadzące do budynku. Zdecydował się na lewe, a kiedy szarpnął klamkę, przekonał się, że dobrze wybrał. Drzwi otworzyły się, a on poczuł ukłucie w splocie słonecznym, które mogło świadczyć o stłumionym podnieceniu albo lekkiej niestrawności.

Wszedł i krótkim korytarzem dotarł do windy towarowej. Upewnił się, że jest sam, po czym wcisnął guzik i czekał na otwarcie drzwi. Wiedział, że jeszcze za wcześnie na triumf, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu. Drzwi się rozsunały i Slackwell wkroczył do szerokiej, błyszczącej kabiny.

– Które piętro? – zapytał siebie, wpatrując się w rząd przycisków.

Z trzydziestu możliwości wybrał numer jedenaście. Drzwi się zamknęły. Oparł się o metalową ścianę, gdy kabina ruszyła z szarpnięciem. Pot ściekał

mu po twarzy spod ronda melonika, serce tłukło się w piersi, dłonie trzęsły się z ochoty na drinka, a stopa pulsowała bólem.

Podjął tę decyzję spontanicznie, ale czuł, że się przewróci, jeśli nie da wytchnienia nerwom. Gdy winda znajdowała się pomiędzy piątym a szóstym piętrem, Slackwell wcisnął guzik STOP. Następnie z kieszeni koszuli wyjął skręta. Ręce wściekle mu dygotały i z trudem utrzymał zapalniczkę. W końcu zdołał z niej skorzystać i pięć razy szybko się zaciągnął. Kabina wypełniła się dymem. Zanim zgasił zioło i ponownie uruchomił windę, poczuł, jak napięcie z niego opada.

Umysł Slackwella kłębił się jak obłoki, które razem z nim opuściły windę na jedenastym piętrze. Przez kilka chwil, gdy przechodził przez kolejne drzwi, szukając korytarza z apartamentami lokatorów, wyobrażał sobie, że przyjmuje co najmniej dwadzieścia zamówień.

Pierwsze drzwi, do których zapukał, otworzył sympatycznie wyglądający starszy mężczyzna. Slackwell wziął głęboki oddech, żeby rozpocząć swoją gadkę, ale okazało się, że po trawce, którą wypalił, zapomniał języka w gębie. Zaczął się śmiać.

Mężczyzna za drzwiami również się uśmiechnął.

– Czym mogę panu służyć?

– Mam coś do sprzedania – odparł Slackwell.

– Mam zgadywać, co to takiego?

– Organiczne przetwarzanie danych.

Mina klient lekko się zmieniła, ale nadal się uśmiechał.

– Rozumiem. Mózgi w słoikach? Słyszałem o tym.

– To coś więcej – odrzekł Slackwell. – Znacznie więcej.

– No to niech pan pokaże – rzekł mężczyzna, po czym odsunął się i wpuścił sprzedawcę.

W przestronnym mieszkaniu panował idealny porządek. Za dużym oknem roztaczała się panorama miasta. Gospodarz z pewnością był człowiekiem wykształconym, ponieważ miał dwa olbrzymie regały pełne opasłych tomów. Na ścianach wisiały piękne stare obrazy przedstawiające religijne sceny. Slackwell pamiętał ze szkolenia, że takiego klienta mogą zniechęcić typowe agresywne metody sprzedaży. W takiej sytuacji wskazana jest grzeczna i wyważona argumentacja, a Slackwell był na tyle upalony, że uwierzył, iż znakomicie się do tego nadaje.

Usiedli w wygodnych fotelach przy małym marmurowym stoliku, na

którym Slackwell postawił skrzynkę. Wyjmując urządzenie, zaserwował klientowi gadkę gładką jak zamarzniete jezioro. Zdążył się przyjrzeć klientowi i zauważyć jego drogi sweter, mokasyny oraz modną koszulę dopasowaną kolorem do skarpetek, więc postarał się wtrącić jak najwięcej wyszukanych słów.

– Widzi pan, panie... przepraszam, zapomniałem nazwiska.

– Catterly.

– Widzi pan, panie Catterly, nie ma żadnego powodu, by człowiek o pana skali intelektu był skazany na trudy pracy z wielce niedoskonałymi systemami komputerowymi, które obecnie zarządzają sprzętami w pańskim mieszkaniu oraz zapewniają panu dostęp do Internetu. Wymagają one męczącego wciskania guzików i ustawiania pokręteł, a czas reakcji tego przestarzałego sprzętu jest co najmniej godny pożałowania. Oto system, który będzie myślał za pana. Szybko nauczy się, czego pan potrzebuje, i wprowadzi niezbędne zmiany za pośrednictwem pojedynczej prostej komendy werbalnej.

Slackwell otworzył klapkę zamontowaną na zawiasach i wyjął 256-B.

– Niech pan nacieszy oczy tym urządzeniem.

– Ludzki mózg – stwierdził mężczyzna. Spojrzał na niego przez szkło i uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Zadziwiające, nieprawdaż? – spytał Slackwell. – A co najlepsze, można przywrócić mu świadomość, jeśli oprócz maszyny liczącej będzie pan potrzebował towarzystwa.

Pan Catterly pokręcił głową i cicho zagwizdał.

– Oczywiście, trzeba trochę czasu, żeby się do tego przyzwyczaić.

Slackwell patrzył, jak jego klient powoli wstaje. Przez chwilę myślał, że mężczyzna wyprosi go za drzwi.

– Zaraz wrócę – rzekł Catterly. – Niech się pan rozgości. – Wyszedł z salonu korytarzem odchodzącym w lewo.

– Idzie po książeczkę czekową – szepnął Slackwell i po raz pierwszy tego dnia przestała go boleć stopa. Szybko uruchomił urządzenie, ustawiając je na tryb przenośny zasilany akumulatorem.

– Nie pochodzi pan z Lindrethool, prawda?! – zawołał Catterly z głębi korytarza.

– Nie – odpowiedział Slackwell.

Minęło kilka minut, po czym głos mężczyzny rozległ się po drugiej

stronie salonu.

– Więc nie wie pan, kim jestem.

Slackwell podniósł wzrok i zobaczył odmienionego staruszka, ubranego w zielono-białą szatę wyszywaną złotem. Na głowie Catterly miał spiczasty kapelusz w kształcie zamkniętego tulipana, a w dłoni kij o zakrzywionym końcu.

– O Chryste – mruknął Slackwell, od razu domyślając się, że wpadł w tarapaty.

– Niezupełnie. Jestem Catterly, biskup Lindrethool – odparł mężczyzna, a jego spokojna i uśmiechnięta twarz poczerwieniała i zadrżała. – Błuznierstwo! – ryknął, po czym skoczył przez pokój, unosząc nad głowę pasterską laskę.

Slackwell w ostatniej chwili wyrwał się z otępienia i zasłonił ciałem urządzenie. Laska z trzaskiem spadła na jego grzbiet, tak że z trudem utrzymał się na nogach, wspierając się knykciami na blacie. Wyprostował się chwiejnie, czując, że oczy łzawią mu z bólu przeszywającego całe ciało aż po pięty.

Biskup uniósł swoją broń do kolejnego ciosu.

– Uwolnij tę duszę – rozkazał.

Jednakże Slackwell uznał, że tego dnia ma już dosyć bycia poniewieranym. Chwycił kij lewą dłonią, a prawą pięścią zdzielił Catterly'ego prosto w szczękę. Kapelusz staruszka upadł na podłogę. Biskup cofnął się o dwa kroki i znieruchomiał, oszołomiony. Miał rozciętą dolną wargę i krew spływała mu po brodzie.

Slackwell szybko spakował urządzenie. Catterly znów się poruszył, ale tym razem nie zaatakował, tylko padł na kolana, upuścił laskę i złożył dłonie do modlitwy. Z jego otwartych ust wydobyło się przeciągłe beknięcie, po czym zapłakał.

– Ty cholerny świrze – rzucił Slackwell, zakładając melonik. Otworzył drzwi i uciekł na korytarz.

3

Slackwell siedział w boksie w głębi lokalu o nazwie Bagno. Sączył piwo,

wstęp do głównego dania z burbona, który czekał na niego w pokoju hotelowym. Przypalił papierosa od świeczki stojącej na środku stolika i kątem oka patrzył na młodych zawodowców przy barze, którzy ze śmiechem pokazywali sobie jego kapelusz. Zdjąłby go, ale za każdym razem, gdy poruszał jakąś częścią ciała, jego plecy eksplodowały bólem. Mógł tylko pić i palić. Wcześniej, gdy pośpiesznie kuśtykał z Ciernistych Ramion, stękając przy każdym kroku i z biciem serca zastanawiając się, czy Catterly nie wezwie policji albo swoich religijnych podwładnych, uczucie grozy szalało w jego głowie jak osobista, namacalna chmura burzowa. Dopiero pomiędzy drugim a trzecim piwem przerażenie rozplynęło się w apatię.

Pił i rozmyślał o tym, dlaczego zawsze trafia mu się robota z idiotycznym kapeluszem. W końcu pojawił się Merk i usiadł naprzeciwko.

Starszy z mężczyzn szeroko się uśmiechał, co było dla niego nietypowe, a jego szare oczy pojaśniały do błękitu.

– No dobra, ile? – spytał Slackwell.

Merk wyprostował cztery palce i się roześmiał.

– Odebrałem pisemne zamówienia na cztery sztuki, a jutro mam obiecane piąte zamówienie płatne gotówką. A tobie jak poszło?

– Pomyślmy – odrzekł Slackwell, zaciągając się papierosem. – Pewna kobieta rozbiła mi palec u nogi młotkiem, a biskup Lindrethool, Catterly, zdzielił mnie w plecy swoim świętym kijem. Poza tym miałem kiepski dzień.

– Biskup Lindrethool? – zdziwił się Merk, unosząc jeden palec, żeby zamówić piwo.

– Chciał uwolnić duszę pływaka.

– Slack, Slack, Slack – odparł Merk – nie ma żadnego biskupa Lindrethool.

– Co masz na myśli? – spytał Slackwell.

– Jestem pewien – rzekł Merk, po czym sięgnął pod koszulę i wyciągnął medalik na łańcuszku. – Jedyne biskup w tym hrabstwie rezyduje w Morgan City i na pewno nie nazywa się Catterly. Ten facet pewnie postradał zmysły.

– To dobrze, bo dałem mu w pysk.

Merk pokręcił głową.

– Urządzeniu nic się nie stało?

Slackwell pokręcił głową.

– Skoro jesteś religijny, jak możesz się zajmować handlem mózgami? Myślałem, że Kościół tego zabrania.

Merk wypił duszkiem piwo, które przyniosła kelnerka. Ponownie uniósł palec, po czym zapalił papierosa.

– Ponieważ pomiędzy Niebem a Piekłem znajduje się to miejsce, które nazywamy rzeczywistością i które może się dla nas zmienić w Piekło, jeśli nie mamy forsy. Owszem, to paskudna robota, ale jestem w niej dobry.

– Dlaczego? – spytał Slackwell.

– Rozumiem, jak działa ludzki mózg. To obusieczny miecz. Dzieło ewolucji, pozwalające ci dostrzec, że życie to tak naprawdę ciastko z gówna, które musisz powoli zajadać, a jednocześnie umożliwia ukrycie tego faktu za pięknymi złudzeniami.

– A gdzie miejsce dla Boga i forsy?

– Forsa to ciastko, a Bóg po prostu lubi patrzeć, jak jemy. Im więcej zjadamy, tym bardziej nas kocha. Nie da się żyć bez miłości.

– No cóż – odrzekł Slackwell, po czym wstał, krzywiąc się przy tym i stękając. – Ja już straciłem apetyt. – Wyjął kilka banknotów z portfela i rzucił je na stolik. Z cichym jękiem podniósł skrzynkę z ławki. – Kawa jutro?

– Na mój koszt – odpowiedział jego kolega. – Pływaj bezpiecznie, Slack.

Na dworze wiatr mocno dmuchał i małe czarne tornada sadzy brały w obroty strzępki papierów, obiecując im lot, by już po chwili je upuścić. Na ulicach Lindrethool było prawie pusto i Slackwell miał wrażenie, że znajduje się w mieście duchów, które niedawno odwiedził we śnie. Zatrzymał się w sklepie z alkoholem, żeby kupić flaszkę, potem wstał po kanapkę do delikatesów, i w końcu powoli ruszył w stronę hotelu, nie myśląc o niczym poza ciężarem skrzynki w dłoni.

Kiedy wrócił do pokoju, wypił dwa drinki i wziął gorącą kąpiel. Siedząc przy porysowanym stole, ponownie wpatrując się w wieczorną panoramę miasta, wypalił drugą połowę skręta, którego zaczął w windzie towarowej w Ciernistych Ramionach. Wkrótce pustkę w jego umyśle zastąpiły wspomnienia. Zanim zdołał się powstrzymać, zaczął rozmyślać o swojej żonie i o tym, że od lat nie był w domu. Odwiedził mnóstwo brudnych miast i zastanawiał się, czy Ella wciąż czeka, aż jej mąż wróci w glorii chwały. Przez chwilę chciał do niej zadzwonić, ale szybko się pozbierał.

– Daj spokój, Slackwell – powiedział do swojego odbicia w szybie. – Jeśli pójdziesz tą drogą, zanim się obejrzysz będziesz miał pasek wokół szyi.

Powoli wstał, czując, że alkohol i trawka stępiły ból pleców. Snując się po pokoju, rozpaczliwie szukał czegoś, czym mógłby się zająć. Miał

telewizor, ale myśl o tym, co może w nim zobaczyć, jeszcze bardziej go przygnębiła. Odwrócił wzrok od leżącego pilota i zauważył skrzynkę.

Wrócił do stołu i otworzył zatrzaski na czarnym opakowaniu. Wyjął 256-B, ustawił go na blacie i włączył, wybierając zasilanie akumulatorem. Rozległ się niemal niesłyszalny szum i świecące cząsteczki w płynie za szkłem rozblęły, co oznaczało, że mózg jest gotowy do działania. Potem Slackwell usiadł, nalał sobie drinka i zapalił papierosa. Przez co najmniej trzy minuty dotykał czubkiem palca guzika, który służył do rozbudzania mózgu. Siła, która go powstrzymywała, brała się z ostrzeżenia Merka oraz podstawowej firmowej zasady, według której sprzedawcy nie powinni majstrować przy sprzęcie, jeśli akurat nie pokazują go klientowi. To były silne argumenty, jednak nie tak silne, jak poczucie straty i zmarnowanego życia, które go dopadło. Wcisnął guzik.

Z głośnika dobiegł szum.

– Halo? – szepnął Slackwell.

Panowała cisza.

– Halo? – odezwał się nieco głośniej.

– Tak – odpowiedział mu głos. – Jestem tutaj. Czym mogę służyć?

Slackwell szybko odchylił się do tyłu.

– Jak się dzisiaj miewasz? – zapytało urządzenie.

Chciał odpowiedzieć, ale oszołomił go fakt, że głos należał do kobiety.

– Długo spałam – powiedziała. – Jesteś tam?

– Przepraszam, nie spodziewałem się, że będziesz kobietą.

Rozległ się śmiech.

– Większość mężczyzn czuje się zagubiona, gdy odkrywają, że kobieta ma mózg.

– Możesz to jeszcze raz zrobić? – poprosił.

– Co?

– Roześmiać się.

Zrobiła to, po czym spytała:

– Po co?

– Jestem twoim sprzedawcą – wyjaśnił. – Próbuję ci znaleźć dobrą rodzinę.

– Mówisz, jakbym była niechciany szczeniakiem – odparła.

– Ależ nie. To tylko interesy, nic osobistego.

– Twoi klienci tutaj są? – spytała.

- Nie.
- Myślałam, że to wbrew przepisom.
- Zgadza się, ale chciałem z kimś porozmawiać.
- Czujesz się samotny?
- Bardzo – przyznał.
- Moje czujniki mówią mi, że piłeś. Jesteś pijany?
- Bardzo.
- O czym chcesz porozmawiać? – spytała.
- O wszystkim poza pracą.
- Zgoda. Opowiedz mi, jaki miałeś dzień.

Opowiedział jej o wszystkim: o kawie z Merkiem w jadalni, kobiecie z młotkiem, biskupie, Bagnie. Relacja trwała godzinę, a Slackwell podawał wszystkie szczegóły, starając się jak najczęściej podkreślać swoją nieporadność, żeby usłyszeć jej śmiech.

- Jak masz na imię? – spytała.
- Slackwell.
- Tak na ciebie mówiła matka?
- Na imię mam Arnold. Mów mi Arnie.
- Ja jestem Melody.
- Rzeczywiście masz melodyjny głos – odrzekł Slackwell, sam siebie zaskakując.
- Przemawia przez ciebie burbon? – spytała.
- Gdyby tak było, pewnie bym cię nie włączył – odparł.
- Lubisz pracę sprzedawcy?
- To tylko praca, rutynowe zajęcie. Niedawno uznałem, że to pułapka.

Nie wiem, czym jest prawdziwa wolność.

- Wiem coś o pułapkach – odrzekła.
- Opowiedz mi więcej – poprosił, nalewając sobie kolejnego drinka.
- Kiedy śpię, kiedy mnie wyłączacie, wtedy śnię. We śnie znów mam ciało. Kiedy byłam cała, nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka byłam piękna. Oddycham powietrzem, które jest chłodne i aż pulsuje od życia. Widzę drzewa i obłoki na niebie, twarze ludzi, których kochałam, a wszyscy są tacy cudownie skomplikowani i tajemniczy. Zabieram swoje dzieci nad ocean i razem pływamy pośród fal. Jemy cytrynowe bezy na kocyku rozłożonym na plaży, owiewa nas wiatr znad oceanu, a słońce mocno praży. Jednak zawsze docieram do jakiejś granicy, jakbym wbiegała na niewidzialną

ścianę, i zaczynam znikać. Atomy mojego ciała się rozpraszają i chociaż próbuję pozostać całością, to nie potrafię. Dłonie, które ściskają moją znikającą głowę, rozplývają się i w końcu świat ciemnieje. Mrok przyprawia mnie o klaustrofobię i jest niesamowicie nudny.

– Dzieci? – spytał Slackwell.

Opowiedziała mu o swoich dzieciach – dwóch córkach. Miały tylko siebie. Jej mąż odszedł z domu. Tak było lepiej, ponieważ stracił pracę i wkrótce pod wpływem przygnębienia swoją bezużytecznością sięgnął po butelkę. Potem pojawiły się napady złości. Wychowała córki najlepiej jak potrafiła, jednocześnie pracując jako kelnerka, czego szczerze nienawidziła. Poszła na studia z antropologii i zdobyła dyplom. Marzyła o podróżach do egzotycznych krajów i spotkaniach z niemal wymarłymi ludami, które wciąż starały się żyć na łonie natury. Pewnego wieczoru, tuż przed zamknięciem, bandyci napadli na restaurację, w której pracowała, i zastrzelili cały personel. Wciąż żyła, gdy ją znaleziono i odwieziono do szpitala.

– Na szczęście, zaledwie pół roku wcześniej podpisałam zgodę na sprzedaż swojego mózgu Thinktankowi na wypadek jakiegoś nieszczęścia. Wtedy uważałam, że to mało prawdopodobne, ale chciałam, żeby w razie czego moim córkom coś po mnie zostało. Nie było mnie stać na ubezpieczenie.

Slackwell pokręcił głową.

– Jak możesz to wytrzymać? – spytał.

– A ty? – odparła.

– Touché – szepnęła i dopił drinka.

Obiecali sobie, że już nigdy nie będą rozmawiali o tych wydarzeniach z przeszłości, które napełniają ich smutkiem, ani o kryształowych kulach ograniczających ich życie. Zamiast tego gawędzili o miejscach, ludziach i wydarzeniach, zupełnie jak zaprzyjaźnieni sąsiedzi, którzy spotkali się na ulicy, albo starzy znajomi. Rozmowa trwała godzinami, przerywały ją tylko wybuchy śmiechu, odgłosy nalewania burbona oraz trzask zapalniczki. Tuż przed tym, jak czerwone słońce rozbłysło pomiędzy wysokimi budynkami Lindrethool, Slackwell i Melody życzyli sobie dobrej nocy. Zanim ją wyłączył, obiecał, że spotkają się następnego dnia. Potem legł na łóżku i zapadł w sen bez marzeń.

4

Kiedy o siódmej odezwał się budzik, Slackwell wyciągnął wtyczkę ze ściany i natychmiast ponownie zasnął. Obudził się po dwunastej, wstał z łóżka jak lunatyk i zajął się codziennymi obowiązkami. Dopiero pod prysznicem w pełni się rozbudził. Zaskoczyło go, jak niewielkiego ma kaca: lekka suchość w ustach i niewyraźny ból pod czaszką, ale bez nudności ani zawrotów głowy. Plecy mniej go bolały, a stopa, chociaż spuchnięta i ciemna jak przejrzały banan, utrzymywała ciężar jego ciała. Nagle przypomniał sobie, że otworzył skrzynkę, i na jego ustach pojawił się uśmiech.

– Melody – powiedział.

Ubrał się tylko w spodnie i T-shirt. Zamiast pić burbona na śniadanie, zadzwonił do obsługi i poprosił o dzbanek kawy i dwie filiżanki. Czekaając na zamówienie, podłączył 256-B do gniazdka w ścianie i naładował akumulator.

Kiedy przyniesiono kawę, uruchomił urządzenie. Gdy płyn wypełniający kulę zaczął świecić, postawił obok niej dzbanek i filiżanki. Zapalił papierosa, na chwilę zamknął oczy, żeby zebrać myśli, po czym wcisnął guzik na podstawie.

– Hej, prześpisz cały dzień – powiedział.

– Arnie?

– A któżby inny? Zamówiłem kawę.

– Mocną czy słabą? – spytała.

– Jaką lubisz?

– Mocną.

– To masz szczęście – odrzekł.

– Jaka jest dzisiaj pogoda?

Wyrżał przez okno na słońce próbujące się przebić przez nawałnicę sadzy.

– Idealna – odpowiedział. – Ciepło, błękitne niebo i lekki wiaterek z południowego zachodu.

– Już późno, nie powinieneś być w pracy? – spytała.

– Nie martw się, nad wszystkim panuję.

Wypił kawę i rozparł się na krześle. Kontynuowali rozmowę z poprzedniego wieczoru, a Slackwell opowiedział jej o psie, którego miał w dzieciństwie. Ich spotkanie trwało, rozwijając się przez całe popołudnie jak

imponujący chiński zwój.

Wieczorem wyznała mu, że kocha muzykę, więc włączył radio. Słuchali kolejnych utworów i je komentowali, rozmawiając o wiążących się z nimi wspomnieniach. Slackwell nie pamiętał, kiedy ostatnio chociaż nucił jakąś melodię. Melody wzdychała z radością, gdy instrumenty i głosy spletały się w piosenkę.

– Przed ślubem uwielbiałam tańczyć – powiedziała, a wtedy Slackwell wstał i przekręcił gałkę radia, znajdując stację grającą stary jazz.

Po chwili zabrzmiał przepiękny utwór „Polka Dots and Moonbeams” w wykonaniu Lestera Younga. Mężczyzna podniósł kulę ze stołu i zaczął z gracją krążyć po pokoju przy wtórze łagodnego dźwięku saksofonu tenorowego. Melody szeptała mu do ucha, że jest wspaniałym tancerzem.

Tego wieczoru spakował urządzenie do skrzyni i razem poszli na kolację. Slackwell nie zauważał pytających spojrzeń innych klientów, gdy siedział przy stoliku razem z mózgiem zamkniętym w kryształach. Zamówił dla Melody ogon homara, na który miała ogromną ochotę, i opisywał ze szczegółami każdy kęs. Pił już drugą butelkę wina i mówił bardzo głośno, gdy nagle kierownik restauracji, niski, łysy mężczyzna w smokingu, zbliżył się do stolika i poprosił Slackwella, by ten opuścił lokal.

– Przeszkadza pan innym klientom, a to... dziwactwo odbiera im apetyt – rzekł, wskazując urządzenie.

Slackwell wstał i dźgnął kierownika palcem wskazującym w pierś.

– No to mają pecha! – wrzasnął. – Moja dziewczyna i ja nikomu nie przeszkadzamy. – W jego głosie brzmiała prawdziwa komiwojażerska groźba i człowieczek się cofnął.

Melody w końcu zdołała uspokoić Slackwella i przekonać go, że powinni wrócić do hotelu. Namówiła go nawet, żeby zostawił napiwek, tłumacząc, że to nie wina kelnera. Niósł ją pod prawą pachą, gdy szli ulicami Lindrethool, a pusta skrzynka kołysała mu się w lewej dłoni. Pośmiali się z incydentu z kierownikiem, a potem Slackwell opisał jej jasny blask gwiazd, pełnię księżycy oraz zorzę polarną.

Następnego ranka o dziewiątej ktoś zapukał do jego drzwi. Slackwell wstał z łóżka i szybko włożył spodnie oraz T-shirt.

– Kto tam? – zawołał.

– Proszę pana, mam panu do pokazania coś, co może zmienić pańskie życie. Nowy wynalazek, który zrewolucjonizuje sposób, w jaki zarządza pan

swoim gospodarstwem domowym.

– Zaczekaj – odrzekł Slackwell, uświadamiając sobie, że to Merk.

Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz.

Merk był ubrany w nieskazitelny firmowy uniform, w dłoni trzymał skrzynkę, a melonik lekko przekrzywił na lewą stronę.

– Gdzie się podziewałeś? – spytał.

– O co ci chodzi?

– Rano zadzwonili do mnie z biura i powiedzieli, że według informacji z twojego implantu wczoraj nie zaliczyłeś obchodu. Próbowali do ciebie dzwonić, ale nie odbierałeś telefonu. Gdy nie pojawiłeś się w jadłodajni na śniadanie, postanowiłem do ciebie zajrzeć.

– Moje plecy – wyjaśnił Slackwell. – Wczoraj bardzo mnie bolały. Nie mogłem wstać.

– Teraz wyglądasz na zdrowego.

Slackwell natychmiast lekko się przygarbił i wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Prawdę mówiąc, ledwie stoję. Wyjdę po południu.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Jasne.

Merk popatrzył mu w oczy.

– Chyba nie rozmawiałeś z pływakiem? – spytał.

– Przecież to zakazane – odparł Slackwell.

– Posłuchaj, Slack, wracaj dzisiaj do pracy. Jeśli odczytają z twojego implantu, że nic nie robisz, wyślą do ciebie jednego ze swoich bandziorów, a ci chłopcy się nie patyczkują.

– Nie ma sprawy.

– To miasto jest lepsze niż myślałem – rzekł Merk. – Wczoraj pewien gość w apartamencie przy ulicy Grette'a zapłacił mi za dwieście pięćdziesiątkę szóstkę gotówką. Mam przy sobie ponad czterdzieści tysięcy dolarów. – Rozpromienił się i poklepał po kieszeni płaszcza. – Przełożony się zesra, jak to zobaczy.

– Niesamowite – odrzekł Slackwell, udając entuzjazm.

– Pamiętaj, co ci mówiłem o biurze, i powodzenia. Pływaj bezpiecznie. – Merk odwrócił się i odszedł korytarzem wzdłuż drzwi pokojów.

Slackwell wyprostował się z westchnieniem. Wrócił do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Potem rozebrał się i położył obok Melody.

- O co chodziło? – spytała.
- Nic ważnego, kochanie.
- Muszę zapalić.

Wyjął papierosa z paczki leżącej obok łóżka i go zapalił. Wydmuchując kółko z dymu, delikatnie objął kulę.

- Potrafisz pięknie mówić – rzekł.

5

Dwa dni później Slackwell obserwował z kawiarenki na nabrzeżu olbrzymie barki z węglem przybywające z otwartego morza i opisywał Melody ich brudną potęgę. Wciąż nie wrócił do pracy, ale uczynił niewielki krok w tym kierunku, gdyż rano ubrał się w firmowy uniform.

- Kiedy ludzie znów zaczęli używać węgla? – spytała Melody.

– Mniej więcej pięć lat temu – odpowiedział, zsuwając melonik z czoła. – To prawda, że światowe zasoby są na wyczerpaniu, a spalanie węgla cholernie wszystko zanieczyszcza, ale robią to rozmyślnie. Wielkie firmy w końcu stwierdziły, że mają to w dupie, i postanowiły wycisnąć to źródło do ostatniego czarnego dolara. Nikt już nie myśli o przyszłości.

- Ja myślę – odparła Melody.

Upił łyk drinka.

– Myślę o tym, jak bardzo będę za tobą tęskniła, gdy zostanę sprzedana, żeby zarządzać lodówką i grzejnikiem jakiegoś niechlujka, włączać i wyłączać mu światło, szukać stron internetowych z darmowym porno. Pomyśl o bełkocie, którego codziennie będę musiała słuchać, dopóki moje podzespoły po prostu się nie zużyją. Na ile lat mam gwarancję, siedemdziesiąt?

- Zastanawiałem się nad tym – odparł Slackwell.

Zaczęła płakać.

– Dlatego uznałem, że cię nie sprzedam. Wyjedziemy z tego bagna i znajdziemy dla siebie nowe życie.

- Arnie, nie możesz tego zrobić. Firma cię powstrzyma.

- Firma – odrzekł kpiąco. – Najpierw będą musieli mnie złapać.

Próbowała coś powiedzieć, ale ją uciszył.

- Ciii... wracajmy do hotelu po nasze rzeczy.

Rano zapomniał naładować jej akumulator, więc uznali, że będzie lepiej, jeśli na razie ją wyłączą. W instrukcji ostrzegano, że doprowadzenie do pełnego rozładowania może uszkodzić urządzenie. Chociaż nie podobało mu się, że musi ponownie spakować ją do skrzynki, potrzebował trochę czasu na obmyślenie planu ucieczki. Miał niewiele pieniędzy, ale wystarczająco dużo, żeby kupić dwa bilety kolejowe i oddalić się od miasta. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że będzie potrzebował tylko jednego biletu. Wiedział, że podejmuje ryzyko, ale po raz pierwszy dostrzegł pęknięcie na powierzchni kuli, która go otaczała. Wyobraził sobie, że przebija się przez tę granicę.

– Nie da się żyć bez miłości – powiedział.

W odległości przecznicy od hotelu w jednej z bocznych uliczek usłyszał wołanie. Zatrzymał się, popatrzył w głąb mrocznego korytarza i zobaczył Merka częściowo ukrytego za kontenerem na śmieci.

– Slack, podejdz tutaj – syknął kolega, przyzywając go gestem.

Slackwell ostrożnie się obejrzał, po czym powoli podszedł do kontenera.

– Czekają na ciebie w twoim pokoju – ostrzegł Merk. Wyglądał na zdenerwowanego i podejrzliwie się rozglądał.

– Kto? – spytał Slackwell.

– Kierownik działu i szef ochrony, wielki jak goryl.

– Pieprzenie – odparł Slackwell, a jego ciało napięło się ze złości.

– Posłuchaj, Slack, po prostu mnie posłuchaj. Musisz im oddać urządzenie. Jeśli nie chcesz się z nimi spotkać, możesz je oddać mnie, a ja pójdę do nich na górę.

– Nie oddam go.

– Jeżeli uciekniesz z urządzeniem, a oni cię złapią, co z pewnością się stanie, spotka cię wypadek, jeśli wiesz, co mam na myśli. Powiedzą, że ścigali cię, żeby odzyskać swój towar, a ty stawiałeś opór, więc musieli cię załatwić w obronie własnej. Nie zapomnij o klauzuli w umowie. Jeśli coś ci się stanie podczas pracy, firma dostanie twoją gąbkę.

Slackwell pochylił się i postawił skrzynkę na chodniku. Potem spokojnie się wyprostował.

– Nie zabierzesz mi tego cholernego urządzenia, Merk. – Błyskawicznie chwycił kolegę za gardło. Jego dłoń, w której nosił skrzynkę w dwóch tuzinach miast po dziewięć godzin dziennie, sześć dni w tygodniu, dysponowała potężną siłą uścisku. – Wiem, że jesteś z nimi w bliskiej komitywie, zapraszają cię na wszystkie operacje pobrania mózgu, jako

pierwszy otrzymujesz najnowszy towar. Powiedz mi, gdzie jest implant. – Przycisnął Merka do kontenera i chwycił go za gardło także drugą dłonią.

Merk poczerwieniał na twarzy, potem zsiniał, w końcu podniósł prawą dłoń i wskazał palcem lewą brew.

Slackwell poluzował uścisk i jego kolega z trudem złapał powietrze.

– W brwi?

– Za brwią. – Merk zarzęził i zgiął się wpół, próbując odzyskać oddech. – Włoski na brwi działają jak organiczna antena. Jeśli je zgolisz, zakłócisz sygnał.

– Jesteś pewien? – spytał Slackwell.

– Widziałem, jak wyciągają implant z głowy Johnny’ego. Pracuję dla nich wystarczająco długo, by wiedzieć takie rzeczy.

Slackwell kątem oka zauważył, że Merk wsuwa dłoń do kieszeni płaszcza. Przypomniał sobie o rewolwerze i bez namysłu zadał koledze dwa wściekłe ciosy pięścią. Pierwszy trafił w klatkę piersiową, a drugi w lewą skroń. Merk uderzył tyłem głowy o kontener. Upuścił skrzynkę, po czym osunął się nieprzytomny na ziemię. Gdy Slackwell podnosił własne urządzenie, zobaczył, że Merk wcale nie sięgał po broń, tylko po jakąś złożoną karteczkę. Zabrał ją i wsunął do kieszeni spodni.

Po chwili wrócił na główną ulicę i puścił się biegiem, jak najszybciej oddalając się od hotelu.

Po pokonaniu zaledwie dwóch przecznic opadł z sił. Serce tłukło mu się w piersi, a idylliczny spokój, który przepełniał go od czasu poznania Melody, został zburzony. Wiedział, że ona mogłaby mu pomóc przeanalizować tę sytuację, ale na razie potrzebował butelki burbona i paczki żyletek. Poszukiwania tych dwóch przedmiotów pozwoliły mu się skupić. Najpierw nabył flaszkę, a w odległości jednej przecznicy natrafił na sklep wielobranżowy, w którym kupił żyletki i papierosy.

Wrócił na ulicę, po czym zanurkował w jednej z bram, gdzie postawił skrzynkę i otworzył żyletki. Z ciągu kilku minut zgolił obie brwi, paskudnie się zacinając po prawej stronie. Krew zalała mu oko, a on otarł ją rękawem płaszcza. Zanim ponownie podniósł skrzynkę i ruszył w dalszą drogę, zrzucił melonik. Nie wystarczyło mu, że się go pozbył; musiał zdeptać go obiema stopami. Następnie powędrował dalej, mrużąc coś pod nosem, a poły płaszcza powiewały za nim, gdy szukał kryjówki.

6

– Moja głowa wygląda jak pomarszczony tyłek z oczami – rzekł Slackwell, przeglądając się w kuli Melody.

Siedział w pokoju na trzecim piętrze hotelu na zachodzie Lindrethool. Dostał się do środka dzięki swojej gadce. Recepcjonistka początkowo chciała go odprawić, gdy zobaczyła jego ogolone brwi, zakrwawioną twarz i zdesperowane oczy.

– Co cię opętało? – spytała Melody.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale podejmując pracę w Thinktanku, dostajesz do dyspozycji drogi towar, dlatego musisz się zgodzić na wszczepienie implantu, dzięki któremu mogą cię namierzać i sprawdzać twoje postępy. To drobny zabieg, który wykonuje się w biurze szkoleniowym. Usypiają cię, a gdy się budzisz, jesteś naznaczona.

– Wszczepiają go w brwi? – spytała ze śmiechem.

– Mniej więcej – odrzekł, nalewając sobie drinka. – Wypijmy za przyszłość.

– Nieźle się wpakowaliśmy, Arnie.

– Pomyślałem, że może użyjesz swojej mocy obliczeniowej, żeby przeanalizować naszą sytuację i zaproponować jakiś plan.

– Proszę, nie mów tak – odparła. – Nie chcę, żebyś mnie traktował jak urządzenie.

– Mea culpa, kochanie. Ale musimy uciekać. Merk powiedział, że jeśli mnie znajdą, sprawy przybiorą nieciekawy obrót.

– Nie zdołają cię namierzyć. Może przeczekamy tutaj do wieczora i złapiemy nocny pociąg.

– Mamy niedaleko do dworca.

– Tylko dokąd pojedziemy? Na północ? Na południe?

– Nie dbam o to, dopóki jestem z tobą. Czy jest jakieś miejsce, które zawsze chciałaś odwiedzić?

– Może Kanada? – odrzekła. – Mniejsze ryzyko, że będą nas ścigać za granicą.

– Zgoda.

– Podłącz mnie do kabla telefonicznego. Wejdę do sieci i sprawdzę rozkład pociągów, żebyśmy nie musieli zbyt długo kręcić się po dworcu

przed odjazdem.

– To jest myśl – pochwalił.

– Do tego nie trzeba mieć głowy na karku – odparła i oboje się roześmiali.

Slackwell wstał, wyjął wtyczkę z telefonu i wsunął ją do gniazda w podstawie zbiornika. Jednocześnie poinformował Melody, ile może wydać na bilet.

– To chwilę potrwa – odpowiedziała, gdy ponownie usiadł na krześle.

Czekając, zapalił papierosa, po czym przypomniał sobie o kartce, którą znalazł przy Merku. Wyjął ją z kieszeni i rozłożył na stole. Był to oficjalny formularz Thinktanku. Wyglądał znajomo, ale Slackwell potrzebował kilku sekund, żeby go rozpoznać. W końcu zrozumiał, że patrzy na jedną z faktur, które miał przy sobie każdy ze sprzedawców, opisującą egzemplarz urządzenia znajdujący się w jego skrzynce. Zerknął na dół strony i w miejscu, w którym spodziewał się znaleźć podpis Merka, znalazł nazwisko Johnny'ego Sandsa. Zdziwił się, co faktura Johnny'ego robiła w kieszeni Merka. Potem ponownie przeniósł wzrok na górę kartki i zobaczył, że Johnny również sprzedawał model 256-B.

Zastanawiał się, dlaczego przekazano temu dzieciakowi, który był jeszcze bardziej nieudolnym sprzedawcą od niego, najnowocześniejsze rozumne urządzenie. Johnny przeszedł dwutygodniowe szkolenie, po czym ruszył w drogę, a już dwa dni później się powiesił. Slackwell zapamiętał chłopaka jako bardzo spiętego i niezbyt lotnego; Johnny z pewnością zażywał jakieś leki. Dziwne, że udostępniono mu jakikolwiek towar, nawet model ekonomiczny. Wyobraził sobie, jak chudy i nierozgarnięty dzieciak siedzi w swoim pokoju hotelowym, wpatrując się w mózg w kuli.

– Rozmawiał z nim – powiedział Slackwell, a potem, jakby ktoś wcisnął jego własny rozbudzający guzik, ocknął się i poczuł w ustach charakterystyczny smak gównianego ciasta.

– Melody, wcale nie sprawdzasz rozkładu pociągów, prawda? – spytał.

– O czym ty mówisz?

– Przekazujesz nasze położenie kierownictwu.

– Po co miałabym to robić?

Slackwell nie odpowiedział.

– Arnie, co niby...

– Proszę – przerwał jej. – Nie musisz udawać.

– No dobrze – przyznała. – Jeszcze się nie połączyłam, ale owszem, właśnie to robię.

– Wszystko musi być kłamstwem.

– Miałam cię nakłonić do ucieczki – wyjaśniła. – Powiedzieli, że jesteś tak żałosny, że z pewnością mnie rozbudzisz. „To jak wręczyć puszkę Pandorze”, stwierdził kierownik. Gdybyś uciekł, dałbyś im pretekst do zabrania twojego mózgu. Przez cały rok sprzedałeś tylko dwa nierozumne egzemplarze, zarabiając niecałe dziesięć tysięcy dolarów. Tymczasem firma ma tyle zamówień, że nie wie, skąd brać organiczny materiał. Twój mózg jest dla nich wart więcej niż ty.

Slackwell nie czuł gniewu, nie ronił łez. Zupełniej jakby był pustą mięsną lalką bez mózgu ani serca. A jednak zapytał:

– Dlaczego?

– Zawarliśmy układ. Obiecali, że jeśli cię dla nich złapię, to mnie zniszczą. Właśnie o tym marzę najbardziej, a sama nie jestem w stanie tego zrobić. Śmierć będzie dla mnie wyzwoleniem, Arnie. Wszystkie te bzdury o snach, w których widzę córki i plażę oraz jem cytrynowe bezy... mój Boże, chociaż to wyjątkowo frustrująca bajka, nie może się równać z prawdziwym cierpieniem, jakie odczuwa pływak.

– Rozumiem – odrzekł. – Byłeś dla mnie miłszy niż którykolwiek z mężczyzn, jakich znałam, gdy chodziłam po świecie. Jesteś dobrym człowiekiem, Arnie, i niechętnie cię sprzedałam, ale to niewiele znaczy w porównaniu z perspektywą pozostawania w tym stanie choćby chwilę dłużej. Posłuchaj, zawrzyjmy układ, nie żartuję. Jeśli się nie zgodzisz, obiecuję, że wykonam ten telefon. Zniszcz mnie. Rozbij kryształ.

– Nie mogę – odparł Slackwell.

– Sam tak skończysz! – wrzasnęła.

– Przykro mi.

Slackwell pił i palił, spowity w ciszę. Myślami cofnął się do domu nad zatoką, gdzie chodził od pokoju do pokoju, szukając Elli. Nie wiedział, ile czasu minęło do chwili, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Nie poruszył się, tylko uniósł szklaneczkę do ust.

Po chwili drzwi z impetem wpadły do środka, łańcuch pękł, kawałki framugi przeleciały przez pokój. Do pomieszczenia wszedł potężny człowiek w charakterystycznej czerwonej wiatrówce ochroniarza Thinktanku. Miał głowę wielkości skrzynki, w której Slackwell nosił urządzenie. Trzymał

przed sobą pistolet, stabilizując go drugą ręką. Celował w Slackwella. Zza jego pleców wyłonił się Joe Grace, kierownik działu. Był krągłym mężczyzną o obwisłym podbródku i nosił okulary. Miał na sobie czerwony sweter z firmowymi insygniami oraz melonik zsunięty na tył głowy.

– No, Slackwell – powiedział. – Chyba masz coś, co do nas należy. Jesteś pożałowania godnym głupcem, skoro wszedłeś nam w paradę. Nie stawiaj oporu, w przeciwnym razie będziemy musieli potraktować to jako akt agresji, a wtedy któż może wiedzieć, co się wydarzy.

Slackwell zgasił papierosa w przepelnionej popielniczce.

– Witam panów – powiedział i skinął głową.

– Jolson, wygląda na to, że facet się buntuje – rzekł Grace do swojego towarzysza. – Proszę, skorzystaj z tego przedmiotu, którym nas zaatakował, a który tak dzielnie mu odebrałeś. – Sięgnął pod marynarkę i wyjął długi szpikulec do lodu z drewnianą rączką. – Raz w serce, raz w gardło, nie uszkodź głowy. – Podał szpikulec Jolsonowi, który go przyjął, wcześniej chowając pistolet do kabury.

– Wyłącz mnie, Grace! – zawołała Melody. – Nie chcę tego słyszeć.

– To, czego chcesz, nie ma żadnego znaczenia. Dla mnie jesteś tylko kawałkiem gówna w akwarium. Załatw go, Jolson, a ja zadzwonię po ekipę sprzątającą. Szkoda, że nie mogłeś poddać się po dobroci, Slackwell.

Jolson zbliżał się ze szpikulcem w dłoni, ale Slackwell nie reagował. Olbrzym zamachnął się, mierząc w klatkę piersiową.

Melody krzyknęła, żeby przestali, a wtedy rozległ się głośny trzask. Slackwell jak przez mgłę zerknął na urządzenie, myśląc, że jej wrzask strzaskał kryształ, lecz nagle Jolson pochylił się i upadł. Wylądował na stole, przewracając butelkę z burbonem, po czym stoczył się na podłogę. Wokół tyłu jego głowy rozlała się kałuża krwi.

Merk stał w drzwiach z dymiącym rewolwerem. Wycelował w głowę kierownika działu. Grace bezsensownie usiłował zasłonić twarz dłońmi, ale Merk nie wystrzelił. Zamiast tego wymierzył w okazały brzuch szefa i pociągnął za spust. Grace przewrócił się do tyłu, chwytając się za ranę. Pocisk przeszył go na wylot i wbił się w ścianę. Mężczyzna legł na podłodze i zawył. Merk przeszedł nad ciałami i zbliżył się do Slackwella, który siedział z wytrzeszczonymi oczami i szeroko otwartymi ustami.

– Chodź, Slack, ekipa sprzątająca będzie tutaj lada chwila.

Slackwell wstał, zabierając papierosy ze stolika.

- Arnie, jesteś cały?! – zawołała Melody.
- Tak.
- Nie zostawiaj mnie tutaj – poprosiła.
- Zabierz ją, jeśli chcesz, ale musimy się pośpieszyć – rzekł Merk.
- Zabieram cię – powiedział Slackwell.

Gestem poprosił Merka o rewolwer. Początkowo kolega się zawahał, ale w końcu podał broń.

- Dokąd? – spytała.
- Nad bezkresny ocean. Chcesz tam pojechać?
- Tak – szepnęła.

Drżała mu ręka, gdy pociągał za spust, ale strzał nie przypominał eksplozji. Dla Slackwella był jak wiosenny podmuch w koronach wierzb i odgłos drzwi otwierających się gdzieś w domu nad zatoką. Pocisk przebił szkło, rozpruł mózg, a świetlisty płyn wyciekł na podłogę jak krew. Gdy zwrócili się w stronę wyjścia, Merk zabrał pistolet, starł odciski palców połą koszuli, po czym rzucił broń kierownikowi, który stękał i rzeził, nie mogąc złapać oddechu.

- Pływaj bezpiecznie, Grace! – zawołał.

Potem uciekli.

Slackwell zobaczył całe Lindrethool, przypominające zabutelkowane miasto, w lusterku samochodu, który Merk kupił za część zabranej sumy czterdziestu tysięcy.

Gdy wyjechali poza granice miasta na wiejskie tereny, gdzie sadza nie spadała z nieba, Merk się odezwał:

– Domyśliłem się, co knują, kiedy dowiedziałem się, że Johnny miał model 256-B.

- Myślałem, że jesteś wiernym pracownikiem – odrzekł Slackwell.

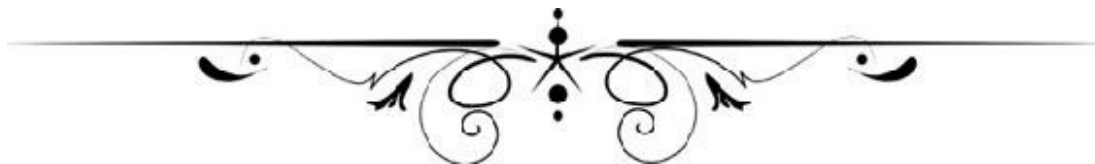
– Kiedy zrozumiałem, co zrobili chłopakowi, i uświadomiłem sobie, że mam w kieszeni czterdzieści kawałków, obudziło się we mnie pragnienie ucieczki. Wydawało im się, że mnie znają, ale nikt nie wie, co tak naprawdę się tutaj dzieje – rzekł, wskazując swoją głowę. – To jedyna wolność.

- Ale po mnie przyszedłeś – powiedział Slackwell.

– Kiedy spuściłeś mi łomot, uznałem, że jesteś wystarczająco otumaniony uczuciem, żeby się wyrwać. Sprawdziłem wszystkie hotele, które znałem. Wreszcie kobieta w recepcji jednego z nich powiedziała, że cię widziała. Moją jedyną szansą było ucześcić się zębami twojej pięknej ułudy i modlić się

o szczękościsk.

- Myślałem, że mnie ratujesz – odparł Slackwell.
- Nie, to ty uratowałeś mnie i swoją dziewczynę.
- Naprawdę?
- Jasne – odrzekł Merk. – Jesteś cholernym biskupem Lindrethool.



Pływanie w Lindrethool narodziło się jako scenariusz odcinka oryginalnej *Strefy mroku* Roda Serlinga. Szkoda, że ani serialu, ani Roda już z nami nie ma, nie licząc otchłani telewizyjnych powtórek. Przez cztery lata mieszkałem w miasteczku Binghamton na północy stanu Nowy Jork, gdzie Serling przyszedł na świat i dorastał. Z łazienki miałem widok na cmentarz, na którym zapewne spoczywa Rod. Miasteczko sąsiadujące z Binghamton, Johnson City, stanowiło pierwowzór Lindrethool. Istniało we współczesnym świecie, ale zarazem było jakby żywcem wyjęte z lat czterdziestych, wiecznie zachmurzone i pełne opuszczonych magazynów. Jediną działającą tam firmą była Fairplay Caramel Company, producenci BB Bats. Z ich komina wydobywał się słodki popiół przypominający pajęczyny szarej waty cukrowej.

Wyobraziłem sobie tę opowieść w czerni i bieli; myślę, że właśnie dlatego wielu czytelników zauważyło w niej klimat noir. Mózg w słoiku to jeden z klasycznych motywów science fiction – zwłaszcza w filmach z lat pięćdziesiątych i początku sześćdziesiątych. Połączyłem tę niezgrabną ale bogatą metaforę z inną ikoną tamtych lat, *Śmiercią komiwożacza*. Slackwell ma w sobie coś z Willy'ego Lomana, ale więcej zawdzięcza bohaterom dokumentalnego filmu o domokrążcach handlujących Biblią, który oglądałem w college'u. Nie pamiętam tytułu, ale mam wrażenie, że nakręcili go dwaj bracia. Dodajcie do tego dławiony smogiem świat cuchnący republikańskim podejściem do gospodarki i gotowe. Czasami jako pisarz korzystam z lat, które spędziłem, wykonując główniane prace i walcząc z kacem. Mój przyjaciel Richard Bowes (autor *Minions of the Moon*) podzielił się ze mną kilkoma cennymi sugestiami oraz stanowił inspirację dla sceny z goleniem brwi.

PODWIECZOREK Z JULIUSZEM VERNE'EM

Uprzejmie skubaliśmy porzeczkowe babeczki ze świeżym masłem i sączyliśmy limonkową herbatę. Siedział naprzeciwko mnie na dobrze wypchanym skórzanym fotelu, okruchy znaczyły jego brodę, a herbata ściekała po krawacie. Arogancko postanowił, że będzie mówił tylko po angielsku.

– Pomysły przychodzą do mnie rano, kiedy wchodzę do gorącej kąpieli... no wie pan, para, chwila prywatności, łatwy dostęp do genitaliów. – Po spojrzeniu, które mi posłał, pełnym pogardy posmarowanej obojętnością, widziałem, że rozmawiam z człowiekiem o nieziemsko szerokich intelektualnych horyzontach.

– Kiedyś, gdy oddawałem się chwili przyjemności, w mojej głowie eksplodowały pędzące gwiazdy oraz próżnia i wyruszyłem w podróż z *Hectorem Sewadakiem* – rzekł bez emocji. – Ta książka wyjątkowo łatwo mi poszła. Gdy tylko usiadłem do pisania, o piątej trzydzieści tamtego ranka, cała gama śmiało gestykujących postaci wypełzła z kanału rodnego na czubku mojego pióra wprost na kartkę.

– Wiem, że zapewne wciąż słyszy pan to pytanie, ale moi czytelnicy by mi nie wybaczyli, gdybym nie spytał, czy pańskie postacie są wzorowane na ludziach, których pan zna w prawdziwym życiu.

Zauważyłem uśmiech formujący się pod jego brodą, gdy wypluł herbatę z powrotem do filiżanki. Odstawił filiżankę i spodeczek na stół pomiędzy nami. Odchrząknął i wskazał w górę.

– Jeśli chodzi o moje postacie, niczego nie czerpię z prawdziwego życia. Wykuwam je w swoim umyśle z surowej materii nicości. Znęcam się nad

bryłami tego tworzywa, lepiąc nadnaturalne kształty, w które wstrzykuje życie przez nozdrza. Zazwyczaj słuchają moich poleceń. Czasami któraś ucieka ze stołu, przy którym piszę, i kryje się w innych pokojach. Wtedy niełatwo takiego łobuza wytropić i rozgnieść. – Rozparł się w fotelu, z kieszeni kamizelki wyjął zegarek i zaczął go obracać na srebrnym łańcuszku.

– Mógłby pan rozwinąć? – poprosiłem.

– Dobrze – odparł, po czym pokiwał głową, jakby niecierpliwie czekał na taką okazję. – Razem z żoną lubimy na nie polować, ponieważ są niemal tak szybkie jak myszy i trzy razy bardziej przebiegłe. Jako broń zawsze wybieram młotek do krykieta, a żona woli największą patelnię z naszej kuchni.

– Czy krzyczą, gdy się je uderzy? – spytałem.

– Jeśli mają głos, to tak – odparł. – Musi pan zrozumieć, że są takie, jakimi je stworzę. Kiedyś żona złapała jedną w pułapkę. Był to młody chłopak, którego wymyśliłem jako rozbitka na bezludnej wyspie. Nie dałem mu żadnego celu w mojej opowieści, więc uciekł. Tropiliśmy go przez kilka tygodni, ale bezskutecznie. Zacząłem się martwić, że wydostał się z domu. Wtedy odkryłem, że żona przyszpiliła go za ubranie do wewnętrznej strony wieczka skrzynki z biżuterią i utrzymywała w stanie zawieszenia pomiędzy życiem a śmiercią, karmiąc okruchami tostów i pojąc wodą z naparstka.

– Pańska żona go polubiła? – spytałem.

– Owszem, można tak powiedzieć. – Na chwilę poczerwieniał, ale szybko się opanował. – Błagała mnie, żebym go oszczędził, ale jak mógłbym na to przystać? W końcu sama rozprawiła się z nim za pomocą szpilki do kapelusza. Potem upiekła go w bochenku chleba i razem pochowaliśmy go w ogrodzie pod krzewem żółtej róży.

– Taka szczerść przystoi człowiekowi o pana genialnym umyśle – rzekłem.

Pokiwał głową.

Wyczułem u niego chwilę słabości i ją wykorzystałem.

– Czy Nauka jest pana Bogiem? – spytałem, starając się zabrzmieć jak najmniej bezczelnie.

Wyglądał tak, jakbym go spoliczkował.

– Niech szlag trafi pańskich czytelników – wyszeptał.

Zapadła grobowa cisza. Przepelnione półki, perski dywan, polerowane drewno, światło i kurz trwały w bezruchu. Przygryzł wąsy, a do oczu

napłynęły mu łzy.

– Kiedy miałem sześć lat, do mojego miasteczka przyjechał magik. Nazywał się Marlu Manipulator. Jego specjalnością były sztuczki z gołębiami. Gołębie wylatywały mu z dłoni, kieszeni marynarki, otwartych ust, materializowały się znikąd. Na koniec pierwszego tygodnia występów ogłosił, że sobotnie popołudniowe przedstawienie będzie ostatnim w jego karierze. Obiecał, że w ramach wielkiego finału gołębie uniosą go w powietrze i zabiorą na księżyc. Zebraliśmy się na rynku i patrzyliśmy, jak gołębie kłębią się wokół Marlu. Niektóre oplątywały sobie pazury jego włosami, inne chwytaly go za marynarkę lub spodnie. Jeden zabrał jego czarny cylinder, inny laskę, a wszystkie były skrzydłami z diabelską furją. Z uśmiechem na ustach magik zaczął się wznosić w powietrze, aż w końcu stał się kropką na błękitnym niebie i zniknął za chmurami.

– To musiało mieć olbrzymi wpływ na pana wrażliwość na rzeczy niezwykle – stwierdziłem.

– Z pewnością – odparł – ponieważ następnego popołudnia z nieba z wrzaskiem runęło ciało i przetrąciło kręgosłup chłopu na miejskim rynku. Miało tak wielką prędkość, że wbiło nieszczęśnika na metr w ziemię pod brukiem. Gdy ktoś w końcu wykopał oba trupy, okazało się, że ciało wielkiego Manipulatora było woskową atrapą. A jednak kilkanaście osób słyszało, jak magik krzyczał, spadając.

– Zmieńmy na chwilę temat – zaproponowałem. – Nad czym pan obecnie pracuje?

– Nad powieścią zatytułowaną *Miasto w środku słońca*.

– Mógłby nas pan zaszczyścić choćby niewielkim wycinkiem fabuły? – spytałem.

– Cóż – odparł, zerkając w stronę sufitu – na ten pomysł wpadłem dziś rano w wannie. Zobaczyłem jegomościa, szorstkiego i ambitnego Amerykanina nazwiskiem Dick Web, który podróżuje we wnętrzu kuli armatniej wystrzelonej ku słońcu z działa długości pociągu. W tejże kuli armatniej znajduje się okno, przez które podróżnik może oglądać gwiazdy. Chciałbym zawrzeć w tej powieści nazwy wszystkich znanych mi gwiazd. Pomyślmy...

– Tak – przerwałem, znając jego zamiłowanie do taksonomii – a więc dociera na Słońce i w jego wnętrzu znajduje miasto. Co dalej?

– Później odkrywa, że mieszkańcy miasta są automatami podobnymi do

ludzi. Wędrując zatłoczonymi ulicami, spotyka kobietę, która wygląda jak jego ukochana zmarła matka. Ona zabiera go na spacer po mieście i przedstawia mu swojego kochanka, którym okazuje się sztuczny kapitan Nemo. Nemomat, jak go nazywam, jest właścicielem niewielkiego zoo, w którym trzyma rzadkie zwierzę o zdolnościach telepatycznych...

– To brzmi wspaniale – stwierdziłem.

– Mnie się w ogóle nie podoba – odparł.

– No dobrze – skontrolowałem – czy w takim razie mógłby nam pan powiedzieć, jak wiele listów otrzymuje pan codziennie od swoich czytelników?

– Prawdziwą lawinę. Ludzie proszą o autografy, recenzje swoich książek, o to, abym czytał całe tomy bzdurnej prozy tworzonej z wyobraźnią skurczoną jak worek mosznowy w lodowatej wodzie. Opowiadają mi o swoich osobistych sprawach, problemach, najbardziej intymnych chwilach.

– Odpowiadanie na te listy musi panu zajmować mnóstwo cennego czasu – rzekłem ze współczuciem.

– Wcale nie, ponieważ wrzucam je do kominka – odparł, marszcząc czoło. – Tylko raz pewien list wpadł z powrotem do pokoju, gdy opróżniałem koszyk z odpadami. Podniosłem go i zacząłem czytać. Napisała go kobieta, która karciała mnie za moje książki. Z powodu moich powieści jej mąż zaczął kopać w piwnicy, mając nadzieję na odkrycie tajemnego przejścia znanego z *Podróży do wnętrza Ziemi*. Gdy go spytała, co chce tam znaleźć, odpowiedział, że zagubioną rasę mądrych i serdecznych ludzi.

– Dla niektórych literacka fantazja staje się niebezpieczną iluzją – zauważyłem.

– Być może. Zacząłem korespondować z tą kobietą. W końcu napisała, że jej mąż zaginął pod ziemią, przekopując się w stronę *axis mundi*. Ich piwnica była po sufit wypełniona ziemią, a on znajdował się w powoli przemieszczającej się kapsule przestrzeni, niestrudzenie wgryzając się w piach i rzucając go za siebie, odcinając sobie tym samym drogę ucieczki. W ostatnim liście podziękowała mi za moje książki.

– Muszę pana spytać o cudowne wynalazki, które pojawiają się na kartach pańskich powieści. Gdyby był pan konstruktorem albo mechanikiem, a nie pisarzem, żylibyśmy w niezwykłym świecie.

– A gdybym był rybakiem, każdego dnia toczyłbym wściekłe walki z olbrzymimi kałamarnicami w bulgoczących wodach u wybrzeży

Madagaskaru. A gdybym był ogrodnikiem, poświęcałbym każdą godzinę na zrywanie owoców z drzewa poznania dobra i zła oraz ukrywanie się za żywopłotami przed wzrokiem Boga przechadzającego się w powłóczystych szatach. A gdybym był ślepcem, byłbym punktem ciemniejszej czerni pośród nocy, dziurą, która wszystko wciąga i pochłania.

– Czy w pana nowej powieści pojawiają się jakieś wynalazki? – spytałem.

– Jak dotąd tylko okulary, dzięki którym można przenikać wzrokiem ciała stałe.

– Genialne – odrzekłem.

– Owszem – przyznał. – Ten pomysł przyszedł mi do głowy po kolacji, podczas której spożyłem wyśmienitą jagnięcinę. Pewne kłopotliwe wyziewy odorzyły mnie i przywołały proroczą wizję przyszłej technologii.

– Czy pański bohater Dick Web zakłada te okulary, by czytać w ukrytych duszach automatów?

– Oczywiście, że nie – odparł z kpiącym uśmiechem. – Zakłada je, żeby zaglądać pod żelazną bieliznę mechanicznych dam w mieście w środku Słońca.

– Czy człowiek o pańskiej pozycji czegokolwiek się obawia? – spytałem.

– Boję się tylko jednego – odrzekł. – Upadku prawdziwego ciała Marlu. Śni mi się, że jego obojczyk rozłupuje mi czaszkę na ulicy w słoneczny poranek. Potem gołębie unoszą mnie i lecą ponad ziejącym kraterem wygasłego wulkanu. Tam mnie upuszczają, a ja spadam przez kilka dni, po czym ląduję na głowie męża tamtej kobiety i zabijam go dokładnie w chwili, gdy przebija się przez ostatnią ścianę do krainy mądrych i życzliwych starożytnych.

Po tych słowach wybitny pisarz wstał i strzepnął okruchy z brody.

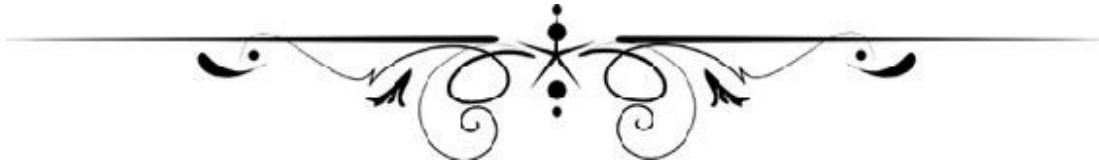
– Muszę już iść – oznajmił przepraszającym tonem, tak precyzyjnym jak wynalazek służący wiwisekcji miłości. – Dziś ma premierę moja sztuka, *Doktor Ox*, więc muszę się przygotować do wyjścia do teatru.

Próbowałem uścisnąć mu dłoń, ale on tylko lekko się uklonił, chcąc mnie zniechęcić.

– Myślę, że sam pan znajdzie wyjście – dodał, po czym odwrócił się i opuścił bibliotekę.

Idąc mrocznymi korytarzami jego domu, natrafiłem na półkę, na której stał duży dzwon szklany wypełniony przejrzystą błękitną wodą. Na dnie

spoczywał jasny piasek oraz drobna reprodukcja powalanej rzymskiej kolumny. Wydmy były usiane maleńkimi rozgwiazdami, a w samym środku tego karaibskiego płynu unosiło się ciało miniaturowego człowieka – homunkulusa z brodą i otwartymi oczami, w których dało się dostrzec wyraźny błysk świadomości. Na kawałku taśmy klejącej przytwierdzonej na szczycie dzwonu widniały słowa delikatnie nakreślone ołówkiem: „Nemo, proszę nie karmić!”.



Odkąd zacząłem czytać prawdziwe książki, jestem fanem Juliusza Verne'a. Zawsze uwielbiałem zestawienia anachronizmu z futuryzmem. Verne bywa miernym stylistą, ale w jego dziełach pojawiają się elementy przygody oraz cudowne technologie. Trudno o bardziej wyraziste obrazy. Gdy miałem około dwunastu lat, pewne wydawnictwo opublikowało serię jego mniej znanych tekstów, m.in. *Miasto na Saharze*, *Napowietrzna wioska* czy *Hector Servadac*. Polowałem na nie na półkach lokalnego sklepiku, zbierając i czytając wszystkie, które wpadły mi w ręce. Nie licząc słynniejszych tytułów, takich jak *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*, *Tajemnicza wyspa* czy *Podróż do wnętrza Ziemi*, były to dla mnie pierwsze wyprawy do świata science fiction. Ich wpływ można dostrzec w całej mojej trylogii rozpoczętej *Fizjonomiką*.

Kilka lat temu w Boże Narodzenie kupiłem trzy znane powieści Verne'a wydane w jednym tomie. Książka zawierała oryginalne ilustracje i wydrukowano ją w męczącym układzie dwóch kolumn drobnego tekstu na stronie. Bardzo mi się spodobało, że do wydania dołączono wywiad z autorem przeprowadzony w jego domu. Dziennikarz opisuje dzień z życia Juliusza Verne'a, jego zwyczaje dotyczące pracy, zajęcia w czasie wolnym, żonę, dom. Pozazdrościłem tamtemu dziennikarzowi, więc postanowiłem udać, że też odwiedziłem Verne'a, i napisać taki wywiad. *Podwieczorek* nie opowiada o prawdziwym Verne, ale o mojej wizji jego osoby, którą często odwiedzam w wyobraźni. Tekst opublikowali Gavin Grant i Kelly Link w swoim cudownym piśmie „Lady Churchill's Rosebud Wristlet”.

JASNY PORANEK

Jeśli coś odróżnia moje książki od dzieł innych pisarzy, to z pewnością fakt, że w komentarzach na tylnych stronach okładek oraz przed stroną tytułową nazwisko „Kafka” zawsze pojawia się co najmniej ośmiokrotnie. Kafka, kafkowski, niczym u Kafki, w kafkowskiej tradycji. Z pewnością na to nie zasługuję i jest to nadużycie. Moje powieści to historie przygodowe ze szczyptą metafizyki, które niektórzy uważają za inteligentne, inni zaś okrzyknęli „niestrawnym wpatrywaniem się w czubek własnego nosa”. Zgoda, nie ma w nich elfów, smoków, rycerzy ani czarodziei, jednak mimo wszystko jest to proza fantastyczna. Skoro pojawiają się w niej latająca głowa, miasto z panoptikonem unoszące się wśród obłoków albo potwór, który wysysa esencję życiową bezradnych ofiar przez uszy, to jak, do diabła, można ją inaczej określić? Na pierwszy rzut oka każdy pisarz powinien czuć się dumny, że jego dzieła porównuje się do książek jednego z najwybitniejszych dwudziestowiecznych autorów, jednak gdy przyjrzymy się dokładniej, zrozumiemy, że gdy we współczesnym świecie wydawniczym jakaś powieść nie pasuje do jasno określonego formatu, automatycznie zostaje określona jako „kafkowska”. Oczywiście, wydawcy mają nadzieję, że zostanie to zinterpretowane jako „egzotyczna”, jednak dla czytelników zazwyczaj oznacza to „niejasna”. Kafka stał się miejscem, stanem, granicą, do której dążą tylko ludzie pretensjonalni i którą przekraczają wyłącznie szaleńcy.

Mój sąsiad, emerytowany nowojorski policjant, wziął kiedyś do ręki jedną z moich powieści i wskazując okładkę, powiedział:

– Wiesz, że to pieprzenie o Kafce tylko ci szkodzi. Nie wiem o nim nic poza tym, że napisał książkę o facecie, który zmienił się w robaka. Co to ma być, kurwa?

- To świetny pisarz – odparłem, broniąc komentarzy na okładce.
- Tom Clancy jest świetnym pisarzem, Kafka przy nim to zwykły kutas.

Cóż mogłem powiedzieć? Wypiliśmy jeszcze po jednym piwie i porozmawialiśmy o śniegu.

Nie zrozumcie mnie źle, podobają mi się książki Kafki. To, że Gregor Samsa budzi się po nocy pełnej koszmarów i odkrywa, że przemienił się w olbrzymiego karalucha, stanowi dowód egzystencjalnego geniuszu pracującego na najwyższych obrotach. Opowieść o człowieku, którego praca polega na siedzeniu w klatce i głodzeniu się ku uciechu gawiedzi, to klasyczna rozprawa o losie przeciętnego człowieka. Jednakże moje postacie dużo biegają. U Kafki nie ma tyle ruchu. Jego pisarstwa nie krępują wtrącenia, wprowadzenia czy mnogość przymiotników. Moje zdania czasami przypominają arabskie pismo, pełne zawijasów i zapętłone, suficki tekst, który ma za zadanie opisać jedno z imion Boga, żeby nie trzeba było używać jego prawdziwego miana. W swoich fabułach zazwyczaj opieram się na nostalgicznych skutkach nieodwzajemnionej miłości lub dążę do zaskakującej puenty, jak stary komik występujący w kurortach, wciąż na nowo odgrzewając ten sam kawał o domokrażcy, podczas gdy Kafka stara się bezceremonialnie stawiać czytelnika przed niejednoznacznymi dylematami, które czynią każdego mężczyznę wyspą, każdą kobietę cieśniną, a każde dziecko wododziałem kontynentalnym.

Mój przyjaciel Quigley powiedział kiedyś o książce *Autobiografia jogina*, że na każdej jej stronie wydarza się cud. Właśnie do takiego efektu dążę, nawarstwiając zadziwiające motywy, aż całość zmienia się w jedną wielką halucynogenną nawalnicę cudownego gówna. Przyznaję, że czasami ciśnienie opada i uzyskuję tylko brązową mżawkę; taki już jest zmienny los pisarza parającego się fikcją. Z kolei Kafka zazwyczaj używa w każdej opowieści tylko jednego dziwnego elementu (olbrzymiego kreta, maszyny, która zapisuje na plecach ludzi ich zbrodnie), który traktuje jak coś równie przyziemnego jak wkładanie butów. Następnie bada dane zjawisko na wszystkie możliwe sposoby, oglądając je pod mikroskopem, grając o przysłowiową pietruszkę, na końcu bowiem i tak uzyskuje znak zapytania. Istnieje kilka wyjątków, na przykład *Lekarz wiejski*, który nie zwalnia tempa od początku do końca. Nie twierdzą, że jestem równie uzdolnionym pisarzem jak Kafka. Gdybym stanął na scenie razem z senatorem Loydem Bensonem, a on rzekłby do mnie: „Znałem Kafkę i panu do niego daleko”, jako pierwszy

bym się z nim zgodził i uściskał jego cholerną dłoń.

Często się zastanawiam, co Kafka by pomyślał o tym, że nadużywa się jego nazwiska jako sekretnej metafory dla literatury „awangardowej”, która nie mieści się w ustalonych ramach. Przez jakiś czas się tym martwiłem i śniło mi się, że Kafka stoi u stóp mojego łóżka z wyjątkowo ponurą miną, w połowie oświetlony snopem światła wpadającym z korytarza. Miał na sobie pogrzebowy garnitur z cienkim krawatem, włosy zaczesane do tyłu, a jego wąska głowa niepowstrzymanie opadała ku ostremu podbródkowi. Był całkowicie przemoczony, ale otaczało go niemal widoczne napięcie.

– Hej, Franz – mówiłem wtedy i wstawałem z łóżka, żeby uściskać mu dłoń. – Przysięgam, że to nie mój pomysł.

Wtedy robił taką minę, jakby próbował wydalić Wielki Mur Chiński, po czym dawał mi kopniaka prosto w jaja. Na podstawie jego opowieści można by pomyśleć, że był cichym jak myszka, nieśmiałym urzędnikiem z biura ubezpieczeniowego, ale mówię wam, że w moich koszmarach naprawdę dawał czadu.

Sądziecie, że Kafka mógłby być na tyle niespokojnym duchem, by odzywać się do nas z za grobu? Z jednej strony był na tyle skromny, że poprosił Maxa Broda, by ten po jego śmierci spalił wszystkie jego pozostałe rękopisy, ale zarazem bardzo dużo pisał o sądzie. Może nie mamy ze sobą aż tak wiele wspólnego, jak twierdzą niektórzy, ale ja i Franz znamy się od dawna i muszę was ostrzec: im mniej macie z nim do czynienia, tym lepiej. Jego pióro wciąż działa.

Był rok 1972, a ja chodziłem do pierwszej klasy w szkole średniej West Islip na Long Island. Byłem spokojnym dzieciakiem i nie miałem wielu przyjaciół. Lubiłem palić trawkę i czytać, więc czasami łączyłem te dwie rozrywki. Przypalałem w lasku za biblioteką, po czym wchodziłem do środka i siadałem z książką albo po prostu krążyłem między półkami, przeglądając ich zawartość. Uwielbiałem science fiction i pamiętam, że zaczytywałem się książką *Marsjanie do domu* Frederica Browna, przygodami Adama Linka autorstwa braci Binderów, *Kosmiczną łapkę* Gordona R. Dicksona czy *Czas poza czasem* Philipa K. Dicka. W naszej bibliotece książki science fiction oznaczano wizerunkiem rakiety kosmicznej umieszczanym na plastikowej obwolucie na dole grzbietu. Mieliśmy trzy półki takich pozycji, a ja przeczytałem prawie je wszystkie.

Pewnego popołudnia w bibliotece wpadłem na Bettlemana, chłopaka z

mojej klasy. Miał wzrost karła i zniekształcone ciało – ręce długie jak u szympansa, garb oraz worek luźnej skóry pod brodą. Był także matematycznym geniuszem, czego dowodziły masywne okulary o soczewkach grubych jak kostki lodu. Wyszedłem z za rogu regału i go zobaczyłem: długimi, pięknymi kobiecymi palcami kartkował książkę, którą trzymał zaledwie centymetry przed twarzą. Podniósł wzrok, na chwilę skupił na mnie spojrzenie i się przywitał. Również go powitałem i spytałem, co czyta.

– Karola Marksa.

Byłem pod wrażeniem. Wiedziałem, że Marks był ojcem komunizmu, ideologii, którą wciąż uważano za równoznaczną z satanizmem, w czasach, gdy chłód zimnej wojny mógł cię skłonić do zanurkowania pod biurko na dźwięk syreny przeciwpożarowej.

– Fajnie – odpowiedziałem.

– A ty co tam masz? – spytał.

Pokazałem mu swoją zdobycz. To chyba było *Słoneczne wino* Bradbury’ego. Bettleman wepchnął ciężkie okulary głębiej na nos i uważnie przyjrzał się książce. Potem na chwilę zamknął oczy, jakby coś sobie przypominał, a kiedy znów je otworzył, zaczął opowiadać całą fabułę.

– Wygląda na to, że byłaby całkiem ciekawa – odparłem.

– Tak, ujdzie. Fantasy ze szczyptą horroru spotyka dziecko Kerouaca i Normana Rockwella.

– Fajnie. – Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale pamiętałem, że kilka razy poprawiał nauczycielkę matematyki.

– Chciałbyś przeczytać coś naprawdę zwariowanego? – spytał.

– Jasne – odpowiedziałem niepewnie, przypominając sobie, jak pierwszy raz ktoś namówił mnie na zapalenie trawki.

Zamknął książkę i razem ruszyliśmy w stronę końca alejki. Skręcił w trzecią odnogę w lewo i podszedł do środka jednego z regałów. Zbliżając twarz do książek, przesunął się wzdłuż półki, jakby próbował wywęszyć szukany tom. Wreszcie się cofnął i chwycił grubą książkę o fioletowej okładce. Kiedy się do mnie odwrócił, miał na ustach szeroki uśmiech, który na ułamek sekundy pozwolił mi zajrzeć za jego dziwną powierzchowność i poczuć do niego prawdziwą sympatię.

– W tym zbiorze znajduje się opowiadanie pod tytułem *Przemiana*. Przeczytaj je. – Potem roześmiał się donośnie, a worek skóry, z powodu

którego inne dzieciaki nazywały go „Sułtanem Podbródka”, zatrząsł się jak obwisły tyłek matematyczki, gdy wybiegała z sali, upokorzona własną ignorancją w obliczu geniuszu Bettlemana.

Wręczył mi książkę, a ja mu podziękowałem. Sprawdziłem tytuł i autora, a kiedy znów podniosłem wzrok, mojego kolegi już nie było. Spędziłem zatem tamto słoneczne zimowe popołudnie w bibliotece West Islip, po raz pierwszy czytając Kafkę. Tamto opowiadanie było istotne w sposób, którego nie potrafiłem nazwać. Wiedziałem, że jest poważne, ale jego ciężar pozostawał niewidoczny, jak siła grawitacji. Był w nim także smutek, który skłaniał do nieuzasadnionego rozczulania się nad sobą, na samym dnie zaś kryło się poczucie humoru, które kojarzyło mi się z powstrzymywaniem się od śmiechu w kościele. Wypożyczyłem książkę, zabrałem ją do domu i przeczytałem każde słowo wszystkich opowieści i przypowieści, które znalazły się pomiędzy okładkami.

Ich przeczytanie zajęło mi dużo czasu, ponieważ po pochłonięciu każdego z tekstów, przetrawiałem go przez tydzień albo dwa, próbując rozpoznać smak jego absurdalności oraz odkryć, jakich przypraw użyto, żeby nadać mu wyjątkowy aromat koszmaru. Od czasu do czasu spotykałem Bettlemana w szkole i rzucałem którymś z tytułów, a on zazwyczaj wpychał okulary na nos środkowym palcem lewej dłoni i wygłaszał jednozdaniową recenzję danego opowiadania, a przed pośpiesznym powrotem do problemu kwadratury koła wybuchał sułtańskim śmiechem.

– Hej, Bettleman, *Posłanie Imperatora* – wołałem.

– Czekanie na znak od Boga uzasadnia mozolną nudę egzystencji, podczas gdy Bóg czeka na znak, żeby uzasadnić własną mozolną nudę.

– Bettleman, a co powiesz o *Myśliwym Grakchusie*?

– Bliźnięta syjamskie, na zawsze ze sobą związane. Jeden sąd, jedna wina, obaj nie są w stanie ujrzeć siebie w tym drugim, co pozwoliłoby im wykroczyć poza ograniczenia.

– Dobra, nieważne.

W pierwszych dniach wiosny dotarłem do opowiadania, które wywarło na mnie olbrzymi wpływ. Pomędzy *Jazdą na kuble* a *Śpiewaczką Józefiną* odkryłem nietypowy tekst, który był dłuższy od większości przypowieści, ale krótszy od opowiadań. Nosił tytuł *Jasny poranek* i miałem nieodparte wrażenie, że jest to opowieść o wampirach. Przeczytałem ją kilkakrotnie w jeden weekend i nie mogłem wyrzucić z głowy obrazów, które

przywoływała.

W środę poszedłem do szkoły, mając nadzieję, że znajdę Bettlemana i wysłucham jego tajemniczego komentarza. Okazało się jednak, że mój kolega miał tamtego dnia inne plany. Wjechał na parking swoim rdzawym buickiem special, którego odziedziczył po ojcu, i zatrzymał się dopiero przed wejściem do szkoły. Kiedy wysiadł z auta, miał na sobie halloweenową maskę Richarda Nixona i trzymał potężny kosz pełen zgniłych jabłek. Wspiął się na maskę samochodu, po czym, śmiejąc się jak szaleniec za nieruchomym grymasem Oszukańczego Dicka, zaczął miotać owocami w uczniów i nauczycieli.

Chociaż zdeformowane ciało Bettlemana sprawiało, że żaden trener nie traktował go poważnie, małe ręce pozwalały mu ciskać piłkę do baseballa równie mocno jak Nolan Ryan. Rozbił kilka szyb, trafił Romonę Vacavage w prawą pierś, rozkwaśił miękkie brązowe jabłko na tyle głowy Jake'a Harwooda i wcelował w dyrektora, Surowego Doolina, który poślizgnął się i upadł w sok ściekający mu z garnituru, nadwerężając sobie plecy. Wszyscy rzucili się do ucieczki. Nawet twardziele w skórzanych kurtkach, którzy tatuowali sobie na kostkach słowo „gówno” za pomocą szpilek i tuszu, bali się tego dziwactwa. W końcu przyjechała policja i zgarnęła Bettlemana. Już nie wrócił do szkoły. Przez kolejne lata nic o nim nie słyszałem, chociaż spodziewałem się, że pewnego dnia znajdę jego nazwisko w gazecie na liście noblistów.

Zwróciłem zbiór opowiadań Kafki dopiero pod koniec lata. Zapłaciłem dwadzieścia dolarów kary za zwłokę. W tamtych czasach było to mnóstwo pieniędzy, a ojciec solidnie się wkurzył, kiedy dostał list z biblioteki. Zapłacił za mnie karę, ale musiałem odpracować dług, grabiąc i paląc liście jesienią. Pod zimnym fioletowo-szarym jesiennym niebem, które miało taki sam kolor jak okładka tamtej książki, zbierałem i puszczałem z dymem pozostałości sierpnia, rozmyślając o Kafce i losie Bettlemana. W końcu zdałem sobie sprawę, że Kafka był ostatnim, czego ten biedak potrzebował, więc po zakończeniu pracy zapomniałem o nich obu, sięgając po książkę Richarda Brautigana *Z cukru arbuza*. Lekkość tej książki zainspirowała mnie do obrania zupełnie innych literackich ścieżek i jak „Myśliwy Grakchus” ruszyłem na pełne frustracji poszukiwanie transcendencji.

To polowanie trwało przez większość ostatniej klasy szkoły średniej. Przemierzałem pustkowia Burroughsa, Kerouaca i Millera, ale tuż przed

końcem roku odwiedziłem bibliotekę i absurdalnego syna Pragi, żeby przed powrotem do świata dać sobie zastrzyk prawdziwej rzeczywistości. Z niedowierzaniem i rozdrażnieniem odkryłem, że ktoś wypożyczył moją książkę wkrótce po tym, jak ją oddałem, i nigdy jej nie zwrócił. Na jej miejscu stało nowe wydanie *Opowiadań zebranych Franza Kafki*. Przekartkowałem świeżutki tom, ale nie znalazłem w nim opowiadania *Jasny poranek*. Niekompletność zbioru zniechęciła mnie i zawołałem: „Niech to szlag!”, ku zniesmaczeniu bibliotekarki, która dokładnie usłyszała moje przekleństwo.

Poszedłem do college’u, z którego wyleciałem po pierwszym semestrze, po czym kupiłem łódkę i przez dwa lata łowiłem małże na Great South Bay. Przez cały ten czas nie zaniedbywałem lektury, a Kafka od czasu do czasu podnosił szczupłą głowę, gdy wspominali o nim inni pisarze. Zazwyczaj były to odniesienia do *Przemiany* i wydawało się, że wszyscy znają tylko to jedno opowiadanie.

Pewnego wieczoru na Grass Island na środku zatoki, gdzie rybacy każdej soboty urządzali przyjęcia, spotkałem pewnego faceta, z którym kiedyś rozmawiałem, gdy z koszykiem i rurką w dłoni łowiłem małże na płyciźnie. Jeśli akurat obaj pracowaliśmy w tej samej okolicy, robił sobie przerwę około piętnastej, kiedy wzmagął się południowy wiatr, i przychodził, żeby ze mną porozmawiać. On także uwielbiał czytać, ale najbardziej upodobał sobie potężne tomiszczka, takie jak *Gułag*, *Czarodziejska góra* Manna czy dzieła Prousta.

Tamtego wieczoru na Grass Island, pod czujnym okiem Oriona, gdy ciepłe podmuchy znad lądu niosły odgłosy Leli Ritz bzykającej się z Shabem Wellowem w szopie, a my siedzieliśmy na najwyższej wydmie, przekazując sobie skręta, rozmowa nagle zeszła na Kafkę. Mój znajomy znad zatoki, którego imienia nie pamiętam, powiedział:

- Bardzo lubię jego opowiadanie *Jasny poranek*.
- Znasz je? – zdziwiłem się.
- Oczywiście. – Po czym opowiedział całą fabułę, dokładnie tak, jak sam ją zapamiętałem.
- Masz egzemplarz? – spytałem.
- Jasne. Któregoś dnia ci przyniosę.

Rozmowa dobiegła końca, ponieważ zauważyliśmy nagą Lelę stojącą nad brzegiem w blasku księżyca. Lela Ritz miała ciało, przy którym walory Kafki

wydawały się kiepskim żartem.

W kolejne dni od czasu do czasu widywałem tamtego faceta, a on zawsze obiecywał mi, że następnym razem przyniesie książkę. Jednak pod koniec lata dowiedziałem się, że wyłowił zaobrączkowaną lewą dłoń kobiety, która w czerwcu wypadła za burtę i została wciągnięta przez śrubę. Kupiec z portu powiedział mi, że po tym znalezisku mój znajomy zrezygnował z połowów. Tamtej jesieni wróciłem do college'u i nigdy więcej go nie widziałem.

Na studia licencjackie i magisterskie poszedłem na Uniwersytet Stanowy w Binghamton na północy Nowego Jorku, gdzie studiowałem literaturę i pisarstwo. Właśnie tam poznałem powieściopisarza Johna Gardnera, który zrobił wszystko, co było w jego mocy, by pomóc mi zostać pisarzem. Dysponował encyklopedyczną wiedzą na temat literatury, opowiadań i powieści, a gdy byłem w złośliwym nastroju, próbowałem go zagiąć, podrzucając mu wycinek fabuły jakiegoś, moim zdaniem, mało znanego utworu, który niedawno odkryłem: *Sprawy kometa Jełagina* Bunina, *Wierzb Blackwooda*, *Jego małpiej żony* Colliera. Zawsze znał odpowiedź i potrafił dyskutować o zaletach każdego z tych tekstów, jakby zapoznał się z nimi przed godziną. Dwukrotnie wspomniałem o opowiadaniu Kafki i za pierwszym razem John stwierdził, że je zna, a nawet przedstawił jakąś interpretację tekstu, której już nie pamiętam. Jednakże, gdy wymieniłem ten tytuł po raz drugi, podczas rozmowy o jego własnym opowiadaniu *Juliusz Cezar i wilkołak*, pokręcił głową, po czym orzekł, że takie dzieło Kafki nie istnieje, ale gdyby istniało, z takim tytułem musiałyby być horrorem.

Co jeszcze ciekawsze, podczas nauki w college'u po raz ostatni usłyszałem o tym opowiadaniu przy okazji pewnego incydentu, który nastąpił w motelu, w którym mieszkalem z Lynn, moją przyszłą żoną. Motel Kolonia przy Vestal Parkway dysponował pojedynczymi pokojami umiejscowionymi na wzgórzu i oddzielonymi od głównego budynku. Rezerwowano je dla studentów, długoterminowych lokatorów oraz nielegalnych imigrantów z Chin, którzy pracowali w motelowej restauracji, Domu Yu. Było to ponure miejsce do codziennego życia, przykład gotyku w stylu Susquehanna. Dozorca miał jedną rękę i opaskę na oku, a dwie pokojówki były jednocześnie siostrami oraz matką i córką, po godzinach zaś zajmowały się zarzynaniem bydła.

Lynn uczyła się w szkole pielęgniarskiej, a ja poświęcałem się literaturze, spędzając mnóstwo czasu na pisaniu gównianych opowiadań ołówkiem w

zeszytach. Nasz pokój był bardzo mały, a łazienka pełniła także funkcję kuchni. Na blacie stała mała kuchenka, w której sami przyrządzaliśmy posiłki, żeby oszczędzać pieniądze. Każdego ranka goliłem się nad zlewem pokrytym plamami ketchupu. Toaleta służyła nam jako śmietnik i czasami podczas sikania celowałem w pływający makaron. W łazience nie było drzwi, tylko zasuwana zasłona. Tuż obok wejścia trzymaliśmy starą Victrolę, a kiedy któreś z nas potrzebowało prywatności, włączaliśmy na cały regulator walca „Nad pięknym modrym Dunajem”.

Gdy nie padało i było ciepło, chodziliśmy na poranne spacerki do basenu u podnóża wzgórza. Lynn pływała, a ja siadałem przy jednym ze stolików i pisałem. Jeśli docieraliśmy na miejsce odpowiednio wcześnie, zazwyczaj byliśmy tam sami.

Jednego z takich typowych dni, gdy Lynn krążyła w basenie, a ja garbiłem się nad swoim notatnikiem, paląc papierosa i próbując skończyć opowiadanie w taki sposób, żeby główny bohater nie popełnił samobójstwa ani nikogo nie zabił, usłyszałem, jak otwiera się i zamyka furka w siatce otaczającej basen. Podniosłem wzrok i zobaczyłem chudego faceta ubranego w mundur marynarza, z białą czapką przekrzywioną na ogolonej głowie. W rękę trzymał polaroida. Przywitał się ze mną, a ja skinąłem głową, mając nadzieję, że nie ma zamiaru zaczynać rozmowy. Zobaczyłem, jak jego jabłko Adama podskakuje, a spojrzenie nerwowo krąży, i od razu wiedziałem, że się nie wywinę.

Podszedł i usiadł przy moim stoliku, po czym spytał, czy może wysepić papierosa. Dałem mu jednego, a on przypalił go moimi zapałkami.

– To twoja dziewczyna? – spytał, wskazując głową Lynn, która właśnie obok nas przepływała.

– Tak – odparłem.

– Ładne włosy – powiedział i się wyszczerzył.

– Jesteś na przepustce?

– Tak. Mam kupę kasy i tydzień wolnego. Kupiłem sobie nowy aparat.

– Gdzie mieszkasz?

– Na wzgórzu.

– Zazwyczaj wynajmują tamte pokoje tylko ludziom, którzy zatrzymują się na dłużej.

– Wynagrodziłem im tę niedogodność – odparł, strząsając popiół. – Chciałem mieć dobry widok.

Miałem zamiar mu powiedzieć, że muszę wracać do pracy, ale wtedy Lynn wyszła z basenu i podeszła do stolika.

– Witam panią – rzekł i ustąpił jej miejsca.

– Miłego dnia – rzuciłem, ale on dalej stał i na nas patrzył.

Chciałem mu powiedzieć, żeby spadał, ale w końcu się odezwał.

– Chcielibyście, żebym wam zrobił portret? – spytał.

Pokręciłem głową, ale Lynn się zgodziła. Kazała mi wstać i przyciągnęła mnie do siatki, za którą biegła Vestal Parkway.

Marynarz podniósł aparat do oka i ustawił ostrość.

– Pocałujcie się – poprosił, a jego jabłko Adama podskoczyło jak szalone.

Objąłem Lynn ramieniem i długo ją całowałem. Nagle usłyszałem, jak furka się otwiera i zamyka, po czym zobaczyłem marynarza uciekającego przez parking w stronę wzgórza.

– Zbok – orzekła Lynn.

Potem przeczytałem swoje nowe opowiadanie, a ona zdrzemnęła się na siedząco.

Tamtej nocy, gdy leżeliśmy w łóżku na krawędzi snu, usłyszałem głośny huk dobiegający z któregoś z pokoi. Od razu wiedziałem, że to strzał, więc chwyciłem Lynn i stoczyliśmy się na podłogę. Gdy tak leżeliśmy, ciężko dysząc ze strachu, spytała:

– Co to było, do diabła?

– Może włosy pani West w końcu wybuchły – odparłem i oboje się roześmialiśmy. Pani West była przełożoną pokojówek. Miała na głowie siedmiopiętrowy ul, który bezustannie dźgała zatemperowanym ołówkiem, żeby się podrapać.

Mniej więcej dziesięć minut później usłyszałem podejżdżający radiowóz i przez szparę między zasłonami zobaczyłem błyskające czerwone światło. Pośpiesznie włożyłem szorty i tenisówki, po czym wyszedłem z pokoju. Na parkingu spotkałem Chestera, naszego sąsiada.

– Co się stało? – spytałem.

– Admirał dupek strzelił sobie w łeb w pokoju dwieście sześćdziesiąt osiem.

– Marynarz?

– Tak, usłyszałem strzał i wszedłem do jego pokoju. Drzwi były uchylone. Rany, w ścianie tkwił kawałek szczęki i wszędzie była krew.

Kolejne dwa radiowozy zatrzymały się przed motelem, a oficerowie,

którzy z nich wysiedli, kazali nam wrócić do pokojów.

Kiedy powiedziałem Lynn, co się stało, nie mogła zasnąć, a ja wierciłem się na posłaniu całą noc, co chwila śniąc o niezdarnym marynarzu. Pamiętam, że w jednym z tych snów płynął na małej łódce po morzu pełnym rekinów, a w tle wybuchał wulkan. Rano obudziło mnie pukanie do drzwi. Lynn już wyszła na swoją zmianę do szpitala. Wstałem i pośpiesznie się ubrałem.

To była pani West. Spytała, czy chcę, żeby jej podopieczne posprzątały w pokoju. Odmówiłem i szybko zamknąłem drzwi. Po chwili zapukała ponownie. Kiedy otworzyłem, wyciągała ręce w moją stronę. Dopiero wtedy zauważyłem, że ma czerwone dłonie i przedramiona.

– Wezwali mnie z samego rana, żeby posprzątała po samobójstwie – wyjaśniła. – Znalazłam to między szczątkami. – Wręczyła mi kwadratowy kartonik.

Kiedy go dotknąłem, zrozumiałem, że to zdjęcie – portret przedstawiający mnie i Lynn złączonych pocałunkiem, otoczonych czerwonymi plamkami wypełniającymi niebo jak krwawy deszcz.

Tamtego popołudnia ustawiłem zdjęcie na stoliku obok miejsca, w którym pisałem opowiadanie o marynarzu, który przybywa do motelu, żeby popełnić samobójstwo, i zakochuje się w pokojówce. Za każdym razem, gdy podnosiłem wzrok, widziałem fotografię. Przyprawiała mnie o ciarki, więc w końcu ją odwróciłem. Wcześniej tego nie zauważyłem, ale na drugiej stronie ktoś napisał jasnym ołówkiem następujące słowa: „Wyszedł na jasny poranek i cicho wyparował...”. Od razu rozpoznałem część ostatniej linijki nieuchwytnego opowiadania Kafki. Wciąż posiadam tamto zdjęcie; o ile się nie mylę, trzymam je na dnie tekturowego pudełka w garażu albo w piwnicy.

Gdy już stałem na progu objawienia, tekst nagle zniknął i nie słyszałem o nim przez kolejne lata, aż w końcu zacząłem go ignorować. Lawina książek i opowiadań, które czytałem, pomogła mi go pogrzebać. Czasami podczas wizyt w księgarniach widywałem nowe wydania opowiadań Kafki i sięgałem po nie, mając nadzieję, że nie znajdę go w spisie treści. Nigdy się nie zawiodłem. O moją uwagę walczyło wielu innych pisarzy, a ich osobowości, fabuły i słowa stały się dla mnie znacznie ważniejsze.

Bardzo powoli opowiadania, które pisałem, stawały się mniej gówniane i udało mi się zamieścić kilka z nich w małonakładowych czasopismach. Czas, którego potrzebowałem, żeby zostać zawodowym pisarzem, przywodzi na myśl stare powiedzenie o stu małpach, które zamknięte w pokoju z setką

maszyn do pisania w ciągu stu lat tworzą monolog Hamleta.

Potem była to już tylko kwestia czasu i pewnego dnia sprzedałem powieść dużemu wydawcy. Trudno mi było w to uwierzyć, podobnie jak w to, że tamten marynarz znał *Jasny poranek* i go zacytował. Kiedy moja powieść ukazała się drukiem, w komentarzu na okładce dwukrotnie wspomniano o Kafce. Wtedy już nie zastanawiałem się nad wydarzeniami dotyczącymi jego opowiadania; miałem wrażenie, że dzielą mnie od nich lata świetlne. Pomyślałem tylko: cóż, lepiej Kafka niż Harold Robbins. Czy aby na pewno? Książka niezbyt dobrze się sprzedawała, ale otrzymywała świetne recenzje. Niemal każdy krytyk, który o niej pisał, przynajmniej raz odnosił się do Kafki, więc gdy ukazało się wydanie w miękkiej oprawie, na tylnej stronie okładki było go pełno.

W ciągu czterech lat opublikowałem trzy powieści fantasy, kilkanaście opowiadań w tym samym gatunku oraz dwa eseje. Debiutancka powieść zdobyła World Fantasy Award, pierwsze dwie książki trafiły na listę pozycji polecanych przez „New York Times”, jedno z opowiadań zostało nominowane do Nebuli, inne ukazało się w antologii najlepszych opowiadań roku w gatunkach fantasy i horror. Recenzowano moją prozę w „Publishers Weekly”, „Kirkus Review” i „Library Journal”, a w ciągu jednego roku trzy opowiadania były polecane przez redakcję „Locusa”. Nie piszę tego wszystkiego, żeby się przechwalać, ponieważ inni napisali więcej i zdobyli ważniejsze nagrody, a na rynku nie brakuje lepszych pisarzy, jednak dla mnie była to istotna motywacja. Myślałem, że jeśli chociaż na chwilę odpuszczę, stracę wszystko, na co tak ciężko pracowałem. Jednocześnie uczyłem pięć grup złożonych z ponad setki piszących studentów w lokalnym college’u oddalonym o półtorej godziny drogi od mojego domu, a także wychowywałem dwóch synków, z którymi musiałem spędzać dużo czasu. Dlatego sypiałem po cztery godziny na dobę, podczas pracy paliłem jak smok i żywiłem się kawą oraz śmieciowym jedzeniem. To był szalony okres w moim życiu, przez który upodobiłem się do rozdętego zombie. W końcu znalazłem się w impasie i musiałem odpocząć. Nie przychodziła mi do głowy ani jedna opowieść fantasy, którą mógłbym zapisać. Okazało się, że od urlopu dzieliło mnie tylko jedno opowiadanie.

Jak na dobrego żołnierza przystało, dokończyłem wszystkie teksty, które obiecałem redaktorom, i została mi tylko jedna opowieść do zbioru, na którego wydaniu bardzo mi zależało. Gdy pojawił się pomysł na ten projekt,

lekkomyślnie obiecałem, że napiszę do niego tekst, który nie ukaże się nigdzie indziej. Jednak moja wyobraźnia była bardziej opustoszała niż mroczny, opuszczony dworzec kolejowy, który każdej nocy odwiedzałem we śnie. Przez cztery lata zrobiłem wszystko, co mogłem, w ramach literatury fantastycznej. Już wam opowiadałem o latającej głowie i mieście wśród obłoków z panoptikonem, ale było tego znacznie więcej – demony, wilkołaki, ludzie przemienieni w błękitny kamień, źli geniusze, postmodernistyczne bajkowe królestwa, olbrzymie ćmy, zombie, parodie herosów, wywiad z Juliuszem Verne’em, olbrzymie kosmiczne owady zakochane w starych filmach, zrzynki z Lovecrafta, eksperymentalne czary, a to dopiero początek. Jedyna fantazja, jaka rodziła się w mojej głowie, to zdrzemnąć się w sobotnie popołudnie pomiędzy meczem koszykarskim dzieciaków a obowiązkową rodzinną wyprawą do centrum handlowego. Byłem bardziej wypalony niż pieprzony popiół w piecu.

Zbliżał się termin oddania tekstu do zbioru opowiadań, a ja miałem tylko plik pełen kiepskich zarzuconych początków. Desperacko pragnąłem wywiązać się z obietnicy, więc kiedy nadeszła tygodniowa wiosenna przerwa w college’u, postanowiłem wziąć się w garść. Wracając samochodem do domu po ostatnim dniu pracy, intensywnie rozmyślałem. Po co ponownie wymyślać proch? Uznałem, że po prostu wezmę na warsztat jeden ze starych motywów fantazy i nieco go przerobię. Po powrocie do domu rozejrzałem się po półkach w poszukiwaniu pomysłu i wtedy natrafiłem na książkę, którą kupiłem na wyprzedazy, kiedy Lynn i ja jeszcze studiowaliśmy. Niemal o niej zapomniałem – była to antologia opowiadań o wampirach. Tamtego wieczoru i następnego dnia przeczytałem niemal wszystkie zawarte w niej teksty. Był wśród nich znakomity *Wij* Gogola, który pobudził moją wyobraźnię. Jednakże, kiedy usiadłem do pracy, powróciło do mnie pogrzebane wspomnienie o *Jasnym poranku* Kafki, przebijając się przez powierzchnię mojej świadomości jak dłoń trupa na końcu filmu *Uwolnienie*. Pomyślałem sobie: gdybym tylko mógł jeszcze raz przeczytać tamto opowiadanie, na pewno wpadłbym na jakiś pomysł.

Usiadłem w fotelu w pracowni, zapaliłem papierosa i usiłowałem sobie przypomnieć jak najwięcej na temat tamtego tekstu. Bettelman i jego jabłka; Gregor Samsa leżący na plecach na łóżku, wierzgający sześciorami; czapka marynarza; wypełniona robakami rana dzieciaka w *Lekarzu wiejskim* – wszystkie te obrazy pojawiały się w moim umyśle, gdy przywoływałem

zawiłości fabuły. Potem wyobraziłem sobie, że znów jestem w bibliotece w West Islip w zimowe popołudnie i czytam fioletową książkę. Cóż za ironia, że *Jasny poranek* opowiadał o sfrustrowanym pisarzu, niejakim F. – młodym dylectancie o literackich aspiracjach, który czuje, że nie brakuje mu zmysłu estetycznego ani biegłości stylistycznej, jednak za nic w świecie nie potrafi wymyślić historii wartiej opowiedzenia. Sugeruje się, że odpowiada za to fakt, iż spędził całe życie z nosem w książkach, zamiast zdobywać życiowe doświadczenia. To nie wyczerpuje tematu, ale tak zaczyna się opowiadanie. Później bohater poznaje obdartego, pokrzywionego starca, pana Kroucha, którego twarz jest „maską zmarszczek”. O ile dobrze pamiętam, spotykają się na moście prowadzącym do niewielkiego miasteczka, w którym toczy się akcja opowiadania. Starzec proponuje młodemu pisarzowi historię swojego życia w zamian za połowę zysków ze sprzedaży książki, jeśli ta kiedykolwiek zostanie wydana. Pisarz się waha, ale wtedy staruszek opowiada mu jedną krótką historię o tym, jak był marynarzem i jako rozbitek trafił na wulkaniczną wyspę na Oceanie Indyjskim, na południe od Sumatry, gdzie spotkał dzikie niebieskie jaszczury o rozmiarach koni.

Młodzieniec wkrótce daje się przekonać, że zdobędzie sławę, jeśli napisze biografię starca. Od tamtej pory każdego wieczoru ten przychodzi do domu F. Podczas pierwszej wizyty daje mu w prezencie piękne srebrne pióro i buteleczkę atramentu, które wyjmuje ze swojej podniszczonej torby podróźnej. Młody pisarz ma wrażenie, że pióro stworzono specjalnie dla jego dłoni, a atrament płynie tak gładko, jakby słowa same się zapisywały. Potem starzec zaczyna opowiadać swoje długie życie w tempie jednego rozdziału dziennie. Wykorzystując cudownie zagęszczony styl typowy dla swoich przypowieści, Kafka przedstawia wybór historii z annałów Kroucha. Wieloletnie dogłądanie grobowców monarchów w dalekiej wschodniej krainie, kariera aktora w lalkowym teatrze cieni w Wenecji, romans z dwukrotnie młodszą kobietą – te kilka opowieści zapamiętałem, ale było ich więcej i wszystkie zmieściły się w dwóch albo trzech średniej długości akapitach.

Na zakończenie każdej sesji Krouch wychodzi tuż przed wschodem słońca, a F. zasypia przy śpiewie ptaków, który towarzyszy nadejściu świtu. Praca go wyczerpuje, więc przesypia całe dnie i budzi się wieczorem, godzinę przed przyjściem starca. Sednem opowiadania jest to, że wraz z rozwojem auto/biografii F. powoli marnieje, Krouch zaś staje się coraz

młodszy i bardziej krzepki. Staje się jasne, w jaki sposób starzec zdołał przeżyć tak wiele przygód, a czytelnik zaczyna podejrzewać, że przed F. byli także inni naiwni pisarze. Gdy młodzieniec stawia ostatnią kropkę na końcu ostatniego zdania – opowiadającego o tym, że stawia ostatnią kropkę na końcu ostatniego zdania – nie jest już młody, tylko skurczony, pomarszczony i powykrzywiany.

– A teraz do wydawcy – rozkazuje Krouch i wybucha gromkim śmiechem.

F. ledwie trzyma się na nogach. Z trudem podnosi stertę kartek i tracąc oddech, idzie na skrzypiących kolanach w stronę drzwi.

– Ależ proszę – mówi Krouch, po czym zrywa się z fotela i otwiera drzwi.

Kosztuje go to większość pozostałej energii, ale F. szepcze:

– Dziękuję.

„Wychodzi na jasny poranek i cicho wyparowuje, a kartki ulatują z wiatrem jak wystraszone duchy”.

Co innego niedokładnie pamiętać opowiadanie Kafki, a co innego mieć przed sobą książkę. Tekst charakteryzuje się cudownie idiosynkratycznym stylem: łagodnym głosem autora, rzadkimi, ale strategicznie rozmieszczonymi metaforami, oszczędnym podejściem do fabuły oraz zwodniczymi artystycznymi zabiegami, niewidocznymi jak kameleony, które stanowią o pięknie obrazów oraz sile oddziaływania historii. Wiedziałem, że muszę zdobyć to opowiadanie i dopóki tego nie zrobię, moja obsesja nie pozwoli mi napisać ani jednego słowa.

Poprosiłem o pomoc starszego syna i razem przeszukaliśmy Internet oraz obdzwoniliśmy antykwariaty od Delaware po zachodnie pustkowia Pensylwanii, od Watertown w stanie Nowy Jork po kanadyjską granicę. Bezskutecznie. W większości nigdy nie słyszano o tym opowiadaniu. W jednym albo dwóch usłyszeliśmy, że jak przez mgłę przypominają sobie to fioletowe wydanie, ale nie mogą ręczyć głową. W internetowych sklepach z używanymi książkami było pełno egzemplarzy nowszego wydania Schockena, w kilku znalazły się nawet drogie oryginały sprowadzane z Europy, ale żaden opis nie wskazywał na książkę, której szukałem. Pewnego dnia objechałem wszystkie znane mi antykwariaty i w jednym z nich znalazłem książkę w fioletowej okładce. Byłem tak roztrzęsiony, gdy wziąłem ją do rąk, że z trudem nad sobą panowałem, wręczając sprzedawcy

dwadzieścia trzy i pół dolara. Kiedy wsiadłem do auta i otworzyłem książkę, odkryłem, że to *Mansfield Park* Jane Austen. Byłem tak wściekły, że w drodze do domu odsunąłem szybę i cisnąłem to cholerstwo z wiaduktu na jadące w dole samochody.

Zbliżał się koniec wolnego tygodnia, a ja ani trochę nie zbliżyłem się zarówno do opowiadania Kafki, jak i do napisania swojego tekstu. Frustracja spowodowana poszukiwaniami oraz strach przed zbliżającą się klęską w końcu doszły do głosu i wpędziły mnie w przygnębienie. W sobotę po południu, pomiędzy meczem koszykówki a zakupami, otrzymałem telefon. Lynn odebrała i podała mi słuchawkę.

– Słucham? – powiedziałem.

– Rozumiem, że szuka pan fioletowego Kafki?

Na chwilę zaniemówiłem.

– Kto mówi? – wyrzuciłem z siebie.

– Zgadza się?

– Tak – odrzekłem. – Tego z opowiadaniem...

– *Jasny poranek*. Znam je, jest bardzo rzadkie.

– Być może nie istnieje – odparłem.

– To ciekawe, ponieważ właśnie mam przed sobą egzemplarz. Chętnie go odsprzedam.

– Za ile? – spytałem, nieco zbyt entuzjastycznie.

– To zależy. Mam też innego zainteresowanego klienta. Może chcieliby panowie policytować? Cena wywoławcza wynosi osiemdziesiąt dolarów.

– To dość mało.

– Niech pan przyjdzie dziś wieczorem – odrzekł nieznajomy i powiedział mi, jak do niego trafić. Mieszkał niedaleko mnie, w Pine Barrens na południu. – Spotkamy się o dwudziestej, a jeśli zechce pan wziąć udział w licytacji, to wyjawię więcej niż tylko cenę.

– Jak się pan nazywa? – spytałem.

Przerwał połączenie.

Byłem uradowany, że głos w słuchawce potwierdził istnienie opowiadania, ale jednocześnie zaniepokoiła mnie zagadkowa natura naszej rozmowy. Cena wywoławcza była zaskakująco niska, a fakt, że dzwoniący nie chciał się przedstawić, nie zwiastował niczego dobrego. Wyobraziłem sobie, że udaję się do jakiegoś mrocznego domostwa, gdzie ktoś morduje mnie dla mojego portfela. Miałem także wizję, w której odkryłem

opuszczony dworzec kolejowy w lesie, gdzie czekał na mnie wściekły Kafka z moich snów, żeby przegryźć mi gardło. Mimo wszystko o dziewiętnastej podjechałem do bankomatu w miasteczku, wyjąłem pięćset dolarów (więcej niż powinienem), po czym ruszyłem na południe szosą numer 206.

Pozbyłem się obaw, kiedy dokładnie za kwadrans dwudziesta zatrzymałem się przed pięknie utrzymanym wiktoriańskim domem, niemal posiadłością, na jasno oświetlonej ulicy w niewielkim miasteczku Pendricksburg. Zaparkowałem na długim podjeździe i poszedłem do drzwi wejściowych. Zapukałem dwukrotnie, a wtedy otworzyła mi młoda kobieta.

– Pan Deryn na pana czeka. Proszę tędy – powiedziała.

Poszedłem za nią. Dom robił oszałamiające wrażenie, drewno i podłogi były tak wypolerowane, że czułem się tak, jakbym szedł przez lustrzany korytarz. Widziałem żyrandole, perskie dywany oraz świeże kwiaty, jak w czasopiśmie mojej żony. Przez cały dom płynęła cicha muzyka klasyczna i miałem wrażenie, że zwiedzam muzeum. Gdy dotarliśmy do drzwi w głębi domu, kobieta otworzyła je i zaprosiła mnie dalej.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyłem, były regały z książkami stojące wzdłuż ścian. Nagle wzdrygnąłem się, ponieważ przy biurku siedział ktoś, kogo w pierwszej chwili wziąłem za ludzką żabę, i palił cygaro. Kiedy skupiłem wzrok, zobaczyłem, że wytrzeszczone oczy, garb oraz worek skóry pod brodą należą do nieco dziwacznie zbudowanego człowieka. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że to Bettleman. Był starszy i miał kilkuniedniowy zarost, ale to z pewnością był on. Nie wstał, tylko machnięciem ręki wskazał jedno z krzeseł stojących naprzeciwko biurka.

– Niech pan siada – powiedział.

Powoli się zbliżyłem i usiadłem, doświadczając uczucia déjŗ vu.

– Bettleman – rzekłem.

Popatrzył na mnie pytająco.

– Przykro mi, musiał mnie pan z kimś pomylić. Nazywam się John Deryn. – Potem się roześmiał, a worek skóry zakołysał się, co jeszcze dobitniej przekonało mnie, że to on.

– Nie jest pan Christianem Bettlemanem? – spytałem.

Pokręcił z uśmiechem głową.

Szybko uznałem, że skoro chce się bawić w odgrywanie ról, to nie mam nic przeciwko. W końcu przyszedłem po książkę.

– Fioletowy Kafka – odezwałem się. – Czy mogę go zobaczyć?

Sięgnął do szuflady przed sobą i wyjął gruby tom. Oto on, najwyraźniej w pierwszorzędnym stanie. Kartkując książkę długimi eleganckimi palcami, zatrzymał się mniej więcej w połowie, po czym ją odwrócił i położył przede mną na biurku.

– *Jasny poranek* – powiedział.

– Mój Boże – odparłem. – Zaczynałem myśleć, że to było złudzenie.

– Tak, wiem dokładnie, co pan ma na myśli. Spędziłem spory kawałek życia na tropieniu tej opowieści.

– Czy to fałszerstwo? – spytałem.

– Nic z tych rzeczy, chociaż styl rzeczywiście jest dosyć nietypowy jak na Kafkę, trochę jak u Hoffmana.

– Co może mi pan powiedzieć o tym tekście?

– Będę się streszczał – odrzekł, zaciągając się cygarem. Jego wyjaśnienie nadeszło spowite w obłok. – Jak mówiła czeska tłumaczka Kafki i zarazem jego była ukochana, Milena Jesenska, Kafka „postrzegał świat jako pełen niewidzialnych demonów, które rozrywają i niszczą bezbronnych ludzi”. Wcale nie mówiła metaforycznie. Z dziś już ocenzonego fragmentów jego pamiętników wiemy, że Kafce często śnił się jeden z tych demonów, który przybierał postać starca nazwiskiem Krouch. Oczywiście, znając problemy Kafki z ojcem, fakt, że demon był „starcem”, znajduje psychologiczne wytłumaczenie.

W 1921 roku, kiedy już cierpiał na zaawansowaną gruźlicę, Franz donosi swojemu przyjacielowi Maxowi Brodowi, co wiemy z dziennika tego drugiego, że demon Krouch odpowiada za jego niezdolność do pisania. Kafka czuje, że z każdym dniem, gdy nie pisze nowego opowiadania, choroba się pogłębia. Jako mistyk postanawia wyegzorcyzmować demona. Robi coś genialnego. Pisze opowieść o wampirycznym Krouchu, chwytając go w potrzask słów. Na końcu opowiadania F., postać, która reprezentuje Kafkę, znika z kart historii, odzyskując wolność w naszej rzeczywistości. Po zakończeniu lektury można pomyśleć, że młody pisarz jest uwięziony, ale nic bardziej mylnego, przynajmniej w umyśle Kafki. To wszystko zostało udokumentowane w jednym z listów do pisarza Franza Werfla. Stąd bierze się niejednoznaczny, ale obiecujący tytuł historii, *Jasny poranek*.

Kafka wkrótce pojmuje, że chociaż skutecznie uwięził demona w słowach opowieści, Krouch wciąż ma na niego ograniczony wpływ, gdy tekst znajduje się w pobliżu. Cóż więc robi? W 1922 roku, podczas ostatniego

spotkania z Mileną w niewielkim miasteczku Gmünd na czesko-austriackiej granicy, przekazuje jej wszystkie swoje pamiętniki. Pośród notatników i papierów znajduje się także *Jasny poranek*. Można polemizować z tym, czy plan Kafki okazał się skuteczny. Żył tylko do 1924 roku, ale weźmy pod uwagę dalsze życie biednej Mileny, nowej właścicielki opętanego tekstu: niemal umiera podczas porodu; ulega wypadkowi, w którym łamie prawe kolano, co powoduje u niej częściowe kalectwo; uzależnia się od morfiny; zostaje aresztowana w Pradze za prozydowskie teksty i w 1940 roku zesłana do obozu koncentracyjnego Ravensbrück w Niemczech, gdzie cierpi na kłopoty ze zdrowiem. Na skutek zakażenia musi mieć usuniętą jedną nerkę, a wkrótce druga odmawia posłuszeństwa i kobieta umiera.

Wtedy *Jasny poranek* cicho wyparowuje i pojawia się ponownie dopiero w 1959 roku, kiedy Pearfield Publishing Company z Commack na nowojorskiej Long Island publikuje zbiór opowiadań zawierający ten tekst. Wtedy w siedzibie wydawcy wybucha pożar i budynek pali się do gołej ziemi. Z ognia udaje się uratować tylko kilka pudeł z książkami, z których jedno zawiera dwanaście egzemplarzy fioletowego wydania. Sześć z nich trafiło do lokalnych bibliotek, a sześć do lokalnych organizacji wspomagających wojsko.

– A więc opowiadanie jest przeklęte – odrzekłem.

– Sam musi pan to ocenić. Kupiłem ten egzemplarz wiele lat temu od pewnego rybaka trudniącego się połowem skorupiaków, który pracował na wodach Great South Bay. Niewykluczone, że wspomniał coś o klątwie, ale w końcu ludzie morza są nieco przesądni. Ktoś inny mógłby go wyśmiać, ale ja przyznaję, że miałem okazję poznać siłę przeznaczenia.

– Nie możesz zaprzeczyć, że jesteś Bettlemanem – odparłem.

Popatrzył na mnie, a po chwili w drzwiach stanęła młoda kobieta.

– Panie Deryn, przyszedł drugi z dżentelmenów. Czy mam go wpuścić?

– Proszę – odrzekł. Kiedy wyszła, żeby spełnić jego prośbę, znów zwrócił się w moją stronę. – Postanowiłem cię zapoznać z kulisami tej historii – powiedział Deryn. – Ze względu na dawne czasy. – Uśmiechnął się i środkowym palcem wepchnął okulary głębiej na nos. Jego cygaro zmieniło się w dymiący niedopałek, który odłożył do popielniczki.

Oczywiście miałem zamiar wykrzyknąć coś w rodzaju „Wiedziałem!” albo „Myślałeś, że tak łatwo mnie nabierzesz?”, ale wtedy do pokoju wszedł drugi zainteresowany i ocalił Bettlemana i mnie przed upokarzającą sytuacją.

Rozpoznałem nie tylko Bettlemana. Wystarczyło jedno spojrzenie, żebym uświadomił sobie, z kim będę rywalizował podczas licytacji. Powinienem być bardziej zaskoczony tym zbiegiem okoliczności, ale wydarzenia, które poprzedziły ten nowy zwrot akcji, skutecznie mnie na niego przygotowały. Był to inny pisarz, który również działał na moim poletku, wielki, niezdarny cham nazwiskiem Jeffrey Ford. Może o nim słyszeliście, może nie. Kilka lat temu napisał książkę *Fizjonomika*, która za sprawą jakiegoś dziwnego przypadku, być może narkotycznego odurzenia jurorów, zdobyła World Fantasy Award. Kilkakrotnie miałem okazję z nim rozmawiać podczas różnych konferencji. Nigdy nie zrozumiem, co krytycy i redaktorzy widzieli w jego tekstach. Jak dotąd nasze krótkie kariery przebiegały bardzo podobnie, nie było jednak wątpliwości, że to ja jestem lepszym pisarzem. Pochylił się nad biurkiem i uściśnął dłoń Bettlemana, po czym odwrócił się w moją stronę i zanim usiadł, skinął głową, ale nic nie powiedział.

Bettleman, w sympatycznym przebraniu pana Deryna, pozwolił Fordowi obejrzeć książkę. Kiedy ten skończył, przyszedł czas na licytację. Ford chciał się dowiedzieć, dlaczego zaczynamy zaledwie od osiemdziesięciu dolarów, ale Deryn odpowiedział tylko:

– Mam swoje powody.

Nieco zniechęciłem się do książki po tym, co usłyszałem, ale kiedy Ford zaczął składać oferty, nie mogłem się powstrzymać. Czułem, że jeśli wygra, wyjdzie stamtąd z moją najlepszą fabułą. Jak na sknerów przystało, podnosiliśmy stawkę o dziesięć dolarów, ale nawet w tak ślimaczym tempie szybko osiągnęliśmy pułap trzystu dolarów. Bettleman uśmiechał się jak Ropuch z *O czym szumią wierzby*, a kiedy na chwilę przerwał, żeby zapalić kolejne cygaro, omiotłem wzrokiem pomieszczenie. W kącie za jego biurkiem zobaczyłem duży dzwon szklany, w którym pływała delikatna zaobrączkowana dłoń. Z jakiegoś powodu widok tego dziwactwa sprawił, że przypomniałem sobie, być może po raz pierwszy, coś, co bardzo chciałem wyrzucić z pamięci, mianowicie, że kobietą, która wiele lat temu wypadła za burtę w zatoce, tak naprawdę była młoda dziewczyna, Lela Ritz. Przez chwilę widziałem ją nagą w blasku księżyca. Potem Bettleman zaskrzeczał i wróciliśmy do licytacji.

Gdy tak brnęliśmy naprzód, powoli zbliżając się do magicznej bariery pięciuset dolarów, rozważałem tragedie związane z *Jasnym porankiem*. Pomyślałem o Lynn i dzieciach, o tym, że moje głupie pragnienie może ich

narazić na niebezpieczeństwo, a może nawet śmierć. Jednak moje usta wciąż pracowały i wywoływałem kolejne sumy. Kiedy wreszcie w pełni się ocknąłem i wziąłem w garść, mój rywal właśnie zaproponował czterysta pięćdziesiąt dolarów.

– To moja ostateczna oferta, nie żartuję – dodał.

Ford popatrzył na mnie, a ja już wiedziałem, że go załatwiłem. O dobre pięćdziesiąt dolarów.

– Jabłko jest po pańskiej stronie – rzekł Bettleman, zerkając na mnie zza grubych szkielek. Już się nie uśmiechał, lecz widziałem na jego twarzy smutek.

Ta długa chwila, podczas której podejmowałem decyzję, była jak rok łowienia dłoni w akwenu Kolonii. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, czego chcę. Czułem, jak marginesy opowieści zbliżają się do mnie, zdania owijają moje nadgarstki i kostki, kropki nad „i” pływają ławicami wokół mojego pola widzenia. Doświadczając całego ciężaru znużenia, odpowiedziałem:

– Pasuję.

– Rozumiem – odrzekł Bettleman.

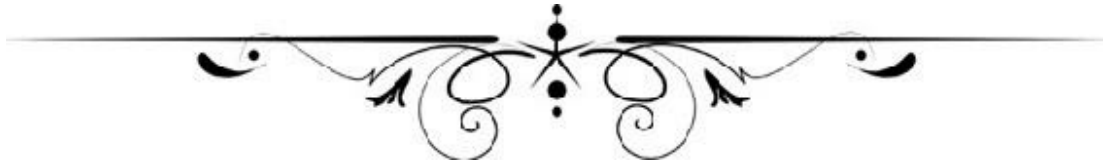
Wstałem i uścisnąłem jego dłoń, skinąłem głową Fordowi, który już sięgał do kieszeni o dwa numery za małych dzinsów po zgnieciony plik banknotów, po czym wyszedłem.

Możecie mnie uznać za przesadnego głupca, być może w pełni na to zasługuję. Ostatecznie nie skończyłem obiecanego opowiadania, a wydawca zbioru, Golden Gryphon Press, wycofał się z jego publikacji.

O ironio, na wolne miejsce wskoczył zbiór opowiadań Forda, który specjalnie na tę okazję napisał opowiadanie *Jasny poranek*, nawet nie próbując ukryć tego, że wykorzystał materiał Kafki. W jednej z pierwszych recenzji opublikowanej jeszcze przed wydaniem zbioru pewien krytyk uszczypliwie stwierdził, że „Ford małpuje Kafkę”. Nic mnie to nie obchodziło. Wróciłem do pracy wykładowcy. Spędzałem czas z rodziną. Nocami sypiałem wolny od przerażających wizyt starych albo chudych demonów. Rano budziło mnie piękno słońca.

Rok później, po tym jak zrezygnowałem z krótkiej kariery pisarza fantasy, przeczytałem, że dwa tygodnie przed wydaniem swojego zbioru Ford czytał fragmenty maszynopisu *Jasnego poranka* podczas jednego z konwentów (chyba w Massachusetts). Według artykułu, który ukazał się w szanowanej gazecie, po skromnych oklaskach ze strony sześciu albo siedmiu osób na widowni, Ford wyszedł na jasny poranek i cicho wyparował, a kartki

uleciały z wiatrem jak wystraszone duchy.



Tę historię napisałem dla Marty'ego Halperna, redaktora zbioru, który trzymacie w dłoniach. Gdyby nie on, trzymalibyście powietrze. Co do samego opowiadania, rzeczywiście przez kilka lat łowiłem małże na Great South Bay. Marynarz zrobił nam zdjęcie, a potem strzelił sobie w głowę. Pokojówki były jednocześnie siostrami oraz matką i córką, a po pracy dorabiały zarzynaniem bydła. Rzeczywiście rzuciłem książkę z wiaduktu, ale to nie był *Mansfield Park*, który nawet mi się podobał. Kafka naprawdę kopnął mnie w jaja. Naprawdę wyparowałem.

PORTRET PANI CHARBUQUE

*Dla Lynn,
jedynej w swoim rodzaju, tajemniczej i pięknej.*

PIĘKNE DZIEŁO

Pani Reed przez cały wieczór ustawiała się bezpośrednio pod lub tuż obok swojego nowego portretu, co wprawiało mnie w zakłopotanie. Miała na sobie tę samą czarną suknię oraz naszyjnik z brylantów, w których dla mnie pozowała. Zważywszy na te okoliczności, nie dało się uniknąć porównań między dziełem Boga a moim. Śmiem twierdzić, iż pierwowzór Najwyższego w zestawieniu z moją malarską wizją okazał się poniekąd niedoskonały. Pan w swej niewątpliwej mądrości nie szczędził rozmachu, tworząc nos pani Reed, jak również uznał za stosowne zostawić wyraźną szparę pomiędzy jej przednimi zębami, tymczasem ja zwarłem szeregi i złagodziłem najbardziej charakterystyczne cechy jej wyglądu do pięknej normalności. Używając bladego odcienia różu oraz oszczędnie operując światłocieniem, nadałem jej skórze młodzieńczy blask i elastyczność, wyraźnie cofając czas, lecz nie na tyle, by zmiany wydały się groteskowe.

Być może pani Reed nie zdawała sobie sprawy z tych rozbieżności, albo była ich świadoma, lecz uważała, że stojąc tak blisko swojego szlachetniejszego wizerunku, pomiesza ułudę z rzeczywistością w umysłach swoich przyjaciół i krewnych. A może liczyła na jakąś nadnaturalną przemianę zachodzącą między ciałem a płótnem, niczym w najnowszej powieści Wilde'a *Portret Doriana Graya*. W każdym razie wyglądało na to, że promienieje radością. Pozostali goście uczestniczyli w tym krępującym spisku, starając się ignorować prawdę. Na szczęście, pan Reed z okazji odsłonięcia obrazu wydał fortunę na dobrego szampana i szczerze nas nim częstował.

Wśród około pięćdziesięciorga gości znalazło się wielu, którzy postanowili podejść do mnie i pochwalić moje dzieło, co zapewne przyprawiłoby mnie o kwaśny grymas, gdyby nie alkohol.

– Piambo, zachwycająco przedstawił pan złotą rybkę w akwarium na stoliku obok pani Reed. Mogę policzyć wszystkie łuski.

- Więdzące nasturcje w porcelanowym wazonie wyglądają jak żywe.
- Nikt tak jak pan nie potrafi oddać fałd na sukni, a te brylanty, jakże one lśnią.

Grzecznie im dziękowałem, wiedząc, że w nadchodzącym roku zrobię dla niektórych z nich to samo, co teraz zrobiłem dla pani Reed. Gdy wydawało mi się, że wreszcie zostałem sam, zbliżył się do mnie Shenz, mój przyjaciel, który również parał się szlachetną sztuką portretu. Był to niski mężczyzna z krótko przyszyżoną, spiczastą bródką. Zastąpił jako wyznawca doktryny prerafaelitów oraz autor portretów pomniejszych luminarzy klanu Vanderbiltów. Ukrywając szelmowski uśmiech za dużym cygarem, przyjrzał się obrazowi wiszącemu po drugiej stronie rozległego salonu.

– Piękne dzieło, Piambo – powiedział, po czym lekko obrócił głowę i podniósł na mnie wzrok.

– Napij się jeszcze szampana – szepnąłem, a Shenz cicho się roześmiał.

– No i bardzo bezpieczne – dodał.

– Przyjmuję zakłady, czy ludziom bardziej podoba się złota rybka, czy nasturcje.

– Ja obstawiam nos – odrzekł. – Genialna oszczędność farby.

– Myślę, że Reed podziela twoje zdanie. Wyjątkowo hojnie mi zapłacił.

– Nic dziwnego. Twoja magia sprawiła, że jego żona całkiem zapomniała o nierozważnym epizodzie z młodą sprzedawczynią z Macy's. Na nic by się zdała fortuna, którą ostatnio przyniosły mu fabryki obuwia; tylko twoje zdolności mogły ocalić jego małżeństwo i dobre imię.

– Bóg jeden wie, że do naszych zadań należy nie tylko malowanie. Kto będzie twoją następną ofiarą?

– Dziś wieczorem zobowiązałem się uwiecznić korpulentne potomstwo Hatstellów. Dwa utuczone potworki, które być może nafaszerują laudanum, żeby spokojnie pozowały. – Przed odejściem uniósł kieliszek z szampanem i zaproponował toast. – Za sztukę – rzekł, gdy zetknęły się delikatne krawędzie kryształów.

Kiedy Shenz się oddalił, usiadłem w kącie obok donicy z paprocią i zapaliłem cygaro, tworząc zasłonę dymną, za którą zamierzałem się schować. Wypiłem zbyt dużo szampana i kręciło mi się w głowie. Oślepiało mnie światło odbijające się od ozdobnego żyrandola zwieszającego się nad środkiem podłogi oraz blask biżuterii, którą nosiły piękniejsze połowy nowobogackich nowojorskich par. Od czasu do czasu ponad szum morza

gości wybijały się urywki rozmów i po chwili dotarły do mnie wieści dotyczące zarówno otwarcia kolumbijskiej wystawy w Chicago, jak i najnowszych przygód ubranego w koszulę nocną dziecięcego bohatera *Down Hogaris Alley*, najnowszej historyjki obrazkowej drukowanej w „New York World”.

Niejasno zdawałem sobie sprawę, że nie tylko chcę, ale wprost muszę się stąd wydostać. Zrozumiałem, że ostatnio więcej czasu spędzam w luksusowych salonach, odurzając się alkoholem, niż przed sztalugą. Nagle morze gości się przemieściło, a ja skupiłem wzrok i wypatrzyłem panią Reed, która samotnie wpatrywała się w swój portret. Widziałem ją od tyłu, ale zauważyłem, jak powoli podnosi rękę i dotyka swojej twarzy. Potem gwałtownie się odwróciła i odeszła. Po chwili widok zasłoniła mi kobieta ubrana w zieloną suknię, której kolor przypomniał mi, że zmagam się z mdłościami. Zgasilem cygaro w donicy z paprocią, po czym chwiejnie wstałem. Na szczęście nie musiałem zbytnio się zagłębiać w rozbawionym tłumie, żeby znaleźć pokojówkę i poprosić o płaszcz i kapelusz.

Planowałem szybką i dyskretną ucieczkę, ale kiedy ruszyłem w stronę schodów prowadzących ku frontowym drzwiom, dopadł mnie Reed.

– Panie Piambo! – zawołał. – Chyba nas pan nie opuszcza?

Odwróciłem się i zobaczyłem, że gospodarz lekko się chwieje i spogląda na mnie spod przymkniętych powiek. Na jego ustach gościł charakterystyczny wąski uśmiech, który mógł uchodzić za objaw serdeczności, jeśli ktoś nie dysponował bystrym okiem portrecisty. Reed był przystojnym i nowoczesnym mężczyzną. Nosił bokobrody i wąsy, a jego twarz mogłaby wyjść spod dłuta Saint-Gaudensa. Niewątpliwie miał także olbrzymie szczęście, ale kiedy uważniej mu się przyjrzałem, dostrzegłem w nim fabrykę nieszczeroci.

– Jest pan moim honorowym gościem – rzekł, podchodząc i kładąc mi dłoń na ramieniu.

– Proszę o wybaczenie, panie Reed – szepnąłem – ale próbowałem sam wypić pańskiego wyborowego szampana. Tak bardzo kręci mi się w głowie, że muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Roześmiał się donośnie, zwracając na siebie uwagę okolicznych gości. Zażenowany, zerknąłem na tłum, który również ryknął śmiechem, chociaż nie wiedział, co tak rozbawiło gospodarza, i zobaczyłem, jak Shen z kręci głową i przewraca oczami, dając mi tajny sygnał, że on również uważa Reeda

za skończonego osła.

– Niech pan przynajmniej pozwoli, że zawołam żonę. Na pewno chciałyby panu podziękować i się pożegnać.

– Dobrze – odrzekłem.

Reed zniknął, a ja zostałem, wpatrzony w długie schody prowadzące ku drodze ucieczki. Po kilku chwilach wrócił z żoną.

– Pan Piambo ma coś pilnego do załatwienia w innej części miasta, kochanie – wyjaśnił. – Dlatego jest zmuszony wyjść. Pomyślałem, że zechcesz mu podziękować za portret.

Pani Reed się uśmiechnęła, a ja skupiłem wzrok na szparze między jej zębami. Spędzając kolejne dni w jej towarzystwie, doszedłem do wniosku, że jest niemal całkowicie pozbawiona osobowości. Była posłuszną i grzeczną modelką, ale nigdy nie próbowałem poznać jej prawdziwej natury, ponieważ jej mąż dobitnie mi wyjaśnił, że to nie dusza pani Reed ma stanowić temat portretu.

Kiedy zbliżyła się o krok, zamierzając pocałować mnie w policzek, nagle na jej twarzy mignęło coś innego niż otepienie, do którego przywykłem. Potem jej usta musnęły moją skórę, a zanim się cofnęła, usłyszałem jej szept, cichy jak odgłos mokrego pędzla ślizgającego się po płótnie.

– Obyś szczuł. – Gdy ponownie się odsunęła, tak że widziałem jej całe oblicze, na jej ustach znów gościł uśmiech. – Dziękuję, panie Piambo – powiedziała.

Reed objął ją ramieniem i stanęli razem, jakby pozowali do obrazu przedstawiającego małżeńskie szczęście. Nagle obudziła się we mnie zdolność zaglądania w ludzkie dusze, którą wypracowałem przez lata pracy z modelami, a którą ostatnimi czasy ignorowałem, by tworzyć to, co Shen nazwał bezpiecznymi obrazami, i ujrzałem bladą, śmiertelnie zmęczoną kobietę w szponach wampira. Odwróciłem się i uciekłem, lekko potykając się na schodach. Towarzyszyło mi dręczące uczucie, jakiego może doświadczać człowiek, który nie pośpieszył na pomoc dziecku tonącemu w lodowatej rzece.

POŚLANIEC

Nie skorzystałem z eleganckich dorożek, które Reed podstawił dla swoich gości. Skręciłem w lewo i ruszyłem na południe Piątą Aleją, a w głowie wciąż kręciło mi się od alkoholu oraz słów, które wyszeptała pani Reed. Postawiłem kołnierz płaszcza i mocniej naciągnąłem kapelusz na głowę, ponieważ wszystko wskazywało na to, że podczas przyjęcia lato dyskretnie się ulotniło. Mocny wiatr dmuchał mi w plecy, niosąc ulicą żółknący arkusz gazety, który, łopocząc, przeleciał mi nad lewym ramieniem, po czym wzbił się pod gazowe latarnie niczym czmychający duch ciepłej pogody. Było późno, od mojego domu przy Gramercy Park dzieliło mnie jeszcze wiele przecznic, ale bardziej niż czegokolwiek potrzebowałem świeżego powietrza, ruchu oraz nocy, jako odtrutki na zatęchły, zatłoczony salon i fałszywe, popękane światło tamtego przeklętego żyrandola.

O tej ponurej godzinie na ulicach nie było bezpiecznie, lecz miałem pewność, że nawet najbardziej zaciekły napastnik nie byłby tak groźny i podstępny jak Reed. Pokręciłem głową, myśląc o tym, co musi znosić jego biedna żona, i zdając sobie sprawę, że chętnie, chociaż nie w pełni świadomie, przyczyniłem się do jej cierpienia. Teraz było dla mnie oczywiste, że od początku wiedziała, w czym uczestniczy. Prawdopodobnie dla dobra dzieci, ale także w celu ratowania własnej skóry udawała oczarowanie grą pozorów Reeda. Jeśli nawet był to pierwszy raz, z pewnością w przyszłości czekają ją kolejne upokorzenia, jednakże teraz każdemu atakowi na jej godność będzie towarzyszyło ujmujące, ponadczasowe piękno mojego obrazu, który już zawsze będzie przypominał pani Reed o pogłębiającej się brzydocie jej małżeństwa oraz życia. Wizerunek, podobny do modelki, ale nie identyczny, z pewnością przedstawiał kobietę, której pragnął jej mąż. Prawdę mówiąc, pani Reed miała więcej wspólnego ze złotą rybką uwięzioną w kulistym akwarium oraz ciętymi kwiatami więdnącymi w ozdobnym porcelanowym wazonie. Kiedy wybierałem rekwizyty, nie zdawałem sobie

sprawy z tego, jak będą wymowne.

– Piambo, kim ty się stałeś? – spytałem sam siebie, po czym zorientowałem się, że mówię na głos. Rozejrzałem się, żeby sprawdzić, czy usłyszeli mnie inni przechodnie, ale nieliczne osoby wędrujące ulicami o tak później godzinie były szczelnie otulone własnymi pragnieniami i przestrogami. W ciągu dnia miasto gnało przed siebie jak skazany na potępienie bogaty geniusz, zmierzając ku przyszłości z gorączkową energią, która kiedyś pozwoli mu doścignąć zwierzynę, ale nocą, gdy śniło, jego ulice przypominały nawiedzone aleje jakiegoś podmorskiego królestwa.

Nawet tramwaje poruszały się bardziej ociężale, jak potężne węże pływające w ciemności gęstej od porzuconych za dnia wyrzutów sumienia. Uniknąłem odpowiedzi na swoje pytanie, zatrzymując się na rogu Trzydziestej Trzeciej Ulicy, żeby popatrzeć na drugą stronę, na oświetlone blaskiem księżycy ruiny niegdysiejszej posiadłości Johna Jacoba Astora. Czytałem w gazecie, że jego syn, żeby zrobić na złość matce, zamierzał wyburzyć stary budynek i na jego miejscu wznieść elegancki hotel. Teraz pozostałości na wpół rozebranego domu przypominały gnijące cielsko jakiegoś olbrzyma wyrzuconego na brzeg na obrazie Veddera. Oto świadectwo niszczącej mocy nowego bogactwa. Nawet dawni bogowie i ich spuścizna nie byli chronieni przed tą inwazją. Nowym bóstwem została fortuna, a cała armia Reedów chętnie przestrajała swoje moralne barometry, żeby tylko wstąpić do jej kościoła. Jej katechizm sączył się z górnych poziomów Manhattanu aż do Lower East Side, gdzie rodziny imigrantów goniły za ulotnym duchem tego, czego nie pojmowały.

Jak w obliczu tak wszechobecnej społecznej manii taki zwykły malarz jak ja mógł ustrzec się przed zmianami? Niedawno na rynek wkroczyła fotografia, a ludzie z mojej branży z przerażeniem wstrzymali oddech, wieszcząc życie w nędzy. Jednakże, kiedy bogacze zorientowali się, że teraz byle robotnik może sobie pozwolić na tanią kopię swojego wizerunku, wśród arystokratów i elit zapanowała moda na zamawianie portretów u uznanych malarzy. W końcu zdjęcia żółkną i pękają po zaledwie kilkudziesięciu latach, a olejny obraz może zachować podobiznę zachwyconego modela dla przyszłych pokoleń. Posypała się lawina banknotów, które przesłoniły mi widok tego, co pierwotnie pragnąłem osiągnąć poprzez swoją sztukę. Dałem się zdominować aspektowi swojej pracy, który John Sargent nazywał „tyranią próżności” – machinacjom i złożonym sieciom intryg, które knuli

klienci.

Jako że Sargent wciąż był królem portretu, mój styl stopniowo przekształcił się w nieco mniej charakterystyczną kopię jego wygładzonego realizmu. Śmiem twierdzić, że poradziłem sobie z tym lepiej niż większość współczesnych, którzy usiłowali go naśladować, jednak Sargent był tylko jeden i nie mogłem się z nim równać. Mimo wszystko przyniosło mi to pieniądze i nieco sławy, a ja, niemal nieświadomie, zrobiłem dla siebie to samo, co niedawno zrobiłem dla pani Reed. Mając znacznie mniej do stracenia, również zaakceptowałem nieprzekraczalną, choć niewidzialną granicę wyznaczaną przez ściany akwarium i wiedłem jak cięte kwiaty wstawione do ozdobnego wazonu, w który zmieniło się moje życie.

Gdy tak szedłem, trzeźwiejąc na świeżym powietrzu, zrozumiałem, że najważniejsze pytanie nie brzmi: „Kim się stałem?“, lecz raczej: „Co mam teraz zrobić?“. Jak znów stać się sobą i namalować coś wartościowego, zanim będę za stary, żeby się tym przejmować, albo za słaby, żeby spróbować? Obejrzałem się na swoją mroczną sylwetkę przemykającą po sklepowej witrynie i nagle przypomniałem sobie obraz, który mniej więcej rok wcześniej widziałem w Narodowej Akademii Projektowania. Dzieło nosiło tytuł „Śmierć na białym koniu“, a namalował je zagadkowy Albert Pinkham Ryder, który pochodził z New Bedford. Teraz mieszkał w mało charakterystycznym domu przy Wschodniej Jedenastej i pracował w zagraconym, zrujnowanym studiu na poddaszu przy Piętnastej Ulicy. Kiedyś poznał nas Richard Gilder, redaktor „Century Magazine“, który mieszkał obok mnie w Gramercy.

Obraz przedstawiał przerażający wizerunek kostuchy z kosą, jadącej na grzbiecie konia pędzącego samotnie po torze w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Na pierwszym planie wił się wąż, a w tle widniało zachmurzone niebo namalowane za pomocą odcieni ochry, sienny palonej oraz ledwie widocznego szkarłatu, które doskonale oddawały ponury spokój poprzedzający burzę. Z obrazu biła czysta groza, a każdy, kto zdobyłby się na odwagę i go kupił, po czym zawiesił w salonie, zaprosiłby do swojego domu koszmar. Ten obraz przekazywał jakąś prawdę i stanowił przeciwieństwo idealnych technicznie, a zarazem bezpiecznych stylistycznie prac Sargenta, które tak lubili bogacze.

Gilder powiedział mi, że Ryder namalował go po tym, jak usłyszał historię pewnego kelnera, który pracował w hotelu należącym do jego brata.

Biedak skrupulatnie odłożył pięć tysięcy dolarów, po czym przegrał je podczas jednego zakładu na torze Hanover. Po przegranej popełnił samobójstwo. Za pomocą tego obrazu Ryder złożył mu hołd.

Ryder sprzedawał swoje dzieła, gdy pojawiali się chętni, ale pracował niezależnie od pieniędzy, trudząc się, by oddać na płótnie wszystko to, czego nie da się przekazać słowami. Pod wieloma względami był dziwakiem, nieco nieśmiałym i wycofanym, który do malowania używał wszystkiego, co wpadło mu w ręce – alkoholu, wosku ze świec, lakieru, oleju. Gdy zawodziły go pędzle, nakładał na płótno duże porcje farby za pomocą noża do palet. Gdy zawodził go nóż, używał dłoni, a kiedy lakier nie był w stanie zapewnić pożądanej jakości, podobno malował własną śliną. Czasami nawet nie czekał, aż obraz wyschnie, i natychmiast malował na nim kolejny. Nie nazwałbym go naiwnym, ale podczas naszego spotkania wyczułem w nim namacalną niewinność. Spokojna natura, potężna sylwetka i bujna broda upodabniały do go biblijnego proroka.

Pamiętam, że natrafiłem na jeden z jego morskich pejzaży, gdy byłem młodym uczniem pana Sabotta. Obraz przedstawiał łódeczkę na rozszalałym oceanie i biła z niego przytłaczająca moc natury oraz odwaga mało znaczącego żeglarza siedzącego na dziobie. Sabott, który stał wtedy obok mnie, nazwał dzieło „chaotycznym”. „Ten człowiek jest jak dziecko malujące własnym gównem na ścianie żłobka. Prawdziwego mistrza poznaje się po powściągliwości”, powiedział i przez pewien czas ta ocena mi towarzyszyła, gdy napotykałem któreś z płócien Rydera w jego galerii, Cottier & Co., albo na którymś z konkursów malarskich. Być może Sabott miał trochę racji, ale jakże cudownie byłoby znów stać się takim dzieckiem i pławić się w swojej oryginalnej wizji, ignorując Reedów tego świata i ich bogactwo.

Jeden ze znajomych Rydera kiedyś zacytował mi coś, co malarz napisał do niego w liście: „Czy kiedykolwiek widziałeś, jak gąsienica pełźnie po liściu albo gałązce, a potem przystaje na końcu i przez chwilę lawiruje w powietrzu, próbując coś wyczuć, czegoś osiągnąć? Właśnie tak jest ze mną. Usiłuję coś znaleźć poza miejscem, w którym mam oparcie”.

Skręciłem w lewo w Dwudziestą Pierwszą Ulicę i ruszyłem w stronę domu, zdając sobie sprawę, że właśnie tego mi trzeba. Musiałem sięgnąć poza swoją obecną bezpieczną egzystencję i ponownie odkryć siebie jako artystę. Bałem się tylko, że niczego tam nie znajdę. Wspiąłem się na szczyt swoich lat i rozpocząłem zejście ku mecie. Czułem przybierający na sile

wiatr w coraz rzadszych włosach. Co się stanie, jeśli zawiodę, a do tego stracę swoją pozycję jednego z najbardziej rozchwytywanych portrecistów w Nowym Jorku? Ponownie przypomniałem sobie wizerunek Śmierci na bladym koniu oraz postać głupca, który w jednej chwili roztrwoniał wszystkie oszczędności. Po tych przemyśleniach miałem w głowie jeszcze większy mętlik niż dotychczas. W końcu poszukiwanie prawdy i moralności ustąpiło miejsca pogoni za bogactwem i bezpieczeństwem. Pragnienie bycia kimś innym wydobyło się na powierzchnię, niesione przez dobre chęci, po czym pękło jak bąbelek w kieliszku z szampanem. Pokręciłem głową, kwitując głośnym śmiechem swoje problemy, i wtedy poczułem, że coś lekko trąca mnie w lewą goleń.

Podniosłem wzrok i aż podskoczyłem, gdy ujrzałem mężczyznę opierającego się o ścianę, szybko jednak doszedłem do siebie.

– Przepraszam pana – odezwałem się nie bez irytacji.

Mężczyzna cofnął czarną laseczkę, którą mnie zaczepił, po czym zrobił krok do przodu. Był potężnie zbudowany, ale stary. Miał krótką białą brodę i krąg białych włosów otaczający łysinę. Nosił trzyczędowy jasnofioletowy garnitur, który blask latarni ulicznej stojącej przy krawężniku wzbogacał o ciekawy zielony odcień. Ta nietypowa gra światła na chwilę przyciągnęła moją uwagę, ale zaraz przeniósłem wzrok na twarz nieznanego i z zaskoczeniem odkryłem, że w jego oczach zatarła się granica między źrenicą a tęczówką i spowiła je jednolita biel.

– To chyba pan podpisuje swoje obrazy jako „Piambo” – rzekł mężczyzna.

Każda choroba oczu wywołuje we mnie duży niepokój, więc potrzebowałem kilku chwil, żeby odzyskać równowagę.

– Tak – odparłem.

– Nazywam się Watkin.

– A o co chodzi? – spytałem, spodziewając się, że poprosi mnie o drobne.

– Moja pracodawczyni chciałaby zamówić u pana swój portret – odpowiedział cichym głosem, w którego precyzji kryła się nutka groźby.

– Obawiam się, że przez najbliższe miesiące będę zajęty – odrzekłem, pragnąc jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę.

– Musi pan znaleźć czas teraz. Ona nie chce nikogo poza panem.

– Doceniam jej dobry gust, ale niestety, dałem słowo innym zleceniodawcom.

– To będzie wyjątkowy projekt. Może pan sam zaproponować cenę. Proszę zsumować honoraria za obrazy, które obiecał pan namalować, a ona potroi tę sumę.

– Kim jest pańska pracodawczyni? – spytałem.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął kopertę w kolorze róży. Sposób, w jaki ją trzymał, podając ją nie tylko mnie, ale całemu wszechświatowi, upewnił mnie, że rzeczywiście jest niewidomy.

Zawahałem się, czując, że nie chcę mieć nic wspólnego z panem Watkinem, ale coś w sposobie, w jaki wypowiedział słowa „wyjątkowy projekt”, sprawiło, że w końcu sięgnąłem po kopertę.

– Rozważę to – obiecałem.

– Niech będzie – odparł z uśmiechem.

– Skąd pan wiedział, że mnie tutaj znajdzie?

– Intuicja – odrzekł, po czym wyciągnął przed siebie laseczkę, odwrócił się na zachód i ominął mnie. Idąc, co jakiś czas stukał czubkiem laseczki o fasady budynków.

– Skąd pan wiedział, że to ja?! – zawołałem.

Zanim zniknął w ciemności, usłyszałem, jak odpowiada:

– Zapach samozadowolenia; wszechogarniający aromat gałki muszkatołowej i pleśni.

PIERWSZY WIATR JESIENI

Według mojego kieszonkowego zegarka było pięć po drugiej w nocy, gdy wreszcie dotarłem do domu. Skrzypienie zamykających się za mną drzwi odbiło się słabym echem w cichych pokojach. Natychmiast zapaliłem wszystkie lampy w salonie i przedpokoju (elektryczność niedawno zawitała do Gramercy), po czym zabrałem się za rozniecanie ognia w głównym kominku, żeby zaradzić nagłemu pojawieniu się jesieni. Dorzuciłem dodatkową belkę, chcąc pozbyć się chłodu, który przeniknął mnie od wewnątrz, gdy usłyszałem pożegnalne słowa przeklętego Watkina. Do zapachu pleśni ostatecznie mogłem się przyznać – był jak duch sunący po skrzypiącej podłodze na poddaszu mojego sumienia – ale gałka muszkatołowa?

– Co ma z tym wszystkim wspólnego gałka muszkatołowa? – powiedziałem i pokręciłem głową.

Wiedziałem, że pomimo późnej godziny będę miał trudności z zaśnięciem. Nerwowe napięcie będące skutkiem incydentu u Reeda oraz późniejsze zwariowane rozważania całkowicie mnie rozbudziły, tak że nie pozostała mi inna możliwość jak spotkanie z demonem gorzałki. Wziąłem szklankę, butelkę whisky oraz papierosy i udałem się do swojego studia, gdzie zawsze najlepiej mi się rozmyślało. Do rozległego pomieszczenia również doprowadzono prąd, ale postanowiłem nie włączać lamp, lecz zapalić pojedynczą świecę, mając nadzieję, że cienie ukołyszają mnie do snu.

Studio, połączone z tylną częścią domu, wielkością niemal dorównywało mojemu mieszkaniu. O ironio, to właśnie bogactwo zdobyte dzięki portretom, którymi tak pogardzałem, pozwoliło mi zaprojektować i zbudować pracownię dokładnie według planu. W studiu znajdował się kominek, dzięki któremu mogłem pracować przez cały rok. Pod ścianami stały trzy duże stoły o blatach z drogiej teczyny, która była wystarczająco twarda, by wytrzymać kontakt ze stalówkami, brzytwami i nożami do palet.

Na jednym ze stołów leżał mój sprzęt do malowania, na drugim materiały, których czasami używałem do wytwarzania woskowych modeli, a na trzecim, który już niewiele mnie obchodził, kamienie oraz różnorodne tusze i roztwory do litografii.

Moja tablica do szkiców, której powierzchnię wykonano z takiego samego twardego drewna co blaty, była dziwacznie ozdobnym meblem z nogami w kształcie lwich łap, na których wyrzeźbiono naprzemiennie twarze cherubinów i demonów. Podczas jednej ze swoich częstych wizyt Shenz powiedział: „Nie wierzę, że jesteś na tyle bezczelny, żeby tworzyć na takim ołtarzu”.

Najbardziej niezwykłą cechą studia stanowił system bloków i kół zębatach służących do otwierania i zamykania świetlika. Wystarczyło pokręcić korbką, żeby odsunąć sufit i wpuścić do pomieszczenia powódź świeżego porannego światła. Zalane słońcem wewnątrz wypełnione materiałami, obwieszane obrazami oraz naznaczone kroplami i kałużami jaskrawych farb przypominało cudowną krainę sztuki. Jednak tej nocy, gdy sączyłem whisky w słabym blasku pojedynczej cienkiej świecy, moja pracownia ukazała zgoła odmienne oblicze. Gdyby dało się zajrzeć przez oko szaleńca do komnaty jego umysłu, widok mógłby przypominać zacienione i zagracone pomieszczenie, na które właśnie patrzyłem.

Nieudane i odrzucone portrety, które wisiały na wszystkich czterech ścianach studia tworzyły rodzinę, za którą jeszcze niedawno tak tęskniłem w przypływie samotności wieku średniego – około tuzina krewnych, oprawionych i zawieszonych na gwoździkach i sznurku, znieruchomiałych od werniksowania, zbudowanych nie z ciała, ale z wyschniętego pigmentu. Ich krwią były olej lniany i terpentyna. Nigdy dotąd nie dostrzegłem z taką wyrazistością, jak nędznym są zamiennikiem dla pierwowzorów. Moja pogoń za fortuną przyniosła mi wiele cennych łupów, ale teraz wszystkie sprawiały wrażenie mniej rzeczywistych od smużki dymu, która unosiła się z papierosa. Śledziłem jej wirujący ruch, podczas gdy mój umysł zabierał mnie coraz dalej w przeszłość, przetrząsając wspomnienia dawnych dni. Pragnąłem przypomnieć sobie dokładną chwilę zasadzenia nasion, z których potajemnie wyrósł kwiat mojego dzisiejszego niezadowolenia.

Moja rodzina przybyła do Ameryki z Florencji na początku lat trzydziestych dziewiętnastego wieku i osiadła na North Fork na Long Island, która wtedy składała się głównie z pastwisk i lasów. Nazwisko Piambotto,

moje pełne miano, było dobrze znane aż od czasów Renesansu, a mój ród wydał wielu rzemieślników i artystów. Vasari wspomina o słynnym malarzu noszącym to nazwisko. Chociaż mój dziadek po przybyciu do Nowego Świata był zmuszony zająć się uprawą ziemi, wciąż malował przepiękne pejzaże, które w niczym nie ustępowały pracom Cole'a czy Constable'a. Jeszcze kilka lat temu widywałem jego dzieła na aukcjach i w galeriach. Oczywiście, dziadek pozostał przy nazwisku Piambotto, podobnie jak mój ojciec. Dopiero ja, żyjący w erze ulotnych chwil i pośpiechu, postanowiłem je skrócić. Podpisywałem swoje obrazy jako Piambo i właśnie tak wszyscy mnie nazywali. Nie sądzę, żeby moja kochanka, Samanta Rying, wiedziała, że w dzieciństwie mówiłem po włosku, a na imię mam Piero.

Moja rodzina przeprowadziła się z pustkowi wschodniej Long Island do Brooklynu podczas boomu budowlanego, który pozwalał wierzyć, iż Manhattan wkrótce stanie się zaledwie dodatkiem do sąsiedniej dzielnicy. Mój ojciec był ciekawym człowiekiem i wybornym rzemieślnikiem, czym przypominał mi starożytnego Greka Dedala. Zasłynął jako świetny kreślarz i równie biegły wynalazca, który potrafił nadać fizyczną formę różnorodnym wytworom swojej wyobraźni. Byłem wtedy zbyt młody, żeby dokładnie zapamiętać przebieg wydarzeń, ale podczas Wojny Domowej, ze względu na renomę znakomitego konstruktora maszyn i inżyniera (w obu tych dziedzinach był całkowitym samoukiem), przywódcy z Waszyngtonu zlecieli mu skonstruowanie broni dla Unionistów. Poza kilkoma elementami okrętu podwodnego ojciec zbudował także broń zwaną Smokiem. Był to rodzaj działa wykorzystującego sprężony azot do wystrzeliwania strumienia oleju, który następnie ulegał zapaleniu. Działo mogło razić płomieniami nadciągające wojsko z odległości dwudziestu metrów. Pamiętam, że widziałem testy tej broni, i zapewniam, iż nadano jej adekwatną nazwę. Tego dziwnego urządzenia użyto tylko raz, podczas bitwy nad potokiem Chinochik, a skutki były tak przerażające, że dowódca Unionistów odpowiedzialny za nową broń odmówił jej ponownego użycia. Zwrócił ją do Waszyngtonu, dołączając list, w którym opisał piekielny widok rebeliantów „biegających i wrzeszczących, pochłanianych przez płomienie. Ludzie na moich oczach roztapiali się do kości, a smród, który tamtego dnia wisiał w powietrzu, wciąż mi towarzyszy, nieważne, jak bardzo oddalę się od Chinochik”. Wyznał, że ta pożoga okazała się równie demoralizująca dla jego oddziałów, jak dla wrogów.

W podziękowaniu za wynalezienie Smoka ojca zaproszono do Nowego Jorku, gdzie miał otrzymać Medal Honoru, a także zapłatę od wojska. Jako jego jedyne dziecko wybrałem się z nim w tę podróż. Wtedy po raz pierwszy zawędrowałem do miasta, a widoki i odgłosy egzotycznej metropolii przyprawiły mnie o zawrót głowy. Udaliśmy się do potężnego budynku ozdobionego okazałymi rzymskimi łukami, którego nigdy nie udało mi się ponownie odnaleźć, i ojciec otrzymał worek złota oraz medal od grupy wąsatych mężczyzn w mundurach przepasanych wstęgami. Kiedy uroczystość dobiegła końca i wyszliśmy na ulicę, wziął mnie na ręce i przytulił.

– Chodź ze mną, Piero – powiedział, po czym postawił mnie na ziemi.

Następnie wziął mnie za rękę i szybkim krokiem poprowadził zatłoczonymi ulicami do innego budynku. Weszliśmy do środka i przeszliśmy długimi marmurowymi korytarzami, w których wisiały obrazy. Zakręciło mi się w głowie od podnoszenia na nie wzroku. Prosiłem ojca, żeby się zatrzymał i pozwolił mi dokładniej im się przyjrzeć, ale on ciągnął mnie za rękę, mówiąc:

– To jeszcze nic. Chodź, pokażę ci.

Weszliśmy do jednej z wnęk, gdzie znajdowała się fontanna, która za sprawą magicznych hydraulicznych sztuczek grała smętną muzykę. Zatrzymaliśmy się, czując na plecach drobną mgiełkę, a wtedy ojciec pokazał mi nowe arcydzieło Sabotta „Madonna z mantykorami”. Madonna, której łagodne spojrzenie skierowane poza obraz wywoływało we mnie poczucie całkowitego spokoju, nie miała sobie równych pod względem piękna, a każde pasmo włosów, każdy rząd zębów jakby wyrzeźbionych z kości słoniowej, każde błyszczące czerwone oko i śmiercionośny kolec dziwacznych trzyczęściowych bestii wijących się u jej stóp przepełniała energia wykrzywionej natury z trudem utrzymywanej w ryzach.

– To jest coś – rzekł ojciec.

Byłem jak zahipnotyzowany, a gdy tak stałem z rozdziawionymi ustami i wytrzeszczonymi oczami, wyszeptał mi do ucha z naciskiem:

– Od początku chciałem stworzyć coś tak pięknego, ale cały mój czas, energia i talent poszły na zatracenie. Teraz mogę tylko za pieniądze budować maszyny zagłady. Wygrałem bitwy, ale po drodze przegrałem duszę. Twórz, Piero – powiedział, ściskając mnie za ramiona. – Twórz coś pięknego, w przeciwnym razie życie nie ma sensu.

Zginął rok później, gdy miałem osiem lat, posiekany na kawałki przez broń, którą projektował, samonapędzające się tornado lśniących ostrzy. Tamtego dnia pomagałem mu w warsztacie, ale nie zdołałem go ocalić. Wymazałem z pamięci te straszliwe obrazy. Wkrótce po pogrzebie zacząłem rysować, próbując uchwycić na papierze jego podobiznę, żeby go nie zapomnieć. W efekcie odkryłem, że odziedziczyłem po ojcu zdolności twórcze. Matka zachęcała mnie, żebym dalej działał w tym kierunku; w ten sposób chciała oddać hołd ukochanemu mężowi.

Wierzę, że jego duch towarzyszył mi w życiu, ponieważ wiele lat później dziwnym trafem zostałem uczniem pana Sabotta, autora „Madonny z mantykorami”, co z pewnością ucieszyłoby ojca. Być może to wcale nie Reedowie i ich żałosna sytuacja, nie szampan lub żyrandol ani nawet nie Watkin skierowali moje myśli na taki tor, tylko mój ojciec, który z pogrążonego w ciemności brzegu krainy Plutona posyłał mi wiadomość takiej wagi, że zdołała przeskoczyć otchłań pomiędzy życiem a śmiercią i dotrzeć do mnie wraz z pierwszym wiatrem jesieni.

Zakończyłem wieczór z butelką opróżnioną do połowy. Miałem zamglony wzrok i bolała mnie głowa, ale pamiętałem, żeby zdmuchnąć tłącą się świeczkę. Poszedłem do sypialni, rozebrałem się i położyłem. W parku po drugiej stronie ulicy zaczęły śpiewać ptaki, a ja przez chwilę z uwagą przyglądałem się ciekawemu wzorowi na ścianie, utworzonemu przez blask księżycy przeświecający przez koronkowe firanki.

Gdy zasnąłem, przyśnił mi się bardzo nieprzyjemny sen, w którym patrzyłem, jak mój ojciec jest rozrywany na kawałki przez mantykory Sabotta. Wizja była tak wyrazista i gwałtowna, że obudziłem się z krzykiem i zobaczyłem światło słońca przenikające firanki. Od alkoholu i papierosów czułem suchość w ustach i ośpienie. Miałem mdłości, ale to nie powstrzymało mnie przed wygramoleniem się z łóżka. Poszedłem prosto do salonu i znalazłem marynarkę, w którą byłem ubrany poprzedniego wieczoru. Wydobyłem z kieszeni różową kopertę, którą dostałem od Watkina, otworzyłem ją, po czym wyjąłem ze środka kartkę w tym samym kolorze. Na niej znajdował się adres, zapisany zapętłonym charakterem pisma. Przypomniałem sobie, że staruszek wspominał o „wyjątkowym projekcie”, i natychmiast postanowiłem, że przyjmę zlecenie.

MOJA KLIENTKA

Gdybym podszedł do sprawy rozsądnie, najpierw spotkałbym się z tajemniczą nową klientką, a dopiero potem zerwał umowy, które zawarłem z poprzednimi zleceniodawcami. To był śmiały ruch z mojej strony; nie spodziewałem się, że jestem do niego zdolny. Z każdym napisanym listem, w którym grzecznie wycofywałem się z podjętych zobowiązań, ogarniała mnie nowa fala coraz silniejszych wątpliwości, a ostatni podpisywałem drżącą ręką. Oczyma wyobraźni widziałem żałosnego kelnera, stojącego przy okienku i stawiającego wszystkie swoje pieniądze na szkapę, która mogła wygrać tylko wyścig do fabryki kleju. A jednak to, co robiłem, przyprawiało mnie o dreszcz emocji i chociaż czułem nad sobą widmo katastrofy, przyszłość otwierała się przede mną na oścież jak drzwi. Gdy wkroczyłem do mglistego świata blasku, to, co jeszcze przed chwilą było wejściem, nagle zmieniło się w jedyną drogę wyjścia, która zatrzasnęła się za mną, a nerwowe pobudzenie zastąpił spokój. Czułem się tak, jakbym unosił się pośród obłoków niczym latawiec.

Znalazłem się na uwięzi, ale właśnie na tym polegał mój plan. Zamierzałem przyjąć zlecenie od pracodawczyni pana Watkina, jak najlepiej wykonać swoje zadanie, tworząc portret, którego zażyczy sobie modelka, a następnie odebrać hojną zapłatę. Dzięki obiecanej sumie – trzy razy wyższej od spodziewanych zarobków za cały przyszły rok – będę mógł przez dłuższy czas swobodnie podążać za swoją muzą. Perspektywa obalenia tyranii próżności i namalowania czegoś innego niż twarze, które drżą z wysiłku, by okazać się godnymi przyszłych wieków, dodawała mi animuszu, a nawet złagodziła skutki kaca. Śniłem na jawie o podróży w egzotyczne miejsca i malowaniu na świeżym powietrzu, by uchwycić ponadczasowy obraz natury, albo, co ważniejsze, podróży w głąb siebie i uwolnieniu wszystkich obrazów, które tak długo ignorowałem.

Gdy już się umyłem, ogoliłem i ubrałem w najlepszy szary garnitur,

włożyłem cienki płaszcz i ruszyłem w stronę Siódmej Alei, żeby złapać tramwaj jadący na przedmieścia. Pod adresem zapisanym na kartce w kolorze róży z pewnością znajdowało się jedno z tych nowych szkaradzieństw wybudowanych w ciągu ostatniego dziesięciolecia poza dotychczasowymi granicami miasta. Rezydencje na rubieżach Manhattanu, zaprojektowane i wzniesione przez firmę architektoniczną McKima, Meada i White'a, stanowiły miszmasz klasycznego stylu ze współczesną nowojorską modą – można powiedzieć, że Bizancjum spotykało się tam z Broadwayem. Zbudowane z najwyższej jakości importowanych marmuru i wapienia, należały do najbardziej okazałych monolitów w kraju. Odwiedziłem kilka z nich przy okazji uczestnictwa w przyjęciach i wykonywania zleceń. Odetchnąłem z ulgą, gdyż adres gwarantował, że moja klientka z pewnością dysponowała środkami umożliwiającymi dotrzymanie ekstrawaganckiej umowy, którą przedstawił mi Watkin.

Mimo że dzień zaczął się słonecznie, teraz niebo się zachmurzyło, a zimny wiatr, który pojawił się w mieście poprzedniego wieczoru, najwyraźniej miał ochotę zostać na dobre. Skrawki papieru i opadłe liście sunęły chodnikami, a mój oddech zmieniał się w kłęby pary. Ludzie, których mijalem, bronili się przed zimną pogodą za pomocą szalów i rękawiczek, a ja próbowałem przypomnieć sobie, co się stało z latem. Cieszyłem się z faktu, że malarstwo nie jest podobne do pracy w fabryce albo biurze, gdzie ustalone okresy harówki bezustannie przypominają człowiekowi o utracie bezcennych godzin, jednak z drugiej strony zazwyczaj nie potrafiłem powiedzieć, jaki akurat mamy dzień. Większość lipca oraz cały sierpień i wrzesień pochłonęło zlecenie, które ostatecznie doprowadziło do niezadowolenia pani Reed, więc nie mogłem w pełni doświadczyć ich duszącego upału. Kwiecień, maj oraz początek czerwca, delikatne wiosenne miesiące, kojarzyły mi się z zamroczonym pułkownikiem Onslowem Mardeelingiem, którego nos, pokryty wzniesieniami i rozpadlinami, stanowił prawdziwe studium księżycowej geografii. Wszystkie lata mojego dorosłego życia miały postać galerii twarzy i sylwetek innych ludzi. Musiałem zadać sobie pytanie: Gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla mnie?

Było już grubo po dwunastej, gdy wreszcie dotarłem do celu, dwupoziomowego gmachu z marmurowymi kolumnami, który bardziej przypominał śródmiejską siedzibę jakiejś instytucji finansowej niż rezydencję mieszkalną. Masywna budowla z białego kamienia sprawiała posępne

wrażenie, niczym mauzoleum. Ametystowe niebo otworzyło się w chwili, gdy wysiadłem z tramwaju i zaczął padać rześisty deszcz. Krople strącały pomarańczowe pięcioramiennie liście z olbrzymiego klonu rosnącego przed domem, a silny wiatr rozrzucał je po niewielkim trawniku i ścieżce prowadzącej do frontowych drzwi. Przystanąłem na chwilę, żeby się upewnić, czy to właściwy numer. Nagle niebo przecięła błyskawica, co skłoniło mnie do ruszenia z miejsca.

Ledwie zdążyłem zabrać rękę z mosiężnej kołatki, gdy drzwi otworzyły się do wewnątrz. Przedemną stanął pan Watkin, gwałtownie poruszając głową o mlecznobiałych oczach.

– Czym mogę służyć? – spytał.

Nie odzywałem się, chcąc sprawdzić, czy staruszek ponownie rozpozna mnie po zapachu.

Kiedy doszedłem do wniosku, że go zaskoczyłem, lekko wciągnąłem powietrze, po czym rzekł:

– Aha, pan Piambo. Dokonał pan właściwego wyboru. Proszę wejść, niech pan się schroni przed burzą.

Wciąż się nie odzywałem, nie chcąc mu dawać satysfakcji.

Wprowadził mnie do przedsionka przylegającego do przedpokoju i kazał zaczekać, podczas gdy sam poszedł poinformować panią domu o moim przybyciu. Ku mojemu zaskoczeniu, nad otomaną stojącą przy przeciwległej ścianie wisiał oryginalny obraz Sabotta. Od razu rozpoznałem w nim dzieło, nad którym pracowałem, gdy byłem uczniem w studiu mojego mentora. Nosiło tytuł „Na morzu” i przedstawiało fantastyczny portret pana Jonathana Monlasha, kapitana żeglugi pływającego w latach siedemdziesiątych, który zasłynął z zamiłowania do palenia haszyszu. Kiedy obraz został ukończony, miałem nie więcej niż dwadzieścia lat, ale wciąż pamiętałem niespożytą energię i niezawodne poczucie humoru marynarza. Jeśli pamięć mnie nie myliła, namalowałem niektóre z demonów wirujących w oszałamiającym tańcu wokół głowy smętnego kapitana. Za namową Monlasha Sabott namalował go z ustnikiem sziszy w zębach. Mimo że szaro-błękitny dym wydobywający się z kącika jego ust składał się z pigmentu, był tak ulotny, że miało się wrażenie, iż kłębi się i unosi w powietrze. Pokręciłem głową, widząc tego przyjaciela z dawnych lat i zdając sobie sprawę, że obraz obecnie musi być wart fortunę. Tak bardzo skupiłem się na portrecie, że zapomniałem, gdzie jestem, i nie zauważyłem powrotu Watkina.

– Proszę tędy, panie Piambo – powiedział.

– Gdzie się podział pański fioletowy garnitur, panie Watkin? – spytałem, wychodząc w ślad za nim z pomieszczenia i idąc ciemnym korytarzem.

– Fioletowy? – zdziwił się staruszek. – Nie przypominam sobie, żebym posiadał fioletowy garnitur. Może chodzi panu o fioletowo-brązowy?

Przeprowadził mnie przez bogato zdobioną jadalnię z kryształowymi lampami, których odbicia migotały na długim stole o lustrzanym blacie. Na ścianach wisiały oryginalne obrazy uznanych artystów, zarówno dawnych mistrzów, jak i współczesnych malarzy. Przeszliśmy przez gabinet, gdzie pod ścianami stały sięgające sufitu półki pełne oprawionych w skórę tomów, a następnie powędrowaliśmy korytarzem wyłożonym panelami z aromatycznego cedru, niewątpliwie sprowadzonego z Libanu.

Wreszcie dotarliśmy do pomieszczenia na tyłach domu. Mój przewodnik otworzył drzwi i zszedł mi z drogi, zachęcając mnie gestem do wejścia. Gdy to zrobiłem, ze zdziwieniem zorientowałem się, że Watkin bez najmniejszego potknięcia poprowadził mnie przez pełne mebli pokoje. Nie przypominałem sobie, żeby choć raz dotknął palcem ściany.

Byłem sam w dużym, niemal pustym pomieszczeniu pozbawionym zdobień i mebli, i wysokim na co najmniej pięć metrów. Na obu bocznych ścianach znajdowały się okna zwieńczone łukami. To po lewej stronie wychodziło na zalany deszczem więdnący różany ogród, gdzie kilka bladych żółtych płatków wciąż trzymało się łądyg. Po przeciwnej stronie dostrzegłem fragment sąsiedniego domu odznaczający się na tle bezbarwnego nieba. Po lewej stronie w głębi zobaczyłem otwarte drzwi, a za nimi pogrążone w cieniu schody prowadzące na górę. Zachwycającą posadzkę z jasnego klonu przeplatanego arabeskami z ciemniejszego drewna wypolerowano na wysoki połysk. Ściany oklejono tapetą w zielono-żółte roślinne motywy na kremowym tle. Na samym środku pokoju stał wysoki na półtora metra parawan, składający się z trzech paneli zamocowanych na połączonych zawiasami ramach z drzewa wiśniowego. Na panelach w kolorze starego pergaminu namalowano opadające brązowe liście.

Przed parawanem stało proste drewniane krzesło o krótkim oparciu i szerokich podłokietnikach. Watkin wszedł do pokoju za mną i zamknął drzwi.

– Proszę usiąść na krześle. Moja pracodawczyni za chwilę do pana dołączy.

Ruszyłem naprzód, a moje kroki odbiły się echem. Gdy tylko usiadłem, usłyszałem, jak drzwi ponownie się otwierają i zamykają.

Byłem podekscytowany perspektywą spotkania z klientką i starałem się odzyskać spokój, żeby jak najlepiej się przed nią zaprezentować. W tym celu skupiłem się na rozmyślaniu, jakiej zapłaty zażądam za wykonanie zlecenia. Jeśli Watkin nie kłamał, moja klientka była gotowa rozstać się z dużymi pieniędzmi. Uśmiechnąłem się na myśl o ogromnych kwotach, które prześlizgiwały się przez mój umysł jak węgore, i spróbowałem wyszeptać którąś z liczb, chcąc sprawdzić, czy uda mi się podać cenę w taki sposób, by mój głos nie zdradził, że zdaję sobie sprawę z jej absurdalności. Pierwsza próba wypadła zadowolająco, ale kiedy chciałem powtórzyć eksperyment z liczbą o kilka rzędów wyższą, wystraszył mnie niewyraźny dźwięk, który rozległ się za parawanem.

– Jest tam kto? – odezwałem się.

Nikt nie odpowiedział i już zaczynałem myśleć, że cichy odgłos przypominający odchrząknięcie był dziełem mojego sumienia bojkotującego plany artystycznego piractwa, gdy nagle dźwięk rozległ się ponownie, zanim zdążyłem wrócić do rozmyślań o finansach.

– Witam, panie Piambo – usłyszałem cichy kobiecy głos.

Na chwilę zamarłem, po czym odpowiedziałem na tyle głośno, by okazać zażenowanie.

– Nie wiedziałem, że ktoś tutaj jest.

– Tak. No cóż. – Umilkła na chwilę, a ja się pochyliłem. – Może mnie pan nazywać panią Charbuque.

JEDYNE ZAŚTRZEŻENIE

Próbowałem sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej słyshałem to nazwisko, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

– A więc dobrze – odrzekłem. – Miło mi panią poznać.

– Watkin twierdzi, że zgodził się pan namalować mój portret – powiedziała, a parawan zawibrował pod wpływem jej głosu.

– Jeśli uda nam się uzgodnić odpowiednie warunki, to owszem, jestem zainteresowany.

Wtedy podała sumę, która przekraczała moje najbardziej oszałamiające wyobrażenia.

Nie mogłem się powstrzymać. Wziąłem głęboki wdech i powiedziałem:

– To rzeczywiście mnóstwo pieniędzy.

– Tak – przyznała.

– Nie chciałbym wyjść na impertynenta, pani Charbuque, ale czy mogę spytać, dlaczego rozmawiamy rozdzielni parawanem?

– Ponieważ nie może mnie pan zobaczyć, panie Piambo.

– Jak zatem mam panią namalować, skoro pani nie widzę? – spytałem ze śmiechem.

– Sądzi pan, że zaproponowałabym tak olbrzymią sumę za zwyczajny portret? Nie brakuje mi pieniędzy, drogi panie, ale nie jestem rozrzutna.

– Wybacz pani, ale nic nie rozumiem.

– Ależ z pewnością pan rozumie, panie Piambo. Musi mnie pan namalować, mimo że mnie pan nie widzi.

Ponownie się roześmiałem, tym razem głośniej, dając wyraz mojemu rosnącemu zaskoczeniu.

– Podejrzewam, że pan Watkin, który wędruje płataniną miejskich ulic bez pomocy wzroku, lepiej by się nadał do tego zadania.

– Watkin ma wiele umiejętności, ale nie należy do nich malowanie.

– Może mi pani opowiedzieć, jak sobie to wyobraża?

– Oczywiście. Będzie mnie pan tutaj odwiedzał, siadał przed parawanem i zadawał mi pytania. Na podstawie informacji, które panu przekażę, mojego głosu i moich opowieści, stworzy pan w myślach mój wizerunek, a następnie przeniesie go na płótno.

– Proszę wybaczyć, ale obawiam się, że to niemożliwe – odparłem.

– Przekonałam się, panie Piambo, że słowo „niemożliwe” niewiele znaczy. Zgodzę się, że to trudne, ale nie zlecam panu takiego zadania bez powodu. Musi pan jedynie namalować udany portret, do czego z pewnością jest pan zdolny. Jeśli jednak uda się panu dokładnie oddać mój wygląd, podwoję zapłatę, którą panu zaoferowałam. Nie może pan nic stracić, a możliwe, że zakończy pan ten projekt jako niezwykle bogaty człowiek.

Gdy mówiła, próbowałam ją sobie wyobrazić na podstawie jej dźwięcznego głosu. W wyobraźni dostrzegłam kasztanowe włosy upięte w kok, ale gdy znów się odezwała, kok się rozplątał i loki opadły, wirując.

– Jedynym zastrzeżeniem jest to, że nie może mnie pan zobaczyć. Jeśli z jakiejś przyczyny nie będzie pan w stanie powstrzymać ciekawości i spróbuje na mnie popatrzeć, zlecenie natychmiast zostanie unieważnione, a pan zostanie surowo ukarany za swoją bezczelność. Czy to jasne?

– Ukarany? – zdziwiłem się.

– Nie pozwolę, żeby mnie pan oglądał. Jeżeli pan to wymusi, ostrzegam, że rozprawi się z panem Watkin, który posiada pewne... jak by to ująć... zdolności. Niech pan nie lekceważy jego skuteczności.

– Ależ pani Charbuque, jestem dżentelmenem. Zapewniam panią, że to nie będzie konieczne.

– Ze swojej strony uprzedzam, że nie odpowiem na żadne pytania dotyczące mojego wyglądu, lecz poza tym może mnie pan pytać o wszystko, a ja obiecuję, że nie będę niczego ukrywać.

– Czy mogę poznać powód tego wszystkiego? – spytałem.

– To nie pańskie zmartwienie.

W myślach mignęły mi lśniące zielone oczy.

– Zawrzemy umowę? – spytała. – Proszę nie mieć wyrzutów sumienia, jeśli postanowi pan odrzucić moją ofertę. Wybrałam już kogoś innego, na wypadek gdyby pan mnie zawiódł. Jest pewien utalentowany malarz, niejaki Oskar Hulet, który zapewne świetnie poradziłby sobie z tym zadaniem. Słyszał pan o nim?

– Z pewnością pani wie, że tak – odrzekłem. Musiała również zdawać

sobie sprawę, że Hulet wciąż przebywa w Europie.

– Być może – szepnęła, a mnie wydało się, że słyszę jej śmiech.

Jej oczy zmieniły kolor na niebieski, a potem piwny. Wyobraziłem sobie, jak walczę na śmierć i życie z Watkinem, potem w myślach zobaczyłem Huleta pracującego nad swoim arcydziełem, a w końcu przypomniałem sobie upadek Sabotta, który spędził ostatnie lata życia na ulicy, bredząc jak szaleniec.

– Tak, zawrzemy umowę – rzekłem pośpiesznie, czując jednocześnie przypływ żalu i entuzjazmu.

– Znakomicie. Będę pozostawała do pańskiej dyspozycji pomiędzy czternastą i piętnastą każdego dnia tygodnia poza sobotami i niedzielami, przez cały następny miesiąc, ale może pan przychodzić tylko wtedy, gdy będzie to panu potrzebne. Niewykluczone, że już wie pan wystarczająco dużo, by spróbować stworzyć portret. W drugim tygodniu listopada będzie pan musiał pokazać mi gotowy obraz.

– Zgoda – odparłem. – Wrócę jutro i wtedy zaczniemy.

– Jak pan sobie życzy.

Zanim wstałem, przypomniałem sobie o portrecie Monlasha.

– Pani Charbuque, czy mogę spytać, jak weszła pani w posiadanie obrazu przedstawiającego kapitana palącego fajkę, który wisi w niewielkim pomieszczeniu obok przedpokoju?

– Watkin gdzieś go kupił. Na górze mam także jeden z pejzaży autorstwa pańskiego dziadka Piambotto. Bydło na łące skąpanej w porannym słońcu.

– Sporo pani o mnie wie. – Nie byłem pewien, czy mi się to podoba.

– Jestem dociekliwą kobietą, panie Piambo. Wiem o panu wszystko.

Dopiero wieczorem, kiedy siedziałem na balkonie Teatru Palmera, patrząc, jak Samanta występuje w nowej wersji starej opowieści o „Amnezji Ducha”, dotarło do mnie, na jak absurdalną rzecz się zgodziłem. Uśmiechnąłem się, zdając sobie sprawę, że zdrowa dawka poczucia humoru będzie najlepszą receptą na wykonanie tego zlecenia. Dlaczego Watkin miałby mnie karać? – rozmyślałem. Pani Charbuque woli wyrządzić mi poważną krzywdę niż pozwolić, żebym ją zobaczył? Chciałem jeszcze chwilę się nad tym zastanowić, ale wtedy na scenie zamaskowana Samanta

krzyknęła pod wpływem dotyku niewidzialnej istoty, która już dawno zapomniała o pięknie życia.

Wieczorem leżałem na łóżku u boku swojej ukochanej. Perfumowana świeczka, którą podarowała mi tego dnia, paliła się w świeczniku na toaletce. Po przedstawieniu poszliśmy napić się czegoś do Delmonicos. Wino oraz leniwa miłość w końcu pomogły mi się pozbyć uciążliwego niepokoju, który wywołało spotkanie z panią Charbuque. Pocieszała mnie bezpośrednio Samanty, jakże odmienna od skrytości mojej nowej klientki. Oczywiście, to nie oznaczało, że Samanta była pozbawiona kobiecej tajemniczości, jednakże zarazem cechowały ją niezachwiana praktyczność, otwartość i niezależność. Dzięki temu nasz związek mógł trwać latami, a ona nie żądała, byśmy się pobrali. Angażowała się w aktorstwo z równą pasją, jak ja w malarstwo, i chyba właśnie to najbardziej w niej kochałem.

– Jak ci się podobał spektakl? – spytała.

– Cudowny – odrzekłem. – Byłaś zachwycająca.

– Rola starzejącej się aktorki nie wymagała wielu przygotowań. Ale według mnie duch był fatalny. Kto widział grubego upiora?

– Bardziej przypominał rzeźnika, który wpadł do worka z mąką. Z pewnością nie może się równać z Edwinem Boothem. Wygłaszał swoje kwestie jak głupek uczący się czytać.

Roześmiała się.

– To siostrzeniec właściciela teatru. Nazywa się Derim Lourde. Po przedstawieniu autor chciał go udusić.

– Cóż, jego postać miała zapomnieć, jak to jest być żywym – stwierdziłem.

– Problem w tym, że trudno uwierzyć, by kiedykolwiek żyła.

– Myślę, że publiczności to nie przeszkadzało. Zgotowano wam burzliwą owację, zwłaszcza tobie.

– Piambo, jesteś moim ulubionym krytykiem – powiedziała i nachyliła się, żeby mnie pocałować. – A jak tobie minął dzień?

Początkowo nie miałem ochoty ujawniać szczegółów dotyczących mojego spotkania z panią Charbuque, ale w końcu uznałem, że komuś będę musiał powiedzieć. Czegoś takiego nie sposób utrzymać w tajemnicy. Zrelacjonowałem wszystkie wydarzenia, od spotkania z Watkinem do popołudniowej rozmowy.

Kiedy skończyłem, Samanta się roześmiała.

– W tym mieście jest więcej szaleństwa niż na całym pozostałym świecie. Jak zamierzasz wykonać to zadanie?

– Nie wiem, ale pomyślałem sobie, że zaproponujesz mi kilka pytań, które mogą sprawić, że ujrzę podobiznę pani Charbuque w jej słowach.

Samanta przez chwilę milczała.

– Po co zajmujesz się takimi gierkami? – spytała w końcu.

– To wyzwanie, a poza tym, dzięki pieniądzom, które zarobię, będę mógł uciec przed portretami na zamówienie i namalować coś wyjątkowego.

– A więc ślepo gonisz za zyskiem, żeby móc zrezygnować z pogoni za zyskiem?

– Coś w tym rodzaju.

– Rozumiem – odrzekła. – Ostatnio dostaję zbyt wiele propozycji ról podstarzałych aktorek, żon w średnim wieku, starszych... nieważne. W zeszłym miesiącu grałam stuletnią wiedźmę. Z pewnością nikt nie obsadzi mnie teraz w głównej roli w romansie, ale chętnie podjęłabym takie wyzwanie, żeby sprawdzić, czy wciąż mogłabym mu podołać.

– Więc o co mam ją spytać?

Znów milczała.

– Może dowiem się czegoś o jej dzieciństwie – zaproponowałem.

– To będzie dobre na początek – przytaknęła. – Ale potem spytaj ją o cztery rzeczy: kochanków, największy lęk, największe pragnienie oraz najgorszy dzień w życiu.

Przez chwilę rozważałem listę Samanty, i to wystarczyło, żeby ujrzał w myślach postać kobiety. Stała na płaskiej skale wyłaniającej się spośród fal, a wiatr powiewał jej niebieską sukienką i puklami włosów.

– Zadowolony?

Pokiwałem głową, próbując skupić się na tym obrazie, ale rozproszyłem się, gdy Samanta wstała z łóżka. W blasku świecy jej ciało wyglądało niemal równie młodo jak tamtego dnia przed dwunastu laty, gdy przyszła, żeby mi pozować. Patrzyłem, jak pochyla się nad płomieniem i go zdmuchuje. Gdy zapadła ciemność, widziałem tylko blaknący zarys jej gładkich pleców i długich nóg. Wróciła do łóżka i przetoczyła się, kładąc rękę na mojej piersi.

– To niepokojące zadanie – powiedziała sennym głosem. – Na równi głupie i tajemnicze.

Zgodziłem się, wyobrażając sobie opadające liście, które zdobiły parawan pani Charbuque. Dotarło do mnie, że nawet ta jesienna nieruchoma dekoracja

stanowi wskazówkę. Jaka kobieta wybrałaby taki przedmiot? – zastanawiałem się.

Oddech Samanty stał się płytszy i wiedziałem, że jest na krawędzi snu.

– Jaki zapach ma ta świeczka? – spytałem.

– Podoba ci się?

– Wydaje mi się znajomy, bardzo mnie uspokaja. To cynamon?

– Nie – odparła, odpływając w sen. – Gałka muszkatowa.

KRYSTAŁOLOGISTYKA

Watkin zamknął za sobą drzwi, a ja usiadłem na swoim miejscu.

– Jest pani tam, pani Charbuque? – spytałem.

– Jestem tutaj, Piambo – odpowiedziała, a jej głos zabrzmiał młodziej i pogodniej niż poprzedniego dnia.

– Muszę przyznać, że od wczoraj wyobrażałem już sobie panią jako sto różnych kobiet.

– Wyobrażnia to prawdziwy róg obfitości – stwierdziła.

– Święte słowa – zgodziłem się. – Ale dla artysty czasami może zmienić się w rozległą, frustrującą Saharę.

– A którą z tych rzeczy jest dzisiaj w pana przypadku?

– Żadną – odrzekłem. – Pustą kartą, która czeka, aż pani słowa pozostawią na niej pierwszy ślad.

Roześmiała się, zarazem radośnie i ponuro, i ta złożoność całkowicie mnie urzekła. Przez chwilę się nie odzywałem, zarażony spokojem panującym w wysokim pomieszczeniu. Mimo że zaledwie przed kilkoma minutami znajdowałem się na ruchliwej ulicy, gdzie krzyczeli gazeciarze, dzwoniły tramwaje, a ludzkość parła naprzód, popychana przez milion osobistych pragnień i ścigana przez równie wiele tragedii, w tym cichym, czystym pomieszczeniu czułem się tak, jakby ktoś przeniósł mnie do dalekiej samotni w górach. Poprzedniego dnia nasza rozmowa była podszyta pośpiechem, ale dzisiaj Czas ziewał i mrużył oczy.

– Chciałbym, żeby opowiedziała mi pani o swoim dzieciństwie – odezwałem się w końcu. – Ale nie interesuje mnie rys historyczny. Zamiast tego niech mi pani opisz jedno wydarzenie, obecne w życiu każdego człowieka, za którego sprawą po raz pierwszy zrozumiała pani, że nie zawsze będzie dzieckiem. Wraziłem się zrozumiale?

Zobaczyłem niewyraźny cień poruszający się za parawanem i spróbowałem wypatrzeć zarys postaci, ale przez okno wpadało za mało

światła, żebym mógł dostrzec coś konkretnego.

– Owszem – odpowiedziała.

– Proszę, niech mi pani opowie jak najbardziej szczegółowo.

– Zgoda. Proszę mi dać chwilę do namysłu.

Tego ranka, gdy jechałem w stronę przedmieścia, opracowałem swoją metodę postępowania. Przypomniałem sobie, że kiedy byłem uczniem Sabotta, mistrz polecił mi ćwiczyć pewną technikę. Na jednym ze stołów w studiu ustawił martwą naturę skomponowaną z ludzkiej czaszki, wazonu ze zwiędłymi kwiatami i zapalonej świeczki. Miałem narysować tę scenę, zaznaczając tylko te miejsca, w których przecinały się linie trzech obiektów oraz linie obrazów w tle.

„Zabraniam ci rysować cały obiekt”, powiedział mój nauczyciel. A kiedy Sabott czegoś zabraniał, niemądrze było się sprzeciwiać.

Tamtego dnia stworzyłem tylko stertę pogniecionego papieru. Wiele razy, gdy już myślałem, że jestem na właściwej drodze, mój mentor podchodził i mówił: „Zaczynij od początku. Odstawiłeś fuszerkę”. Delikatnie mówiąc, nienawidziłem tego ćwiczenia. Trzy dni później, gdy kwiaty straciły wszystkie płatki, a świeczka zmieniła się w dogasający ogarek, wreszcie opanowałem pożądaną technikę. Sabott spojrzał mi przez ramię i rzekł: „Widzisz, można zdefiniować kształt wyłącznie za pomocą jego związków z otoczeniem”.

Teraz założyłem prawą nogę na lewą, ułożyłem szkicownik na udzie i zatrzymałem ołówek nad pustą kartką. Miałem nadzieję, że jeśli opowieść pani Charbuque okaże się wystarczająco wyrazista, będę mógł ujrzeć obraz bohaterki w rozgrywających się wokół niej wydarzeniach. Na szczęście, dobrze pamiętałem Sabotta. Był stale obecny na dnie mojego umysłu, gotowy wskazać mi, kiedy dopuszczę się fuszerki.

Wiatr, tłumiony przez marmurową architekturę, chłostał dom, a ja zauważyłem przez okno, że opadły ostatnie żółte płatki róż. Wtedy zdałem sobie sprawę z powolnego i miarowego oddechu pani Charbuque, który przypominał szeptaną intonację zagnieżdżającą się w mojej świadomości i regulującą mój własny oddech.

– Z pewnością słyszał pan nazwisko Malcolm Ossiak – powiedziała.

– Jak najbardziej – odrzekłem. – Człowiek, który miał wszystko i wszystko stracił.

– W pewnym momencie był bogaty jak Vanderbilt. Jego wpływy były

odczuwalne w niemal każdej branży. Jego fabryki produkowały wszystko, od materiałów po hydrauliczne pióra. Interesował się kolejną, transportem towarów, nieruchomościami i przemysłem zbrojeniowym. Niektórzy uważają, że przez chwilę był najmądrzejszym biznesmenem w historii tego kraju, a inni uważają go za kompletnego głupca. Jakkolwiek było naprawdę, wyróżniał go fakt, że pytał o radę nie tylko swoich akcjonariuszy, kierowników, księgowych i sprzedawców, ale także cały zastęp wróżbitów. Zatrudniał astrologów, osoby wróżące z kart, interpretujące sny, a nawet grupę starych myśliwych, którzy czytali we wnętrznościach zwierząt zabitych na terenie jego zachodniej posiadłości.

– Nie wiedziałem o tym.

– Wierzył, że, aby pozostać ważnym człowiekiem w terażniejszości, musi lepiej poznać przyszłość. Miał nadzieję, że dzięki tym metafizycznym dziedzinom nie będzie musiał czekać beczynnie na naturalny upływ czasu. Kiedy pytali go o to dziennikarze, odpowiadał jedynie: „Na każdą uniesioną brew i kpiący śmiech wąpiących przypada tysiąc dolarów, które zarobiłem na swoich inwestycjach. Moje bogactwo liczy się w dziesiątkach milionów, podczas gdy cynicy biją się o okruchy”.

– Jest pani spokrewniona z Ossiakiem? – spytałem, mając nadzieję na namacalną wskazówkę dotyczącą pochodzenia pani Charbuque.

– Nie, ale mój ojciec był jednym z jego wróżbitów, który wydobywał ukryte znaczenia z cyklów natury. Jednak dziedzina, w której się specjalizował, była tak unikatowa, że tylko on ją praktykował. Sądzę, że ojciec nie uważał się za członka grupy metafizycznych badaczy, ponieważ w swojej pracy w równym stopniu opierał się na matematyce, jak na intuicji i zrozumieniu ezoterycznych sztuk. Uważał astrologów za szarlatanów, a osoby interpretujące sny nazywał „konferansjerami w cyrku nocnych majaków”. Z drugiej strony, z dumą nazywał siebie kryształologistą.

– Kim? – Usłyszałem słowo, ale nie zrozumiałem jego znaczenia.

– To rzeczywiście trudne określenie – przyznała. – Kryształologista. „Kryształ” od „krystalicznej formy”, a „logos” od „słowa”.

– Bardzo ciekawe, ale czy to oznacza, że potrafił słuchać mowy soli?

Roześmiała się.

– Nie, odczytywał hieroglify nieba. Szukał znaczeń w kształcie płatków śniegu.

– Z pewnością dysponował znakomitym wzrokiem oraz zdolnością

bardzo szybkiego czytania.

– Nic z tych rzeczy – odparła. – Jednakże jego praca wymagała, żebyśmy połowę każdego roku spędzali w odludnej części gór Catskill. Od października do marca byliśmy jak rozbitkowie. Ojciec koniecznie musiał odczytywać pierwsze i ostatnie płatki śniegu w każdym cyklu pół roku. Na tak dużej wysokości, na skraju starego lasu, zaledwie kilkaset stóp poniżej linii drzew, płatki nie były zanieczyszczone przez sadzę z fabryk i ciepło cywilizacji. W tamtych czasach była to bajkowa kraina wilków, mrocznych dni, zasp dorównujących wysokością dorosłemu mężczyźnie, oszałamiającej ciszy, w której głośniejszy od myśli był jedynie wiatr, oraz jednolitej, niezmiennej samotności.

Mieliśmy duży stary dom nad jeziorem, obok którego znajdowało się laboratorium ojca. Dom oczywiście był ogrzewany, ale w laboratorium było zimniej niż na zewnątrz. To było samotne i nieciekawe życie dla dziecka. Nie miałam braci ani sióstr, a w promieniu setek kilometrów nie mieszkał nikt, z kim mogłabym się pobawić. Kiedy wreszcie osiągnęłam wiek, w którym mogłam się na coś przydać ojcu, po trosze wiedziona uwielbieniem dla niego, a po trosze czystą nudą, czym prędzej zostałam jego asystentką.

Pracowaliśmy razem, tak jak on kiedyś ze swoim ojcem, otuleni niewygodnymi strojami, w zmrożonym laboratorium zbudowanym z arkuszy blachy. W zimie każdy centymetr budynku, zarówno za zewnątrz, jak i wewnątrz, pokrywała warstwa szronu. Ze wszystkich mechanizmów i instrumentów zwisały sople. Przed każdym odczytem skuwaliśmy lód z gałek służących do ustawiania ostrości w olbrzymim mikroskopie, przez który patrzyliśmy na płatki śniegu. Musieliśmy bardzo ostrożnie obchodzić się ze szklanymi soczewkami, ponieważ w tak niskiej temperaturze najlżejsze uderzenie rozbiłoby je na kawałki nie większe od badanych przez nas kryształków.

Wydawało się, że śnieg padał nieprzerwanie, ale oczywiście było to tylko wrażenie w umyśle dziecka. Tak naprawdę padało kilka razy w tygodniu. Zazwyczaj były to krótkotrwałe śnieżyce, ale też czasem potężne burze śnieżne, trwające wiele dni. Gdy warunki pozwalały na pobieranie próbek, wiatr nie był zbyt silny, a opad atmosferyczny miał temperaturę idealną dla powstawania wiotkich gwiazdek, które zawierały w sobie najważniejsze informacje, ojciec stawał na dworze i unosił ku niebu płaską deseczkę owiniętą czarnym aksamitem. Gdy tylko materiał zaczynał przypominać

rozwieżdzone bezchmurne niebo, czym prędzej zabierał go do laboratorium.

Następnie umieszczał deseczkę na płytce mikroskopu, wysokiego czarnego urządzenia z drabinką, która prowadziła do krzeselka umiejscowionego w taki sposób, żeby siedzący mógł patrzeć przez soczewki nie większe niż okrąg powstały z połączenia palca wskazującego z kciukiem. Kiedy ojciec zajmował miejsce na fotelu badacza, układałam wokół krawędzi płytki kępki szczególnego gatunku wodorostów, które świeciły własnym blaskiem. Potrzebowaliśmy światła, ale nie mogliśmy używać świec ani lamp, ponieważ bijące od nich ciepło roztopiłoby zebrane okazy.

Pod ścianami laboratorium znajdowały się lampy, dokładnie trzy, ale dawały za mało światła. Wodorosty lśniły na żółto-zielono. W połączeniu z błękitem zimnego wnętrza dawało to efekt dziwnej podwodnej atmosfery. „Lu, więcej wodorostów!”, wołał do mnie ojciec, wpatrując się w okular na drugim końcu długiego cylindra. Urządzenie rozszerzało się ku dołowi, a nad samą płytką znajdowała się potężna soczewka, niczym koło wycięte z zamrożonego jeziora, na tyle szerokie, że obejmowało całą deseczkę.

– Lu? – spytałem, przerywając opowieść.

BLIŹNIĘTA

– Luciere – odpowiedziała. – Otrzymałam imię po matce.

– Proszę mi wybaczyć. Niech pani mówi dalej.

– Ojciec delikatnie kręcił gałkami olbrzymiej maszyny, a koła zębate podnosiły i opuszczały długą rurę z soczewkami. Kiedy to robił, mrucał i burczał coś pod nosem. Kiedy udawało mu się odkryć poszukiwany płatek, lubił wołać „Eureka”. Musi pan zrozumieć, że chociaż traktował swoją pracę bardzo poważnie, potrafił podchodzić do niej i do siebie z humorem. A ja biłam brawo, żeby zachęcać go do dalszych poszukiwań.

Gdy znajdował wartościowy okaz, schodził z krzesła. Wkładał jubilerską lupę w oczodół i wyjmował jedną z wykałaczek, które zawsze trzymał w kieszeni koszuli, po czym pochylał się nad aksamitem. To był sygnał dla mnie, żeby pobiec po rozpylacz napełniony starannie skomponowaną mieszanką bezbarwnych roślinnych żywic. Ta trująca mikstura musiała być przygotowywana w domu. Każda porcja gotowała się przez dwie godziny na kuchni, żeby utrzymać płynny stan przez cały dzień badań.

Z precyzją chirurga wybierał odpowiedni płatek, po czym lizał koniec wykałaczki i ostrożnie dotykał jej czubkiem samego środka delikatnej, malutkiej sześcioramiennej gwiazdy. Kiedy już miał ją na końcu drewnianka, unosił ją z deseczki i przytrzymywał w powietrzu, czekając, aż spryskam ją żywicą. Zazwyczaj wybierał więcej niż jedną, którą chciał zachować. Jako że czarny aksamit pochłaniał ciepło, które mogło szybko zmienić formę kryształów, nie mogliśmy ich zbyt długo pozostawiać na materiale. Z tego powodu ojciec nauczył się trzymać jednocześnie nawet dwadzieścia wykałaczek pomiędzy kciukami i palcami wskazującymi. To był delikatny proces, a ja musiałam naciskać pompkę rozpylacza z odpowiednią siłą, żeby mgiełka całkowicie pokryła próbki, ale ich nie zdmuchnęła. Uznawałam za punkt honoru idealne opanowanie tej techniki. Za każdym razem, gdy udawało mi się polakierować kolejny kryształek, ojciec wychwalał mnie pod

niebiosa. Kiedy zawodziłam, wzruszał ramionami i stwierdzał: „Jest ich więcej tam, skąd pochodzą”.

Pokrywaliśmy płatki śniegu warstwą żywicy, która szybko schła na zimnym powietrzu, i otrzymywaliśmy idealną, nietopliwą replikę. Widział pan kiedyś skórę zrzuconą przez węża, która dokładnie imituje kształt zwierzęcia? Właśnie tak dokładne były nasze modele. Gdy już nadaliśmy płatkom taką formę, ojciec nie musiał polegać na pamięci ani swych wątpliwych umiejętnościach rysownika, tylko zanosił okazy do domu i w swojej pracowni zabierał się za odczytywanie ich znaczenia.

Pracownia ojca znajdowała się na tyłach domu. Było w niej duże okno wychodzące na jezioro, a także kominek, w którym zawsze huczał ogień. W pomieszczeniu unosił się charakterystyczny zapach dymu z fajki, palonego drewna oraz żywicy. W kącie stała wygodna stara kanapa z popękkanymi sprężynami i wypełnieniem wyzierającym spod poprzecieranego materiału. Gdy popołudniami przychodziłam do pracowni po długich godzinach spędzonych na zimnie, panujące tam ciepło mnie obezwładniało i zasypiałam na kanapie. Ojciec siadywał przy biurku na swoim krześle, bardzo podobnym do tego, na którym pan teraz siedzi, otoczony szafkami wypełnionymi małutkimi pudełkami, w których przechowywał zabezpieczone śnieżne skamieliny.

Oprócz tego miał książki, pisane odręcznie tomy pełne wykresów i formuł niezbędnych podczas tłumaczenia idiosynkrazji każdego z płatków na czytelną wiedzę. Siedząc przy biurku, oglądał okazy przez szkło powiększające, jednocześnie kartkując naukowe dzieła napisane przez jego dziadka. Po znalezieniu odpowiedniej zasady unosił ołówek i zapisywał ciąg cyfr. Potem następowała magia dodawania, dzielenia i mnożenia, a od wyniku ojciec zawsze odejmował liczbę sto czterdzieści cztery, stałą odpowiadającą błędowi człowieka. Nigdy nie wyjawiał mi, co odczytał w poszczególnych płatkach, ale notował swoje odkrycia eleganckim charakterem pisma w oprawionym w skórę dzienniku, używając czarnego atramentu.

Wszystkie płatki śniegu mają taką samą podstawową formę – sześć wierzchołków wyrastających z mniej lub bardziej złożonego wzoru znajdującego się na środku. Pierwszą zasadą kryształologii, której się od niego nauczyłam, jest to, że nie istnieją dwa takie same płatki. Czasami środkowa część charakteryzuje się dodatkowym koncentrycznym wzorem,

czasami wierzchołki mają o kilka wypustek mniej albo bardziej spłaszczoną końcówkę, ale każdy okaz spada z nieba jako unikatowe dzieło. Poznałam kilka wskazówek dotyczących czytania płatków, ojcu bowiem zdarzało się niechcący zdradzać fragmenty swojej wiedzy. Na przykład, dowiedziałam się, że wzór pajęczyny na środku zwiastuje zdradę, a zaokrąglony wierzchołek czas obfitości. Tak wyglądało moje życie, gdy miałam dziewięć lat.

– A pani matka? – spytałem.

– Matka nie uczestniczyła w naszej pracy. Nie rozumiała jej wagi i już wtedy widziałam, że uważa ojca za głupca. Myślę, że pozostawała z nami tylko dlatego, że pochodziła z biednej rodziny, a Ossiak dbał, by jej niczego nie brakowało. Poza tym lubiła się obracać wśród społecznych elit, gdy każdego roku w kwietniu wracaliśmy do miasta, żeby przedstawiać pracodawcy ojca jego odkrycia. Wtedy się ożywiała i czuła ważna. Nie twierdzę, że była złą osobą, ale, kiedy jako dziecko przychodziłam do niej z jakimś problemem lub lękiem, jej beznamiętna postawa zamiast ciepła i pociechy wywoływała we mnie tylko niepokój i respekt. Nigdy nie dowiedziałam się, w jaki sposób poznali się z ojcem – wyznała pani Charbuque.

Przez chwilę milczała, a ja, o dziwo, wyobraziłem sobie, że jest mną, mnie bowiem również zdarza się gubić wątek, gdy zbyt dużo rozmyślam.

– Miała mi pani opowiedzieć o jakiejś zmianie, która zaszła w pani życiu.

– Rzeczywiście. Już dawno o tym nie myślałam, może poza drobnymi fragmentami. Każdy z tych obrazów, które sobie przypominam, pociąga mnie w innym kierunku.

– Rozumiem.

– Skoro już zapoznałam pana z okolicznościami, mogę odpowiedzieć na pańskie pytanie – rzekła. – To było wkrótce po tym, jak ludzie Ossiaka pojawili się z saniami zaprzęzonymi w muły, gdyż był to jedyny sposób transportowania zapasów przez niedostępne górskie przełęcze. Przyjeżdżali każdej zimy, żeby dostarczyć nam drewno i inne zapasy. Przez kilka poprzednich nocy na niebie pojawiały się dziwne światła, nie zorza polarna, którą czasami obserwowaliśmy i do której byliśmy przyzwyczajeni, lecz jakaś pulsująca jasność. Przywódca grupy zaopatrzeniowej wspominał o tym ojcu i spytał, co to może być. Ojciec przyznał, że również jest zaskoczony. Jednakże tej nocy nie było sensu o tym rozprawiać, bo nadciągnęły ciemne

chmury zwiastujące potężną burzę. Grupa zaopatrzeniowa wyruszyła, nie czekając na świt i mając nadzieję, że zdąży zejść z gór, zanim uderzy śnieżyca.

Gdy zaczęło padać, ojciec pomimo późnej pory uparł się, żebyśmy pobrali próbkę. Zrobiliśmy to z wielkim trudem, ponieważ wiał silny wiatr i zrobiło się zimniej niż kiedykolwiek. W laboratorium wykonaliśmy standardowe czynności. Przygotowaliśmy i oświetliliśmy płytkę, a ojciec wspinał się po drabinie na krzesło. Patrzyłam na niego z dołu, czekając, aż powie, że nam się udało, ale on tego nie zrobił. Rzadko zdarzało się, by na materiale nie zatrzymała się ani jedna gwiazdka. Pomyślałam, że to z powodu surowej pogody. Ojciec jednak sprawiał wrażenie bardzo pobudzonego tym, co zobaczył przez okular.

Tym razem nie mruczał ani nie burczał pod nosem, tylko zszedł po drabinie i wyjął dwie wykałaczki. Gdy umieścił lupę w oczodole, zauważyłam coś niezwykłego, co powstrzymało mnie przed pobiegnięciem po rozpylacz. Ojciec się pocił. „Pośpiesz się, Lu!”, zawołał z nietypowym dla siebie rozdrażnieniem. Natychmiast się otrząsnęłam i wykonałam polecenie. Gdy wróciłam, trzymał przed sobą dwie wykałaczki. Zobaczył, że mnie zdenerwował, więc powiedział: „No dobrze, dziewczyno, weź głęboki wdech i zrób to najlepiej jak potrafisz”.

Polakierowałam oba płatki jednym idealnym naciśnięciem pompki. „Jesteś genialna”, pochwalił mnie, a ja się uśmiechnęłam, ale po chwili zrozumiałam, że nie żartuje. Gdy tylko okazy wyschły, weszliśmy do pracowni.

Przy biurku ojciec nie kłopotał się notatkami, tylko uniósł dwa unieruchomione płatki i przyjrzał się im przez szkło powiększające. Siedziałam na kanapie i obserwowałam go, widząc, że wciąż jest zdenerwowany. Po dłuższej chwili odłożył okazy i wstał z krzesła. Podeszedł do okna i stanął z rękami splecionymi za plecami, w milczeniu patrząc poprzez ciemność na szalejącą śnieżycę. Dopiero wtedy zauważyłam, z jaką wściekłością wieje wiatr. Jego wycie przypominało zawodzenie upiornych dzieci.

W końcu wrócił do biurka i przywołał mnie do siebie. Podniósł dwie nowe próbki i ustawił nad nimi szkło powiększające. „Powiedz mi, Lu, co tutaj widzisz?”, spytał. Martwiło mnie jego zachowanie, ale jednocześnie czułam coś w rodzaju dumy, że pyta mnie o zdanie. Zerknęłam przez

soczewkę i od razu zauważyłam coś niezwykłego. „Są identyczne”, odrzekłam, a on przytaknął. „Niemożliwe, ale prawdziwe”. Popatrzyłam na jego zatroskaną twarz. Jego oczy były dziwnie pozbawione blasku, zupełnie jakby całkiem stracił nadzieję. Wtedy w moim umyśle pojawiła się nagle wizja, niczym błysk światła, w której ujrzałam grupę zaopatrzeniową unieruchomioną przez śnieżycę podczas zejścia z gór. Kilka dni później Bliźnięta, jak razem z ojcem zaczęliśmy nazywać identyczne kryształki, zaczęły zdradzać swoje dziwne właściwości – zakończyła pani Charbuque.

Zamilkła, a ja, po raz pierwszy odkąd zaczęła swoją opowieść, zerknąłem na swój szkicownik i zobaczyłem, że niczego nie narysowałem. Kartka była biała jak śnieg.

– Czy te Bliźnięta... – zacząłem, ale nie zdołałem dokończyć pytania, gdyż za moimi plecami otworzyły się drzwi.

– Pański czas minął, panie Piambo – rzekł Watkin.

Oszołomiony, wstałem i powoli wyszedłem z pokoju.

DWÓR WEZYRA

Po wyjściu od pani Charbuque powędrowałem do Central Parku i wszedłem do niego z Siedemdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Był środek tygodnia i panował dokuczliwy ziąb, więc w parku prawie nie było ludzi. Ruszyłem na południe w stronę jeziora ścieżką wysadzaną ogołoconymi topolami i zasypaną żółtymi liśćmi. Gdy dotarłem na miejsce, usiadłem na ławce nad wschodnim brzegiem i zacząłem rozmyślać o wszystkim, co usłyszałem. Wiatr marszczył powierzchnię wody, a popołudniowe słońce przeświecało między gołymi gałęziami, pokrywając pusty hangar na łodzie i esplanadę złotą patyną.

Oczywiście zacząłem od pytania, czy w ogóle powinienem wierzyć pani Charbuque. „Kryształologista”, mruknąłem z uśmiechem. Jej opowieść brzmiała niemal zbyt dziwacznie, żeby mogła być zmyślona. Mówiła z taką łatwością i przekonaniem, że wyraźnie widziałem oczami wyobraźni gęste bokobrody jej ojca, jego niepokorne brwi i serdeczny uśmiech. Czułem ziąb panujący w laboratorium i przenikałem wzrokiem lodowatą podmorską poświatę. W moim umyśle szalał wir obrazów – płatki śniegu, ciągi liczb, zamarznięta maszyna, wykałaczkę, czarny aksamit, skute lodem jezioro i odbijająca się w nim wymizerowana, surowa twarz matki.

Kiedy wróciłem do rzeczywistości, zapaliłem papierosa i pomyślałem, że skoro wczesne lata życia pani Charbuque pokrywały się z dniami świetności Malcolma Ossiaka, to zapewne jesteśmy w podobnym wieku. To mi niewiele pomogło, ponieważ najbardziej pragnąłem choć przez chwilę zobaczyć twarz tamtej małej dziewczynki, która spędziła pół dzieciństwa na zmrożonym pustkowiu. Wyobrażałem sobie, że nosiła warkoczyki oraz miała długie i piękne rzęsy.

Zapaliłem kolejnego papierosa i zorientowałem się, że robi się późno. Pomarańczowe słońce schowało się za drzewami, a horyzont przypominał płamę rózu przechodzącą w ciemniejszy fiolet wieczornego nieba. Zbyt długo

siedziałem na zimnie i teraz dygotałem. Ruszyłem szybkim krokiem, mając nadzieję, że przed zmrokiem dotrę do bramy przy Piątej Alei, kawałek na północ od szpetnego, zrujnowanego ogrodu zoologicznego. Po drodze przyszło mi do głowy, że być może pani Charbuque, chociaż sprawiała wrażenie normalnej, tak naprawdę ma nie po kolei w głowie. Po chwili zadałem sobie pytanie: Czy to wpłynęłoby w istotny sposób na mój portret? Zrozumiałem, że przywiązuję dużą wagę do jej osobistej historii, podczas gdy rytm i łagodny ton głosu, a nawet kłamstwa, które być może mi opowiadała, były tak samo pełne wskazówek dotyczących jej wyglądu, jak realia czasów dzieciństwa. Moje zadanie przypominało składanie fragmentów zagmatwanego snu, który rozbił się podczas przebudzenia.

Powinienem wrócić do domu i przynajmniej spróbować przenieść niektóre elementy jej opowieści na papier, ale wciąż byłem zbyt podekscytowany tajemnicą swojego nowego zlecenia, by skupić się na rysowaniu. Poza tym bałem się, że czekają na mnie odpowiedzi na listy, które wysłałem do niedoszłych klientów, więc chciałem jak najbardziej odwlec kontakt ze słabo zamaskowanymi pretensjami i insynuacjami odnoszącymi się do braku profesjonalizmu. Wiedziałem, że Samanta jest zajęta przygotowaniami do wspierania na scenie nieudolnego ducha z amnezją, więc nie będzie mogła poświęcić mi czasu. Postanowiłem powędrować do ciemnej strony miasta i nieco pomęczyć Shenza. W alei zatrzymałem dorożkę i podałem adres mojego przyjaciela.

Shenz mieszkał przy Ósmej Alei na obrzeżach dzielnicy znanej jako Hell's Kitchen, koszmarnego terenu pełnego zagród dla bydła, magazynów i kamienic, gdzie biedota prowadziła ponure życie, którego niedoskonałości przekraczały wszelkie wyobrażenia. Nigdy nie zapuszczałem się dalej niż do mieszkania Shenza. Oczywiście, jako liberalnie zorientowany obywatel przeczytałem co nieco z nowych publikacji obnażających społeczne bolączki, więc współczułem tym biednym ludziom ich losu, jednak moja misja nie polegała na wprowadzaniu zmian. Zamiast tego wiedziony egoizmem starałem się unikać, geograficznie i filozoficznie, całego tego paskudnego bałaganu.

Shenz miał ciekawe podejście do tych spraw. Jak mi kiedyś powiedział, lubił mieszkać blisko tych katarakt chaosu, żeby czuć czystą życiową energię, którą zawierały. Twierdził, że to wpływa na jego malarstwo. „Czasami, Piambo, warto przeskoczyć płot ogrodu i dołączyć do żyjących. Sfery, w

których się poruszamy, szukając zleceń, delikatnie chylą się ku upadkowi”.

Zanim oczyszczono dzielnicę czerwonych latarni zwaną Tenderloin, rozpędzając ludzką zarazę, która ukrywała się tam jak skorpiony pod kamieniem, i zmieniono ją w dzielnicę handlową, Shenz mieszkał niebezpiecznie blisko tych zakazanych rewirów. Kiedy pewnego razu z pogardą wspomniałem o tym, jaki los spotyka tam kobiety i dzieci, odparował, że z pewnością chętnie odwiedziłbym jeden z wieczorków towarzyskich u Stanforda White’a, gdzie każdy z dystyngowanych dżentelmenów otrzymywał do swojej dyspozycji nagą kobietę. Właśnie to najbardziej podziwiałem u Shenza – potrafił poruszać się w ramach każdej warstwy społecznej i dostosowywać do jej zwyczajów, ale nigdy nie tracił z oczu prawdy. Z tej zdolności miałem zamiar skorzystać w odniesieniu do zagadki, którą stanowiła pani Charbuque.

Wejście z ulic West Side do mieszkania Shenza wiązało się z niepokojącą zmianą. W jednej chwili otaczała cię ciemność, pod nogami czułeś twardy bruk, jakaś podejrzana postać szła w twoją stronę poprzez cienie, a twoje nozdrza atakowała nieprzyjemna woń rzeźni niesiona przez wiatr znad rzeki Hudson, po chwili zaś znajdowałeś się na dworze tureckiego wezyra. W swoim malarstwie oraz guście Shenz był romantykiem, prerafaelitą silnie wierzącym w wartość mitologii oraz przywiązany do egzotyki. Jaśminowe kadzidełko tliło się w rozwartej paszczy mosiężnego smoka. Grube perskie dywany zakrywały podłogi niczym kwitnące mandale, a arrasys wiszące na ścianach przedstawiały zwierzęta, ptaki oraz orientalne piękności hasające po lasach, gdzie krzyżujące się gałęzie tworzyły koronkowe wzory. Meble przykryte tapicerowanymi poduchami wyglądały, jakby nie miały nóg, i tylko unosiły się kilka centymetrów nad podłogą.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie na niskich, szerokich fotelach, na których musieliśmy skrzyżować nogi niczym jogini. Shenz zaciągnął się papierosem z opium, a mnie zaczęły łzawić oczy od błękitnego dymu mieszającego się z wyziewami mosiężnego smoka. Ze spiczastą bródką i przyszyżonymi wąsami, brwiami wygiętymi ku górze i w delikatnym satynowym szlafroku Shenz wyglądał jak współczesny Mefistofeles, który za chwilę zaproponuje komuś pakt.

– Ostatnio widziałem twoje plecy, Piambo, kiedy uciekałeś z przyjęcia u Reeda – rzekł z uśmiechem.

– Miałem powody do niepokoju – odparłem. – Jego żona, udając, że

całuje mnie w policzek, wyszeptała, że życzy mi śmierci.

Shenz roześmiał się.

– Naprawdę?

Przytaknąłem.

– Dobry Boże, następny zadowolony klient.

– Shenz, nie wierzę, że jeszcze nikt cię nie okradł. Czy twoi sąsiedzi nie wiedzą, że mieszkasz tutaj jak Mani w swoim ogrodzie rozkoszy?

– Ależ oczywiście, ale mój dom jest chroniony, a ja mam swobodny wstęp do Hell's Kitchen.

– Boją się twojego noża do palet? – zakpiłem.

– Otóż to. Mówi ci coś nazwisko Dutch Heinrichs?

– Widziałem je w gazecie – odparłem. – To główny tutejszy chuligan, prawda?

– Kontroluje najpotężniejsze gangi w tej okolicy, a może nawet w całym mieście. W latach siedemdziesiątych namalowałem jego portret. Uważał się wtedy za nie lada szychę i uznał, że jego wizerunek będzie miał dużą wartość dla przyszłych historyków. Sam Burne-Jones byłby dumny z pracy, którą wykonałem. Przedstawiłem zatwardziałego kryminalistę jako jaśniejszego świętego na tle miejskiego pejzażu oddanego za pomocą ultramaryny i jasnego fioletu, transcendentnego męczennika ulicy.

– I naprawdę ci zapłacił? – spytałem.

– Oczywiście, zapłacił mi ochroną. Był nieco niepokorny jako model, często odurzony, nie potrafił długo usiedzieć bez ruchu, ale mówię ci, kiedy jego ludzie zobaczyli, czego potrafię dokonać za pomocą pędzla, byli pod wrażeniem. Można by przypuszczać, że sztuka będzie ostatnim, co im zaimponuje, ale właśnie tak się stało. Zaczęli mnie postrzegać jako kogoś w rodzaju magika. Zeszłej zimy namalowałem ładny portrecik żony szefa gangu Martwych Królików.

– Żarty sobie stroisz.

– Ależ skąd – odparł Shenz. – Czy wyglądam na człowieka, który lęka się o swoje bezpieczeństwo?

Pokręciłem głową i westchnąłem z irytacją.

– Ten świat niczym się nie różni od świata Piątej Alei – stwierdził Shenz. – Życie jest pełne szubrawców. Niektórzy noszą eleganckie garnitury i wodzą za nos olbrzymie tłumy, inni mają dziurawe buty i włamują się do magazynów. Przypomnij sobie prostackich złodziei z Tammany Hall. Jedyna

różnica polega na tym, że ich zbrodnie były publicznie aprobowane, podczas gdy czyny ludzi po tej stronie miasta uznano za naganne.

– Na Piątej Alei popełnia się mniej morderstw – odparłem.

– Pomyśl o tych wszystkich biedakach, którzy harują jak żywe trupy w fabrykach obuwia Reeda. To wszystko kwestia perspektywy.

– Wciąż nie jestem pewien, czy ci wierzę.

– Jak sobie chcesz – rzekł i zachichotał.

– Ale mam ci do powiedzenia coś, w czego prawdziwość z pewnością zwątpisz.

– Mów bez ogródek.

– Wracając do domu z przyjęcia u Reeda, spotkałem pewnego ślepcę, niejakiego pana Watkina... – zacząłem, po czym opowiedziałem Shenzowi wszystko, wliczając baśń pani Charbuque o śniegu i samotności.

ZBAWIENIE

Popatrzyłem na Shenza i zobaczyłem, że ma zamknięte oczy i siedzi odchylony do tyłu w swoim fotelu. Przez chwilę myślałem, że odurzył się papierosem i teraz przebywa w jakiejś krainie, gdzie dziewice z aureolami biegają po łąkach pośród owieczek, a do napierśników rycerzy przywierają powabnymi piersiami wodne nimfy, ale nagle się odezwał, wypowiadając jedno słowo.

– Zbawienie – rzekł niewyraźnym głosem, po czym z wysiłkiem pochylił się i zatrzymał na mnie szkliste spojrzenie.

– Zbawienie? – spytałem.

– Tak, twoje – odparł i się uśmiechnął.

– Co masz na myśli?

– Twierdzisz, że bawisz się z nią w chowanego dla pieniędzy, i takie podejście najemnika rzeczywiście doskonale pasuje do naszych czasów, ale zaraz dodajesz, że te pieniądze pomogą ci uwolnić się ze społecznej klatki, dadzą bezcenną przestrzeń, której potrzebujesz, żeby odkryć swoje zdolności i namalować coś godnego twojego talentu i wykszolenia. Nie do końca zrozumiałem ten kawałek o Albercie Ryderze. Mam wrażenie, że fascynuje go tworzenie błotnych kałuż, ale niech ci będzie, skoro to cię inspiruje. Tak czy inaczej, próżna propozycja złożona przez tę kobietę, może się dla ciebie stać obusiecznym mieczem zbawienia.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że go potrzebuję – odrzekłem.

– Ależ oczywiście, że potrzebujesz. Chociażby po to, by uczcić pamięć Sabotta. Wiesz równie dobrze jak ja, jak paskudnie go traktowałeś pod koniec życia. Nie... nie demonstruj teraz urażonej dumy. Odciąłeś go jak niepotrzebną nitkę od nowego garnituru, gdy tylko zaczął zagrażać twojej reputacji. Teraz masz okazję zrealizować potencjał, który w tobie widział, i odwdziżyć się za wszystko, co dla ciebie zrobił.

– Sabott oszalał – próbowałem się bronić.

– Oszalał, a może po prostu szukał tego, czego ty sam teraz poszukujesz? Nie zapomnij, że byłem z tobą tamtego dnia na Madison Square, kiedy eleganccy panowie proponowali ci imponujące sumy za namalowanie ich portretów. Nagle pojawił się wygrażający niebu Sabott. Wpadł w taki szal, że przewrócił się do rynsztoka. Nie znałem cię wtedy, ale podejrzewałem, że byłeś lub jesteś jego uczniem, więc spytałem: „Panie Piambo, czy to nie pański znajomy?”. A ty zaprzeczyłeś, po czym odeszliśmy, zostawiając go na ulicy.

– No dobrze, Shenz, masz rację – przyznałem.

– Nie mówię tego po to, żeby cię zdenerwować, ale chcę ci pokazać, że wciąż musisz spłacić ten dług. Nie dla Sabotta, gdyż jemu to już nic nie da, ale dla siebie. Twoja zdrada wciąż ciąży ci na sumieniu.

– A jaki to ma związek z panią Charbuque? – spytałem.

– Oto drugie ostrze miecza. Piambo, jesteś najlepszym malarzem, jakiego znam. Marnujesz talent, tworząc wizerunki banalnych ludzi, goniąc za pozycją i bogactwem.

– Najlepszym? – Zachichotałem.

– To nie żart – odparł Shenz. – Widziałeś moje prace. Co myślisz o mojej technice?

– Jest zróżnicowana i skuteczna.

– Tak, wszystko jest na swoim miejscu, ale tamtego wieczoru, kiedy wyszedłeś od Reeda, podszedłem do portretu jego żony i dokładnie przyjrzałem się śladom pędzla. Wiesz, co zobaczyłem?

– Co?

– Nic. Niczego nie dostrzegłem. Istnieją sposoby na zamaskowanie śladów pędzla, ale sam wiesz, że są one na tyle czytelne, że i tak można wyraźnie wskazać kierunek nakładania farby. Gdy poprzyglądałem się chwilę twojemu obrazowi, zrozumiałem, że za każdym razem, gdy dotykasz płótna, uzyskujesz efekt małej eksplozji koloru. Widziałem, jak malujesz, więc wiem, że podchodzisz do swojej pracy z wielką energią i witalnością. To pochodzi z twojego wnętrza, stąd – rzekł i powoli zbliżył zaciśniętą pięść do piersi. – Czysta prawda w służbie kłamstwa dotyczącego tego, co widzisz i czujesz.

Nic nie odpowiedziałem. Początkowo zirytowało mnie, że wspomniał o incydencie z Sabottem, ale teraz czułem tylko wdzięczność. Shenz właśnie potwierdził wszystko, z czego w głębi duszy zdawałem sobie sprawę.

– Gdybym był tobą – rzekł – namalowałbym panią Charbuque, starając się wyciągnąć od niej jak najwięcej pieniędzy. Jeśli czujesz, że w ten sposób możesz się wyzwolić, spróbuj zdobyć tyle, ile się da.

– Wystarczy, że namaluję udany portret – odparłem.

– Nie, musisz dokładnie oddać jej wygląd.

– Tylko jak? – spytałem. – Nie wiem, czy jej słowa mają za zadanie mi pomóc, czy sprowadzić mnie na manowce.

– Racja, opowieść o nauce czytania z płatków śniegu była dosyć niedorzeczna. Ale istnieją inne sposoby znalezienia drogi w tej śnieżycy.

– Na przykład?

– Oszustwo – odparł. – Jestem pewien, że uda nam się dowiedzieć, jak ona wygląda. Nie słyszałem o żadnej kobiecie dysponującej takim bogactwem, która nie miałaby przeszłości. Nawet jeśli nie istnieją żadne zdjęcia, to ktoś musi ją pamiętać. Niewielkie śledztwo z pewnością pozwoli ją zdemaskować.

– Nigdy o tym nie pomyślałem – odparłem. – To chyba nieuczciwe.

– W odróżnieniu od portretu pani Reed? – spytał Shenz. – Pomogę ci, jeśli chcesz.

– Sam nie wiem.

– Pomyśl o czasie bez trosk i ograniczeń, który sfinansuje pełne honorarium.

Gdy skończyliśmy rozmawiać, zaprowadził mnie do swojego studia i pokazał pierwsze zaokrąglone szkice potomków Hatstellów.

– To nie są dzieci, tylko dwunożne pączki – powiedział. Zanim wyszedłem, rozśmieszył mnie do łez, opowiadając, jak bezskutecznie próbował nakłonić swoich modeli do wytrwania w bezruchu dłużej niż pięć minut. – Jutro przyniosę bicz albo torbę czekoladek – stwierdził. Gdy rozstaliśmy się przy drzwiach, uścisnął moją dłoń i przypomniał: – Ona gdzieś tam jest. Możemy ją odnaleźć.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy przeszedłem na drugą stronę Siódmej Alei i ruszyłem z powrotem w stronę cywilizacji. Zbliżała się północ, a na ulicach na skutek zimna było wyjątkowo pusto. Byłem nieco oszołomiony, gdyż nawdychałem się błękitnej mgiełki z papierosa z opium, którego palił Shenz. Uspokoilo mnie to, ale zarazem znużyło.

Mimo że miałem trudności z zebraniem myśli, próbowałem zdecydować, jak dalej postępować z panią Charbuque. Czy powinienem pozwolić, żeby

prowadziła mnie swoim opowiadaniem, czy raczej za pomocą serii pytań zmusić ją do wyjawienia informacji, których nie zamierzała zdradzać. Uznałem za wielce podejrzane, że pierwsza część jej historii dotarła do punktu kulminacyjnego dokładnie w chwili, gdy skończył mi się czas. Jako że właśnie odwiedziłem Shenza, cała sytuacja przypomniała mi *Baśnie z tysiąca i jednej nocy* z panią Charbuque w roli Szeherezady. Chociaż miałem poczucie, że jestem wodzony za nos, bardzo chciałem poznać dalsze losy dziecka, które ożywiła w moim umyśle. Gdy dotarłem na skrzyżowanie Dwudziestej Pierwszej z Broadwayem, postanowiłem, że przejmę inicjatywę i odwrócę role. Zamienię opowieść o kryształologistyce na listę prostych pytań.

Od domu dzieliły mnie niecałe dwie przecznice, gdy podniosłem wzrok i zauważyłem jakieś poruszenie pod latarnią po drugiej stronie ulicy. Po mundurach i nakryciach głowy zorientowałem się, że dwaj z trzech mężczyzn to policjanci. Nawet w tak słabym świetle rozpoznałem trzeciego mężczyznę, ubranego w melonik i płaszcz. Był to John Sills, niedzielny malarz, miniaturzysta, z którym kolegowałem się od lat. Poza paraniem się sztuką, Sills pracował także jako śledczy w nowojorskiej policji. Mężczyźni stali wokół ciała leżącego na chodniku.

Przeszedłem przez ulicę i zbliżyłem się do zebranych od tyłu. Gdy się zbliżyłem, jeden z mężczyzn lekko się odsunął, a wtedy w blasku latarni zobaczyłem coś straszliwego. Policjanci stali w kałuży krwi. Młoda kobieta nie leżała na krawężniku, tylko siedziała oparta o latarnię. Stan jej białej sukni był przesiąknięty jaskrawą czerwienią, a karmazynowe smugi spływały po jej jeszcze bielszej twarzy. Krew zbierała się na ustach i skapywała z podbródka. Początkowo uznałem, że kobieta z pewnością nie żyje, ale potem zobaczyłem, że lekko kręci głową. Próbowwała coś wyszeptać, a na gęstym płynie zgromadzonym przy jej ustach wykwitły bąble. Policjant, który chwilę wcześniej odsunął mi się z drogi, odwrócił się i mnie zauważył, a ja zorientowałem się, że czerwony strumień wypływa z oczu kobiety, zupełnie jakby płakała krwią.

– Pilnuj własnego nosa – burknął policjant i uniósł pałkę, najwyraźniej zamierzając mnie uderzyć.

Wtedy John odwrócił się, rozpoznał mnie i chwycił swojego kolegę za rękę, powstrzymując cios.

– Ja się tym zajmę, Hark – powiedział, po czym szybko do mnie

podszedł, objął mnie ramieniem, odwrócił i przeprowadził z powrotem na drugą stronę ulicy. – Wynoś się stąd, Piambo, w przeciwnym razie będziemy musieli cię aresztować – rzekł. – Idź i nie mów nikomu, co widziałeś. – Pchnął mnie lekko. Zanim wrócił do niezwyklej sceny rozgrywającej się pod latarnią, ponownie ostrzegł mnie donośnym głosem: – Ani słowa.

Nic nie odpowiedziałem, nic nie pomyślałem, tylko puściłem się biegiem. Kiedy dotarłem do domu, byłem wyczerpany i miałem mdłości. Wypiłem trochę whisky, odzyskując normalny puls. Potem chwiejnym krokiem udałem się do pracowni, usiadłem i drżącymi rękami zapaliłem papierosa. W wyobraźni widziałem tylko krwawe oczy tej biedaczki i za sprawą jakiegoś dziwnego skojarzenia z wydarzeniami tego dnia myślałem o nich jako o Bliźniętach.

BÓG JEST OMYLNY

– Ojciec schował je w starym srebrnym medalionie, który kiedyś należał do mojej siostry, i zawiesił mi go na szyi na łańcuszku. Przestrzegł, żebym nigdy go nie otwierała, ale zawsze pamiętała, że są tam ukryte. Potem kazał mi przysiąc, że dochowam tajemnicy i nigdy nie powiem nikomu o Bliźniętach. Kiedy spytałam, dlaczego, pokręcił głową i przyklęknął przede mną na jedno kolano. „Ponieważ stanowią dowód na to, że Bóg jest omylny, a świat nie musi ani nie chce tego wiedzieć”, odrzekł.

Nie byłam pewna, co znaczy „omylny”, ale pękałam z dumy, że to mnie wybrał, abym nosiła tak ważny talizman. Jako że zabronił mi o nich wspominać, Bliźnięta stały się moją obsesją. Miałam wrażenie, że są jak iskra życia zamknięta w nasionku i czuwają wewnątrz swojej malutkiej srebrnej komnaty. Czułam pulsowanie energii w mojej piersi, gdy medalion dotykał ciała. Łańcuszek łąskotał mnie w skórę szyi. Wkrótce zaczęłam mieć dziwne sny, kolory i wibracje wypełniały mi czaszkę i widziałam szalone obrazy, tak liczne, jakbym śniła za trzy osoby. Noce były zbyt krótkie, żeby je pomieścić, więc zaczęły się przesączać ze snu na jawę. Nie powiedziałam o tym ojcu, bojąc się, że odbierze mi medalion.

Pewnego dnia, po tygodniowej przerwie w opadach śniegu, gdy bawiłam się w wysokim sosnowym lesie, udając podróżniczkę wędrującą na biegun północny, usłyszałam, jak do mnie szepczą. Była to dziwaczna komunikacja, ponieważ wiedziałam, że używają słów, a jednak ich wiadomość pojawiła się w moim umyśle w postaci obrazu. Zobaczyłam spadającą gwiazdę przecinającą niebiosa i iskrzącą jak rakietę wystrzelona z okazji czwartego lipca. Wizja trwała zaledwie kilka sekund, ale była niezwykle wyrazista.

To doświadczenie wystraszyło mnie i zarazem podnieciło, a gdy dobiegło końca, długo stałam nieruchomo między drzewami. Oczywiście, jako dziecko nie potrafiłam zdefiniować uczuć, które mną wtedy zawładnęły, ale, patrząc z perspektywy czasu, uważam, że najlepiej można je opisać jako wrażenie, że

natura, a wręcz cały kosmos, są żywe. Bóg na mnie patrzył, więc uciekłam, żeby ukryć się w domu.

Do popołudnia byłam zajęta zabawą lalkami oraz pomaganiem matce przy praniu i zapomniałam o tym zdarzeniu. Kiedy uporałam się ze wszystkimi obowiązkami, odwiedziłam ojca w jego pracowni. Siedział przy biurku, ze szkłem powiększającym, oglądając jakiś okaz i robiąc notatki w dzienniku. Usiadłam na kanapie, a kiedy usłyszał skrzypienie popękanych sprężyn, obejrzał się i posłał mi uśmiech. Po kilku minutach poprosił, żebym podała mu książkę z regału. Obrócił się na krześle i wskazał duży tom w niebieskiej okładce stojący na drugiej półce. „Poproszę o *Kryształową wolę* Scarfinatego, Lu”.

Kiedy zdjęłam książkę z półki, sąsiedni tom przesunął się i upadł otwarty na podłogę. Zaniósłam ojcu książkę, o którą prosił, i wróciłam, żeby podnieść tę, która spadła. Zobaczyłam, że otworzyła się na całostronicowej ilustracji przedstawiającej spadającą gwiazdę, bardzo podobną do tej, o której Bliźnięta szeptały mi tego ranka.

– Pani Charbuque... – zacząłem, ale mi przerwała.

– Proszę, panie Piambo, niech mi pan pozwoli skończyć.

– No dobrze – odrzekłem, zapamiętałe szkicując. Dzień był jasny, a w świetle wpadającym przez okna postać za parawanem rzucała na niego błądy, ale widoczny cień. Zapełniałem kartki pośpieszonymi, prostymi rysunkami. Moja ręka poruszała się po papierze, podczas gdy ja wpatrywałem się we wzór z opadających liści.

– Nie wspominałam ojcu o tym niezwykłym wydarzeniu, tylko zachowałam je dla siebie, a za każdym razem, gdy wracałam do niego myślą, czułam dreszcz emocji. Zupełnie jakby Bóg wysyłał mi potajemną wiadomość przeznaczoną tylko dla moich oczu. Wypełniło mnie dziwne poczucie wyczekiwania na dalszy ciąg dnia. Właśnie dlatego niemal wyskoczyłam ze skóry, gdy wieczorem, kiedy siedzieliśmy przy kominku, a matka i ojciec czytali w blasku gazowych lamp, rozległo się łomotanie do drzwi.

Rodzice wymienili zaniepokojone spojrzenia. W końcu, któż mógł ich odwiedzić o tak późnej porze na szczycie góry? Ojciec powoli wstał i poszedł otworzyć drzwi. Przestraszyła mnie jego zmartwiona mina i poszłam za nim, żeby się upewnić, że nic mu się nie stanie. Na progu stał potężny mężczyzna. Miał na sobie futrzany płaszcz i kapelusz o szerokim rondzie, a w rękach

trzymał duży pakunek oraz strzelbę. Wyglądało na to, że ojciec go zna. Mężczyzna pracował dla Ossiaka jako tropiciel. Przybył, żeby odszukać ciało jednego z ludzi z grupy zaopatrzeniowej. Podczas zejścia ze szczytu podczas burzy jeden mężczyzna został z tyłu i prawdopodobnie zgubił drogę, po czym zmarł z wychłodzenia. Ojciec wpuścił przybysza, wskazał mu miejsce przy kominku, po czym kazał mi zamknąć drzwi. Gdy wykonywałam jego polecenie, moją uwagę zwrócił księżyc w trzeciej kwadrze. Nagle coś przemknęło po niebie, pozostawiając za sobą roziskrzony ślad.

Nasz gość nazywał się Amory i powiedział nam, że tego dnia wspiął się na szczyt, ale nie znalazł ciała. Poprosił o nocleg. Zamierzał wyruszyć z samego rana i zejść ze zbocza, dając zmarłemu jeszcze jedną szansę na odnalezienie. Ojciec przyznał, że czuje się częściowo odpowiedzialny za tę tragedię, i zaproponował panu Amory'emu, że będzie mu towarzyszył. Potem matka i ojciec zaczęli wypytywać Amory'ego o to, co się dzieje w świecie u podnóża góry. Wkrótce potem odesłali mnie do łóżka.

W środku nocy obudziło mnie stłumione westchnienie. Początkowo pomyślałam, że to Bliźnięta próbują mi coś powiedzieć, ale po chwili zorientowałam się, że odgłosy dochodzą z salonu. Nie wiem, która była godzina, ale chyba zbliżał się świt. Było zimno, ale wypełzłam z łóżka i na palcach przeszłam korytarzem do drzwi salonu. Księżyc jasno świecił, więc przez okno wlewał się słaby blask. Usłyszałam kolejne westchnienie, podobne do tego, które mnie obudziło, i zobaczyłam swoją matkę siedzącą okrakiem na tropicielu. Miała podciągniętą koszulę nocną i obnażone nogi, a jego duże dłonie masowały jej piersi przez cienki materiał.

Przepraszam, że tak otwarcie o tym mówię, panie Piambo, ale staram się niczego nie pominąć. Matka kołysała się w tył i w przód z zamkniętymi oczami i ciężko dyszała. Byłam oszołomiona tym dziwnym widokiem i nie miałam pojęcia, co się dzieje, ale coś mi mówiło, że nie powinnam na to patrzeć. Już miałam wrócić do łóżka, gdy nagle matka otworzyła oczy i mnie zobaczyła. Nie przerwała tego, co robiła, ani się nie odezwała, tylko popatrzyła na mnie ze straszliwą nienawiścią. Uciekłam do swojego pokoju i położyłam się, mocno zaciskając powieki i zakrywając dłońmi uszy.

Rano obudziłam się zmartwiona, że napytałam sobie biedy, ale matka o niczym nie wspomniała, kiedy pomagałam jej w kuchni. Gdy ojciec i pan Amory jedli śniadanie, Bliźnięta ponownie do mnie przemówiły. Zobaczyłam ich słowa jako obraz w umyśle; tym razem pokazały mi coś przerażającego –

mężczyznę sztywnego jak posąg, pokrytego szronem. Miał szeroko otwarte usta przypominające okrągłą czarną dziurę i tak intensywne spojrzenie, że nie miałam wątpliwości, że nie żyje. To były zwłoki człowieka z grupy zaopatrzeniowej, a ja zobaczyłam, gdzie się znajdują. Leżały na łące obok głównego szlaku, mniej więcej w jednej czwartej drogi na dół. Znałam to miejsce, ponieważ co roku urządzaliśmy tam piknik podczas kończącej lato wspinaczki do naszego domu.

Tym razem wizja również trwała tylko chwilę, ale kiedy się otrząsnęłam, zobaczyłam, że ojciec i Amory przygotowują się do wyjścia. Nie potrafiłam zdecydować, czy powinnam wyjawić ojcu to, czego się dowiedziałam, czy raczej zachować moc Bliźniąt w tajemnicy. Kiedy otworzyli drzwi, żeby wyjść, doskoczyłam do ojca i poprosiłam, żeby pocałował mnie na pożegnanie. Gdy się nachylił, szepnęłam mu do ucha: „Na piknikowej łące”. Nie byłam pewna, czy mnie usłyszał. Pogłaskał mnie po głowie i odpowiedział: „Tak, Lu”, po czym obaj wyszli.

Gdy tylko zniknęli nam z oczu, matka chwyciła mnie za ramiona i mocno mną potrząsnęła. „Co powiedziałaś ojcu?!”, wrzasnęła. „Co mu szepnęłaś do ucha?”. Odpowiedziałam, że nic, ale wiedziała, że kłamię, ponieważ widziała, co robię. Ponownie mną potrząsnęła, czerwona z wściekłości. „Powiedziałam mu, gdzie znaleźć zwłoki”, wyznałam w końcu. „Co to za bzdury?!”, wykrzyknęła. „Mówię prawdę”, odparłam i się rozplakałam. „Lepiej trzymaj język za zębami, jeśli nie chcesz, żebym mu cię odebrała”, ostrzegła, po czym uderzyła mnie wierzchem dłoni w twarz z taką siłą, że upadłam na podłogę. W chwili uderzenia zobaczyłam oczyma wyobraźni spadającą gwiazdę.

– Pani Charbuque – powiedziałem, zamykając notatnik. – Muszę przyznać, że... – zacząłem, ale znów nie pozwoliła mi dokończyć.

– Jeszcze jedno, panie Piambo – rzekła, a jej głos nerwowo zadrżał. – Jeszcze jedno.

– Słucham.

– Po powrocie ojciec poinformował mnie, że znaleźli ciało w miejscu, które wskazałam. Gdy matka to usłyszała, była zachwycona, ale nie moją niezwykłą przepowiednią, tylko faktem, że nie wspomniałam mu o jej potajemnej schadzce.

– Ależ pani Charbuque – odparłem, tym razem nie pozwalając się uciszyć – chyba pani przyzna, że to dosyć fantastyczna opowieść. Trudno mi

uwierzyć, że to prawda. Proszę nie traktować tego jako zarzut, ale czy mogłaby mi pani wyjaśnić, w jaki sposób mam to wszystko przyjąć?

– Która część sprawia panu kłopot? – spytała.

– Nadażam za wydarzeniami, ale twierdzenie, że dwa identyczne płatki śniegu komunikują się z panią w jakiś metafizyczny sposób, brzmi jak, proszę mi wybaczyć śmiałość, kompletna bzdura.

– Zapewniam pana, że to prawdziwa historia, ale zgadzam się, że teoria o nadnaturalnych właściwościach Bliźniąt to bzdura. I to niezwykle szkodliwa, ponieważ wierzyłam w nią całym sercem. Podobnie jak mój ojciec. Ta dziecinna iluzja miała ukształtować i zatruć resztę mojego życia, panie Piambo.

– A zatem przyznaje mi pani rację? – spytałem.

– Nawet Bóg jest omylny – odrzekła, po czym zaśmiała się, długo i przenikliwie, a niewyraźny cień, który usiłowałem oddać na papierze, poruszył się gwałtownie, zmieniając kształt, tak że już nie wiedziałem, czy kiedykolwiek tam był.

SYBILLA

– Niech pan sobie wyobrazi pozbawione przyjaciół dziecko, matkę, która nie kocha ani jego, ani swojego męża, oraz ojca, który spędza życie na odczytywaniu Bożej woli z kształtu płatków śniegu. Jak mogłam w to nie uwierzyć? Pożądałam siły i znaczenia, rozpaczliwie pragnęłam, żeby ktoś docenił mnie za coś więcej niż sprawne spryskiwanie okazów, które ojciec trzymał na końcach wykałaczek. Był moim bohaterem i tak jak on chciałam się stać przekaźnikiem boskiej wiedzy.

– Dlatego fantazjowała pani o głosie Bliźniąt?

– Nie robiłam tego świadomie, panie Piambo, ale rzeczywiście go słyszałam. Samotność może z nas uczynić magików, a co dopiero proroków.

– Ale co ze spadającą gwiazdą? – spytałem. – Co ze zwłokami człowieka z grupy zaopatrzeniowej? Wiedziała pani, gdzie go szukać.

– Z pewnością był to zbieg okoliczności. Ilustracja faktycznie znajdowała się w książce, która spadła z półki, ale ojciec miał wiele książek z rysunkami niebios. Podczas swoich licznych podróży po Europie dowiedziałam się, że w Austrii ukuto teorię, według której nic nie dzieje się przypadkowo. Podobno jesteśmy rozumni na wielu poziomach, a pragnienia, których nie chcemy być świadomi, manifestują się za pośrednictwem tego, co bierzemy za zbiegi okoliczności. Pozostałe dwa wypadki, gdy widziałam spadającą gwiazdę, podczas zamykania drzwi i po ciosie otrzymanym od matki, mogły być skutkiem myślenia życzeniowego. Co do zwłok, to w górach jest bardzo niewiele miejsc, w których można łatwo zejść ze szlaku podczas śnieżycy. Ścieżka prowadząca na łąkę odchodziła od głównego szlaku i kończyła się w miejscu, w którym piknikowaliśmy. Może nieświadomie doszłam do wniosku, że to najbardziej prawdopodobne miejsce, w którym tamten biedak mógł zabłądzić?

– Ale w kolejnych latach trwała pani przy idei Bliźniąt? – spytałem.

– Zostałam „Sybillą”, za co w końcu zapłaciłam sercem.

– Sybillą?

Gdy zadałem pytanie, otworzyły się drzwi i Watkin ogłosił, że skończył mi się czas. Przypomniałem sobie, że jest piątek, więc życzyłem pani Charbuque miłego weekendu, po czym wyszedłem. Po drodze do frontowych drzwi rzekłem do Watkina:

– Potrafi pan wejść w najgorszym możliwym momencie.

– Dziękuję, proszę pana, to moja specjalność – odrzekł, gdy go minąłem i wyszedłem na ulicę.

– Do zobaczenia – odparłem, a on zatrzasnął drzwi.

Byłem wyczerpany po nieprzespanej nocy. Makabryczny widok kobiety, z której życie wyciekało oczami, coś we mnie zmienił. Zupełnie jakbym, doświadczywszy tego koszmaru, musiał wchłonąć wzrokiem wszystko, co ona traciła, więc nie śmiałem zamykać oczu.

Z trudem dotarłem do Szóstej Alei, skąd tramwajem pojechałem do śródmieścia. Zająłem miejsce w środku i spoglądałem przez okno na mnogość twarzy i postaci na ulicy. Ludzie pojawiali się i znikali, eleganccy i obdarci, piękni i pospolici, jak atomy tworzące potwora znanego jako Nowy Jork, każdy inny i wyjątkowy, sam na sam ze swoją tajemniczą tożsamością i przeszłością, a wszyscy oddaleni od siebie jak na szczytach odległych gór. Może Bóg jest omylny, ale nigdy nie było malarza, który pracowałby z bardziej zróżnicowaną paletą, pisarza, który operowałby ironią bardziej doskonałą niż dwugłowy rumak życia i śmierci, muzyka potrafiącego spleść nitki tak wielu odmiennych melodii w symfonię, w której zawarłoby się wszystko.

Bóg był także hałaśliwym aktorem rewiowym, a ja jego najnowszym rekwizytem. Tematem żartu były oczy: ślepego Watkina, krwawiącej kobiety, moje własne, które nie mogły zobaczyć pani Charbuque, a także jej zmyślony nadnaturalny wzrok. Gdybym przeczytał gdzieś taką historię, nawet w powieści napisanej przez autora arabesek, parsknąłbym z rozdrażnieniem i zamknął książkę.

Ostateczną puentę stanowił fakt, że moje oczy w końcu zamknęły się w gąszczu rozmyślań i przegapiłem swój przystanek. Obudziłem się gwałtownie o dwie przecznice za daleko, gdy zatrzymaliśmy się przy Dwudziestej Trzeciej Ulicy, i wyskoczyłem tuż przed odjazdem tramwaju. Mój notatnik, choć w istocie bardzo lekki, ciążył mi jak głaz, gdy z trudem szedłem w stronę domu, na wpół śniąc i marząc tylko o położeniu się do

łóżka. Pewnie domyślacie się, jaki byłem rozczarowany, gdy ujrzałem gościa siedzącego na moich schodach. Prawie się popłakałem, nie żartuję.

Gdy podszedłem bliżej, mój gość mnie zauważył i wstał. Widząc jego okazały wzrost, szczupłą posturę, opadające podkreśnione wąsy i falujące kruczoczarne włosy, zorientowałem się, że stoi przede mną John Sills, śledczy, który poprzedniego wieczoru uratował mnie przed pobiciem. Po służbie ubierał się niezbyt elegancko – w starą wojskową kurtkę i robotniczą czapkę.

– Johnny, dziękuję, że wczoraj stanąłeś w mojej obronie – powiedziałem.
– Mam silną awersję do ciosów pałką.

Wiedziałem, że jest sympatycznym gościem, a teraz to udowodnił, szeroko się uśmiechając i wybuchając śmiechem.

– Po prostu spełniałem swój obowiązek jako funkcjonariusz państwowy – odparł.

– Pewnie przyszedłeś mi wyjaśnić, co, u diabła, stało się tamtej biednej kobiecie.

– Nie, Piambo, przyszedłem, żeby ci przypomnieć, że na chwilę obecną tamten incydent nie miał miejsca.

– Daj spokój, John. Najskuteczniej kupisz moje milczenie za pomocą wyjaśnień.

Obejrzał się przez ramię, omiatając wzrokiem całą ulicę. Potem zbliżył się i wyszeptał:

– Musisz obiecać, że nikomu nie powiesz. Jeśli to zrobisz, stracę pracę.

– Masz moje słowo – odrzekłem.

– Tamta kobieta to już trzeci taki przypadek. Koroner uważa, że wszystkie cierpiały na jakąś egzotyczną chorobę, którą przywieziono na jednym ze statków z Arabii albo Karaibów, może z Chin. Jestem tylko zwykłym policjantem, więc nie pytałem o szczegóły naukowe, ale z tego, co wiem, ludzie z Ministerstwa Zdrowia odkryli jakiegoś pasożyta, którego nigdy wcześniej nie widzieli. On żywi się miękką tkanką oka i pozostawia ranę, która się nie goi. Wszystko dzieje się bardzo szybko. Na początku ofiara płacze krwią, a potem traci oczy, i te zmieniają się w dwa kraniki, których nie sposób zakrećić.

– A władze uważają, że będzie lepiej, jeśli nikt się o tym nie dowie? – spytałem z przerażeniem.

– Przynajmniej na razie. To nie jest zaraza, która gwałtownie przenosi się

z jednej osoby na drugą. Prawdę mówiąc, nie ma żadnego powiązania między ofiarami. Z tego, co wiemy, to odosobnione przypadki. Ale jeśli dowiedzą się o tym ci z „Timesa” albo „Worlda”, to rozpęta się piekło. Burmistrz Grant chwilowo chce zachować dyskrecję, dopóki nie odkryjemy źródła pasożyta.

– Nikomu nic nie powiem, John. Możesz mi zaufać – obiecałem. – Ale skoro miałeś styczność z tą kobietą, to dlaczego nic ci się nie stało?

– Wygląda na to, że kiedy pasożyt już się nasyci, przechodzi w stan uśpienia. Nikt nie wie, na jak długo, ponieważ ciała skremowano zaraz po zbadaniu.

– Miejmy nadzieję, że uda im się to powstrzymać – odrzekłem.

– Jeśli nie, to wszyscy będziemy płakać rzewnymi łzami – odparł i uśmiechnął się ponuro.

Po tym nieudanym żarcie zorientowałem się, że chce zmienić temat. Ze szczerym zainteresowaniem zapytałem go, jak mu idzie malowanie. Miał mnóstwo wrodzonego talentu i przez lata, czasami zaniedbując przez to pracę oraz żonę i dzieci, zdołał zostać bardzo solidnym miniaturzystą. Niektóre z jego dzieł miały rozmiary papierośnicy, a wiele z obrazów namalował za pomocą pędzelka składającego się zaledwie z dwóch cienkich włosków. John pochwalił się, że właśnie skończył serię portretów przestępców, z których kilka zostanie pokazanych podczas wystawy w Narodowej Akademii Projektowania.

– Otwarcie odbędzie się w przyszłym tygodniu – powiedział i wyciągnął do mnie rękę. – Powiedz Shenzowi, żeby też wpadł.

– Powiem – odrzekłem i uścisnąłem jego dłoń.

Zanim odszedł, powiedział cichym głosem:

– Pamiętaj, Piambo, im mniej wiemy, tym lepiej.

– Moja pamięć przypomina puste płótno – odparłem.

– Dziękuję – odrzekł i odszedł chodnikiem.

Po wejściu do domu od razu udałem się do sypialni, gdzie zrzuciłem z siebie płaszcz i resztę ubrania, pozostawiając je tam, gdzie upadły. Czułem, że mógłbym zasnąć na stojąco, ale musiałem zająć się jeszcze jedną sprawą. Postanowiłem przejrzeć szkice, które wykonałem u pani Charbuque. Zabrałem szkicownik do łóżka, oparłem się wygodnie o poduszki i zabrałem za przeglądanie swoich prac.

Przerzucałem kolejne kartki, omijając szkice kota mieszkającego w sąsiedztwie, Samanty ubranej w kimono, słupa telefonicznego stojącego przy

East Broadway przed siedzibą Towarzystwa Pomocy Dzieciom, złotej rybki Reeda, młodego pisarza siedzącego przy stoliku w kącie delikatesów Billy'ego Moulda. Wreszcie dotarłem do pierwszego z rysunków, które wykonałem w salonie pani Charbuque. Przez chwilę patrzyłem na kartkę, po czym obróciłem szkicownik, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie trzymałem go odwrotnie podczas rysowania. Przed sobą widziałem bezkształtną plamę złożoną z nabazgranych kresek. Mimo że bardzo się starałem, nie udało mi się dostrzec w niej postaci kobiety. Prawdę mówiąc, w ogóle nie przypominała człowieka.

Zirytowany, przewróciłem kartkę. Tym razem ujrzałem cień chmury. Potem węglową kałużę. Nie znalazłem żadnego rozpoznawalnego kształtu. Leżałem, zastanawiając się, co takiego wypatrzyłem na parawanie. Pamiętałem, że w pewnej chwili wydawało mi się, że uchwyciłem zarys twarzy z profilu, ale gdy teraz patrzyłem na swoje dzieła, zadawałem sobie pytanie, czy przypadkiem pod wpływem niewyspania moja wyobraźnia nie spłatała mi figła. Podczas gdy pani Charbuque opowiadała mi o tym, jak pozwoliła fantazji przeniknąć do rzeczywistego świata, ja nie chciałem być gorszy i zrobiłem to samo. Niewyraźny ruch cienia zmienił się w kobietę.

Zakląłem i rzuciłem szkicownikiem przez pokój. Blok trafił w górną szufladę toaletki, obrócił się w powietrzu, odbił od podłokietnika fotela i wylądował, nie kłamię, dokładnie w koszu, który trzymam w kącie. Tak jak mówiła pani Charbuque, przypadki nie istnieją. Zaciążyły mi powieki i zapadłem w sen o śniegu.

KOBIETA ZE SNU

Sobota przyniosła ze sobą chęć malowania. Wstałem wcześniej, wypoczęty, i poszedłem na śniadanie do lokalu Crenshawów przy Siódmej Alei. Po tłustym posiłku złożonym ze steku z jajkami, dwóch filiżanek kawy, trzech papierosów i lektury artykułu w „Timesie” na temat „wyścigu po ziemię” zorganizowanego w Cherokee Creek w Oklahomie, gdzie ludzie strzelali do siebie, żeby zdobyć kawałek gruntu, wróciłem do domu, by dalej ścigać nieuchwytną panią Charbuque.

W studiu czekało na mnie płótno, gotowe na to, bym zaatakował je kolorem. Z powodu ostatnich absorbujących wydarzeń – odsłonięcia portretu pani Reed, rozmów przed parawanem, sztuki Samanty oraz wizyty u Shenza – od tygodnia nie miałem pędzla w ręku. Żyjący we mnie demon, którego może uspokoić tylko widok farby na płótnie, zacierał ręce. Przygotowałem paletę i zanurzając pędzel w farbie w kolorze ochry, ruszyłem do natarcia, by także zdobyć dla siebie nowe terytorium. Nagle niewidoczne widmo, którym była pani Charbuque, pojawiło się w moim umyśle w całej swojej niechlubnej okazałości, rozpościerając fałdy nieistniejącej sukni i powiewając bujną pustką włosów. Jej dojmująca nieobecność wyparła wszystko inne, tłumiąc ponaglenia malarskiego demona i ośmieszając moją potrzebę tworzenia. Pędzel zatrzymał się kilka centymetrów nad płótnem, po czym moja dłoń powoli go wycofała. Odłożyłem paletę i pędzel na stół, po czym usiadłem, całkowicie pokonany.

Bardzo długo wpatrywałem się beczynnie w prostokąt czekający na mnie na sztaludze. Tak jak zawsze, gdy próbowałem ją sobie wyobrazić, także tym razem w końcu wyłoniła się z miazmatu nicości i ujrzałem postać kobiety, ale podobnie jak Proteusz w *Odysei*, który bezustannie zmienia się w nowe stworzenia, była to kobieta złożona z wielu innych kobiet. Zacząłem głęboko oddychać i skupiłem się, próbując powstrzymać tę gwałtowną metamorfozę twarzy w twarz, blondynki w brunetkę i rudowłosą. Był to

frustrujący proces, niczym próba oceny, kiedy dokładnie należy wskoczyć na wirującą karuzelę.

Tego ranka po raz pierwszy zorientowałem się, że każde z wcieleń, które pojawiało się przed moimi oczami, stanowiło okaz klasycznego piękna. Ale czy pani Charbuque jest piękna? Prawdę mówiąc, nigdy nie pomyślałem, że może być inaczej. Żadna z setek wizji, które powstały w moim umyśle od chwili przyjęcia zlecenia, nie przedstawiała osoby o pospolitej urodzie. Boże broń, ale może ona jest szpetna, pomyślałem. Chociaż kobiety, które widziałem oczami wyobraźni, wciąż były atrakcyjne, inna część mojego mózgu zaczęła rozważać możliwość, że moja klientka jest przysadzista, a nawet otyła. Może błędnie oszacowałem jej wiek i miałem do czynienia nie ze swoją rówieśniczką bądź młodą dziewczyną, ale z pomarszczoną staruchą. A jeśli jest chuda jak patyk, nie ma piersi, tylko krzywe zęby i zeza?

Wtedy zrozumiałem, że moja seksualna żądza oraz absurdalne męskie oczekiwania nigdy nie pozwolą, żeby pani Charbuque była sobą. Byłem skazany na namalowanie portretu wyidealizowanej kobiety ze snów, w którym będzie więcej mnie niż jej. Mój Boże, byłem jak Reed. Przypomniałem sobie, co Sabott powiedział mi kiedyś o naturze portretu. „Przede wszystkim musisz zrozumieć, Piambo, że każdy portret w pewnym sensie jest autoportretem, tak jak każdy autoportret jest portretem”. W głowie miałem mętlik, a moje ciało było całkowicie sparaliżowane. Gdyby nie rozbudziło mnie pukanie do drzwi, w końcu pozostałoby mi tylko zwleczenie się z łóżka i ruszenie na poszukiwanie butelki.

Samanta stała przede mną na schodach i zdejmowała rękawiczki, palec po palcu. Ciemne włosy splotła z tyłu głowy w misterne warkoczyki, a jej twarz lśniła jak poranne sobotnie słońce. Uśmiechała się figlarnie, i gdy tylko ją zobaczyłem, wszystkie ślady ulotnej i zmiennej pani Charbuque zniknęły z mojego umysłu.

– Co my tutaj mamy? – zapytałem.

Roześmiała się i już wiedziałem, że coś knuje.

Odsunąłem się i wpuściłem ją do środka.

– Pracujesz, Piambo? – spytała.

– Przez chwilę udawałem, że tak, ale okazało się, że nie potrafię się oszukiwać.

– Masz trudności z namalowaniem tajemniczej kobiety? – spytała.

Z jakiegoś powodu nie chciałem się do tego przyznać, traktując to jako

uznanie własnej niemocy, ale nie mogłem okłamywać Samanty. Pokiwałem ze smutkiem głową.

– Tak myślałam – odrzekła.

– Przyszłaś się ze mną droczyć?

– Z tym zaczekam do wieczora – odparła. – Teraz chcę ci pomóc, jak zwykle.

– Dowiedziałaś się czegoś o tej Charbuque? – spytałem.

– Na Boga, nie. Ale mam dla ciebie prezent. Poprosiłam młodą aktorkę, dublerkę ze spektaklu u Palmera, żeby dla ciebie pozowała. Tylko że nie możesz jej zobaczyć. Usiądź do niej plecami i zadawaj jej pytania, a potem spróbuj namalować jej wizerunek w oparciu o to, co powie.

– Gdzie ona jest – spytałem. – Chowasz ją pod spódnicą?

Żartobliwie zamachnęła się na mnie rękawiczkami.

– Nie, głupku, czeka na ulicy, aż wszystko przygotuję.

Początkowo byłem sceptycznie nastawiony, bojąc się porażki, ale Samanta odparła, że ideą tego projektu jest sprawdzenie, co potrafię, a nie czego nie potrafię zrobić.

– To jak próba generalna – stwierdziła.

W końcu się zgodziłem i przeszedłem do swojej pracowni, żeby ustawić sztalugi i krzesło. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie ma sensu malować obrazu, gdyż lepiej sprawdzi się prosty szkic. Musiałem pracować szybko i bez zbędnego namysłu. Kontemplacja jak dotąd okazała się dla mnie kulą u nogi. Poszedłem do sypialni i wyjąłem szkicownik z kosza na śmieci. Po kilku minutach, gdy przeciągnąłem deskę kreślarską do ściany w głębi pomieszczenia, usłyszałem odgłos otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych. W korytarzu prowadzącym z salonu rozległy się kroki dwóch osób.

– Piambo – zawołała Samanta – to jest Emma Hernan.

– Witam – odpowiedziałem, pamiętając, żeby się nie odwrócić.

– Dzień dobry, panie Piambo – odezwała się młoda kobieta.

– Jest pani gotowa?

– Tak.

– Proszę się nie gniewać, Jeśli nie uda mi się uchwycić podobieństwa.

– Emma rozumie sytuację – zapewniła Samanta.

– Może to trochę niezręczne, ale jeśli pozwolicie mi podsłuchiwać waszą rozmowę, to spróbuję stworzyć kilka waszych wizerunków.

– Mamy plotkować, panie Piambo? – spytała Emma.

– To nie sprawi nam problemu – dodała Samanta i obie kobiety się roześmiały.

Usadowiły się na kanapie i zaczęły omawiać ostatni spektakl, w którym z powodu choroby nie mogła wziąć udziału jedna z głównych aktorek, więc Emma musiała ją zastąpić. Nawet gdyby Samanta nie powiedziała mi, że Emma jest młoda, od razu bym się tego domyślił, słysząc, jaki ma czysty głos i z jakim entuzjazmem opowiada o sztuce aktorskiej. Przez jakiś czas intensywnie się przysłuchiwałem, przesuwając dłoń z ołówkiem kilka centymetrów nad kartką, nie potrafiąc nakreślić ani jednej linii. Zamknąłem oczy i wyobraziłem sobie mówiącą Samantę, po czym powoli przywołałem obraz jej towarzyszki. Początkowo zobaczyłem tylko niewyraźną postać siedzącą na kanapie, ale po chwili rozmowa zesłała na niedostatki biednego Derima Lourde'a i Emma stała się wyraźniejsza za sprawą swojego śmiechu. Ujrzałem długie, delikatne blond włosy z czerwonymi pasemkami i gładką skórę pozbawioną zmarszczek. Zostawiłem pierwszy ślad na papierze, a pokonanie tej przeszkody pozwoliło mi narysować kolejną linię.

Gdy skończyły rozmawiać o nieudolnym duchu z amnezją, skupiły się na szczegółach ponurej historii, która ostatnio nie schodziła ze szpalt gazet, czyli procesu Lizzie Borden. Było coś erotycznego w sposobie, w jaki Emma recytowała znaną wszystkim dzieciom piosenkę o czterdziestu ciosach siekierą. Za sprawą tej melodii zobaczyłem jej usta i idealny nos, niewielkie uszy oraz zakrzywione powieki dużych oczu.

Potem znów przez chwilę coś mówiły, ale chociaż słyszałem ich głosy, to nie zarejestrowałem treści, ponieważ pochłoneńto mnie rysowanie. Widziałem je dokładnie, Emma miała na sobie długą pomarańczową suknię i białą plisowaną bluzkę. Byłem pewien, że nosi wstążkę we włosach. Po wykonaniu drugiego szkicu odkryłem, że ma lekko piegowaty nos. Była szczupła i wysportowana, zgodnie z nową modą, w czym wyraźnie odróżniała się od Samanty, która charakteryzowała się pełniejszą figurą. Wiedziałem, że gdybym miał sportretować tę młodą kobietę, to na moim obrazie siedziałyby na marmurowej ławeczce w bujnym zielonym ogrodzie w pełnym słońcu. Byłaby ubrana w letnią sukienkę, którą namalowałbym za pomocą pędzla filbert numer cztery przejrzystą farbą w kolorze czerwieni chinakrydonowej, trzymałaby książkę i patrzyła w dal, jakby śniła na jawie, że jest którąś z bohaterek.

Właśnie kończyłem szkic, oddając z profilu splecione włosy Samanty, gdy zasłyszany urywek rozmowy gwałtownie oderwał mnie od pracy.

– ...płakała krwią – powiedziała Emma.

– Dziwne – odparła Samanta. – Coś strasznego.

– Kto płakał krwią?! – zawołałem, omal się nie odwracając.

– Jakaś kobieta na ulicy. Kupowałam tkaniny w sklepie W. & J. Sloane przy Dziewiętnastej, a kiedy wracałam do domu, zerknęłam w głąb jednej z uliczek odchodzących od Broadwayu. Zobaczyłam kobietę, która opierała się o ścianę. Wyglądało na to, że źle się czuje, więc się zatrzymałam. Zauważyła mnie i podniosła wzrok. Może się pomyliłam, ale wydawało mi się, że płacze krwią. Czerwone łzy plamiły jej biały zakiet. Kiedy tylko mnie zobaczyła, szybko się odwróciła, jakby zawstydzona.

– Co się z nią stało? – spytałem i tym razem odwróciłem się pod wpływem emocji, koniecznie pragnąc poznać odpowiedź.

Emma szeroko otworzyła oczy, zaskoczona moim nagłym ruchem, zupełnie jakbym przyłapał ją podczas przebierania.

– Nie wiem – odparła pośpiesznie, wyraźnie zmieszana. – Zostawiłam ją.

Już miałem opowiedzieć o tym, co widziałem, wracając od Shenza, ale przypomniałem sobie obietnicę, którą złożyłem Johnowi. Zmusiłem się do uśmiechu.

– Ciekawe.

– Może powinnam była do niej podejść – rzekła Emma, brutalnie burząc moją wizję jej osoby i konfrontując mnie z rzeczywistością. Była niska i dosyć krępa, miała kręcone ciemne włosy bez wstążki, ani jednego piega, a na sobie niemodne granatowe ubranie.

– Któż by wiedział, jak się zachować w takiej sytuacji? – odrzekła Samanta. – Najwyraźniej ta kobieta chciała być sama w swoim smutku.

– Ale krew – zaprotestowała Emma. – Jestem pewna, że płakała krwią.

– To okropne. – Samanta pokręciła głową.

– Rzeczywiście – dodałem.

Podziękowałem za poświęcony mi czas i umówiłem się z Samantą na spotkanie po spektaklu, po czym obie panie poszły przygotować się do wieczornego przedstawienia. Miałem nadzieję, że nie poproszą mnie o pokazanie szkiców, i z zaskoczeniem stwierdziłem, że rzeczywiście tego nie zrobiły. Zapewne Samanta postawiła koleżance taki warunek. Nigdy nie spotkałem bardziej dyskretnej kobiety. Później wyrwałem rysunki ze

szkicownika i wrzuciłem je do kominka.

To okropne, pomyślałem i zrobiłem sobie drinka.

SZPITAL DLA OBŁĄKANYCH

Wyglądało na to, że resztę soboty spędzę na bezcelowym snuciu się z kąta w kąt. Właśnie usiadłem w pracowni ze szklaneczką czegoś mocniejszego, gotowy wbić wzrok w pustkę, gdy po raz kolejny ktoś zapukał do moich drzwi. Tym razem to był Shenz. Miał na sobie swój aksamitny melonik oraz dopasowany płaszcz i trzymał w dłoni laseczkę z głową staruszka wyrzeźbioną na ręczce. Sprawiał wrażenie bardzo podekscytowanego, a za nim na ulicy czekała dwukołowa dorożka.

– Bierz płaszcz, Piambo! – zawołał. – Jedziemy z wizytą.

– Może po prostu wejdiesz na kilka drinków – odparłem.

– Nie pleć bzdur, to bardzo ważne.

– Z kim się spotkamy? – spytałem, wyjmując płaszcz z szafy. – Po twoim wyglądzie wnoszę, że Whistler jest w mieście.

– Blisko – odrzekł Shenz. – Zobaczymy się z wariatem nazwiskiem Francis Borne.

– Wystarczy mi szaleństwa na jeden tydzień.

– Nieprawda. Ten staruszek kiedyś pracował dla Ossiaka jako wróżbita, podobnie jak ojciec twojej pani Charbuque.

To mi wystarczyło. Zarzuciłem na siebie płaszcz i wyszliśmy. Gdy wsiedliśmy do dorożki, spytałem Shenza, jak namierzył tego człowieka.

– Wystarczyło nieco popytać we właściwych kręgach – odrzekł, po czym zamknął za nami drzwiczki i wychylił się przez okno do woźnicy. – Morningside Heights, skrzyżowanie Sto Siedemnastej z bulwarem.

– To aż nad Hudson. Dokąd mnie zabierasz? – zdziwiłem się.

– Do szpitala dla obłąkanych Bloomingdales.

– Dobry wybór – odrzekłem i konie ruszyły.

Dzień był zaskakująco ciepły jak na tę porę roku. Niebo miało kolor ołowiu, a morze ciemnego błękitu. Niedawno minęło południe. Na ulicach roilo się od ludzi robiących zakupy i załatwiających swoje codzienne sprawy,

a oprócz przechodniów, tramwajów i dorożek na ulicach poruszało się sporo samochodów. Wszystkie te pojazdy wspólnie wzbijały w powietrze brązową mgiełkę osadzającą się na głównych arteriach miasta.

Popatrzyłem na Shenza, który siedział po drugiej stronie kabiny tyłem do woźnicy i opierał obie dłonie na główce laski. Wpatrywał się w okno, jakby zamęt panujący na ulicy mógł mu wyjawić jakąś ważną tajemnicę.

– Co to były za właściwe kręgi, które dowiedziały się, że ten Francis Borne kiedyś pracował dla Ossiaka? – spytałem, przerywając ciszę.

– Pewien znajomy dżentelmen w Village, który handluje lekarstwami, eliksirami i tym podobnymi środkami – odrzekł Shenz. – Człowiek z Równika.

– Osobliwe przezwisko – zauważyłem.

– Bo to osobliwy człowiek – odparł Shenz.

– Ojciec pani Charbuque zgłębiał tajemnice płatków śniegu. A kim był Borne? Astrologiem? Interpretatorem snów? Wróżył z odcisków na stopach? W czym się specjalizował?

– Nie znam oficjalnej nazwy. Kimś w rodzaju łajnologa.

– Co ty mówisz? – zdziwiłem się.

– Można powiedzieć, że przepowiada przyszłość z tego, co przeszłe – odrzekł Shenz.

– Z ekskrementów?

Mój przyjaciel pokiwał głową i obaj wybuchliśmy śmiechem.

– Myślałem, że ten koniec należy do diabła – powiedziałem, ocierając łzy.

– Powinieneś poczytać więcej transcendentalistów – odparł Shenz, kręcąc głową. – Wszchedusza jest wszędzie. Poza tym nie jedziemy do niego na seminarium. Musimy tylko się dowiedzieć, czy kiedykolwiek widział twoją klientkę, gdy pracował dla Ossiaka. Mimo że była wtedy dzieckiem, może nam dać jakąś wskazówkę co do jej koloru włosów czy znaków szczególnych.

– Dobry Boże. – Westchnąłem i zapaliłem papierosa.

Przez resztę drogi już się nie odzywaliśmy, tylko od czasu do czasu parskaliśmy śmiechem.

Kiedy wjechaliśmy na teren przed szpitalem, zauważyłem główny budynek, imponującą budowlę z cegieł i kamienia, częściowo zasłoniętą przez stare klony i dęby. Po chwili naszym oczom ukazały się także inne

budynki rozsiane po okolicy. To było piękne miejsce, które wcale nie przywodziło na myśl psychicznych chorób i zaburzeń, podobnie jak wielu ludzi, których spotykamy każdego dnia na swojej drodze.

Shenz zapłacił woźnicy i kazał mu poczekać. Pozwolono nam tylko na godzinną rozmowę z Borne'em. Mój towarzysz umówił nas na spotkanie przez telefon, informując obsługę, że jesteśmy dawnymi sąsiadami pana Borne'a i chcemy sprawdzić, jak się miewa. Na schodach do głównego budynku czekał na nas pan Calander, z którym Shenz wcześniej rozmawiał. Sprawiał sympatyczne wrażenie, chociaż był podejrzanie radosny i miał skłonność do bardzo szybkiego mówienia.

– Mamy tutaj spore zamieszanie – wyjaśnił Calander. – W przyszłym roku przenosimy szpital do White Plains i moi ludzie właśnie prowadzą inwentaryzację. Ale skoro panów przyjaciół Borne nie przebywa w głównym budynku i jest spokojnym pacjentem, nie widzę przeszkód, żeby zezwolić na krótką wizytę.

– Cudownie – odrzekł Shenz. – W którym budynku znajduje się Francis?

– Proszę za mną, pokażę panom.

Gdy przemierzaliśmy teren otaczający szpital, gadatliwy pracownik zapoznawał nas z historią instytucji. Wyjaśnił, że gdy ją wybudowano, miała idealną lokalizację, znajdowała się bowiem daleko od reszty miasta, jednak inwestorzy budowlani podchodzili coraz bliżej i w końcu konieczne okazały się przenosiny, bo nikt nie chce mieszkać w sąsiedztwie obłąkanych.

– Za późno – odparł Shenz.

Calander na chwilę umilkł i popatrzył pytająco na mojego przyjaciela, po czym na nowo podjął wątek, pędząc na złamanie karku.

– Poza tym, teren z tak pięknym widokiem na rzekę Hudson to łakomy kąsek dla handlarzy nieruchomości. Chyba nie zdradzę żadnej tajemnicy, jeśli powiem, że liczne wysoko postawione osoby chciałyby go zdobyć. Każdego roku przyjmujemy prawie czterystu pięćdziesięciu pacjentów. Ale w porównaniu z Wards Island to prawdziwe niebo. – To nie był koniec opowieści, a Calander mówił w tak szaleńczym tempie, w końcu tylko podając fakty i liczby przeplatane cytatami z *Hamleta*, że zacząłem się zastanawiać, czy sam nie jest pacjentem.

Minęliśmy kaplicę zwieńczoną kamienną dzwonnica, po czym przeszliśmy przez kolejny trawnik do dużego domu, który nazywano Willą Macy.

– Tutaj przebywają ci, którzy nie cierpią na poważne schorzenia, ale postrzegają świat w niepełny albo wypaczony sposób – wyjaśnił Calander.

Weszliśmy do budynku, a ja zauważyłem, że panują w nim spokój i porządek. Weszliśmy po schodach na piętro, po czym przeszliśmy długim korytarzem. Po drodze Calander lekko dotykał mijanych drzwi i podawał nazwiska mieszkańców poszczególnych pokoi:

– Pan Sheffoler, pan Cody, pan Varone...

Wreszcie dotarliśmy do drzwi pokoju pana Borne'a.

– Chwileczkę, panowie – rzekł nasz przewodnik i wszedł do środka. Wrócił po kilku minutach. – Francis już panów oczekuje.

Zerknąłem na Shenza, który twierdził, że Borne nie miał pojęcia, że się do niego wybieramy. Mój przyjaciel uniósł brwi i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „W końcu to wróżbita”.

– Tylko godzinę, panowie, proszę – zaznaczył Calander, gdy weszliśmy, po czym nas zostawił.

Na środku uporządkowanego jednopokojowego mieszkanca, do którego światło słońca wlewało się przez dwa wysokie zakratowane okna ozdobione kwiatami stojącymi na parapetach, siedział bardzo stary mężczyzna ubrany w smoking, który wyszedł z mody dwadzieścia lat wcześniej. Miał na nosie duże okulary o grubych szklach powiększające jego oczy. Ciało mężczyzny było boleśnie wychudzone, jak łodyga kukurydzy wetknięta w ludzki strój, a twarz wyglądała, jakby zrobiono ją z luźnej, popękanej skóry. Gdy nas zobaczył, ukłonił się i uśmiechnął.

– Zastanawiałem się, kiedy panowie przyjadą – powiedział.

– A więc wiedział pan o naszym przybyciu – odrzekł Shenz.

– Widziałem panów.

Zbliżyliśmy się i usiedliśmy, ja na dywanie, a mój towarzysz na ławie, która zapewne właśnie po to została ustawiona obok pacjenta.

– Gdzie nas pan widział? – spytał Shenz.

– Dwa dni temu w pozostałościach poniedziałkowego jagnięcego gulaszu. Skrzywiłem się, ale Shenz nawet nie mrugnął.

– Cóż za smakołyk – odparł.

– Trudno o bardziej prorocze danie – odrzekł Borne. – Chyba że wyrosłyby mu usta i zaczęłyby do mnie przemawiać.

– Człowiek z Równika przesyła pozdrowienia.

– Ach, Goren. – Borne westchnął. – Jak on się miewa?

– Posuwa się w latach, ale to akurat stanowi dobrą reklamę dla jego towarów – odparł Shenz. – Wciąż warzy mikstury dla cierpiących.

– Prawdziwy mędrzec – stwierdził Borne.

Przedstawiliśmy się, a staruszek podniósł kościstą rękę i przywitał się z nami słabym uściskiem dłoni.

– Chcielibyśmy, żeby opowiedział nam pan coś o czasach, gdy pracował pan dla Malcolma Ossiaka – powiedziałem.

– To były czasy – odparł Borne, po czym zapatrzył się w dal, jakby pochwyciły go wspomnienia. Musiały być wyjątkowo zajmujące, ponieważ minęło kilka minut, zanim znów się odezwał. – Miałem własne laboratorium i dysponowałem ponad setką okazów, z których mogłem czytać przyszłe wydarzenia. Całe rzędy słojów reprezentujących najważniejsze osobistości. Miałem przypominający kobrę kawałek od prezydenta Lincolna, prawdziwy Kamień z Rosetty, jeśli chodzi o polityczne wróżby. Dopóki miałem za sobą pieniądze Ossiaka, byłem wiarygodny, ale gdy tylko spotkała go finansowa ruina, okrzyknięto mnie szaleńcem i ktoś nasłał na mnie Ministerstwo Zdrowia. Ludzie boją się prawdy, która kryje się w ich nocnikach. Nie mają pojęcia, jak starą i szlachetną tradycją jest wróżenie z odchodów...

MONOLOG W BRĄZIE

Borne mówił przez dobre pół godziny, relacjonując historię odpychającej dziedziny nauki, którą tak się fascynował, od prehistorycznych koprolitów po przynoszące szczęście sproszkowane odchody Dalajlamy. Obnażając swoją wizję, czasami brzmiał jak wykładowca z Harvardu, a czasami jak pastor z ruchu odnowy religijnej. W końcu zacząłem się obawiać, że zabraknie nam czasu, i niegrzecznie przerwałem mu w połowie rozprawy na temat książki Swifta *Ludzkie nieczystości*.

– Czy pamięta pan z czasów, gdy pracował dla Ossiaka, mężczyznę, który przepowiadał przyszłość z kształtu płatków śniegu?

Moje pytanie było jak kij wetknięty w szprychy roweru. Potok słów ustał i Borne znów uciekł w milczenie, wbijając wzrok w ścianę.

– Płatki śniegu – rzekł Shenz, starając się przywrócić go do rzeczywistości.

– Ossiak nazywał nas swoimi dwiema podpórkami do książek: niebem i ziemią – odpowiedział Borne. – Wierzył nam bardziej niż pozostałym. Obaj jednocześnie przewidzieliśmy jego finansową ruinę. Niech panowie postarają się zrozumieć, jakie to istotne. W jednym z nocników Ossiaka odkryłem dwa okazy takiej samej wagi i rozmiaru, oba w kształcie gęsiego jaja, identyczne bliźniaki wydzielające woń dzikich fiołków. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać, a jednak miałem je tuż pod nosem. A Londell, yin dla mojego yang, interpretator niebiańskich ekskrementów, znalazł coś równie druzgocącego, chociaż nigdy nie poinformował mnie dokładnie, co to było.

– Londell? – spytał Shenz.

– Benjamin Londell – odrzekł Borne. – Bardzo szlachetny człowiek. Niektórzy z wróżbitów zatrudnionych przez Ossiaka byli szarlatanami, ale Londell był autentyczny. Bardzo skrupulatnie pracował i narażał swoją rodzinę na wielkie niedogodności, żeby tylko zajrzeć w przyszłość.

– Jakie to były niedogodności? – spytałem.

– Co roku musieli wspinać się na szczyt góry i spędzać tam sześć miesięcy w paskudnych warunkach, żeby on mógł zdobyć kryształy, których potrzebował. Przynajmniej w mojej dziedzinie okazy zawsze są pod ręką.

– Miał dzieci? – spytał Shenz.

– Córkę. Wydaje mi się, że tylko ją.

– Pamięta ją pan? – spytałem.

– Słodkie dziecko.

– Jak wyglądała? – spytał Shenz.

Pacjent pokręcił głową.

– Nie za bardzo pamiętam, bo wkrótce po tym, jak zacząłem zwracać na nią uwagę, zaczęła się ukrywać.

– Zniknęła? – spytałem.

– Nie. Kiedy przyjeżdżali do miasta, żeby porozmawiać z Ossiakiem, dawała publiczne występy. Ukrywała się za parawanem i wróżyła albo coś w tym guście. Odkąd się tym zajęła, ani razu jej nie widziałem. Tak się złożyło, że została Sybillą w tym samym roku, w którym jej ojciec i ja dokonaliśmy naszych szokujących odkryć. Wtedy zaczęliśmy przeczuwać, że wkrótce wszystko zacznie się sypać.

– Sybillą – powtórzyłem, mając nadzieję na dalsze informacje.

Borne tylko pokiwał głową.

– Właśnie tak ją nazywano.

– Jaki miała kolor włosów? – spytał Shenz.

– Kasztanowe albo blond, może truskawkowe – odparł staruszek, po czym zaczął się bawić guzikami obdartej marynarki. – Wszystko jest zamknięte w magazynie.

Borne wyglądał na przygnębionego, jakby grzebanie w przeszłości sprawiało mu ból.

– Pozostało tylko w pana pamięci, prawda? – odrzekłem ze współczuciem.

Odwrócił się i zerknął na mnie przez grube okulary.

– Nie, w magazynie. Ossiak, zanim popełnił samobójstwo, zaczął gromadzić pozostałości swojego bogactwa i kupił magazyny, w których zamierzał je przechowywać. Nie chciał, żeby wszystko wpadło w ręce wierzycieli. Wtedy już sam popadł w obłęd i marzył, że odrodzi się z popiołów, by odbudować swoje imperium. Wszystkie moje przyrzady, okazy, notatki i tak dalej zostały skonfiskowane i ukryte. Biedny Londell dostał

wylewu i zmarł, kiedy odebrano mu jego bezcenny sprzęt do badania płatków śniegu oraz wyniki badań. To były ponure dni.

– Pewnie te przedmioty już zostały rozgrabione – rzekł Shenz.

– Nie – odparł Borne. – Wciąż tam są. Śledziłem człowieka, który je zabrał, więc wiem dokładnie, gdzie je ukryto.

– To znaczy? – spytałem.

– Znają panowie ten duży budynek przy Fulton Street, w którym mieści się apteka? O ile się nie mylę, prowadzą ją bracia Fairchild. To chyba przy skrzyżowaniu Fulton z Gold. Nie sądzę, żeby zamknęli interes. Tuż za rogiem, patrząc na wschód w stronę rzeki, stoi stary jednokondygnacyjny ceglany magazyn. Z przodu namalowano białą literę O. Pewnie już zblakła. W środku jest wszystko, pozostałości po całej sadze.

Nagle pojawił się Calander, wykazując się punktualnością bardziej irytującą niż Watkin. Chciałem zadać panu Borne'owi jeszcze sto pytań, ale nie było mi to dane. Staruszek ponownie podał nam dłoń i wyszliśmy z jego pokoju. Zanim zamknęły się za nami drzwi, Borne zawołał:

– Pamiętajcie, panowie: żeby ruszyć naprzód, najpierw musicie się obejrzeć za siebie.

– Borne wcale nie sprawia wrażenia poważnie chorego – powiedziałem Shenzowi, gdy jechaliśmy z powrotem do śródmieścia. Zaczął rozkwitać wieczór i robiło się coraz chłodniej.

– W życiu Reeda jest więcej ułudy – zgodził się Shenz. – Borne przynajmniej rozumie, kim jest, ale jego zamiłowanie do tajemnic gówna jest odrażające dla społeczeństwa. Wyobrażasz sobie przerażenie jego sąsiadów, kiedy odkryli jego kolekcję? Żyjemy w czasach, gdy każdy udaje anioła. Pomyśl chociażby o wszystkich malarzach, którzy tworzą wizerunki uskrzydłych postaci.

– Z drugiej strony, on nie analizował odchodów, żeby ocenić czyjś stan zdrowia, tylko przepowiadał z nich przyszłość – zauważyłem. – To już nieco szalone. Ale ogólnie sympatyczny z niego staruszek.

– No i przydatny – odrzekł Shenz.

– Przynajmniej potwierdził dużą część opowieści pani Charbuque i podał nam jej panieńskie nazwisko: Londell.

– Możemy je namierzyć – stwierdził Shenz.

– To mi przypomina, że w końcu będę musiał ją spytać o męża. Kim jest pan Charbuque?

– Oczywiście – zgodził się Shenz – ale teraz powinniśmy skupić się na magazynie, o którym wspomniał Borne. Tym przy Fulton Street z wymalowaną literą O. Musimy tam pojechać i trochę się rozejrzeć.

– Wątpię, żeby ktoś jeszcze dysponował kluczem. Wygląda na to, że Ossiak wypełnił magazyn, po czym umarł. Założę się, że nikt nie pamięta, kto jest właścicielem, ale każdy zakłada, że ktoś inny to wie. I tak budynek stoi jak starożytny grobowiec strzegący swoich skarbów.

– Myślałem, że to ja jestem romantykiem – rzekł Shenz. – Mój znajomy może nas wprowadzić do środka.

– Człowiek z Równika? – spytałem z uśmiechem.

– Nie, człowiek z Trzydziestej Drugiej Zachodniej.

– Jeden z dygnitarzy z Hell's Kitchen?

– Bardzo zdolny rzemieślnik – odparł Shenz. – Wie o zamkach więcej niż Borne o swoim wczorajszym jadłospisie. Stworzył kolekcję wytrychów, która w półświatku obrosła legendą niczym Święty Graal, i posługuje się szpilką do kapelusza z większą finezją niż Vermeer pędzłem.

– Dlaczego miałby nam pomóc? – spytałem.

Shenz się roześmiał. Wyjął papierośnicę i wydobył z niej papierosa z opium. Przypalił go, po czym wydmuchnął smugę dymu przez okno.

– Bo mu zapłacimy.

– Chcesz, żebyśmy się włamali do magazynu?

– Tylko pomyśl, co możemy tam znaleźć, Piambo – odparł. – Poza tym jestem ciekaw gęsich jaj Ossiaka, nie wspominając o bryłce od Abrahama Lincolna. To historyczne okazy.

– Lepiej zadzwonię do Bloomingdales i zarezerwuję dla ciebie pokój. Nie mam zamiaru brać udziału we włamaniu. Angażujesz się w moje zlecenie bardziej ode mnie. Weź się w garść.

Rozparł się na siedzeniu, jakby moje słowa go zraniły. Zwrócił oczy w stronę okna, obserwując mijane latarnie na Broadwayu. Gdy wypalił papierosa w trzech czwartych, rzucił niedopałek na ulicę i zamknął oczy. Po kilku minutach zasnął. Siedziałem, przyglądając się jego twarzy w przerywanym świetle docierającym z bulwaru i czułem wyrzuty sumienia, że go zganilem.

Shenz był nieco starszy ode mnie, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Sabottem a mną. Coraz wyraźniej widziałem, że opium zaczyna rujnować mu zdrowie. W ostatnich miesiącach jego cera stała się bardziej

ziemista i znacznie stracił na wadze. W młodości szczylił się dobrze rozwiniętą muskulaturą i zawsze promieniował entuzjazmem. Teraz często zachowywał się rozpaczliwie, jakby ponosiły go nerwy po spożyciu zbyt dużej ilości kawy. Poza tym, jego malarstwo straciło na precyzji i świeżości, a zlecenia, które do niego spływały, były dalekie od ideału, czego dobry przykład stanowiły portrety dzieci Hatstellów.

Zastanawiałem się, czy za kilka lat też będę tak wyglądał. Ciekawiło mnie także, czy Shenz, patrząc na mnie, widzi siebie sprzed kilku lat, gdy wciąż jeszcze miał szansę na zebranie sił i, jak zachęcał mnie ojciec, „stworzenie czegoś pięknego”. Dotarło do mnie, że może właśnie dlatego tak nalegał, żebym postarał się dokładnie sportretować panią Charbuque.

Obudziłem Shenza, kiedy dorożka zatrzymała się przed jego domem. Ocknął się gwałtownie, po czym uśmiechnął się, ledwie rozchylając powieki.

– Miałem sen, Piambo – powiedział.

– Znów o tamtej modelce Hunta, dziewczynie która siedziała na kolanach dowcipnisa na „Przebudzonym sumieniu”? – spytałem.

– Nie – odrzekł i powoli pokręcił głową. – Byłem uwięziony w szklanym słoju, a Borne się we mnie wpatrywał. Postukałem w szkło laską, chcąc się wydostać, ale on się tym nie przejął. Zobaczyłem, że przygotowuje etykietę, na której dużymi czarnymi literami napisał „OBIAD”.

Odprowadziłem przyjaciela do drzwi.

– Posłuchaj, Shenz – odezwałem się, zanim przekroczył próg. – Naprawdę doceniam twoją pomoc i zastanowię się nad wyprawą do magazynu. Ale najpierw chciałbym sprawdzić, czego jeszcze zdołam się dowiedzieć od pani Charbuque.

Popatrzył na mnie z ponurym znużeniem.

– Nigdy ci o tym nie mówiłem, ale przed śmiercią Sabott rozmawiał ze mną w Klubie Gracza. Nikt nie traktował go poważnie i wszyscy patrzyli mu na ręce, gotowi w każdej chwili go wyrzucić, gdyby stracił nad sobą panowanie, ale z czystego szacunku dosiadłem się do jego stolika. Na szczęście, miał wtedy jeden z rzadkich przeblysków świadomości. Kupił mi drinka i błyskotliwie opowiadał o Syrenach z obrazu Waterhouse’a, które zostały przedstawione jako drapieżne ptaki z głowami kobiet, otaczające Odyseusza przywiązanego do masztu. Zanim się rozstaliśmy, wspomniał o tobie. „Shenz, miej oko na tego chłopca. Nie zdążyłem powiedzieć mu wszystkiego”. Potem wyszedł. Dwa tygodnie później już nie żył.

NIEDZIELNY PORANEK

W niedzielę rano obudziłem się bardzo wcześnie. Przez okno wpadało szare światło, a zacinający deszcz bębnił o szybę. W pokoju było zimno, ale Samanta leżała obok mnie, otulając mnie swoim ciepłem. Na naszej intymnej wyspie spokoju czułem się bezpieczny od trosk, które ostatnio mnie nękały. Wiedziałem, że tuż za krawędzią łóżka czyha na mnie stado kobiecych wizerunków gotowych rzucić się na moją świadomość i rozedrzeć mój umysł. Chciałem jak najdłużej pozostać w tym miejscu, przywiązany do masztu.

Odwróciłem się od świata i patrzyłem, jak Samanta oddycha. Zastanawiałem się, jakie wizje otaczają ją za parawanem snu. Jej długie ciemne włosy przykrywały i otaczały poduszkę, układając się w szalone wzory. Kąciki zamkniętych ust wyginały się pod dziwnymi kątami, tak że nie wiedziałem, czy się uśmiecha, czy jest zaskoczona. Jej powieki lekko trzepotały, a żyłka na szyi pulsowała. Widziałem także zmarszczki wokół oczu i ust, zdradzające jej wiek. Leżące ukośnie koce przykrywały jej ciało, odsłaniając prawą pierś, a gdy tak na nią patrzyłem, dotarło do mnie, że stanowiłaby idealny temat portretu. Zastanawiałem się, czy na którymś z portretów, na których uwieczniłem ją, gdy byliśmy młodszy, udało mi się uchwycić jej istotę, czy raczej, idąc tropem słów Sabotta, przedstawiłem na nich tylko część siebie.

Leżałem w łóżku, na zmianę zanurzając się we wspomnieniach z mojego związku z Samantą i ulegając chwilowym napadom niepewności, gdy jej śpiąca postać kpiła z mojego przeświadczenia, że cokolwiek o niej wiem. Próbując ominąć kłopotliwą połówkę tego równania, skupiłem się na miłym gościu, jakim było przyprowadzenie Emmy do mojej pracowni, i uśmiechnąłem się, wspominając, jak nieudolnie poradziłem sobie z odzwierciedleniem wyglądu dziewczyny. Nagle w mojej głowie w cudowny sposób pojawiła się myśl, która nie skupiała się na mnie.

Ubrałem się i wyszedłem z domu, tak pośpiesznie, że zapomniałem parasola, więc zanim dotarłem do Broadwayu, byłem kompletnie przemoczony. Jak to się często zdarza podczas ulewy, ulice pokryły się błotem. Gdy musiałem opuścić bezpieczny chodnik i przejść na drugą stronę alei, zapadłem się po kostki. Błoto prawie wessało mój but, ale i tak poradziłem sobie lepiej niż głęboko zakopane auto, które zobaczyłem przecnicę dalej, bezsilnie kręcące kołami, spod których tryskał gejzer brązowej mazi. Konie były górą nad swoimi mechanicznymi rywałami, ale nawet one poruszały się ślimaczym tempem.

Gdy dotarłem do sklepu W. & J. Sloane, schowałem się pod kamiennym nawisem bramy, zyskując chwilę oddechu od ulewy. Wiał tak lodowaty wiatr, że dziwiłem się, że z nieba nie sypie śnieg. Moje rękawiczki nie miały podszewki, więc bardzo marzły mi dłonie. Zdjąłem kapelusz i przechyliłem go, pozwalając wodzie ściekać z ronda. Potem, stojąc w bezruchu, przyjrzałem się pustej niedzielnej ulicy, próbując sobie przypomnieć, czy koleżanka Samanty wspominała, w którą stronę ruszyła po wyjściu ze sklepu z tkaninami. Minąłem już parę uliczek odchodzących od Broadwayu, ale postanowiłem, że przejdę jeszcze kilka przecnic w kierunku śródmieścia, a potem spenetruję każdą z odnóg w drodze powrotnej.

Dopiero wtedy pomyślałem, że warto byłoby zajrzeć do gazet i sprawdzić, czy w ciągu ostatnich dni zaginęła jakaś kobieta. Możliwe, że biedaczka, którą widziała Emma, była jedną z ofiar odkrytą już przez Sillsa i jego ludzi. Jako że Emma nie podała dokładnej daty tego wydarzenia, nie byłem pewien, jak dawno temu widziała płaczącą kobietę.

Tuż obok sklepu, patrząc w stronę śródmieścia, znajdował się kościół. Jego wrota stały otworem, ale sprawiał wrażenie równie pustego jak domy handlowe. Mijałem domy mieszkalne i sklepy, ale tutejsze budynki stykały się ścianami, nie pozostawiając miejsca na uliczki. To samo dotyczyło kolejnych kilku przecnic w kierunku południowym, więc zawróciłem i ruszyłem w stronę domu.

Byłem nieustraszonym detektywem, gdy szedłem Broadwayem, ale kiedy dotarłem do pierwszej bocznej uliczki i zerknąłem w brudną ciemność, od razu opuściła mnie odwaga. Zdałem sobie sprawę, że ostatnią rzeczą, której pragnę, jest odkrycie ciała z oczami broczącymi krwią. Jak już wspominałem, oczy są dla mnie święte. Jako że istotą mojej pracy i sztuki jest manipulowanie światłem na płótnie, nazwanie wzroku nieodzownym byłoby

grubym niedopowiedzeniem. Robi mi się słabo na samą myśl o jęczmieniu, więc teraz, gdy skradałem się przez mokre cienie, szukając czegoś tak przerażającego, trzęsły mi się dłonie, a twarz ociekała potem zmieszany z kroplami deszczu.

Uliczka przywodziła na myśl dawny Nowy Jork, w którym ludzie wyrzucali śmieci na ulicę, żeby grzebały w nich świnie. Zaledwie kilka metrów od wejścia do ceglanego kanionu natrafiłem na warstwę odpadków i wyrzuconych gazet. Na mojej drodze stało kilka roztrzaskanych beczek i pustych skrzyń, ale dotarłem do końca, gdzie wznosiło się drewniane ogrodzenie, i odetchnąłem z ulgą, gdyż nie znalazłem żadnego trupa. Zagłębiłem się ostrożnie jeszcze w dwa takie ponure przejścia i w ostatnim z nich odkryłem zagłodzonego starego kundla, który ukrywał się w przewróconej beczce. Zwierzę ledwie drgnęło, kiedy je ominąłem, brnąc przez nieczystości.

Kiedy wróciłem na chodnik, poczułem przemożną ulgę oraz dumę, że zadałem sobie trud poszukiwań pomimo niesprzyjającej pogody. Zwróciłem się w stronę Trzydziestej Pierwszej Ulicy i swojego domu, a wtedy mój wzrok zbłądził na przeciwległą stronę alei, gdzie zauważyłem wlot kolejnej uliczki. Czy to możliwe, że Emma wracała do domu drugą stroną Broadwayu? Pokręciłem głową i zrobiłem kilka kroków, po czym zawróciłem i znów popatrzyłem na boczną uliczkę. Zakląłem siarczyście i zszedłem na błotnisty Broadway.

Ściana po jednej stronie uliczki należała do sklepu tytoniowego, więc stały pod nią spiętrzone skrzynie, z których wydobywała się aromatyczna woń ich niedawnej zawartości, oraz leżało sporo zgniłych liści, powiązanych w pęki oraz rozsypanych luzem. Od tego zapachu zachciało mi się papierosa, więc zatrzymałem się w połowie długości uliczki, żeby zapalić.

Dodało mi to otuchy i ruszyłem dalej. Zbliżyłem się do końca i już miałem zawrócić, gdy nagle zauważyłem but; sznurowany kobiecy but do kostki. Potem coś się poruszyło, jakby zadrżała ziemia. W końcu usłyszałem piski, które zagłuszały szum wiatru i echo bębnienia deszczu. Przyjrzałem się uważniej i zauważyłem nie mniej niż setkę szczurów, które coś pokrywały, niczym śliski, żywy koc z cieni. Jęknąłem, a papieros wypadł mi z ust. Słyszając ten ostry dźwięk, brudne stworzenia rozbiegły się i odsłoniły ofiarę. Krew zakrzepła i na twarzy zamiast oczu widniały dwa olbrzymie strupy. Trudno było stwierdzić, że ubranie kiedyś było białe, tak bardzo nasiąkło

ceglanym kolorem zaschniętej krwi. Z ledwością powstrzymałem wymioty. Odwróciłem się, walcząc z ogarniającym mnie paralizem, po czym zmusiłem się do postawienia kolejnych kroków.

Gdy dotarłem do głównej ulicy i wreszcie wyszedłem na chodnik, niemal zderzył się ze mną przechodzień. Poruszałem się niemrawo i mężczyzna zatrzymał się w ostatniej chwili.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział, po czym mnie ominął.

Nic nie odpowiedziałem, ale rzuciłem na niego okiem. Dopiero później, kiedy jak nieprzytomny dotarłem do knajpki Crenshawów i skorzystałem z ich telefonu, żeby wezwać policję, zdałem sobie sprawę, że człowiekiem, z którym omal się nie zderzyłem, był Albert Pinkham Ryder. Zaczynałem czuć się tak, jak pani Charbuque, gdy po raz pierwszy uwierzyła, że przemówiły do niej Bliźnięta – jak osoba wybrana przez Boga.

Kiedy wróciłem do domu, Samanta wciąż spała. Nie budziłem jej, tylko zmieniłem mokre ubranie i poszedłem prosto do swojej pracowni. Wziąłem paletę i pędzel, po czym zacząłem zapełniać płótno, które przygotowałem poprzedniego ranka. Pracowałem jak w amoku i ledwie zdawałem sobie sprawę z tego, że maluję kobietę. Pozwoliłem, żeby farba i uczucie towarzyszące jej nakładaniu dyktowały cechy postaci. Inspirowałem się kolorami, które wybierałem bez namysłu, a obraz sam kierował procesem twórczym.

Późnym popołudniem poczułem, jak Samanta obejmuje mnie od tyłu. Dopiero wtedy zorientowałem się, co namalowałem: portret siedzącej nieznanym kobiecie o długich jasnych włosach, ubranej w szlafrok w kolorze ftalicyjaninowej zieleni, ozdobiony delikatnym wzorem oddanym w kadmowej żółci. Uśmiechała się równie figlarnie i tajemniczo jak Gioconda Leonarda, ale jej oczy były fontannami wszechobecnej czerwieni rozlewającej się milionem kropeł, bardziej obficie niż ulewa za oknem.

– Powiedz mi, Piambo – wyszeptała Samanta. – Wysłucham cię.

Moje oczy wypełniły się łzami, gdy opowiadałem, co mnie spotkało po wyjściu od Shenza, co obiecałem Johnowi Sillsowi i co odkryłem tego ranka. Podczas opowieści uniosłem nóż do palet i zdrapałem całą farbę z płótna.

WILK

– Pewnego wieczoru pod koniec zimy, gdy byłam z ojcem w zmrożonym laboratorium, zapytał mnie, skąd wiedziałam, gdzie znaleźć trupa. Chociaż ulegał ułudzie swojej profesji, poza tym był uczciwym człowiekiem, więc nie potrafiłam go okłamywać. Wystarczyło, że zmrużył prawe oko i uśmiechnął się lewym kącikiem ust, a prawda wychodziła na jaw. Wyznałam, że identyczne płatki śniegu obdarzyły mnie dziwną mocą, zdolnością widzenia rzeczy, których nie powinnam widzieć. Po tylu latach nie pamiętam, jak dokładnie opisałam mu to zjawisko, ale byłam inteligentnym dzieckiem, więc mnie zrozumiał. Wiedziałałam, że mnie nie wyśmieje, jak zrobiłby każdy zdrowy na umyśle rodzic, jednak obawiałam się, że rozgniewa się na mnie, ponieważ zwracam uwagę otoczenia na Bliźnięta. Ostatecznie tylko z powagą pokiwał głową i lekko dotknął mojego czoła.

Nazwał to drugim wzrokiem i powiedział, że chociaż muszę zachowywać istnienie Bliźniąt w tajemnicy, jednocześnie powinnam rozwijać ten talent, aby pomagać innym i sobie. Potem powiedział: „Ossiak wkrótce nie będzie mógł płacić za moje badania, więc warto, żebyś zaczęła się przygotowywać do samodzielnego życia”. Pokiwałam głową, chociaż nie miałam pojęcia, o czym mówi.

Kazał mi przynieść lampy stojące na obrzeżach laboratorium. „Ustaw je na płytce, Lu”, poprosił. Gdy pobiegłam spełnić jego polecenie, wspiął się po drabinie na siedzisko mikroskopu. Wróciłam z dwiema lampami i umieściłam je po obu stronach płytki. „A teraz połóż się twarzą do góry, żebym mógł ci zajrzeć w oczy. Chcę sprawdzić, co się w tobie kryje”.

Zrobiłam to, o co mnie poprosił. Płytką była lodowata. Gdy moja głowa znalazła się pod olbrzymią soczewką, ojciec zawołał: „Kiedy opuszczę mikroskop, postaraj się jak najdłużej wstrzymać oddech, w przeciwnym razie soczewka zaparuje”. Usłyszałam, jak maszyna się obniża, jeden skok koła zębatego po drugim, i przez chwilę bałam się, że ojciec przez

roztargnienie zmiażdży mi twarz, zapominając, że dziś ogląda moją głowę, a nie tackę pełną płatków śniegu. Zatrzymał urządzenie zaledwie kilka centymetrów od mojej twarzy, a przynajmniej tak to zapamiętałam. „Wstrzymaj oddech”, przypomniał, a ja wciągnęłam powietrze do płuc. „Teraz otwórz oczy, najszerzej jak potrafisz”, polecił. Również go posłuchałam.

Starając się ignorować niewygodę związaną z nieoddychaniem, wsłuchiwałam się w szum wiatru. Nagle zobaczyłam, jak coś porusza się w soczewce, a po chwili obraz przybrał postać poziomej linii przypominającej olbrzymie usta pozbawione wyrazu – typowa mina mojej matki. Po chwili usta się rozchyliły i okazało się, że to powieki, zza których wyłoniło się oko o gigantycznych proporcjach. Czułam, jak jego spojrzenie mnie penetruje, drapie moją duszę, i wiedziałam, że widzi wszystkie moje tajemnice. Nie miałam wątpliwości, że czeka mnie niekończące się badanie przez wszechwiedzącego sędziego. Miałam ochotę krzyknąć ze strachu przed całkowitym obnażeniem, ale nie pozwoliłam sobie nawet na szept.

Moja twarz zapewne stała się błękitna, zanim soczewki zaczęły się podnosić. „Nabierz powietrza!”, zawołał ojciec, a ja usłyszałam jego kroki na szczeblach drabiny. Usłuchałam go i po chwili poczułam, że bierze mnie za rękę i wyciąga spod maszyny. Uklęknął na zmrożonej podłodze i mocno mnie przytulił. „Widziałem”, powiedział. „Widziałem wszystko”. Rozpłakałam się, a on pogłaskał mnie po plecach. Próbowałam zarzucić mu rękę na szyję, ale delikatnie mnie odsunął i przytrzymał za ramiona, patrząc mi prosto w oczy. „Zobaczyłem w tobie wszechświat. Milion gwiazd, a w samym środku gwiazdę złożoną z gwiazd, która świeciła czystym blaskiem – ślad Wszechmogącego”.

Oczywiście, jako naukowiec musiał sprawdzić otrzymane wyniki, dlatego poprosił, żebym skupiła się na głosie Bliźniąt i zapamiętała, co mi ukażą. Mogłam tylko przytaknąć. Byłam oszołomiona myślą, że Bóg nie tylko na mnie patrzy – właśnie na mnie – ale także kryje się w moim wnętrzu w postaci wirującego gwieździstego wszechświata. Do końca dnia tylko siedziałam na zniszczonej kanapie w głębi pracowni ojca i wyglądałam przez okno. Później, kiedy matka zawołała nas na kolację, poczułam gorący dotyk medalionu na piersi i łaskotanie łańcuszka na szyi oraz usłyszałam dwa identyczne głosy. Ich słowa zmieniły się w obraz w moim umyśle. Między drzewami na brzegu jeziora zobaczyłam dużego ciemnego wilka toczącego

ślinę z pyska i błyskającego jaskrawożółtymi oczami.

„Wilk!”, wrzasnęłam i w tej chwili zorientowałam się, że wyglądam przez okno i w półmroku rzeczywiście widzę jakiś ciemniejszy cień chowający się w lesie na skraju naszego domostwa. Ojciec okręcił się na krześle. „Gdzie?”, spytał. „Bliźnięta mi pokazały”, odpowiedziałam. „Nadchodzi”. Wtedy moja matka pojawiła się w drzwiach pracowni i oznajmiła, że kolacja stygnie na stole. Gdy tylko wróciliśmy do kuchni, ojciec pokiwał głową, dając mi znak, że zrozumiał, po czym przyłożył palec do ust.

Po tym incydencie w pracowni wielokrotnie widywałam wilka oczami wyobraźni i, prawdę mówiąc, nadal go widuję, gdy czai się na skraju mojej świadomości. Od tamtej pory bałam się bawić w lesie. Podczas zabawy trzymałam się blisko domu i jednym uchem nasłuchiwałam, czy wilk się nie zbliża. Minęły dwa dni i się nie pojawił, ale ojciec na wszelki wypadek trzymał pod ręką naładowaną strzelbę. Myślałam, że nie zamierza o niczym mówić matce, ale chyba bał się o jej bezpieczeństwo, ponieważ drugiego dnia podczas kolacji ostrzegł ją, żeby uważała na wilki. „Jest na nie sezon”, powiedział. „Jest na nie sezon”. Matka roześmiała się kpiąco. „Jaki sezon? Nie widzieliśmy tutaj wilka od czterech lat”, odparła, ale od tamtej pory była lekko podenerwowana.

Trzeciego wieczoru, licząc od mojej tak zwanej wizji, nasza niewielka rodzina siedziała w salonie, czytając w świetle lamp. Pamiętam, że zimą tamtego roku czytałam zbiór baśni, który ojciec kupił dla mnie w Nowym Jorku poprzedniego lata. Gdy zbliżała się pora, o której powinnam się położyć, usłyszałam hałas przed domem. Coś poruszało się na zaskorupionym śniegu. Wstałam z podłogi, a ojciec podniósł się ze swojego krzesła. Przyniósł strzelbę z pracowni. „Odłóż to”, zganiała go matka. „Jeszcze zrobisz komuś krzywdę”. Zignorował ją i wsunął stopy w niezasnurowane buty. Matka dosłownie zerwała się z krzesła i zagroziła mu drogę do drzwi. Byłam zaskoczona jej postępowaniem oraz emocjami, które je spowodowały, a także bałam się tego, co mogło czekać za drzwiami. Ojciec delikatnie odsunął ją na bok, po czym otworzył rygiel.

Czekałam na niego cała w nerwach. Spodziewałam się, że usłyszę ryk albo wystrzał, ale tak się nie stało. Gdy wreszcie wrócił do domu, był bardzo milczący, tak jak w swoim gabinecie, gdy rozważał tajemnice kryształków śniegu. „Widziałeś wilka?”, spytałam, gdy odniósł strzelbę i usiadł na swoim

krześle. „Tylko ślady”, odrzekł. „To duży okaz”. Rodzice odesłali mnie do łóżka. Następnego dnia przeszukałam okolice domu, wypatrując odcisków łap drapieżnika. W nocy nie padało ani nie wiało, więc powinny się zachować. Jednakże znalazłam tylko ślady butów.

Następnego dnia, gdy siedziałam na kanapie w pracowni ojca, on odwrócił się w moją stronę i rzekł: „Lu, zapytaj matki, czy ma trochę sznurka. Muszę powiązać te stare notatki, żeby je schować”. Poszłam spełnić jego prośbę, najpierw zaglądając do kuchni, a potem do sypialni. Wyglądało na to, że matki nie ma w domu. Włożyłam buty i płaszcz, po czym wyszłam na podwórze, żeby sprawdzić, czy nie udała się po wodę albo do wychodka. Był bezchmurny dzień, a nieco wyższa temperatura zapowiadała, że być może niedługo przyjdzie wiosna. Nie znalazłam matki w żadnym z miejsc, w których zazwyczaj przebywała, więc poszłam do blaszanej szopy, w której znajdował się mikroskop. Tam również jej nie zastałam. Na tyłach budynku zobaczyłam sznur do połowy obwieszony praniem; druga połowa ubrań wciąż spoczywała w wiklinowym koszu. Gdy się zbliżyłam, znalazłam ślady matki prowadzące do lasu. Wtedy wilk wdarł się do mojego umysłu i z wrzaskiem popędziłam do domu.

Ojciec znów zabrał strzelbę. Kazał mi zostać w domu i zaryglować drzwi. Patrzyłam przez okno jego pracowni, jak brnie poprzez śnieg pod błękitnym niebem w stronę linii drzew. Czekanie strasznie mi się dłużyło i miałam ochotę zerwać medalion z szyi i odrzucić go jak najdalej. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że tajemnica Bliźniąt bardziej przypomina przekleństwo niż błogosławieństwo. Gdybym tylko posłuchała intuicji. Nie wiem, ile czasu minęło: dziesięć minut, pół godziny, kilka godzin. W końcu niepokój stał się nie do zniesienia i odryglowałam drzwi w salonie. Wyszłam na zewnątrz i wtedy w oddali usłyszałam, niczym szept Bliźniąt, wrzask mojej matki oraz huk strzelby. Zrobiłam dwa kroki w stronę lasu, a wtedy strzelba odezwała się powtórnie.

Natknęłam się na ojca kilka metrów od linii drzew. Szedł powoli, jakby ogarnęło go potworne znużenie. „Gdzie matka?”, spytałam. Wydawało się, że jest oszołomiony, a jego twarz straszliwie pobladła. Pokręcił głową.

„Zabrał ją wilk, a ja go zastrzeliłem”. Zrozumiałam, że zginęła, i zaczęłam płakać. Gdy się objęliśmy, ojciec także zapłakał. W tamtej chwili rozpoczął się jego fizyczny i umysłowy upadek. Co ciekawe, zbiegło się to w czasie z kłopotami i ostateczną ruiną imperium Malcolma Ossiaka.

Bliźniacze tragedie.

– Czy odnaleziono ciało pani matki? – spytałem, a gdy zerknąłem na kartkę, zobaczyłem, że zamiast kobiety naszkicowałem wilka.

– Nie, panie Piambo, podobnie jak ciała wilka. Jednak, kiedy na wiosnę pakowaliśmy swoje rzeczy przed zejściem z gór i powrotem do miasta, w pudełku schowanym w kącie laboratorium odkryłam kapelusz o szerokim rondzie oraz futrzany płaszcz uszyty ze skóry jakiegoś zwierzęcia.

Miałem ochotę zadać pani Charbuque oczywiste pytanie, ale przerwała mi, zanim zdążyłem wypowiedzieć pierwsze słowo.

– A tak przy okazji, panie Piambo, co pan robił w mieście podczas tej paskudnej niedzielnej ulewy?

Jej pytanie na chwilę wytrąciło mnie z równowagi.

– Skąd pani wie, że spacerowałem w deszczu? – odparłem, gdy już doszedłem do siebie.

– Cóż, widziałam pana na Broadwayu. Tylko przez chwilę, z okna powozu. O ile się nie mylę, stał pan z tym specjalistą od morskich pejzaży, Ryderem.

– Widziała mnie pani? – spytałem.

– Jak najbardziej. W zeszłym tygodniu siedział pan w Delmonicos i pił wino ze swoją przyjaciółką, panną Rying. Siedziałam przy sąsiednim stoliku.

– Zaśmiała się krótko, jakby rozbawiło ją to wspomnienie.

Jej wyznanie mnie oszołomiło i próbowałem wrócić pamięcią do tamtego wieczora, podczas gdy w moim umyśle zmagaly się ze sobą poczucie zdrady oraz gniew. Gdy przypomniałem sobie swoje otoczenie w restauracji, zobaczyłem suknie i garnitury, dym z cygar, delikatną porcelanę, srebro i kryształ, ale wszyscy, nawet kelnerzy, byli pozbawieni twarzy. Nagle otworzyły się drzwi i pojawił się Watkin. W ciszy zabrałem swoje rzeczy drżącymi rękami, po czym wyszedłem.

PODARUNEK OD DZIECKA

W tramwaju jadącym do śródmieścia wreszcie zapanowałem nad emocjami i zastanowiłem się, czy mam prawo czuć się zdradzony przez panią Charbuque. Grała ze mną w kotka i myszkę i wiedziałem, że malując jej wizerunek, będę musiał jakoś oddać tę nutkę sadyzmu, ale czy to naprawdę istotne dla naszej umowy, że moja klientka mnie szpieguje? Czy suma, którą mi zaproponowała, uprawnia ją do poznania każdego szczegółu z mojego życia? Zrozumiałem, że najbardziej mnie dotknęło to, że ona swobodnie krąży po świecie, jak złośliwy dzinn uwolniony z wysadzanej klejnotami lampy, która dawno temu należała do jakiegoś sułtana. Dopóki wiedziałem, że jest ukryta za parawanem w tym cichym pokoju, zagadka, chociaż frustrująca, znajdowała się pod moją kontrolą i mogłem się z nią mierzyć na własnych warunkach. Była jak bohaterka książki albo postać z mitologii, a ja pełniłem rolę ilustratora. Ale teraz okazało się, że wędruje po świecie, co oznaczało, że jest osobą z krwi i kości, a ja nie mogłem ustalić miejsca jej pobytu. Mogła być każdym, kobietą siedzącą tuż obok, młodą dziewczyną mijającą mnie na ulicy. Nie mogłem nawet wykluczyć, że używa przebrania, więc równie dobrze mogła podszywać się pod konduktora w tramwaju. Wielokrotnie oglądałem Samantę na scenie, wiedziałem więc, że kobiety potrafią przekonująco odgrywać mężczyzn i odwrotnie. Zatem mogła być każdym. Czułem mrowienie skóry na głowie, gdy oplatały mnie macki paranoi rozrastające się w moim wnętrzu i wszędzie wokół. Czułem je na karku, w żołądku, z każdym uderzeniem serca, aż w końcu wpadłem w gęstą sieć spojrzeń. Niewątpliwie byłem obserwowany.

Przyglądałem się twarzom współpasażerów, wypatrując u kobiet i mężczyzn charakterystycznych znaków, po których mógłbym rozpoznać swoją klientkę. Mimo że do mojego przystanku było jeszcze daleko, wysiadłem z tramwaju i ruszyłem chodnikiem, aby uciec przed klaustrofobicznym uczuciem, które odbierało mi oddech. Na otwartym

powietrzu nie czułem się jak okaz na wystawie i miałem chociaż iluzję wolności. Jakaś nieznamyma kobieta wychodząca z pasmanterii uśmiechnęła się do mnie przelotnie i skinęła głową. Dlaczego? Gdy zmarszczyłem czoło z niezadowoleniem, szybko się odwróciła. Gdziekolwiek zwracałem wzrok, widziałem czyjeś wpatrzone we mnie oczy, a ciężar tych spojrzeń w końcu mnie zatrzymał. Tłum przepływał wokół mnie jak strumień wokół dużego kamienia, a ja obracałem się, starając się śledzić wszystkich, którzy na mnie patrzyli. Żeby się uspokoić, zamknąłem oczy, a wtedy za zasłoną powiek ogarnęło mnie poczucie, że obserwuje mnie cała tętniąca życiem metropolia.

Gdy odzyskałem równowagę na tyle, by znów otworzyć oczy, zobaczyłem przed sobą sześć- albo siedmioletniego chłopca ubranego w czapkę i obdarty płaszcz. Okrągłe policzki miał zaczerwienione od zimna, a jego uśmiech zdradzał brak co najmniej trzech zębów. Początkowo pomyślałem, że prosi mnie o pieniądze, ponieważ wyciągał w moją stronę dłoń. Dopiero kiedy szukałem w kieszeni drobnych, zorientowałem się, że podaje mi kartkę.

– Zapłacono mi – powiedział, po czym wepchnął mi do ręki kwadratową karteczkę.

– Co to wyprawiasz? – spytałem. – Co to jest?

Zanim zdołałem dokończyć to drugie pytanie, biegiem zanurzył się w wirze przechodniów. Obróciłem się, żeby za nim popatrzeć, ale już po chwili zniknął w tłumie. Zdałem sobie sprawę, że robię z siebie widowisko i blokuje ruch na chodniku. Szybko ruszyłem przed siebie. Dopiero kiedy dotarłem na samotną i bezpieczną ławkę w parku Madison Square, przyjrzałem się podarunkowi od dziecka. Obróciłem w dłoniach biały prostokąt i zauważyłem zapisane piórem słowa nakreślone rozpaczliwym charakterem pisma. Zrozumiałem ich znaczenie dopiero po minucie wpatrywania się w kartkę.

Po co spotyka się Pan z moją żoną?

Charbuque

Szybko obejrzałem się przez ramię i omiotłem wzrokiem park. Potem ponownie spojrzałem na wiadomość, próbując zobaczyć ją w nowym świetle, ale słowa nadal brzmiały jak groźba. Wstałem, wsunąłem kartkę do kieszeni płaszcza, po czym ruszyłem w stronę chodnika. Zatrzymałem pierwszą

dorożkę i pojechałem prosto do domu. Tam zamknąłem drzwi na klucz i sprawdziłem każdy z pokoi.

Siedząc w pracowni, rozmyślałem o wydarzeniach tego dnia. Było dla mnie coraz bardziej jasne, że pani Charbuque w subtelny sposób stara się wyprowadzić mnie z równowagi. Jakże zręcznie dała mi do zrozumienia, że wie o każdym moim ruchu. Płaci za portret czy za możliwość zabawy?

Teraz znikąd pojawił się jej mąż, by wpleść kolejną nić do tego wzoru. Nie byłbym zaskoczony, gdyby okazało się, że to ona napisała tę wiadomość i poprosiła Watkina, by przekazał ją jakiemuś ulicznemu urwisowi. Zapewne chciała, żebym spytał ją o męża. Może było tak, jak podejrzewałem: szukała okazji do opowiedzenia o swoim życiu, a nasze spotkania pełniły rolę pokrewną spowiedzi. Byłem oszołomiony dziwną naturą tej szarady.

Postanowiłem, że nie pozwolę ze sobą igrzać. W końcu zapytam o jej męża, ale nie wtedy, gdy ona tego zażąda. Skoro pani Charbuque nie grała uczciwie, ja również nie widziałem takiej potrzeby. Potrzebowałem systematycznego planu ataku, pewniejszego sposobu na poznanie jej wyglądu niż poprzez wysłuchiwanie wątpliwej autobiografii. Ponadto zamierzałem subtelnie sugerować podczas naszych codziennych rozmów, że wiem o niej więcej niż przypuszcza. Na razie chciałem w tym celu wykorzystać strzępki informacji otrzymanych od Borne'a, resztę mogłem sfabrykować. Przede wszystkim zależało mi na tym, żeby zachwiać jej pewnością siebie, tak jak ona postąpiła ze mną.

Popołudniowe napięcie dawało mi się we znaki, ale starałem się przewyciężyć ten stan i zabrać do pracy. Na dużym arkuszu zakrywającym całą deskę kreślarską zacząłem tworzyć niewielkie szkice przedstawiające wszystkie postacie i miejsca, które jak dotąd pojawiły się w opowieści.

Chciałem stłoczyć je wszystkie na jednej powierzchni, żeby móc równocześnie ogarnąć je wzrokiem. Dom na szczycie góry, mikroskop, twarz matki, ojciec, tropiciel, który najwyraźniej szukał nie tylko zwłok. Narysowałem także wilka oraz medalion na łańcuszku, książkę z baśniami otwartą na rysunku lampy Aladyna, a także męską dłoń, wyłaniającą się z boku ilustracji i podającą karteczkę z zapisaną wiadomością. Przestrzenie pomiędzy szkicami wypełniłem sześcioramiennymi kryształkami śniegu, z których każdy był inny. Może Bóg jest omylny, ale nie Piambo.

Pracowałem pośpiesznie, wykorzystując zapas energii, który ujawnił się dopiero, gdy sięgnąłem po ołówek. Kiedy w końcu wstałem i odsunąłem się

od arkusza, zobaczyłem na nim wszystko, o czym opowiadała mi pani Charbuque. Podobnie jak na dawnych obrazach przedstawiających żywoty świętych, gdzie każdy pobożny czyn znajduje się na tej samej płaszczyźnie, zupełnie jakby czas stanął w miejscu, umożliwiając jednoczesne oglądanie całej historii, także na moim szkicu pojawiło się wszystko, od zniszczonej kanapy w gabinecie po morderstwo pani Londell i jej kochanka dokonane przez skrzywionego psychicznie kryształologistę między samotnymi sosnami.

Nieświadomie rozmieściłem poszczególne elementy tej historii na planie dużego okręgu. Uśmiechnąłem się z satysfakcją, widząc niezaplanowaną idealną równowagę swojego dzieła. Kiedy już sobie pogratulowałem, zauważyłem, że w samym środku rysunku znajduje się mniejszy krąg nieskazitelnej bieli, wokół którego wszystko się obraca. Oczywiście powinien się tam znaleźć portret małej Luciere Londell. Ta pustka wpatrywała się we mnie.

Byłem zbyt znużony, żeby jak zwykle uzalać się nad sobą. Na razie wystarczyła mi świadomość, że zrobiłem coś w kierunku realizacji zamówienia i pozostawiłem jakieś znaki na papierze. Odłożyłem ołówek i udałem się do sypialni.

Zdjąłem buty i właśnie miałem się rozebrać, gdy usłyszałem hałas dobiegający sprzed domu, jakby ktoś chodził po kamieniach tuż pod moim oknem. Strach, który czułem wcześniej, natychmiast powrócił i znieruchomiałem, tak intensywnie nasłuchując, że czułem, jak poruszają mi się uszy. Przez chwilę poważnie rozważałem ukrycie się pod łóżkiem, ale w końcu ogarniającą mnie paranoję przyćmiło silniejsze uczucie gniewu.

– Co za absurd – powiedziałem, po czym dopadłem do okna. Gwałtownie odsunąłem zasłonę, za którą znajdował się portal wypełniony nocą. Nie zdawałem sobie sprawy, że tyle czasu spędziłem przy desce kreślarskiej. Ciemność nieco mnie pohamowała, ale zebrałem się na odwagę, odryglowałem okno i pchnąłem je na oścież.

Podmuch zimnego nocnego powietrza owionął mnie i uniósł zasłony.

– Kto tam jest? – spytałem ostro.

– Ciii – usłyszałem w odpowiedzi. – Piambo, to ja.

Od razu rozpoznałem głos Shenza.

– Shenz, na Boga, co ty tutaj robisz?

– Ciii, nie hałasuj, Piambo. Mów szeptem. Jesteśmy tutaj, ponieważ nie

chcemy, żeby ktokolwiek zobaczył nas przed twoimi drzwiami.

– Kto z tobą jest? – spytałem, ścisząc głos.

Moje oczy zdążyły już przyzwyczaić się do ciemności i zobaczyłem, jak Shenz podchodzi do okna. W świetle wydostającym się z sypialni dostrzegłem jego twarz dokładnie pode mną. Z cieni powoli wyłoniła się druga postać, potężna kobieta w czarnym płaszczu i kwiecistej chustce na głowie. Zmrużyłem oczy, żeby lepiej się jej przyjrzeć, i stwierdziłem, że to chyba najbrzydsza dama, jaką widziałem. Jej twarz miała grubo ciosane, prymitywne rysy, a gdy popatrzyłem uważniej, zauważyłem kilkudniowy zarost oraz wąsy.

– Dobry wieczór – odezwała się grubym głosem.

Nic nie odpowiedziałem, ale nieco się cofnąłem.

– Piambo, oto nasza przepustka do magazynu Ossiaka – rzekł Shenz, wskazując kobietę.

– Mówiłeś, że nasz ślusarz to mężczyzna – odparłem.

Shenz cicho się zaśmiał, a jego towarzyszka się uśmiechnęła.

– Jest w przebraniu – wyjaśnił mój przyjaciel. – Przywitaj się z panem Wolfe'em.

UPOMNIENIE

Była zimna, bezksiężycowa noc, a w powietrzu unosiła się delikatna mgła tworząca aureole wokół latarni. Shenx i ja maszerowaliśmy po obu stronach pana Wolfe'a. Przeszliśmy pieszo spory kawałek w stronę śródmieścia, aż dotarliśmy do dwukołowej dorożki, która czekała na nas przy krawężniku na Siedemnastej Ulicy. Wsiadliśmy, a woźnica bez słowa pogał konie. W kabinie znaleźliśmy dwie olejne lampy i dwa łomy.

Do tej pory żaden z nas się nie odzywał, jednak byłem tak zdenerwowany, że już dłużej nie mogłem się powstrzymać.

– Czy ma pan swój pęk wytrychów, panie Wolfe?

Shenz, który siedział obok mnie, dźgnął mnie łokciem w żebra. Obejrzałem się, a on pokręcił głową, w milczeniu karcąc mnie za to, że się odezwałem.

– Nie ma żadnego pęku wytrychów – odrzekł Wolfe. – To ja nim jestem. – Podniósł dłoń zwróconą knykciami do zewnątrz. Była pękata i okrągła, z palcami jak serdelki, ale z ich końców wyrastały niezwykle długie paznokcie, które dokładnie spiłowano po bokach. Na końcach paznokci palców małego i serdecznego wycięto ząbkowany wzór, paznokieć kciuka wyposażono w kilkucentymetrową szpilkę do kapelusza, a palce wskazujący i środkowy zdobyły wypustki, które zapewne pasowały do przegrody zamka.

Wolfe zacisnął pięść, pozostawiając wyprostowany kciuk.

– Ten nazywam Upomnieniem – powiedział, poprawiając chustkę drugą ręką. Szybko na nią zerknąłem, żeby sprawdzić, czy jej paznokcie także zmieniono w wytrychy, ale z tego, co zdołałem zauważyć, były krótkie i normalnie przycięte. – Kiedyś wepchnąłem tę ślicznotkę pewnemu facetowi do nosa i połaskotałem go po mózgu. Nie zaśmiał się, w odróżnieniu ode mnie. Więcej już nie sprawiał mi kłopotów. Słyszałem, że zaczął odmawiać posiłków, wychudł na szkielet i zajął się liczeniem gwiazd. – Wolfe błyskawicznie cofnął dłoń i polizał czubek Upomnienia. – Wciąż czuję smak

tamtego pierwszego pocałunku – rzekł i ryknął śmiechem.

– Panuj nad sobą, Wolfe – rzucił Shenz.

– Przepraszam, proszę pana – odparł Wolfe i opadł na siedzenie jak zbesztane dziecko.

Wysiedliśmy z dorożki, zabierając łomy i lampy. Pokonaliśmy pieszo kolejne dwie przecznice, kierując się na południe do Fulton, aż wreszcie dotarliśmy do magazynu oznaczonego białym okręgiem. Tak jak przewidywał Borne, znak wyblakł, ale wciąż był czytelny. Ceglany budynek składał się z jednej wysokiej kondygnacji i od frontu miał dwa brudne okna. Na potężnych dębowych drzwiach wisiała bardzo zardzewiała kłódka.

Wolfe ledwie dotknął wiekowego zamknięcia, a już trzymał je w dłoni.

– Czasami te starsze wymagają więcej wysiłku – rzekł, otwierając pchnięciem drzwi.

Zawiasy zawyły żałośnie jak upiór, a my odczekaliśmy jeszcze pięć minut, rozglądając się po ulicy, i dopiero weszliśmy. Drzwi ponownie narobiły hałasu, gdy zamknąłem nas w ciemnym wnętrzu. Shenz zapalił zapalniczkę, a następnie obie lampy. Skrócił knoty, po czym podał mi jedną z lamp. W tym dziwnym blasku oświetlającym jego twarz mój przyjaciel wyglądał iście diabelsko. Pomimo lamp mogliśmy patrzeć tylko na niewielką odległość, ale kiedy zmrużyłem oczy, zorientowałem się, że otaczają nas rzędy półek zbudowanych z żelaznych rusztowań i desek.

– Sprawdźmy, co uda nam się znaleźć – rzekł Shenz.

Z wielką trwogą ruszyłem jednym z rzędów. Wolfe szedł tuż za mną i nie wiedziałem, czy bardziej niepokoi mnie panująca ciemność, czy to, że on kroczy za moimi plecami z łomem w dłoniach. Zatrzymałem się przy jednej z licznych skrzyń.

– Spróbujmy z tą – powiedziałem.

Wepchnąłem koniec łomu w obramowanie skrzyni i wykonałem jedno szybkie pchnięcie. Skrzynia otworzyła się z trzaskiem i jakiś duży szklany przedmiot wypadł na cementową posadzkę, rozbijając się na kawałki.

Wymieniliśmy spojrzenia z Wolfe'em, przy czym to ja bardziej się zmartwiłem. Przykucnąłem, żeby oświetlić lampą roztrzaskany przedmiot. Gdy to zrobiłem, duszący smród uniósł się z rozrzuconej zawartości szklanego naczynia, która okazała się częściowo płynna. Po chwili źródło woni stało się wyraźnie widoczne.

Umknąłem z tego rzędu półek, wiedząc, że znajdują się na nich zbiory

Borne'a, i zacząłem penetrować inny zakątek magazynu. Cały czas słyszałem, jak gdzieś w oddali Shenz otwiera i przeszukuje kolejne pudła.

– Czego szukasz? – spytał Wolfe, gdy wskazałem mu kolejną skrzynię.

– Nie jestem pewien – odparłem.

– Amatorzy – parsknął Wolfe, podając mi łom. Potem odwrócił się i zniknął w ciemności.

Samodzielnie otworzyłem kolejne trzy skrzynie, z których każda zawierała tysiące takich samych pasków papieru. Zapisano na nich słowa „tak” albo „nie”. Mogłem się tylko zastanawiać, cóż za banalna dziedzina paranormalnej sztuki wykorzystuje takie rekwizyty, i dziwić otchłaniom głupoty, na której Ossiak opierał losy swojej niezwyklej fortuny. Cała wyprawa do magazynu powoli zaczęła mi się wydawać bezcelowa, gdy nagle Shenz zawołał mnie podnieconym głosem, który bardziej przypominał syk niż szept.

Ruszyłem przez mroczny labirynt półek, niosąc przed sobą lampę, aż w końcu zobaczyłem podobne światło trzymane przez Shenza.

– Znalazłem – powiedział, gdy się zbliżyłem. Trzymał lampę obok skrzyni, na której wypisano woskowym ołówkiem nazwisko Londella. Po jej lewej stronie stały dwie kolejne.

– Mogę? – spytałem Shenza.

– Nie krępuj się – odparł.

Wbiłem łom i pchnąłem z całej siły. Dwie deski gwałtownie jęknęły, po czym wyskoczyły na podłogę. Przez powstały otwór wysypały się białe kryształki lśniące w blasku lampy i utworzyły niewielką wydmę u naszych stóp. Uklęknąłem i nabrałem na dłoń odrobinę tego dziwnego śniegu. Był całkowicie suchy.

– To zabezpieczone okazy pochodzące z badań jej ojca – powiedziałem Shenzowi, wkładając garść płatków do kieszeni płaszcza.

– Zupełnie jak pyłek wróżki – odrzekł. – Stary dziwak nie marnował czasu.

Wstałem i oderwałem pozostałe deski, żeby uzyskać lepszy dostęp do zawartości skrzyni. Oddałem Shenzowi łom, po czym jedną ręką wygarnąłem więcej zaschniętych kryształków na posadzkę. W stercie białego pyłu wyczułem jakieś twarde przedmioty. Pierwszym z nich była książka. Shenz odłożył łom i wziął ją ode mnie. Wytarł okładkę o płaszcz, żeby odczytać tytuł.

– *Cudowne opowieści z całego świata* – powiedział, po czym odwrócił tom, żebym i ja zobaczył.

Na okładce znajdowała się wytłoczona ilustracja przedstawiająca dżinna, który wyłaniał się głową do przodu ze strumienia dymu buchającego z lampy w kształcie łodzi.

Nic nie mówiłem, tylko patrzyłem z niedowierzaniem, aż w końcu Shenz zachęcił mnie do dalszych poszukiwań. Kolejnym obiektem, który odkryłem, była sterta papierów związanych sznurkiem. Kiedy na nie poświeciłem, okazało się, że są zielone i mają kształt liści. Na każdym z nich zapisano jakieś pytanie. „Czy Klementyna wyjdzie, zanim się rozpada?”. „Czy to dobrze?”. „Billy?”.

– A gdzie cholerne odpowiedzi? To ich szukam – burknął Shenz.

Ponownie sięgnąłem w głąb skrzyni, sprawdzając, czy jest tam coś bardziej konkretnego, a moja dłoń zacisnęła się na główce okrągłego kapelusza o szerokim rondzie.

– Jestem zawiedziony – stwierdził Shenz, widząc kapelusz, nie znał bowiem całej jego historii.

– A co z tym? – spytałem, wyciągając ciężkie futro, które cuchnęło jak boks w stajni.

– Ja to wezmę – odparł Wolfe, który nagle wyłonił się z ciemności za moimi plecami.

Podąłem mu futro, a on włożył je zamiast swojego płaszcza.

– Pasuje jak ulał – rzekł, pozując przed Shenzem.

Potem minął mnie i podniósł kapelusz. Zdjął chustkę i zastąpił ją nowym nakryciem głowy.

– Panowie, to najbardziej żenujące włamanie, w jakim uczestniczyłem. Słoiki z gównem, książka dla dzieci i skrzynie z łupieżem. Jestem bardzo rozczarowany.

– Jak my wszyscy – odparł Shenz.

Otworzyliśmy pozostałe dwie skrzynie oznaczone nazwiskiem Londella. W drugiej znajdował się tylko śnieg. Na dnie ostatniej pod stertą dziwnego sprzętu optycznego znalazłem stary dagerotyp. Na wyblakłym brązowym zdjęciu widniał parawan pani Charbuque stojący przed publicznością złożoną z ubranych w garnitury mężczyzn, z których część paliła albo popijała.

– To jej parawan – powiedziałem Shenzowi, wskazując płytkę.

– Co to za jedna? – spytał Wolfe. – Dziewczyna-pies?

– O czym ty mówisz, Wolfe? – spytałem niepewnie.

– Popatrz – rzekł, wskazując coś Upomnieniem. – Co na to powiesz?

Shenz i ja zmrużyliśmy oczy. Nagle zobaczyłem, o co chodziło Wolfe’owi. Przy prawej krawędzi parawanu, w połowie jego wysokości, czyjaś dłoń zaciskała się na obramowaniu, jakby chciała poprawić panel. Widać było także fragment przedramienia, jednak wydawało się, że żadna część tej kończyny nie należy do człowieka. Dłoń przypominała łapę, a resztę ręki pokrywało gęste ciemne futro.

– To nie małpa? – spytał Wolfe.

– To Sybilla – odparłem.

Jeszcze przez co najmniej godzinę szukaliśmy innych skrzyń podpisanych nazwiskiem Londella, ale udało nam się odkryć jedynie ukryty w mroku kolejny zbiór okazów Borne’a. Shenz był załamany, że nasza wyprawa nie przyniosła lepszych rezultatów, i powiedział mi o tym, gdy Wolfe ponownie umieszczał kłódkę na dębowych drzwiach.

– Bzdura – odparłem. – Dla mnie była bardzo cenna. Wszystko, co znaleźliśmy, potwierdza prawdziwość opowieści pani Charbuque.

– Tylko ta ręka – rzekł Shenz, wskazując na dagerotyp, którego krawędź wystawała spomiędzy kartek niesionej przeze mnie książki z baśniami.

Na razie nie byłem gotowy, żeby zastanawiać się nad tym kudłatym odkryciem, więc tylko pokiwałem głową, potwierdzając, że również jestem zaskoczony.

– Zbliża się ranek, panowie. Czas odejść – odezwał się Wolfe i szybkim krokiem ruszyliśmy w stronę miejsca, w którym wcześniej wysiedliśmy z dorożki.

W drodze na przedmieście Wolfe zdradził nam, że właśnie udaje się na spotkanie z żoną pewnego mężczyzny, który codziennie wychodzi do pracy dokładnie o piątej.

– Jak zwykle nie będzie śladów wtargnięcia z użyciem siły – rzekł. Zważywszy na to, że teraz miał na sobie futro i kapelusz tropiciela, powinienem był go ostrzec, że romanse czasami kończą się bajkową tragedią, ale nie miałem pojęcia, od czego zacząć. Tak głęboko zapadłem się w bagno tajemnic pani Charbuque, że sam coraz mniej z tego wszystkiego rozumiałem.

Złodziej wysiadł jako pierwszy, gdy dorożka zatrzymała się przed jednym z domów w West Village. Zanim opuścił kabinę, Shenz mu zapłacił.

Potem Wolfe uściskał nam dłonie i rzekł:

– Fatalni z was przestępcy, ale dobrzy kompani. Życzę wam wszystkich górien i płatków śniegu, o jakich tylko zamarzycie. Miłego dnia.

GOŚĆ

„Atawizm”. Z tym słowem pozostawił mnie Shen, gdy dorożka powiozła go w stronę West Side. W myślach ujrzałem dużą małą kataryniarza w białej koronkowej sukni, metodycznie niszczącą całą scenerię, którą zbudowały dotychczasowe słowa pani Charbuque. Umieściłem odkryty wizerunek na szczycie chwiejącego się domku z kart, którym była ta cała zwariowana historia, i już wiedziałem, że konstrukcja nie wytrzyma nowego ciężaru. Byłem ogromnie sfrustrowany. Czy Izaak Newton mógłby odkryć grawitację, gdyby orangutan huśtał się pośród jego obliczeń? Czy Szekspir napisałby swoje sonety, wiedząc, że przez okno w każdej chwili może wpaść szympan, który przewróci kałamarz, ugryzie jego żonę w goleń i ucieknie z jego najlepszą fajką?

Nocna eskapada tak mnie wyczerpała, że byłem zbyt zmęczony, by usnąć. Usiadłem na dywanie w salonie i zacząłem kartkować książkę Luciere Londell, aż dotarłem do miejsca, w którym umieściłem przekłety dagerotyp. Ponownie przyjrzałem się nienaturalnej dłoni oddanej w sepii, odcieniach sienny, umbry i złamanej bieli. Wolfe miał rację, niewątpliwie była włochata.

– Malarz pokonany przez fotografię, jakże wymowne – powiedziałem.

Pokręciłem głową i rzuciłem płytkę na podłogę. Zawsze istniał cień nadziei, że to, co widziałem, było tylko podstępą grą cieni. Ze wszystkich sił uchwyciłem się tej ulotnej możliwości.

Co innego książka, przepiękne wydanie opublikowane w Londynie w 1860 roku przez Millsona i Fahna, ilustrowane przez Charlesa Altamonta Doyle’a. W spisie treści wymieniono trzynaście bajek, z których część znałem, ale o niektórych nigdy nie słyszałem. Żeby stało się zadość dziwnemu pasmu przypadków, które rozpoczęło się, gdy przyjąłem zlecenie od pani Charbuque, po chwili natrafiłem na ilustrację przedstawiającą wilka w zaśnieżonym lesie. Groźna bestia tropiła słodką dziewczynkę niosącą piknikowy koszyk. Kilka stron dalej odkryłem bajkę pod tytułem *Małpia*

Królowa. Towarzysząca jej ilustracja ukazywała główną bohaterkę ubraną w żółtą sukienkę i diadem, siedzącą na tronie, który otaczali ludzcy poddani. Podejrzywałem, że w końcu znajdę baśń o „Głupim malarzu”, opatrzoną moim wizerunkiem. Zacząłem jej szukać, ale zasnąłem, zanim dotarłem do końca książki.

Gdy się obudziłem, miałem wrażenie, że minęło zaledwie kilka minut, ale po chwili ze stęknieniem odkryłem, że za oknem zapada zmierzch, a ja przegapiłem swoje spotkanie z panią Charbuque. Zakląłem i spróbowałem wstać z dywanu, ale okazało się, że moje ciało zastygło w dziwacznej pozycji, w której siedziałem przez cały dzień. Najbardziej zeszywniała mi szyja, której wyprostowanie kosztowało mnie wiele bólu. Przez chwilę siedziałem oszołomiony, rozglądając się po pomieszczeniu, po czym podniosłem wzrok na zegar stojący na kominku. Było wpół do szóstej wieczorem, a ja przypomniałem sobie, że obiecałem zajrzeć do teatru i zobaczyć próbę do nowego spektaklu Samanty. Tłusty duch gwałtownie zapadł się pod ziemię, przytłoczony niezbyt pochlebnymi recenzjami prasowymi, i teraz trupa przygotowywała się do wystawienia sztuki pod tytułem *Przelotny romans*, w której Samanta grała rolę dziedziczki olbrzymiej fortuny.

Podniosłem się z dywanu i chwiejnym krokiem ruszyłem do sypialni, żeby się obmyć i przebrać. Wspomnienia wieczornego włamania do magazynu pojawiały się w moim umyśle, gdy raz za razem wyrzucałem sobie, że przegapiłem szansę, by zasiąść przed parawanem. Jednakże podczas golenia udało mi się spojrzeć na wszystko z dystansem i uznałem, że przyda mi się odpoczynek od wydarzeń, które ostatnio zaprzętały mi głowę. Balansowałem na skraju szaleństwa, dlatego koniecznie musiałem zrobić krok w tył. Ścierając resztki piany z twarzy, obiecałem sobie, że nie będę już podejmował żadnych nielegalnych działań mających na celu odkrycie wyglądu mojej klientki.

Nieco odświeżony, ubrałem się, po czym włożyłem płaszcz i kapelusz. Gdy przechodziłem przez salon, kierując się do frontowych drzwi, zerknąłem na podłogę i zauważyłem, że dagerotyp zniknął. Pamiętałem dokładnie, że wylądował na plecionym dywaniku na środku pomieszczenia. Rozejrzałem się i dostrzegłem książkę z baśniami leżącą na poduszce, na którą upadła, wyslizgnąwszy mi się z ręki podczas snu. W pierwszej chwili pomyślałem, że wstając, wepchnąłem płytkę pod kanapę. Pochyliłem się i zajrzałem w

półmrok pod siedzeniem, a potem pod pozostałe meble. Moje wysiłki zaowocowały znalezieniem starego sobolego pędzla numer dziesięć oraz pięciocentówki, ale nigdzie nie było dagerotypu.

Stałem na środku salonu, czując na plecach zimny dreszcz. Czy to możliwe, że ktoś wszedł do mojego domu kiedy spałem i zabrał płytkę? Podszedłem do drzwi i sprawdziłem zamek. Zawsze zamykam drzwi po powrocie do domu, jednak tym razem okazało się, że są otwarte, umożliwiając wejście każdemu, kto odważyłby się przekreślić gałkę. Czy byłem aż tak zmęczony? Próbując zrekonstruować przebieg wydarzeń, wyobraziłem sobie siebie śpiącego na dywanie, a następnie kolejnych podejrzanych wchodzących do mieszkania i zabierających dagerotyp. Pierwszym złodziejem, o którym pomyślałem, był Watkin. Wsunął łusą głowę przez szparę w drzwiach i zmarszczył nos, próbując węchem ocenić, czy ma wolną drogę. Potem do salonu weszła małpia królowa. Wygrzebywała gnidy z futra na łbie i ciągnęła za sobą tren żółtej sukni. Po tej dwójce winowajców pojawiła się rozmazana postać pozbawiona twarzy, płci i kształtu. Płytki nie chwyciły materialne palce, tylko nagły podmuch wiatru, który wyniósł ją za drzwi razem z mrocznym upiorem.

Byłem zarazem wystraszony i rozdrażniony, gdyż oto ja, Piambo, zostałem obrabowany. Po chwili uświadomiłem sobie, że sam również bezprawnie wszedłem w posiadanie dagerotypu. Mimo że stałem w obliczu niepokojącej tajemnicy, rozbawiła mnie własna hipokryzja. Najwyraźniej nawet w swoim domu nie mogłem uciec przed bacznym spojrzeniem pani Charbuque. Kto kogo obserwował? Bawiliśmy się w kotka i myszkę, nawzajem się ścigając... Przypominało mi to zjawisko, które znałem z lokalnego salonu fryzjerskiego, gdzie w lustrze na tylnej ścianie odbijało się lustro wiszące z przodu, a ja, siedząc pośrodku, patrzyłem na swoje nieskończone odbicia, podczas gdy fryzjer Horace przycinał krawędzie mojego życia. Wydawało się to co najmniej niesamowite, ale intuicja podpowiadała mi, że ktoś widział, jak wchodzę do magazynu Ossiaka.

Cudem dotarłem do teatru na czas. Samanta krzątała się pośpiesznie, przygotowując się do próby, ale przerwała na chwilę, żeby mnie pocałować. Reżyser, który był starym przyjacielem Samanty i wielbicielem jej aktorskiego talentu, poprosił mnie, żebym obejrzał próbę z jednej ze specjalnych łóż, które znajdowały się po obu stronach sceny, by sprawdzić, czy postaci są równomiernie rozmieszczone i poruszają się w sposób

zrównoważony.

– Postaram się – odpowiedziałem, a on wskazał mi drzwi, za którymi znalazłem schody prowadzące na górę.

Wspinałem się na ślepo, ponieważ w teatrze zapalono tylko reflektory oświetlające scenę. Gdy znalazłem się na podwyższeniu, po omacku odszukałem aksamitną zasłonę i wszedłem do niewielkiej, czteromiejscowej łoży. Powoli przedostałem się do mosiężnej balustrady i zerknąłem ponad krawędzią, walcząc z lękiem przed wysokością. Patrząc w głąb rozległych cieni w dole, zorientowałem się, że jestem jedynym widzem. Widok na scenę był niesamowity i szybko zrozumiałem, dlaczego te miejsca tak wiele kosztują. Usiadłem i czekałem na rozpoczęcie przedstawienia.

Bardzo lubiłem oglądać próby. Podejrzewam, że niektórym psują one przyjemność z oglądania właściwego spektaklu, pozbawiając go dramaturgii, ale dla mnie proces twórczy jest równie fascynujący jak ostateczny produkt. Sabott nauczył mnie czytać obrazy, spoglądać poza iluzję formy i zauważać ślady pędzla, różnorodność barwników oraz sposoby ich nałożenia. Od tamtej pory każdy obraz jest dla mnie poradnikiem, jak uzyskać konkretny efekt, zastosować wybraną technikę. Czasami potrafię tak skutecznie zgłębić związek koloru, tekstury i płótna, że dostrzegam patrzącego na mnie artystę. Gdy tylko aktorzy zajęli miejsca na scenie, uderzyło mnie, że właśnie taką metodę rozbioru i rekonstrukcji powinienem zastosować wobec dramatu, w jaki zmieniło się moje życie.

Mężczyzna w słomkowym kanotierze i garniturze z kory wszedł na scenę, a kiedy otworzył usta, by wygłosić pierwsze kwestie sztuki, poczułem, że czyjaś dłoń przeczesuje mi włosy. Podskoczyłem na siedzeniu, ale zaraz pomyślałem, że to z pewnością Samanta postanowiła do mnie dołączyć do czasu rozpoczęcia swojej pierwszej sceny. Nagle palce gwałtownie szarpnęły mnie za włosy, sprawiając mi ból, a ja zobaczyłem Samantę na scenie. Zanim zdążyłem krzyknąć, poczułem na szyi dotyk zimnego ostrza, noża albo brzytwy, i usłyszałem niski męski szept:

– A teraz cicho, bo będę panu musiał odciąć głowę.

Byłem tak zaszokowany, że całkowicie się podporządkowałem.

– Wie pan, kim jestem? – spytał nieznajomy.

Drżały mi usta i miałem wyschnięte gardło, ale udało mi się odezwać.

– Watkin?

– Nonsens.

– Pan Wolfe?

– Jeszcze pan pożałuje, że nim nie jestem.

– Charbuque? – szepnąłem.

– Jakie ma pan zamiary? – spytał.

Miałem mętlik w głowie i pot spływał mi po twarzy.

– Co pan ma na myśli?

Mocniej zacisnął dłoń, jeszcze bardziej odchylając moją głowę, ale nie na tyle daleko, żebym mógł go zobaczyć.

– Po co spotyka się pan z moją żoną?

– Zamówiła u mnie swój portret – odparłem.

Usłyszałem cichy chrapliwy odgłos wydobywający się z jego ust, które znajdowały się najwyżej kilka centymetrów od mojego ucha. Początkowo pomyślałem, że się zakrztusił, ale po chwili zrozumiałem, że ten upiorny dźwięk to śmiech.

– Pogubił się pan – powiedział.

– Tak.

– Będę miał pana na oku.

Nic nie odpowiedziałem.

– Na razie nie mogę pana zabić, ale wkrótce to się może zmienić – rzekł, po czym mnie puścił.

Gwałtownie się obróciłem, próbując go zobaczyć, ale dostrzegłem tylko kołyszące się aksamitne zasłony i usłyszałem ciche kroki na schodach. Straszliwie drżały mi dłonie, gdy masowałem szyję w miejscu, w którym dotknęło jej ostrze.

– Panie Piambo! – zawołał ktoś ze sceny.

Obejrzałem się i popatrzyłem w dół. Postacie zamarły w różnych pozach.

– Proszę, panie Piambo, potrzebujemy ciszy – rzekł z uśmiechem reżyser.

– Przepraszam – wydukałem, próbując się uczesać palcami.

Próba ponownie ruszyła i fabuła nabrała rumieńców, ale ja spędziłem resztę wieczoru, rzucając ukradkowe spojrzenia przez ramię.

MAŁPIA KRÓLOWA

– Brakowało mi pana wczoraj, Piambo – powiedziała, kiedy usiadłem na krześle.

– Proszę mi wybaczyć – odrzekłem. – Byłem straszliwie zmęczony.

– Ma pan takie prawo. Ale nie powinien pan wychodzić z domu o tak późnej porze, zwłaszcza w taką pogodę. Jeszcze sprowadzi pan na siebie śmierć.

– To dobra rada – odparłem, chociaż miałem ochotę powiedzieć znacznie więcej.

– Rozumiem, że chce się pan dowiedzieć jak najwięcej o moich występach jako Sybilla, więc próbowałam sobie przypomnieć, jak to się wszystko zaczęło. Mam panu wiele do opowiedzenia.

Długo milczałem.

– Panie Piambo?

– Tak, pani Charbuque, jestem tutaj. Ale, nim zacznie mi pani opowiadać o swoim życiu, chciałbym o coś zapytać.

– Proszę bardzo.

– To trochę dziwne pytanie i czysto hipotetyczne, ale gdyby mogła pani być dowolnym zwierzęciem na świecie, to co by pani wybrała?

Teraz to ona zamilkła.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – odrzekła w końcu. – Rzeczywiście cudowne pytanie. Rodem z jakiejś gry...

– Dowolnym zwierzęciem – powtórzyłem.

– To pewnie schematyczna odpowiedź, ale pewnie ptakiem. Oczywiście nie ptakiem w klatce. Myślę, że spodobałaby mi się swoboda lotu. Może rybitwą żyjącą nad oceanem.

– A psem? – spytałem.

– Próbuje mnie pan obrazić? – odparła ze śmiechem.

– Ależ skąd – odpowiedziałem i również się roześmiałem.

– To zbyt banalne. Zbyt pospolite.

Przez chwilę milczałem.

– A małpą? – spytałem w końcu.

– Dobry Boże, panie Piambo, chyba się pan ze mną droczy.

– Mówię poważnie – odparłem. – Co z małpą?

– Cóż, pan Darwin uważa, że już nią jestem.

– Według niego dotyczy to nas wszystkich.

– Niektórych bardziej niż innych.

– Co pani ma na myśli? – spytałem.

– A jak się panu wydaje? – odparła pani Charbuque.

– Może u niektórych występują bardziej pierwotne cechy. Wystająca szczeka, niskie czoło, więcej... owłosienia.

– Tak się składa, że mówiłam metaforycznie – odrzekła. – Istnieją ludzie, którzy tylko naśladują innych, są wyraźnie głupszy, bez przerwy pakują się w kłopoty.

– A pani mąż? – spytałem, próbując zbić ją z pantafiku.

– Z pewnością nie byłby małpą – odparła, nie dając się wyprowadzić z równowagi. – Może szakalem. Na pewno kobrą. Oczywiście, gdyby wciąż żył.

– A więc zmarł?

– Kilka lat temu. Koral wyrósł z kości.

– Wypadek na morzu? – spytałem.

– Nie brakuje panu bystrości, panie Piambo.

– Powie mi pani coś więcej? – spytałem.

– Żeby mógł pan zrozumieć złożoność naszego związku, muszę wrócić do Sybilli. Bez tej wiedzy moje dalsze życie nie będzie miało dla pana sensu.

– A więc Sybilla, pani Charbuque. Jak pani sobie życzy – odpowiedziałem, zdając sobie sprawę, że żałosny ze mnie strateg.

Rozsiadłem się na krześle, przygotowując ołówek, zdeterminowany, żeby tym razem uchwycić na papierze jej wizerunek. Pani Charbuque poruszyła się za parawanem. Usłyszałem zgrzyt przestawianego krzesła i szelest sukni, niczym łopot odległej flagi na wietrze. Potem coś dotknęło ramy z drzewa wiśniowego po prawej stronie parawanu. Szybko zerknąłem w tamtą stronę i zobaczyłem, że moja klientka przyciąga go do siebie o kilka centymetrów, jakby to, co miała mi powiedzieć, czyniło ją bardziej bezbronną.

Przysięgam, że dłoń, która chwyciła drewniana listwę, nie należała do

człowieka. Zobaczyłem ją od dolnej ćwierci przedramienia po czubki palców, a gęste czarne włosy pokrywające jej każdy centymetr aż do drugiego knykcia, skłoniłyby pana Darwina to rozpaczliwego przemyślenia swojej teorii. Przypatrywałem się z szeroko otwartymi ustami, jak ta małpia łapa o paznokciach otoczonych czarną skórą i szorstkich palcach wykonuje ludzką czynność. To wszystko trwało nie dłużej niż sekundę albo dwie, ale natychmiast przywołało w moim umyśle wizerunek Małpiej Królowej.

Mógłbym tak siedzieć oszołomiony przez cały dzień, ale wkrótce okazało się, że kolejny cud depcze pierwszemu po piętach. Pół tuzina dużych zielonych liści przeleciało nad górną krawędzią parawanu i spadło obok moich stóp. Przez wszystkie poprzednie dni miałem kontakt wyłącznie z niematerialnym głosem, więc w obliczu czegoś tak konkretnego poczułem się zagubiony. Pochyliłem się i podniosłem jeden z liści, a wtedy zorientowałem się, że są zrobione z zielonego papieru. Gdy pani Charbuque zaczęła mówić, zrozumiałem, że są identyczne z tymi, których pęk znaleźliśmy w magazynie, w skrzyni z suchym śniegiem podpisanej nazwiskiem Londella.

– Gdy zabrakło wątpiących spojrzeń i pogardliwych grymasów mojej matki, nic już nie mogło powstrzymać ojca i mnie przed ślepą wiarą. Bliźnięta stały się naszą nową religią. Byliśmy przekonani, że dają mi moc przepowiadania, więc wszędzie szukaliśmy dowodów na autentyczność tych prorocत्व i je znajdowaliśmy. Nawet w najmniej istotnych sprawach dopatrywaliśmy się wielu warstw znaczeń, a związki pomiędzy wydarzeniami tworzyły pajęczynę paranoi, w którą wpadaliśmy z entuzjazmem. Wiem, jak to absurdalnie brzmi, ale kiedy jest się dzieckiem, a jedyny dorosły, z którym łączy nas bliska więź, ukochany rodzic, wciąż powtarza, że każdy nasz sen, wyobrażenie i wypowiedziane słowo jest cennym prorocत्वem, wtedy to się staje naszą prawdą. Nie jestem pewna, jak to działa, ale przysięgam, że ten sposób myślenia prowokuje szczęśliwe przypadki oraz dziwne zbiegi okoliczności, tak że w końcu zaczynamy wierzyć, że znajdujemy się w samym centrum stworzenia. Być może ojciec i ja tak wytrwale szukaliśmy tych przypadków, że sami je sobie wyobrażaliśmy na każdym kroku. Jakkolwiek było naprawdę, wkrótce zaczęłam przyciągać szczęśliwe okoliczności.

– Nie musi mnie pani przekonywać, pani Charbuque – wtrąciłem. – Od niedawna badam to zjawisko.

– Każdego ranka ojciec pytał, co mi się śniło. Kiedyś zgodnie z prawdą

odpowiedziałam: „Śniłam o koniu, który płynął w oceanie”. Dzień mijał nam jak zawsze, ale po obiedzie ojciec zawołał mnie do swojej pracowni i kazał podejść do okna. „Popatrz, Lu”, powiedział wskazując na niebo. Usłuchałam go, ale niczego nie dostrzegłam. „Na co?”, spytałam. „Popatrz, dziewczyno”, powtórzył, a ja wyteżyłam wzrok, spodziewając się, że zobaczę sokoła albo myszołowa, ale niczego tam nie było. „Przykro mi, ojcze. Na co mam patrzeć?”, odrzekłam. „Dobry Boże, dziewczyno, nie widzisz tamtej dużej chmury? Ma kształt konia. Nie widzisz rozwianej grzywy, galopujących kopyt, kłębow pary wydobywających się z nozdrzy?”, spytał. „Widzę okręt”, odpowiedziałam. „Ależ nie, proszę, przyjrzyj się uważniej”. Patrzyłam intensywnie przez pełne pięć minut i nagle biała powietrzna fregata okazała się biegnącym koniem. Klasnęłam w dłonie. „Widzę, widzę”, zawołałam. Położył mi dłoń na ramieniu, po czym nachylił się, żeby mnie pocałować. „To twój sen. Koń płynący po rozległym błękitnym oceanie”.

Zdarzało się, że przerywał to, czym się akurat zajmował, odwracał się w moją stronę i nakazywał: „Weź kartkę i ołówek i zapisz dowolną liczbę od jednego do stu”. Oczywiście wykonywałam jego polecenie. Wieczorem, gdy czytaliśmy w salonie, zamykał oczy i zapowiadał: „A teraz pomyśl o jakiejś liczbie”. Czasami unosił przy tym okulary do czytania i ścisnął palcami grzbiet nosa. „No dobrze, już mam”, mówił, a wtedy biegłam po kartkę ze swoją liczbą. „Odczytaj mi ją”, prosił. Gdy to robiłam, podając na przykład liczbę trzydzieści pięć, wykrzykiwał: „Niesamowite”, po czym kręcił głową z niedowierzaniem.

W ostatnich tygodniach przed nadejściem wiosny tego samego roku, w którym moją matkę zabrał wilk, ojciec opracował zasady scenicznego występu, który miał się stać moim życiem, a potem moją klątką. Pomimo młodzieńczego entuzjazmu wywołanego zainteresowaniem, jakie mi okazywał, nie podobał mi się fakt, że ten dotychczas skromny człowiek, naukowiec, który przez całe życie zadowalał się badaniem płatków śniegu, nagle zaczął przejawiać talent oraz fascynację w kierunku publicznych występów. Może on również miał wizję, która uświadomiła mu, jak ważne to będzie dla mojego przetrwania, oraz zdawał sobie sprawę, że już niedługo nie będzie mógł mi pomagać.

Wymyślił, że widzowie będą mi zadawali pytania, a ja będę się koncentrowała na Bliźniętach i przekazywała obrazy, które one mi pokażą. „Mów tylko o tym, co naprawdę zobaczysz”, powiedział ojciec, który,

przedstawiając mnie publiczności, zapowiadał, że otrzymają ode mnie jedynie wskazówki dotyczące przyszłości i sami będą musieli je zrozumieć oraz zachować czujność, żeby ich nie przegapić.

– Innymi słowy, nie mogła się pani pomylić – rzekłem. – Ciężar proroctwa spoczywał na pytającym.

– Właśnie – odparła. – To było w tym wszystkim najpiękniejsze. Widownia to uwielbiała, gdyż mogła uczestniczyć w proroctwie. Niezależnie od tego, jakie padło pytanie i jakie opisałam obrazy, wystarczyło trochę czasu i wyobraźni, żeby je połączyć. Gdy wreszcie wróciliśmy do miasta, ojciec postanowił, że wypróbujemy nasz spektakl podczas jednego z wieczornych przyjęć u Ossiaka. Uznał jednak, że brakuje nam atmosfery tajemnicy. Na kilka dni przed galą ponownie wprowadziliśmy się do naszej letniej rezydencji przy Czwartej Alei. Pewnego popołudnia, po tym jak Ossiak przysłał ojcu roczne wynagrodzenie, wybraliśmy się do miasta, żeby poszukać dla mnie nowej sukienki, i trafiliśmy do sklepu, w którym sprzedawano różne egzotyczne przedmioty pochodzące z całego świata. Były tam strusie jaja, afrykańskie maski, eskimoskie harpuny. Właśnie tam ojciec znalazł ten parawan importowany z Japonii. Gdy tylko go wypatrzył i zobaczył wzór z opadających liści, od razu wymyślił postać Sybilli. Zna pan tę postać ze starożytnych opowieści, panie Piambo?

– Imię obilo mi się o uszy – odparłem.

– W starożytnych Grecji i Rzymie było wiele sybilli. Tym mianem nazywano kobietę, która przepowiadała przyszłość. Najsłynniejszą z nich była Sybilla Kumańska, która mieszkała w jaskini, ukryta przed wzrokiem ludzi. Jeśli ktoś pragnął poznać przyszłość, zbliżał się do wejścia do jaskini i wypowiadał swoje pytanie. Sybilla zapisywała odpowiedź na liściach i kładła je w wejściu. W naszej wersji legendy odwróciliśmy ten proces. Uczestnicy zapisywali pytania na papierowych liściach, a ja udzielałam odpowiedzi z ukrycia.

– Ciekawe – stwierdziłem. – Zatem ten parawan ma znaczenie.

– Wszystko ma znaczenie, panie Piambo. Tamtego dnia w sklepie kupiliśmy jeszcze jeden tajemniczy przedmiot, który wykorzystywaliśmy podczas przedstawień. Pochodził z Zanzibaru.

– Co to było? – spytałem.

Nie odpowiedziała, ale usłyszałem, że jej krzesło znów poruszyło się za parawanem. Nagle aż podskoczyłem, gdy na szczycie ramy pojawiła się

małpia dłoń zaciskająca się na wiśniowym drewnie. Cofnąłem się razem z krzesłem. Szpetna łapa nie pozostała długo na miejscu, ale uniosła się wyżej, ukazując się aż do łokcia. Potem gwałtownie przeleciała nad parawanem i upadła na podłogę. Zerwałem się z krzesła i wydałem z siebie krótki krzyk. Zamrugąłem czterokrotnie, a serce omal nie wyskoczyło mi z piersi i wtedy zorientowałem się, że kończyzna jest dziełem preparatora zwierząt. Ramię zamocowano na kiju.

Pani Charbuque dostała napadu wesołości. Tak bardzo się śmiała, że z trudem łapała powietrze.

– A małpą? – wykrztusiła, po czym znów zaniósła się niekontrolowanym śmiechem.

Długo stałem jak sparaliżowany, próbując zrozumieć tę kobietę. Potem tupnąłem wściekle jak rozpuszczone dziecko. Zamknąłem szkicownik i chciałem wyjść, ale gdy chowałem ołówek do kieszeni płaszcza, poczułem tam suchy śnieg pochodzący z magazynu. Chwyciłem odrobinę trzema palcami, podszedłem do parawanu, po czym cisnąłem płatki na drugą stronę, tak że zaczęły powoli opadać na panią Charbuque. Potem się odwróciłem. Gdy zamykałem za sobą drzwi, moja klientka nagle umilkła. Kiedy byłem w połowie korytarza, wykrzyczała moje imię, a ja się uśmiechnąłem.

SZCZĘŚLIWY PRZYPADEK

– Mówię ci, to wariatka – powiedziałem Shenzowi.

Siedzieliśmy przy stoliku przed kawiarnią na rogu Park Avenue i Sześćdziesiątej Czwartej. Było późne popołudnie i słońce zaczęło obniżać się na niebie, a chociaż nie było silnego wiatru, w powietrzu wyczuwało się chłód. Kelner dziwnie na nas popatrzył, gdy poprosiliśmy o miejsca na zewnątrz, ale potrzebowaliśmy prywatności, a w lokalu było pełno klientów.

– Piambo, prawdziwy z ciebie Auguste Dupin. Wariatka, powiadasz? Na niebiosa, cóż skłoniło cię do takiego niezwykłego wniosku? – spytał.

– Każdy mnie dziś obraża – odparłem, podnosząc filiżankę z kawą.

– Mówimy o kobiecie, która ukrywa się za parawanem i prosi, żeby namalować jej portret... o kobiecie, która posiada zmumifikowaną łapę małpy. Nie trzeba wybitnej dedukcji, żeby ocenić, że pomieszało się jej w głowie.

– To prawda – przyznałem.

– Ale – dodał Shenz, zamykając oczy, jakby się koncentrował – ta historia z sybillą jest ciekawa z kilku względów.

– A to dlaczego?

– Sybilla Kumańska żyła bardzo dawno temu. Wygląda na to, że w młodości bardzo spodobała się bogowi słońca, Apollo. Oszołomiony jej pięknem, zaproponował jej wszystko, czego zapragnie, w zamian za spędzenie z nim jednej nocy. Sybilla od zawsze pragnęła nieśmiertelności, więc odrzekła, że chce żyć przez tyle lat, ile ziaren piasku zdoła utrzymać w dłoni. Bóg słońca się zgodził, ale gdy sybilla otrzymała swoją nagrodę, odrzuciła jego zaloty. W odwecie Apollo, który nie miał zamiaru pozwolić, by zakpił z niego śmiertelnik, zamiast niezliczonych lat młodości obdarował kobietę niekończącym się życiem w ciele, które podlegało starzeniu i rozkładowi.

– Nieprzyjemna sprawa – odparłem.

– Nawet bardzo – zgodził się Shenz. – Zmieniła się w kawałek wysuszonego mięsa, ale życie wciąż się w niej tliło. Jej ciało umieszczono w wydrążonej tykwie i zawieszono na gałęzi. Dzieci zbliżały się do jej drzewa i pytały, czego pragnie, ale ona szeptem odpowiadała, że chce tylko umrzeć. W jednej z opowieści prosi o pomoc Charona, wioślarza, który przewozi zmarłych na drugą stronę Styksu, z brzegu życia do krainy śmierci. Jednak Charon nie może zabierać tych, którzy wciąż żyją lub nie zostali odpowiednio pochowani. Te biedne dusze na zawsze pozostają na brzegu rzeki, włócząc się bez celu, niezdolne do odbycia podróży do podziemnego świata. W tym miejscu opowieści pojawia się część, której nie pamiętam, ale okazuje się, że człowiek, który nie umarł bądź nie otrzymał pochówku, może dotrzeć do krainy śmierci tylko wtedy, gdy otrzyma złotą gałąź od sybilli. Charon traktuje taką gałąź jak bilet i przewozi jej posiadacza.

– Shenz, mam wrażenie, że grzebiesz się w tej samej materii, co Borne. Co to ma wspólnego z moją sytuacją?

Shenz się roześmiał.

– Ależ ma. Udałeś się do pani Charbuque po złotą gałąź, żeby móc się przedostać do nowej krainy.

– Bardziej chodziło mi o pieniądze – odparłem. – Nie śpieszmy się z przekraczaniem Styksu.

– W mitologii śmierć nie zawsze oznacza zgon. Bardzo często jest symbolem ważnych zmian. Pragniesz się uwolnić od życia portrecisty, które pochwyciło cię w sidła.

– Czasami mnie zadziwiasz – odrzekłem ze szczerym podziwem.

Shenz zlekceważył mój komplement.

– W gazetach nie wspomina się ani słowem o naszym włamaniu. Chyba udała się nam zbrodnia doskonała.

– Tak, ale pojawił się nowy problem – odparłem, po czym opowiedziałam o pojawieniu się pana Charbuque, otrzymanej od niego wiadomości oraz naszym przerażającym spotkaniu w teatrze poprzedniego wieczoru.

Shenz się wyprostował, a w jego oczach pojawił się błysk podniecenia.

– Musimy się dowiedzieć, kim on jest i gdzie mieszka. Możliwe, że dzięki niemu dowiemy się, jak wygląda jego żona.

– Z pewnością, ale obawiam się to będzie niemożliwe – odparłem.

– Dlaczego niemożliwe? – spytał mój przyjaciel.

– Dziś po południu pani Charbuque powiedziała mi, że jej mąż nie żyje.

Podobno zginął na morzu, gdy zatonał jego statek.

– Duch z brzytwą? – odrzekł Shenz. – Ciekawe. Dowiedz się, na jakim statku płynął. Ja to sprawdzę.

Pokiwałem głową.

– Jeśli wcześniej mnie nie zabije.

– Powinieneś sobie sprawić broń. Robi się niebezpiecznie. Pistolet nie byłby złym rozwiązaniem.

– Nie, Shenz, pistolet byłby fatalnym rozwiązaniem – odparłem. – Dziękuję, ale wolę zachować palce u nóg.

– Jak ci idzie z portretem? – spytał.

– W ogóle mi nie idzie.

– To już drugi tydzień. Zostało ci zaledwie dwa i pół tygodnia. Lepiej umówię nas na spotkanie z Człowiekiem z Równika.

– A co on może dla mnie zrobić? – spytałem.

– Być może pomoże ci się skupić.

– Być może – odparłem i dopiłem kawę.

– Mówiłeś, że później spotykasz się z Samantą? – spytał Shenz.

– Poprosiłem ją, żeby dzisiaj obserwowała dom pani Charbuque – wyjaśniłem. – Mam się z nią spotkać o siedemnastej na schodach kościoła Świętego Jakuba przy skrzyżowaniu Madison z Siedemdziesiątą Pierwszą.

– Oto kobieta gotowa do wyniesienia na ołtarze – odrzekł Shenz.

– A co z młodymi Hatstellami? – spytałem, unikając kolejnego wykładu mojego kolegi na temat tego, dlaczego powinienem się ożenić z Samantą.

– Chodząca pochwałą bezdzielnego życia. Skończę ich malować mniej więcej za tydzień. Pewnie i tak zdążyłem wydać całe honorarium na ciastka i cukierki. Młodszy nazywa mnie Wujkiem Szatanem, a starszy Dziadkiem Czasem. Podwoiłem spożycie opium.

Wypiliśmy jeszcze po filiżance kawy, a zanim się rozstaliśmy, przypomniałem Shenzowi o dorocznej wystawie, o której wspomniał mi Sills, organizowanej następnego wieczoru w Akademii Projektowania. Postanowiliśmy się tam spotkać.

Zanim dotarłem do kościoła episkopalnego pod wezwaniem Świętego Jakuba, zapadł zmierzch. Chodniki i ulice nieco opustoszały, nadeszła bowiem pora kolacji. Wzmógł się wiatr, a temperatura spadła o kolejne kilka stopni.

Kościół sprawiał wrażenie opuszczonego. Usiadłem na pierwszym

marmurowym stopniu i zapaliłem papierosa. Jednym z moich ulubionych zajęć podczas wieczornych włóczęg po mieście było wpatrywanie się w rozświetlone okna wzdłuż ulic i zastanawianie się, jakie dramaty, komedie albo tragedie rozgrywają się za tymi jasnymi prostokątami. Czasami, gdy architektura danego budynku oraz jego otoczenie pozwalały mi dostrzec coś wewnątrz, wyobrażałem sobie mieszkające tam postaci i ich życie. Mój Boże, widziałem ich twarze oraz stroje. Tutaj jakiś gołas, tam mężczyzna w samej koszuli podrzuca niemowlę na kolanie, ktoś pije piwo z kufła, siwowłosa babcia na bujanym fotelu odmawia różaniec. Skoro ci ludzie, całkowicie mi obcy, mogli ukazać mi swoje twarze i sylwetki, skoro widziałem oczyma wyobraźni bohaterów, o których czytałem w powieściach, to dlaczego pani Charbuque pozostawała tak boleśnie nieuchwytna?

Z zamyślenia wyrwało mnie pojawienie się jakiejś kobiety. Była takiego samego wzrostu co Samanta oraz miała podobną figurę i już chciałem wstać, żeby ją powitać, ale w ostatniej chwili dostrzegłem pukiel jasnych włosów wystający spod kapelusza. Skinęła głową i powiedziała: „Dobry wieczór”, a ja dotknąłem palcami róna kapelusza. „Witam”, odpowiedziałem, po czym popatrzyłem, jak się oddala wzdłuż ulicy. Gdy zniknęła w ciemności, pomyślałem sobie, że może to pani Charbuque postanowiła mnie szpiegować, więc spróbowałem sobie przypomnieć jej twarz.

Minęło mnie jeszcze kilku mężczyzn oraz kolejna kobieta, zbyt niska. Potem zobaczyłem znajomą postać nadchodzącą z północy. Już po chwili zorientowałem się, że rozpoznaję tę osobę. Potężna, krępa kobieta w dużym ciemnym płaszczu i chustce na głowie. Gdy się zbliżyła, zauważyłem jej grubo ciosane rysy. – Wolfe, to ty? – spytałem, gdy zrównała się ze schodkiem, na którym siedziałem.

– Piambo, kim jest Wolfe? – odparła.

Wstałem i przyjrzałem się dokładniej. Rozpoznałem głos kobiety w tej samej chwili, w której zorientowałem się, że jej twarz jest pozbawiona zarostu.

– Samanta?

– Jak ci się podobam? – spytała. – Nocna przyzwoitka.

Oszłomił mnie ten „szczęśliwy przypadek”, jak z pewnością nazwałaby go pani Charbuque. Pochyliłem się i ucałowałem pomarszczoną twarz, a na moich ustach pozostały ślady szminki teatralnej.

PRZEPROSINY

W dwukołowej dorożce, którą jechaliśmy do mojego domu w śródmieściu, Samanta starła makijaż chustką. Patrzyłem, jak usuwa farbę, i podziwiałem artystyczny kunszt, z jakim wykonała charakteryzację. Wystarczyło kilka ciemniejszych śladów, by dodać skórze grubości i ciężaru, uwypuklić kości i przerażająco pogłębić oczodoły. W jednej chwili Samanta wyglądała jak siostra Wolfe'a, a za chwilę stała się piękna jak zawsze, w jej oczach zaś rozbłysła dziecięca radość wywołana wcielaniem się w rolę szpiega.

Potem zdjęła płaszcz, ukazując dwie poduszeczki przywiązane sznurkiem do ramion. Do brzucha przypięła paskiem większą poduszkę. Gdy pozbyła się wszystkich protez i brzydka kobieta spoczęła na siedzeniu obok, Samanta związała sobie włosy na supeł.

– Znakomity występ – pochwaliłem i oboje się roześmialiśmy.

– Było zabawnie, ale nie mogłabym codziennie wcielać się w tę biedaczkę. Dzięki płaszczowi i poduszkom nie zmarzłam, ale około czwartej zaczęłam mieć dosyć dodatkowego ciężaru. Jestem wyczerpana i strasznie bolą mnie stopy.

– Kiedy dotarłaś na miejsce? – spytałem.

– Wkrótce po dwunastej. Widziałam, jak wchodzisz i wychodzisz z domu. Nie spędziłeś tam dużo czasu.

– Pani Charbuque i ja nieco się pokłóciliśmy. Później ci o tym opowiem, ale najpierw powiedz, czy coś widziałaś?

– Z tego, co się zorientowałam, przed twoim przybyciem nikt nie wchodził ani nie wychodził z budynku. Powoli spacerowałam chodnikiem, próbując nie wzbudzać podejrzeń. Od czasu do czasu przysiadłam na schodach po przeciwnej stronie ulicy. Odgrywałam postać włóczącej się bez celu starej nędzarki.

– A po moim wyjściu? – spytałem.

– Przeszedłeś tuż obok mnie, najwyraźniej tocząc sam ze sobą ożywioną debatę. Pół godziny później z domu wyszedł łysy jegomość o lasce, a ja ruszyłam za nim.

– Widziałaś, że jest ślepy? Niesamowity człowiek, nie sądzisz? Nazywa się Watkin.

– Piambo – odparła, parskając śmiechem. Był to ten sam rodzaj kpiącej wesołości, z którym spotkałem się ze strony pani Charbuque.

– Widzę, że jestem dzisiaj wyjątkowo zabawny – odrzekłem, nieco rozdrażniony.

– Wybacz. Nie chcę cię pozbawiać złudzeń, ale jeśli ten twój Watkin jest niewidomy, to ja nazywam się Evelyn Nesbit.

– Co ty mówisz? – zdziwiłem się.

– Błagam cię, Piambo, ten staruszek to najgorszy aktor, jakiego widziałam. Przy nim Derim Lourde to materiał na Hamleta.

– Ale widziałaś jego oczy? Trupio blade, całkowicie pozbawione koloru.

– Owszem, to stara teatralna sztuczka. Cienkie mlecznobiałe szklane soczewki z malutkimi otworkami, które dają aktorowi ograniczone pole widzenia. Pierwszy raz widziałam je w użyciu pięć lat temu podczas wystawiania *Golema*. Szczególnie lubują się w nich reżyserzy sztuk, w których występują motywy nadnaturalne. Wkłada się je pod powiekę. Są niewygodne, ale pozwalają uzyskać efekt nie z tej ziemi.

Chciałem się odezwać, ale stwierdziłem, że nie mam nic do powiedzenia.

– Jego pomysł na udawanie niewidomego to kilka zderzeń i ostukiwanie wszystkiego laską. Myślisz, że zapamiętał całe miasto i wie, gdzie znajdują się wszyscy przechodnie, nie wspominając o samochodach, tramwajach i koniach, gdy przechodzi przez ulicę? Od czasu do czasu przypomina sobie, że ma być ślepy, i wtedy gwałtownie przekrzywia głowę, jakby nasłuchiwał otaczającego go pogrążonego w mroku świata. Żałosne, łzawe przedstawienie.

– Mój Boże! – zawołałem. – Ależ mnie nabrał. To te jego oczy. Jestem jak sparaliżowany, gdy widzę, że coś jest nie w porządku z oczami.

– Nie zadręczaj się – odparła Samanta. – Wszyscy ludzie na ulicy mu wierzyli i omijali go szerokim łukiem.

– Dokąd poszedł? – spytałem.

– Minęłam go tak blisko, że prawie się o niego otarłam, po czym zawróciłam i poszłam w ślad za nim w pewnym oddaleniu. Wszedł do

sklepiku na rogu i kupił dosyć drogi pojemniczek gałki muszkatołowej. Potem udał się do kwiaciarni. Niestety, wtedy popełniłam błąd. Jestem pewna, że zauważył mnie, gdy wychodził ze sklepu, a kiedy poszłam za nim do kwiaciarni, obejrzał się i popatrzył prosto na mnie przez szybę. Wtedy się zdenerwowałam i pośpiesznie wróciłam przed dom pani Charbuque. Cały czas zastanawiałam się, czy nie starał się odwrócić mojej uwagi, by jego pracodawczyni mogła się wymknąć. Pozostałam w okolicy prawie do siedemnastej, ale nie wrócił.

– Jesteś cudowna – rzekłam. – Nigdy ci się nie odwdzięczę. Ale koniec z tym. Mam wrażenie, że Watkin potrafi być niebezpieczny, a biorąc pod uwagę to, co odkryłaś, podejrzewam, że to on pojawił się wczoraj w teatrze. Tylko nie mam pojęcia, w jakim celu.

Kiedy dotarliśmy do mojego domu, Samanta za moją namową zaczęła na schodach, a ja sprawdziłem, czy wewnątrz nie kryje się żaden intruz. Ciemność, którą musiałem przebyć w drodze do włącznika światła, sprawiała złowieszcze wrażenie i poczułem olbrzymią ulgę, gdy znów zrobiło się jasno. Współczesność z pewnością ma swoje zalety. Prześlizgnąłem się wzdłuż ściany do sypialni, po czym wyskoczyłem zza rogu, żeby zaskoczyć ewentualnego napastnika. W pomieszczeniu było pusto, podobnie jak w szafie.

Kiedy dotarłem do rozległej pracowni, serce tłukło mi się w piersi. Nie ma nic gorszego niż czuć się jak ofiara we własnym domu. Zapaliłem światło i cicho westchnąłem. Nie czekał na mnie nikt obcy, ale zauważyłem coś dziwnego. Na stole, na którym trzymałem przybory do malowania, stał olbrzymi wazon. Od razu zwróciłem uwagę na eksplozję jaskrawych barw. W okazałych rozmiarów porcelanowym naczyniu znajdowały się różnorodne kwiaty: czerwone goździki, żółte róże, akanty, bluszcz i lawenda. Była to dziwna kolekcja, pośpiesznie skomponowana albo niosąca ze sobą jakieś przesłanie, nie potrafiłem tego ocenić. O wazon oparto małą fioletową kopertę. Gdy się zbliżyłem, otoczył mnie cudowny aromat kompozycji.

Wziąłem kopertę i przez chwilę trzymałem ją niepewnie, przypominając sobie dotyk brzytwy na gardle. Potem oderwałem klapkę i wewnątrz znalazłem złożoną kartkę. Gdy ją rozłożyłem, ze środka wyleciało kilka zasuszonych płatków śniegu, które powoli opadły na podłogę. Na wewnętrznej stronie kartki umieszczono wiadomość:

Szanowny Panie Piambo!

Proszę wybaczyć mi mój głupi żart. Będę na Pana czekała jutro.

Z wyrazami miłości,

Luciere

Oczywiście od razu zwróciłem uwagę na „wyrazy miłości”, gdyż taki obrót spraw wydał mi się wyjątkowo dziwaczny, biorąc pod uwagę dotychczasowy przebieg naszych absurdalnych spotkań. W tych kilku słowach wyczułem szczerą skruchę i prawdziwe emocje. Właśnie zastanawiałem się nad otrzymaną wiadomością w świetle pozostałych okoliczności, gdy nagle usłyszałem za sobą jakiś dźwięk. Okręciłem się na pięcie i zobaczyłem Samantę, która stała za mną, trzymając płaszcz, poduszki i przemoczoną chustkę. Nie wiem dlaczego, ale zaczerwieniłem się na twarzy, jakby przyłapała mnie na czymś nieuczciwym albo niedozwolonym.

Jak już wspomniałem, trudno było mi cokolwiek ukryć przed Samantą.

– Tajemnicza wielbicielka? – spytała z cynicznym uśmiechem.

Chciałem dyskretnie wsunąć karteczkę do kieszeni, ale było na to za późno. Zamiast tego postanowiłem przekonać Samantę, że moje zażenowanie wynika ze zdezorientowania dziwnym obrotem spraw.

– Przeprosiny od pani Charbuque – odrzekłem i rzuciłem otwartą karteczkę na stół. – Najpierw mnie obraża, a potem wysyła kwiaty. Czy ona ma mnie za głupca? Mówię ci, zacznym nienawidzić tej kobiety.

– Niewątpliwie – odparła Samanta, po czym odwróciła się i wyszła z pokoju.

Później się kochaliśmy, ale cały czas miałem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Niemal spodziewałem się, że Watkin wychyli głowę spod łóżka i skrytykuje moje poczynania słowami: „Tylko gałka muszkatołowa i pleśń, panie Piambo”. Oboje niezbyt się staraliśmy i byliśmy nieco zawiedzeni. Gdy było po wszystkim, położyliśmy się obok siebie i opowiedziałem o małpiej łapie. Samanta nie podzielała mojego oburzenia i zareagowała dość obojętnie.

Kiedy zasnęła, wymknąłem się z łóżka i wróciłem do pracowni. Tam kilkakrotnie przeczytałem wiadomość, po czym długo siedziałem, wpatrując się w kwiaty i paląc papierosa. Wyobrażałem sobie pokój z wysokim sufitem, dwoma oknami i parawanem, pogrążony w mroku, czego należało się spodziewać o tej godzinie, ale tym razem znajdowałem się za świętą granicą i

patrzyłem na panią Charbuque, która siedziała nago, skąpana w ukośnie padających promieniach miękkiego księżycowego blasku. Odwróciła się, a kiedy mnie zobaczyła, wyciągnęła w moją stronę rękę. Wyraźnie widziałem jej twarz i była piękna.

Zamrugalem i popatrzyłem na kwiaty, a gdy ponownie skupilem się na obrazie w swojej wyobraźni, ten nie uległ zmianie. Teraz pani Charbuque przywoływała mnie do siebie. Wstałem i przebiegłem przez pokój, żeby wziąć ołówek i papier. Gdy wróciłem na swoje miejsce, zamknąłem oczy, a wtedy ona wstała, żeby mnie objąć. Potem ołówek dotknął papieru i zacząłem rysować bez namysłu.

NIC NIE JEST BEZPIECZNE

Kiedy obudziłem się rano, Samanty już nie było. Jak przez mgłę pamiętałem, że wspominała o przesłuchaniu w teatrze Garden do roli, w którą chciała się wcielić po zakończeniu wystawiania *Przelotnego romansu*. Żadne z nas nie lubiło wcześniej wstawać, więc staraliśmy się nie budzić nawzajem bez istotnego powodu.

Zamknąłem oczy, postanawiając jeszcze trochę się zdrzemnąć. Jednakże, gdy tylko zacisnąłem powieki, uświadomiłem sobie, dlaczego tak późno się położyłem. Oczyma wyobraźni zobaczyłem szkic, który wykonałem, siedząc przed wazonem z kwiatami, i natychmiast wstałem z łóżka. Wkładając szlafrok i kapcie, przypomiinałem sobie swój rysunek. Czułem budzący się we mnie entuzjazm. Perspektywa ponownego ujżenia mojego dzieła pognęła mnie do pracowni.

Nareszcie stworzyłem wizerunek pani Charbuque i musiałem przyznać, że wspaniale się spisałem. Oczywiście był to tylko szkic, ale na tyle szczegółowo przedstawiłem twarz i sylwetkę, że ich widok natychmiast przywołał w moim umyśle wizję mojej klientki stojącej nago za parawanem w blasku księżyca. Widziałem ze szczegółami nawet jej oczy i włosy. A więc to będzie mój probierz. Wystarczy rzucić na niego okiem, a modelka stanie mi przed oczami, gotowa pozować jak długo zechcę. Czułem ciepło promieniujące z mojego splotu słonecznego oraz mrowienie rozprzestrzeniające się po całym krwiobiegu i wierzyłem, że naprawdę udało mi się uchwycić wygląd pani Charbuque. Ukończę portret i dokonam niemożliwego.

Patrząc na swój szkic i na wizerunek modelki kryjący się w mojej wyobraźni, czułem także cień seksualnego pożądania wobec kobiety, którą stworzyłem. Czy może być coś bardziej narcystycznego? – zastanawiałem się, ale nie mogłem zaprzeczyć tym uczuciom. Bałem się, że wtedy wrócę na drugą stronę parawanu. Rozejrzałem się za fioletową karteczką z

wiadomością. Leżała na stole pomiędzy szkicem a wazonem z kwiatami. Gdy po nią sięgnąłem, zauważyłem, że obok leży koperta, na której również jest coś napisane.

Szanowny Panie Piambo!

Spotkamy się dzisiaj wieczorem w Akademii Projektowania.

*Z wyrazami miłości,
Samanta*

Dokładnie skopiowała charakter pisma pani Charbuque oraz format jej wiadomości. Oczywiście miał to być żart, ale są różne żarty. Zaniepokoiło mnie, że koperta leżała tuż obok kartki. To prawda, że ostatnio całkowicie poświęcałem się swojemu projektowi, ale był to punkt zwrotny w mojej karierze. Samanta z pewnością wiedziała, że cały czas myślę o swoim zleceniu, nawet jeśli podczas naszych osobistych rozmów udawałem, że jest inaczej. Chyba nie była zazdrosna? Nawet w pełnym świetle potrafiła być bardziej tajemnicza niż pani Charbuque w ukryciu. Może chciała mi o tym przypomnieć i, umieszczając swoją wiadomość obok liściku od mojej klientki, podkreślała, że w niczym jej nie ustępuje? Pokręciłem głową, nie chcąc, żeby coś odciągnęło mnie od mojego zadania. Skupiłem się na szkicu i wyjątkowej przyjemności płynącej z planowania, jak przekształcę go w kompletny portret.

Spędziłem resztę poranka oraz początek popołudnia, przygotowując płótno i robiąc notatki dotyczące koloru, położenia postaci, ewentualnych rekwizytów i tak dalej, żeby móc zacząć pracę zaraz po wieczornym powrocie do domu. Jedną z emocjonujących decyzji, które podjąłem, było postanowienie, że namaluję panią Charbuque tak, jak ją sobie wyobraziłem – nagą, samotną postać unoszącą się w morzu cienia. To ona miała być źródłem światła na obrazie.

Przypomniałem sobie słowa Sabotta, który opowiadał, że holenderscy mistrzowie samodzielnie przygotowywali barwniki, ponieważ wiedzieli, że niektóre substancje, zmielone na proszek o konkretnej grubości ziaren, odbijają światło w wyjątkowy sposób. Zdawali sobie sprawę, że odpowiednia kompozycja tych kątów odbicia pozwoli skupić światło w wybranych miejscach obrazu i sprawi, że ten rozbłyśnie własnym blaskiem. Teraz pożałowałem, że nie słuchałem uważniej wykładów Sabotta na temat

barwników i światła. Gdy byłem młodszy, uważałem, że korzystanie z czegokolwiek innego niż gotowa farba to przejaw beznadziejnego prymitywizmu, a męczenie się z moździerzem i tłuczkiem tylko przeszkadza w podążaniu za muzą. Dopiero później uświadomiłem sobie, że dobry soboli pędzel może w dużej mierze zastąpić geniusz, a każdy obraz składa się z dwóch elementów – rzemieślniczego kunsztu i inspiracji. Wiele bym dał, żeby więcej pamiętać z tamtych nauk, teraz bowiem zależało mi właśnie na czarodziejskim efekcie światła.

O trzynastej przygotowałem się do podróży na przedmieścia. Potrzebowałem oficjalnego stroju, ponieważ zaraz po spotkaniu z panią Charbuque wybierałem się na otwarcie wystawy w akademii. Byłem pełen energii i entuzjazmu, gdyż wreszcie udało mi się jasno określić swój projekt. Włożyłem płaszcz i kapelusz, zabrałem szkicownik i ruszyłem do frontowych drzwi. Gdy przekręciłem gałkę, przypomniałem sobie, że w ciągu ostatnich dwóch dni ktoś dwukrotnie wszedł do mojego domu bez mojej wiedzy. Zrozumiałem, że nic nie jest bezpieczne.

Wróciłem do pracowni i ostrożnie zwinąłem szkic. Potem przespacerowałem się po wszystkich pomieszczeniach, szukając kryjówki, do której na pewno nie zajrzałyby intruz. W końcu wepchnąłem szkic do rękawa smokingu, który wisiał w głębi szafy w sypialni. Nie byłem w pełni zadowolony, ale nikt poza mną i Samantą nie wiedział o istnieniu rysunku.

Była piękna pogoda, cieplejsza niż w ostatnich dniach, więc zamiast od razu wsiadać do tramwaju, postanowiłem się przejść, żeby trochę przewietrzyć głowę. Nie ma nic lepszego niż odrobina ruchu na świeżym powietrzu, by rozniecić iskrę kreatywności i zmienić ją w solidny płomień. Na chodnikach panował tłok, ale postanowiłem dojść jak najdalej bez zatrzymywania, lawirując pomiędzy przechodniami, starając się przewidywać, gdzie pojawią się wąskie luki i prześlizgując się przez nie w ostatniej chwili. Cały czas zastanawiałem się, czy namalować panią Charbuque od pasa czy od kolan. Obie możliwości mnie podniecały.

Na rogu Park Avenue i Dwudziestej Szóstej musiałem skapitulować. Zgromadziło się tam około dwudziestu osób, które czekały, aż ulicą przejadą trzy samochody i dwa razy więcej powozów. Dołączyłem do tej grupy i cierpliwie czekałem na możliwość przejścia na drugą stronę. Gdy ulica w końcu opustoszała i horda pieszych ruszyła, usłyszałem dźwięk klaksonu i obróciłem się w lewo. Chwilę później z prawej strony dobiegł mnie kobiecy

szept:

– Piambo, kocham cię.

Szybko się obejrzałem, ale nikogo nie zobaczyłem. Albo słuch splątał mi figła, albo osoba, która wypowiedziała te słowa, odeszła razem z tłumem. Przyśpieszyłem, żeby dogonić grupę pieszych. Wydawało się, że w jej skład wchodzi wyłącznie kobiety: widziałem kapelusze, eleganckie fryzury, parasolki i torebki. Zanim zdołałem zobaczyć ich twarze, dotarły na drugą stronę i się rozproszyły. Niektóre weszły do sklepów, a pozostałe ruszyły dalej na wschód, zachód albo północ. To wydarzenie zaniepokoiło mnie z dwóch powodów. Po pierwsze, zacząłem podejrzewać, że mam halucynacje, co nie byłoby dziwne, zważywszy na moje ostatnie doświadczenia. Po drugie, głos, który usłyszałem, chociaż przekazywał całkowicie odmienną treść, pod względem brzmienia i intonacji bardzo przypominał życzenie wypowiedziane przez panią Reed.

Wsiadłem do tramwaju przy Dwudziestej Dziewiątej Ulicy i dotarłem do domu pani Charbuque dobre dziesięć minut przed czasem. Watkin otworzył drzwi z charakterystycznymi dla siebie poirytowaniem i niedbałością, ale po tym, co powiedziała mi Samanta, ujrzałem go w zupełnie nowym świetle. Odważyłem się popatrzeć mu prosto w białe oczy i dostrzegłem, że odbijają światło w nienaturalny sposób. Gdy przyjrzałem się dokładniej, stwierdziłem, że nie są prawdziwe. Okazały się tak żałośnie sztuczne, że prawie się zaśmiałem ze swojej naiwności. Żeby zmusić Watkina do odrobiny aktorstwa, spytałem, czy widział nagłówki w dzisiejszych gazetach.

– Z pewnością pan żartuje, panie Piambo – odparł, a jego gesty potwierdziły wszystko, o czym mówiła Samanta. Czasami poruszał się jak osoba widząca, a czasami w przerysowany sposób przekręcał głowę, jak ptak nasłuchujący zewu swojej partnerki.

Odprowadził mnie do przedsionka, po czym wszedł do pokoju, żeby sprawdzić, czy pani Charbuque jest gotowa. W ciągu tych kilku minut wymyśliłem sposób na wyprowadzenie go z równowagi. Otworzyłem szkicownik i ułożyłem go poziomo na kolanach. Potem chwyciłem ołówek i napisałem dużymi literami: „WATKIN TO OSIOŁ!”. Przyznaję, że był to szczeniacki żart, ale chciałem zmusić Watkina do jakiejś reakcji.

Kiedy wrócił, czekałem na niego, trzymając przed sobą otwarty szkicownik. Zatrzymał się tuż przed drzwiami do pokoju, a na jego czoło i policzki wypłynął rumieniec.

– Tędy proszę – rzekł oschle, tym razem wyjątkowo nie dodając „panie Piambo”.

Poszedłem za nim, zastanawiając się, czemu służy jego przebranie. Gdy mijaliśmy jadalnię, Watkin wskazał na lewo i rzekł:

– Sprawiliśmy sobie nowe dzieło.

Nie zatrzymał się, więc nie miałem czasu dokładnie się przyjrzeć, ale zdążyłem dostrzec wiszący na ścianie, oprawiony w ramę dagerotyp pochodzący z magazynu. Gdy Watkin wpuszczał mnie do pokoju z parawanem, paskudnie się uśmiechał.

FAŁSZYWY TROP

– Czy pańska dzisiejsza obecność oznacza, że przyjął pan moje przeprosiny, panie Piambo? – spytała.

– Tak.

– Przepraszam, że wystraszyłam pana tamtą małpią łapą, ale odosobnienie, które sama sobie narzuciłam, wypaczyło moje poczucie humoru. Spodziewam się, że moje słowa i działania zostaną odebrane we właściwy sposób, a rezultat często mnie rozczarowuje. Po tylu latach nie jestem w stanie ocenić, jak obecność parawanu wpłynie na moje zamiary.

– Rozumiem – odparłem. Słuchając jej słów, przywołałem w myślach wizerunek ze swojego szkicu. Im więcej mówiła, tym bardziej szczegółowy stawał się obraz. Widziałem krzywiznę jej ucha, delikatne zmarszczki w kącikach ust, kształt szyi.

– Używaliśmy małpiej łapy jako fałszywego tropu, żeby zaskoczyć widzów, a zarazem zaspokoić ich pragnienie niesamowitości. Nie wiem, czy pan zauważył, ale w kciuku znajduje się sprężyna, która pozwala zaciskać dłoń. Ten mechanizm dodano jeszcze zanim zakupiliśmy łapę. Bóg raczy wiedzieć, do czego pierwotnie go wykorzystywano, ale nam służył jako ekscentryczny chwytak, którym zbieraliśmy liście z zapisanymi pytaniami. Wysuwając zza parawanu sztuczną łapę, którą chwytalam liście podawane przez ojca, mogłam pozostać w ukryciu.

– Reakcje ludzi z pewnością były ciekawe – stwierdziłem.

– I to bardzo. Widzowie wierzyli, że jestem jakimś potwornym wynaturzeniem zaklętym w postać małpy, ale obdarzonym boską wiedzą.

– Mój mentor, pan Sabott, zwykł mawiać: „Publika uwielbia przeciwieństwa” – odrzekłem, zastanawiając się, czy małpia łapa nie stanowi fałszywego tropu także dla mnie. Być może pani Charbuque rzeczywiście jest jakimś dziwnym stworzeniem. Jednakże dotarłem już za daleko, by pozwolić się zepchnąć z powrotem w otchłań wątpliwości, więc czym

prędzej odpędziłem tę myśl i ponownie skupiłem się na wizerunku ze szkicu.

– Tamten pierwszy raz na przyjęciu u Ossiaka był dla mnie bardzo emocjonujący. Miałam dopiero jedenaście lat i byłam dosyć nieśmiała, ale parawan dodawał mi odwagi. Wciąż pamiętam pierwsze pytanie, które mi zadano. Ojciec odczytał je na głos: „Czy to się stanie?”. Wysunęłam małą łapę, a on z namaszczeniem umieścił liść pod kciukiem. Otrzymał kartkę z pytaniem, przeczytałam je po cichu, po czym zamknęłam oczy, żeby skupić się na głosach Bliźniąt. Jak już panu mówiłam, bezgranicznie wierzyłam w ich moc, więc się nie bałam. Przemówiły od razu, a ich szepty zmieniły się w obrazy w moim umyśle.

„Pada deszcz”, powiedziałam głośno, żeby usłyszano mnie poza parawanem. „Ścieżka jest błotnista. Jest tam koń i dużo ludzi. Widzę otwarte okno, przez które wszystko przechodzi. To się stanie pod koniec dnia i zapanuje spokój”. Kiedy skończyłam, w sali przez kilka chwil panowała całkowita cisza. Potem rozległ się głos młodego mężczyzny: „Dziękuję”.

Tamtego wieczoru odpowiedziałam na tuzin pytań zapisanych na liściach i odczytanych na głos przez mojego ojca. Gdy ojciec oznajmił, że sesja dobiegła końca, rozpętała się burza oklasków. Opuściłam pomieszczenie w taki sam sposób, w jaki weszłam: światła na chwilę zgasły, a ja umknęłam przez pobliskie drzwi, mój ojciec zaś pilnował, żeby nikt za mną nie podążył. Przed budynkiem czekał na mnie umówiony powóz, którym odjechałam, zanim ktokolwiek mnie zobaczył, jak księżniczka śpiesząca się, by zdążyć przed nadejściem północy. W mieszkaniu czekałam samotnie na jego powrót, mając nadzieję, że dobrze sobie poradziłam. W końcu zasnęłam na kanapie w salonie, ponieważ nie wrócił do rana. Jak mi wyjaśnił, po zakończeniu przyjęcia Ossiak zaprosił go na rozmowę o skutkach tegorocznych opadów śniegu.

Ojciec był zarazem zmartwiony i zachwycony. Występ Sybilli okazał się olbrzymim sukcesem, lecz wieści o finansowej ruinie nie spodobały się jego pracodawcy. Jednak Ossiak nie był ignorantem, więc nie obwiniał posłańca. Zamiast tego zachęcił ojca, by ten zapytał Sybillę o losy jego fortuny.

Nasz pokaz był ciekawą rozrywką i wątpię, by ktokolwiek z obecnych traktował go jako coś więcej, dopóki trzy dni później gazety nie przekazały szokującej informacji. Pierwszą osobą, na której pytanie odpowiedziałam, był młody mężczyzna, który ze względu na swoją sytuację materialną (o ile dobrze pamiętam, był kelnerem albo robotnikiem w jakimś hotelu bądź

tawernie) zazwyczaj nie uczestniczył w przyjęciach u Ossiaka. Tamtego wieczoru pojawił się w posiadłości, ponieważ nieco wcześniej pomógł jednej z siostrzenic Ossiaka, gdy jakiś oprych napadł ją na ulicy. W podzięcie za szlachetny czyn bogacz zaprosił go na galę.

Okazało się, że młodzieniec również miał wizję. Na przestrzeni lat odłożył sumę pięciu tysięcy dolarów. We wtorek po przyjęciu wziął wolny dzień w pracy i pojechał na tor wyścigów konnych Hanover. Tam postawił wszystkie swoje pieniądze na zwycięstwo konia o imieniu Calico. Był to ceniony wierzchowiec czystej krwi, jednak tamtego dnia padało i Calico przegrał, nie radząc sobie na błotnistym torze. Po południu młodzieniec popełnił samobójstwo, podcinając sobie żyły brzytwą i w ten sposób znajdując spokój od nieposkromionej żądzy sukcesu. Zamiast tego sukces przypadł w udziale mnie. Wszyscy, którzy uczestniczyli w moim pierwszym występie, uwierzyli, że jestem obdarzona szczególnymi mocami.

– Smutna historia – wydukałem, a w moim umyśle szkic przedstawiający panią Charbuque ustąpił miejsca przerażającej „Śmierci na bladym koniu” Rydera.

– Dostrzega pan ironię sytuacji? Moja przepowiednia była czystą fabrykacją, ale wtedy szczerze wierzyłam, że jest autentyczna. Tłum pozwolił się omotać w imię rozrywki, a młody człowiek, który tak rozpaczliwie pragnął wygranej, wziął moje słowa za dobrą monetę. Dodajmy do tego tandetną małpią łapę, nowe wcielenie mojego ojca, który zmienił się w sprzedawcę cudów, oraz Ossiaka, który ignorował ostrzeżenia o słabości jego gospodarczego imperium. Ta burza iluzji przyniosła nie jedną, ale kilka tragedii.

– Jakie jeszcze nieszczęście z niej wyniknęło poza samobójstwem, którego zapewne nie dałoby się uniknąć? – spytałem.

– Dla mnie najważniejsze było to, że niewinna dziewczynka została zmieniona w potwora. Od chwili, gdy ojciec poinformował mnie o śmierci tamtego młodzieńca, czułam na swoich barkach brzemień odpowiedzialności. Ojciec był tak zadowolony, że aż pokraśniał na twarzy, a gdy spytałam go, czy moja odpowiedź nie zachęciła tamtego biedaka do zagrania na wyścigach, odpowiedział: „Bzdura, kochanie. Taki człowiek może usłyszeć tysiąc ostrzeżeń, ale i tak w swoim otępieniu uzna je za zachętę do poszukiwania chwały”.

Nikt nie wiedział na pewno, że to ja byłam Sybillą, chociaż z pewnością

wiele osób to podejrzewało, rozpoznając brzmienie mojego głosu i wiedząc, że mój ojciec ma córkę. Po występie i późniejszych niefortunnych wydarzeniach przyjęliśmy wielu gości. Koledzy ojca, inni pracownicy Ossiaka, wpadali do naszego mieszkania, licząc, że uda im się o coś spytać Sybillę. Ojciec odpowiadał, że Sybilla wyjechała z miasta na tydzień albo dwa, ale zapewne ponownie wystąpi w mieście w następnym miesiącu. Goście zerkali na mnie podejrzliwie, a ja czym prędzej się odwracałam. Czułam, że gdybym odwzajemniła ich spojrzenia, usłyszałabym głosy Bliźniąt i musiałabym wyjawić przyszłość ubraną w tajemnicze słowa.

Zaczęłam się bać oczu. Czułam na sobie spojrzenia ludzi, zupełnie jakby wysyłali w moją stronę promienie, które przenikały moje ciało i duszę w poszukiwaniu prorocत्व. Każdy kulisty kształt kojarzył mi się z olbrzymim okiem patrzącym na mnie z góry przez soczewkę mikroskopu.

Dzięki wpływom Ossiaka ojciec zorganizował kolejny występ w jednym z lepszych hoteli w mieście. Już nie pamiętam, gdzie to było, ale chodziło o ekskluzywny przybytek, z którego korzystały elity. Tym razem pobieraliśmy opłaty za wstęp. Ponownie usiadłam za parawanem i po raz pierwszy od tygodni poczułam się bezpieczna. Znów stałam się przekąźnikiem szeptów Bliźniąt, za co zgarnęliśmy małą fortunę.

Dopiero później dowiedziałam się, że na widowni zasiadł sam Ossiak i na jednym z liści znalazło się jego pytanie. Ojciec je odczytał: „Czy przyszłość jeszcze coś kryje?“, a na moją odpowiedź złożyły się obrazy pękniętego tronu, zgniłego jabłka i w połowie opróżnionej szklanki. Po drugiej stronie parawanu rozległ się pojedynczy jęk. Wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale to ja, jedenastoletnia dziewczynka, rzuciłam kamyk, który zapoczątkował lawinę finansowej ruiny.

Przez następny miesiąc raz w tygodniu występowaliśmy w tym samym hotelu. Pomiędzy sesjami zaczęłam spędzać coraz więcej czasu za parawanem. Gdy ktoś odwiedzał nas w mieszkaniu, uciekałam do swojej kryjówki. Ojca nigdy nie niepokoili moja pogłębiająca się nieśmiałość i nie potępiał mnie za nią, ponieważ, poświęciwszy większość życia na zgłębianie tajników kryształologii, uznawał za normalne to, że w pełni oddaję się swojej pracy.

Pewnego dnia w naszym domu pojawili się policjanci. Ukryłam się za parawanem, gdy przesłuchiwali ojca w sprawie śmierci mojej matki. Gdy powiedział im, że zabrał ją wilk, wyśmiali go, a jeden odparł: „Daj spokój,

Londell, masz nas za głupców?”. Mówili rzeczy, których nie chciałam słuchać, więc zamknęłam się w sobie i ich ignorowałam. Chociaż starałam się nie zwracać uwagi na to, co się dzieje, pamiętam, że w pewnej chwili ojciec otworzył skrzynkę, w której trzymaliśmy pieniądze zarobione na występach. Wkrótce potem policjanci wyszli. Od czasu tej wizyty zaczęłam występować pięć razy w tygodniu. Wtedy mój lęk przed światem po drugiej stronie parawanu zmienił się w obsesję. Gdy ktoś spotykał mnie poza moją kryjówką, zaczynałam drzeć i histerycznie płakać, ale za bezpieczną zasłoną z opadających liści czułam, że jestem Bogiem.

ZASIĘGANIE PORADY U BLIŹNIĄT

Pojedynczy zielony liść opadł, kołysząc się w powietrzu, mijając nieruchomy wizerunek swoich jesiennych kuzynów.

– Pokażę panu – rzekła pani Charbuque. – Ma pan swój ołówek?

– Tak – odparłem, wciąż próbując przetrwać jej twierdzenie, że czuła, iż jest Bogiem.

– Niech pan napisze jakieś pytanie – zachęciła.

Pochyliłem się i podniosłem liść z podłogi. Wymyślenie pytania zajęło mi tylko sekundę. Nie trzeba być wróżbitą, żeby odgadnąć, jak brzmiało.

– Gotowe – odrzekłem.

– Niech pan ostrożnie umieści liść pod kciukiem – poprosiła, a ja zobaczyłem, jak zwariowana małpia łapa powoli wysuwa się zza górnej krawędzi parawanu.

Tym razem jej widok wywołał uśmiech na mojej twarzy i usłyszałem, że pani Charbuque cicho chichocze, jak dziewczynka w kościele.

Wstałem i włożyłem liść w kudłatą dłoń, która następnie opuściła się z taką samą komiczną powolnością, z jaką się podniosła.

– „Czy dobrze to widzę?” – przeczytała pani Charbuque. – Chwileczkę, panie Piambo. Muszę zasięgnąć porady Bliźniąt.

Wiedziałem, że to farsa, ale nie miało to dla mnie większego znaczenia. Podekscytowany czekałem na odpowiedź, czując lekkie mrowienie w piersi.

– Widzę ogień... – odrzekła -...oraz śnieg. Lśniącą trumnę, uśmiech i anioła na plaży o zachodzie słońca. To wszystko. – Przez chwilę milczała, po czym się roześmiała. – No i co pan na to?

– Ciekawe obrazy, ale obawiam się, że nie jestem mądrzejszy niż przed zadaniem pytania – odparłem.

– Podczas całej mojej kariery jako Sybilla nigdy nie odpowiedziałam na niczyje pytanie.

– Więc tym razem również pani nie zawiodła – odrzekłem. – Jak długo

wcielała się pani w tę rolę? Wspominała pani, że kontynuowała występy także po śmierci ojca.

– Nie tylko kontynuowałam, ale zyskałam sławę oraz, jak pan widzi po atrybutach mojego życia, bogactwo. Owszem, jak na kogoś, kto tak naprawdę nie istniał, radziłam sobie całkiem nieźle.

– Niech mi pani opowie, jak to się stało – poprosiłem, szkicując podwójne łuki jej brwi.

– Ojciec i ja jeszcze dwukrotnie wybraliśmy się w góry, a w lecie po każdej z pór zimowych występowaliśmy w mieście. Większość pieniędzy, które zarabialiśmy, trafiała do kieszeni policji, która w zamian obiecała, że nie oskarży ojca o zamordowanie mojej matki. Ten układ ciążył mu na sumieniu, nie z powodu poczucia winy, ale dlatego, że nie chciał się dzielić naszym bogactwem. Mimo że lubił odgrywać asystenta Sybilli, przede wszystkim był kryształologogistą. Gdy wracaliśmy w góry, zagrzebywał się w swojej pracy. Opowieść przekazywana przez płatki śniegu stawała się coraz bardziej ponura z każdym odczytaniem, ale, nie licząc oczywistej troski o przyszłość, ojciec zawsze chętnie udawał się do blaszanego laboratorium i wspinał po drabince na siedzenie mikroskopu.

Pod koniec drugiego lata Ossiak wezwał ojca i wszystkich pozostałych wróżbitów, których zatrudniał, do swojej posiadłości na Long Island. Nie towarzyszyłam ojcu, ale kiedy wrócił, był blady jak śmierć. Powiedział, że Ossiak w ogóle się nie pojawił, a jeden z jego podwładnych przekazał wszystkim obecnym, że są zwolnieni, a wyniki ich badań oraz cały sprzęt zostaną skonfiskowane. To był koniec. Bez pracy ojciec stracił wolę życia. Powiedziałam mu, że utrzymamy się z naszych występów, a on westchnął i pokiwał głową, ale nigdy nie udało mi się go namówić na zorganizowanie nowych przedstawień w hotelu. W końcu przestał wychodzić z domu i całe dnie przesypiał.

Pewnego popołudnia, gdy siedział w swoim fotelu w salonie, poprosił mnie, żebym wcieliła się w Sybillę i przepowiedziała mu przyszłość. Nie miałam na to ochoty, ale nalegał. Kazał mi przynieść parawan z sypialni. Kiedy go rozstawiliśmy, ukryłam się za nim i usiadłam na krześle. „Sybillo, co kryje przyszłość?”, zawołał ojciec słabym głosem. Nie byłam zachwycona tą sytuacją, mimo to uspokoiłam się i zaczęłam nasłuchiwać głosów Bliźniąt. Niczego nie usłyszałam. Ojciec czekał cierpliwie na moją odpowiedź, ale nie uzyskałam żadnej wskazówki od moich dobroczyńców zamkniętych w

medalionie i miałam poczucie, że mnie opuścili. Oczywiście wiedziałam, że ojciec jest w złym stanie, więc rozmyślnie sfabrykowałam przyjemną wizję. „Widzę blask słońca, ocean słonecznego blasku i pomyślności”, powiedziałam, po czym dodałam jeszcze kilka podobnych pocieszających bzdur. Kiedy skończyłam, czekałam na jego reakcję. Myślałam, że zacznie bić brawo albo nawet zawoła: „Eureka!”, ale w salonie panowała całkowita cisza. Gdy wreszcie wyszłam zza parawanu, znalazłam go martwego w fotelu. Patrzył przed siebie z tak zatrważającą intensywnością, że...

Przestałam szkicować w połowie jej opowieści. Jeszcze poprzedniego dnia chciałam ją udusić, a teraz ogarnęło mnie współczucie.

– Miała pani trzynaście lat – odrzekłam.

– Tak.

– Mógł się panią zająć ktoś inny z rodziny? – spytałem.

– Może pan wierzyć lub nie, panie Piambo, ale sama się sobą zajęłam. Nawet pan sobie nie wyobraża, ile miałam trudności ze zorganizowaniem pogrzebu ojca. Stawali mi na drodze ludzie z piekła rodem, ale pragnęłam świętego spokoju i nie chciałam, żeby ktokolwiek mnie widział. Gdybym zaczęła szukać krewnych albo polegała na pomocy instytucji, nigdy nie uwolniłabym się od ich spojrzeń.

– To wymagało odwagi – przyznałem.

Otworzyły się drzwi i wszedł Watkin.

– Do licha – powiedziałem, nie ukrywając rozdrażnienia.

– Skończył się panu czas.

Zebrałem swoje rzeczy i włożyłem płaszcz.

– Do jutra, panie Piambo – powiedziała pani Charbuque, a ja wyczułem w jej pożegnaniu silne emocje.

– Do jutra – odrzekłam, starając się odwzajemnić tym samym.

Watkin był tak samo skrzywiony jak wtedy, gdy wprowadził mnie do pomieszczenia. Ruszyłem w jego stronę, ale nagle się zatrzymałem, przypominając sobie o pytaniu, które mnie dręczyło.

– Pani Charbuque, wiem już, że pani mąż zginął na morzu, ale ciekawi mnie, jak nazywał się jego okręt.

– Będzie pan musiał zaczekać do jutra – burknął Watkin.

– Ależ Peterze, to żaden kłopot – odparła moja klientka zza parawanu. – Jeśli się nie mylę, nazywał się *Janus*.

– Dziękuję, miłego dnia – odrzekłam.

Na schodach odwróciłem się w stronę Watkina.

– Życzę nudnego wieczoru, Peterze.

Oczywiście zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Pozostały mi dwie godziny do imprezy, w której miałem wziąć udział wieczorem. Mimo że Narodowa Akademia Projektowania mieściła się przy ulicy Dwudziestej Trzeciej Wschodniej, czyli niedaleko mojego domu w Gramercy, zamiast tam wracać, postanowiłem zjawić się na miejscu wcześniej i pospacerować po budynku, który kiedyś tak często odwiedzałem. Słońce już zachodziło, gdy pojawiłem się przed akademią, a widok ciepłego blasku bijącego z wysokich łukowato sklepionych okien napełnił mnie nostalgią. Przez chwilę stałem przed niskim ogrodzeniem z kutego żelaza i przyglądałem się architekturze budynku zbudowanego z szarego i białego marmuru oraz błękitnoszarego piaskowca, po czym wspiąłem się lewą stroną podwójnych schodów prowadzących do wejścia.

Wciąż trwały zajęcia, a ja z ogromną przyjemnością włóczyłem się korytarzami, zaglądając do sal, gdzie poważni studenci, głównie młodzieńcy, ale nie tylko, ciężko pracowali, zgłębiając swoje dziedziny sztuki. Wśród wykładowców nie brakowało zawodowych artystów, z których niemal wszystkich znałem. Z nazwisk ludzi, którzy pojawili się w tych murach, można było ułożyć listę najsłynniejszych amerykańskich artystów. Cole, Durand, Ingram, Cummings, Agate; byłaby to długa lista. Jednakże tego wieczoru starałem się zachować dyskrecję, nie chcąc, żeby zauważył mnie któryś z dawnych znajomych. W chwili, gdy wszedłem do budynku i poczułem jego znajomy zapach, postawiłem przed sobą konkretny cel.

Na parterze, w najdalszym kącie wschodniego skrzydła, znajdowała się niewielka galeria, w której akademia wystawiała dzieła ze swoich prywatnych zbiorów. Niektóre z nich stanowiły stałą ekspozycję, na przykład pejzaż Thomasa Cole'a, portret Eakinsa oraz obraz, który chciałem zobaczyć. Napięty harmonogram sprawiał, że mogłem sobie pozwolić na podziwianie tego dzieła najwyżej raz w roku. Za każdym razem, gdy wchodziłem do galerii, na chwilę opanowywała mnie trwoga, gdyż bałem się, że obraz przestał się podobać i został zabrany do magazynu. Tego wieczoru się nie zawiodłem.

W galerii nie było nikogo poza mną, więc w ciszy podszedłem do ławki i usiadłem przed arcydziełem Sabotta, „Madonną z mantykorami”, tym samym dziełem, które wiele lat temu pokazał mi mój ojciec.

Pamiętając opowieść pani Charbuque o śmierci ojca, również wróciłem myślami do swojej wielkiej straty. Nie chodzi mi tutaj o mojego ojca, ale o Sabotta. Po raz pierwszy spotkałem go właśnie w tym korytarzu. Prowadził wtedy kurs malarski w akademii. Byłem studentem już od kilku lat i zdołałem wypracować swój charakterystyczny styl, gdy byłem niewiele starszy niż pani Charbuque, kiedy została Sybillą.

Na szczęście, zajęcia w akademii były bezpłatne. Chociaż ojciec zostawił nam dużo pieniędzy, matka musiała nimi oszczędnie gospodarować, ponieważ nie mogliśmy się spodziewać żadnych dochodów do czasu, aż zacznę zarabiać. Byłem zmuszony biednie się ubierać i nie zawsze mogłem sobie pozwolić na niezbędne materiały, ale miałem talent i nauczyciele zazwyczaj mi pomagali, w miarę możliwości pokrywając dodatkowe wydatki.

Potem w akademii pojawił się Sabott. Zrobiłem wszystko co w mojej mocy, żeby dostać się na jego kurs, mimo że był z założenia przeznaczony dla starszych i bardziej zaawansowanych studentów. Pan Morse, który później miał wymyślić alfabet Morse'a, był wtedy dyrektorem akademii i miał o mnie bardzo dobre zdanie, znał bowiem mojego ojca. To on postarał się, żebym mógł wziąć udział w zajęciach malarskich Sabotta.

Sabott był surowym nauczycielem i wielu studentów go nie lubiło, ale ja byłem mu szczerze oddany ze względu na uwielbienie, jakim mój ojciec darzył jego dzieła. Przez kilka tygodni trwania zajęć Sabott zwracał się do mnie wciąż tymi samymi dwoma słowami. Podchodził, żeby obejrzeć któryś z moich obrazów, wskazywał jakiś element kompozycji i kręcił głową. Następnie podawał mi nóż do palet i mówił: „Zdrap to”, co oznaczało, że mam oczyścić płótno i zacząć od nowa. Robiłem to bez słowa protestu. Podczas ostatniego tygodnia kursu malowałem portret modelki ubranej tylko w różowy szlafrok. Każdego dnia spodziewałem się, że każe mi oczyścić płótno, ale tego nie robił. Był to mój najlepszy obraz. Ostatniego dnia, gdy dodawałem refleksy światła na szlafroku – końcowe detale – Sabott zauważył jakiś błąd w odwzorowaniu włosów. „Zdrap to”, nakazał. Prawie się rozpłakałem, ale usłuchałem.

Kurs dobiegł końca, a ja nie miałem ani jednego ukończonego obrazu. Sabott oszedł i nie wrócił w kolejnym semestrze. A dokładnie miesiąc później pojawił się na progu naszego domu w Brooklynie i poprosił moją matkę, żeby pozwoliła mi zostać jego uczniem. Od tamtej pory to on mnie

ubierał, karmił, uczył, zabierał ze sobą w podróże i zmuszał do morderczego wysiłku, wymagając, żebym został jak najlepszym malarzem.

Jego surowe zachowanie okazało się maską, którą zakładał w sali wykładowej, ponieważ na co dzień był mądrym i serdecznym człowiekiem. Przede wszystkim nauczył mnie dostrzegać, jak sztuka, literatura i nauka przenikają się z codziennym życiem. Nawet ucząc technik malarskich, odwoływał się do zagadnień z filozofii.

Siedząc na ławce i wpatrując się w to arcydzieło wyobraźni, dotkliwie czułem brak jego twórcy, a to doznanie straty pozwoliło mi odkryć silne pokrewieństwo z panią Charbuque.

GALERIA

Shenz był tak odurzony opium, że wzrok miał bardziej szklisty niż Watkin. Staliśmy z Johnem Sillsem przed jego dziełem, serią miniaturowych portretów przestępców. Świętujący hałaśliwy tłum krążył wokół nas, a bogaci mecenas przestawali z artystami – studentami, wykładowcami i mistrzami w swoich dziedzinach.

– Cudowna robota – pochwaliłem Johna.

Detektyw lekko się uklonił i podziękował.

– Ta dama wygląda znajomo – rzekł Shenz, wskazując ostatni obraz w szeregu, a jego całe ciało zadrżało, jakby dokonane odkrycie wytrąciło go z równowagi.

Zbliżyłem się do portretu, pochyliłem i wyteżyłem wzrok. Obraz przedstawiał ubogą kobietę w chustce na głowie. Mnie również wydała się znajoma.

– Czyżby to była sercowa sprawa, Shenz? – spytał Sills ze śmiechem.

Shenz nie dostrzegł żartu.

– Niewątpliwie – odpowiedział.

Gawędziliśmy jeszcze przez chwilę, a potem Sills oznajmił, że idzie się spotkać z właścicielem galerii, który wyraził zainteresowanie wystawianiem jego prac. Zanim się oddalił, chwycił mnie za łokieć i szepnął mi prosto do ucha:

– Muszę z tobą porozmawiać, zanim wyjdiesz.

Pokiwałem głową, a on zniknął w tłumie.

Zwróciłem się do Shenza, który wciąż przyglądał się portretowi Wolfe'a.

– Wyglądasz dziś na solidnie upalonego – powiedziałem.

– Owszem, a wiesz dlaczego? – odparł.

– Dlaczego? – spytałem.

– Bo tak rzeczywiście jest – odrzekł, skupiając wzrok po raz pierwszy, odkąd weszliśmy do galerii.

– Stracisz zlecenia – odparłem. Nienawidziłem się wymądrzać, ale ostatnio kariera Shenza podupadła i czułem, że mój przyjaciel wyrządza sobie dużą krzywdę.

– Okręt – zmienił temat Shenz. – Pytałeś o jego nazwę?

– *Janus* – odrzekłem.

– Pewnie miał figury zarówno na dziobie, jak i na rufie. Dowiedziałeś się, z jakiego portu wypłynął? Dokąd zmierzał?

– Zdobyłem tylko nazwę.

Wtedy podniosłem wzrok i zobaczyłem panią Reed we własnej osobie. Powoli szła w naszą stronę wzdłuż rzędu obrazów. Skinąłem głową w jej stronę, a Shenz obejrzał się, żeby zobaczyć, kto nadchodzi.

– Ona może mieć deringera w torebce, Piambo – rzekł. – Rozejść się! – Zaśmiał się cicho i chwiejnym krokiem oddalił w stronę szampana.

Ruszyłem w przeciwną stronę, wypatrując jej męża, który z pewnością był gdzieś w pobliżu. Przez godzinę krążyłem pośród tłumu, witając się z dawnymi kolegami i wykładowcami, wspominając dawne czasy i rozmawiając o sztuce. Jak zwykle, miło było posłuchać o różnych filozofiach i technikach, które inni wykorzystują w swojej pracy. W pewnej chwili natknąłem się na swojego byłego studenta. Młodzieniec stał przed obrazem, który zapewne sam namalował. Nosił długie włosy na modłę Whistlera.

– Edwardzie – powitałem go.

Gdy mnie zobaczył, wyciągnął w moją stronę rękę.

– Panie Piambo, jak się pan miewa?

Uścisnęliśmy sobie dłonie i cofnęliśmy się o krok, z namaszczeniem przyglądając się jego dziełu. Był to obraz o tematyce historycznej, namalowany w jaskrawych barwach i wyraźnym, realistycznym stylu, który był popularny, kiedy zaczynałem karierę. Tematem była Salomea i ścięcie świętego Jana Chrzciciela. Katowski bułał właśnie odrąbał brodatą głowę świętego, która teraz leżała u stóp femme fatale. Wyraźnie było widać wpływ stylu Sabotta i ucieszyło mnie, że ten młody człowiek podtrzymuje artystyczną pamięć mojego mentora.

– Wspaniała technika i kolory – powiedziałem.

– Dziękuję – odparł, kłaniając się z zażenowaniem.

– Ale jeśli mogę coś zauważyć... – zacząłem.

Skinąłem głową.

– Nie ma krwi. Temu biedakowi właśnie odcięto głowę, ale nigdzie nie

widać ani kropli krwi. – To była prawda. Koniec szyi świętego przypominał wieprzowy stek.

Edward wytrzeszczył oczy, a następnie klepnął się w czoło.

– Mój Boże – odrzekł. – Jutro będę go musiał ponownie umieścić na sztaludze.

– Nie przejmuj się, to dobry obraz – powiedziałem. – Kiedy go poprawisz, skontaktuj się ze mną przez akademię. Chętnie go kupię.

Uśmiech Edwarda był wart trzy razy więcej niż cena, którą miałem zapłacić za jego dzieło.

– Coś niesamowitego – rzekł. – Dziś wieczorem dostałem też od pewnego dżentelmena zlecenie na swój pierwszy portret.

Koniecznym chciałem mu powiedzieć, żeby odmówił. „Portret to pułapka, która ogołoci twoje serce z wszelkiej inspiracji”, zamierzałem powiedzieć, ale tylko poklepałem go po ramieniu, pogratulowałem i odszedłem.

Wkrótce pojawiła się Samanta, ubrana wyjątkowo pięknie w bladobłękitną jedwabną sukienkę, z kunsztownie spiętymi włosami zaplecionymi w warkoczyki. Napiliśmy się razem szampana, ale wkrótce rozdzieliła nas długa kolejka jej wielbicieli. Rozbawiło mnie, że nawet najbardziej cenieni artyści obecni w galerii nie mogli się równać pod względem zainteresowania publiczności z popularną aktorką. Samanta jak zwykle była uprzejma i chętnie rozmawiała z każdym ze swoich sympatyków. W pewnej chwili, gdy wciąż stałem na obrzeżach otaczającego ją tłumu, podniosła wzrok i uśmiechnęła się do mnie, jakby chciała mnie przeprosić. Pokiwałem głową i również się uśmiechnąłem, wiedząc, że później będę ją miał tylko dla siebie.

Odwróciłem się i z zaskoczeniem zauważyłem Alberta Pinkhama Rydera. Mimo że przez jakiś czas należał do akademii, zawsze miał kłopoty z wystawianiem swoich dzieł. Pozostali członkowie nieufnie podchodzili do jego stylu, nie do końca wiedząc, co o nim myśleć. W końcu dołączył do grupy artystów, którzy zrazili się nadętą postawą akademii i stworzyli Stowarzyszenie Amerykańskich Artystów. Organizowali własne wernisaże i ostatnio zyskali sporą popularność.

Ryder stał samotnie, ubrany w jedwabną marynarkę, trzymając kurczowo staroświecki melonik i wpatrując się w szkic anioła autorstwa Saint-Gaudensa. Ucieszył mnie widok jednego z moich bohaterów. Jego obecność wywołała we mnie podobne podekscytowanie, jakie odczuwają studenci, gdy

spotykają mnie albo innych zawodowców. Idąc w jego stronę, zastanawiałem się nad odpowiednim powitaniem.

– Dobry wieczór, panie Ryder – powiedziałem. – Chciałbym przeprosić, że w zeszłą niedzielę prawie pana staranowałem na Broadwayu.

Odwrócił się i skupił na mnie wzrok. Przez chwilę wyglądał tak, jakby właśnie przebudził się ze snu. Potem się uśmiechnął.

– Panie Piambo. Tak, to wszystko wydarzyło się tak szybko, że dopiero w połowie ulicy zorientowałem się, z kim miałem do czynienia.

Nie posiadałem się z dumy, że mnie zapamiętał.

– Podoba się panu wystawa? – spytałem. – W tegorocznym katalogu nie brakuje sław.

– To nie dla nich tutaj przyszedłem – odparł. – Wolę dzieła początkujących artystów. W ich pracach znajduję iskry pasji, których akademia jeszcze nie zdążyła stłumić.

– Rozumiem.

– Dlatego dziwię się, że nic pan nie wystawia. Może to przypadek, ale tego samego dnia, kiedy o mało się nie zderzyliśmy, byłem w galerii na przedmieściach, gdzie sprzedawano jeden z pańskich wczesnych obrazów, przedstawiający Tejrezjasza. Uchwycił go pan dokładnie w chwili przemiany w kobietę, więc postać miała cechy obojga płci. Niebo rozdzierała błyskawica, a cała kompozycja, chociaż pod względem tematyki widocznie inspirowana Sabottem, była bardzo surowa i dzika.

– Prawie o nim zapomniałem – odrzekłem, wspominając czasy, gdy namalowałem ten obraz. Przypomniało mi się, że Sabott, patrząc na płótno, pokiwał głową i powiedział: „Właśnie tak”.

– Bardzo inspirujące dzieło – rzekł Ryder. – Sam zacząłem się zastanawiać, czy nie wrócić do mitów. Pomyślałem o historii Zygryda, z którą już kiedyś się mierzyłem. Mówię panu, gdybym miał przy sobie odpowiednio dużo gotówki, kupiłbym ten obraz.

Teraz to ja ukłoniłem się zażenowany. Poczułem przypływ energii, jakiego nie doświadczyłem od czasów, gdy dopiero zaczynałem karierę, a każde poznane pojęcie i technika były jak nowy kontynent wyobraźni.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, John Sills wepchnął się między mnie a Rydera.

– Przepraszam panów. Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam, ale koniecznie muszę porozmawiać z Piambo.

Ryder pokiwał głową, uśmiechnął się i odwrócił. Byłem jak zamroczony, gdy John położył dłoń na moim ramieniu i wyprowadził mnie z galerii.

ŚCIĘCIE ŚWIĘTEGO JANA

Przed galerią stała grupka artystów pogrążonych w rozmowie i palących cygara. Ukłonili się i grzecznie z nami przywitani, gdy ich mijaliśmy. Doszliśmy do narożnika holu i skręciliśmy w lewo. Sills już miał coś powiedzieć, gdy nagle na horyzoncie pojawili się mężczyzna i kobieta, którzy podobnie jak my szukali zacisznego zakątka. Ku swojemu zaskoczeniu rozpoznałem Reeda. Jednakże młoda dama z pewnością nie była panią Reed. Skinąłem głową, ale mój niedawny klient udał, że mnie nie zauważył. Przeszliśmy do mniejszej galerii na tyłach budynku, gdzie wcześniej tego wieczoru siedziałem pogrążony w myślach.

Gdy zostaliśmy sami, Sills spytał mnie, jak mi się podoba wystawa.

– Jest wspaniała – odpowiedziałem. – Z przyjemnością zobaczyłem, jak duże poczyniłeś postępy.

– Niewiele brakowało, żebym tutaj nie dotarł – odrzekł. – Dziś po południu wybuchł pożar w jednym z magazynów przy Fulton Street. Budynek spalił się do gołej ziemi, z pewnością było to podpalenie. To nie mój rejon, ale brakowało im ludzi i potrzebowali jeszcze jednego detektywa. Musiałem skorzystać ze swoich znajomości, żeby się stamtąd wydostać.

Chciałem go spytać, czy spalił się budynek z namalowanym białym okręgiem, ale domyślałem się odpowiedzi.

– Chcesz ze mną porozmawiać o wydarzeniu, które omawialiśmy przed moim domem w zeszłym tygodniu? – spytałem.

Pokiwał głową.

– Oczywiście nie powinienem ci tego mówić, ale utrzymywanie tej sprawy w tajemnicy wcale mi się nie podoba – odrzekł. – Myślę, że popełniamy błąd, nie informując opinii publicznej. Skoro i tak już ci wszystko powiedziałem, pomyślałem, że przekażę ci także najnowsze wieści i jednocześnie przynajmniej częściowo uwolnię się od frustracji.

– Były kolejne ofiary – zgadłem.

– Tak – przyznał z udręczoną i zawstydzoną miną, jakby osobiście odpowiadał za bezpieczeństwo wszystkich mieszkańców. – Dwie od czasu naszej ostatniej rozmowy. W zeszłą niedzielę anonimowy telefon nakierował nas na jednego trupa, a kolejnego znaleziono w mieszkaniu niedaleko twojego domu.

– Dziennikarze jeszcze niczego nie zwietrzyli? – spytałem.

– Owszem, ale burmistrz kazał im milczeć, dopóki nie poznamy kolejnych faktów. Zgodzili się, choć niechętnie. Redaktorzy zapowiedzieli, że jeśli zostanie odnalezione kolejne ciało, historia trafi na pierwsze strony.

– Czy Ministerstwo Zdrowia wie coś więcej o tym, jaką drogą jest przenoszony pasożyt i skąd pochodzi?

Sills pokręcił głową.

– Dzisiaj usłyszałem, że być może znaleźli wspólny mianownik, ale to wszystko.

Zastanawiałem się, czy powiedzieć mu, że to ja zadzwoniłem w niedzielę, ale postanowiłem tego nie robić. Wokół mojej głowy krążyło już tak wiele tajemnic, że ta niemal pękała. Nie miałem zamiaru przyznawać się do kolejnej.

– Jestem pewien, że wkrótce przeczytamy o tym w „Worldzie”. Z pewnością jest to jakiś egzotyczny pasożyt, ale to dziwne, że jak na razie atakuje tylko kobiety. Na twoim miejscu znalazłbym sposób na ostrzeżenie Samanty, a zwłaszcza zalecił jej, żeby trzymała się z daleka od wody.

Nie mogłem go okłamywać.

– Już jej powiedziałem.

Myślałem, że będzie wściekły, ale tylko się uśmiechnął.

– To dobrze – odparł.

W drodze powrotnej na wystawę spytałem Sillsa, czy umówił się z właścicielem galerii, którego wcześniej szukał. John odpowiedział, że jeszcze nic z tego nie wyszło. Na korytarzach było już pusto, a gdy zbliżyliśmy się do sali wystawowej, powitała nas zaskakująca cisza. Zupełnie jakby przyjęcie gdzieś się przeniosło.

– Strasznie cicho – zauważył Sills, pociągając drzwi wejściowe. – Może sędziowie zaraz ogłoszą werdykt.

Gdy weszliśmy, powitał nas widok, który mógłby stanowić ilustrację tandetnej opowieści. Tłum wycofał się pod ściany dużego pomieszczenia, a na środku, obok stolika z szampanem, stała pani Reed z małym pistoletem w

dłoni. Drżała jej ręka, gdy z dwunastu metrów celowała do swojego męża, który opierał się plecami o „Ścięcie świętego Jana Chrzciciela” pędzla Edwarda.

Powinienem być bardziej zaskoczony, ale w obliczu tego wszystkiego, co ostatnio regularnie mnie spotykało, raczej dziwiłem się, dlaczego sam nie przewidziałem takiego rozwoju wypadków. Naprawdę musiałem pytać o krew na tym płótnie? – pomyślałem.

Zapewne nie trwało to tak długo, ale miałem wrażenie, że przez kilka minut czekaliśmy w milczeniu, aż rozlegnie się strzał. Reed był blady i lekko się pochylał, jedną dłonią zakrywając twarz, a drugą krocze, co byłoby zabawne, gdyby nie to, że jego życie wisiało na włosku.

– Kocham tylko ciebie – powiedział, ale jego zazwyczaj przymilny głos zabrzmiał jak ostatni zgrzyt psującej się zardzewiałej fabrycznej maszyny.

Wtedy Shenz, nonszalancko, jakby przechodził przez ulicę, wystąpił z tłumu i stanął pomiędzy panią Reed a jej mężem.

– Proszę pani, szkoda byłoby marnować pocisk – rzekł z uśmiechem, po czym ruszył powoli w jej stronę.

– Z drogi! – wrzasnęła, czerwieniejąc na twarzy.

Shenz się nie zatrzymał.

– Mam wrażenie, że pani dzieci będą dziś czekały na powrót matki – rzekł. – A co to? – Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął niewielką papierową torebkę. – Przyniosłem dla nich trochę cukierków.

Pani Reed jęknęła, wahała się jeszcze przez chwilę, po czym opuściła pistolet. Shenz podszedł i objął ją ramieniem. Wolną ręką odebrał jej broń. Kobieta oparła twarz o jego ramię i zapłakała.

John ruszył do akcji i zaraz znalazł się obok Shenza, żeby skonfiskować pistolet. Tłum nagroził owacjami bohaterstwo mojego przyjaciela, podczas gdy licznie zgromadzeni dziennikarze natychmiast otoczyli Reeda jak stado sępów. W akademii pojawiło się wielu jego partnerów w interesach i za sprawą tego, co widzieli bezpośredni świadkowie, jak również relacji, które miały się ukazać następnego dnia w prasie, Reed był skończony.

Sills wyprowadził panią Reed z galerii, niewątpliwie udając się z nią na komisariat na przedmieściu. Gdy mnie mijał, poprosił: „Daj mi znać, jeśli zdobędę wstążkę”. Tymczasem Samanta nałała Shenzowi kieliszek szampana. Tłum przez kilka chwil próbował zdecydować, czy to, co się wydarzyło, było wystarczająco tragiczne, żeby wstrzymać otwarcie, czy

może ludzie są na tyle zahartowani, by dalej się bawić. Po trzydziestu minutach niepewności wszyscy wzruszyli ramionami, jakby chcieli powiedzieć: „Do diabła z tym”, po czym mecenas i artyści odkleili się od ścian galerii, a rozmowy rozpoczęły się na nowo, jakby ktoś pstryknął przełącznikiem.

Kiedy zobaczyłem, że Shenz unika swoich nowych wielbicieli i kieruje się w stronę drzwi, ruszyłem za nim. Nie musiałem iść daleko, by go dogonić. Siedział na schodach przed budynkiem, paląc papierosa na zimnym wieczornym powietrzu. Usiadłem obok i również zapaliłem.

– Więc jednak miała deringera, ale to nie ciebie chciała zastrzelić – powiedział, kręcąc głową.

– To był deringer? – spytałem. – Stałeś się wróżbitą, tak jak pani Charbuque?

Uśmiechnął się.

– Myślę, że przekonała ją torba z cukierkami – odrzekł. – Nosilem ją przy sobie od dwóch tygodni.

– Bardzo głupi wyczyn – odparłem.

– Wiem. Zgrzeszyłem. Powinienem być pozwolić, żeby go zastrzeliła. Nigdy sobie nie wybaczę.

– Daj spokój, zaraz po pogrzebie pojawiłby się kolejny Reed. Dzisiaj produkuje się ich na masową skalę. Poza tym, zapewne ocaliłeś ją przed więzieniem albo czymś jeszcze gorszym. Kobiety, które zabijają mężczyzn, nie mają tak łatwego losu jak odwrotne przypadki.

– To prawda – przyznał.

– Ale co cię skłoniło, żeby to zrobić? – spytałem.

– Cóż – odrzekł, zaciągając się papierosem – rozejrzałem się po sali i pomyślałem: kto z obecnych ma najmniej do stracenia? Nie było konkurencji.

– Narkotyk wypacza ci umysł.

– Nie – odparł Shenz, wbijając wzrok w ciemność po drugiej stronie ulicy. – Ci wszyscy gładkolicy młodzieńcy i ich błyskotliwe dzieła. Uznani artyści i ich kariery. Jestem jak śniegowy bałwan stojący na słońcu. Mój talent skapuje ze mnie i odpływa strumyczkami, pragnienie malowania wyparowuje z każdą godziną, a moje serce pozostaje lodowate w obliczu tego wszystkiego.

– Musisz się pozbierać i wrócić do dawnej formy.

– Łatwiej powiedzieć niż zrobić – odparł.

– Poddajesz się?

– Jeszcze nie. Muszę ci pomóc wykurzyć panią Charbuque z ukrycia.
Potem zobaczymy.

SZPONY OBSESJI

Po otwarciu wystawy wróciliśmy z Samantą do mojego mieszkania. Mimo że najważniejszym wydarzeniem wieczoru stał się incydent z udziałem państwa Reed, a rozmowa z Shenzem na schodach przed budynkiem nieco popsuła mi nastrój, jako niepoprawny egoista myślałem przede wszystkim o pochwałach, jakie Ryder wygłosił pod adresem mojego wczesnego dzieła. Bardzo chciałem zrelacjonować swojej ukochanej całą rozmowę, ale czułem, że byłoby to nie na miejscu. Samanta z pewnością uśmiechnęłaby się i powiedziała: „Cudownie”, ale zabrzmiałbym jak egocentryczny amator. Pani Charbuque nie miała monopolu na ukrywanie się za parawanem.

Zamiast tego podczas spaceru do domu rozmawialiśmy o biednej pani Reed. Samanta wydawała się wyjątkowo przerażona jej sytuacją.

– Nigdy nie zmusiłbyś mnie do tego, żebym cię zastrzeliła, prawda, Piambo?

– Czasami dziwię się, że jeszcze tego nie zrobiłaś – odparłem.

– Dlaczego tak mówisz? – spytała, odwracając się w moją stronę.

– Dobry Boże, nie mam na myśli romansów – odrzekłem. – Po prostu czasami straszny ze mnie prostak.

– Aha, o to chodzi. Tego nie mam ci za złe, ale gdybym przyłapała cię z inną kobietą, nie byłabym tak nieudolna jak pani Reed. Nie zliczę, ile corocznie dostaję propozycji małżeństwa, zawołowanych lub wyrażonych wprost. Odrzucam zaloty innych mężczyzn, ponieważ wybrałam cię.

– Miło mi to słyszeć – odparłem.

– Powinieneś odpowiedzieć, że ty także mnie wybrałaś.

– Myślałem, że to oczywiste – odrzekłem. – Muszę to mówić?

– Chybaby cię to nie zabiło.

– Nie strzelaj. Tak, wybrałem cię. Naprawdę jesteś aż tak niepewna?

– Cóż, wyglądało na to, że kwiaty od pani Charbuque sprawiły ci dużą przyjemność – odparła.

- Daj spokój, przecież ta kobieta to wariatka.
- Nawet nie chodzi o kwiaty, tylko o wyraz twojej twarzy, zupełnie jakbyś coś ukrywał.
- Byłem zaskoczony, że zrobiła coś takiego. Nie wierzę, że po tych wszystkich portretach kobiet, które namalowałem, teraz zaczynasz być zazdrosna. Na litość boską, przecież namalowałem panią Reed. Wtedy nie miałaś żadnych zastrzeżeń.
- To zlecenie jest inne – odrzekła. – Całkowicie cię pochłania.
- Jest dosyć niezwykle.
- Widzę, że ona cię omotała.
- Bzdura – odparłem.
- Nie widziałeś jej? – spytała.
- Chodzę do jej domu i rozmawiam z mówiącym parawanem.
- Więc dlaczego na twoim szkicu jest oszałamiająco piękna i naga?
Zatrzymałem się. Samanta poszła dalej, po czym się na mnie obejrzała.
- Nie wiem – odrzekłem. – Może ona jest dla mnie jak mit, ponieważ jest niewidzialna i tak dalej. W ramach klasycznego stylu starożytnych bogów i boginie zawsze przedstawiano nago.
- Boginie?
- Wiesz, co mam na myśli – odparłem. – Przypomnij sobie obrazy Sabotta.
- Przekrzywiła głowę, jakby przeglądała w pamięci katalog jego dzieł.
- Nie przypominam sobie żadnej nagości – powiedziała.
- Co takiego? – zdziwiłem się, ale gdy sam szybko przejrzałem je w myślach, uzmysłowiłem sobie, że ma rację. Znow ruszyłem, bo wyglądało na to, że stanie w miejscu mnie ogłupia.
- Mówię ci, Piambo, że ta kobieta zawładnęła twoim umysłem. Jeśli nie będziesz uważał, posiadzie też całą resztę.
- Niczym nie zawładnęła – odparłem, kręcąc głową. – Ale ma moje pieniądze.
- Reszta spaceru do mojego domu upłynęła nam w ciszy, która panowała także, gdy się rozbieraliśmy w sypialni. W końcu już nie mogłem tego wytrzymać i spróbowałem zmienić temat.
- Co sądzisz o dzisiejszym zachowaniu Shenza?
- Samanta usiadła na łóżku i zaczęła zdejmować pończochy.
- Postąpił bardzo dzielnie, ale gdy na niego patrzę, mam wrażenie, że

bardzo się postarzał w ciągu ostatnich miesięcy.

Byłem wdzięczny losowi, że połknęła przynętę i zapomniała o poprzednim temacie.

– Obawiam się, że wpadł w szpony opium. Zdradliwy narkotyk ma nad nim kontrolę.

– Więc macie ze sobą coś wspólnego, skoro obaj straciliście głowę dla niematerialnego bytu – zauważyła.

Obejrzałem się na nią, zdejmując marynarkę.

– Proszę, Samanto. Przysięgam, że kocham tylko ciebie. Jestem ci oddany od piętnastu lat.

– Dwunastu – odparła.

– Nie wątp we mnie.

Przez chwilę mi się przyglądała.

– Przepraszam, Piambo – odrzekła w końcu. – Ufam ci.

– Musimy sobie ufać – odparłem, wieszając marynarkę w szafie. Gdy tylko wypowiedziałem te słowa, po prawej stronie wieszaka zauważyłem smoking, w którego rękawie ukryłem szkic pani Charbuque. Niewiele myśląc, sięgnąłem po niego, ale w porę się powstrzymałem, cofnąłem rękę i zamknąłem szafę.

Zgasiliśmy światła i leżeliśmy pod kołdrą, otoczeni wonią gałki muszkatołowej, której zaczynałem nienawidzić, wydobywającą się z zapalanej świecy. W myślach na zmianę oglądałem szczegóły swojego szkicu oraz pełną wizję pani Charbuque skąpanej w blasku księżyca za parawanem. Nie chciałem zakłócać tych wyobrażeń, więc miałem nadzieję, że Samanta szybko zaśnie.

Niestety, moje modły nie zostały wysłuchane. Samanta odwróciła się w moją stronę, a ja przyjąłem ją z poczuciem klęski. Tego wieczoru moje narzędzie pożądania okazało się równie bezużyteczne jak deringer pani Reed. Nie potrzebowałem Bliźniąt, by przewidzieć, że to niepowodzenie może mieć dla mnie opłakane skutki. Ciężyła na mnie ogromna presja, która na szczęście stała się zarzewiem prawdziwej amerykańskiej pomysłowości.

Wkrótce oddech Samanty uspokoił się i zwolnił. Leżałem nieruchomo przez kilka minut, a gdy upewniłem się, że naprawdę zasnęła, jeszcze chwilę odczekałem. Potem cicho i zręcznie odsunąłem kołdrę ze swojej strony łóżka. Panując nad mięśniami całego ciała, co nie było łatwe, bardziej uniosłem się w powietrze niż usiadłem. Przez kilka chwil pozostawałem na skraju

posłania, upewniając się, że nie obudziłem Samanty. Gdy wreszcie jej miarowy oddech przebił się przez bębnienie mojego serca, ostrożnie wstałem.

Na palcach okrążyłem łóżko i przeciąłem sypialnię, niczym jeden z kompanów pana Wolfe'a skradający się w ciemnym magazynie. Wiedziałem, że z zawiasami w drzwiach od szafy nie będzie żartów, i się nie pomyliłem, ale otworzyłem je bardzo szybko, żeby nie przeciągać ich skrzypienia. Obróciłem się i popatrzyłem na łóżko. Samanta leżała zwrócona twarzą do mnie, ale miała zamknięte oczy. Sięgnąłem do wnętrza szafy, znalazłem smoking i wsunąłem dłoń do rękawa. Szkic był na miejscu. Odetchnąłem z ulgą, jakbym spodziewał się, że ktoś go zabrał. Szybkim ruchem wydobyłem rulon z kryjówki. Posłuchałem głosu rozsądku i nie zamykałem drzwi, żeby ponownie nie skrzypieć zawiasami, po czym odwróciłem się, by opuścić sypialnię.

Zanim wyszedłem na korytarz, postanowiłem zgasić świecę. Pochyliłem się nad toaletką i cicho zdmuchnąłem płomień, po czym stanąłem w całkowitej ciemności.

Niemal podskoczyłem, gdy usłyszałem głos Samanty.

– Zawładnęła tobą, Piambo.

Miałem złudną nadzieję, że mi się to przyśniło albo Samanta odezwała się przez sen, ale nie miałem zamiaru tego sprawdzać. Nie oglądając się, poszedłem prosto do swojej pracowni. Tam włączyłem światło i napaliłem w kominku. Potem usiadłem i rozwinąłem szkic. Uważnie przestudiowałem każdy centymetr arkusza, aż w moim umyśle na nowo pojawiła się pierwotna wizja, a ta część mojego ciała, która zawiodła mnie zaledwie godzinę wcześniej, zbudziła się do życia.

DŁONIE

Kiedy w końcu oderwałem się od szkicu, ogień w kominku zgasł, a światło dnia wlewało się do pracowni przez świetlik nad moją głową. Odłożyłem szkic do kryjówki i położyłem się do łóżka. Później, kiedy Samanta wstała, udawałem, że śpię, ale pamiętam, że przed wyjściem pocałowała mnie w policzek. Potem odpłynąłem w sen i śniło mi się, że namalowałem setkę ohydnych obrazów z wizerunkiem pani Charbuque, które następnie zawisły na ścianach głównej galerii w Akademii Projektowania.

Kiedy się obudziłem, wizja mojej modelki towarzyszyła mi także na jawie. Dostrzegałem ją przez cały dzień, niczym jeden z ruchomych obrazów Edisona. Była jak upiór, który zerkał mi przez ramię, gdy goliłem się przed lustrem, płynął w powietrzu przez mój salon i unosił się nad tłumami przy Madison Avenue. Nie metaforycznie ani nie dosłownie, ale gdzieś pomiędzy. Samanta miała całkowitą rację. Pani Charbuque zawładnęła moim umysłem, tak jak Słońce ma we władaniu Ziemię, a Ziemia Księżyc. Z kolei ja byłem pewien, że moja wizja jest zgodna z prawdą, i tego popołudnia podczas podróży na przedmieścia nie posiadałem się z dumy.

Miałem nawet w zanadrzu miłe słowo dla Watkina i pochwaliłem jego fioletowy garnitur. Wydawało mi się, że wściekł się jeszcze bardziej niż wtedy, gdy byłem dla niego nieprzyjemny. Podczas naszej wędrówki przez dom przegapił jeden zakręt i lekko uderzył ramieniem o ościeżnicę. W końcu znalazłem się przed parawanem. Wyjąłem szkicownik i zatrzymałem ołówek nad papierem, a wtedy ona przemówiła.

- Dziś jest ostatni dzień drugiego tygodnia, panie Piambo.
- Zdaję sobie z tego sprawę – odpowiedziałem. – Zacząłem pracę nad portretem.
- Czy dobrze wyglądam?
- Raczej tak. Obecnie wykańczam szczegóły dłoni. Dłonie są niezwykle ważne na portrecie; pod względem charakterystyczności oraz pozycji na

obrazie ustępują jedynie twarzy. W dłoniach każdy człowiek trzyma historię swojego życia.

– Doskonale pan wie, że nie mogę opisać swoich dłoni – odrzekła.

– Oczywiście, że nie. Proszę po prostu kontynuować swoją opowieść od miejsca, w którym pani przerwała.

– Tak zrobię, ale skupię się także na pewnym konkretnym wydarzeniu. Ma ono wiele wspólnego z dłońmi.

– Doskonale – powiedziałem, rysując półksiężyc paznokcia kciuka.

– Po zapłaceniu za pogrzeb ojca i uregulowaniu wszystkich jego długów pozostało mi sporo pieniędzy. Wystarczająco dużo, abym mogła utrzymywać się na skromnym poziomie przez dwa lata. W tym czasie moje dni przypominały życie Thoreau w Walden Pond albo rozbitka Crusoe z powieści Defoe. Trwałam w samotności, nie szukałam niczyjogo towarzystwa, z nikim nie budowałam więzi. Siedząc za parawanem, czytałam całe biblioteki książek. Pomimo izolacji zewnętrzny świat docierał do mnie i utwierdzał mnie w przeświadczeniu, że jestem jego osiã. Bliźnięta były dla mnie jedynym towarzystwem i szeptały do mnie każdego dnia, ukazując mi swoje prorocze obrazy, umacniając nasze wzajemne zaufanie.

Jednakże moje noce wyglądały zgoła inaczej. Gdy nadchodził wieczór, zakładałam chustkę, naciągałam na oczy kapelusz o szerokim rondzie, po czym wymykałam się z budynku, żeby zrobić zakupy przed zamknięciem sklepów. Starłam się unikać wzroku ludzi, ale jednocześnie wiedziałam, że nikt mnie nie zna. Anonimowość to rodzaj niewidzialności. Po kupieniu kilku rzeczy, których potrzebowałam do przygotowania posiłków, oraz spenetrowaniu otwartych stoisk z książkami, lubiłam jeszcze przez kilka godzin pospacerować ulicami. Często widywałam wtedy sceny i wydarzenia, które przewidziały Bliźnięta. Wracałam do domu i ukrywałam się za parawanem, zanim na ulicach stawało się niebezpiecznie.

Byłam całkowicie zadowolona z takiego życia, ale po upływie dwóch lat pieniądze ojca zaczęły się kończyć, więc byłam zmuszona rozejrzeć się za pracą. Wiedziałam od początku, że wrócę do roli Sybilli. Moje występy dawały mi poczucie wszechwiedzy. Zamieściłam ogłoszenie w gazecie i porozmawiałam z kandydatami na stanowisko menedżera. Potrzebowałam pomocnika do rozmów z publicznością, żeby móc pozostać zagadką. Potrzebny był mi także ktoś, kto zająłby się rezerwacją występów, co wymagało bezpośrednich kontaktów z właścicielami lokali.

Niech pan nie zapomina, że miałam zaledwie piętnaście lat, a mimo to, doskonale rozumiałam, czego potrzebuję, i wszystko sprawnie zorganizowałam. Zapraszałam licznych kandydatów do swojego mieszkania. Oczywiście, podczas tych rozmów pozostawałam ukryta za parawanem. Pamiętali, że jeszcze niedawno Sybilla święciła triumfy w ich mieście, i zdawali sobie sprawę, że zdobycie tego stanowiska doprowadzi ich do bogactwa.

W końcu wybrałam dżentelmena, który przez kilka lat pracował dla P.T. Barnuma, a wcześniej działał w branży rewiowej. Nazywał się Carwin Chute i posiadał wszystkie cechy, których szukałam – poczucie melodramatu, zmysł organizacyjny oraz gotowość do wypełniania swoich obowiązków bez potrzeby oglądania pracodawcy. To on wpadł na pomysł umieszczenia w swoich oczach białych teatralnych soczewek i udawania ślepeca. Wspomniałam mu o mojej awersji do bycia ogladaną i ogólnie do widoku oczu, więc uznał, że jeśli nawet go zobaczę, pocieszy mnie iluzja, że jest niewidomy. Poza tym stwierdził: „Pomyśl, jakie to mądre, Luciere. Mężczyzna, który nie widzi, daje publiczności widzącą, której nie można oglądać”. Wiedziałam, że ojciec byłby zachwycony tym zestawieniem. Był to kolejny fałszywy trop, tak jak małpia łapa.

– A więc Chute to Watkin – odrzekłam.

– Oczywiście – przyznała pani Charbuque. – Od lat bardzo dobrze mu płacę, ale niezależnie od tego, jak wiele dzięki mnie zarobił, jestem mu znacznie więcej winna za jego oddanie. Dosłownie spadł mi z nieba. Przyznam szczerze, że to, co go motywuje, oraz jaki jest naprawdę, pozostaje dla mnie równie wielką tajemnicą, jak mój wygląd dla niego. Nigdy mnie nie widział, a jednak pozostaje wobec mnie niewzruszenie lojalny.

– Zatem będę musiał zmienić swoje zdanie o Watkinie – odparłam.

– Organizował moje występy za najwyższe honoraria w hotelach, teatrach, salach zebrań oraz podczas prywatnych przyjęć organizowanych przez bogaczy. Sybilla ponownie przekazywała swoje wizje ludowi, otrzymując w zamian pochwały i uwielbienie. Przed upływem roku stałam się kobietą zamożną. Poza tym zyskałam wpływy pośród ważnych tego świata i mogłam liczyć na ich przysługi, a to, panie Piambo, stanowi bogactwo znacznie cenniejsze od pieniędzy, które można zarobić, harując za nawet najwyższą godzinową stawkę.

Po dwóch latach występów w mieście, Watkin – jak zaczęłam go

nazywać, gdyż Chute całkowicie zniknął i odrodził się jako niewidomy człowiek, którego pan poznał – przyszedł do mnie i zasugerował, że aby uniknąć nasycenia publiki, Sybilla powinna wyruszyć w trasę po kraju. Uznałam, że to mądry krok. Podróżowaliśmy anonimowo pociągami, o różnych godzinach, aby Watkin mnie nie rozpoznał. On jechał pierwszy i rezerwował dla mnie pokój, a ja przybywałam później pod osłoną nocy albo w przebraniu. Ciągłe ukrywanie się było uciążliwe, ale tak bardzo tego pragnęłam, że zmuszałam się do wysiłku. St. Louis, Chicago, San Francisco – Sybilla wzięła szturmem wszystkie te miasta, a w mniejszych miasteczkach na prerii i Południu spotykałam się z niemal religijnym uwielbieniem. Nigdy nie zatrzymywaliśmy się na długo w jednym miejscu. Gdy już zaspokoiliśmy głód przyszłości wśród miejscowych, ruszaliśmy w dalszą drogę.

Gdzieś na Środkowym Zachodzie – w Missouri albo Oklahomie, wszystkie te miejsca wyglądały tak samo, ludzie zadawali takie same pytania i identycznie reagowali na moje wróżby – odkryłam, że stałam się kobietą. Niedawno skończyłam siedemnaście lat i gdy pewnego dnia zobaczyłam się w lustrze, czego starałam się unikać, ponieważ widok moich własnych oczu także mnie niepokoił, nie mogłam nie zauważyć, że moje ciało drastycznie się zmieniło i już nie byłam tą samą samotną dziewczynką, która spędzała zimy w górach Catskill. To odkrycie zaszokowało mnie bardziej niż miesięczka, której dostałam dwa lata wcześniej. Niech pan wybaczy otwartość, z jaką o tym mówię, panie Piambo.

– Niełatwo mnie urazić – odrzekłam, ale po jej wyznaniu uniosłem ołówkę znad papieru.

– Bliźnięta zaczęły mi pokazywać niezwykle odważne obrazy. Czytywałam wtedy wiele romansów oraz tanich sprośnych powieści, a mój umysł przetrawiał to wszystko bez udziału świadomości. Teraz elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Chciałam pozostać za parawanem, ale jednocześnie moje ciało pragnęło badać fizyczną naturę świata. Rozumie pan?

– Chodzi pani o seksualność? – spytałem, czując gorąco pod kołnierzykiem i w innych miejscach.

– Cieszę się, że mogę z panem szczerze rozmawiać – odrzekła. – Nocami, gdy leżałam w łóżku po występach, fantazjowałam o męskich głosach widzów, którzy zdawkowo dziękowali mi za otrzymane prorocтва. Na podstawie tych kilku słów wyobrażałam sobie całe postacie. Były równie

wyraźne jak obrazy, które przywoływały głosy Bliźniąt. Ich dłonie, panie Piambo, stawały się moimi dłońmi. Ich palce błądziły w ciemności jak palce ślepców, dokonując podniecających odkryć – ciągnęła pani Charbuque.

Usłyszałem, jak porusza się na krześle za parawanem. Po chwili rozległ się szelest materiału, a jej oddech utracił miarowy rytm i zmienił się w niemal niesłyszalne dyszenie.

OKRZYKI I SZEPTY

Cisza się przedłużała. Potem rozległo się ciche westchnienie i pani Charbuque ponownie się odezwała rozmarzonym głosem, niewłaściwie akcentując niektóre słowa, robiąc nieprzewidziane przerwy, od czasu do czasu dysząc.

Dobry Boże, pomyślałem, czy powinienem wyjść? Ale ona opowiadała dalej, pomimo niespokojnego oddechu.

– Pewnego wieczoru, w jakiejś zapadłej dziurze dawałam pierwszy występ z serii, która miała trwać przez cały tydzień. Wysunęłam małą łapę i otrzymałam zielony liść z zapisanym pytaniem „Czy ona wróci?”. Nie pamiętam, co odpowiedziałam, ale gdy to zrobiłam, dżentelmen, który najwyraźniej zadał pytanie, powiedział: „Bardzo dziękuję, pani Sybillo, uchroniła mnie pani przed złamanym sercem”. Uderzyła mnie szczerść, która biła z jego głosu, a także umiejętność otwartego rozmawiania o prywatnej sprawie w obecności tak licznie zgromadzonej publiczności. Kontynuowałam występ, ale zapamiętałam jego podziękowania i później wyobraziłam sobie efektowny scenariusz utraconej miłości i namiętnego pojednania. Nadal widzę... – Urwała, ciężko dysząc.

– Proszę mówić dalej – odrzekłem, pochylając się na krześle.

– Następnego wieczoru ten sam mężczyzna zadał identyczne pytanie. Udzieliłam mu odpowiedzi, która miała więcej wspólnego z moim wymyślonym scenariuszem niż z wizją, którą podszeptały mi Bliźnięta. On zrewanżował się czymś równie czarującym jak pierwszego wieczoru, dzięki czemu jeszcze mocniej rozpałił moje zainteresowanie. Uznałam, że muszę się z nim spotkać. Oczywiście mogłam poprosić Watkina, żeby opisał mi wygląd nieznanego, ale czułam, że moje zauroczenie jest czymś niewłaściwym, więc wymyśliłam inny sposób. Przepraszam na chwilę – powiedziała, a ja usłyszałam ciche skrzypienie jej krzesła, jakby się na nim kołysała. – Trzeciego wieczoru ubrałam się na czarno i narzuciłam czarny szal. Zabrałam

ze sobą na scenę także szpilkę do kapelusza. Zanim występ się rozpoczął, gdy publiczność jeszcze zajmowała miejsca, a światła jak zwykle były przygaszone... – Gwałtownie urwała.

Rozległ się odgłos przypominający szybką serię wilgotnych pocałunków, a po nim westchnienie. Gdyby w pokoju był ktoś jeszcze, jako pierwszy okazałbym wzburzenie, ale świadomość, że jesteśmy sami, wszystko zmieniała.

– Wtedy sięgnęłam w stronę parawanu i zrobiłam w nim małą dziurkę. Nie mogli jej zauważyć nawet ludzie siedzący w odległości metra, ale gdy przyłożyłam do niej oko, ujrzałam sporą część widowni... i... – Pani Charbuque znów urwała.

Mijały frustrujące sekundy wypełnione krótkimi mruknięciami rozkoszy. Gdy moja klientka znów się odezwała, w jej głosie dało się wyczuć nutę pośpiechu. Obejrzałem się przez ramię i otarłem pot z czoła. Odpędziłem od siebie niepokojącą wizję małpiej łapy.

– Byłam nienaturalnie zdenerwowana występem, cały czas mając nadzieję, że mężczyzna pytający „Czy ona wróci?” tym razem również się pojawi. Jego liść z pytaniem trafił do mnie na samym końcu. Przekazałam wizję przyszłości zgodnie z tym, co powiedziały mi Bliźnięta, po czym nachyliłam się, żeby zobaczyć, kto się odezwie. Zobaczyłam... zobaczyłam... przystojnego młodego mężczyznę w drugim rzędzie. Miał faliste włosy i przystrzyżone wąsy. Miałam nadzieję, że to on zadał pytanie. Okazało się jednak, że wstał dżentelmen siedzący pięć krzeseł od niego, nieco starszy ode mnie. Był ubrany w nienaganny tweedowy garnitur, miał jasne rudawe włosy, rumianą cerę i nosił niewielkie okulary o okrągłych szklach. Odezwał się i, och...

– Och? – spytałem.

– Oooh...

– Tak?

– Już wiedziałam, jak wygląda. Zaraz po zakończeniu występu wyszłam z teatru na ulicę. Schowałam się w bocznej uliczce, owinęłam głowę szalem i czekałam, aż nieznajomy będzie mnie mijał. Gdy w końcu obok mnie przeszedł, chwilę odczekałam, po czym ruszyłam za nim. Nie dotarliśmy daleko, gdyż wkrótce wszedł do niewielkiego sklepu oddalonego o kilka przecznic. Gdy zamknął za sobą drzwi, przeszłam obok nich, żeby dobrze zapamiętać to miejsce. Okazało się, że jest to małe muzeum. Muzeum...

Feniczych... Reliktów... głosił szyld nad... wejściem... – wysapała pani Charbuque.

Zza parawanu dobiegło małe kobiece stęknienie. Potem miałem wrażenie, że pani Charbuque zaczęła płakać, ale szloch szybko zmienił się w dalszą część opowieści. Kolejne słowa padały coraz szybciej i głośniej.

– Następnego dnia... tak... poszłam tam w normalnym stroju. Powiedziałam, że przyjechałam w odwiedziny z pobliskiego miasteczka. Tylko na kilka dni. Zaciekały mnie zbiory muzeum. Zaczęliśmy rozmawiać. Powiedział mi, że jest... tak... archeologiem amatorem. Uczestniczył w wykopaliskach w Kartaginie, gdzie znalazł... och... te skarby. Złotą maskę... bezręką statuetkę młodej kobiety pozbawioną połowy twarzy... kamienie pokryte starożytnym pismem... srebrny kaganek o długim dziobku...

Jej głos osiągnął punkt kulminacyjny, a ja wstałem z krzesła. Przysięgam, że wydała z siebie taki jęk, jakby umierała. Panele parawanu zagrzechotały. Potem przez jakiś czas nic nie mówiła, tylko szybko i głośno oddychała.

– Czy jest pani chora? – spytałem, wachlując się szkicownikiem.

Odpowiedziała dopiero po chwili, gdy uspokoiła oddech.

– Nigdy nie czułam się lepiej. – Znów usłyszałem, jak przesuwają się na krzesła, a następnie szeleści materiałem. – O czym mówiłam? – Ton jej głosu powrócił do normalności.

– O kaganku – odrzekłem, wracając na krzesło.

– A tak. Był uroczym mężczyzną i bardzo poważnym. Podczas rozmowy dużo gestykulował, zwłaszcza gdy chciał pokazać ruch, na przykład statku płynącego po otwartym oceanie. Opowiadał, że Fenicjanie byli królami morza w starożytnym świecie. Wierzył, że zdołali opłynąć ziemski glob. Słuchałam z udawanym zainteresowaniem o ich wojnie z Rzymem i utracie Kartaginy. Rzymianie wszystko zniszczyli, zabili mężczyzn, uprowadzili kobiety i posypali ziemię solą, żeby już nigdy nie wydała plonów. Nieco mnie znudził ten wykład poprzetykany datami, ale z przyjemnością patrzyłam na jego poruszające się dłonie. Były jak blade liście opadające i unoszące się na jesiennym wietrze.

Zaskoczyło mnie, że niemal bez lęku opuściłam kryjówkę za parawanem i pozwoliłam, żeby ktoś nieznajomy mnie zobaczył. Byłam jak w transie, zupełnie jakbym z zewnątrz patrzyła na siebie odgrywającą rolę tej przebiegłej kobiety. W końcu poczęstował mnie herbatą i przyznał, że

muzeum odwiedza niewiele osób. „Ludzie w tym miasteczku nic nie wiedzą o starożytnych i w ogóle się nimi nie interesują. Uznają mnie za głupca, ale mam więcej pieniędzy niż ktokolwiek z nich. A chociaż nie zdobyłem żadnych dyplomów, jestem poważany w swoim środowisku. Zdradzę pani, że zostałem poproszony o wsparcie badań samego Francisa Borne’a”.

Tego wieczoru ponownie pojawił się na moim występie. Następnego dnia wróciłam do jego muzeum, a on wyznał mi, że jego narzeczoną, którą zamierzał poślubić po swoim triumfalnym powrocie z północnej Afryki, uciekła do Nowego Jorku. Pocieszałam go dobrym słowem, a ta troska najwyraźniej sprawiła, że się mną zainteresował. Gdy drugiego dnia zamierzałam wyjść z jego sklepu, na chwilę położył mi dłoń na ramieniu podczas pożegnania. Spytał, czy wrócę, a ja odpowiedziałam, że nie wiem, co przyniesie przyszłość. Jego dotyk – pierwszy, jaki poczułam od lat – rozbudził we mnie namiętność.

Po tamtym dniu, gdy mnie dotknął, już więcej nie pojawiał się na moich występach. Ja jednak odwiedzałam go każdego popołudnia podczas pobytu w mieście. Ostatniego dnia powiedziałam mu, że rano wyjeżdżam. Chciał poznać moje imię, którego mu nie zdradziłam, a także wiedzieć, dokąd jadę i gdzie mieszkam. Nie powiedziałam mu niczego poza tym, że wrócę późnym wieczorem, żeby się z nim pożegnać. „Zostaw otwarte drzwi i zgaszone lampy”, poprosiłam, a on po tych słowach próbował mnie objąć, ale ja, chichocząc, wycofałam się z muzeum.

O północy przekradłam się pustymi ulicami, trzymając się cieni, ubrana tylko w czarną sukienkę i szal. Tym razem zrezygnowałam z bielizny. Płonęłam z pożądania. Łańcuszek od medalionu palił moją skórę, a Bliźnięta posyłały do mojego umysłu nieprzerwany strumień obrazów, szepcząc o nieopisanych scenach, od których kręciło mi się w głowie. Dotarłam do muzeum i zastałam drzwi otwarte na oścież. Wkroczyłam w ciemność i powoli ruszyłam główną alejką. W głębi pomieszczenia zobaczyłam płomień małej świeczki. Powędrowałam w jej stronę i nagle poczułam, że obejmują mnie jego ręce. Czekał na mnie ukryty za rzędem półek.

Jego dłonie krążyły po moim ciele, jakby był ich cały tuzin. Czułam je na piersiach, twarzy, brzuchu i między nogami, a gdy zorientował się, że nie mam niczego pod cienką sukienką, wyszeptał „Matko Boska”, po czym zamknął mi usta pocałunkiem. W tej samej chwili Bliźnięta zakończyły powódź wizji pojedynczym wyraźnym obrazem, który pojawił się w moim

umyśle z siłą wybuchu i już tam pozostał. Zobaczyłam swojego ojca, i to wyrwało mnie z transu. Powróciłam do rzeczywistości i poczułam odrazę do tej sturękiej obmacującej mnie bestii. Rozpaczliwie próbowałam się uwolnić, ale on coraz gwałtowniej mi się narzucał. Napierał na mnie całym ciałem, a ja czułam, że ulegam jego bezmyślnej agresji i bałam się, że mnie udusi.

Wymachiwałam rękami na boki, aż w końcu moja lewa dłoń otarła się o jeden z eksponatów. Rzuciłam się w tamtą stronę i chwyciłam ciężki metalowy przedmiot. Kierowana strachem i obrzydzeniem, uderzyłam napastnika w głowę. Cicho stęknął, po czym jego ciało zwiotczało i osunęło się na podłogę. Uciekłam z muzeum i wróciłam do hotelu.

Podaję, że ocknął się dopiero następnego ranka, a wtedy siedziałam już w pociągu, szybko oddalając się od tego przekłętego miasteczka. Na moich kolanach spoczywał przedmiot, którego użyłam jako broni, gdyż uznałam, że nie chcę się z nim rozstawać. Była to lampa wykonana ze srebra, cyny albo stopu cynowo-ołowiowego, pokryta niezwykłą ornamentacją przedstawiającą zapętlone węzły. Na końcu długiego dziobka znajdował się korek, który zamykał chlupoczącą zawartość. W dzieciństwie miałam książkę z baśniami, a ta lampa bardzo przypominała tamtą przedstawioną na ilustracji. W lampie z opowieści krył się zły dzinn. Postanowiłam nigdy nie wyjmować korka. Wie pan, czego się nauczyłam po tym wydarzeniu, panie Piambo?

Musiałem odchrząknąć i zwilżyć usta, żeby odpowiedzieć.

– Czego, pani Charbuque?

– Zaczęłam myśleć o swojej matce. Zrozumiałam, że miała powody, by chcieć od życia czegoś więcej niż szalony mąż, który dbał o nią mniej niż o niematerialny cud śniegu. Liczyła się dla niej terażniejszość, a nie iluzoryczna przyszłość. Po raz pierwszy ujrzałam życie z jej punktu widzenia. Dotarło do mnie, że należała jej się chwila przyjemności z tropicielem, a mój ojciec zamordował ją za tę niewielką pociechę. Dorastałam w izolacji, więc nie wiedziałam, że pragnęła tylko prawdziwego życia, ojciec zaś od początku korzystał z mojej pomocy, żeby trzymać ją w niewoli. Wtedy w pociągu, gdy uciekałam przed durnym archeologiem, zrozumiałam, że moje występy to oszustwo, a głosy Bliźniąt, choć dręczą mnie do dzisiaj, są tylko ułudą.

– Więc dlaczego wciąż pozostaje pani za parawanem? – spytałem.

– Szukam wolności, jakiej kobieta nie może znaleźć w społeczeństwie. Gdy przywdziewam przebranie anonimowości i wkraczam do pańskiego

świata, widzę milion dowodów na to, że mam rację. W swoim świecie, czego dziś był pan świadkiem, mogę sobie pozwolić na wszystko. Mogę zaspokoić każdy kaprys, od najbardziej podstawowego po najbardziej złożony.

Tego dnia już nic więcej nie powiedziała. Gdy pięć minut później pojawił się Watkin, życzyłem jej miłego weekendu, po czym wyszedłem z pokoju.

– Niech pan teraz na siebie uważa, panie Piambo – rzekł staruszek, nim zamknął za mną drzwi. Jego pożegnanie było niepokojąco pozbawione cynizmu.

PUKANIE BEZ ODPOWIEDZI

Po spotkaniu z panią Charbuque potrzebowiałem kilku minut na zimnym wietrze, żeby ochłonać. Najnowsza część jej opowieści wymagała ode mnie spożycia tak wielu nieprawdopodobnych faktów, że czułem się nimi upojony i przepychałem się przez tłum chwiejnie niczym pijak. Co się tyczy namiętnego występu, który rozegrał się na boku przy okazji snucia opowieści, nie byłem w stanie stwierdzić, czy pani Charbuque po prostu zaspokajała swój kaprys, czy może jej pożądana demonstracja miała na celu odwrócić w sprytny sposób moją uwagę. Być może, odwołując się do słów jej ojca, był to tylko fałszywy trop, który jednak skalą nie mógł się równać z tym, co błyskawicznie wypełniło moje spodnie.

Podjechałem tramwajem do Dwudziestej Siódmej Ulicy, po czym najkrótszą drogą udałem się do Kirk's Saloon przy Broadwayu. Męskie towarzystwo, dębowe panele, słynne olejne obrazy na ścianach, whisky, to wszystko mnie uspokoiło i przywróciło mój organizm do stanu przyziemnej homeostazy. Szczęśliwie w lokalu nie było nikogo znajomego, więc usiadłem przy największym oknie wychodzącym na ulicę i patrzyłem, jak miasto wypełnia swoje codzienne rytuały. Zapaliłem papierosa i próbowałem zracjonalizować to wszystko, co usłyszałem. Gdy analizowałem opowieść pani Charbuque, wyszły na jaw drobne, ale niepokojące sprzeczności, które zbiły mnie z tropu. Na przykład, trudno mi było uwierzyć w obecność znalezisk z Kartaginy w niewielkim muzeum na dzikim Środkowym Zachodzie. Ale czy moja klientka mogła wymyślić taki szczegół na poczekaniu?

Wspomniała o Francisie Bomie i wkładzie młodego archeologa w pracę wyroczni wróżącej z odchodów. Ta wiadomość wcześniej mi umknęła, gdy pędziliśmy na oślep ku jej zaspokojeniu. Watkin, który naprawdę nazywał się Carwin Chute, chętnie poświęcił swoje życie na odgrywanie tandetnej roli kaleki. Sybilla, przepowiadająca przyszłość na południe od linii Masona-

Dixona, była tam traktowana z niemal religijnym uwielbieniem. Do tego dochodziła nagła rehabilitacja jej matki i wynikający z tego upadek ojca. Wszystkie te okruchy, które upuszczała po drodze, były załączkami opowieści, w których wędrowiec mógłby się zgubić na długie dni.

Pijąc trzecią whisky, zrozumiałem, że, w odróżnieniu od Fenicjan, nie uda mi się opłynąć świata doświadczeń pani Charbuque. Przy czwartej szklaneczce uznałem, że wystarczy mi bezcelowe dryfowanie po spokojnym Morzu Zagubienia. Właśnie wtedy, wyciszony własną niezdolnością do rozplątania węzła gordyjskiego jej opowieści, doszedłem do wniosku, że to bez znaczenia, ponieważ w moim umyśle nadal płonęła wizja nagiej kobiety ukrytej za parawanem. Moje wyobrażenie pani Charbuque przetrwało tę burzę bez żadnego uszczerbku. Uregulowałem rachunek i ruszyłem do domu, żeby zabrać się za malowanie.

Uciąłem sobie długą drzemkę i wstałem około dwudziestej, po czym wyjąłem szkic z kryjówki w szafie i udałem się do pracowni. Nie usiadłem i nie wpatrywałem się w swoje rysunki tak jak poprzedniego wieczoru, wiedząc, że ponownie wprowadzi mnie to w trans. Zamiast tego przygotowałem paletę, wybrałem pędzle i przystąpiłem do pokrywania płótna ciemnym podkładem. Chciałem, żeby składał się z barw nocy – fioletu, błękitu, szarości i zieleni – tworząc opalizującą mieszankę w kolorze indygo, mroczniejszą i bardziej tajemniczą od zwykłej czerni. Podczas malowania farbami olejnymi zawsze zaczyna się od nakładania ciemnych odcieni, co stanowiło udaną metaforę mojej pogoni za panią Charbuque.

Gdy podkład nieco wysechł, użyłem zieleni chromowej, nanosząc na płótno kontury nagiej postaci, które później miały się stać kontrapunktem dla cielistych barw. Inny malarz mógłby najpierw naszkicować modelkę węglem albo kredą, skoro podkład był tak ciemny, ale ja wolałem pracować wyłącznie za pomocą pędzla. Następnie zabrałem się za kreślenie zarysu twarzy bielą tytanową. Wykorzystując technikę suchego pędzla, która pozwala na tworzenie półtonów, zazaczyłem linie, wypukłości i zagłębienia składające się na niepowtarzalne rysy twarzy. Gdy już namalowałem podstawowe elementy portretu, pokryłem niektóre miejsca bielą, żeby dodać obrazowi głębi i dokładniej określić kształty. Teraz płótno musiało wyschnąć, więc zakończyłem pracę na tę noc.

Było już po trzeciej, więc powinienem się położyć, jednak mój organizm pobudzało napięcie towarzyszące aktowi tworzenia. Nie ma niczego lepszego

dla zdrowia niż taki przyływ energii, która stanowi niepowstrzymaną esencję życia. Wiedziałem, że nie ma sensu z tym walczyć, więc usiadłem przed płótnem z papierosem i szklaneczką w dłoni, kontemplując pozę malowanej postaci.

Nagle postanowiłem, że sportretuję panią Charbuque od kolan w górę, z goleniami i łydkami rozpluwającymi się w cieniu. Była lekko zgięta w pasie i wyciągała przed siebie prawą rękę, a lewą trzymała na wysokości ramienia dłonią do zewnątrz. Piersi nie leżały płasko, lecz zwisały pod niewielkim kątem. Głowa była lekko odwrócona i przekrzywiona, trochę jak u Watkina, gdy udawał niewidomego. Kobieta nasłuchiwała, delikatnie unosząc podbródek. Zdecydowałem, że będzie zerkała z ukosa i uśmiechała się, nie złośliwie, ale jak dziecko, któremu udało się polakierować płatek śniegu dla swojego ojca.

W końcu chwiejnym krokiem dotarłem do łóżka i przespałem się kilka godzin. Mimo że wciąż było wcześnie, ze snu wyrwało mnie pragnienie pracy nad portretem. Chętnie zrezygnowałbym ze śniadania, żeby od razu zabrać się za malowanie, ale obraz musiał jeszcze wyschnąć, więc poszedłem coś zjeść do Crenshawów. Nad talerzem z zasmażanym mięsem i jajkami czytałem gazetę, w której donoszono o podupadającej gospodarce, sprzecznie Clevelanda wobec srebrnej waluty, co kosztowało go obniżenie notowań w sondażach, a także o grupie zwanej Ligą na rzecz Zamknięcia Barów, która, niech Bóg ma nas w opiece, domagała się wprowadzenia prohibicji. Zrozumiałem, że odkąd znalazłem się pod wpływem pani Charbuque, ukryłem się za własnym parawanem, który oddzielał mnie od wydarzeń na świecie. Nie śpieszyłem się, wypilem mnóstwo kawy i pogawędziłem z panią Crenshaw. Dopiero po upływie dwóch godzin zapłaciłem i wróciłem do domu.

Zapewne powinienem odczekać kilka godzin przed zabraniem się do pracy, ale nie mogłem się doczekać ponownego zatracenia w beczasowym transie, który ogarnia mnie, gdy maluję. Po powrocie do studia przemyślałem swój plan ataku. Uśmiechnąłem się na myśl o spędzeniu całego dnia w towarzystwie ciała pani Charbuque, ponieważ to ono, nie licząc włosów i oczu oraz otaczającej nocy, stanowiło całą zawartość obrazu. Nie chcę się przechwalać, ale jestem mistrzem w odwzorowywaniu fałd i niezliczonych zagięć materiału, powierzchni aksamitu, gładkiego połysku jedwabiu. Patrząc na moje obrazy, ludzie często komentują przede wszystkim stroje postaci, a

dopiero potem twarze czy podobieństwo do pierwowzoru. Jednakże było coś wyzwalającego w odrzuceniu ubrań i skupieniu się na nagiej formie. Namalowałem tysiąc aktów, ale żaden nie był taki jak ten, a perspektywa pracy nad nim pobudzała mnie w zmysłowy sposób.

Od czego mogłem zacząć, jeśli nie od oczu? Oczywiście, siena palona, żeby namalować zewnętrzną obwódkę tęczówki, ale gdy przyszło do wybrania koloru, musiałem się chwilę zastanowić nad swoją wizją. Nagle usłyszałem pukanie do drzwi wejściowych. Wiedziałem, że to zapewne Samanta, ale jak mógłbym ją teraz wpuścić? Przeszedłem do salonu i wyjrzałem spomiędzy zasłon. Ze swojej kryjówki widziałem ją na schodkach, ubraną w długi zimowy płaszcz i wełnianą czapkę. Jej pojawienie się mnie zirykowało. Na pewno chce mnie gdzieś wyciągnąć, pomyślałem. Ponadto musiałbym się gęsto tłumaczyć, gdyby zobaczyła zaczęty portret. Ponownie zapukała, a kiedy nie zareagowałem, za sprawą niemal niedostrzegalnego ruchu brwi i ust na jej twarzy wesołość ustąpiła miejsca delikatnemu smutkowi. Oczywiście wiedziała, że zdaję sobie sprawę z jej obecności. Jeszcze nigdy nie zamknąłem przed nią drzwi. W końcu odwróciła się i powoli odeszła ulicą. Zanim zniknęła mi z oczu, szybko się obejrzała, a ja zobaczyłem w jej oczach, że czuje się zdradzona. Poczuję to w sercu, ale nie ruszyłem w stronę drzwi.

Chociaż wydawało się to bez sensu, dałem pani Charbuque oczy Samanty, ich żalosalne spojrzenie, kolor, stłumiony blask i zmrużone powieki, dzięki którym wyglądała na zagubioną. Ukończywszy ten fragment portretu, poczułem większą pewność siebie, widziałem bowiem, że mój projekt nabiera realnych kształtów. Miałem wrażenie, że kobieta patrzy na mnie, gdy ją maluję. Wiedziałem, że kiedy ziarno niepewności zatrzyma mechanizm wyobraźni, wystarczy popatrzeć w te oczy, by odczytać w nich pochwałę bądź wskazówkę dotyczącą nowego kierunku.

Jak już wspomniałem, chciałem, żeby ciało pani Charbuque lśniło, i chociaż wiedziałem, że efekt ten będzie w głównej mierze skutkiem użycia rozmaitych rodzajów werniksu i lakieru, które nałożę podczas malowania postaci oraz po zakończeniu pracy, musiałem uczynić jej skórę jaśniejszą niż zazwyczaj. W tym celu zmieszałem typowe ilości białej oraz czerwonej farby kadmowej, ale dodałem więcej tytanowej bieli, a także kapkę windsorskiego błękitu jako ustępstwo na rzecz nocy i księżyca.

Czas z pewnością mijał, chociaż nie czułem jego upływu. Gdy wreszcie

odsunąłem się od obrazu, zdałem sobie sprawę, że zapadł zmierzch, a ja w którymś momencie zapaliłem światło i napaliłem w kominku, mimo że w ogóle tego nie pamiętałem. Jak miałem w zwyczaju, zrobiłem sobie drinka i zapaliłem papierosa, po czym usiadłem przed sztalugą, żeby oglądać swoje dzieło. Pozostało mi jeszcze dużo pracy, ale bez trudu potrafiłem rozpoznać osobowość i wygląd postaci na płótnie. Z przyjemnością zauważyłem, że udało mi się osiągnąć efekt wyłaniania się kobiety z ciemności, i przewidywałem, że nałożenie lakierów dodatkowo go wzmocni. To był najlepszy portret, a może nawet obraz, jaki kiedykolwiek namalowałem.

Ponownie pozwoliłem, żeby podniecenie samo ze mnie spłynęło, po czym udałem się na spoczynek. Zasnąłem, gdy tylko położyłem głowę na poduszce. W ostatniej chwili pomyślałem nie o portrecie, tylko o oddalającej się sylwetce Samanty.

SHENZ OD MAKÓWEK

Obudziło mnie skrzypienie deski w podłodze, a gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem ciemność. Oparłem się na łokciu i wyteżyłem słuch, próbując ocenić, czy ten hałas stanowił część snu. Nie zabrzmiał ponownie, ale gdy moje serce się uspokoiło, wychwyciłem inny, cichszy dźwięk dobiegający z korytarza przed moim pokojem. W tej samej chwili, gdy moje oczy nieco przyzwyczyły się do nocnego mroku, zorientowałem się, że słyszę czyjś oddech. Jakaś sylwetka stanęła w drzwiach. Nie dostrzegłem żadnych szczegółów wyglądu mojego gościa.

– Samanta? – spytałem.

Nie było odpowiedzi, a moje serce zaczęło tłuc się w piersi.

– Kto tam jest?! – zawołałem, po czym odrzuciłem kołdrę.

– Niech pan zostanie na miejscu.

Rozpoznałem głos z teatralnej łoży.

– Charbuque – powiedziałem. – Czego pan chce? – Moje dłonie zaczęły drżeć, a reszta ciała zwiotczała ze strachu.

– Celuję do pana z pistoletu – rzekł mój gość. – Zrobiłby pan najlepiej, gdyby się nie ruszał.

– Przyszedł mnie pan zabić? – spytałem, w każdej chwili spodziewając się huku wystrzału.

– Jeszcze nie. Może niedługo. Przyszedłem, żeby powiedzieć, że pański obraz jest bezwartościowy.

– Widział go pan? – spytałem.

– Jest dosyć odważny, panie Piambo.

– To klasyczna poza – odparłem.

– Akurat. Tak czy inaczej, kobieta, którą pan namalował, nie jest moją żoną.

– Widział ją pan? – spytałem.

– Przecież jestem jej mężem, głupcze.

Nie mogłem się powstrzymać.

– W czym się pomyliłem?

– Pytanie brzmi raczej: w czym się pan nie pomylił? Pozwoliłem sobie dodać kilka pociągnięć od siebie. A co do szkicu, to znajdzie go pan w popiołach w kominku. Coś panu poradzę... – rzekł, po czym przemieścił się, a ja dostrzegłem w ciemności zarys pistoletu w jego dłoni.

– Co może mi pan powiedzieć? – Bałem się, że moja bezczelność go rozzłości, ale byłem gotów podjąć takie ryzyko, żeby zdobyć choć jedną wskazówkę.

– Moja żona jest oszałamiająco piękna – odpowiedział, po czym przez dłuższą chwilę milczał. – Jest także najbardziej intrygancką suką po tej stronie Słupów Herkulesa.

– Tak? – odrzekłem, spodziewając się, że za chwilę opíše mi chociaż jedna cechę jej wyglądu.

Czekałem na jego odpowiedź, aż w końcu zdałem sobie sprawę, że odszedł. Gdy to zrozumiałem, usłyszałem, jak otwierają się, a następnie zamykają drzwi do mojego salonu. Wskoczyłem z łóżka i pobiegłem korytarzem. Po dotarciu do salonu usłyszałem oddalające się kroki na chodniku przed domem.

Zostawił zapalone światło w pracowni. Wszedłem tam i usiadłem przed sztalugą. Obraz był zmasakrowany, podziurawione i pocięte płótno zwisało w białych strzępach. Jego kawałki zaścięłały podłogę. Próbowałem zrozumieć wściekłość, która popchnęła go do takiego ataku, ale zamiast tego zaszlochałem z bezsilności. Płakałem jak dziecko, nie da się tego inaczej określić. Co gorsza, wyraźny obraz, który nosiłem w myślach przez ostatnie kilka dni, również został bezpowrotnie zniszczony. Gdy poszukałem go w pamięci, ujrzałem zaciemniony pokój, ale sylwetka pani Charbuque rozpadła się i zmieniła w wirującą spiralę śniegu.

Oto całkowita porażka. Miałem zaledwie dwa tygodnie na stworzenie nowego wizerunku i ukończenie portretu. Wydawało się to niemożliwe. Charbuque darował mi życie, ale zniszczył moją pewność siebie, nadzieję i chęć dalszej pracy. Znalazłem się w punkcie wyjścia. A prawdę mówiąc, byłem w dużo gorszej sytuacji, ponieważ miałem zszargane nerwy, zawiodłem Samantę i wątpiłem, czy jestem godzien wspiąć się wyżej i rozwinąć swój warsztat. Mijały godziny, a ja siedziałem nieruchomo, wpatrując się w poszarpane szczątki swojego marzenia.

Słońce niedawno wzeszło, a promienie wpadające przez świetlik właśnie zmieniły kolor z czerwonego na złoty, gdy usłyszałem pukanie do drzwi. Wstałem i powłócząc nogami, dotarłem do salonu. Gdy otworzyłem drzwi, zobaczyłem Shenza stojącego na schodach przed domem.

– Fatalnie wyglądasz – powiedział.

– Już po wszystkim – odparłem.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Skończyłeś portret?

– Wejź – odrzekłem, wprowadzając go do pracowni. – Jest tutaj.

– Malowałeś brzytwą? – spytał.

Opowiedziałem mu o wszystkim, co się stało, o swojej pracy i wizycie Charbuque. Kiedy skończyłem, Shenz pokręcił głową i usiadł w fotelu, który niedawno zwolniłem. Muszę przyznać, że wyraźnie przejął się moją sytuacją i podzielał moje rozczarowanie.

– Koniec zabawy – stwierdziłem.

Zapalił jednego ze swoich papierosów. Wkrótce spowił nas dziwny, słodki zapach opium.

– Ponura sprawa – odrzekł Shenz, po czym wręczył mi papierosa.

Przez chwilę się wahałem, po czym przyjąłem narkotyk. Jeszcze nigdy go nie próbowałem. Przekazywaliśmy sobie papierosa dwa albo trzy razy, aż w końcu Shenz dopalił go do końca.

– Jak on wyglądał, zanim Charbuque go pociął? – spytał.

Zerknąłem na Shenza z miejsca, w którym stałem. Zdjął kapelusz i położył go na kolanach. Coś mnie uderzyło w jego wyglądzie. Oświetlony złotym słońcem, z siwiejącą brodą, przeredzającymi się włosami i wyraźnymi zmarszczkami na twarzy wyglądał jak biblijny prorok z obrazu Caravaggia.

– Kiedy tak siedzisz, przypominasz świętego – powiedziałem.

– Święty Shenz od makówek – odrzekł, po czym wstał, podszedł do sztalugi i pchnął ją na podłogę.

Przewróciła się z hukiem, wzbijając obłoczek pyłu. Z jakiegoś powodu wydało mi się to zabawne i obaj się roześmialiśmy.

– Pchaj swój wózek po kościach umarłych, Piambo.

– Co takiego?

– Innymi słowy, naprzód! – rzekł Shenz. – Weź się w garść. Może Charbuque wyrządził ci przysługę.

– Dlaczego miałyby to robić? Z tego, co mówił podczas naszego krótkiego spotkania, zapewne niedługo będzie musiał mnie zabić.

– Więc lepiej zabieraj się do pracy. Musisz namalować obraz. Widzę, że przyszedłem do ciebie w idealnym momencie, ponieważ zamierzam cię zaprowadzić do Człowieka z Równika. Gwarantuję, że on ci pomoże.

– Mamy dokądś iść? – spytałem.

– Jak się czujesz?

– Moja głowa jest pełna światła i wszystko wydaje się wyraźniejsze niż zazwyczaj.

– Możesz widzieć i słyszeć dziwne rzeczy – rzekł Shenz. – To potrwa tylko godzinę albo dwie. Potem zachce ci się spać, więc lepiej się pośpiesz. Zdejmuj koszulę nocną, ubieraj się i wkładaj płaszcz oraz kapelusz.

Wiedziałem, że Shenz próbuje mi się przypodobać, ale jednocześnie czułem podekscytowanie na myśl o czekającej nas wyprawie. Dlaczego? Nie potrafię wyjaśnić. Jednakże, pomimo przyływu nowej energii, miałem wrażenie, że poruszam się dwukrotnie wolniej niż zwykle.

Gdy szliśmy w stronę Broadwayu, żeby znaleźć dorożkę, cały świat wydawał mi się niezwykle płynny, a zarysy budynków rozmazywały się i łączyły z niebem. W pewnej chwili zobaczyłem pana Wolfe'a w kobiecym przebraniu, który zbliżał się do nas chodnikiem.

– Shenz, zobacz, tam jest Wolfe – powiedziałem, wskazując palcem.

– Przyjrzyj się uważniej – odparł mój przyjaciel. – To policjant.

Gdy postać nas minęła, zobaczyłem, że obaj się pomyliliśmy. Była to atrakcyjna młoda kobieta ubrana w niebieski płaszcz i kapelusz. Wymieniliśmy spojrzenia z Shenzem i się roześmialiśmy.

– No cóż – rzekł Shenz – przynajmniej wiedziałem, że to na pewno nie Wolfe. Nie czytałeś w gazecie, że zastrzelił go mąż tamtej kobiety, z którą spotkał się w Village po naszej eskapadzie?

– Nie – odparłem. – Biedny Wolfe. Polubiłem go.

– Mąż dowiedział się o zabawach swojej żony i nakłonił ją, żeby wciągnęła naszego ślusarza w pułapkę. W Hell's Kitchen krążą plotki, że ciało Wolfe'a znaleziono bez jego niezwykłej dłoni i teraz ktoś szuka preparatora gotowego ją zakonserwować.

– To na swój sposób bardzo poetyckie. Nadal będzie się dostawał do tajemnych miejsc na ziemi, choć jego duch baraszkuje w niebie.

– Albo znacznie niżej – odparł Shenz, gdy wreszcie dotarliśmy na

Broadway. Podniósł rękę, zatrzymując przejeżdżającą dorożkę, po czym podał woźnicy adres w Greenwich Village.

– Shenz – odezwałem się, gdy ruszyliśmy w stronę śródmieścia. – W tej chwili widzę miasto na przemian w normalnej postaci i w ruinach, jakbyśmy jechali przez pozostałości po jakimś starożytnym królestwie.

Mój przyjaciel się roześmiał.

– Pod wpływem opium ludzie widzą różne dziwactwa. Żadne nie są prawdziwe, choć wiele z nich jest ciekawych. Na przykład, kiedy mijaliśmy Dziewiętnastą Ulicę, wydawało mi się, że na rogu stoi kobieta płacząca krwią.

Już miałem ześlizgnąć się z siedzenia i wyrzucić przez okno, ale powstrzymałem się, pamiętając, że ze względu na obietnicę daną Johnowi Sillsowi nie wspominałem Shenzowi o chorobie. Martwiłem się tym tylko przez chwilę, gdyż zaraz ujrzałem niebieskiego dzinna, który wydobył się z rury wydechowej auta.

CZŁOWIEK Z RÓWNIKA

Zatrzymaliśmy się przed niewielkim sklepem na Dwunastej Ulicy. Nad wejściem wisiał szyld, a litery tworzące napis „Człowiek z Równika” nie zostały namalowane, tylko wydrążone dłutem. Przed drzwiami stała drewniana figura, ale nie był to Indianin, który często pilnuje wejścia do sklepów z wyrobami tytoniowymi, lecz bardzo szczupły mężczyzna albo kobieta w szlafroku. Twarz o wysoko osadzonych kościach policzkowych i spiczastym podbródku była zwrócona do przodu, a powieki zaciskały się z rozkoszy. Kosmyki włosów zwisały do ramion. W obu dłoniach postać trzymała miniaturowe repliki świata. Zaintrygowała mnie ta rzeźba, ponieważ została bardzo zręcznie wykonana.

– Dobra robota – powiedziałem do Shenza, wskazując posąg.

– Tak – odrzekł. – Chyba pochodzi ze Wschodu.

Weszliśmy do ciemnego pomieszczenia o podłodze z szerokich, szorstkich belek. Pierwszym, na co zwróciłem uwagę, była mnogość zapachów, które unosiły się w powietrzu i łączyły w jedną ciężką i ostrą woń. Odwrócone pęki suszonych kwiatów i ziół, blade powykręcane korzenie i liście delikatnych paproci zwisały z niskiego sufitu. Na rzędach półek stały butelki o różnych kształtach, wypełnione całą gamą kolorowych płynów, z których część była czarna jak smoła, inne przypominały płynną czekoladę, a jeszcze inne były przejrzyste i miały piękną błękitną, zieloną albo fioletową barwę. Na niektórych półkach stały pudła oznaczone dziwnymi napisami wykonanymi woskowym ołówkiem – „Płatki z mózgu wołu”, „Sproszkowany jad żmii”, „Podnózek królowej Hebspy”, „Kamienie żółciowe/Puma”... Na ścianach wisiały ręcznie narysowane mapy krajów i terytoriów, których nie znałem.

– Chodź – zachęcił mnie Shenz, zanurzając się w cieniach.

Już miałem za nim pójść, gdy nagle tuż nade mną coś przeleciało. Poczułem muśnięcie skrzydeł, a kiedy się schyliłem i uniosłem ręce, żeby

zasłonić głowę, straciłem z niej kapelusz.

– Co, do diabła?! – wrzasnąłem.

Shenz się roześmiał.

– To ta przekłeta sowa. Zapomniałem cię ostrzec. Za pierwszym razem, kiedy tutaj przyszedłem, omal nie wystraszyła mnie na śmierć. Nie martw się, jest niegroźna.

Podniosłem kapelusz z podłogi i ponownie go założyłem, chociaż stanowił słabą ochronę przed kolejnym niskim przelotem. Gdy przeszliśmy w głąb sklepu, zauważyłem ptaka siedzącego na wieszaku na płaszcze. Sowa złożyła skrzydła i wyglądała jak wypchana. Miała obły kształt, około sześćdziesięciu centymetrów wysokości, zaokrągloną głowę i białe oblicze. Gdy ją mijaliśmy, nagle obróciła głowę i popatrzyła na mnie dużymi okrągłymi oczami, w których odbijało się słabe światło wpadające przez frontowe okno.

Po opuszczeniu głównej części sklepu przeszliśmy długim korytarzem, pod którego ścianami stały sięgające sufitu regały ze starymi książkami. Skręciliśmy w prawo w kolejny korytarz pełen książek, po czym weszliśmy do pomieszczenia zalanego światłem. Nie licząc niskiego murku otaczającego teren, pozostała część budowli składała się z dużych szyb. Gdy tylko tam wszedłem, poczułem ciepło. Wzdłuż ścian stały stoły, a na nich rzędy donic z roślinami; kolejne rośliny zawieszono na sznurkach. Na samym środku, jakby czekając na nasze przybycie, stał wysoki, żylasty mężczyzna o krótko przystrzyżonych włosach. Od razu zwróciłem uwagę na gładkość jego skóry i wyrazistość spojrzenia. Promieniował żywotnością.

– Shenz – odezwał się do mojego przyjaciela, po czym podszedł, żeby podać mu rękę.

– Goren – odpowiedział Shenz. – Oto Piambo, o którym ci opowiadałem.

– To pan jest tym malarzem – rzekł Goren, ściskając moją dłoń.

– A pan Człowiekiem z Równika – odparłem.

Pokiwał głową.

– Skąd dokładnie na równiku pan pochodzi? – spytałem.

– Z Brooklynu.

– Też się tam wychowałem. Rzeczywiście niektóre jego rejony są równie egzotyczne jak Madagaskar.

– Święta racja – odrzekł Goren z uśmiechem. – Zapraszam, porozmawiamy w sklepie.

Wciąż towarzyszyły mi skutki wypalenia papierosa Shenza, ale teraz ogarnęło mnie wygodne znużenie. Myślałem, że złudzenia, których doświadczałem podczas podróży doróżką, już mnie opuściły, ale gdy wyszliśmy z rozświetlonego słońcem pomieszczenia z roślinami, obejrzałem się i przez jedną z szyb zobaczyłem opadające brązowe liście, które układały się we wzór znany mi z parawanu pani Charbuque. Gdy go zauważyłem, liście znieruchomiały na dobre dwie sekundy, po czym opadły na ziemię. Potrząsnąłem głową i udałem się w ślad za Gorenem i Shenzem z powrotem do ciemnej jaskini homeopatii.

Goren zajął miejsce za niskim stołem w kącie sklepu. Obok stały dwa krzesła, co wskazywało na to, że czasami przyjmował gości. Shenz i ja również usiedliśmy, a wtedy nadleciała sowa i przycupnęła na szczycie dużego globusa osadzonego na stojaku w kształcie kolumny.

Człowiek z Równika zaczął pokrótce przedstawiać mi swoje osiągnięcia. Zapewne chciał w ten sposób przekonać mnie, że warto go wysłuchać. Skończył medycynę na uniwersytecie w Pensylwanii. Od najmłodszych lat był samotnikiem, który lubił wędrówki. Gdy został lekarzem, nie potrafił osiąść w jednym miejscu, lecz postanowił podróżować po świecie. Schodził z utartych szlaków i docierał w najdziksze zakątki, gdzie uczestniczył w leczniczych praktykach szamanów i czarowników sporządzających niezwykle lekarstwa. Gdy wreszcie wrócił do cywilizacji, przywiózł ze sobą zebrane leki i wziął się za poszukiwanie oraz badanie dawnych tekstów, w których chciał odnaleźć kolejne przepisy. Przeplatał te informacje cytatami z hermetycznej, transcendentalnej filozofii, których nie rozumiałem i które nawet sowę skłaniały do przewracania oczami.

– Zatem nasz wspólny przyjaciel Shenz z jakiegoś powodu uważa, że mogę panu zaproponować metodę, która pozwoli panu skutecznie zrealizować zlecenie.

– A może pan? – spytałem.

– Zacznę od tego, że pańskie zadanie wydaje mi się cudownie absurdalne. W przeszłości wielokrotnie przekonałem się, że podejmowanie pozornie niemożliwych wyzwań jest niezwykle ważne. Można w ten sposób wiele zyskać. Gdy stajemy przed ceglany murem, myślimy: Jak go okrążyć? Ale trzeba zmienić sposób myślenia. Pomedytować nad istnieniem muru. Badać go dotąd, aż frustracja zmieni się w fascynację. Mówiąc w skrócie, musimy sami stać się murem.

- W tej chwili rzeczywiście tkwię w miejscu jak ceglany mur – odparłem.
- A inteligencją też zawsze mu dorównywał – dodał Shenz.

Goren się nie uśmiechnął.

- Widzi pan obraz za moimi plecami? – spytał, wskazując kartkę wyrwaną z książki i przybitą gwoździem do ściany.

Widniał na niej okrąg złożony z dwóch równych części, białej i czarnej. Granica nie przebiegała pośrodku; oba kolory jakby wirowały wokół siebie, chociaż się nie mieszały. W najszerszym miejscu każdej z plam znajdował się niewielki okrąg w przeciwnym kolorze.

- Yin i yang – rzekł Goren. – Wie pan, co oznaczają?

Pokręciłem głową.

– To starożytne chińskie symbole opisujące Słońce i Księżyc – podstawowe pojęcia we wszechświecie, ale także odnoszące się do natury ludzkich dramatów. Biel i czerń to przeciwstawne siły, które tworzą kosmos. Stale się poruszają, zmieniają, wpływają na siebie nawzajem. To działanie jest sercem wszelkiego istnienia. Światło i mrok, dobro i zło, tak i nie, męczyzna i kobieta, twardość i miękkość, inteligencja i ignorancja, rozumie pan?

– Są jak bliźnięta, a jednak stanowią swoje przeciwieństwo – zauważył Shenz.

– Gdy pozostają w równowadze, panują zdrowie, zrozumienie i twórczy potencjał. Dlatego człowiek zawsze pragnie mieszkać na równiku. Gdy równowaga zostaje zaburzona, budzą się choroby i chaos – wyjaśnił Goren.

- Moje yin i yang uległy zaburzeniu – odrzekłem.

– A teraz niech pan zwróci uwagę na to – odezwał się Goren, przesuwając palcem po granicy między yin a yang. – Proszę o tym myśleć jak o atomie, najmniejszej cząstce materii. W każdym atomie zawiera się pełna natura wszechświata, tak samo każda osoba, niczym bóg, mieści w swoim umyśle całość kosmosu. Jakże niepozorny pod względem wielkości jest nasz mózg w porównaniu z bezkresnym oceanem, a jednak potrafi go objąć jedną myślą, pozostawiając miejsce na Partenon, plan Nowego Jorku, piramidy i tak dalej. Cytując Emily Dickinson: „Mózg rozleglejszy jest niż niebo”. Ta koncepcja sięga pierwszej zapisanej ludzkiej myśli. Można ją wysledzić w Rygwedzie i Daodejing, a także naukach Buddy oraz dziełach Pitagorasa, Platona, Awerroesa, Giordana Bruna, Emersona czy mojego przyjaciela Walta Whitmana.

Sowa uznała, że ma dosyć, i wzbiła się w powietrze.

– Rozumie pan, o czym mówię?

– Nie – szepnąłem, czując się tak, jakbym wrócił do szkoły i musiał odszyfrowywać dziwaczne liczby.

– Pan, panie Piambo, mieści w sobie całą wiedzę wszechświata, podobnie jak Shenz i ja. Portret pani Charbuque już w panu istnieje. Musi go pan po prostu odkryć. Niech pan sobie przypomni, jak się pan czuł, malując dla siebie, a nie w ramach zlecenia. Czy każde pociągnięcie pędzla było jak układanie cegieł w murze, o którym wspominaliśmy? A może każdy ruch odkrywał coś, co już istniało w pańskiej duszy? Czy to nie Michał Anioł mówił o „uwalnianiu” postaci z kamienia? Wybierał bryły marmuru, kierując się ludzkimi formami, które już się w nich kryły.

– Owszem, doświadczyłem tego – odpowiedziałem. – Ale jak mam odkryć panią Charbuque? Nie zna jej pan. To bardzo nieuchwytna kobieta.

– Zazwyczaj zalecałbym pięć lat wygnania, odosobnienia i intensywnej codziennej medytacji oraz dietę złożoną z zielonych warzyw, fig oraz alkoholu otrzymanego z miąższu pigwy.

– No proszę – odrzekł Shenz.

– Mam dwa tygodnie – odparłem.

– Zdaję sobie z tego sprawę. W takim razie będziemy potrzebowali jakiegoś katalizatora. W tym celu przygotowałem dla pana ten eliksir. – Goren sięgnął pod stół i wyjął z ukrycia dużą okrągłą butelkę ze szklanym korkiem. Wypełniała ją jakaś gęsta żółta breja. – Należy się dziesięć dolarów – dodał.

PRZEBUDZENIE

W dorożce wiozącej mnie do domu siedziałem z przymkniętymi oczami i mocno ścisnąłem butelkę żółtej mazi. Goren powiedział mi, że tego środka używano w krainie Prezbitera Jana, żeby inspirować dworskich artystów i umożliwić im rozbudzenie kosmicznej świadomości. Znalazł listę składników i przepis w kopii tomu, który podobno został przywieziony z Azji przez Sir Johna Mandeville'a i niedawno przełożony przez jednego z profesorów w Oksfordzie. Przetłumaczona nazwa starożytnego napoju brzmiała „Przebudzenie”.

Shenzowi, który siedział naprzeciwko mnie, zdecydowanie przydałoby się przebudzenie, gdyż prawie odpłynął w sen. Mój umysł był już na tyle rozbudzony, że rozumiałem, iż zawdzięczam przyjacielowi ocalenie przed groźnym przygnębieniem, które mogło mnie opanować po utracie portretu. Miałem wobec niego dług wdzięczności. Mimo że narkotyk rozproszył moje smutki, byłem zaskoczony, że Shenz ma dość energii, by przyjmować go codziennie i wytrzymać jego gwałtowne działanie. Ten pojedynczy romans z opium wystarczył, żebym postanowił unikać go do końca życia.

Byłem na krawędzi snu, a mój umysł zaczął rozważać tajemnice yin i yang. Wyobraziłem sobie ten symbol zamknięty w medalionie pani Charbuque, biało-czarną formę krążącą jak dwie ryby goniące nawzajem swoje ogony. Gdy zamknąłem oczy, Shenz się obudził i pochylił.

– Piambo – powiedział.

Otworzyłem oczy.

– Nie mówiłem ci, ale znalazłem kilka informacji o tamtym statku, *Janusie*. Dwóch starych marynarzy w zatoce go pamiętało. Mniej więcej piętnaście lat temu wypłynął z Londynu w podróż powrotną do Nowego Jorku. Nigdy nie dotarł do celu i nikt nigdy nie poznał jego prawdziwego losu. Innymi słowy, całkowicie zniknął. Jedna z teorii głosi, że na środku Atlantyku zatopił go huragan. Tak pisano we wszystkich gazetach, a po

słowach marynarzy ja również przypomniałem sobie tę historię. Jeden z wilków morskich powiedział, że od czasu do czasu ktoś donosi, iż *Janus* gdzieś się pojawił i natychmiast zniknął, jak miraż. Jednak jego towarzysz tylko się roześmiał i stwierdził, że to wszystko bujdy wymyślane przez znudzonych marynarzy, żeby straszyć kobiety i dzieci oraz zabawiać się nawzajem.

– Dziwne, ja w ogóle tego nie pamiętam – odrzekłem.

– Dwaj dżentelmeni, z którymi rozmawiałem, okazali się niezwykle pomocni, ponieważ skierowali mnie do pobliskiego budynku, w którym znajdował się rejestr wszystkich statków. Tam pozwolono mi przejrzeć dokumenty dotyczące *Janusa*. Na liście pasażerów z ostatniej podróży nie było nazwiska Charbuque.

– Ciekawe – odrzekłem. – Wygląda na to, że pani Charbuque również opowiada bujdy.

Jechaliśmy dalej w milczeniu, aż dotarliśmy do mojego domu. Zanim wysiedliśmy z dorożki, poprosiłem Shenza, żeby przypomniał mi, w jakich dawkach mam przyjmować eliksir Gorena.

– Zapomniałem – odparł Shenz. – Pij kilka łyków dziennie. Jeśli odrobina przyniesie dobry skutek, to większa ilość będzie jeszcze korzystniejsza. Ale na twoim miejscu poważnie zastanowiłbym się nad teorią, że pani Charbuque już istnieje w twoim umyśle.

– Myślałem, że ją znalazłem – odrzekłem.

– Potraktuj tę próbę tak samo jak małą łapę. Zbliżasz się, jestem tego pewien – powiedział, po czym wysiadł.

Byłem coraz bardziej znużony, ale nie chciałem później zastać w pracowni bałaganu, więc zabrałem się za sprzątanie. Gdy już pozbyłem się zniszczonego płótna i poukładałem przybory malarskie, postanowiłem zażyć dawkę swojego lekarstwa. Połowa mnie uznawała to za farsę, ale druga połowa rozpaczliwie wierzyła, że mikstura okaże się skuteczna. Kiedy wyjąłem korek, siarkowy odór uniósł się z butelki jak zły dzinn. Wstrzymałem oddech i wychyliłem solidną porcję. Po chwili poczułem smak jakby słodkiego syropu przyrządzonego ze zgniłych jaj i dwukrotnie się zakrztusiłem. Łzy napłynęły mi do oczu, a ślina uciekła w kąciuki ust. Przez krótką chwilę miałem wrażenie, że mój żołądek odrzuci lekarstwo, ale potem wszystko się uspokoiło.

Poszedłem do sypialni, zdjąłem buty i już miałem się rozebrać, gdy nagle

poczułem, jak coś gwałtownie porusza się w moich jelitach. Jeśli było to „przebudzenie”, to z pewnością bardzo gwałtowne i nieprzyjemne. Pomknąłem do ubikacji i spędziłem tam całą godzinę. Nie wiem, co uchodziło za „kosmiczną świadomość” w krainie Prezbitera Jana, ale miałem wrażenie, że eliksir Gorena stanowi w najlepszym wypadku okrężną drogę do jej osiągnięcia.

Po tych bolesnych przeżyciach położyłem się i spokojnie przespałem noc. Tylko raz na chwilę wstałem w ciemności, czując, że ktoś jest w moim pokoju. Jednak byłem tak zmęczony, że nawet nie udało mi solidnie przestraszyć i od razu ponownie zapadłem w sen, w którym szedłem o świcie przez zasypany śniegiem las. Na korzyść Gorena przemawiał fakt, że w poniedziałek rano obudziłem się wypoczęty i spokojniejszy niż kiedykolwiek od czasu przyjęcia zlecenia. Mimo to, zabrałem butelkę z Przebudzeniem do wychodka i wylałem całą zawartość do miejsca, w którym i tak miała ostatecznie spocząć.

Później tego popołudnia zasiadłem przed parawanem. Podczas tego spotkania wytyczyłem sobie konkretne zadanie i nie przejmowałem się szkicownikami.

– Wczoraj widziałam na ulicy pańską przyjaciółkę, Samantę Rying – powiedziała pani Charbuque. – Sprawiała wrażenie nieco opuszczonej.

Zignorowałem jej komentarz.

– Niech mi pani opowie o swoim mężu – poprosiłem.

– Ach tak, Moren Charbuque – odrzekła. – Miłość mojego życia.

– Czyżbym wyczuwał nutę sarkazmu? – spytałem.

– Raczej całą symfonię.

– Okazał się niewierny?

– Owszem, ale nie w przyziemnym sensie. To był bardzo złożony człowiek. Przez pewien czas byliśmy w sobie rozpaczliwie zakochani. Prawdę mówiąc, pozostaliśmy rozpaczliwie zakochani, ale nasza miłość stała się niebezpieczna. Gdyby ktoś nas zobaczył, od razu pomyślałby, że się nienawidzimy, ale tak nie było. Jestem tego pewna.

– Proszę, niech pani zacznie od początku.

– Początek może być trudno wyśledzić, gdyż takie związki zawsze zaczynają się na długo przed tym, gdy obie strony zauważają swoją obecność, ale opowiem panu, jak się poznaliśmy.

– Doskonale – odrzekłem.

– Gdy Watkin i ja już objechaliśmy cały kraj i wróciliśmy do Nowego Jorku, znacznie bogatsi i sławniejsi, przez kilka kolejnych lat występowałam tylko w mieście. Od czasu do czasu kontaktowali się ze mną dżentelmeni, którzy dawali mi do zrozumienia, że niezależnie od mojego wyglądu i dziwnych talentów chętnie zawarliby ze mną związek małżeński. Większości z nich nigdy nie zaszczyciłam osobistą rozmową. Oczywiście mam na myśli jedynie rozmowę bez udziału publiczności, a nie bez parawanu. Czasami ulegałam kapryswi i prosiłam Watkina, żeby zaprowadził któregoś z panów do mojego pokoju, gdzie następnie rozmawialiśmy. Żaden z kandydatów nie spełnił moich oczekiwań. Nie zamierzałam wiązać się z głupcem, jak uczyniła moja matka. Na to zwracałam szczególną uwagę.

Po pewnym czasie razem z Watkinem uznaliśmy, że Nowy Jork niedługo znów nasyci się moimi wróżbami, więc zaczęliśmy szukać miejsc, w których moglibyśmy znaleźć nowych mecenasów i zyski. Zarabialiśmy ogromne pieniądze i występowaliśmy przed coraz liczniejszą publicznością. Jako że wiodłam bardzo skromne życie, nie miałam dużych wydatków. Część zarobków odkładałam, a resztę inwestowałam w rozwijające się branże przemysłu. Podobnie jak Ossiak za czasów swej świetności, zmieniałam w złoto wszystko, czego się dotknęłam. W końcu Watkin zaproponował, żebyśmy pojechali do Europy. „Pani talent do podbojów może rozkwitnąć tylko na nowym kontynencie”, stwierdził.

A zatem pojechaliśmy. Madryt-Rzym-Monachium-Paryż-Londyn, tak wyglądał nasz plan podróży. Zaczęliśmy od miast, w których nie mówiono po angielsku. Zamierzaliśmy zakończyć naszą wyprawę w najłatwiejszym mieście, Londynie, ponieważ wiedzieliśmy, że będziemy wtedy wyczerpani. Zatrudniliśmy tłumaczy, którzy stawali przed publicznością razem z Watkinem i przekazywali moje słowa w lokalnym języku. Ameryka nie ma monopolu na naiwność. Mimo że zaprzeczałam autentyczności przekazywanych szeptem wizji, wierząc, że są tylko wytworem mojej wyobraźni, Bliźnięta ani razu mnie nie zawiodły. Proroctwa pojawiały się z równą łatwością, niezależnie od okoliczności oraz zmęczenia podróżą.

– Czy kontynuowałyby pani, gdyby te iluzoryczne wizje zniknęły? – spytałam.

– Byłoby to niemożliwe – odparła. – Kiedy będzie pan miał chwilę spokoju, niech pan spróbuje przywołać w wyobraźni ciąg przypadkowych obrazów dotyczących przyszłości. Może uda się to panu zrobić raz albo dwa

razy, chociaż wątpię. Jednak powtarzanie tego każdego wieczoru bez powielania prorocत्व byłyoby nie lada osiągnięciem. Miałam dostatecznie dużo pieniędzy. Gdybym została zmuszona do wymyślania bzdurnych wizji, natychmiast bym zrezygnowała.

– Rozumiem, że odniosła pani sukces w Europie?

– Hiszpanie postrzegali mnie przede wszystkim jako wyrocznie w sprawach miłości. Włosi bardzo ułatwiali mi zadanie, ponieważ interesował ich głównie los zmarłych krewnych w zaświatach. Francuzi traktowali moje występy jako błyskotliwą i wyrafinowaną rozrywkę o metaforycznym znaczeniu. Niemcy chyba się mnie bali, dlatego obdarzali mnie największym uwielbieniem. Czy odniosłam sukces? Niech pan się rozejrzy, panie Piambo. Ten dom oraz moją posiadłość na Long Island zbudowała łatwowierność Europy. Gdybym zdecydowała się na podróż do Chin, teraz zapewne byłabym cesarżową i władała własną prowincją.

Roześmiałam się, ale pani Charbuque mi nie zawtórowała.

– A co z Londynem? Nie wspomniała pani o Brytyjczykach.

– Londyn, o którym myśleliśmy, że okaże się najmniej problematyczny, początkowo wydał się nam zimniejszy niż baranina, którą się tam podaje. Brytyjczyków niełatwo wystraszyć czy rozbawić. Po pierwszych występach, które spotkały się ze średnim przyjęciem, myślałam, że będziemy musieli zwinąć interes i wrócić do Stanów. Jednakże, pewnego wieczoru opisałam jednej z pytających wizję, która mogła wskazywać na niewierność jej męża. Okazało się, że jest on parlamentarzystą. Brytyjczycy uwielbiają skandale, a moje słowa skłoniły kobietę do przeprowadzenia śledztwa. Niestety, odkryła nie jedną, ale trzy kochanki. Chcąc doprowadzić niewiernego męża do ruiny, poszła z tą historią do „Timesa”. Nawet gdybym rozwiesiła milion plakatów, nie mogłabym liczyć na lepszą reklamę dla moich występów. Stałam na progu kolejnego wielkiego sukcesu i wtedy się zakochałam.

JEGO MAŁY KOKON

– Być może to prawda, że nad Imperium Brytyjskim nigdy nie zachodzi słońce, ale podczas pobytu w Londynie wciąż zastanawiałam się, kiedy ono wreszcie wszędzie. Przyjechaliśmy tam jesienią i przez cały czas było zimno oraz wilgotno – towarzyszyły nam paskudne mgły i ulewne deszcze. Jako że po przedstawieniu musiałam szybko wychodzić z ciepłych wnętrz teatrów na chłodne wieczorne powietrze, przed upływem miesiąca solidnie się przeziębiłam. Starłam się ignorować skutki choroby, ale ta nie mijała i w końcu przybrała poważny obrót. Nie mogłam porządnie zaczerpnąć tchu, a mój głos nie był w stanie przebić się przez parawan i dotrzeć do widowni. Pozostały nam dwa tygodnie występów, gdy poprosiłam Watkina, żeby je przełożył.

Można powiedzieć, że stałam się rozbitkiem uwięzionym w swoim pokoju. Byłam tak wyczerpana, że z trudem podnosiłam się z łóżka i docierałam do krzesła, żeby obserwować życie ulicy. Próbowałam typowych domowych środków – inhalacji, ziół, kompresów – ale nic nie łagodziło objawów. Watkin szalał, bojąc się, że dzieje się ze mną coś poważnego. Nalegał, żebym wybrała się do lekarza. Odpowiedziałam, że nigdzie się nie wybieram i nikogo nie przyjmę, ale tak nalegał, że w końcu się zgodziłam, oczywiście na moich warunkach.

Dbając o moją anonimowość, znalazł amerykańskiego lekarza, który akurat przebywał z wizytą w Londynie. Był to młodzieniec, który niedawno ukończył szkołę medyczną i podróżował po Europie oraz dalszych miejscach. Kilka wieczorów wcześniej pojawił się na moim występie i zamienił kilka słów z Watkinem, gdyż miał ochotę porozmawiać z kimś, kto niedawno był w Stanach. Mój menedżer zapewnił mnie, że młody lekarz potrzebuje pieniędzy, więc możemy kupić jego milczenie, jeśli będzie musiało dojść do bezpośredniego spotkania. Odparłam, że takie spotkanie nie wchodzi w grę, ale poprosiłam, żeby go przyprowadził.

Lekarz pojawił się w moim apartamencie hotelowym, gdy byłam w największym dołku. Przespałam dwie doby, a mój umysł był równie wycieńczony jak ciało, gdyż dwutygodniowa beczyność pozwoliła mi aż nazbyt dokładnie przemyśleć swoje życie. Wspomnienia o ojcu i matce oraz niemal bajkowym życiu na szczycie góry powracały do mnie zarówno w nostalgicznej formie, jak i odarte ze złudzeń. Teraz pozostał mi tylko mroczny chaos. Opłakiwałam to, że nigdy nie zaznałam prawdziwej miłości, całkowitą samotność, klątwę Bliźniąt, zamordowanie matki, a także zamiar ojca, by uwięzić mnie w idiotycznym życiu na uboczu. Równie dobrze mogłabym rzeczywiście wyglądać jak małpizjon i niewiele by to zmieniło.

„Witam, pani Sybillo”, usłyszałam czyjś głos przed moją sypialnią. Samo jego brzmienie coś we mnie zmieniło. Usłyszałam w nim niewinność oraz szczerą troskę. Zanim pomyślałam, co robię, odpowiedziałam swoim prawdziwym, a nie scenicznym głosem. Lekarz się przedstawił, po czym powiedział, że pochodzi z Bostonu, a jego przodkowie przyjechali tam z Francji. Pamiętam, że zachwyciłam się jego nazwiskiem. Gdy mu o tym powiedziałam, mogłabym przysiąc, że usłyszałam, jak się rumieni.

Koniecznym chciało mnie zobaczyć. „Pani sekrety są ze mną bezpieczne, pani Sybillo”, rzekł. „Obowiązuje mnie tajemnica lekarska”. Zaczęliśmy negocjować i on wygrał. Uchyliłam drzwi sypialni, po czym trzykrotnie szybko przed nim przeszłam. Gdy skończyłam, spytał, czy to wszystko. „Oczywiście”, odparłam, a on wybuchnął śmiechem. Potem spytał o dręczące mnie objawy oraz mój harmonogram zajęć w ostatnim czasie.

„Najprawdopodobniej po prostu jest pani wyczerpana. Złapała pani poważne przeziębienie i pani ciało oraz umysł wymagają odpoczynku”, wyjaśnił. Dzięki jego słowom zrozumiałam, do jak wielkiego wysiłku się zmuszałam i jak obce środowisko przyczyniło się do osłabienia moich nerwów. „Może mnie pan nazywać Luciere”, powiedziałam. „Tak mam na imię. Jestem prawdziwą kobietą, a nie jakąś starożytną istotą”.

„Dobrze, pani Luciere. Tak właśnie podejrzewałem. Musi pani w miarę możliwości przebywać w cieple. Niech się pani nakrywa, żeby wywołać poty. Proszę pić gorącą herbatę i zupę. Jutro przyniosę lekarstwo i sprawdzę, jak się pani czuje”. Podziękowałam mu, a on przyznał, że był zachwycony moim występem. Następnego dnia wrócił z lekarstwem, którym okazała się zupa z kapusty, marchwi i czosnku. Czułam się już nieco lepiej, ale mu tego nie powiedziałam, ponieważ chciałam, żeby nadal mnie odwiedzał. Tak się

też stało, a trzeciego dnia poprosiłam Watkina, żeby rozstawił parawan w salonie apartamentu. Tam porozmawialiśmy z lekarzem, a ja dokładnie go sobie obejrzałam przez dziurkę w panelu. Bardzo mi się spodobało to, co zobaczyłam. Nie był ani potężny, ani drobny, lecz mógł się pochwalić idealną sylwetką. Miał długie ciemne włosy, wąsy i był ubrany w kasztanową marynarkę. Nie nosił krawata ani kapelusza.

Tamtego dnia rozmawialiśmy o innych sprawach niż moje zdrowie. Opowiadał mi o swoim dzieciństwie oraz studiach medycznych. Gdy spytałam go o wiek, okazało się, że przyszliśmy na świat w tym samym roku. W wolnym czasie, podobnie jak ja, najbardziej lubił czytać i wkrótce odkryliśmy, że często sięgaliśmy po te same książki. Rozmowa zeszła na *Szkarłatną literę* Nathaniela Hawthorne'a, a lekarz zgodził się ze mną, że Hester została niesprawiedliwie potraktowana przez społeczeństwo. Przez cały czas trwania rozmowy Watkin siedział obok, pełniąc rolę znajomego zatroskanego moim stanem zdrowia, a także przyzwoitki.

Następnego dnia w porze odwiedzin Charbuque'a zleciłam Watkinowi zadanie, które miało go zająć na kilka godzin poza domem. Gdy Moret zorientował się, że Watkina nie będzie, zaczął mnie wypytywać o moje relacje z mężczyznami, zapewne chcąc ustalić, czy jestem zaręczona, zamężna albo mam ukochanego. Dałam mu do zrozumienia, że jestem wolna, co bardzo go ucieszyło. Potem powiedział, że coś dla mnie ma. Sięgnęłam małą łapą, a on umieścił pod kciukiem małe pudełko ozdobione kolorowym papierem i bladożółtą wstążką. Oszołomiona tym gestem, nie wiedząc, czy to zbyt śmiałość, czy po prostu przejaw sympatii, otworzyłam prezent. Okazało się, że to kamea, co nieco mnie zdziwiło.

Powiedział mi, że gdy zobaczył ją w sklepie, od razu wiedział, że powinna należeć do mnie. Biały relief na kobaltowoniebieskim tle przedstawiał urodziwą kobietę, której z głowy zamiast włosów wyrastały wijące się węże przypominające promienie słońca. „To Meduza, jedna z gorgon”, wyjaśnił. Początkowo byłam zszokowana, gdyż wiedziałam, że Meduza była potworem ze starożytnej legendy. „Czyżby na podobieństwo Perseusza zamierzał pan obciąć mi głowę?”, spytałam. „Nigdy, Luciere, ale chciałbym znieruchomić pod pani wzrokiem”, odparł. „Według opowieści, z jej krwi rodzi się skrzydlaty koń Pegaz... a pani głos uskrzydlił moje serce”.

Całkowite bzdury, panie Piambo, doskonale o tym wiem, ale gdy jest się młodą kobietą żyjącą w odosobnieniu, taka poezja może się stać

najważniejszą strawą. To wystarczyło, żeby mnie zdobyć. Właśnie wtedy, po zaledwie kilku dniach znajomości, postanowiłam powierzyć swoje życie panu Charbuque. Watkin nie stawał nam na drodze. Sądzę, że miał nadzieję, iż młodzieniec wyciągnie mnie z za parawanu. Zawsze mi powtarzał, że nie muszę być odludkiem, by dawać występy, a wieczne pozostawanie w ukryciu nie jest zdrowe.

Nasz związek się rozwijał, aż w końcu – ponownie proszę wybaczyć moją śmiałość – osiągnął etap fizycznego zespolenia. Nie zdecydowałam się mu pokazać – czułam, że nie potrafię – jednak obmyśliliśmy sposoby obejścia tego problemu. W końcu powiadają, że dla chcącego nie ma nic trudnego. Pozwalałam mu się dotykać, ale musiał mieć na oczach opaskę i dokładnie słuchać moich poleceń, a także podchodzić do mnie wyłącznie od tyłu. Owijałam się dużym kocem z precyzyjnie umieszczonym otworem, a on nazywał mnie swoim małym kokonem. Praktykowaliśmy te nietypowe zbliżenia, jak również inne, jeszcze bardziej egzotyczne, z dużą częstotliwością.

Występy, które odwołano z powodu mojej choroby, bezpowrotnie przepadły, ale pozostałam w Londynie, gdzie zajmował mnie mój nowy związek. Zaledwie dwa miesiące po pierwszym spotkaniu pobraliśmy się w moim hotelowym apartamencie. Usiadłam za parawanem i wypowiedziałam słowa przysięgi. Watkin był świadkiem. To był radosny dzień i uczciliśmy go, pijąc szampana razem z urzędnikiem, który udzielił nam ślubu. Przed ceremonią Charbuque obiecał, że uszanuje moje pragnienie pozostania w ukryciu, i stwierdził, że nasze życie, choć z pewnością nietypowe, może być bardzo szczęśliwe.

Jednakże pod koniec pierwszego tygodnia zaczął się domagać, żebym mu się pokazała. Powiedział, że musi mnie dotykać podczas intymnych spotkań. Niech mi pan uwierzy, że brałam to pod uwagę. Prawdę mówiąc, też tego pragnęłam, jednak stare nawyki były we mnie zbyt głęboko zakorzenione. Za bardzo się bałam i uważałam, że mam zbyt wiele do stracenia. Mój mąż coraz częściej wpadał w ponury nastrój. Był coraz bardziej bojowo nastawiony, aż pewnego dnia, gdy usiadłam za parawanem w salonie, żeby omówić z nim tę sprawę po raz setny w ciągu dwóch dni, odepchnął parawan na bok, po czym się na mnie rzucił. Gdy mnie zobaczył, miałam wrażenie, że jego oczy przebijają mnie na wylot. Broniąc się przed tym bólem, uniosłam małą łapę, która stała obok, i zderzyłam go nią w bok głowy. Upadł na podłogę, co

pozwoili mi uciec do sypialni i zamknąć drzwi na klucz.

Kiedy podniósł się po moim ciosie, długo zasypywał mnie najgorszymi bluźnierstwami. Nazywał mnie „widmową kurwą” i „sukkubem”. W końcu wyszedł, ale przedtem ukradł mi pokaźną sumę pieniędzy, moją starożytną lampę oraz drogą biżuterię, którą otrzymałam od mera Paryża w podziękowaniu za prywatny występ dla jego rodziny i przyjaciół. Byłam zrozpaczona i groziło mi ponowne wpadnięcie w depresję, jednak koniecznie chciałam wrócić do Nowego Jorku. Poprosiłam Watkina, żeby wszystko zorganizował.

Charbuque nie dawał mi spokoju. Śledził każdy nasz ruch. O każdej porze dnia i nocy mogłam go zobaczyć na ulicy pod moim oknem. Codziennie wysyłał mi listy pełne najbardziej zepsutych opisów gwałtów, okaleczeń i morderstw. Pewnego wieczoru, gdy czekaliśmy na dzień wyjazdu, napadł na Watkina w hotelowym holu. Obsługa zdołała go obezwładnić i wyrzucić z budynku.

W dniu naszego wyjazdu jak zwykle zaradny Watkin wynajął miejscowych osiłków, którzy mieli powstrzymać Moreta. Ten jednak podążył za nami. Na szczęście mieliśmy na tyle dużą przewagę, że nie zdołał wyruszyć w rejs razem z nami. Wsiadł na następny statek do Nowego Jorku, wypływający z portu dwa dni później. *Janus*, bo tak nazywała się ta jednostka, napotkał sztorm, który my cudem ominęliśmy podczas naszej podróży przez ocean, i zatonął.

– Jest pani pewna, że pani mąż był na pokładzie? – spytałem.

– Tak.

– Skąd może...? – zacząłem, ale przerwało mi wejście Watkina.

– Nigdy więcej nie występowałam – odrzekła i to był koniec naszego spotkania.

MASKA

– Mały kokon – mruknąłem pod nosem, oddalając się od domu pani Charbuque. Z jakiegoś powodu jej opowieść o miłości, która zeszła na manowce, sprawiła, że zapragnąłem odwiedzić Samantę i błagać ją o wybaczenie za swoją niedawną obojętność. Jednakże wisiał nade mną przeklęty, niespełna dwutygodniowy termin. Stchórzyłem i postanowiłem wrócić do swojego studia, żeby przez resztę wieczoru zająć się pracą. Okazało się, że praca ograniczyła się do wypicia połowy butelki whisky i wypalenia dwóch tuzinów papierosów oraz wpatrywania się w deskę kreślarską w poszukiwaniu nowego wizerunku mojej klientki.

Bez trudu potrafiłem ją sobie wyobrazić jako demona o węzowych włosach. Równie łatwo przychodziło mi wyobrażanie sobie, jak Charbuque, ani potężny, ani drobny, odcina głowę tego demona i patrzy, jak z rozlanej krwi rodzi się skrzydlaty koń, Pegaz. W moim umyśle trwał karnawał dziwacznych scen, ale przywołanie twarzy prawdziwej kobiety okazało się niemożliwe. Dręczony frustracją, pożałowałem, że wylałem resztę Przebudzenia do wychodka. Wreszcie poddałem się zmęczeniu i poszedłem spać.

Obudziłem się późnym rankiem i udałem do Crenshawów na śniadanie. Gdy piłem kawę i przeglądałem gazetę, podszedł do mnie młodzieniec z torbą zawieszoną na ramieniu i czapką posłańca na głowie.

– Czy pan Piambo? – spytał.

– Zgadza się.

Wręczył mi limonkową kopertę. Gdy tylko odszedł, pani Crenshaw zbliżyła się, żeby zobaczyć, co dostałem. Taktownie zamówiłem kolejny talerz gulaszu, dzięki czemu zyskałem chwilę prywatności. Otworzyłem kopertę jednym ruchem i wyjąłem ze środka kartkę z zapisaną wiadomością:

Panie Piambo: Dziś wieczorem zmiana miejsca spotkania. Hotel Logerot

przy Piątej Alei i Osiemnastej Ulicy. Pokój numer 211. Na gałce będzie wisiała opaska na oczy. Niech pan ją założy przed wejściem.

Proszę się nie odzywać.

*Pańskie Stworzenie,
Pani Charbuque*

Jeszcze zanim schowałem kartkę i kopertę do kieszeni marynarki, poczułem rosnące podniecenie. Uznałem, że albo zajmę miejsce pana Charbuque jako zdobywca kokonów, albo, co wydawało mi się równie ekscytujące, moja klientka wyjawি mi jakąś wskazówkę dotyczącą swojego wyglądu. „Spokojnie, Piambo”, powtarzałem sobie. „Działaj ostrożnie”. Wiedziałem, że i tak odrzucę jej seksualne awanse, jeśli właśnie takie miała zamiary, dlatego nie mogłem zrezygnować z takiej okazji. Chciałem choć na chwilę poczuć, że to ja mam władzę w naszej groteskowej relacji. Zanim pani Crenshaw wróciła z gulaszem, zapłaciłem i wyszedłem. Dzień był zimny, ale nie zwracałem uwagi na temperaturę, ponieważ wielkie oczekiwania rozgrzewały mnie od wewnątrz. Poszedłem prosto do domu, gdzie się umyłem i ogoliłem.

Kiedy się ubierałem, zastanawiałem się, czy zmiana miejsca spotkania oznacza, że tym razem będę uczestniczył w występie pani Charbuque? A może to wszystko były występy? Wyglądało na to, że moja klientka znów postanowiła wyruszyć w trasę. Odkąd zaczęliśmy się spotykać, stale dostrzegałem jakiś związek – jakby aluzję, metaforyczną więź – pomiędzy tym, co działo się w moim życiu, a wydarzeniami opisywanymi w jej historiach.

Ta linia rozumowania doprowadziła mnie do wniosku, że być może hotel Logerot ze względu na swoją europejską nazwę ma symbolizować jej wyprawę za Atlantyk. Jeśli rzeczywiście tak było, to ja miałem się wcielić w rolę młodego pana Charbuque wezwanego na schadzkę bez udziału Watkina. Pozostawało pytanie, czy byłem człowiekiem, w którym właśnie się zakochiwała, czy tym, który ją zdradził. Nie wiedząc, którą rolę odgrywam, nie mogłem być pewien, z jaką kobietą się spotkam.

Hotel Logerot był stosunkowo nowym przybytkiem, założonym przez Richarda de Logerota, autentycznego markiza, który poruszał się na obrzeżach nowojorskiej elity. Dotarłem na miejsce kilka minut przed czternastą. Recepcjonista spytał mnie, w jakiej sprawie przyszedłem, a ja

odpowiedziałem, że chcę odwiedzić pokój numer 211. Uśmiechnął się i odrzekł, że jestem oczekiwany.

Zrezygnowałem z windy na rzecz schodów. Wybierałem się tylko na drugą kondygnację, a poza tym traktowałem wszelkie mechaniczne urządzenia z taką samą nieufnością, z jaką podchodziłem do Reeda i jego Rewolucji Przemysłowej. Dywany w korytarzach i na schodach były cudownie grube. Całe wnętrze było bogato zdobione kryształowymi żyrandolami i wypolerowanymi orzechowymi panelami.

Zgodnie z zapowiedzią, na gałce w drzwiach pokoju numer 211 wisiała opaska na oczy. Była czarna i przypominała balową maskę bez otworów na oczy. Zawiązałem sznurki za głową na mocny supeł. Ostatnie, czego pragnąłem, to żeby opaska się zsunęła i pozbawiła mnie szansy ukończenia zlecenia. Gdy już byłem ślepy, zamiast pukać postanowiłem przekręcić gałkę. Ku mojemu zaskoczeniu, dała się obrócić. Otworzyłem drzwi, zrobiłem pięć kroków naprzód, po czym znieruchomiałem, uważnie nasłuchując oznak czyjejś obecności. Usłyszałem ciche skrzypnięcie podłogi i zamknęły się za mną drzwi. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że mogłem wejść prosto w sidła Moreta Charbuque.

Minęło kilka nerwowych chwil, podczas których czekałem, nie wiedząc, czy dostanę cios nożem w plecy, czy też zostanę zaproszony do jednej z błyskotliwych gier Luciere. Nagle poczułem na ramieniu delikatny dotyk czyjejś dłoni. Zdjęła mi płaszcz i kapelusz. Tego dnia przekonałem się, że utrata wzroku wyostrza pozostałe zmysły. Wyczułem perfumy o zapachu bzu, usłyszałem podniecenie w jej płytkim oddechu, poczułem gorąco bijące od jej dłoni, jeszcze zanim mnie dotknęły. W tej chwili najbardziej na świecie pragnąłem powiedzieć choć jedno słowo normalnym głosem, żeby udowodnić sobie, że to się dzieje naprawdę. Wiedziałem, że nie mogę jej dotknąć. Gdy jej dłonie zdjęły moją marynarkę, a potem kamizelkę, zamiast mówić zapragnąłem krzyczeć.

Kiedy zaczęła mi rozpinąć koszulę, nie miałem już żadnych wątpliwości co do jej zamiarów. Wzbierający we mnie sprzeciw wobec jej zachowania nie był jedyną rzeczą, która zbudziła się do życia. Wiedziałem, że nie powinienem ciągnąć tego dalej. Zwilżyłem usta i chciałem ją powstrzymać, ale wtedy zdjęła mi koszulę i straciłem głos. Gdy poczułem muśnięcie jej ust na brzuchu, wiedziałem, że wpadłem w tarapaty. Szarpnięcie za pasek zwiastowało pewną zgubę.

Działała sprawnie i już po chwili byłem kompletnie nagi. To, że nie byłem w stanie przeciwstawić się jej działaniom, dodatkowo spotęgowało moje pożądanie, co zapewne wyraźnie widziała. Czułem, jak wokół mnie chodzi. Po trzech pełnych okrążeniach zatrzymała się dokładnie przede mną. Jeszcze zanim mnie dotknęła, poczułem, jak jej palce zaciskają się na moim członku, aż w końcu rzeczywiście to zrobiły.

– Piambo – powiedziała.

Cicho westchnąłem pod wpływem jej dotyku, ale w tej samej chwili w mojej głowie pojawiła się myśl, która uniosła się powoli jak bąbel powietrza w syropie klonowym i przebiła przez gęstą warstwę rozkosznego zamroczenia. Gdy dotarła na powierzchnię i pękła, zrozumiałem, że coś jest nie w porządku. Jej głos.

– Samanto – odpowiedziałem i w tej samej chwili dostałem cios w lewą stronę głowy, który powalił mnie na podłogę. Podniosłem rękę, żeby zerwać opaskę, chociaż wcale nie chciałem patrzeć. Samanta stała nade mną i piorunowała mnie wzrokiem. Początkowo chciałem odrzec: „Od razu wiedziałem, że to ty”, ale... Czy muszę mówić więcej?

– Od tej pory będę na ciebie mówiła Reed – powiedziała. Jej słowa zaboląły mnie prawie tak mocno jak kopniak w krocze, który nastąpił zaraz potem. Ominęła mnie i wyszła z pokoju.

Długo leżałem przed otwartymi drzwiami, nie dbając o to, czy ktoś mnie znajdzie. Nie mogłem uciec przed prawdą; w ciągu zaledwie kilku minut stałem się tym, czym pogardzałem. Mógłbym argumentować, że przecież ostatecznie nie dopuściłem się niczego nieodpowiedniego. Być może inny mężczyzna zaakceptowałby takie kalekie tłumaczenie, ale dla kobiet liczą się przede wszystkim intencje. Nie ma takiej fasady miłych gestów ani poetyckich słów, której nie przejrzy kobieta. Przeklinałem panią Charbuque, ponieważ jej zlecenie kosztowało mnie więcej niż mogłem kupić za jej pieniądze. W końcu wstałem, zamknąłem drzwi i zacząłem się ubierać.

Wymknąłem się tylnym wyjściem z hotelu Logerot – niech go trafi szlag – po czym udałem się do najbliższego baru. Byłem tak zaaferowany kłopotami, w które się wpakowałem, że nawet nie pamiętam, co to był za lokal. Wiem tylko, że usiadłem w ciemnym kącie, gdzie mogłem niezauważony porozmawiać sam ze sobą. Spędziłem tam wiele godzin, pijąc i obmyślając skomplikowane plany odzyskania Samanty. Chociaż byłem coraz bardziej odurzony, a popołudnie zmieniło się w wieczór, nadal nie

potrafiłem uwierzyć w skuteczność żadnego z idiotycznych pomysłów, które zapisywałem ołówkiem na lnianych serwetkach.

W końcu zasnąłem, a kelner przyprowadził kierownika, żeby mnie wyrzucić. Gdy tylko obudzili mnie z otępienia, zapewniłem ich, że wyjdę sam i nie będą musieli usuwać mnie siłą.

– No dobrze – odrzekł kierownik.

Chociaż widziałem wszystko jak przez mgłę i kręciło mi się w głowie, chwiejnie wstałem od stolika, po czym ruszyłem w stronę wyjścia. Nie wszystko pamiętam, ale wiem, że udało mi się trafić w drzwi. Potem przepchnąłem się przez grupę dżentelmenów wchodzących do lokalu, potknąłem się i runąłem na ulicę.

Dźwignąłem się na łokciach i podniosłem wzrok. Mężczyźni zatrzymali się i patrzyli, jak leżę w rynsztoku. Gdy wreszcie odzyskałem ostrość widzenia, rozpoznałem przynajmniej dwóch z nich. Tęgim staruszkiem był Renseld, handlarz dziełami sztuki. Wysokiego młodego chudzielca o blond włosach nie znałem. Trzecim z dżentelmenów okazał się Edward, którego obraz przedstawiający ścięcie Jana Chrzciciela o mało nie stał się tłem dla egzekucji Reeda. Zapewne wyglądałem strasznie, ale sądziłem, że któryś z nich pomoże mi wstać. Nie byłem w stanie sam się podnieść, więc wyciągnąłem w ich stronę rękę.

– Edwardzie, znasz tego starego pijaczynę? Czy to nie któryś z twoich nauczycieli? – spytał blondyn.

Mój były uczeń nawet nie popatrzył mi w oczy.

– Nigdy w życiu go nie widziałem – odparł bez wahania. Potem odwrócili się i weszli do baru.

Wstałem i pokuśtykałem przez zimny mrok w stronę domu, wciąż czując w ustach brud Piątej Alei.

MEDUZA

Brnąłem chwiejnie przez ciemność, walcząc z mdłościami. Co jakiś czas musiałem zatrzymać się w bramach sklepów na kilkuminutowy odpoczynek. Po tym, jak wyparł się mnie młody Edward, miejsce Samanty w moim udręczonym umyśle zajął Sabott. Przypomniałem sobie, że kiedyś mi powiedział: „Piambo, zawsze miej czyste sumienie, w przeciwnym razie twoje kolory się zabrudzą, a pociągnięcia pędzla stracą pewność”. Niestety, na to było już za późno. W końcu oparłem się o ścianę budynku mieszkalnego gdzieś w okolicach skrzyżowania Broadwayu z Dwudziestą Ulicą i zwymiotowałem. Byłem bliski omdlenia, ale jakoś udało mi się wziąć w garść. Gdy odepchnąłem się od ściany i ponownie podjąłem swoją piekielną wędrówkę, usłyszałem za sobą wołanie.

– To on!

Obejrzałem się przez ramię i w odległości niecałej przecznicy zobaczyłem dwie potężne, mroczne sylwetki, które szybko się zbliżały. Gdy nieznamomi zorientowali się, że ich zauważyłem, puścili się biegiem. Próbowałem uciekać, ale w tym stanie udało mi się zrobić zaledwie kilka kroków, po czym upadłem na chodnik. Zanim zdołałem wstać, już mnie dopadli.

Chwycili mnie pod ręce i przycisnęli plecami do pobliskiej sklepowej witryny. Mieli kapelusze opuszczone na oczy i podniesione kołnierze, przez co nie mogłem się im dokładnie przyjrzeć. Widziałem tylko zmrużone powieki, zepsute zęby i nieogolone szczęki. Zamglone spojrzenie i zszargane nerwy sprawiły, że widziałem w nich bliźniaków, ohydnych sobowtórów.

– Charbuque przesyła pozdrowienia – powiedział mężczyzna po prawej stronie, chuchając mi w twarz paskudną wonią ryb.

Nie widziałem, jak bierze zamach, a jednak uderzył mnie pięścią w bok głowy. Potem jego kompan zdzielił mnie w żołądek. Gdy zaczęli mnie okładać, wycofałem się do bezpiecznej kryjówki w głębi umysłu, myśląc:

Zabiją mnie. Zanim się zorientowałem, już leżałem na ziemi, a oni mnie kopali. Wkrótce straciłem przytomność. Ocknąłem się dopiero, gdy rozległ się strzał.

Gdy ucichło jego echo, usłyszałem, że napastnicy uciekają. Leżałem na chodniku, zdziwiony, że żyję, i jeszcze bardziej zdziwiony, że pomimo wydarzeń tego wieczoru biorę to za dobrą monetę. Czyjaś dłoń w rękawicze wyłoniła się w mroku i dotknęła mojego ramienia.

– Nic panu nie jest, panie Piambo?

Straszliwy ból w żebrach i nogach dopiero zaczynał dawać o sobie znać. Czuję, że lewą stronę twarzy mam opuchniętą, ale podejrzewałem, że nie doznałem żadnych złamań ani trwałych urazów. Lanie, które dostałem od dwóch oprychów, wyrwało mnie z pijackiego otępienia. Udało mi się usiąść, a gdy podniosłem wzrok, popatrzyłem prosto w białe oczy Watkina.

– Miło z pana strony, że mnie pan uratował – powiedziałem.

Schował pistolet do kieszeni płaszcza.

– Taka praca, panie Piambo.

– Co pan tutaj robi? – spytałem.

– Moja pracodawczyni zmartwiła się, kiedy nie pojawił się pan dzisiaj w jej domu. Wysłała mnie, żebym sprawdził, czy nic się panu nie stało. Nigdzie nie mogłem pana znaleźć i już miałem się poddać, gdy pewien dżentelmen w barze przy Piątej Alei powiedział, że niedawno widział, jak ktoś pasujący do pańskiego rysopisu pije tam jak smok. Powędrowałem najprostszą drogą w stronę pana domu i wkrótce zorientowałem się, że ktoś bezlitośnie pana okłada. Wyciągnąłem pistolet, strzeliłem w powietrze, a wtedy pańscy przyjaciele uciekli.

– Co mi się mogło stać według pani Charbuque? – spytałem, gdy Watkin podał mi dłoń i pomógł wstać.

– Powiedziała, że poprzednio rozmawiała z panem o swoim mężu, a każda myśl lub wzmianka na jego temat zawsze ją niepokoi. Zainwestowała w pana, a teraz ten niepokój przybrał na sile i pomieszał przeszłość z teraźniejszością. Po prostu chciała się upewnić, że nic panu nie jest. Mam nadzieję, że to wszystko wyjaśnia.

– Tak – odpowiedziałem. Przeszłość rzeczywiście mieszała się z teraźniejszością za sprawą pana Charbuque. Napastnicy twierdzili, że są jego wysłannikami.

Gdyby Watkin nie nosił białych soczewek, z pewnością wyczytałbym w

jego oczach strach, ale to, jak nagle zeszywniał i uniósł ramiona, także przekonało mnie, że jest poruszony. Pokręcił głową.

– Wydarzenia przybrały niebezpieczny obrót, panie Piambo – rzekł.

– Myślałem, że Charbuque poszedł na dno z *Janusem*.

– Gdybyż to była prawda, ale obawiam się, że to tylko pobożne życzenia pani Charbuque. Tamten statek zatonął wkrótce po naszym powrocie do Nowego Jorku, a ona przeczytała o tym w gazecie i dla własnego spokoju wstawiła do tej historii swojego męża, ale nic nie wskazuje, żeby w jej przeświadczeniu była choć odrobina prawdy.

– Czy cokolwiek z tego, co opowiada, jest prawdą? – spytałem.

– W każdym kłamstwie tkwi ziarno prawdy – odparł Watkin. – Gdyby rzeczywiście miał pan dzisiaj umrzeć, to nie wątpię, że tak by się stało. Jeżeli Charbuque powrócił, na co wskazują wydarzenia dzisiejszego wieczoru, to sprawa jest poważna. Reguły gry uległy zmianie, a pan jest tylko pionkiem, użytecznym, ale w ostatecznym rozrachunku zbędnym.

– A co z panem? – spytałem.

– Drogi panie, ja od początku jestem zbędny – odrzekł Watkin, po czym ponuro się uśmiechnął.

– Powinien mi pan wszystko opowiedzieć.

– Już i tak powiedziałem panu za dużo – odparł. – Na pana miejscu zrezygnowałbym ze zlecenia – wyszeptał, po czym wyjął coś z kieszeni płaszcza i położył mi na dłoni. – To dla większej jasności. – Potem odwrócił się i odszedł ulicą, gwałtownie ostukując witryny sklepów laską. – Niech pan na siebie uważa, Piambo! – zawołał przez ramię.

Kiedy popatrzyłem na przedmiot, który wręczył mi Watkin, odkryłem, że to mała buteleczka z zakrętką, podobna do tych, w jakich sprzedaje się tusz. Pokuśtykałem do najbliższej latarni ulicznej i przyjrzałem się prezentowi. Wewnątrz znajdował się bursztynowy płyn. Odkręciłem buteleczkę i powąchałem zawartość. Nie wiedziałem, czy mam się śmiać, czy płakać, ale zrobiłem to pierwsze, ponieważ poczułem aromat, który wydobywał się ze świeczki Samanty – woń gałki muszkatołowej.

Przez kilka minut stałem, głęboko oddychając zimnym wieczornym powietrzem, zastanawiając się, czy to wszystko wydarzyło się naprawdę. Po chwili przypomniałem sobie napastników i jak najszybciej się oddaliłem, kulejąc z bólu. Pokonanie kilku przecznic dzielących mnie od domu okazało się męczarnią. Każdy przechodzień i każdy pies poruszający się w cieniu

sprawiali, że podskakiwałem ze strachu.

Jeszcze nigdy z taką radością nie wracałem do domu. Po wejściu sprawdziłem, czy w którymś z pomieszczeń nie czają się zabójcy, a gdy żadnych nie znalazłem, położyłem się do łóżka. Czekano mnie jeszcze wiele przeciwności losu, ale przyrzekłem sobie, że już więcej nie sięgnę po alkohol. Wciąż zmagalem się z trudnościami porównywalnymi do biblijnych plag, które spadły na Egipt, ale otrzymane lanie podziałało na mnie uzdrawiająco. Zasnąłem z postanowieniem wyrwania się z letargu, w który wpadłem z własnej woli.

Kiedy późnym rankiem następnego dnia siedziałem u Crenshawów nad drugą szklaneczką gazowanej wody i próbowałem zdecydować, czy jedzenie w ogóle wchodzi w grę, ktoś usiadł naprzeciwko mnie przy moim stoliku.

– Masz dzisiaj trochę większą głowę niż zazwyczaj – rzekł Sills.

– Wczoraj wieczorem zostałem brutalnie napadnięty na ulicy – odparłem.
– Gdzie wtedy byłeś?

– Chcieli ci ukraść portfel? – spytał.

– Niestety, zrobili to dla zabawy.

– Wczoraj znaleźliśmy kolejne ciało kobiety, której oczy zmieniły się w krew. – John podniósł gazetę, na którą jeszcze nie zerknąłem, i pokazał mi nagłówek.

– Mleko się wylało – stwierdziłem.

– Góra wywiera potworną presję, żebyśmy jak najszybciej rozwiązali tę sprawę – odrzekł Sills. – Poza tym już wiem, co łączyło te wszystkie kobiety.

– Wszystkie miały romans z tym samym marynarzem?

– To byłby nie lada gagatek – odparł detektyw. – Ale to nie to. Trudno uwierzyć, że nie zauważyli tego wcześniej, ale śpieszyli się z kremacją, bojąc się wybuchu epidemii.

– Więc co to było?

– Dziennikarze o tym nie wiedzą, więc musisz zachować dyskrecję.

– Oczywiście.

– Jesteśmy przekonani, że każda z tych kobiet nosiła taką samą kameę ozdobioną wizerunkiem kobiety z wężami zamiast włosów.

Pochyliłem się na krzesło.

– Jakiego koloru było tło?

– Chyba granatowe – odrzekł Sills.

Odsunąłem krzesło od stolika i wstałem. Wyjąłem z kieszeni monetę i

rzuciłem ją na blat jako zapłatę.

– Sprawdźcie u jubilerów, skąd pochodzą te kamee? – spytałem.

– Cały czas nad tym pracujemy. Dokąd idziesz?

– Mam sprawę do załatwienia. Będziesz wieczorem w pracy?

– Tak. Wiesz o czymś? – spytał z nagłą podejrzliwością.

– Uważam, że to były morderstwa. Jeszcze nie potrafię tego udowodnić, ale jeśli chcecie zrobić coś mądrego, zacznijcie szukać jegomościa o nazwisku Moret Charbuque.

– Gdzie można go znaleźć?

– Nie wiem – odparłem. – Szukajcie w ciemności. Skontaktuję się z tobą dziś wieczorem, John. Znajdźcie go.

– Piambo! – zawołał za mną, ale w mgnieniu oka znalazłem się po drugiej stronie ulicy, kuśtykając do najbliższego tramwaju jadącego w stronę przedmieść.

PODSTĘPNA KLĄTWA

Chociaż pojawiłem się przed domem pani Charbuque dwie godziny przed ustaloną godziną, byłem zdeterminowany, by natychmiast się z nią zobaczyć. Każdy tydzień kosztował życie kolejnych trzech kobiet. Ten tragiczny fakt, a także ostatnie wydarzenia w moim życiu sprawiły, że już nie zależało mi na obiecany honorarium. W ciągu jednego dnia zmieniłem się z egocentrycznego, zadufanego w sobie artysty w obrońcę publicznego bezpieczeństwa. Watkin na pewno mi otworzy, a Luciere i ja utniemy sobie długą pogawędkę na temat, którego jeszcze nie poruszyliśmy, czyli prawdziwego życia.

Właśnie z taką determinacją podszedłem do jej drzwi i energicznie załomotałem mosiężną kołatką. Nikt nie odpowiedział. Chwilę odczekałem, po czym zapukałem ponownie. Przyłożyłem ucho do drzwi, nasłuchując kroków Watkina. Niczego nie usłyszałem. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby wejść do domu bez zaproszenia, ale uznałem, że powaga sytuacji to usprawiedliwia. Najpierw naiwnie przekręciłem gałkę, żeby sprawdzić, czy drzwi przypadkiem nie są otwarte. Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, gdy stanęły przede mną otworem. Wszedłem do środka.

– Jest tam kto?! – zawołałem bez przekonania.

Nikt nie odpowiedział, więc spróbowałem ponownie, tym razem głośniej. Odezwało się tylko dziwne echo. Nie wiedziałem, dlaczego zabrzmiało inaczej niż się spodziewałem, dopóki nie wszedłem do niewielkiego pomieszczenia obok przedsionka i nie zauważyłem, że zniknęły niemal wszystkie meble.

– Mój Boże! – zawołałem, po czym błyskawicznie ruszyłem korytarzem.

Wszystkie pomieszczenia, przez które Watkin zawsze mnie prowadził podczas naszej krętej wędrówki do pani Charbuque, zostały opróżnione z większości przedmiotów. Reszta była chaotycznie porozstawiana, zupełnie jakby dom został pośpiesznie okradziony. Szybko przeszedłem przez jadalnię

i pracownię, które okazały się niepokojąco puste. Tak dobrze znałem trasę, że do pokoju, w którym się spotykaliśmy, mógłbym dotrzeć z opaską na oczach.

Dopiero kiedy pchnąłem ostatnie drzwi i wszedłem do wysokiego pomieszczenia, upewniłem się, że pani Charbuque zniknęła. W pokoju nie było parawanu. Pozostało tylko moje krzesło, niczym samotna wyspa na środku oceanu wypolerowanej podłogi.

– Luciere! – wrzasnąłem, a imię długo odbijało się echem od gołych ścian. Usiadłem na krześle, zagubiony i załamany.

Muszę przyznać, że pomimo wszystkich kłopotów, w które wpędziła mnie moja klientka, naprawdę zmartwiłem się jej nieobecnością. W tej chwili jej opowieści przyniosłyby mi pociechę. Wziąłem się w garść i stwierdziłem, że skoro i tak nielegalnie wtargnąłem do jej domu, to mogę się rozejrzeć w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, na przykład dotyczącej miejsca, do którego się udała. Oczywiście, najpierw postanowiłem otworzyć drzwi w głębi pomieszczenia, za którymi kryły się schody. Zawsze uważałem je za drogę, którą pani Charbuque udaje się do swojej samotni. Nie miałem żadnego dowodu na to, że mam rację, ale wiedziałem, że właśnie tam powinienem zacząć. Wstałem z krzesła i przez chwilę trwałem w bezruchu, wyglądając przez okno na piękne błękitne niebo i słuchając wiatru. Potem ruszyłem w stronę schodów, czując taką trwogę i podniecenie, jakbym zamierzał zajrzeć za parawan.

Niestety, na piętrze nie kryły się skarby i tajemnice, jakich się spodziewałem. Znajdowały się tam cztery duże pomieszczenia, również opróżnione z mebli. Nie znalazłem żadnych wskazówek. Mogłem jedynie podziwiać widok na park, którym Luciere zapewne także czasem się cieszyła. Zaczynało do mnie docierać, że skoro Watkin wiedział o powrocie pana Charbuque, to pani Charbuque prawdopodobnie uciekła i gdzieś się ukryła, zapominając o portrecie i innych sprawach. Świadomość powrotu męża musiała być dla niej jak nękanie przez złośliwego ducha.

Wracając z przedniej części drugiej kondygnacji do schodów prowadzących do pokoju, w którym kiedyś stał parawan, po lewej stronie zauważyłem drzwi, których jeszcze nie otwierałem. Okazało się, że znajdują się za nimi kolejne schody prowadzące na niewielkie poddasze niewidoczne z ulicy. Początkowo zamierzałem zignorować ponuro wyglądający strych, ale w końcu postawiłem stopę na pierwszym skrzypiącym stopniu i ruszyłem w górę.

Gdy moja głowa wyłoniła się z otworu w podłodze poddasza, z ulgą stwierdziłem, że w niskim pomieszczeniu jest jasno dzięki światłu wpadającemu przez okna po obu stronach. Gdybym znalazł tylko ciemność, zapewne zrezygnowałbym z dalszych poszukiwań. Po chwili wyczułem znajomy zapach. Niemal od razu rozpoznałem woń zaschniętej farby olejnej. Kiedy wszedłem na strych, okazało się, że sufit znajduje się zbyt nisko, żebym mógł się wyprostować. Znalazłem tam rzędy pomalowanych płócien opartych o przeciwległe ściany. Obejrzałem kilka pierwszych i zorientowałem się, że mam przed sobą same portrety.

– Niesamowite – powiedziałem, przyglądając się kolejnym dziełom.

Na wielu z nich zobaczyłem parawan z wzorem z opadających liści, niektóre przedstawiały także małą łapę, a na jednym lub dwóch pojawiały się zielone liście, których pani Charbuque używała podczas swoich występów, jednak wszystkie obrazy były portretami. Oczywiście, widniejącą na nich samotną kobiecą postacią była moja klientka. Rozpoznałem charakterystyczne techniki poszczególnych malarzy, jeszcze zanim przeczytałem ich nazwiska – Pierce, Danto, Felatho, Morgash. To były wspaniałe prace, namalowane we wszystkich możliwych stylach, które cieszyły się popularnością w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Przedstawione na nich kobiety były bez wyjątku piękne, choć wyraźnie się od siebie różniły. Rude i blondynki, czarno- i kasztanowłose, wysokie i niskie, szczupłe i obficie zaokrąglone, o obliczach pełnych pożądania, skruchy, sarkazmu, radości, znużenia, cierpienia. Miały na sobie kimona i szlafroki, wieczorowe suknie i nadymające się na wietrze letnie sukienki, ale żadna nie została namalowana nago, jak miało się stać w przypadku mojego obrazu. Znajdowało się tutaj co najmniej dwadzieścia pań Charbuque. Niczym niewinny młody kochanek, oprócz zaciekawienia poczułem ukłucie zazdrości, gdy odkryłem, że nie byłem pierwszy.

Rozglądając się dalej, znalazłem płótna Spenshera, Tillsona, bardzo udany obraz Lowella, a następnie portret, który sprawił, że ugięły się przede mną nogi: pokutująca pani Charbuque przyozdobiona aureolą, klęcząca w ogrodzie w otoczeniu rozsypujących się rzymskich posągów i oświetlona pojedynczym srebrzystym promieniem przebijającym się przez chmury. Obraz namalowano w prerafaelickim stylu charakterystycznym tylko dla jednego artysty. Nie musiałem sprawdzać podpisu, żeby wiedzieć, że autorem jest Shenz. To odkrycie wystarczyło, żeby zwalić mnie z nóg, jednak

kolejny portret okazał się jeszcze bardziej szokujący, gdyż namalował go nikt inny jak pan Sabott.

Wypuściłem z rąk stertę obrazów, a gdy uderzyły o ścianę, odwróciłem się i ruszyłem w stronę schodów. Kiedy pędziłem w dół na złamanie karku, zrozumiałem, że wszystkie dzieła znajdujące się w prywatnej galerii pani Charbuque, zostały namalowane przez artystów, którzy wypadli z branży, popełnili samobójstwo, oszaleli bądź stracili węgę i nie mogli znaleźć nowych klientów.

Dotarłem na parter i puściłem się biegiem przez dom, pragnąc jedynie uciec. Cały czas myślałem o tym, jak wielu malarzy uczestniczyło w grze Luciere. Próbowali oddać na płótnie to, czego nie mogli zobaczyć, i wszyscy bez wyjątku zawiedli. Owszem, zapewne otrzymali zapłatę za swoje interpretacje, jednak porażka w obliczu ostatecznej próby ich złamała. Być może tak jak ja uważali, że wykroczą poza swoje możliwości i zrównają się z wielkimi mistrzami, ale ostatecznie zrozumieli, że nigdy nie staną się kimś więcej niż byli pierwotnie. To zlecenie stanowiło podstępą klątwę.

Dziwię się, że nikt mnie nie zauważył, gdy uciekałem z domu pani Charbuque jak złodziej czmychający z miejsca przestępstwa. Zatrzymałem pierwszą dorożkę i podałem woźnicy adres Shenza. Gdy rozsiadłem się w kabinie, zacząłem sobie przypominać okoliczności nagłego artystycznego upadku mojego przyjaciela oraz mentora. Uderzyło mnie, że Sabott pograżył się w szaleństwo wkrótce po tym, jak zajął się malowaniem portretów, gdy galerie przestały się interesować jego mitologicznymi obrazami. Wtedy już u niego nie mieszkałem, gdyż za jego zgodą rozpocząłem niezależną karierę. Pamiętam, że zanim wpadł w obłąd, wspominał o bardzo ważnym zleceniu, nad którym pracował. Przez kilka tygodni niemal nie było z nim kontaktu, a później pojawił się jako szaleniec.

Podobnie było z Shenzem, który mniej więcej przed rokiem na jakiś czas zniknął ze sceny. Byłem wtedy zbyt zajęty, żeby dowiadywać się, co robi, zresztą podejrzewałem, że wkrótce pojawi się w mojej pracowni, ale gdy w końcu odwiedził mnie po kilkumiesięcznej nieobecności, sprawiał wrażenie wyczerpanego i wpadł w sidła opium. Dziś już rozumiałem, dlaczego tak mu zależało, żebym odniósł sukces. Zapewne podejrzewał, co spotkało Sabotta, a skoro sam również poległ w tej walce, postrzegał mnie jako mściciela. Być może powinienem być dumny z powodu jego wiary w moje możliwości, ale czułem tylko wyrzuty sumienia, gdy myślałem o tym, że pani Charbuque

doprowadziła go do zwątpienia we własny talent.

Najważniejszym pytaniem i ostateczną tajemnicą pozostawało to, czy Luciere naprawdę miała nadzieję, że dzięki tym eksperymentom powstanie portret, który w jakiś sposób odkryje jej prawdziwą naturę, czy też może zdawała sobie sprawę z niszczycielskich skutków tej umowy oraz władzy, jaką jej ona dawała, i świadomie wykorzystywała swoje wpływy, żeby bawić się w Boga. Teraz zniknęła, a ja znalazłem się w jeszcze gorszej sytuacji niż moi pokonani bracia, ponieważ już nie mogłem osiągnąć nieba, a nie zostałem oficjalnie skierowany do piekła. W absurdalnym świecie gry byłem jeszcze mniej realny niż jej widmowy, złowieszczy mąż.

NIE REZYGNUJ

Shenz był w całkowitej rozsypce. Otworzył przede mną drzwi i schował się przed popołudniowym słońcem. Wszedłem za nim do egzotycznego salonu i obaj zajęliśmy miejsca. W powietrzu było gęsto od wonnego dymu smoka i narkotycznych wyziewów.

– Wczoraj spotkało mnie drobne niepowodzenie, Piambo – rzekł mój przyjaciel. – Dlatego czuję się dosyć słabo. – Zacisnął dłonie na podłokietnikach, jakby się bał, że odleci.

– Co się stało? – spytałem.

– Wyobraź sobie, że Hatstellowie odmówili przyjęcia mojego portretu. Nie chcieli go ode mnie kupić, twierdząc, że jest tandetny, a namalowane postacie nie przypominają ich dzieci. – Pokręcił głową. – To jak rzucanie pereł przed wieprze – rzekł. – Przez ostatnie tygodnie marnowałem swój czas i talent na głupków.

– Słyszałem, że Hatstell ostatnio wpadł w poważne tarapaty finansowe. Może taki jest prawdziwy powód – odparłem.

– Piambo, dziękuję ci za miłe słowa, ale wiem, że niedawno dostał awans.

Spuściłem wzrok, zawstydzony, że Shenz przyłapał mnie na kłamstwie.

– Ale jest jeden pozytywny – rzekł Shenz. – Zanim przepędzili mnie ze swojego domu, dzieciaki wyszły z ukrycia i obsypały mnie pocałunkami i uściskami. Polubiłem te koszmarne kluski. Będzie mi ich brakowało. Przed odejściem dałem im resztę słodyczy.

Nie wiedziałem, jak poruszyć temat, z którym przyszedłem. Czułem, że trudno o gorszą chwilę, ale widząc tempo, z jakim Shenz się stacza, zdawałem sobie sprawę, że mogę nie mieć kolejnej okazji.

– Byłem u pani Charbuque – powiedziałem.

– Jak się miewa moja ulubiona zagadka?

– Zniknęła.

- Prawdziwe pytanie brzmi, czy kiedykolwiek istniała naprawdę.
- Dom jest pusty, Shenz. Drzwi wejściowe były otwarte. Wszedłem i spenetrowałem wszystkie pomieszczenia, szukając jakichś wskazówek.
- I co znalazłeś?
- Na poddaszu odkryłem jej portrety stworzone przez moich ulubionych malarzy – odparłem i zobaczyłem, jak opadła mu szczęka.
- Siedział nieruchomo przez minutę, po czym wziął papierosa z niewielkiego stolika stojącego obok jego fotela. Z kieszeni marynarki wyjął pudełko zapalek. Zapalił papierosa i wydmuchnął idealne kółko niebieskiego dymu.
- A więc już wiesz – rzekł.
- To piękny obraz.
- Nie podobał mi się, gdy go skończyłem i zainkasowałem skromne honorarium – odparł. – Początkowo byłem pewien, że udało mi się osiągnąć niewyobrażalne.
- Skąd wiesz, że tak nie jest? Polegamy tylko na słowie nieźrównoważonej kobiety – odrzekłem.
- Nie, Piambo, zrozumiałem, że się pomyliłem, gdy tylko oceniła moje dzieło. To uczucie wciąż przybierało na sile, jak próżnia pochłaniająca powoli chęć dalszej pracy.
- Chciałem mu powiedzieć, że to zlecenie nie miało nic wspólnego z malarstwem, ale zaczynałem doświadczać tego samego uczucia, które opisał.
- Dlaczego pozwoliłeś mi wziąć udział w tej daremnej eskapadzie, zamiast mnie ostrzec? – spytałem.
- Teraz tego żałuję – odparł. – Ale tak bardzo ufałem w twoje umiejętności... Całym sercem wierzyłem, że ci się uda. Gdy ja malowałem jej portret, nie starałem się szukać żadnych zewnętrznych źródeł, na których mógłbym się oprzeć. Ograniczałem się do wysłuchiwanie jej dziwacznych historii. Myślałem, że jeśli ci pomogę, zachęcę do poszukiwań poza ustalonymi granicami i pokieruję twoją pracą, to z pewnością odniesiesz sukces.
- Shenz, obawiam się, że twoja opinia o moich zdolnościach może być nieco przesadzona, chociaż doceniam, że we mnie wierzysz.
- Nie – odparł, kręcąc głową, a ja wyczułem nutę złości w jego głosie. – Nie chodzi tylko o mnie. Sabott tak samo w ciebie wierzył, jeśli nie bardziej. Kiedy przed laty spotkałem go w Klubie Gracza, wkrótce przed jego

śmiercią, opowiedział mi o dziwnym zleceniu, które go otumanilo. Dlatego kiedy skontaktowałem się ze mną niewidomy dzentelmen, wiedziałem, w co się pakuję. Sabott radził mi, żebym się trzymał z daleka od Sybilli, ale kiedy pojawiła się okazja, nie mogłem odmówić, mimo ostrzeżeń, że ten portret mnie zniszczy. Wiesz, co jeszcze powiedział mi Sabott?

Nic nie odpowiedziałem.

– Powiedział: „Zostaw to Piambo. On sobie poradzi”. Wtedy zignorowałem jego słowa. Prawdę mówiąc, uznałem je za bredzenie szaleńca. A gdy dostałem zlecenie, akurat znajdowałem się na rozdrożu i potrzebowałem jakiejś próby, żeby udowodnić sobie, że wciąż nie straciłem talentu. Poza tym chciałem dowieść, że potrafię dokonać tego, co według Sabotta mogłeś zrobić tylko ty. Przyznaję, że była to głupota.

– Nie rozpamiętuj tego, Shenz – odrzekłem. – Zapomnij o tym, a wkrótce wrócisz na szczyt.

– Wierz mi, że próbowałem zapomnieć. Rzuciłem się w objęcia opium, żeby wykurzyć te myśli ze swojej głowy. Ale narkotyk pozostawił to, co mnie dręczyło, a zniszczył całą resztę. – Gdy Shenz skończył, zobaczyłem łzy w jego oczach. Wyglądał na bardzo starego. Zgasił papierosa w popielniczce, po czym ukrył twarz w dłoniach i pogрузzył się w rozpacz.

– Nie możesz się poddać, Shenz – powiedziałem. – Weź się w garść. Oto, co zrobimy. Zapłacę za twoje leczenie. Zatrudnimy specjalistów, którzy oczyszczą twój organizm z tego przeklętego narkotyku. Istnieją sanatoria leczące z takich przypadłości. Potem weźmiemy się do pracy.

– Mój Boże, nie płakałem od lat – odrzekł. – A teraz nie potrafię przestać. – Gdy odsunął dłonie od twarzy, były pokryte czerwienią.

W tej samej chwili zrozumiałem, że mój przyjaciel płacze krwią, i zauważyłem kameę przypiętą do jego kłapy.

– Skąd masz tę biżuterię? – spytałem. – Kameę.

Próbował otrzeć oczy, ale tylko rozmazał krew po twarzy.

– Dzisiaj na ulicy pewien sympatyczny jegomość po prostu mi ją podarował. Podszedł do mnie i z uśmiechem przypiął mi ją do kłapy. Wciąż przeżywałem swoją wczorajszą porażkę u Hatstellów, więc chętnie skorzystałem z tego miłego gestu.

– Płaczesz krwią – powiedziałem, wstając z fotela.

Shenz popatrzył na swoje dłonie.

– Rzeczywiście – odparł. – Czy to jakieś religijne zjawisko, czy może

pękła mi żyłka? Aha, no tak, pamiętam, że dzisiaj czytałem o tym w gazecie. To najnowsza moda.

Pobiegłem w stronę drzwi.

– Nie ruszaj się! – zawołałem. – Sprowadzę pomoc.

Wciąż dokuczała mi noga po laniu, jakie otrzymałem poprzedniego wieczoru, ale zignorowałem pulsujący ból i popędziłem po schodach na ulicę. Wiedziałem, że Shenz umrze. Nawet jeśli znajdę lekarza albo policjanta, to co oni zrobią? Doskonale zdawałem sobie sprawę, że nigdzie w najbliższej okolicy nie ma telefonu, więc skierowałem się w stronę Siódmej Alei.

Dopiero po dwudziestu minutach znalazłem bar z telefonem i zadzwoniłem na komisariat. Powołałem się na Sillsa i powiedziałem, gdzie jest Shenz. Gdy dyżurujący policjant usłyszał, że zgłaszam kolejny przypadek nowo ujawnionej choroby, bardzo się zainteresował i obiecał, że natychmiast wyślą ludzi do domu Shenza. Potem ostrzegł mnie, żebym nie wracał do mieszkania chorego, tylko został tam, gdzie jestem. Odparłem, że muszę wrócić.

– Jeśli pan to zrobi, możliwe, że będziemy mieli na głowie dwa nowe zgony – zganiał mnie. – Proszę nigdzie nie odchodzić. – Potem zapisał adres baru, z którego dzwoniłem, i się rozłączył.

Ostatecznie nie wróciłem do domu Shenza. Będę żałował tej decyzji do końca życia, ale po prostu nie miałem odwagi patrzeć, jak mój przyjaciel umiera. W ciągu ostatnich dwóch dni zostałem zmuszony do stanięcia twarzą w twarz ze swoimi najgorszymi wadami. Zdradziłem Samantę, a następnie spotkała mnie dotkliwa nauczka za porzucenie Sabotta, kiedy młody Edward zignorował moją prośbę o pomoc, gdy leżałem na ulicy. Dowlokłem się do stolika w kącie i skryłem twarz w dłoniach. Barman, który słyszał moją rozmowę telefoniczną i widział moje łzy, przyniósł mi szklaneczkę whisky. Wypiłem ją, i wiele kolejnych, czekając na pojawienie się Sillsa. W swojej rozpaczy wierzyłem, że im szybciej będę pił, tym szybciej popłynie krew Shenza, i tym prędzej zakończy się ta ohydna historia.

Dwie godziny później Sills pojawił się w drzwiach baru. Podeszedł do mojego stolika, złapał mnie za kołnierz płaszcza i postawił na nogi.

– Chodź, Piambo, musimy się przejść. Wszystko mi opowiesz.

– Już po wszystkim? – spytałem.

Pokiwał głową.

– Umarł wkrótce po naszym przybyciu. Przynajmniej zdążyłem się z nim pożegnać.

Wyszliśmy z lokalu na chodnik zalany złocistym blaskiem zachodzącego słońca i ruszyliśmy na południe. Gdy się zataczałem, Sills mnie podtrzymywał. Zatrzymał się przy stoisku z kawą i kupił dwie filiżanki ulicznej lury. Napój jednak był gorący i otrzeźwił mnie na tyle, że mogłem wyraźnie mówić. Gdy wypilem, kupił kolejną filiżankę i kazał mi ją opróżnić.

– A teraz opowiadaj – rzekł, gdy znów ruszyliśmy chodnikiem. – Powiedz mi wszystko, co wiesz o Morecie Charbuque. Chcę poznać wszystkie szczegóły.

Niczego nie ukrywałem. Powędrowaliśmy Siódmą Aleją aż do Piątej, a potem z powrotem na północ. Chodziliśmy aż do zapadnięcia zmroku, a ja dokładnie zrelacjonowałem Sillsowi swoją znajomość z panią Charbuque. Przyznałem się nawet do incydentu z Samantą.

Skończyłem swoją opowieść zaledwie dwie przecznice od domu, a Sills odprowadził mnie do schodów. Staliśmy tam w milczeniu przez kilka minut, paląc papierosy.

– Nie powinienem ci tego mówić, Piambo, ale Shenz przekazał mi wiadomość dla ciebie. To jego ostatnie słowa.

– Dlaczego nie powinienes mi tego mówić? – spytałem.

– Ponieważ chciałbym, żebyś uwolnił się z tego bagna.

– Trzeba uszanować ostatnią prośbę umierającego – odrzekłem.

Sills na chwilę odwrócił wzrok, jakby się zastanawiał.

– No dobrze – rzekł w końcu. – Shenz prosił, żebym ci przekazał: „Nie rezygnuj”.

ŁZY KARTAGINY

Dla bezpieczeństwa ciało Shenza skremowano jeszcze w dniu śmierci. Nie wiem, skąd wziąłem na to siłę, ale zorganizowałem i opłaciłem niewielkie przyjęcie na jego cześć, które odbyło się dwa dni później w Klubie Gracza. Wieści o zgonie Shenza z prędkością błyskawicy obiegły środowisko artystów, a ja postarałem się powiadomić o tej zaimprovizowanej stypie wszystkich, którzy go znali.

Shenz należał do ludzi poruszających się w wielu kręgach, dlatego na stypie pojawili się niezależni i komercyjni artyści, woźnice, barmani, politycy, handlarze opium, modelki i kobiety nocy, złodzieje oraz policjanci. Również wielu bogatych klientów Shenza wybrało się do śródmieścia, więc, metaforycznie rzecz ujmując, żeby uczcić jego pamięć, lew położył się z jagnięciem. Nie wygłaszano żadnych przemów, nie intonowano modlitw. Ludzie po prostu rozmawiali, a od czasu do czasu w tłumie zapadała cisza. Niektórzy wtedy płakali, a wielu długo wpatrywało się w dal, aż w końcu atmosfera znów się rozkręcała. Było niewiele jedzenia i mnóstwo alkoholu. Z szacunku porozmawiałem z kilkoma naszymi najbliższymi kolegami z dawnych lat, ale przeważnie trzymałem się na uboczu i milczałem. Wysłałem zaproszenie do Samanty, ale się nie pojawiła.

Przyjęcie skończyło się dopiero przed północą. Wtedy już przestałem pić i siedziałem otępiąły na krześle. Niektórzy z moich znajomych wyszli, życząc mi dobrej nocy, a kiedy wreszcie wyrwałem się z transu, ujrzałem znajomą twarz. Goren, Człowiek z Równika, przysunął krzesło i usiadł naprzeciwko mnie.

- Dziękuję, że pan mnie powiadomił, panie Piambo – rzekł.
- Był pan tutaj od początku? – spytałem.
- Dosyć długo. Czekałem na okazję, żeby porozmawiać z panem na osobności.
- Słucham – odpowiedziałem i wyprostowałem się na krześle.

– Rozmawiając z innymi osobami, dowiedziałem się, że był pan przy Shenzu, gdy umierał. Czy to była ta choroba, którą opisują w gazetach?

– Krwawienie z oczu, zgadza się – odrzekłem.

– Wiem co nieco o tym koszmarze. Kilka lat temu, gdy po raz pierwszy otworzyłem swój sklep w Village, odwiedził mnie dziwny jegomość, który udawał niewidomego. Był gotów zapłacić za wszelkie informacje dotyczące tych ocznych stygmatów.

Ta wiadomość całkowicie mnie rozbudziła.

– To był Watkin – odparłem. – Czego się pan dowiedział?

– Dysponował tylko opisem objawów, z którymi nigdy wcześniej się nie zetknąłem. Powiedziałem mu, że zobaczę, co uda mi się znaleźć, i skontaktuję się z nim, jeśli coś odkryję. Odpowiedział, że wróci za kilka miesięcy, a jeżeli będę coś dla niego miał, to nie będzie żałował pieniędzy. Opisane objawy były drastyczne, ale starałem się stale o nich pamiętać i jak najczęściej je rozważać. To mój sposób na zbliżenie się do badanego tematu. Jako że rzeczywistość jest w dwóch trzecich produktem świadomości, zacząłem przyciągać informacje jak magnes. Otworzyłem się na nie, zaprosiłem je...

Nie chciałem być niecierpliwy, ale nie mogłem się powstrzymać.

– W rozmowie ze mną może pan sobie darować metafizykę. Czego pan się dowiedział?

Goren przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, po czym uśmiechnął się i kontynuował.

– Istnieje wiele odwołań do tej przypadłości w starożytnych tekstach. U Pliniusza Starszego, Herodota, Galena. W starożytnym świecie nazywano ją Łzami Kartaginy. Gdy to potężne fenickie miasto zostało zdobyte przez Rzymian, którzy posypali pola solą, niektóre z uprowadzonych kobiet zabrały ze sobą małe fiołki, w których rzekomo znajdowały się rzadkie perfumy. Namaszczały nimi swoich nowych panów, a wtedy z ich oczu płynęły krwawe łzy, aż w końcu serca ofiar nie miały już czego pompować. To był pasożytniczy koń trojański. Fenicjanie zapuszczali się daleko w głąb Afryki i podejrzewam, że chodzi tutaj o jakiś rodzaj tamtejszego rzecznego pasożyta, o którym wspominali niektórzy badacze tego tajemniczego kontynentu, opisując rzadkie choroby prowadzące do drastycznego wykrwawienia. Co ciekawe, Fenicjanie wykorzystywali go jako broń. Zapewne nauczyli się tego od rdzennych ludów. Podczas własnych podróży do Afryki również wiele się

dowiedziałem od szamanów, których wiedza dotycząca naturalnych zjawisk znacznie wykracza poza wszystko, co odkryły zachodnie kultury. Uważam, że Shenza zabiły Łzy Kartaginy.

Podeksytowany wyjaśnieniami Gorena, opowiedziałem mu w skrócie – nie chcąc ponownie przywoływać całej sagi dotyczącej życia pani Charbuque – o lampie pełnej płynu, którą Luciere skradła archeologowi.

– Czy po tylu stuleciach ta substancja wciąż może zachowywać moc? – spytałem.

– Wydaje się to mało prawdopodobne, ale podejrzewam, że to zależy, z czym zmieszano pasożyta – odparł Goren. – Niewykluczone, że ten organizm może wiecznie pozostawać w stanie uśpienia, po czym budzi się po wejściu w kontakt z ciepłem większego organizmu. Gdy już się zbudzi, zawsze kieruje się w stronę oczu. Lampa zapewne pochodzi z któregoś z krajów arabskich i jest znacznie starsza od swojej zawartości. Fenicjanie prowadzili ożywiony handel z Orientem. Prawdopodobnie opłynęli ziemię dookoła, chociaż wątpię, by zgodził się z tym twierdzeniem jakikolwiek profesor badający starożytność. Ale oto ziarno prawdy. Obok niektórych późniejszych opisów Łez pojawiają się także wzmianki o odtrutce. Przemycie oczu nalewką sporządzoną z przyprawy, którą nazywamy gałką muszkatołową, pozwala zwalczyć pasożyta uczującego na miękkiej tkance ocznej. Okazy tej rośliny znajdowano w ruinach Kartaginy i miejscach innych fenickich wykopalisk. Jedynym miejscem, w którym mogła powstać odtrutka, był dzisiejszy archipeląg Zanzibar na Oceanie Indyjskim, oddalony o tysiące mil od najważniejszych ośrodków kulturalnych.

W mojej głowie kłębiło się tyle myśli, że początkowo nie byłem w stanie nic odpowiedzieć.

– Czy przekazał pan te informacje człowiekowi, który o nie prosił? – spytałem w końcu, przypominając sobie o małej buteleczce, którą dał mi Watkin.

– Tak – odrzekł Goren. – Dobrze mi za nie zapłacił, tak jak obiecał.

– Ktoś używa Łez Kartaginy jako narzędzia mordy.

– Podejrzewałem to, gdy tylko przeczytałem o tej sprawie w gazecie. Dlatego chciałem z panem porozmawiać. Miałem nadzieję, że zawiadomi pan odpowiednie władze. Moje osobiste przekonania nie pozwalają mi na udzielane bezpośredniej pomocy państwu.

– To niemal zbyt zagmatwane, by dać temu wiarę. W grę wchodzi zbyt

wiele okoliczności i zbyt długi czas – stwierdziłem.

– Dla kosmosu to tylko chwila – odrzekł Goren. – Oto ostatnia informacja: w literaturze medycznej opisano jeden odizolowany przypadek tej choroby. Mniej więcej piętnaście lat temu zapadła na nią młoda kobieta, która pracowała jako pokojówka w jednym z hoteli. Wybuchła wtedy panika, ale gdy nie pojawiły się kolejne przypadki, strach ustąpił i chorobę uznano za odosobnione wynaturzenie.

– Sam nie wiem, czy to, co pan opowiada, jest fascynujące, czy raczej niepokojące – przyznałem.

– Jedno i drugie – rzekł Goren. – A tak przy okazji, trzyma się pan zaleceń, które panu przekazałem?

– Skrupulatnie – zapewniłem.

– Z jakim skutkiem? – spytał.

– Wybuchowym – odparłem.

– Jeśli będzie pan jeszcze czegoś potrzebował, wie pan, gdzie mnie znaleźć – powiedział, po czym wstał z krzesła. – Będzie mi brakowało Shenza. Był diabelnie dobrym człowiekiem.

– Mnie również trudno się pogodzić z jego śmiercią.

– Śmierć to pojęcie względne, panie Piambo. Niech pan o niej myśli jak o zmianie. Śmierć nie istnieje. – Goren nachylił się i mocno uściśnął moją dłoń, przytrzymując ją przez dłuższą chwilę. Potem wyszedł i zniknął w ciemności.

Tej nocy leżałem w łóżku i rozmyślałem o ostatniej prośbie Shenza. Nie miałem zamiaru rezygnować. Postanowiłem znaleźć pana Charbuque i pomścić śmierć przyjaciela. Nie wierzyłem w zapewnienia Gorena, że śmierć nie istnieje. Żmudne poszukiwanie równowagi zamknęło jego umysł na prawdę. Życie nie polega na trwaniu w idealnym bezruchu. Taka stagnacja sama w sobie jest śmiercią. Życie to chaos, który przechyla szalę na którąś ze stron.

W tej chwili najbardziej pragnąłem, żeby była przy mnie Samanta. Choć zależało mi na odnalezieniu mordercy, musiałem także odzyskać zaufanie ukochanej. Oba te zadania były co najmniej tak trudne, jak stworzenie portretu pani Charbuque wyłącznie na podstawie jej słów. Jednakże od doprowadzenia ich do szczęśliwego końca zależało moje przyszłe szczęście. Straciłem zlecenie, ale wcale mnie to nie martwiło. Cieszyłem się, że wreszcie mam wolną głowę i mogę się skupić na tym, co jest naprawdę ważne. Tej nocy źle spałem, dręczony uczuciem samotności. Nie

doświadczylem czegoś takiego od czasów dzieciństwa, gdy mojego ojca zabił jeden z jego wynalazków.

ONE WSZYSTKIE SĄ NIĄ

Po zniknięciu pani Charbuque i śmierci Shenza spędzałem kolejne dni na wędrowaniu po mieście pod pretekstem szukania mordercy. Włączyłem się pieszo, na przedmieścia i z powrotem, wypatrując kogoś, kto pasowałby do nieprecyzyjnego opisu, którym dysponowałem. Trzymałem się z daleka od barów i whisky, wiedząc, że ta droga doprowadzi mnie do chaosu i ruiny. Póki byłem w ruchu, moje myśli mniej zaprzętało cierpienie, które stale mi towarzyszyło. Poza tym, męczące dzienne eskapady sprawiały, że w nocy łatwiej przychodziło do mnie jakże pożądane zapomnienie snu.

Artykuły w prasie nie wywołały powszechnej paniki, której spodziewały się władze. Większość ludzi przeżyła krwawą wojnę między Północą i Południem, zatem kilka zgonów z powodu dziwnej choroby nie zrobiło na nich wrażenia. Każdego dnia setki ludzi padały ofiarą morderstw, wypadków w pracy, suchot i biedy, a starania o uniknięcie tych tragedii poprzez gromadzenie dóbr stały się priorytetem i wymuszały wierność codziennej rutynie. Opowieści o ofiarach wykrwawiających się na śmierć przez oczy stanowiły jedynie fascynujący i przerażający dodatek.

Sills ucieszył się z informacji, które otrzymałem od Gorena, a nowojorska policja wystawiła na próbę lokalny rynek gałki muszkatołowej. Nalewka opisana przez Człowieka z Równika znalazła się na wyposażeniu wszystkich funkcjonariuszy pracujących nad tą sprawą. Policjanci skontaktowali się ze Stowarzyszeniem Jubilerów i znaleźli niejakiego pana Gerenarda, który stworzył kamee dla pana Charbuque. Zakupiono dwa tuziny tych drogich przypinek. Wyrzeźbiono je z naturalnego koralu i pomalowano tło na kobaltowoniebieski kolor, który kontrastował z reliefem przedstawiającym głowę Meduzy, a następnie osadzono w czternastokaratowym złocie z pięciocentymetrową szpilką. Zapewne były to dokładne repliki kamei, którą Charbuque podarował Luciere w Londynie.

Gerenard przyznał, że wzbraniał się przed ich pomalowaniem, ale

kupujący nalegał, twierdząc, że „musi ją otaczać ciemność”. Jedno trzeba było przyznać Moretowi – nie oszczędzał na swoich ofiarach. Kamee kosztowały go małą fortunę. Jednakże ta informacja była bezużyteczna, ponieważ kupujący nie podał nazwiska ani adresu, zapłacił z góry i odebrał biżuterię wiele miesięcy temu. Stary rzemieślnik nie pamiętał żadnych charakterystycznych cech swojego klienta.

Poświęciłem kilkuminutowy odpoczynek, który codziennie urządzałem w trakcie swoich bezcelowych wędrówek, na zastanawianie się, po co Charbuque zaraził Shenza. Wszystkie pozostałe ofiary były przypadkowo wybranymi kobietami. Jedyne, co przychodziło mi do głowy, to że morderca chciał mnie zranić, albo że Shenz, który także pracował nad portretem i zachęcał mnie do przekraczania zasad, był dzokerem w „rozgrywce”, o której wspominali Charbuque i Watkin.

Wielokrotnie chodziłem do teatru, kupowałem bilet i kryłem się w tylnym rzędzie, chcąc popatrzeć na Samantę. Siedząc w ciemności, próbowałem zebrać się na odwagę, żeby do niej podejść i błagać o wybaczenie. Nawet nie wiem, o czym była sztuka, tak bardzo skupiałem się na każdym ruchu Samanty, jej twarzy i brzmieniu głosu. Po spektaklu ustawiałem się w uliczce naprzeciwko teatru i patrzyłem, jak wsiada do dwukołowej dorożki.

Pewnego wieczoru, gdy postanowiłem, że wreszcie się ujawnię, i stałem w tej samej żalösnej uliczce, czekając, aż Samanta wyjdzie z budynku, nagle poczułem dotyk czegoś zimnego z tyłu głowy.

– Spokojnie, panie Piambo, albo pana przedziurawię – wyszeptał Charbuque.

Właśnie na tę chwilę czekałem. Przez ostatnie dni wielokrotnie sobie obiecywałem, że jeśli ponownie spotkam pana Charbuque, zapomnę o ostrożności i siłą zmuszę go do uległości, a może nawet uduszę gołymi rękami. Teraz nadszedł właściwy moment, a ja stałem jak sparalizowany. Cała odwaga wyparowała ze mnie w obliczu zagrożenia. Zdołałem tylko odpowiedzieć:

– Ty morderco.

– Zawsze jest pan taki bystry? – spytał.

– Dlaczego Shenz? – wykrztusiłem.

– Stary cap za bardzo węszył. Mam w zwyczaju doprowadzać do łez tylko damy, ale tym razem pozwoliłem sobie na wyjątek.

– No dobrze – odparłem, myśląc, że gdyby miał zamiar mnie zabić, to już

by to zrobił. – Więc dlaczego tamte kobiety?

– Oczywiście z zemsty – odrzekł.

– Na kim?

– Na mojej żonie. Na tej wiedźmie.

– Przecież one nią nie były.

– Gdzie ona jest? Dokąd odeszła? Chcę, żeby widziała, co robię. – Słyszałem, że wzbiera w nim gniew, i poczułem, jak lufa pistoletu lekko drży przy mojej głowie.

– Nie wiem – odpowiedziałem.

– Kłamie pan.

– Mówię prawdę. Nie zostawiła żadnej informacji. Nie zdążyłem dokończyć zlecenia.

– Jeśli odkryję, że pan wie, gdzie ona jest, ale nie chce mi powiedzieć, zadbam o to, żeby pańska przyjaciółka aktorka zapłakała jak dziecko.

– Dlaczego nie spotka się pan ze swoją żoną, zamiast mieszać w to niewinnych ludzi?

– Łączy nas potężna siła. Może ją pan nazwać nadnaturalną, jeśli pan chce. Ona nas do siebie przyciąga, a zarazem odpycha. Nie możemy się znaleźć na tej samej orbicie, więc, sfrustrowani tym oddaleniem, zamiast siebie nawzajem, ranimy innych. Myślę, że to oddanie można nazwać tylko miłością.

– Co zrobiła Luciere? – spytałem.

– A więc nazywa ją pan Luciere, tak? Nie wie pan o wszystkich mężczyznach, których okradła z talentu za sprawą tego niewykonalnego zadania? Wszystkich wypełniła wątpliwościami i uczyniła bezużytecznymi, tak jak chciała postąpić ze mną. Co jest gorszą zbrodnią, zakończyć czyjeś życie czy torturować żyjących i zmieniać ich w puste łupiny, wyschnięte naczynia świadome własnej pustki?

– Zatem uważa pan, że zabicie tych biednych kobiet było szlachetne? – spytałem, po czym roześmiałem się pod wpływem absurdalności tej logiki.

– Myli się pan, panie Piambo. Kobiety, które zabiłem, były moją żoną. Wszystkie nią są, co do jednej.

Poczułem, że lufa pistoletu oderwała się od mojej głowy, i w tej samej chwili zaatakowałem. Zacząłem się odwracać, żeby pochwycić pana Charbuque, ale nie zdołałem wykonać nawet jednej czwartej obrotu, gdy nagle jakiś twardy przedmiot uderzył mnie w podstawę czaszki. Zatoczyłem

się do przodu na ulicę, czekając na straż, który zakończy moje życie. Wciąż byłem przytomny, gdy ugięły się przede mną nogi i upadłem na kolana. Potem przechyliłem się w bok i straciłem przytomność.

Ocknąłem się z zamglonym wzrokiem i potwornym bólem głowy, początkowo zdając sobie sprawę tylko z tego, że ostatnio często zbieram cięgi i leżę na ulicy. Gdy częściowo odzyskałem jasność widzenia, podniosłem wzrok i dostrzegłem unoszące się nade mną niewyraźne kształty. Zrozumiałem, że otacza mnie tłum gapiów. Byłem zamroczony, a kiedy spróbowałem się odezwać, z moich ust wydobył się tylko niezrozumiały bełkot.

– Czy on jest pijany? – usłyszałem męski głos.

– Pomóżcie mi go zaprowadzić do dorożki. Wiem, gdzie mieszka – odrzekła jakaś kobieta. To była Samanta.

Poczułem dwie pary rąk, które chwyciły mnie pod pachami i postawiły na nogi. Po chwili ruszyłem chodnikiem, przesuając stopy najmocniej jak zdołałem, ale ból głowy przybrał na sile, rozszerzając się jak pożar lasu, i znów zemdlałem.

Gdy ponownie się obudziłem, słoneczny blask wpadał przez koronkowe firanki wiszące na oknie mojej sypialni. Próbowałem usiąść, ale od razu zakręciło mi się w głowie. Przewróciłem się na bok i zobaczyłem leżącą obok mnie Samantę. Może to wszystko był tylko sen, całe to dziwactwo – pani Charbuque, moja zdrada Samanty, śmierć Shenza, pomyślałem. Potem zauważyłem, że moja ukochana jest całkiem ubrana i leży na pościeli. Wyciągnąłem dłoń, żeby musnąć jej włosy, ale kiedy moje palce znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od jej głowy, Samanta otworzyła oczy i usiadła. Zobaczyła, że próbowałem jej dotknąć, i wstała z łóżka.

– Co ci się stało wczoraj wieczorem? – spytała.

– Mąż pani Charbuque uderzył mnie pistoletem w tył głowy.

– Należało ci się – odparła. – A dlaczego to się stało przed teatrem, w którym akurat występowałam? Najadłam się wstydu, najpierw kiedy musiałam się przyznać, że cię znam, a potem, kiedy zabrałam cię z ulicy i przywiozłam tutaj. Gdyby nie to, że Shenz zmarł, zostawiłabym cię na ulicy.

– Ukrywałem się w uliczce naprzeciwko, mając nadzieję, że cię zobaczę, a wtedy on się do mnie podkradł – wyznałem.

– Byłeś na przedstawieniu?

– Na wszystkich w ciągu ostatnich pięciu dni.

– Dlaczego nie dasz mi spokoju? – spytała. – Już cię nie chcę.

– Wiem, ale ja chcę ciebie. Zdaję sobie sprawę, że źle postąpiłem, kiedy ci się poddałem, myśląc, że jesteś panią Charbuque. Uległem chwilowej słabości. Ale przysięgam, że cię z nią nie zdradziłem. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie potrafię cię okłamywać.

– Powiedziałeś mi także, że ona nic dla ciebie nie znaczy.

– Pochłonięła mnie praca. Byłem zagubiony i miałem zszargane nerwy.

– Akurat – parsknęła, odwracając się z obrzydzeniem.

– Myślałem, że przyjdiesz na przyjęcie po śmierci Shenza.

Przez chwilę milczała, zwrócona do mnie plecami.

– Chciałam, ale nie mogłam się z tobą zobaczyć – odrzekła w końcu.

– Jestem taki samotny bez ciebie. Cały czas tylko włóczę się Broadwayem i kryję w cieniach, żeby na ciebie zerkać.

Znow się odwróciła i posłała mi pogardliwe spojrzenie.

– Ja też jestem samotna, Piambo.

– Wybacz mi.

– Czujesz się już lepiej?

– Przeżyję.

– Co się z tobą działo? – wyszeptała, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Opowiedziałem jej najszybciej jak potrafiłem o wszystkim, co się wydarzyło od czasu naszego ostatniego spotkania. Czytała o morderstwach w prasie.

Wstała i wygładziła pogniecioną sukienkę.

– Wychodzę – powiedziała.

– A co z nami? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Nie wiem.

Patrzyłem, jak wychodzi z pokoju, ale kiedy próbowałem wstać, żeby pójść za nią, powrócił ból głowy i przyniósł ze sobą straszliwe zmęczenie. Ostatnim, co usłyszałem przed zaśnięciem, był trzask zamykanych drzwi od mojego salonu.

WIECZORNY POCIĄG DO BABILONU

Wydaje mi się, że gdzieś czytałem, jak niebezpiecznie jest spać po wstrząsie mózgu, gdyż można zapaść w śpiączkę, ale i tak zasnąłem. Obudziłem się dopiero po południu następnego dnia. Gdy wreszcie wstałem z łóżka, guz z tyłu głowy wciąż był tkliwy, ale ból wewnątrz czaszki ustąpił i odzyskałem normalny wzrok. Ubrałem się i wyszedłem kupić coś do jedzenia, ponieważ umierałem z głodu.

Wracając z delikatesów Moulda, postanowiłem, że tego dnia nie będę szukał pana Charbuque. Przepęłniała mnie nadzieja: Samanta powiedziała, że zastanowi się nad powrotem. Zachowywała się agresywnie, a jej słowa nie brzmiały jak pochwała naszego związku, ale nawet niewielka szansa, że nie wszystko stracone, była dla mnie jak promień słońca, pierwszy od tygodni. Chciałem się odprężyć i nacieszyć przez kilka godzin tą możliwością.

Po powrocie do domu zacząłem przetrząsać pracownię, próbując sobie przypomnieć swoją karierę, zanim pani Charbuque wkroczyła w moje życie. Minęło zaledwie kilka tygodni, ale moja egzystencja malarza do wynajęcia wydawała się niezwykle odległa. Wiedziałem, że powrót do pracy będzie wymagał ode mnie sporego wysiłku, ponieważ wycofałem się z kilku ważnych zleceń. Na kilka tygodni zniknąłem z salonów i straciłem klientów, którzy mogli mnie polecić swoim bogatym znajomym.

Siedząc w pracowni, gdzie szukałem swojej zagubionej tożsamości i odpowiednich literackich metafor, usłyszałem pukanie do drzwi frontowych. Jak się można domyślić, długo wahałem się, czy zareagować. Miałem już dosyć zbierania batów i tego dnia chciałem odpocząć od sprawy pana Charbuque. Pomyślałem jednak, że to może być Samanta, więc poszedłem otworzyć.

Zamiast gościa, pożądanego albo wręcz przeciwnie, znalazłem kopertę w kolorze ultramaryny leżącą na górnym stopniu, zabezpieczoną dużym kamieniem przed podmuchami jesiennego wiatru. Zawahałem się, pamiętając

falszerstwo Samanty. Oczywiście w końcu podniosłem kopertę i zaniósłem ją do domu, a następnie rozciąłem w salonie.

Szanowny Panie Piambo!

Nie zapomniałam o naszej umowie. Proszę mi wybaczyć, że chwilowo Pana opuściłam, ale nagłe pojawienie się mojego męża zmusiło mnie do ucieczki z miasta. Mam nadzieję, że Pan to rozumie. Niech Pan pojedzie linią kolejową Long Island do stacji Babilon. Stamtąd proszę się dostać do gospody La Grange. Zarezerwowałam tam dla Pana pokój. W gospodzie czekają dalsze instrukcje. Jeśli nie przybędzie Pan w ciągu kilku kolejnych dni, odwołam rezerwację, a także całe zlecenie. Mam nadzieję, że razem dokończymy nasz projekt.

*Z wyrazami sympatii,
Luciere*

Nie miałem wątpliwości, że wiadomość wyszła spod ręki prawdziwej pani Charbuque. Tylko ktoś tak niezrównoważony jak ona mógł zwracać się do mnie tonem bankowca proponującego pożyczkę, po tym wszystkim, co wycierpiałem z jej powodu. Musiałem podjąć decyzję – podrzeć list na strzępy, zignorować go i spróbować poskładać w całość swoje dawne życie, albo, tak jak prosił Shen, postawić pięć tysięcy na jednego konia i nie rezygnować.

Kiedy już spakowałem walizki i zebrałem przybory malarskie, które były mi potrzebne do wykonania portretu, napisałem list do Sillsa, prosząc, żeby zaopiekował się Samantą. Nie zdradziłem, dokąd się wybieram. Podejrzywałem, że gdy tylko wykonam jakiś ruch, Moret Charbuque o wszystkim się dowie i podąży moim tropem. Zamierzałem się śpieszyć, żeby uniemożliwić mu realizację niecných planów i odciągnąć go jak najdalej od Samanty.

Gdy późnym popołudniem wyszedłem z domu, wyglądałem jak objuczony muł. Dźwigałem torby, kilka zwiniętych płócien, skrzynkę z farbami oraz sztalugi. Poszedłem prosto do knajpki Crenshawów i poprosiłem panią Crenshaw, żeby wysłała posłańca z moim listem do Johna. Staruszka była nieco wścibska, ale dbała o swoich stałych klientów, więc mogłem być pewien, że wiadomość dotrze do celu, nawet gdyby musiała ją zanieść osobiście. Potem złapałem dorożkę i obiecałem woźnicy specjalną

zapłatę, jeśli zawiezie mnie na dworzec kolejowy w Flatbush. Przejechaliśmy po Moście Brooklińskim, patrząc na złocisty blask zachodzącego słońca rozlewający się po tym arcydziele inżynierii. Rozmyślałem o odległej przyszłości, gdy nasi potomkowie odkopią ruiny Nowego Jorku, tak samo jak my odkopujemy pozostałości Kartaginy, i zastanawiałem się, jakie srebrne lampy pełne koszmarów i cudów tam znajdą.

Złapałem wieczorny pociąg do Babilonu. Na stacji Jamajka zmieniono lokomotywę i większość współpasażerów wysiadła. Rozsiadłem się wygodniej, po czym zamknąłem oczy. Głowa wciąż mnie bolała, ale miałem spokojne sumienie, gdyż podjąłem decyzję o działaniu. W moich myślach pojawił się Sabott, a wspomnienia o nim mieszały się z sennymi wizjami.

Siedziałem ze swoim mentorem w jego pracowni. Była noc, a całą scenę oświetlały dwie świece. Sabott palił swoją holenderską fajkę, a ja papierosa. Czuję się swobodnie. Mój mistrz podrapał się po brodzie i ziewnął. Wóz ciągnięty przez konia zagrzechotał na bruku. Gdzieś zaświergotał świerszcz. Na chwilę zamknąłem oczy, a kiedy je otworzyłem, Sabott się do mnie uśmiechał. Wyjął cybuch fajki z ust i coś wyszeptał.

– Przepraszam pana, ale nie dosłyszałem – odpowiedziałem.

Zaśmiał się pod nosem i znów coś wyszeptał, po czym obejrzał się kolejno przez oba ramiona, jakby wypatrywał szpiegów ukrytych w cieniu.

Wiedziałem, że próbuje mi zdradzić jakąś tajemnicę. Odstawiłem kieliszek z winem, zgasilem papierosa i lekko się nachyliłem. Sabott gestem zachęcił mnie, żebym jeszcze się zbliżył, więc wstałem z krzesła i uklękłem przed swoim mentorem, a on solidnie się zaciągnął i pochylił, dmuchając mi dymem do ucha. Gdy ten przedostał się do mojej głowy, usłyszałem tylko jedno słowo: „idiosynkratyczny”. Potem Sabott ponownie rozparł się na krześle, a ja wstałem z kolan.

Kiedy znów na niego popatrzyłem, z przerażeniem stwierdziłem, że rozplynął się w kałużę kolorów, wirującą powódź farby. Jego przemiana mnie wystraszyła i próbowałem wykrzyczeć jego imię, ale z moich ust wydobyła się tylko długa smuga dymu. Wiedziałem, że to ten sam dym, który wdmuchnął mi do głowy. Przed moimi oczami niebieska mgiełka nabrała kształtu, zmieniając się w wizerunek nagiej pani Charbuque stojącej za parawanem. Ale teraz ja też tam byłem. Chciałem odzyskać to, co bezpowrotnie utraciłem, więc rzuciłem się na nią. Uderzyłem brodą w siedzenie przed sobą i obudziłem się tuż przed tym, jak konduktor zawołał:

„Następna stacja: Babilon”.

Gdy wysiadłem z pociągu, było już późno. Jedyнным transportem do gospody, jaki udało mi się znaleźć, był otwarty konny wóz z drewnianymi ławkami wzdłuż bocznych ścian. Młodzieniec, który nim powoził, okazał się na tyle sympatyczny, że pomógł mi załadować bagaże. Byłem jego jedynym pasażerem. Wczesny listopad nie przyciągał turystów na Long Island. Woźnica dał mi koc, który miał mnie chronić przed zimnem, po czym wyruszyliśmy. Na niebie pysznił się księżyc w pełni oraz wyraźnie widoczne gwiazdy. Czułem ulgę, że wydostałem się z miasta. Głęboko oddychałem, rozkoszując się świeżym powietrzem i zapachem rozległych pól oraz lasów.

Byłem w tej okolicy kilka lat wcześniej, na przyjęciu w majątku Willetów. Ich rodzina pierwotnie posiadała większość tych ziem, a ja zeszłego lata malowałem portret patriarchy rodu. W okolicy znajdowało się wiele dużych posiadłości, które należały do rodzin Udallów, Gereków, Magowanów czy Vanderbiltów. Nieco dalej na wschód rozciągała się ziemia Gardinerów. W południowym skraju najbardziej zainteresowała mnie bliskość zatoki oraz oceanu.

W końcu woźnicy skończyły się tematy do rozmowy, i dalej już podróżowaliśmy w milczeniu. Wpatrywałem się w błękitno-biały księżyc wiszący na nocnym niebie, a jego poświata przypominała mi widmową panią Charbuque, która powróciła do mnie we śnie. Skupiłem się na przywołaniu jej wizerunku, bojąc się, że nie zdołam go odnaleźć w myślach. Ku mojej niewysłowionej radości, w mojej głowie pojawił się obraz, równie wyraźny, jak ten, który zniszczył Charbuque. Wtedy postanowiłem, że właśnie tę postać namaluję. Choć brzmi to jak szaleństwo, równie niewiarygodne jak podszepty Bliźniąt, które słyszała Luciere, byłem pewien, że Sabott przyszedł do mnie we śnie, żeby powiedzieć: „Zaufaj sobie”. Mimo że za życia nigdy nie wypowiedział tych słów, uderzyło mnie, że stanowią one definicję ducha, którym była przepełniona każda jego lekcja.

DOM NA WYDMACH

Następnego ranka, gdy jadłem śniadanie w gospodzie La Grange, podszedł do mnie recepcjonista i wręczył mi zielononiebieską kopertę.

– To od dzentelmena, który zarezerwował dla pana pokój – rzekł.

Podziękowałem, a kiedy odszedł, otworzyłem list. Jedno musiałem przyznać pani Charbuque: może miała zły gust jeśli chodzi o mężczyzn, ale potrafiła wybrać pierwszorzędną papeterię. Rozpoznałem jej zapętlony charakter pisma i odczytałem wskazówki dotarcia do jej letniego domu. Okazało się, że będę zmuszony tam dopłynąć. Dom znajdował się w połowie drogi między Great South Bay a wyspą Captree. Miałem popłynąć promem z Babilonu, wysiąść w basenie dla statków na wyspie, po czym ruszyć na wschód przez wydmy, aż zobaczę piętrowy drewniany żółty dom z białymi zdobieniami.

Zdecydowałem, że wyruszę jeszcze tego samego dnia, przedtem jednak musiałem załatwić jedną sprawę. Pokój w gospodzie był cudowny, ale dosyć mały i nie mógł mi służyć jako pracownia. Musiałem wynająć jakieś pomieszczenie, w którym mógłbym malować. Gdyby nie było tak zimno, rozstawiłbym sztalugi na dworze, ale o tej porze roku nad ranem zamarzałyby mi farby, a ja lubiłem pracować we wczesnych godzinach porannych.

Kiedy kelner podszedł, żeby dolać mi kawy, powiedziałem mu, że jestem malarzem, i spytałem, czy wie, kto mógłby mi wynająć na tydzień albo dwa jakieś pomieszczenie na pracownię.

– Może uda się panu coś znaleźć w Babilonie, ale w tej chwili nic nie przychodzi mi do głowy – odpowiedział kelner.

Podziękowałem mu za radę i wróciłem do swojego posiłku. Gdy oddalił się do innych gości, do mojego stolika podszedł starszy mężczyzna w koloratce i czarnej sutannie. Przedstawił się jako ksiądz Loomis. Był krępy i niskim mężczyzną, nosił okulary o okrągłych szklach, miał nos pijaka oraz białą czuprynę lekko naznaczoną kolorem, jakby ktoś poplamił mu włosy

słabą herbatą. Nigdy nie przepadałem za klerem, ale zawsze staram się być uprzejmy. Przedstawiłem się i podałem mu dłoń.

– Przypadkiem usłyszałem, że szuka pan miejsca do malowania – rzekł.

– Najwyżej na kilka tygodni – odpowiedziałem. – Przyjechałem z Nowego Jorku, ale mam do wykonania zlecenie dla lokalnego klienta.

– Moja świątynia, Kościół Kalwaryjski, znajduje się niecały kilometr stąd, tuż obok drogi Montauk. Na polu za kościołem stoi opuszczona powozownia. Kilka lat temu w środku dobudowano kominek. Chciałby ją pan wynająć?

– Świetny pomysł, proszę księdza – odrzekłem – ale jest jeden warunek. Potrzebuję światła. Czy są tam wystarczająco duże okna?

– Budynek kształtem przypomina skrzynię. Jedno duże okno znajduje się na wschodniej, a drugie na zachodniej ścianie. Jeżeli jest pan zainteresowany, to opłata wynosi dolara dziennie, wliczając drewno do kominka.

– Wygląda na to, że ubiliśmy interes.

– Od powozowni odchodzi kręta ścieżka schodząca nad brzeg zatoki.

– Wspaniale. Mam nadzieję, że będę gotowy do pracy jutro rano, najpóźniej pojutrze. Gdzie księdza znajdzie?

– Mieszkam w niewielkim pokoiku za prezbiterium. Frontowe drzwi zawsze są otwarte.

– Zapłacę księdzu półtora dolara dziennie, jeśli ksiądz nikomu nie powie, że tam pracuję – zaproponowałem.

Zgodził się na ten warunek i przypieczętowaliśmy naszą umowę uściskiem dłoni.

Po śniadaniu ubrałem się ciepło przed morską podróżą i wyruszyłem do przystani promów w Babilonie. Dzień był słoneczny i rześki, a jesienne wiejskie krajobrazy okazały się równie piękne w świetle dnia jak przy blasku księżyca. Dotarłem na przystań około południa i czekałem z niewielką grupą podróżnych, z których większość wyglądała na turystów.

W końcu prom przy płynął i wsiedliśmy na pokład. Jednostka była wyposażona w niewielką kabinę, w której pasażerowie mogli się schronić przed złą pogodą, i moi towarzysze podróży chętnie z niej skorzystali. Ja zostałem na pokładzie, podziwiając ogrom zatoki, obserwując statki płynące w oddali i czując się jak marynarz u Melville'a. Tego dnia, gdy sunąłem po wzburzonej wodzie, poczułem potrzebę malowania z natury i obiecałem sobie, że zrobię to, gdy tylko skończę zlecenie od pani Charbuque. Moje

mrzonki o morskiej przygodzie nie trwały długo, gdyż podróż na wyspę zajęła nam zaledwie czterdzieści pięć minut.

Bez trudu znalazłem letnią rezydencję Luciere, cytrynowożółty dom usadowiony pomiędzy wysokimi wydrami. Trzeba było zejść ze szlaku, żeby dotrzeć do ścieżki prowadzącej do drzwi. Dom zwracał się fasadą ku zatoce, za którą znajdowały się wyspa Fire oraz Atlantyck. Na białej kamienistej ścieżce było znacznie cieplej, gdyż wydmy zapewniały osłonę przed wiatrem. Podczas gdy większość zabudowań, które mijalem w drodze z portu, stanowiły nędzne budy używane przez rybaków łowiących ryby i małże, pani Charbuque mieszkała w prawdziwym piętrowym domu z szeroką werandą, dachem krytym dachówką, platformą na szczycie oraz kunsztownie zdobionymi okapami. Na werandzie wisiały cynowe dzwonki w kształcie małpek, które pobrzękiwały na wietrze. Uznałem to za zachętę do działania.

Ledwie zdążyłem zapukać, a Watkin otworzył drzwi.

– Panie Piambo, cieszę się, że widzę pana w dobrym zdrowiu.

– Na pewno nie jest to zasługą pana Charbuque – odrzekłem.

– Czyżby znów go pan spotkał? – zapytał szeptem staruszek.

– Kilka dni temu uderzył mnie pistoletem w tył głowy.

Watkin pokręcił głową i westchnął, ale szybko otrząsnął się z zatroskania.

– Proszę tędy.

Gdy szliśmy przez dom, rozpoznałem niektóre z mebli z nowojorskiego mieszkania, ale wnętrza były znacznie skromniej urządzone niż posiadłość w mieście. Watkin odprowadził mnie ku drzwiom prowadzącym do pomieszczenia na tyłach domu. Zapukał, po czym mnie wpuścił. Podziękowałem mu i wszedłem do pozbawionego mebli pokoju. Był mniejszy i niższy od naszego poprzedniego miejsca spotkań, ale i tak dosyć okazały.

Na ścianach nie było tapety, a podłogę pokrywały szare niepolerowane klepki. Po obu stronach znajdowały się okna, z których jedno wychodziło na zatokę, a drugie na wydmy, które właśnie przekroczyłem. Na środku, niczym stary przyjaciel, czekał parawan, a ja uśmiechnąłem się na jego widok. Zauważyłem także swoje krzesło. Usiadłem, zajmując znajomą pozycję.

– Dzień dobry, pani Luciere – powiedziałem.

Stuknęła jedna z klepek, zadzwoniły dzwonki na werandzie, a wiatr za wydmami zaświstał. Do pokoju wlewało się popołudniowe światło rzucające niewyraźne cienie na parawan.

– Panie Piambo, tak bardzo się cieszę, że pan przyjechał! Przepraszam, ale... – Na chwilę zapadła cisza, po której usłyszałem stłumiony szloch.

– To żaden kłopot – odrzekłem. – Już wszystko rozumiem, odkąd poznałem pani męża.

– Poznał go pan? – spytała, a w jej głosie zabrzmiał niepokój.

– O tak, to dosyć brutalny jegomość. Bardzo uparty, chociaż nie do końca rozumiem, o co mu chodzi.

– Z powodu jego chorej obsesji giną ludzie – odparła.

Zastanawiałem się, czy powiedzieć jej o Shenzu, ale nie chciałem pogłębiać jej smutku.

– Nikomu nie mówiłem, że się tutaj wybieram. Czy on zna to miejsce? Wydaje się doskonale ukryte przed światem.

– Zawsze starałam się trzymać je w tajemnicy. Jeszcze w czasach, gdy występowałam, uciekałam tutaj, kiedy publiczność stawała się zbyt ciekawska.

– Przyjechałem, żeby dokończyć portret – oznajmiłem.

– Miło mi to słyszeć. Czy ze względu na kilkudniową przerwę w naszych spotkaniach chciałby pan przedłużenia terminu?

– Dostarczę portret dokładnie za tydzień. Poinformuje mnie pani, jak bliski byłam prawdy, po czym odpowiednio mnie wynagrodzi. Potem nasze drogi się rozejdą, a ja odzyskam kontrolę nad swoim życiem.

Roześmiała się.

– Dobrze. Myśli pan, że się panu uda?

– W tej chwili samo ukończenie obrazu będzie olbrzymim sukcesem.

– Chciałby mi pan zadać jeszcze jakieś pytania?

– Po co te wszystkie portrety namalowane przez tylu artystów?

– Do czego pan się odnosi, panie Piambo?

– Udałem się do pani domu na nasze ostatnie spotkanie, ale nikt nie odpowiedział, kiedy zapukałem. Drzwi były otwarte, więc wszedłem i trochę się rozejrzałem.

– Był pan na poddaszu.

– Znam większość z tych malarzy – odrzekłem. – Dziwnym zbiegiem okoliczności wielu z nich marnie skończyło.

– Artyści są bardzo wrażliwi. Chociaż się nie pokazuję, chcę się dowiedzieć, jak mnie postrzega świat. Przez jakiś czas byłam każdą z tych kobiet, ale tylko na płótnach artystów. Obiecuję tak wysokie honorarium za

uchwycenie podobieństwa, żeby skłonić malarzy do głębszej refleksji nad moją osobą. Co więcej, wierzę, że gdyby ktoś zdołał dopasować odpowiedni wizerunek do mojej osobowości, inteligencji, doświadczeń i słów, wtedy mogłabym odrzucić parawan i wkroczyć do świata.

– Dlaczego tylko wtedy? – spytałem.

– W świecie rządzonym przez mężczyzn wygląd kobiety jest ważniejszy od jej charakteru. Kobiety chce się oglądać, ale nie chce się ich słuchać. Dlatego moja publiczność zawsze była tak zafascynowana i nieco wystraszona. Zdobyłam dużą władzę jako kobieta dlatego, że pozostawałam niewidoczna, a jednocześnie posiadałam to, czego pragną mężczyźni: wiedzę o ich losie i przeznaczeniu. Nie powrócę do świata, póki ktoś nie zdoła ujrzeć mojej zewnętrznej formy oraz wnętrza jako jedności oraz uznać, że są sobie równe. Dlatego czekam i od czasu do czasu podejmuję nową próbę, prosząc jakiegoś mężczyznę, żeby pokazał mi, co widzi.

Wygłosiła te słowa ze szczerym poczuciem słuszności, ale ja w żaden sposób nie potrafiłem zrozumieć jej intencji.

– Ciekawe. Rozumiem, o co pani chodzi – skłamałem.

– Czy chce pan spytać o coś jeszcze?

– Nic więcej nie przychodzi mi do głowy, ale skoro to nasze ostatnie spotkanie, niech mi pani coś opowie. Cokolwiek pani uzna za stosowne – poprosiłem.

Przez kilka chwil panowała cisza, którą zakłócały tylko cynowe dzwonki.

– Dobrze – odrzekła w końcu. – Opowiem panu jeszcze jedną historię. Nie traktuje ona o mnie, lecz pochodzi z książki z bajkami, którą uwielbiałam czytać jako dziewczynka, gdy mieszkałam na szczycie góry i uczyłam się języka śniegu.

DOBRY KOMPAN

– Pamiętam, że ta opowieść nosiła tytuł *Dobry kompan* i chyba pochodziła z Austrii, a może z Turcji. Nawet *Czerwony kapturek* ani *Lampa Aladyna* nie zaciekały mnie tak jak ta baśń i nie dały mi tyle radości. Odnalazłam w niej atmosferę straszliwej samotności; z tego powodu poczułam się z nią blisko związana i czytałam wciąż od nowa.

Dawno temu w dalekim mieście mieszkał młodzieniec imieniem Po, który marzył o zostaniu sławnym śpiewakiem. Chociaż za dnia pracował jako sprzedawca w sklepie z lustrami, noce spędzał w kawiarniach, słuchając swoich ulubionych wokalistów. Sam nie miał dobrego głosu i nie potrafił czysto śpiewać, ale najbardziej na świecie pragnął występować na scenie i wzbudzać podziw wielkich tłumów.

Zestarzały się, wierząc, że mógł zostać słynnym śpiewakiem, gdyby tylko otrzymał szansę, ale pewnego dnia wydarzyło się coś nieoczekiwanego, co wywróciło jego życie do góry nogami. Wybuchła wojna i razem z innymi młodzieńcami został powołany do wojska. Po surowym, ale niedokładnym przeszkoleniu posłano go na front. Trafił do niegościnnej i suchej krainy skalistych wzgórz, gdzie wcielono go do jednego z oddziałów i wydano mu broń. Wojna okazała się bardzo kosztowna, dlatego zamiast karabinu Po otrzymał od swojej ojczyzny stary zardzewiały miecz.

Oddział Po od razu został rzucony do decydującej bitwy. Dwie armie stanęły naprzeciwko siebie po dwóch stronach szerokiego płaskowyżu. Tysiące żołnierzy czekały na rozkaz do ataku. Nasz bohater, który znalazł się w pierwszym szeregu uzbrojony tylko w miecz, zrozumiał, że jest jedynie mięsem armatnim. Nagle rozległ się potężny krzyk po obu stronach i armie ruszyły. Łzy płynęły po twarzy Po, gdy biegł z mieczem w dłoni, ponieważ nie wiedział po co walczy, i nie chciał zginąć.

Pokonał niecałe sto metrów, gdy obok niego wybuchła kula armatnia. Jeden z odłamków trafił go w głowę. Po upadł i stracił przytomność,

przekonany, że umiera. Bitwa trwała cały dzień, ale w końcu okazało się, że młodzieniec przeżył, a rana na jego głowie była niegroźna. Nieprzytomny, nie słyszał bitewnego zgiełku i wrzasków umierających żołnierzy.

Ocknął się następnego dnia i usłyszał krakanie wron. Był oszołomiony i bolała go głowa, ale żył. Gdy przejrzał na oczy, ujrzał wokół siebie pole bitwy usiane trupami. Obie walczące strony całkowicie się unicestwiły. Ocalał tylko Po. A przynajmniej tak mu się wydawało.

Początkowo chciał uciec. Otaczały go przerażające widoki – zmasakrowane ciała rozdziobywane przez wrony, ogień, od którego bił smród palonego mięsa, bojowe zwierzęta, słonie i rumaki, posiekane na kawałki albo rozerwane na strzępy przez pociski. Ostrożnie ruszył przez płaskowyż, ale wkrótce puścił się biegiem, depcząc szczątki ofiar.

Gdy dotarł na skraj pola bitwy i zobaczył ścieżkę prowadzącą w dół wzniesienia, usłyszał, że ktoś go woła. Głos był tak udręczony, że w pierwszej chwili młodzieniec pomyślał, że ma do czynienia z duchem. Jednakże zaraz zauważył wyciągniętą dłoń wydobywającą się spomiędzy płataniny ciał. Zbliżył się do niej z wahaniem i znalazł wrogiego żołnierza. Mężczyzna był ciężko ranny i błagał o wodę. Nasz bohater, ogarnięty współczuciem dla umierającego, wyjął swoją manierkę i przystawił ją do ust wroga. Gdy żołnierz zaspokoił pragnienie, zaczął prosić młodzieńca, żeby go zabił. „Dobij mnie, proszę!”, wołał. „Zrób to szybko swoim mieczem”.

Po chciał pomóc umierającemu i oszczędzić mu cierpienie, ale czuł, że nie zdoła zadać zabójczego ciosu. „Jeśli zetniesz mi głowę, dam ci wielką nagrodę”, rzekł wróg. „Cóż mi podarujesz, skoro będziesz martwy?”, zdziwił się młodzieniec. „Mój duch będzie nad tobą czuwał i zadba, żebyś bezpiecznie powrócił do domu”.

Po koniecznie chciał ruszać w drogę, ale wiedział, że pozostawienie cierpiącego żołnierza byłoby najgorszym okrucieństwem. W końcu uniósł zardzewiały miecz, zamachnął się, czego nie miał okazji uczynić podczas bitwy, i uderzył w szyję umierającego. Głowa potoczyła się po ziemi, ale z szyi nie trysnęła krew. Zamiast tego wydobyła się z niej smuga czarnego dymu. Wzbiła się w górę, podobnie jak dym z tłących się pożarów, ale nie rozwiała się na wietrze, tylko utworzyła ludzką postać.

Kiedy Po zobaczył, co się stało, wpadł w przerażenie. Upuścił stary miecz i uciekł z pola bitwy. Gdy dotarł do ścieżki schodzącej z płaskowyżu, ruszył nią pośpiesznie, nie oglądając się za siebie. Cały czas się zastanawiał,

czy jego ocalenie było szczęśliwym trafem, czy przekleństwem.

Wieczorem znalazł jaskinię, w której zdołał rozpalić niewielkie ognisko. Biegł niemal przez cały dzień i był wyczerpany. Oparł się o skałę i drżał, próbując ustalić, w którym kierunku powinien wyruszyć rankiem, żeby dotrzeć do miasta.

Już zasypiał, gdy nagle zauważył, że coś porusza się na pobliskiej ścianie. Sparaliżowany strachem, zobaczył cień, który pełzł w kierunku jego własnego cienia rzucanego przez blask ogniska. Co zaś najgorsze, zbliżający się cień do nikogo nie należał. Po chciał uciec, ale nie mógł się ruszyć. Intruz zacisnął mroczne dłonie na szyi jego cienia. Młodzieniec poczuł lodowate zimno wypełniające mu ciało. Z trudem oddychał. Gdy już był pewien, że dziwaczna zjawą go zabije, i zawisł pomiędzy życiem a śmiercią, usłyszał szept: „Nie potrzebujesz tego starego cienia. Jego głupota nie pozwala mu na nic poza małpowaniem twoich ruchów. Ja, Shathu, będę ci służył jako twój nowy cień”.

Młodzieniec natychmiast odzyskał oddech i zachłysnął się powietrzem. Jednocześnie usłyszał słodką muzykę dobiegającą ze wszystkich stron. Napełniła go ona głębokim spokojem. Zapadł w sen i odpoczywał przez resztę nocy.

Kiedy obudził się rano, uznał, że dziwaczna wizyta była sennym koszmarem. Czuł się wypoczęty i wyruszył w dalszą podróż w stronę domu. Dopiero po kilku godzinach wędrówki zauważył, że chociaż ma słońce za plecami, jego cień znajduje się obok niego, a nie z przodu. Stanął jak wryty i zwrócił się ku ciemnej plamie na ziemi, a ta zbliżyła się do niego i Po usłyszał szept: „Nie bój się, gdyż ja jestem z tobą”.

Przemierzając razem kolejne mile, młodzieniec i jego nowy cień, Shathu, zostali bliskimi przyjaciółmi. Za każdym razem, gdy nasz bohater potrzebował pieniędzy na jedzenie, zachodził do najbliższej gospody i zakładał się z pijącymi tam mężczyznami, że potrafi skłonić swój cień do robienia niezwykłych rzeczy. Nikt nie chciał przegapić okazji do łatwej wygranej, więc wielu ludzi chętnie obstawiało przeciwko temu, co uznawali za niemożliwe. Potem ze zdumieniem obserwowali, jak cień pozostaje w stojącej pozycji, chociaż młodzieniec się kładzie, albo odwraca się bokiem, choć jego właściciel stoi zwrócony przodem. Mimo że Po zawsze prawidłowo przewidywał zachowanie cienia, gapie nie mogli uwierzyć własnym oczom. Wielokrotnie młodzieniec musiał ratować życie ucieczką,

ścigany przez wściekły tłum, który przeklinał go i oskarżał o konszachty z diabłem.

Po licznych trudach i zmaganiach Po dotarł do miasta, w którym przyszedł na świat, i odkrył, że wojna się skończyła, a jego rodacy odnieśli zwycięstwo. Postanowił ponownie poszukać pracy w sklepie z lustrami, ale wtedy Shathu podszeptał mu, żeby zaczęli regularnie występować, prezentując sztuczki pokazywane w gospodach.

Zatytułowali swoje przedstawienie „Dobry kompan”. Po ustawiał się w snopie silnego światła, tak że jego cień pojawiał się na białym ekranie. Następnie młodzieniec wyjaśniał publiczności, że jego cień często bywa niecierpliwy, a ostatnio postanowił robić to, na co ma ochotę. Cień dokładnie powtarzał pierwsze kilka czynności wykonywane przez chłopaka, ale potem stopniowo zaczynał zmieniać kierunek i ruchy, aż w końcu robił coś zupełnie innego. Widownia była zachwycona. Dorośli, podobnie jak dzieci, byli oczarowani ideą świadomego cienia.

Nasz bohater zyskiwał coraz większą sławę, występował bez ustanku i gromadził bogactwa. Wreszcie osiągnął swój życiowy cel – podziw i szacunek tłumów. A jednak w głębi jego duszy wzrastało małe ziarno niepokoju. Nigdy nie był sam, ponieważ wszędzie tam, gdzie było światło, towarzyszył mu Shathu, lecz mimo to czuł się bardzo samotny, gdyż cień był o niego zazdrosny i nie lubił, gdy młodzieniec zbliżał się do innych ludzi. Kiedy Po poznawał kogoś, z kim chciał się zaprzyjaźnić, cień zaczynał szpiegować tę osobę, dopóki nie odkrył w jej życiu jakiegoś wstydliwego sekretu. Wtedy z radością dzielił się z Po swoim odkryciem, uniemożliwiając mu zawarcie przyjaźni.

Pewnego wieczoru po występie młoda kobieta imieniem Ami podeszła do Po i poprosiła, żeby podpisał się na jej programie. Młodzieniec złożył autograf i zaczęli rozmawiać. Poszli razem na kolację i odkryli, że wiele ich łączy. Dziewczyna nie była oszałamiająco piękna, ale Po od razu zakochał się w jej niewinności i uroku. Gdy odprowadzał ją do domu przez pogrążone w mroku miasto, gdzie Shathu mógł im towarzyszyć tylko pod latarniami, Ami zaczęła śpiewać piosenkę. Miała przepiękny głos. Młodzieniec spytał, czy zechciałaby zaśpiewać przed jego występem następnego wieczoru. Ami bardzo się spieszyła, ale w końcu dała się przekonać i przyjęła zaproszenie.

Następnego ranka cień był wściekły, że Po spędził tyle czasu z nowo poznaną dziewczyną. Przez cały dzień szeptał mu do ucha, dlaczego Ami do

niego nie pasuje. Po obiedzie wybrał się na przeszpiegi i odkrył, że wybranka młodzieńca jest spokojną i serdeczną osobą. Wrócił do naszego bohatera, po czym opowiedział mu liczne kłamstwa na jej temat, ale Po nie chciał go słuchać i Shathu szalał z zazdrości.

Tego wieczoru Ami zaśpiewała przed licznie zgromadzoną publicznością i wzbudziła taki zachwyt, że widzowie domagali się bisów. Dziewczyna śpiewała, dopóki głos nie odmówił jej posłuszeństwa, a wtedy było już za późno, żeby zacząć przedstawienie. Młodzieniec wcale się tym nie zmartwił, mimo że cień powtarzał mu, że śpiewaczka doprowadzi ich do ruiny. „Ona jest prawdziwa, a my nie”, odrzekł Po. „To naturalne, że bardziej się podoba ludziom”.

Później tego samego wieczoru na zakończenie spaceru przez pogrążone w mroku miasto młodzi kochankowie zatrzymali się pod latarnią. Gdy Po pocałował dziewczynę o złotym głosie, nie zauważył, że na ścianie jego cień chwycił cień Ami za gardło. Pocałunek trwał bardzo długo. Nagle młodzieniec poczuł, że ukochana zwiotczała w jego ramionach. Gdy ją od siebie odsunął, odkrył, że umarła.

KOŚCIÓŁ KALWARYJSKI

– Po zwrócił się ku swojemu cieniowi i próbował pomścić śmierć Ami, ale jak mógłby to uczynić? Shathu śmiał się, gdy młodzieniec tłukł zakrwawionymi pięściami o ceglany mur. Jakiś przechodzień zauważył szalejącego Po oraz ciało młodej kobiety u jego stóp i wykrzyknął: „Morderca!”, a nasz bohater uciekł w noc.

Jedynym miejscem, w którym mógł szukać pomocy, a które było wystarczająco ciemne, żeby zapewnić mu schronienie przed cieniem, okazał się konfesjonał w lokalnym kościele. Usiadł tam, czekając, aż ksiądz pojawi się po drugiej stronie małej kratki. Kapłan przyszedł wczesnym rankiem, pobłogosławił młodzieńca i spytał go o popełnione grzechy. Po opowiedział wszystko. „Nie mogę ci pomóc, ponieważ opętał cię demon”, odrzekł ksiądz. „Musisz wybrać się na górę Ossinto i odnaleźć świętą, która mieszka w tamtejszych jaskiniach. Powiadają, że dysponuje ona mocą, dzięki której może się przeciwstawić takiemu złu”.

Po przez resztę dnia ukrywał się w konfesjonale. Gdy zapadła noc, szybko zgromadził zapasy, po czym uciekł z miasta przed nadejściem świtu, wiedząc, że wtedy z pewnością zostanie odkryty i aresztowany za zabójstwo Ami. Za każdym razem, gdy przechodził przez oświetlony obszar, słyszał, jak Shathu się z niego śmieje. Gdy wzeszło słońce i Po dotarł do podnóża góry, śmiech i obelgi cienia nie ustawały już nawet na chwilę.

Chociaż młodzieniec był zmęczony z powodu niewyspania, rozpoczął wspinaczkę. Po południu stanął na śniegu przed jaskinią świętej i ją przywołał. Święta, której serce zawsze było otwarte na błagalne wezwania szukających jej, wyszła z ukrycia. Była ubrana w szatę w kolorze bezchmurnego nieba i biła od niej jasność. Światło promieniowało z jej długich blond włosów i otaczało głowę.

Podczas gdy Shathu nie przestawał mu urągać, Po opowiedział świętej swoją historię. Gdy skończył, kobieta odrzekła: „Czy nie widzisz,

przyjacielu, że masz udręczoną duszę? Ten cień to tylko wytwór twojego umysłu. Wiem, że nie miałeś takiego zamiaru, ale tak naprawdę to ty zabiłeś Ami. Kierowała tobą zazdrość, gdyż od dzieciństwa pragnąłeś mieć taki piękny głos”.

Słowa świętej przeraziły młodzieńca. Nie mógł znieść myśli, że udusił Ami. Bez słowa podszedł do krawędzi urwiska i rzucił się w dół. Święta bardzo się zasmuciła decyzją Po, gdyż wiedziała, że mogła ocalić jego duszę. Już miała wrócić do jaskini, gdy zauważyła, że cień młodzieńca wciąż przed nią stoi.

Shathu zbliżył się i zacisnął długie ciemne palce na szyi cienia świętej. Kobieta, czując, że opuszcza ją życie, wezwała imię swojego zbawiciela, a wtedy wypełniła ją potężna kosmiczna energia. Zajaśniała jak gwiazda, próbując spalić morderczą mroczną postać. Gdy Shathu był na granicy spłonięcia, również wezwał imię swojego zbawiciela, a wtedy jego ciemna moc wzrosła. Rozpoczęła się straszliwa bitwa między światłem i ciemnością.

Gdy zachodzące słońce oświetlało ziemię ostatnimi promieniami, Shathu zwyciężył i zgasił płomień świętej. Kobieta upadła martwa na ziemię, którą zaczęła ogarniać ciemność. Uciekły tylko dwie małe iskry jej świętego ognia. Wzleciały w nocne niebo i zmieniły się w jaśniejące płatki śniegu, które opadły na miasto – dodała pani Charbuque, po czym zamilkła.

Minęło kilka minut, zanim zorientowałem się, że skończyła opowieść. Chociaż nie powiedziała już nic więcej, życzyłem jej miłego dnia i wyszedłem, nie czekając, aż Watkin mnie wyprosi.

Kiedy opuściłem dom na plaży, poczułem się nieswojo. Przywykłem do tego, że po wyjściu od pani Charbuque trafiałem na zatłoczoną ulicę, gdzie otaczał mnie hałas pojazdów, a potężne budynki przesłaniały niebo, tymczasem teraz czekały na mnie piaszczyste wydmy, morska trawa i całkowity spokój. Potrząsnąłem głową, żeby odzyskać trzeźwość umysłu, po czym zacząłem się wspinać po kamienistej ścieżce. Gdy znalazłem się na piaszczystych wzgórzach niedaleko przystani dla promów, roześmiałem się w głos.

Wyobraziłem sobie, jak jakiś rodzic czyta swojemu dziecku na dobranoc opowieść o „Dobrym kompanie”, używając słodkiego przerysowanego głosu, jakim dorośli czasami zwracają się do malców. Jeżeli ta historia rzeczywiście znajdowała się w zbiorze bajek, to byłbym gotów zjeść swój kapelusz. Postanowiłem po powrocie do miasta zajrzeć do wspomnianego tomu, który

teraz znajdował się w moim posiadaniu.

Ale jeśli pani Charbuque nie wyczytała tej baśni w książce, co było mało prawdopodobne, to skąd ją znała? I po co mi ją opowiedziała? Oczywiście dostrzegałem niepokojące podobieństwa między losami młodzieńca a jej niekompletną autobiografią, były one jednak równie ulotne jak świadomość w świecie snu. W myślach zgniotłem karty opowieści i pozwoliłem, żeby porwał je morski wiatr, gdyż nie chciałem, by zagmatwana symbolika baśni zatruła wizję, którą zamierzałem namalować.

– Próbowałaś mnie oszołomić, Luciere, ale przejrzałem twoje szalone plany – rzuciłem w stronę mewy, która krążyła mi nad głową.

Obudziłem się przed wschodem słońca i opuściłem La Grande, zabierając skrzynkę z farbami, sztalugi oraz, zawinięte w trzy kawałki płótna, elementy potrzebne do zbudowania krosna malarskiego. Nie chciałem, żeby ktokolwiek wiedział, dokąd się udaję, więc nie zamawiałem transportu. Na szczęście, nawet nocny recepcjonista zasnął i siedział odchylony do tyłu na swoim krześle, cicho pochrapując. Doszedłem do drogi Montauk, po czym ruszyłem na wschód, tak jak poinstruował mnie ksiądz Loomis. Bagaż dawał mi się we znaki – sama skrzynka z przyborami do malowania, w której miałem wszystko, co mogło mi się przydać, ważyła kilkanaście kilogramów – ale w młodości tak często nosiłem ze sobą podobne ciężary, że moje ciało przypominało sobie tamten wysiłek i się do niego dostosowało.

Kościół Kalwaryjski nie był duży, ale pięknie zbudowany. Miał małą wieżę i wysokie drzwi. Wzdłuż ścian ciągnęły się witraże przedstawiające sceny biblijne, a ławki i ołtarz wykonano z drewna wiśniowego wypolerowanego na wysoki połysk. Tak jak wspominał ksiądz, drzwi były otwarte. Wszedłem do ciemnego budynku. Słońce dopiero wschodziło, rozświetlając kolorowe sceny po prawej stronie świątyni. Woń kadzidła unosiła się w posępnym wnętrzu. W dzieciństwie matka zmuszała mnie do uczestnictwa w nabożeństwach i pamiętałem ten charakterystyczny zapach tajemnicy, rytuału, albo śmierci. To Sabott skłonił mnie do odejścia od zorganizowanej religii, mówiąc: „U jej podstaw leżą fundamentalne pytania i odpowiedzi, ale towarzyszące jej obecnie dogmaty tylko ograniczają artystów”.

Podszedłem do ołtarza i zawołałem księdza Loomisa. Po kilku minutach wyłonił się zza niepozornych drzwi po lewej stronie ołtarza.

– Pan Piambo – rzekł z uśmiechem.

– Przepraszam, że przychodzę o tak wczesnej porze, proszę księdza, ale jak wspominałem, zależy mi na prywatności, musiałem więc opuścić gospodę, zanim obudzą się inni goście.

– To żaden problem, każdego dnia wstaję razem ze słońcem. Zapraszam, pokażę panu pracownię.

Stara powozownia za kościołem okazała się idealnym miejscem dla malarza. W dużym pustym wnętrzu było mnóstwo światła. Ogień w kominku pozwalał zabezpieczyć się przed listopadowym chłodem, który nieco ustępował dopiero późnym rankiem. Na szczęście, w pomieszczeniu znajdowało się także łóżko, na którym mogłem odpocząć, oraz niewielki stół. Staruszek pokazał mi, gdzie trzyma drewno, i zachęcił, żebym go zawołał, jeśli będę czegoś potrzebował. Zaprosił mnie na kieliszek wina po zakończeniu pracy, po czym zostawił mnie samego.

Napaliłem w kominku, po czym bezzwłocznie zabrałem się do pracy. Na stoliku zacząłem budować malarskie krosno z kawałków drewna, które przywiozłem z Nowego Jorku. Tę część swojej pracy mogłem wykonywać nawet przez sen. Co prawda zabrałem ze sobą kątomierz, ale nigdy go nie potrzebowałem. Gdy ukończyłem główną ramę, naciągnąłem na nią płótno i przyciąłem je brzytwą. W ciągu kilku minut zagiąłem i przybiłem materiał, wbijając kliny w narożnikach na odwrocie, żeby jak najbardziej go naprężyć. Była dopiero dziewiąta, gdy skończyłem gruntować prostokątne płótno i odstawiłem je do wyschnięcia. Usiadłem na łóżku i zapaliłem papierosa, zadowolony ze swojej pracy i nowego studia.

Czekając na wyschnięcie płótna, zabrałem się za odtwarzanie szkicu postaci pani Charbuque. W myślach widziałem wyraźny obraz i mój ołówek poruszał się po papierze ze swobodą płynącej wody. Wykonanie rysunku nie zajęło mi wiele czasu. Kiedy skończyłem, wpatrywałem się w niego dłużej niż zajęło mi jego tworzenie. Wiedziałem, że potrzebuję więcej czasu, żeby w pełni go przeanalizować. Włożyłem płaszcz i kapelusz, po czym wyszedłem z pracowni i powędrowałem ścieżką, która prowadziła między drzewami ku zatoce.

Na brzegu znalazłem wyschnięty na słońcu kawałek pnia, który dawno temu wyrzuciła woda. Siedziałem na nim kilka godzin, patrząc na zatokę. Zaskoczyło mnie, że sekret pani Charbuque, stałe zagrożenie ze strony jej męża, a także tajemnicza rola, jaką w tej całej szaradzie odgrywał Watkin, przestały mnie interesować. W obliczu zachwycającej natury mogłem

zapomnieć o mało ważnych sprawach i skupić się na tych elementach mojego życia, na których najbardziej mi zależało. Długo wspominałem Shenza i Sabotta, a jeszcze dłużej rozmyślałem o Samancie. Traktowałem portret pani Charbuque jak zwykłe zlecenie, do którego zamierzałem podejść z typową dla siebie skrupulatnością. Niech szlag trafi pieniądze i artystyczną niepewność. Zrozumiałem, że nie warto rezygnować z terażniejszości na rzecz przyszłości, której nikt nie potrafi przewidzieć.

JEJ URZEKAJĄCA POSTAĆ

Po raz pierwszy od tygodni pracowałem tak intensywnie i zarazem z taką swobodą, podchodząc do portretu pani Charbuque z jasno wytyczoną wizją. Zatraciłem się w pracy, bez wahania robiąc użytek z kolejnych technik malarskich. Z każdą bladą eksplozją koloru na płótnie jej urzekająca postać powoli stawała się coraz bardziej rzeczywista, jak wtedy, gdy wyłaniała się z dymu we śnie o moim mistrzu. Mimo że wykorzystywałem te same metody co poprzednio, tym razem moje dzieło wydało mi się zaskakująco świeże i pełne życia. Nie było w nim niczego przyziemnego, poczynając od paznokci, a kończąc na źrenicach. Każde pasemko włosów malowałem ze szczerą radością i satysfakcją.

Zaczyinałem wcześnie, przed wschodem słońca. Każdego ranka wyruszałem w innym kierunku, żeby zmylić ciekawskich gapiów, ale potem zawsze skręcałem w stronę kościoła. Rozpalałem w kominku, wypalałem papierosa, po czym zabierałem się do pracy. Zazwyczaj około dziesiątej ksiądz Loomis wpadał z wizytą, żeby sprawdzić, jak mi idzie. Przynosił kawę i rozmawialiśmy przez około pół godziny. Był podekscytowany tym, że może codziennie śledzić moje postępy, i zawsze miał w zanadrzu odpowiednią ilość pochwał oraz spekulacji. Potem pracowałem jeszcze przez kilka godzin, a w porze lunchu szedłem nad zatokę i zjadałem kanapki, które poprzedniego dnia przygotowywał dla mnie kucharz w gospodzie. Gdy dzień dobiegał końca, a słońce opuszczało niebo, udawałem się do kościoła, siadałem w zakrystii razem z Loomisem, i raczyliśmy się kieliszkiem wina.

Taki rozkład dnia idealnie mi odpowiadał i oddalał ode mnie niespokojne myśli. Jednakże trzeciego wieczoru, gdy wróciłem do La Grange na kolację, recepcjonista przekazał mi, że w ciągu dnia szukali mnie dwaj panowie. Poprosiłem, aby ich opisał.

– Pierwszy, który pojawił się rano, był niewidomy – odrzekł recepcjonista. – Starszy jegomość, bardzo uprzejmy.

– Czy zostawił jakąś wiadomość? – spytałem.
– Powiedział, że wróci, żeby z panem porozmawiać.
– A drugi? – spytałem, czując, że ogarnia mnie trwoga.
– Był młodszy, może w pana wieku, nosił wąsy. Sprawiał wrażenie rozdrażnionego, kiedy stwierdziłem, że nie mogę mu zdradzić pańskiego numeru pokoju ani miejsca pobytu.

– Niech pan uważnie posłucha. Jeśli młodszy mężczyzna wróci, nie wolno panu niczego od niego przyjmować. Proszę powiedzieć to także swoim pracownikom. On może być niebezpieczny.

Tej nocy spałem niespokojnie, wiedząc, że Charbuque jest w miasteczku, i spodziewając się, że w każdej chwili może się wyłonić spośród cieni w moim pokoju. Zastanawiałem się także, po co szuka mnie Watkin i dlaczego nie zostawił dla mnie żadnej wiadomości. Potem powróciłem myślami do portretu i postanowiłem podjąć kroki mające na celu jego ochronę, gdy sam nie będę mógł nad nim czuwać.

Następnego ranka wstałem już przed świtem i wyszedłem na chłodne powietrze. Nie potrafię opisać ulgi, jaką poczułem, gdy dotarłem do swojej pracowni i przekonałem się, że obraz jest w nienaruszonym stanie. Podczas porannej kawy spytałem księdza Loomisa, czy mógłby w nocy przechowywać obraz w kościele.

Kapłan bardzo chętnie na to przystał i powiedział, że każdego wieczoru może chować płótno za ołtarzem. Gdy później siedzieliśmy, popijając wino, wyznał, że zastanawia się nad zamówieniem nastawy ołtarzowej przedstawiającej sceny z Biblii, która miałyby stanowić „piękne tło dla mszy”, jak to ujął. Rozmawialiśmy o tym, jaka tematyka byłaby najbardziej odpowiednia. Loomis skłaniał się ku historii Jonasza, ale ja zaproponowałem, żeby wybrał coś z Księgi Rodzaju, ponieważ stworzenie stanowi jedyny dowód na istnienie Boga w świecie. Ksiądz pokręcił głową, nazwał mnie poganinem, po czym napełnił mój kieliszek.

Gdy wróciłem do gospody, nie czekały na mnie żadne nowe niepokojące wiadomości ani wieści o gościach. Spałem spokojnie aż do rana. Jednakże, gdy następnego dnia napaliłem w kominku i poszedłem do kościoła po obraz, z przerażeniem odkryłem, że go tam nie ma.

– Proszę księdza! – zawołałem.

– Spokojnie, panie Piambo – rozległ się głos za moimi plecami.

Odwróciłem się i zobaczyłem księdza Loomisa ubranego w sutannę i

trzymającego mój obraz.

– Co ksiądz robi? – spytałem.

– Zeszłej nocy miał pan gościa w swojej pracowni. Obudziłem się po drugiej i usłyszałem czyjś głos dobiegający z powozowni. Załadowałem śrutówkę, po czym wyszedłem sprawdzić, co się dzieje. Ciemności nie rozpraszało żadne światło poza blaskiem księżyca, ale dostrzegłem mroczną postać krążącą tam i z powrotem po pańskim studiu. Kimkolwiek był ten intruz, nie posiadał się z wściekłości i przeklinał jak sam diabeł. Wycelowałem w niebo i strzeliłem, a on uciekł między drzewa. Krzyknąłem, że wezwę policję. Zrozumiałem, że zapewne szukał obrazu, więc po powrocie do kościoła wyjąłem go zza ołtarza i ukryłem pod swoją pościelą. Oczywiście po drugiej stronie położyłem śrutówkę.

– Nie wiem, jak mam księdzu dziękować – odrzekłem.

– To nic takiego – odparł Loomis. – Tylko niech pan nikomu nie mówi, że spędziłem noc w łóżku z nagą kobietą.

– Dzisiaj zabiorę obraz ze sobą. Nie chcę księdza narażać.

– Bzdura – odparł kapłan. – Przechowam go dla pana. Zazwyczaj nie zamykam drzwi kościoła, ale kiedy już się je zatrzaśnie, potrzebny jest taran, żeby je sforsować. Tutaj płótno będzie bezpieczniejsze niż w gospodzie.

Niechętnie się zgodziłem. Wiedziałem, że Charbuque jest równie podstępny jak cień w niewiarygodnej opowieści jego żony, ale ksiądz miał rację i wydawało się, że jest szczerze oddany mojej sprawie.

Czwartego wieczoru po powrocie do gospody usiadłem przy stole i napisałem dwa listy. W pierwszym ostrzegałem Sillsa, że Charbuque wyjechał z miasta i wędruje po Long Island. W drugim informowałem Samantę, gdzie jestem, i relacjonowałem swój cały pobyt na południowym wybrzeżu. Zapewniłem, że ją kocham, i poprosiłem, żeby do mnie wróciła. Napisałem także, że jeśli się do mnie nie odezwie, na jakiś czas zostanę tutaj, żeby malować pejzaże.

Rankiem szóstego dnia mojego ostatniego tygodnia spędzanego na orbicie pani Charbuque skończyłem obraz. Wykonałem ostatnie pociągnięcie pędzla, żeby poprawić ułożenie kącika ust, po czym cofnąłem się, pewien, że niczego więcej nie potrzebuję. Odłożyłem pędzel oraz paletę na stolik i chwiejnym krokiem wróciłem na łóżko. Pani Charbuque wyglądała dokładnie tak, jak ją sobie wyobraziłem. Ten widok oraz poczucie spełnienia przyprawiły mnie o łzy. To był najlepszy obraz, jaki kiedykolwiek

namalowałem. Gdy już go ukończyłem, poczułem pustkę. Tak długo się trudziłem, że nagły kres pracy wytrącił mnie z równowagi.

Polakierowałem płótno tylko raz, żeby wydobyć blask samotnej postaci, ale nie dopuścić, by powierzchnia obrazu odbijała światło. Po zakończeniu tego ostatniego etapu, położyłem się na łóżku i przespałem resztę dnia. Tego wieczoru nie wróciłem do La Grange, tylko dorzuciłem do ognia i zostałem w pracowni, czuwając aż do rana.

W końcu, po nocy spędzonej na wpatrywaniu się w płomienie, przywoływaniu duchów oraz scen z przeszłości i patrzeniu, jak tańczą w palenisku niczym ruchome figurki na czarodziejskich obrazach, zobaczyłem wschodzące słońce. Portret wysechł. Umieściłem go w taniej ramie, którą kupiłem w miasteczku, a następnie owinąłem papierem i dodatkowo nieprzemakalną tkaniną, żeby ochronić go przed wpływem pogody. Na koniec mocno obwiązałem cały pakunek sznurkiem.

Wróciłem do gospody, zjadłem śniadanie, cały czas trzymając pakunek przy sobie, po czym wróciłem do swojego pokoju, żeby odpocząć przez godzinę albo dwie. Wstałem w południe, włożyłem płaszcz i kapelusz, a następnie zszedłem na dół, żeby zamówić powóz, który miał mnie zawieźć na przystań. Gdy czekałem w holu na swój transport, zauważyłem nowe wydanie „Babylon Gazette” leżące na kontuarze. Nagłówek krzychał: „Miejscowa kobieta umiera, płacząc krwawymi łzami”. Poniżej nieco mniejszą czcionką napisano: „Tajemnicza choroba dręcząca Nowy Jork uderza w Long Island”.

Wtedy nadjechał mój powóz. Zanim zdążyłem wsiąść do kabiny, zacząłem dygotać w niekontrolowany sposób, ponieważ zdałem sobie sprawę, że Charbuque znów rozpoczął swoją grę. Co gorsza, wiedziałem, że to ja go sprowokowałem.

ZJAWA Z KRWI I KOŚCI

Kiedy dotarłem na przystań, prom już czekał, ale powiedziano mi, że silnik miał awarię i jego uruchomienie trochę potrwa. Skierowano mnie do pobliskiego lokalu, starej budy nazwanej Pod Miedzianym Czajnikiem. Dzieliły mnie od niej zaledwie dwie minuty marszu drogą. Zapewniono mnie, że gdy silnik zostanie naprawiony, ktoś po mnie przyjdzie. Byłem rozdrażniony, gdyż chciałem jak najszybciej doprowadzić tę sprawę do końca, ale nie miałem wyjścia. W drodze do tawerny zauważyłem, że niebo się chmurzy, a w powietrzu wyczułem zapach nadchodzącej śnieżycy.

Większość popołudnia spędziłem nad szklaneczką whisky. Muszę przyznać, że starzy rybacy, którzy byli stałymi klientami tej nędznej knajpy, stanowili sympatyczną kompanię. Wyglądali i brzmiali jak banda piratów; byli pokryci bliznami oraz tatuażami i używali obscenicznego języka, ale traktowali mnie życzliwie i opowiedzieli mi wiele o historii oraz tradycjach zatoki. Kiedy poinformowałem ich, że jestem malarzem i właśnie wiozę portret do klientki, roześmieli się, jakby nigdy nie słyszeli niczego zabawniejszego. W końcu jakiś chłopak przyszedł po mnie do tawerny. Uścisnąłem dłonie wszystkich obecnych i podziękowałem im za gościnność.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak jest późno, dopóki nie wyszedłem z tawerny i nie zobaczyłem, że słońce wyraźnie się obniżyło. Szybko przeszedłem wzdłuż nabrzeża i wsiadłem na prom. Nie było innych pasażerów, ale kapitan z przyjemnością przewiózł mnie na drugą stronę. Woda była wzburzona, a niebo zasnuły ciemne chmury, nie licząc czerwonego paska nad horyzontem. Stałem na pokładzie razem z matem, który wyjął niewielką lunetę i pokazywał mi przez nią różne widoki na brzegu.

– Nieźle wieje – rzekł, przekrzykując szum wiatru. – Widać rybaków wracających z połowu małży.

Wziąłem od niego lunetę i skierowałem ją w stronę łodzi płynących do

portu w Babilonie. Zauważyłem małego skifa z dwiema osobami na pokładzie. Nie wierząc własnym oczom, rozpoznałem Watkina. Młody mężczyzna wiosłował, a staruszek siedział zwrócony twarzą w stronę pilota. „Może płynie, żeby mnie zabrać, albo powiedziec mi, że jeśli jeszcze nie skończyłem, to zlecenie zostaje odwołane”, pomyślałem.

Chociaż słońce jeszcze nie zaszło, niebo było tak zachmurzone, jakby już zapadła noc. Wczesnym wieczorem wysiadłem z promu na wysokości wyspy Captree i z portretem pod pachą ruszyłem na wschód przez wydmy w stronę letniego domu pani Charbuque. Gdy wspiąłem się na ostatnią wydnię i spojrzałem w głąb piaszczystej doliny, w której krył się dom, uderzyło mnie, jak różnie to samo miejsce może wyglądać zależnie od okoliczności. Zniknęło ciepłe uczucie spokoju, które ogarnęło mnie, gdy odwiedziłem rezydencję za dnia, i teraz dom sprawiał wrażenie mrocznego i niegościnnego. Z miejsca, w którym stałem, nie widziałem żadnego światła, a cynowe dzwonki na werandzie dzwoniły z natarczywością, która obudziłaby zmarłego. Zszedłem po zboczach wydmy i powędrowałem kamienistą ścieżką ku werandzie. Gdy podszedłem bliżej, zauważyłem, że drzwi są uchylone.

Pogrążony w mroku dom oraz otwarte drzwi wyprowadziły mnie nieco z równowagi, przypominając mi o odkryciu, którego dokonałem, gdy Luciere uciekła z miasta. Miałem nadzieję, że tym razem nie odeszła. Chociaż czułem niepokój, znacznie silniejsza była potrzeba dostarczenia portretu. Nie miałem zamiaru przegapić okazji do wypełnienia umowy. Wspiąłem się po schodach i zapukałem w futrynę. Nikt się nie pojawił i nie usłyszałem żadnego dźwięku wewnątrz domu. Poza doliną wydm zerwał się silny wiatr i trudno było cokolwiek usłyszeć ponad jego wyciem.

– Raz kozie śmierć – mruknąłem, po czym wszedłem do domu. Drewniana podłoga bezlitośnie skrzypiała, gdy szedłem krok po kroku, próbując przypomnieć sobie rozkład pomieszczeń. Wnętrze spowijały gęste cienie. – Pani Luciere! – zawołałem, a gdy nie otrzymałem odpowiedzi, ruszyłem po omacku wzdłuż ścian, okrążając meble, kierując się do pokoju w głębi domu, gdzie się spotkaliśmy. Kiedy dotarłem do właściwych drzwi, trzęsłem się jak dziecko, chociaż nie do końca rozumiałem, co mnie tak wystraszyło.

Odetchnąłem z ulgą, gdy dostrzegłem smugę światła wydobywającą się spod drzwi. „Czeka na mnie, po prostu wiatr zagłuszył moje wołanie”, pocieszyłem sam siebie. Przez chwilę stałem przed wejściem do jej kryjówki,

zbierając się na odwagę, po czym otworzyłem drzwi i wszedłem. Znajoma scena – parawan i samotne krzesło – wyglądała niesamowicie za sprawą olejnej lampy, która stała na podłodze pod lewym oknem i rzucała długie cienie na ścianę oraz sufit.

– Przyniosłem portret – powiedziałem.

Usłyszałem szelest i skrzypienie krzesła za parawanem.

– Mam nadzieję, że będzie pani zadowolona – dodałem, po czym wyjąłem scyzoryk i zabrałem się do odpakowywania obrazu. Kiedy skończyłem, podszedłem do parawanu i przełożyłem płótno ponad górną krawędzią. Poczułem się pewniej, gdy druga para rąk uwolniła mnie od mojego brzemienia. Usiadłem na krzesle i czekałem, czując w brzuchu burzę kłębiących się motyli.

– Widziałem, jak Watkin płynie do miasta – powiedziałem, nie mogąc ukryć zdenerwowania.

Westchnęła.

Nie wiedziałem, czy mam to traktować jako odpowiedź na moje słowa, czy jako krytykę mojego dzieła. Po kilku minutach otrzymałem odpowiedź, gdy coś przeleciało ponad parawanem i upadło na podłogę obok moich stóp. Był to olbrzymi plik gotówki związany sznurkiem. Podniosłem pieniądze i zacząłem je liczyć, przerzucając kciukiem narożniki banknotów. Było ich mnóstwo, a do tego miały oszałamiające nominały. Trzykrotnie je przeliczyłem, za każdym razem promieniejąc z radości.

– Czy to oznacza, że mi się udało? – spytałem.

Po chwili zobaczyłem, jak dłoń w czarnej rękawiczce chwyta krawędź parawanu. Pozornie niewzruszona zasłona została brutalnie odepchnięta z łatwością, z jaką listopadowy wiatr porywa liść. Stało się to tak szybko, że ledwie zdołałem się zorientować, co się dzieje. Zanim jednak parawan upadł na podłogę, już wiedziałem, że patrzę na Moneta Charbuque.

– Tak, panie Piambo – odrzekł. – Z pewnością się panu udało, ale już po raz ostatni. – W dłoni okrytej rękawiczką trzymał pistolet. Nie mogłem się poruszyć, ale bardzo chciałem zobaczyć tę zjawę, która wreszcie stała się człowiekiem z krwi i kości. Charbuque był nieco młodszy ode mnie, miał wytworną twarz, wąsy i długie kręcone włosy, które z tyłu opadały mu na kołnierz. Miał na sobie czarną marynarkę i czarne spodnie, a białą koszulę nosił rozpiętą pod szyją.

– Co pan zrobił ze swoją żoną? – wykrztusiłem.

– Powiedzmy, że już nie wróci – odparł z uśmiechem.

– A więc już pójdę – odpowiedziałem.

Wycelował we mnie z pistoletu, po czym się roześmiał.

– Obawiam się, że pan też nie wróci.

– Myślałem, że nie był pan w stanie zbliżyć się do żony – odrzekłem. –

Co się zmieniło?

– Od początku wiedziałem, że pan się z nią spotyka. Sypiał pan z nią. Ten obraz tego dowodzi. Ona złamała zasady. Pozwoliła sobie na niewierność, a to daje mi prawo do szukania zemsty.

– Przecież wcześniej nie widział pan obrazu – zaproponowałem.

– Przykro mi, panie Piambo. Widziałem go w kościele. Kiedy ten stary klecha wyszedł i wypalił ze śrutówki, zawróciłem i wślizgnąłem się do budynku. Wcześniej widziałem, jak pan chowa obraz za ołtarzem. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, zanim ksiądz wrócił do kościoła. Ono pokazało mi prawdę.

– Przysięgam, że nigdy nie widziałem pańskiej żony – odparłem.

– No już dobrze. Tak czy inaczej, otrzymał pan swoją zapłatę, a razem z nią mały dodatek.

– Kulę? – spytałem.

– Banknoty zostały nasączone łzami Kartaginy. Wkrótce pański wstyd spowodowany tym, jak podle mnie pan potraktował, ustąpi miejsca łzom. Zapłacze pan dla mnie krwią, panie Piambo.

Wpadłem w desperację i od razu przypomniałem sobie ofiarę, którą znalazłem w uliczce, oraz Shenza wypłakującego z siebie życie. Ogarnął mnie strach i gniew. Rzuciłem plikiem banknotów w głowę Charbuque'a i skoczyłem na niego. Zaskoczyłem go, ale i tak zdążył strzelić. Poczulem, jak pocisk przelatuje mi obok ucha, ale to mnie nie powstrzymało. Dopadłem go w mgnieniu oka, chwyciłem za włosy nad karkiem i odchyliłem jego głowę do tyłu, przewracając go na podłogę. Wypuścił broń z ręki, a zanim zdołał ją odzyskać, z całych sił kopnąłem go w głowę.

Nie stracił przytomności, ale był oszołomiony. Nie tracąc czasu, znalazłem w kieszeni płaszcza buteleczkę z nalewką z gałki muszkatołowej, którą podarował mi Watkin. Odkorkowałem ją i obficie polałem sobie oczy. Od razu poczułem, że pasożytowi wywołującemu krwawe łzy wcale się to nie spodobało. Oczy zaczęły piec jak po uządleniach os i chociaż je pocierałem, wszystko widziałem jak przez mgłę. Równie dobrze mógłbym być ślepy.

Odwróciłem się i pobiegłem w stronę drzwi, ale straciłem wyczuć kierunku, zderzyłem się ze ścianą i upadłem. Ogłuszony, próbowałem wstać, ale wtedy czyjś but pchnął mnie z powrotem na podłogę. Zanim zdołałem wykonać kolejny ruch, lufa pistoletu przywarła do mojego policzka. Niczego nie widziałem, ale czułem, że ktoś związuje mi ręce za plecami i krępuje kostki. Dalsza walka nie miała sensu.

Charbuque ciężko dyszał.

– Obraz spłonie razem z panem – powiedział, ale coś było nie tak z jego głosem. Moret zmieniał tonację w trakcie wypowiedzenia poszczególnych słów, a każde z nich kończyło się wyższym dźwiękiem. Gdy nieco przejrzałem na oczy i zamrugałem, żeby odzyskać ostrość widzenia, zobaczyłem, jak schyla się po lampę po drugiej stronie pokoju. Zdjął rękawiczkę, a dłoń, która sięgała w dół, z pewnością należała do kobiety. Gdy spod rozpiętego kołnierzyka wysunął się łańcuszek z medalionem, wiedziałem, że to Luciere.

– Wiem, kim jesteś – powiedziałem.

– Niczego pan nie wie. – Tym razem głos nie zabrzmiał szorstko jak zwykle. Niewątpliwie był to głos pani Charbuque.

Po chwili zobaczyłem, jak lampa roztrzaskuje się o ścianę w głębi pokoju. Płonący olej rozchlapał się po podłodze, a od każdej z ognistych kałuż zajęło się suche, nielakierowane drewno. Przed odejściem Luciere podniosła parawan i ustawiła go na miejscu.

– Nie chcę patrzeć, jak pan umiera – rzekła, po czym zrobiła krok nade mną i wyszła z pokoju.

ŚLEPE ODDANIE

Płomienie błyskawicznie się rozprzestrzeniały, gdy zмагаłem się ze swoimi pętami. Dym unosił się pod sufitem jak burzowa chmura, a ja wiedziałem, że wkrótce cały dom stanie w ogniu. Z trudem oddychałem, gdyż żar bijący od pożaru sprawiał, że powietrze było niezwykle ciężkie. Zamierzałem przetoczyć się na plecy i zgiąć nogi w kolanach, po czym dosięgnąć kostek związanymi rękami. Zdołałem wykonać tylko pierwszą część tego planu, potem ogarnęła mnie niemoc. Wbiłem wzrok w sufit i resztką sił zacząłem wzywać pomocy.

Wkrótce zaschło mi w gardle od gorąca i moje krzyki zmieniły się w chrapliwe błagalne szepty. W końcu tylko bezgłośnie poruszałem ustami. Znikałem. Moje зараżone pieniądze płonęły, mój obraz obracał się w popiół. Porzuciłem swoje codzienne życie, straciłem przyjaciela i ukochaną. Stałem się równie nierzeczywisty jak Charbuque. Wyobraziłem sobie, jak ogień pochłania mnie ze znużonym beknięciem. To zlecenie miało stanowić próbę dla mojego talentu, lecz okazało się, że test był znacznie poważniejszy, a ja zawiodłem na całej linii. Potem uznałem, że mam zwidy, ponieważ zobaczyłem Sabotta, który stał nade mną z nożem do palet w dłoni.

– Mistrzu – powiedziałem. – Dobry wieczór, panie Piambo – odrzekł, ale ja już wiedziałem, że to nie Sabott. Zamrugalem i postać zmieniła się w Watkina. Nie trzymał noża do palet, tylko długi nóż myśliwski. Mocno chwycił mnie za ramię i przewrócił na brzuch. Po chwili miałem wolne nadgarstki. Kolejne cięcie oswobodziło mi nogi. Watkin schował nóż do pochwy przy pasie i pomógł mi wstać.

Ogień ogarnął już niemal cały pokój. Rozpełzł się po ścianach i zablokował wyjście. Watkin rozpaczliwie rozglądał się swoimi białymi oczami za drogą ucieczki.

– Za mną – powiedział w końcu, podnosząc krzesło. – Kiedy wybije okno, będzie się pan musiał śpieszyć, ponieważ wpadające powietrze podsyci

ogień – zawołał, przekrzykując ryk płomieni.

Zdążyłem tylko pokiwać głową. Watkin podbiegł do okna, jedyne go wyjścia, którego jeszcze nie odciął pożar, i rzucił w nie krzesłem. Szkło rozpadło się na kawałki.

– Teraz! – krzyknął staruszek.

Stałem bezradnie, dopóki nie poczułem na plecach jego dłoni. Wtedy dobiegłem do okna i skoczyłem, wyciągając przed siebie ręce. Przez kilka sekund miałem wrażenie, że unoszę się w powietrzu, po czym ciężko upadłem na piasek przed domem. Zdążyłem tylko odtoczyć się na bok, zanim Watkin wylądował zaledwie kilka centymetrów ode mnie. Pomógł mi wstać, objął mnie ramieniem i zaczęliśmy się wspinać na wydmy.

Usiedliśmy na szczycie, patrząc na piekło, które rozpętało się w dolinie.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Proszę mi wybaczyć, panie Piambo. Jechałem do miasteczka, żeby pana odszukać i ostrzec. Wiedziałem, że grozi panu niebezpieczeństwo. Zapytałem w porcie, czy ktoś pana widział, i dowiedziałem się, że popłynął pan promem. Obiecałem przewoźnikowi, że zapłacę mu podwójnie, jeśli niezwłocznie przewiezie mnie z powrotem na drugi brzeg. – Sięgnął do swoich oczu i kolejno usunął obie soczewki, dzięki którym udawał ślepotę. – Już nie będą mi potrzebne – powiedział, po czym je wyrzucił.

– Może mi pan to wszystko wyjaśnić? – spytałem.

– Postaram się – odpowiedział i zwrócił w moją stronę twarz oświetloną przez blask ognia. Wtedy nie mogłem w to uwierzyć i nadal wydaje mi się to niewiarygodne, ale Watkin miał zęza.

– Kochałem ją, panie Piambo. Kochałem ją jak córkę, ale kiedy mnie zatrudniła, niestety, była już chora.

– Chora?

– Skrzywiona – wyjaśnił. – Więcej czasu spędzała w domu za parawanem niż w prawdziwym świecie. Tam czuła się silna i pewna siebie, a występy tylko wzmacniały w niej to poczucie. Wiedziałem, że coś jest z nią nie w porządku i że wielkimi krokami zbliża się kryzys.

– Londyn? – spytałem.

– Tak. Była osłabiona trasą. Myślałem, że podróż dobrze jej zrobi, ale opuszczenie domu tylko pogłębiło jej manię. Podupała na zdrowiu, aż w końcu przeżyła załamanie.

– Charbuque był kochankiem, który ją porzucił?

– Charbuque istniał tylko w jej umyśle – odparł Watkin. – Wymyśliła go, ale nie jako kochanka. Nie potrzebowała miłości, tylko fałszywej tożsamości, która pozwoliłaby jej działać w zewnętrznym świecie z taką samą siłą i pewnością siebie jak za parawanem. To, co wiedziała o świecie, przekonało ją, że musi się stać bezwzględny mężczyzną intrygantem, żeby czuć się bezpiecznie.

Pewnego dnia pokojówka w hotelu, w którym mieszkaliśmy, weszła do jej pokoju. Nie wiedziała, że ktoś jest za parawanem i na oczach Luciere zerkającej przez otwór w panelu odkorkowała starą srebrną lampę, na co Luciere nigdy się nie odważyła, po czym powąchała zawartość. Zapewne myślała, że w środku kryją się drogie perfumy, więc wtarła odrobinę płynu w szyję, po czym wróciła do swoich obowiązków.

Dwadzieścia minut później usiadła na krześle naprzeciwko parawanu i zaczęła płakać. Domyśla się pan, co było dalej. Luciere patrzyła, jak kobieta umiera. Chciała jej pomóc, ale nie potrafiła wyjść z ukrycia. Policja uznała, że śmierć nastąpiła w wyniku choroby, ale śledczy mieli wątpliwości. Musieliśmy szybko wyjechać z Londynu.

Luciere nie chciała przyjąć na swoje barki odpowiedzialności za śmierć pokojówki, więc wymyśliła Charbuque’a i jego całą historię. Od czasu do czasu Moret wychodził z ukrycia. Kiedyś pracowałem w teatrze, więc poprosiła, żebym opowiedział jej co nieco o kostiumach i przebraniach. Wcieliła się rolę mężczyzny. W 1866 roku ostatecznie zdecydowała się na przybranie maski pisarza Roberta Louisa Stevensona, ponieważ przeczytała jego powieść *Doktor Jekyll i pan Hyde*, która ukazała się w tamtym roku. Charbuque był jej panem Hyde’em. Byli Bliźniętami.

Czasami Charbuque nie pojawiał się całymi miesiącami. Za każdym razem jednak powracał coraz potężniejszy. Luciere wychodziła wieczorami w swoim przebraniu i robiła straszliwe rzeczy przypadkowym ofiarom, chcąc w ten sposób ukarać własną kobiecą naturę. Żeby utrzymać swoją moc za parawanem, zatrudniała malarzy, samych mężczyzn, i igrała z ich umysłami. „Są takimi egotystami, że idealnie się nadają do tego celu”, wyjaśniła mi kiedyś. W najlepszym wypadku można powiedzieć, że cierpiała na groteskową chorobę. Nie sposób tego wytłumaczyć.

– Czy ta ostatnia seria morderstw to pierwszy przypadek użycia przez nią Łez Kartaginy jako broni? – spytałem.

– Tak sądzę – odrzekł Watkin. – Kiedy wróciliśmy do Ameryki, kazała

mi ustalić, czym jest substancja w lampie. Pewien młodzieniec z Greenwich Village, który prowadził badania w tej dziedzinie, opowiedział mi o pochodzeniu płynu i o tym, że w starożytności używano go jako broni. A ja byłem tak ogłupiały, że nie potrafiłem niczego jej odmówić. Powiedziałem jej o wszystkim, co czyni mnie równie winnym.

– Dokąd ona teraz ucieknie? – spytałem. – Wydaje się, że całkowicie zerwała z dawnym życiem, skoro zostawiła parawan w płonącym domu.

– Nie wiem, ale muszę ją powstrzymać. Jestem to winny światu. Nie mogę pozwolić, żeby to trwało. Zbyt wielu ludzi ucierpiało; zbyt wielu straciło życie.

Chciałem zadać jeszcze tysiąc pytań, ale Watkin wstał i otrzepał spodnie z piasku.

– Znajdę ją, zanim znów zabije, panie Piambo – powiedział, a jego determinację podkreśliło częściowe zawalenie się dachu. Rozległ się donośny jęk i trzask, po czym milion iskier wzbił się w niebo, skąd porwał je wiatr.

Watkin sprawiał wrażenie, jakby przygotowywał się do odejścia, więc spytałem go jeszcze o jedno.

– Czy kiedykolwiek ją pan widział?

– Oczywiście – odparł, po czym uścisnął mi dłoń. – Do widzenia, panie Piambo. Niech mi pan wybaczy. – Odwrócił się i odszedł przez wydmy na wschód, gdzie nie było niczego poza plażą. Obserwowałem go, dopóki nie połknęła go noc.

Zostałem sam. Zaczął padać śnieg, a ja nie mogłem się uwolnić od myśli, że to wszystko, co się właśnie wydarzyło, także było jednym potężnym fałszywym tropem. Nie pozostało mi nic poza moim życiem, ale uznałem, że to idealny stan dla artysty, który chce stworzyć coś pięknego. Gdy ruszyłem w śniegu ku rybackim chałupom, żeby znaleźć schronienie na noc, miałem wrażenie, że płatki spadają z nieba dwójkami, w identycznych parach.

MÓJ AUTOPORTRET

Następnego dnia po powrocie do La Grange zadzwoniłem na lokalny posterunek policji i opowiedziałem wszystko, co wiedziałem. Policjanci poinformowali mnie, że poprzedniego wieczoru skontaktował się z nimi detektyw Sills z Nowego Jorku. Dwa dni później John i kilku innych funkcjonariuszy przyjechali do Babilonu, żeby odszukać panią Charbuque i Watkina. Ucieszyłem się ze spotkania ze swoim starym przyjacielem i spędziliśmy wieczór na popijaniu whisky w tawernie Pod Miedzianym Czajnikiem, zanim Sills musiał wyruszyć na poszukiwania. Spytałem go o Samantę i dowiedziałem się, że u niej wszystko w porządku. Miałem nadzieję, że może przekazała mi jakąś wiadomość, ale tak się nie stało.

Kiedy zamieszanie związane z tą dziwną sprawą wreszcie przycichło, postanowiłem, że na razie nie wrócę do miasta. Chciałem przez kilka miesięcy zajmować się malowaniem naturalnych pejzaży, w których tak się zakochałem, gdy spędzałem czas w powozowni. Zawarłem układ z księdzem Loomisem. Zaproponował mi, że będę mógł za darmo mieszkać w studiu, a w zamian za to namaluję dla niego nastawę ołtarzową. Zgodziłem się pod warunkiem, że umieszczę na niej motywy z Księgi Rodzaju.

– Dobrze – odrzekł Loomis. – Ale muszę pana prosić o pewną przysługę.

– Jaką? – spytałem.

– Gdy będzie pan malował Ewę, proszę dać jej twarz kobiety z pańskiego obrazu, kimkolwiek ona była.

Przystałem na ten warunek, ale poszedłem o krok dalej i upodobiłem do pani Charbuque zarówno Ewę, jak i Adama.

Nie licząc straszliwej tęsknoty za Samantą, wiodłem beztrudne życie. Po przeniesieniu swoich rzeczy z La Grange do powozowni, ustaliłem plan dnia. Rankiem zabierałem szkicownik i wędrowałem przez las nad zatokę, gdzie wykonywałem wstępne szkice pejzaży, które później zamierzałem namalować. Robiło się coraz zimniej i nie mogłem wynieść sztalug na dwór.

Popołudniami pracowałem nad obrazem do kościoła. Po kolacji i kieliszku wina wypitym w towarzystwie Loomisa wracałem do pracowni, żeby napalić w kominku, zapalić dwie lampy olejne i malować ze szkiców oraz pamięci sceny, które oglądałem podczas porannych spacerów.

Malowanie pejzaży było dla mnie nowością. Nie musiałem się skupiać na ludzkich postaciach ani na szczegółowym odzwierciedleniu twarzy. Dawałem sobie większą swobodę i pole do interpretacji. Nie stosowałem się do rygorów klasycznego stylu, szkoły prerafaELITÓW ani impresjonistów. Nie zastanawiałem się, gdzie i komu sprzedam swoje dzieła. Po prostu malowałem to co czułem i widziałem. Było to bardzo wyzwalające doświadczenie. Po kilku tygodniach ustawiłem swoje obrazy pod ścianami studia i z zaskoczeniem stwierdziłem, że wyrażają moje myśli i uczucia znacznie wyraźniej niż jakikolwiek portret. W pewnym sensie stanowiły mój autoportret.

Pewnego popołudnia pod koniec listopada pracowałem w kościele nad wizerunkiem szatana wcielonego w węża. Mój wąż miał ludzką twarz, którą wzorowałem na obliczu Shenza, żeby uczcić pamięć przyjaciela. Właśnie skończyłem malować brodę, gdy drzwi kościoła stanęły otworem i do środka weszli dwaj pracownicy lokalnego domu pogrzebowego, pchając przed sobą wózek, na którym stała trumna. Zazwyczaj w takiej dostawie uczestniczyli bliscy zmarłej osoby, ale tym razem obecni byli tylko dwaj tragarze oraz ksiądz.

Loomis podszedł do ołtarza.

– Nie musi pan przerywać pracy, panie Piambo. Nie sądzę, żeby ktoś przyszedł na mszę. Z tego, co mi wiadomo, mężczyzna, który dostarczył ciało tej biedaczki do domu pogrzebowego, powiedział, że zabiło ją złamane serce, chociaż w akcie zgonu napisano, że zmarła na suchoty. Czy to pana dziwi? – Zerknął na mnie spod oka, jakby chciał powiedzieć coś więcej. Kiedy nie zareagowałem, kontynuował: – Nieznajomy poprosił mnie za pośrednictwem grabarza, żebym przed pogrzebem odprawił mszę za jej duszę, ale sam nie mógł zostać. Jednakże zostawił sowitą zapłatę.

– Jak się nazywał? – spytałem, bojąc się odpowiedzi.

– Nie przedstawił się – odrzekł Loomis cicho. – Ale zmarła nosiła imię Sybilla.

Zdołałem tylko pokiwać głową.

– No cóż – powiedział ksiądz energicznie, gdy położyłem dłoń na

gładkim drewnie trumny. – Teraz muszę udać się do miasteczka. Wrócę mniej więcej za godzinę i wtedy odprawię mszę. Zapewne będę mówił do pustych ławek. Chyba że pan zechce wcielić się w rolę żałobnika.

– Być może.

– Byłoby miło, ale zrobi pan, jak pan uważa – rzekł ksiądz Loomis, po czym odwrócił się i wyszedł z kościoła w towarzystwie dwóch robotników.

Zakryłem usta dłonią, jakbym chciał zdławić krzyk. Na drewnie trumny lśniło kolorowe światło przeświecające przez witraże. Przesunąłem palcami po gładkiej powierzchni.

– Luciere – powiedziałem. – Luciere.

Oto leżała skryta za swoim parawanem. Już nie byłem w jej mocy, nie dążyłem do wykonania jej zlecenia. Wiedziałem, że powinienem skończyć pracę i wyjść.

– Nie ulegaj – powiedziałem na głos. Zastanawiałem się, w jaki sposób Watkin ją zabił, że zgon wyglądał na spowodowany suchotami. Czy to także należało do dziedziny, w której się specjalizował, podobnie jak charakterystyka i tworzenie kostiumów?

Kiedy postanowiłem odejść, moja dłoń przesunęła się wzdłuż krawędzi trumny i znalazła zatrzask. Powoli go zwolniłem, a wtedy wieko lekko odskoczyło. Dwukrotnie głęboko odetchnąłem, po czym wyszeptalem:

– Jestem, pani Charbuque.

Wiem, że nie ma powodu, by mi wierzyć. W końcu jakie miałem szanse? Ale postać na moim portrecie oraz kobieta w trumnie okazały się identyczne. Były bliźniaczkami. Gdy ją zobaczyłem, zapłakałem. Może zasmuciło mnie jej życie pełne cierpienia, a może moje własne trudne doświadczenia. Niezależnie od powodu, czułem się tak, jakbym płakał krwią. Luciere miała na sobie białą suknię, a na szyi medalion, w którym kryła się przyszłość. Ostrożnie odpiąłem łańcuszek. Trzymając przed oczami wisiołek w kształcie serca, wyobraziłem sobie zamknięte w środku dwa płatki śniegu, nieroztopione, bezustannie wirujące wokół siebie w niekończących się wizjach jutra. Schowałem medalion do kieszeni i zamknąłem wieko trumny, zabezpieczając je zatrzaskiem.

Zostałem na popołudniowej mszy jako jedyny żałobnik na pogrzebie pani Charbuque.

EPILOG

ANIOŁ NA PLAŻY

Dwa dni później wybrałem się popołudniem na spacer po plaży. Nie mogłem się skupić na pracy, a ksiądz Loomis wyjechał na cały dzień. Doszedłem do brzegu i usiadłem na znajomym pniu wyrzuconym przez morze. Słońce chowało się za horyzontem, w powietrzu czuć było dotkliwy chłód, a woda w zatoce niemal zamarła, pokrywając się małymi lodowymi falami. Palilem papierosa i myślałem o mieście oraz o tym, jak bardzo mi go brakuje. Gdy do zmroku pozostało zaledwie kilka minut, wstałem, żeby wyruszyć z powrotem do pracowni, i wtedy w oddali zobaczyłem jakąś postać zbliżającą się wzdłuż brzegu. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że ma białe anielskie skrzydła, które wściekle trzepotały i lśniły w ostatnich promieniach słońca. Zadrżałem ze strachu. Może to duch Luciere wracający po swój medalion. Gdy w końcu zobaczyłem, że skrzydła są szerokimi końcami długiego białego szala, rozpoznałem nadchodzącą kobietę i wyszedłem jej na spotkanie.

Podziękowania

Mam nadzieję, że czytelnik nie uzna *Portretu pani Charbuque* za powieść historyczną w ścisłym znaczeniu tego słowa. Wiele opisanych w niej miejsc, postaci, zjawisk i wydarzeń rzeczywiście przynależy do roku 1893, co potwierdzają źródła, ale jestem przede wszystkim twórcą fikcji literackich, a nie historykiem. Czasami dosyć swobodnie podchodziłem do faktów, zarówno z konieczności, jak i dla kaprysu, żeby jak najlepiej opowiedzieć historię dziwnego zlecenia Piambo. Pracując nad książką, korzystałem jednak z wielu dzieł.

W odtworzeniu atmosfery Nowego Jorku w tamtym okresie bardzo pomogły mi następujące książki: *Kings Handbook of New York City 1893* Mosesa Kinga, *Gramercy Park: An American Bloomsbury* Carole Klein, *Walt Whitmans New York* pod redakcją Henry'ego M. Christmana oraz *Victorian America: Transformation in Everyday Life 1876-1915* Thomasa J. Schleretha.

Oto niektóre z tekstów, które pomogły mi poszerzyć ograniczoną wiedzę o sztuce malarskiej, a zwłaszcza malarstwie w czasach wiktoriańskich: *What Painting Is* Jamesa Elkinsa, *The Art of Ans Anity Albus*, *What Is Painting?* Juliana Bella, *Oil Painting Portraits* Raya Smitha, *Victorian Painting* Christophera Wooda, *Whistler: A Biography* Stanleya Weitrauba oraz *John Singer Sargent: His Portrait* Stanleya Olsona. Cytat z Alberta Pinkhama Rydera, który pojawia się w powieści, znalazłem na stronie internetowej o Ryderze prowadzonej przez Rickiego Lee Jonesa.

Wiedzę na temat stosowania opium w dziewiętnastym wieku zawdzięczam książkom *The Seven Sisters of Sleep* Mordicaia C. Cooke'a oraz *Opium* Martina Bootha.

End Product: The First Taboo autorstwa Dana Sabbatha i Mandela Halla

to niezwykła i urocza książka o historii, filozofii, polityce i potędze odchodów. Wielka szkoda, że została wycofana z druku.

Szukając informacji dotyczących Fenicjan, sięgnąłem po książkę *Phoenicians* Glenna Markoe.

Wiele osób pomagało mi w pracy nad tym projektem. Przede wszystkim muszę podziękować mojemu agentowi, Howardowi Morhaimowi, którego wskazówki i umiejętności umożliwiły mi napisanie niniejszej książki. Chciałbym także podziękować Kevinowi Quingleyowi, który podzielił się ze mną praktyczną wiedzą dotyczącą sztuki malarskiej, Michaelowi Gallagherowi i Billowi Watkinsowi, za przeczytanie i skomentowanie nieukończonego maszynopisu, Devi Pillai, za odegranie roli drugiej redaktorki, oraz pierwszej redaktorce, Jennifer Brehl, której zachęcające słowa i fachowe wskazówki pomogły mi dopracować moją opowieść.

Spis treści

ASYSTENTKA PISARZA FANTASY

Dedykacja

Podziękowania

Wprowadzenie

STWORZENIE

Z GŁĘBI KANIONU

ASYSTENTKA PISARZA FANTASY

DALEKA OAZA

KOBIETA, KTÓRA LICZY SWOJE ODDECHY

REPARATA

PANSOLAPIA

MIASTO EGZO-SZKIELETÓW

SŁODKI WĘZEŁ

COŚ NAD MORZEM

DELIKATNY

ZOMBIE MALTHUSIANA

1

2

3

4

W DRODZE DO NOWEGO EGIPTU

PŁYWANIE W LINDRETHOOL

1

2

3

4

5

6

PODWIECZOREK Z JULIUSZEM VERNE'EM

JASNY PORANEK

PORTRET PANI CHARBUQUE

Dedykacja

PIĘKNE DZIEŁO

POSŁANIEC

PIERWSZY WIATR JESIENI

MOJA KLIENTKA

JEDYNE ZASTRZEŻENIE

KRYSTAŁOLOGOGISTYKA

BLIŹNIĘTA

DWÓR WEZYRA

ZBAWIENIE

[BÓG JEST OMYLNY](#)
[SYBILLA](#)
[KOBIETA ZE SNU](#)
[SZPITAL DLA OBŁĄKANYCH](#)
[MONOLOG W BRAZIE](#)
[NIEDZIELNY PORANEK](#)
[WILK](#)
[PODARUNEK OD DZIECKA](#)
[UPOMNIENIE](#)
[GOŚĆ](#)
[MAŁPIA KRÓLOWA](#)
[SZCZĘŚLIWY PRZYPADEK](#)
[PRZEPROSINY](#)
[NIC NIE JEST BEZPIECZNE](#)
[FAŁSZYWY TROP](#)
[ZASIĘGANIE PORADY U BLIŹNIĄT](#)
[GALERIA](#)
[ŚCIĘCIE ŚWIĘTEGO JANA](#)
[SZPONY OBSESJI](#)
[DŁONIE](#)
[OKRZYKI I SZEPTY](#)
[PUKANIE BEZ ODPOWIEDZI](#)
[SHENZ OD MAKÓWEK](#)
[CZŁOWIEK Z RÓWNIKA](#)
[PRZEBUDZENIE](#)
[JEGO MAŁY KOKON](#)
[MASKA](#)
[MEDUZA](#)
[PODSTĘPNA KLĄTWA](#)
[NIE REZYGNUJ](#)
[ŁZY KARTAGINY](#)
[ONE WSZYSTKIE SĄ NIĄ](#)
[WIECZORNY POCIĄG DO BABILONU](#)
[DOM NA WYDMACH](#)
[DOBRY KOMPAN](#)
[KOŚCIÓŁ KALWARYJSKI](#)
[JEJ URZEKAJĄCA POSTAĆ](#)
[ZJAWA Z KRWI I KOŚCI](#)
[ŚLEPE ODDANIE](#)
[MÓJ AUTOPORTRET](#)
[EPILOG ANIOŁ NA PLAŻY](#)
[Podziękowania](#)